

*Romans i zbrodnie,
współczesna Warszawa,
hermetyczne środowisko
pracowników telewizji.
Mocne wrażenia
gwarantowane.*

JOLANTA MOKRZYŃSKA

Wszystkie świństwa świata



**JOLANTA
MOKRZYŃSKA**

Wszystkie święta świata



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

WSZYSTKIE ŚWIŃSTWA ŚWIATA
Copyright © 2014 by Jolanta Mokrzyńska
Copyright © 2014 by Wydawnictwo Sonia Draga
Projekt graficzny okładki: Mariusz Kula
Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska
Korekta: Iwona Wyrwisz, Aneta Iwan
ISBN: 978-83-7999-240-9

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2015

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

*Dla Niuńka i Madzi,
którzy pomagali mi zobaczyć rzeczy
i ludzi takimi, jacy są naprawdę*

Aleksander Rawski nie był niezastąpiony, ale zrobiło się już za późno, by znaleźć kogoś na jego miejsce.

– I co my teraz, kurwa, zrobimy?

Redaktor wydania spojrział na realizatora, tak jakby ten mógł mu pomóc. Zegar wyświetlony na jednym z ekranów nieubłaganie wskazywał dwudziestą drugą piętnaście. Studio naszykowane, reflektory włączone, reżyserka w gotowości. Za kwadrans startował „Przegląd Dnia” – flagowy serwis informacyjny wieczornego pasma. Podsumowanie wydarzeń, rozmowa z gościem, dzień z bliska i w detalach. Wszystko czekało – scenariusz napisany i zamknięty, materiały zmontowane, nawet operatorzy kamer w studiu stali grzecznie na swoich stanowiskach. Brakowało tylko prezentera. Wydawca szalał w reżyserce.

– Ja pierdołę! Jak to jest w ogóle możliwe: nie przyjść na program? Co on sobie, kurwa, myśli?!

Pewnie nie bez wpływu na tę wściekłość pozostawało jego własne zaniechanie. Był czas, kiedy dało się jeszcze coś przedsięwziąć. Zwerbować kogoś w zastępstwie, zażądać od poprzedniej zmiany, by została dłużej, skorzystać z dość natrętnie oferowanych i zawsze aktualnych usług ambitnego reportera działu zagranicznego, który za wszelką cenę chciał zaistnieć jako prezenter. Tymczasem czujność wydawcy – skądinąd zasłużonego i doświadczonego na wielu medialnych frontach – zmyliło to, że „Przegląd” był programem prowadzonym w parach. Współprowadząca Rawskiego – jak zawsze obowiązkowa i skrupulatna Izabela Kalicka – już po południu stawiała się na miejscu i swoim zwyczajem grzecznie i cichutko pisała zapowiedzi materiałów, czytała depeche, przygotowywała się do programu. To właśnie stworzyło złudne wrażenie, że sytuacja nie wymyka się spod kontroli. Tymczasem wymknęła się, i to na tyle poważnie, że Jerzy Blajer zaczynał się zastanawiać, czy nie przyjdzie mu za to zapłacić własną, pieczołowicie pielęgnowaną karierą. Wydawca to człowiek, którego nie widać podczas programu, ale który odpowiada za jego całość – Blajer pracował w telewizji zbyt długo, by nie wiedzieć, że to on może zostać rozliczony za zaniechanie, niefrasobliwość, a może kaprys Rawskiego.

Prowadzący wieczorny program powinien był pojawić się w pracy najpóźniej o osiemnastej. Kiedy tego nie zrobił, Blajer – podobnie jak cała reszta redakcji – zbagatelizował sprawę. Rawskiego nie ma? No nie ma, ale cóż... Bez stresu, jeszcze wcześniej, może się po prostu spóźni. Nieobecność połowy duetu prezenterkiego nie zatrzymywała prac nad programem; wszystko szło tak, jak powinno – Blajer jako wydawca decydował o tym, co jest godne wzmianki na antenie, a co można pominąć, sprawdzał reporterom materiały, przekomarzał się z autorką nagłówków do tematów.

– Jak tam po urodzinach, pani Joanno? Główka boli? – Dziewczyna wprawdzie nie wyglądała na cierpiącą, ale na niewyspaną na pewno.

– Nie jest tak źle – starała się, by uśmiech choć trochę rozjaśnił sińce pod oczami, ale Blajer i tak wiedział swoje. W kwestii nieobecności Rawskiego również. Kiedy minęła dwudziesta, a jego nadal nie było, wciąż jeszcze nie widział powodu do paniki. Ważniejsze było zaproszenie do studia odpowiedniego gościa – takiego, który będzie umiał opowiedzieć o skutkach użycia sarinu, ale bez nadmiernego epatowania nazbyt dokładnymi opisami; widzowie mogą przecież właśnie jeść późną kolację przed telewizorem. Użycie gazu bojowego na przedmieściach Damaszku – to był temat dnia, a nie jakieś nieeleganckie spóźnienie prowadzącego.

Poza tym Blajer był dobrym obserwatorem – przez prawie półtora roku wspólnej pracy z Kalicką

i Rawskim zdołał się zorientować, jak między tym dwojgiem rozkłada się podział obowiązków. Mimo późnej pory był spokojny; wiedział, że Kalicka jak zwykle wykona całą robotę, a jej kolega będzie mógł po prostu przyjść na gotowe; wystarczy, że pojawi się o godzinie niezakrawającej na nieprzyzwoitość. Dwudziesta pierwsza nadeszła szybko w ferworze szykowania materiałów o Syrii. Rawskiego nie ma? No nie ma, ale cóż... Przecież przyjdzie, to oczywiste. To było oczywiste aż do momentu, w którym nieco bardziej zaniepokojony kierownik produkcji postanowił do spóźnionego zadzwonić. Niestety bez efektów. Pięć sygnałów i „Tu Aleksander Rawski, zostaw wiadomość”. I tak raz, drugi, trzeci.

– Nie chcę cię martwić, Jurek, ale telefon Aleksandra nie odpowiada.

Kierownik produkcji w stacji informacyjnej to człowiek, który musi radzić sobie z wieloma przeciwnościami losu. Niestraszny mu leniwy montażysta, pomyłone felietony, reporter, który pojechał na zdjęcia nie tam, gdzie trzeba. Tomasz Migota z całą pewnością nie chciał więc siać paniki, ale jakoś tak wyszło, że zdenerwowanie w jego głosie było słyszalne bardzo wyraźnie. Wtedy trudniej już było powiedzieć: „Rawskiego nie ma? No nie ma, ale cóż...”, lecz mimo to Blajer raz jeszcze spróbował. Zaniepokoił się na serio dopiero, kiedy stało się jasne, że to absolutnie ostatni moment, w którym niesolidny prezenter powinien się odnaleźć. I tak całym jego przygotowaniem do programu byłby już teraz tylko makijaż podczas szybkiej wizyty w charakteryzatorni. Rzecz jasna lepiej, by pojawił się nieprzygotowany – a nawet nieumalowany – niż by nie pojawił się wcale. Dochodziła dwudziesta druga – pół godziny do wejścia na antenę. Nie zdarzyło się jeszcze nigdy, by prezenter tak po prostu się nie pojawił. Dwadzieścia lat pracy w mediach nauczyło Blajera, że w każdej chwili może mu grozić trzęsienie ziemi, katastrofa samolotu, upadek rządu – ale nie to, że prezenter nie przyjdzie na program.

– Może coś mu się stało? – Migota powiedział na głos to, o czym Blajer nawet nie pomyślał. Chociaż właściwie powinien. I na pewno by to zrobił, gdyby tylko nie wsiąkł w obrazy martwych ciał syryjskich kobiet i dzieci. Rzędy zwłok okrytych białymi prześcieradłami i ułożonych pokotem na gołej ziemi robiły wstrząsające wrażenie. Ile można pokazać, nie narażając widzów na szok?

– Jurek, słyszysz mnie? – Migota nie dawał za wygraną. – Jest już strasznie późno, musiało mu się coś stać. Inaczej przecież by przyszedł.

– Ciągle liczę na to, że to robi – Blajer uważał, że trzeba mieć naprawdę dobry powód, by zaryzykować wyrzucenie z pracy. Nie podejrzewał Rawskiego ani o dobry powód, ani tym bardziej o skłonność do ryzyka, więc spektakularne *entrée* tuż przed programem wciąż wydawało mu się najbardziej prawdopodobne. Aż do momentu, w którym z końca newsroomu odezwał się jakiś nieśmiały głos.

– Słuchajcie, czyj to telefon? Bo wibruje tu i wibruje.

Tomasz Migota był sprawnym kierownikiem produkcji, nie potrzebował dużo czasu, by rozeznąć się w sytuacji. Służbowy telefon, typowy model, jedenaście nieodebranych połączeń, ostatnie od kogoś o imieniu Justyna, a trzy poprzednie od rozmówcy wpisanego do książki telefonicznej jako „firma”.

– Cholera, to telefon Rawskiego. – Godziny nieodebranych połączeń zgadzały się idealnie; Migota dostrzegł to od razu, sam przecież dzwonił.

– To bardzo dziwne. – Izabela Kalicka oderwała się od poprawiania felietonu o możliwych reakcjach społeczności międzynarodowej na atak gazowy w Syrii. Może beczynność ONZ skojarzyła jej się z postawą Jerzego? – Zazwyczaj Aleksander ma telefon przy sobie. Musiał zapomnieć. Ale od wczoraj? Zapomniałby go wczoraj po dyżurze i nie wrócił po niego?

– Nie, to jakieś głupie. – Kierownik produkcji był zadowolony, że znalazł kogoś, kto podziela jego niepokój. – Nie zrobiłby tak.

Rawski pracował na wieczornych zmianach – to znaczy, że wczoraj skończył dyżur o dwudziestej trzeciej. Nie chciało się wierzyć, że od tamtej pory nie zauważyłby braku telefonu i nie wróciłby po

niego. Czy więc był tutaj dzisiaj w ciągu dnia i zniknął gdzieś na terenie firmy?

– Znajdzie się, mówię wam. Tym bardziej że skoro leży tu jego telefon, to on sam musi być gdzieś w budynku. – Blajer nie tracił optymizmu nawet wtedy, gdy zrobiło się na tyle późno, że musiał przejść z newsroomu na stanowisko dowodzenia w reżyserce. A później został już tylko zegar nieubłaganie odmierzający kolejne minuty i widok z czterech kamer na wciąż pusty fotel prezentera w studiu.

– Kurwa mać, co za kretyn! – Jerzy Blajer rozumiał, że na jego dyżurze stało się coś, co teoretycznie nie miało prawa się zdarzyć. Choć nie było jeszcze najgorzej. Miał Izabelę; gdyby nie ona, musiałby pewnie sam podjąć desperacką próbę debiutu w nowej roli albo zmusić prezentera pogody, by odczytał kwestie z promptera. – Nie ma rady, Izabela będzie musiała sama poprowadzić ten program.

I poprowadziła. Dzielnie i za dwoje. Tuż przed startem obsługa planu wyniosła ze studia fotel przeznaczony dla Rawskiego. Upchnięty gdzieś w kącie ciemnego korytarza stał zbędny i niepotrzebny – pusty fotel prowadzącego jak wyrzut sumienia.

*

– Piękna sukienka. Ale twoje nogi jeszcze piękniejsze. – Usłyszałam, kiedy nasz nowy prezenter mijają mnie na schodach.

To był pierwszy raz, kiedy się do mnie odezwał. Pracował u nas już kilka tygodni, ale jak dotąd wymienialiśmy tylko zdawkowe „dzień dobry” i „do widzenia”. Aleksander Rawski – nasz najnowszy nabytek, znany dziennikarz z Opola, dawna gwiazda powracająca po latach zesłania na prowincję i wiarołomnym romansie z konkurencją. Spojrzałam na niego – po raz pierwszy uważnie, po raz pierwszy z tak bliska. Ostre kości policzkowe, idealna siateczka zmarszczek w kącikach zimnych, niebieskich oczu, delikatny cień zepsucia w linii ust nieskorych do uśmiechu i kapryśnych. Nie musiałam patrzeć długo, by to dostrzec – ten błysk w oku, to głodne spojrzenie poszukiwacza przygód, tę iskrę, która aż nazbyt wyraźnie mówiła „chcę się zabawić”.

Istnieje taki gatunek mężczyzn, obok których kobieta nie umie przejść obojętnie. Wcale nie muszą być wysocy, nie zawsze są przystojni, rzadko kiedy bywają sympatyczni. To specyficzny gatunek, którego nie można pomylić z żadnym innym – starzy myśliwi spragnieni nowych zdobyczy, niestrudzeni poławiacze pereł, którzy do perfekcji opanowali sztukę gestu i spojrzenia, amatorzy niespiesznych romansów i szybkiego seksu w windzie. To fascynowało i ostrzegało jednocześnie, przyciągało i mówiło „uważaj”. Aleksander Rawski był właśnie takim mężczyzną. Nie było tego widać na ekranie – wtedy chłodny profesjonalizm przykrywał płomień; nie zauważałam tego, gdy siedział za biurkiem w redakcji i pilnie patrzył w monitor. Czasami można było wyczuć ten prąd, gdy widziało się go w palarni. Kiedy powoli zapalał papierosa, a potem mrużył oczy, leniwie wydmuchując dym w kierunku sufitu, dało się wyczytać w jego gestach zaproszenie do przygody, obietnicę wrażeń, ledwie zarysowaną zapowiedź przyjemności.

Jednak w pełni dostrzegłam to wszystko, kiedy spojrzał z całą mocą wprost na mnie – dopiero wtedy, gdy staliśmy naprzeciw siebie na ciemnych schodach, wszystko stało się jasne. Patrzył tak, jakby nie tyle rozbierał mnie wzrokiem, co już rozkoszował się moją nagością. Miał w oczach obietnicę wszystkich świństw świata, a to nie jest obietnica, której dziewczyna potrafi się oprzeć.

*

– Nie pojawił się. I co teraz? – Migota czekał w newsroomie, aż Blajer wróci z reżyserki po programie.

– Nie wiem, kurwa. Wiem za to, że będę musiał tłumaczyć się przed dyrektorem.

Kalicka rzuciła mu zaskoczone spojrzenie.

– No tak, ale co się stało z Aleksandrem?

– Nie mam pojęcia. Może gdzieś pije – Blajer wcale nie był o tym przekonany, ale to tłumaczenie wydawało mu się najłatwiejsze. Poza tym był już bardzo zmęczony. – Mam dość na dziś. Idę do domu.

Zostawcie ten jego telefon u paskowego, musi przecież prędzej czy później po niego przyjść.

Paskowy – niezgrabne określenie na bardzo użytecznego pracownika. Tego, który czuwa nieustająco, pilnując literek przesuwających się w dole ekranu, depesz i nowości. Wszystkie najważniejsze informacje, wiecznie żywe centrum redakcji. Nawet w nocy na stanowisku paskowego musiał ktoś dyżurować. Ktoś, kto nie spał i w razie czego oddałby Rawskiemu jego zapomniany telefon.

– No nie wiem, może powinniśmy to gdzieś zgłosić... – Migota nie wydawał się przekonany.

– Pomyślmy o tym jutro. – Blajer nie miał w sobie nic ze Scarlett O’Hary, ale tym razem postanowił być wierny jej dewizie. Kiedy zamykały się za nim ciężkie, szklane drzwi newsroomu, Kalicka i Migota wymienili ze sobą spojrzenia.

– No dobra, niech będzie. – Migota pomyślał o tłumaczeniu Blajera; ostatecznie wiadomo było przecież, że Rawski nie należy do abstynentów. – Tak się składa, że mam dyżur jutro od rana, jeśli Aleksander się nie znajdzie, to zacznę coś robić.

To przekonało Kalicką; to, a może raczej fakt, że w domu czekał na nią mąż z butelką naprawdę dobrego wina – miał dziś imieniny i Izabela chciała spędzić z nim chociaż tę resztkę wieczoru, jaka jej została.

– Waldek, to pilnuj tu interesu – powiedziała do młodego reportera, który zostawał na noc jako władca paska informacyjnego. – Rawski może się pojawić w każdej chwili.

– Jasne, jasne.

Telefon bez właściciela poruszył kartki na biurku wściekłą wibracją.

*

Kolejne dni nie przyniosły spełnienia obietnicy, którą wyczytałam w oczach Aleksandra. Nie spotykałam go tak często, jak bym chciała – pracowałam w reżyserce, oddzielona od reszty redakcji rezydującej w newsroomie piętro niżej. W mojej pracy byłam tylko ja i słowa – mozół łączenia słów w zgrabne nagłówki, zdań w trafne cytaty, tysiąca szczegółów w jeden zwarty opis. Oglądając telewizję, ludzie rzadko zdają sobie sprawę, że za mniej lub bardziej zgrabnymi napisami, które zajmują niekiedy pół ekranu, jest żywy człowiek – ktoś, kto to wszystko obmyśla, tworzy, pisze. Ktoś, kto filtruje informacje przez swój język i styl, ktoś, kto wszystko, co rozwlekłe i niezrozumiałe, przeistacza w zwarte i jasne. Kto krzyczy z ekranu pilnymi informacjami albo wprost przeciwnie – łagodnym kolorem napisów zapewnia, że spokojnie, dziś nic się nie stało. Tym kimś byłam ja. Każdy efekt pracy widoczny od razu, bezpośrednia łączność z widzami za pomocą słów czytanych w jednej chwili w tysiącach domów na tysiącach telewizorów. Wcześniej składanie słów cieszyło mnie, bawiła przewrotna zabawa znaczeniem i rytmem frazy, tempo – zawsze na żywo i zawsze pod presją – gwarantowało dobre samopoczucie na adrenalinowym haju. Ale od pamiętnego dnia na schodach to wszystko jakby zbladło.

Odtąd każdy dzień w pracy miał sens tylko wtedy, jeśli spotkałam Aleksandra. Sukienki na wieczorne dyżury wybierałam ze szczególną pieczołowitością, makijaż robiłam z wyjątkową uwagą. Kiedy wymienialiśmy spojrzenia albo gdy mówił „pięknie pachniesz”, mijając mnie na korytarzu, za każdym razem żyłam tylko myślą o ciągu dalszym. Jednak ciągu dalszego nie było. Nie było go aż do pewnego styczniowego wieczoru, kiedy to śnieg przesłaniał jasność widzenia, a wszechobecny lód pozwalał bezkarnie tracić równowagę.

Wieczorny dyżur oznaczał koniec pracy o dwudziestej trzeciej, tymczasem zanosilo się na to, że już w ogóle nie opuścimy firmy. Zaczęło sypać po południu i nie przestawało aż do nocy. Za oknami była tylko ciemność spowita ciężkimi płatami mokrego śniegu. Śniegu, który nie chciał przestać padać, tak jakby świat miał się skończyć pod zaspami. Oblodzone i kompletnie białe drogi wyglądały bardziej jak szlaki zaprzęgów psów husky niż jak ulice centrum miasta z rekordową liczbą samochodów. Nie byłam

dobrym kierowcą, więc bałam się jazdy do domu przez zasy i ślizgawki. Liczyłam się z tym, że przyjdzie mi porzucić samochód i wrócić z pracy pieszo. Nie mieszkałam daleko, a wizja brnięcia przez śnieg po kolana i tak wydawała się lepsza niż upiorna jazda przez biel i śliską gładkość dróg zamienionych w lodowe tory przeszkód.

Kiedy wychodziłam z pracy, czyjś parasol osłonił mnie od śniegu.

– Wracasz do domu samochodem? – zapytał Aleksander.

– Nie, boję się jechać w taką pogodę.

– Zamierzasz iść pieszo w taką zawieję? Daleko mieszkasz? – Troska w jego głosie była dokładnie tym, co chciałam słyszeć.

– Niedaleko, ale mimo wszystko boję się jechać.

– Daj spokój, odwiozę cię.

Propozycja kusząca nie tylko ze względu na trudne warunki na drodze. Także – a może raczej przede wszystkim – ze względu na możliwy ciąg dalszy. Choć uprzedzał, że nie jest wytrawnym kierowcą, jechał pewnie, spokojnie, płynnie. Dziwnie się czułam zamknięta z nim w ciasnej przestrzeni samochodu. Był tak blisko mnie, a wciąż nie mogłam go dotknąć. Ciepło naszych oddechów splatało się gdzieś pod sufitem i powracało abstrakcyjnymi wzorami na zaparowanych szybach. Jechaliśmy tak przez noc – sami w klaustrofobicznie bezpiecznym i nieco nierzeczywistym wnętrzu samochodu, oddzieleni od mrozu i lodu, a jednocześnie tak doskonale wtopieni w zimowy krajobraz. Puste drogi, biel za zmrożonymi szybami, płatki śniegu wirujące w świetle samochodowych reflektorów. Jakbyśmy na świecie byli tylko my, śnieg i mrok.

– Masz fajny samochód – odezwał się. Widać sportowe czerwone auto może się podobać niezależnie od wieku i rys. – Nogi też masz fajne.

To było wszystko, co powiedział przez całą drogę, ale wystarczyło, bym nabrała apetytu na więcej. Kiedy przyjechaliśmy pod mój dom, szarmancko otworzył przede mną drzwi. Mokry śnieg uderzył mnie w twarz.

– Bardzo ci dziękuję. Nie wiem, jak wróciłabym do domu bez ciebie. Jeśli mogę się jakoś odwdzięczyć... – ta propozycja wydała mi się absolutnie oczywista. – Wejdiesz na górę? Może jakieś wino?

– Nie, dziękuję. – Głos miał miękki i aksamitny, ale to zabrzmiało naprawdę stanowczo. Śnieg na mojej twarzy od razu stał się bardziej mokry i zimny. – Śpij dobrze – życzył mi, rozkładając wielki czarny parasol, którego cień padł również na mnie. Kiedy odchodził, stałam wciąż jeszcze przy samochodzie. Sylwetka Aleksandra niknęła wśród gęstniejących płatków śniegu.

Nie, to się nie może tak skończyć – pomyślałam, wybierając numer na pasek. Pasek w stacji informacyjnej – nigdy niezasypiające centrum, całodobowe ogniwo łączące wieczorne serwisy z porankiem, wiecznie działający punkt dowodzenia. Najświeższe informacje przesuwane się na pasku w dole ekranu: niezależnie od pory dnia i nocy ktoś zawsze pełnił tam dyżur. Tej nocy był to akurat mój dobry znajomy.

– Cześć, Robert, moje ty biedactwo skazane na pracę nocną. Mam prośbę: podaj mi numer do Rawskiego.

To było naprawdę bardzo proste. Wystukanie esemesa z podziękowaniem za rycerskie zachowanie i posłanie go w tajemniczą przestrzeń cyfrowych sygnałów – jeszcze prostsze. „Zawsze do usług” – odpisał. – „Teraz mam już Twój numer telefonu i zamierzam zrobić z niego użytek”. To było więcej, niż się spodziewałam. Skąd miałam wiedzieć, że na spełnienie tej zapowiedzi przyjdzie mi czekać tak nieznośnie długo?

– Halo? Aleksander? To ty? – Głos w słuchawce brzmiał nieco niepewnie. A może była to mieszanina niepewności i zdenerwowania?

– Przykro mi, ale nie. Ja... odebrałem ten telefon, bo...

– Proszę pana, Rawska z tej strony. Od czwartku wieczorem poszukuję mojego męża i od czwartku wieczorem ten telefon nie odpowiada. Czy pan wie, gdzie on jest?

Tomasz Migota nie miał o tym pojęcia, tak samo teraz, w sobotni poranek, jak i poprzedniego wieczoru. Ale dziś już przynajmniej wiedział, kim jest „Justyna” z telefonu Rawskiego.

– Niestety, nie wiem. I nikt z nas nie wie. My tutaj...

– Kim pan w ogóle jest? – W głosie Justyny Rawskiej nie było już teraz niepewności; była tylko złość.

– Nazywam się Migota, jestem kierownikiem produkcji Kanału Szóstego.

– Ach, więc pracuje pan z moim mężem? – usłyszał w jej głosie coś na kształt ulgi. Kogo się w takim razie spodziewała? Porywacza, który zażąda okupu?

– Tak, owszem. Tylko...

– Czy może mi pan powiedzieć, co się dzieje z moim mężem? Nie było go wczoraj w programie, który powinien był prowadzić.

Zabrzmiało to dość dziwnie. Migota spodziewał się raczej usłyszeć „mąż nie wrócił do domu na noc”, ale po chwili zdał sobie sprawę, że obecność na ekranie była jedynym kryterium, którym mogła posłużyć się żona Rawskiego. Mieszkali w Opolu, choć Rawski pracował w Warszawie i spędzał tu całkiem dużo czasu. Bez żony.

– Ja... nie wiem, co się dzieje.

Migota nie był specjalistą od konwersacji z rozedrganymi kobietami. Zwłaszcza z kobietami, które poszukiwały zaginionych małżonków.

– Pani Justyno, proszę się uspokoić.

– Jestem spokojna, do cholery.

Migota wolałby nie brnąć dalej, ale już wiedział, że to na niego – poniekąd na życzenie – spadł przykry obowiązek poinformowania Rawskiej, że jej mąż zapadł się pod ziemię. Albo pod kontuar w jakimś barze.

– Widzi pani, Aleksandra nie ma od wczoraj. A właściwie od czwartku wieczorem. Nie przyszedł wczoraj do pracy; nie wiemy, co się stało. Po prostu go nie ma.

– Jak to go nie ma? A ten telefon?

– Zostawił go, wychodząc w czwartek wieczorem. Nie pojawił się po niego do tej pory. – Migota poczuł potrzebę złagodzenia tych słów, które nawet w jego uszach zabrzmiały trochę nazbyt złowroźnie. – Niech się pani nie martwi, na pewno wszystko będzie dobrze.

Chciał być miły, ale to nie był strzał w dziesiątkę.

– Mam się nie martwić?! Mojego męża nie ma drugi dzień, a pan mi mówi, że mam się nie martwić!

– Pani Justyno...

– Jadę tam do was. – Musiała podjąć decyzję w tej chwili; Migota nie sądził, by wcześniej w ogóle to rozważała.

– Dobrze, oczywiście. – Tego Rawska już nie usłyszała, bo zdążyła odłożyć słuchawkę. Czekala ją długa droga z Opola.

*

Zima powoli przechodziła w wiosnę, cała redakcja żyła przygotowaniem do Euro 2012. Piłka, stadiony, kibice. Szanse na wyjście z grupy, taktyka na rywali, polskie trio z Borussii. Do tego rzecz jasna autostrady, lotniska i hotele – sakramentalne i do znudzenia powtarzane pytanie „Czy zdążymy?”. Wozy

transmisyjne przemieszczały się po całej Polsce, dokumentując kolejne fragmenty wylanego asfaltu lub kolejne opóźnienia w dostawie kruszywa. Niestrudzeni reporterzy relacjonowali przygotowania hoteli do przyjęcia reprezentacji piłkarskich i ze straceńczym optymizmem wyliczali ogromne, pewne już niemal, szanse Polski na ćwierćfinał. Napisy „Stan przygotowań do Euro” i „Wielkie odliczanie do piłkarskiego święta” były już jak do cna zużyte klisze, ale wciąż jednak serwowałam je widzom. Tamtej wiosny Euro przysłańało nam wszystko. Prawie wszystko.

Pewnego majowego wieczoru odżyły wszystkie moje oczekiwania – wobec ewidentnego braku zainteresowania ze strony Aleksandra odsunięte gdzieś na bok, przytłumione, zepchnięte w sferę mało realnych nadziei.

– Może mnie podwieszysz? – zapytał, kiedy oboje wyszliśmy z pracy po wieczornym dyżurze. To był czas, kiedy po miesiącach tułania się po hotelowych pokojach wynajął mieszkanie gdzieś na jednym z bezbarwnych, betonowych osiedli na obrzeżach miasta. Nie miałam pojęcia, jak tam dojechać, ani tym bardziej jak stamtąd później wrócić, ale i tak byłam gotowa zaryzykować.

– Właściwie nie mogę ci odmówić, powinnam odwdzięczyć się za twoją pomoc z czasów śniegu...

Na szczęście zmienił zdanie.

– Jeśli o to chodzi, to w rewanżu za tamto pozwól się po prostu zaprosić na dobre wino. – Patrzył wprost na mnie, a jego wzrok był mieszkanką pewności siebie, obietnicy i zainteresowania. Może było w nim też wyzwanie?

– Chętnie. Kiedy?

– Niestety najwcześniej dopiero w środę. I niestety o tak samo późnej porze jak dziś. Za to z ogromną przyjemnością. – Pora była doskonała, i to wcale nie tylko ze względu na to, że cały tydzień pracowałam wieczorami.

– Świetnie. W takim razie do środy – powiedziałam, zatrzymując za sobą drzwi samochodu.

Noc była piękna i ciepła, a ja pełna emocji i na nowo rozbudzonych nadziei. Zimne białe wino na balkonie smakowało lepiej niż kiedykolwiek – wyczułam w nim zapowiedź słodyczy i wyrazistości, które już niedługo miały stać się moim udziałem.

Aleksander, jak się okazało, nie był pozbawiony zmysłu praktycznego. „Co zrobisz z samochodem?” – przeczytałam na ekranie telefonu. „Porzucę” – odpisałam. – „Lubię swój samochód, ale nie jestem do niego przesadnie przywiązana”. „Już Cię uwielbiam” – odpisał, a to, jak na deklarację rozpoczynającą naszą znajomość, wydało mi się nader obiecujące.

*

– Co tam, Tomek? – Szefowa podniosła głowę znad sterty dokumentów. W jej przestronnym gabinecie zapach tytoniu był równie wszechobecny jak jednostajny szmer kilku telewizorów nastawionych na wszystkie kanały informacyjne. Cóż, trzeba na bieżąco śledzić konkurencję, a to bywa stresujące.

– Jest taka sprawa, że nie ma Rawskiego. – Jako doświadczony kierownik produkcji Migota postanowił przejść od razu do konkretów. Żadnego owijania w bawełnę, trzeba działać.

– No wiem. Blajer się tłumaczył. Poza tym musiałam przecież odebrać telefon od dyrektora i wysłuchać litanii pretensji. To naprawdę skandal, że nie przyszedł wczoraj do roboty.

– Skandal albo i coś gorszego.

W oczach Anny Ślęzak, szefowej Kanału Szóstego, pojawił się cień obawy. Ale doprawiony małym błyskiem zainteresowania.

– To znaczy? – Nie tylko Migota cenił konkret.

– Znaczy, że chyba zniknął. – To nie był chyba najtrafniejszy dobór słów, zważywszy na minę, jaka pojawiła się na twarzy jego rozmówczynie.

– Jak to zniknął? Co ty mi tu, Migota, opowiadasz? UFO go porwało czy co? – Szefowa nie była kobietą, która ma w swoim repertuarze niedopowiedzenia.

– No bo nie ma go do tej pory...

– Tak... właśnie się dziwiłam, że nie przyszedł przeproszać – przerwała mu, ale tylko na chwilę.

– Nie ma go do tej pory, jest tylko jego telefon i właśnie rozmawiałem z jego żoną...

– Żartujesz. Jego telefon był tu cały czas? – Opowieść Migoty zaczynała chyba wreszcie wywierać na szefowej jakieś wrażenie.

– No tak, od czwartku wieczorem. Dzwonił i dzwonił, więc wreszcie odebrałem. To była jego żona. Ona też nie ma pojęcia, gdzie on się podziewa. Zamierza przyjechać tu do nas. – Był bardzo zadowolony, że udało mu się podać wszystkie te szczegóły za jednym zamachem. I nawet uniknąć przy tym spekulacji.

– Ha! Aż tak? Przyjechać do nas? No dobrze, skoro musi... Chociaż spodziewałabym się, że jest bardziej przyzwyczajona do takich numerów z jego strony.

Anna Ślęzak była jedną z nielicznych kobiet, którym udało się osiąść wysokie stanowisko w Twoich Mediach – kombinacie medialnym, do którego należał Kanał Szósty. Na razie kierowała tylko redakcją, ale fotel dyrektorski wydawał się być w jej dalszych planach. A także w jej zasięgu, co stanowiło dobitny dowód na to, że znajomość ludzkiej natury – i czynienie z tej znajomości odpowiedniego użytku – nie było jej obce. Nie gardziła plotkami, ale ufała przede wszystkim swojej własnej obserwacji. Intuicji, jak mówili jej zwolennicy, albo uprzedzeniom, co podkreślali jej wrogowie.

– No nie wiem... ja jej nie znam. Ale robiła wrażenie naprawdę zaniepokojonej.

– I przyjeżdża?

– I przyjeżdża – potwierdził Migota.

– Cóż... miejmy nadzieję, że piękny pan prezenter znajdzie się do tego czasu. – Ślęzak sięgnęła do paczki papierosów. Nigdy nie uległa modzie nas delikatne slimy czy łagodne mentole, na palenie kobiece, aromatyczne i oszukańcze. Pełnowymiarowy, męski lucky strike wyglądał w jej palcach jak właściwy przedmiot na właściwym miejscu. – Nie chciałabym tu żadnej chryi. A już na pewno nie z niewiernym, pijanym małżonkiem w roli głównej.

Migota nigdy nie sądził, że aż tak jednoznacznie oceniała Rawskiego. A Anna Ślęzak była kobietą, z której ocenami należało się liczyć.

– Tomek? – zawołała za nim, kiedy już prawie zamykał drzwi z drugiej strony. – Poproś tu do mnie Koniuszek, jak tylko się pojawi, dobrze?

*

W środę długo wybierałam sukienkę. Czerwona, niezawodnie przyciągająca spojrzenia, czy może kusząco krótka niebieska? Wreszcie zdecydowałam, że czarna ze sporym dekoltem będzie w sam raz. Pończochy, szpilki, makijaż – to było jak rytuał poprzedzający święto, jak tradycyjny obrzęd, mający zapewnić pomyślność, jak magiczna formuła przejścia od tego, co zwyczajne, do niecodziennych doznań. Zestaw dobrze znanych, uspokajających gestów, kobiecego ceremoniału kolorowania, wygładzania, cieniowania. Tym razem z myślą o konkretnym adresacie przekazu – absolutnie czytelnego przekazu czerwonych ust, krótkiej sukienki, obcasów tak wysokich i cienkich, że aż nogi drżą w kostkach.

Myślałam o nim, kiedy szłam do pracy, a głowy mężczyzn odwracały się za mną na ulicy, myślałam o nim, kiedy czułam na sobie dziesiątki spojrzeń, myślałam o nim, kiedy odliczałam godziny pozostałe do końca dyżuru. A te dłużyły się niemiłosiernie, zwłaszcza że oczekiwania nie skracała mi żadna wiadomość od Aleksandra. Widziałam go w firmie, choć nie prowadził tego dnia „Przeglądu”, a tylko „Arenę” – wieczorny program publicystyczny. Widziałam go na ekranie, kiedy przez godzinę cytowałam przekrzykujących się gości zaproszonych do studia. Widziałam go, gdy wychodził o dwudziestej pierwszej – po to, by jak miałam nadzieję – wrócić po mnie za dwie godziny. Mimo wszystko już wtedy

czułam, że coś jednak jest nie tak. Mocno nie tak. Zupełnie nie tak.

Kiedy skończył się „Przegląd Dnia” – ostatni program, dziś nie z Aleksandrem, ale z jego zmiennikiem – wiedziałam już, że nie będzie ani wina, ani spotkania, ani żadnej z tych wszystkich rzeczy, na które miałam nadzieję. Nie było ani Aleksandra, ani nawet wiadomości od niego – żadnego wytłumaczenia, żadnych wymówek, żadnych usprawiedliwień. Po prostu nie przyszedł na randkę, którą sam zaproponował, i nawet nie był w stanie wcześniej jej odwołać. Jakoś, jakkolwiek, byleby tylko nie zostawiać mnie z tym nieznośnym poczuciem absolutnego lekceważenia. Kiedy wyszłam w ciepłą, majową noc – w noc, w której nikt na mnie nie czekał – czułam się tak zbędna jak mój dzisiejszy makijaż, tak porzucona jak sukienka, którą uznałam za niewystarczająco dobrą na dziś, tak dalece nic nieznacząca jak zapomniana puderniczka. Po dzisiejszym wieczorze spodziewałam się wszystkiego, ale akurat nie tego. Nie goryczy tak bolesnego poczucia nieważności. Byłam dla niego aż tak dalece nieistotna, że zapomniał o umówionym spotkaniu? Czy może jeszcze mniej znacząca – tak zupełnie nieważna, że mógł po prostu nie przyjść, pamiętając, ale nie uważając za stosowne tłumaczyć mi się ze zmiany swoich planów? Którakolwiek z tych opcji była prawdziwa – obie bolały.

Zawsze wierzyłam w znaczenie słów, w ich moc i potęgę. Skoro powiedział, stworzył rzeczywistość, a nie można uznać za niebyłe czegoś, co zostało stworzone. Stworzył moje nadzieje, emocje i iskry w moich oczach, a teraz uważał, że po prostu zgasną, że rozwieją się z wiatrem – tak jak jego słowa. Jeśli uważał, że tak można – był w błędzie.

„Nigdy więcej” – powiedziałam sobie, gasząc papierosa w popielniczce przed firmą i ruszając w samotny spacer do domu. Niezależnie od tego, jak wiele obiecywałam sobie po tej znajomości, czas o tym wszystkim zapomnieć. Raz na zawsze zapomnieć o Aleksandrze Rawskim i o fałszu jego słów.

– Joanna? Dopiero wracasz do domu? – usłyszałam głos Hanki, mojej najbliższej koleżanki z pracy, która właśnie wyłoniła się zza drzwi do firmy. Musiała trochę zamarudzić po wieczornym dyżurze. Kiedy zobaczyła moją twarz, nie czekała już na odpowiedź.

– Co się, kurwa, stało? – Rozczarowanie, które zobaczyła w moich oczach, musiało być naprawdę wyraźne. Porażająco wyraźne. – Ktoś ci coś zrobił?

– Tak. Obawiam się, że tak. – I opowiedziałam jej wszystko o obróconych wniwecz wielkich nadziejach i o bólu zawiedzionych oczekiwań. O słodczy budzącego się pożądania i o odrzuceniu gorzkim jak piołun. O słowach, które miały być początkiem, a stały się końcem.

– To nic niewarty drań. Właściwie dobrze, że się tak stało: od razu pokazał swoją prawdziwą twarz. – Hanka, rodowita warszawianka z Pragi, była wcieleniem zdrowego rozsądku i trzeźwego podejścia do życia. Nigdy się nie zdarzyło, by Hanka Chaberek nie nazwała czegoś, lub kogoś, po imieniu. – Głupi chuj z niego, spójrz prawdzie w oczy. Przynajmniej od razu to wiesz. Gdybyś dowiedziała się o tym później, bolałoby jeszcze bardziej. – Jej słowom nie sposób było odmówić logiki. – Po ostatnich przejściach zasługujesz na kogoś porządnego. Albo chociaż na porządną rozrywkę.

Hanka mówiła o mojej zeszłorocznej decyzji: nieprzespane noce, zerwane zaręczyny, odwołany ślub. Zrobiłam to w ostatnim możliwym momencie, który pozwalał uniknąć tragifarsy w postaci ucieczki sprzed ołtarza czy raczej, gwoli ścisłości, z urzędu stanu cywilnego. Nie chodziło o to, że tamten mężczyzna był zły. Po prostu letniość temperatury tego związku była nie do zniesienia już w narzeczeństwie, jakież więc mogło być małżeństwo? Nigdy nie żałowałam swojej decyzji, chociaż niewykluczone, że wpłynęła ona na to, jacy mężczyźni – z Aleksandrem Rawskim na czele – znaleźli się w kręgu moich zainteresowań. Może płaciłam właśnie cenę za rezygnację z łagodnej czułości, stuprocentowej przewidywalności i bezbrzeżnej nudy? Porażająco konkretna konkluzja Hanki wyrwała mnie z tych rozważań.

– Tak czy inaczej, zapomnij o tym całym Rawskim, to jakaś pomyłka.

– Postaram się. Postaram się, obiecuję. – Zabrzmiało to raczej niepewnie. Tak jakbym już wtedy wiedziała, jak bardzo będzie to trudne.

*

Rawska do nas jedzie. Niosło się po firmie coraz głośniejsze i śmiejsze. Mówiło się o tym w bufecie, szeptało w palarni, słyszało się tę wieść na korytarzach. Rawska do nas jedzie – prawie jak „jedzie do nas rewizor”. A może nawet lepiej, bo nie o kontrolę, ale o zagadkę chodziło. Zagadkę z nieuchronnym posmakiem sensacji. Na prawie dwie setki ludzi pracujących dla Kanału Szóstego ponad połowa była dziennikarzami. A ci są jak posokowcy – gdy zwietrzą sensację, nic ich nie zatrzyma. W tym przypadku nie dało się już uspokoić fali plotek, lawiny ekscytacji, bezmiaru poruszenia.

– Rawska do nas jedzie. No nieźle, naprawdę nieźle.

– Ciekawe, gdzie jest Aleksander.

– Może szlag go trafił.

– No co ty, diabli swego nie biorą. Pewnie gdzieś pije.

– Kurwa, ale się narobiło.

Wąskie i ciemne korytarze huczały od domniemań, przypuszczeń, spekulacji. Kanał Szósty mieścił się na całości pierwszego i połowie drugiego piętra w starym, ponurym budynku w centrum miasta. Pozostałe z pięciu kondygnacji zajmowały inne kanały i redakcje należące do Twoich Mediów – potężnego telewizyjnego konglomeratu. Wieści rozchodziły się więc lotem błyskawicy: zahaczały o kolejne piętra, omiatały coraz to nowe redakcje, niosły się po pokojach i pomieszczeniach technicznych. Zwłaszcza że Tomasz Migota – jak na dobrego kierownika produkcji przystało – nie zachowywał informacji dla siebie. W sobotnie przedpołudnie cała stacja żyła już tylko zaginięciem Rawskiego. Byli tacy, których przyjazd żony prezentera frapował dużo bardziej niż sama jego nieobecność.

– Ktoś ją w ogóle kiedyś widział? – zapytała Emilia, jedna z czołowych wydawców Kanału Szóstego. Stała w zakładowej palarni z sekretarką szefowej. Szklane ściany głużyły ich rozmowę, a sinawy dym spowijał słowa.

– Zdaje się, że nikt nigdy. W ogóle nikt nic o niej nie wie. – Żona Rawskiego spędzała życie w Opolu, z daleka od telewizji, a jej mąż nie był typem, który trzyma zdjęcie małżonki w portfelu. A tym bardziej opowiada o niej współpracownikom.

– Nie ukrywam, że chętnie ją obejrzę. Chociaż na pewno nie będzie w formie. Współczuję jej – dodała po chwili, chociaż i tak wiedziała, która część jej wypowiedzi jest tą istotną. Sekretarka szefowej też nie miała wątpliwości.

– Odwoziłaś go w czwartek po programie?

Oczy Emilii zrobiły się wielkie i okrągłe. Prawie takie, jakie miała, gdy była młoda. Nie przypuszczała, że nawet sekretarka spędzająca dni w dusznym przedsiionku gabinetu wie tyle o jej zwyczajach. Niestety, były to zwyczaje dające doskonały asumpt do plotek – zdarzało się bowiem, że po zakończeniu wieczornego programu Aleksander Rawski wsiadał do taksówki razem z Emilią Miłkowską.

Ale nie tamtym razem.

– Żartujesz? Przecież ja miałam w czwartek wolne, „Przeгляд” wydawał Jerzy.

– Ach... – sekretarce nie udało się ukryć rozczarowania. Słyszała wprawdzie coś niecoś, że wspólne odjazdy Miłkowskiej i Rawskiego przed firmą służą tylko odwożeniu tego ostatniego na dworzec autobusowy, skąd podróżował do Opolu, ale i tak była zawiedziona. Wyglądało na to, że Rawski zapadł się pod ziemię i nikt nie wie, w którym miejscu ta ziemia mogła się rozstać.

*

To był jeden z tych długich, zimowych wieczorów w pracy. Serwisy ciągnące się daleko w noc,

Aleksander Rawski w studiu i Joanna Madecka tuż za moimi plecami. Nie znałem jej, dopóki nie zaczęła przychodzić tu do nas, do reżyserki. Redakcja oddelegowała ją do niewdzięcznego i wymagającego zadania pisania nagłówków, sprawdzania wizytówek, uważnego słuchania i redagowania cytatów. To wymagało absolutnej koncentracji, a jej udawała się ta sztuka mimo całego hałasu i rozedrgania reżyserki. Rzecz jasna widywałem ją wcześniej na korytarzach – takiej kobiety nie dało się przeoczyć, ale jakoś nigdy nie zdarzyła się nam okazja do rozmowy. Może działała stara zasada, która nam, pracownikom technicznym, kazała mimo wszystkich uśmiechów i kurtuazyjnych „dzień dobry” trzymać się z dala od dziennikarzy. A może nigdy nie miałem śmiałości, by ją zaczepić? Albo po prostu nie interesowała mnie, dopóki nie zacząłem codziennie jej widywać? Dopóki nie zacząłem codziennie patrzeć na jej skupioną twarz, na palce biegające po klawiaturze, na usta zawsze pociągnięte czerwoną szminką.

Na początku łatwo można było popełnić błąd – wygodna oczywistość tego, co powierzchowne, pozwalała automatycznie zaklasyfikować ją do grupy laleczek. Zawsze elegancko ubrana, zawsze na szpilkach, zawsze świadoma urody swoich nóg. Jednak mimo całego tego entourage’u czerwonych paznokci, krótkich sukienek i starannego makijażu było w niej coś, co nie pozwalało na prostą redukcję. Coś, co opierało się uproszczeniom i wychodziło poza ramki. Coś, co nie dawało spokoju. Na początku niewiele miałem z nią wspólnego. Mówiłem „zabierz napis” albo „teraz możesz podpisać gościa”, czasem nawet nie odwracając się do niej – nic nieznaczące, czysto profesjonalne kwestie. Rzecz jasna, to wydawca był jej przełożonym, ale ode mnie zależał ostateczny kształt obrazka, który widzowie oglądali w swoich telewizorach, musiałem więc czasem ograniczać ją w jej zapędach mnożenia napisów. Wizualna czystość, harmonia obrazu, przemyślana całość, którą czasami musiałem pozwolić jej psuć – telewizja informacyjna ma przecież swoje wymogi; krzyczące napisy są jednym z nich. Choć – muszę przyznać – akurat jej napisy nie wszystkie krzyczały, a niektóre wręcz intrygowały. Może nawet budziły ciekawość, ciekawość autorki. Pewnego dnia zacząłem przyglądać się Joannie Madeckiej. I dostrzegać coraz więcej szczegółów – zaszyfrowanych w gestach, ukrytych w uśmiechach, schowanych gdzieś pod rzęsami. Nawet jeśli była laleczką – jej porcelanowa cera i drobne rozmiary czyniły takie porównanie uprawnionym – to na pewno nie lalunią. Nie umiałem nazwać tego, co czyniło ją interesującą. Może sposób, w jaki mówiła, a może fakt, że nie mówiła wiele; nie była jedną z tych kobiet, które szczebiocą, gaworzą i rzucają słowa na wiatr. Była za to jedną z tych, których bardzo chce się dotknąć; miała w sobie nieustające napięcie, tajemniczy prąd, jakiś płomień, który tlił się cały czas i kusił nieodparcie. Byłem pewien, że jeśli dotknę jej skóry, oparzę się, a co najmniej poczuję gorąco. Im dłuższe były mroźne wieczory, tym wyraźniej wyobrażałem sobie, jak to robię.

Któregoś dnia zacząłem z nią rozmawiać o pogodzie i pracy, następnego poszedłem z nią na papierosa, jeszcze innego odśnieżyłem jej samochód. Spojrzała wtedy na mnie, jakbym zrobił coś naprawdę wielkiego. Wówczas już coraz bardziej chciałem się przekonać, jaką temperaturę ma w rzeczywistości jej skóra. Chciałem wyczuć źródło jej napięcia, pogłaskać je palcami, złagodzić. Wyglądała, jakby tego właśnie było jej trzeba, choć może sama nie do końca zdawała sobie z tego sprawę. Nie wiedziałem o niej wiele aż do pewnego wieczoru w środku stycznia. Wówczas dowiedziałem się o tym, co najważniejsze. Dowiedziałem się, jak kobieta może patrzeć na mężczyznę. Śnieg uderzający w okna, dziesiątki światełek migoczących na konsolce i pełne skupienie podczas programu na żywo. Zamiast pisać swoje bon moty i błyskotliwe nagłówki, Joanna patrzyła na niego. Patrzyła na Aleksandra Rawskiego prowadzącego z Izabelą Kalicką „Przegląd Dnia”, miała go cyfrowego i zmnożonego na dziesiątkach ekranów w reżyserce. Patrzyła tak, że bolało. Mnie, ją, Bóg wie kogo jeszcze. Napięcie nie było już częścią jej, ona cała była napięciem. Mały płomień stał się ogniem; nie takim, który ogrzewa, tylko takim, który spopiela. Była jak struna naciągnięta do granic; jeden

nieostrożny ruch – i pęknie. Jestem mężczyzną, więc impuls pragnienia był niekontrolowany, chciałem, aby to na mnie tak patrzyła. Ale to był tylko moment, chwila słabości, jedno mgnienie. Zbyt wiele ją to kosztowało, bym mógł chcieć czegoś takiego dla siebie. Mnie chodziło o coś innego – chciałem uspokoić jej puls niezdrowy i stanowczo za szybki, chciałem wejść do środka i popłynąć z jej krwią wzburzoną i gorącą. Chciałem ugasić, złagodzić, ukoić. To była kobieta, którą mogłem się zaopiekować. Kobieta, która źle wybiera mężczyzn i woła o ulgę w gorączce. Kobieta, która mnie potrzebuje.

Odtąd to ja zacząłem patrzeć na nią. W przerwach między serwisami, podczas serwisów, gdy tylko mogłem oderwać się od konsoly, w każdej chwili. A później już nie mogłem przestać. Niepostrzeżone momenty, które przesądzają o wszystkim, decydujące chwile, które mijają tak naturalnie, że nawet nie potrafimy ich wskazać. Sam nie wiedziałem, jak to wszystko się stało. Jak stało się tak bardzo i tak dalece. Jak stało się aż tak. Nie wiedziałem, od kiedy nie mogłem skupić się na pracy, czekając tylko na jej przyjście. Od kiedy zacząłem tropić tajemnice na dnie jej oczu w kolorze gorzkiej czekolady. Od kiedy zaczęła mi się śnić.

*

Lato minęło pod znakiem unikania Aleksandra. Ciepłe wieczory, sukienki na ramiączkach, bose stopy w sandałach na szpilce płynnie przeszły w chłodne zimy, skórzane kurtki i jesienne sweterki. Przeszły bez niego. Jakoś udawało mi się nie zwracać na niego uwagi, nie interpretować jego spojrzeń, nie mijać się z nim w ciemnym, wąskim korytarzu. Czasem tylko, zupełnie bez ostrzeżenia, nadpływał żal – jak fala, która unosiła ze sobą kolory i zabierała blask. W takich chwilach widziałam to wszystko, co mogło być, a nigdy nie było. To, co nigdy nie było, choć mogło być wszystkim.

– Słyszałaś o najszlachetniejszym ostatnio firmowym romansie? – spytała mnie Hanka, gdy któregoś dnia kupowałyśmy razem kawę w podziemnych czeluściach zakładowego bufetu.

– Nie. A powinnam?

– Chyba tak. – Już wiedziałam, co usłyszę.

– Z kim? – Zapytałam tylko.

– Z kimś, kto jest dowodem na to, jak mało jest wybredny. Z Paulinką.

Tego akurat się nie spodziewałam. Paulinka Koniuszek – młoda, ładna, tandetna jak różowe boa z piór. Wybuchowa mieszanka nadużywanych wulgaryzmów, dużych piersi i skłonności do łatwych wzruszeń. Dziewczyna, która intrygowała swoją urodą dopóty, dopóki nie otworzyła ust. Frenetycznie rozedrgana histeryczka ze skłonnością do ataków płaczu i nader szybkich pocieszeń w męskich ramionach. Czyichkolwiek męskich ramionach. To nie był wybór, którego spodziewałam się akurat po Rawskim. Mimo to jednak od tamtej pory nie mogłam już odegnąć od siebie wizji Aleksandra i Paulinki. Razem. Ich obraz przykleił się do mnie i nie chciał mnie opuścić – jak jedna z tych uciążliwych melodyjek, które raz zasłyszane lubią pozostać w głowie i prześladować człowieka swoim opętającym rytmem.

Myślałam, że to najgorsze, co spotkało mnie tamtego chłodnego i deszczowego września. Tymczasem czekało mnie coś jeszcze. Zawsze wiedziałam, że jestem słabym kierowcą, ale nie sądziłam, że moja jazda samochodem będzie miała aż tak nieszczęśliwy – a jednocześnie spektakularny – finał. Wieczorny dyżur, deszcz zacinający od kilku godzin, kałuże głębokie jak małe jeziora. Wsiadłam do samochodu – wszystko było zapłakane deszczem, strugi wody płynęły po szybach, nic sobie nie robiąc z daremnych wysiłków wycieraczek. Kątem oka, przez którąś z kropli, dostrzegłam rozmazany obraz wychodzącego z pracy Aleksandra. Chciałam odjechać jak najszybciej. Kilka metrów na parkingu przed firmą, kawałek jazdy pod prąd i ostry zakręt, tak by oszczędzić sobie uciążliwych objazdów. A później już prosta droga do domu – bylebym zdążyła odjechać, zanim do skrzyżowania zbliży się Aleksander, bylebym nie musiała patrzeć, w którą stronę idzie, bylebym nie musiała wiedzieć – wiedzieć na pewno – że idzie do Paulinki.

Już kiedy ruszyłam, czułam, że robię to za szybko. Zbyt ostry skręt kierownicy, za dużo gazu, rozbryzg wody z kałuży i poślizg. Wiedziałam, że to się źle skończy, ale już w żaden sposób nie mogłam temu zapobiec. Nie potrafiłam zapanować nad autem, które zniosło nagle w zupełnie odwrotną stronę niż ta, w którą chciałam jechać. Hamulec nie działał, wszystko wydarzyło się zbyt szybko, zatrzymała mnie dopiero solidna, betonowa ściana. Ściana firmy. Huk oderwał nocnych montażystów od mozołu komputerowego sklejanego klatek filmowych i kazał im podejść do okien. Czułam, jak moja głowa niepowstrzymanie leci do przodu, a czoło uderza w kierownicę. Potem już cisza.

Przypominało to scenę z filmu, kiedy Aleksander otworzył drzwi od mojej strony.

– Nic ci się nie stało? – zapytał.

– Nie, chyba nic – zapewniłam go, a po chwili wiedziałam już, że było to mniej więcej zgodne z prawdą. Rzecz jasna, o ile uznać, że szok i kompletna dezorientacja to również nic.

Co za koszmarny pech sprawił, że musiałam zrobić coś takiego akurat na jego oczach?! Cisza była nieznośna – tym wyraźniej było w niej słyhać złowrogie posykiwanie pogiętych przewodów wyglądających spod rozłuczonej maski mojego samochodu. Cały przód zamienił się w kłębowisko pogiętej blachy i wystających części sterczących pod mniej lub bardziej dziwnym kątem. Mimo to udało mi się odpalić silnik i bardzo powoli, w towarzystwie dziwnych charkotów i postukiwań, przetoczyć się na drugą stronę chodnika – tam, gdzie mój nieszczęsny rozbity samochód mógł czekać do rana na litościwe przybycie mechanika.

Kiedy Aleksander otworzył drzwi mojego auta, przypominało to scenę z filmu. Ale gdyby to był film, bohater nie powinien podczas kulminacyjnego momentu pokrzykiwać do telefonu:

– Ty wiesz, co się stało? Joanna wpierdoliła się na ścianę firmy. Nie mam pojęcia, jak to zrobiła, ale rozpieprzyła się kompletnie. Co? Nie, nic jej się nie stało. Chyba. Tak, akurat wtedy, gdy szedłem. Mówię ci, miała największe oczy, jakie w życiu widziałem.

Wzięłam trzy głębokie oddechy, zanim wysiadłam z samochodu, a raczej z tego, co z niego zostało. Wydawało mi się, że wszystko jest w porządku, że już dobrze, że najgorsze minęło, ale mimo to ledwie stałam na nogach. Ruchy miałam wolniejsze niż zawsze, kiedy chwiejnym krokiem obchodziłam auto dookoła, by obejrzeć rozmiar zniszczeń, zabrać torebkę, przekręcić kluczyk w drzwiach. Pomyślałam, że droga do domu – w deszczu i na nogach jak z waty – nie będzie łatwa. Miałam nadzieję, że Aleksander zapyta, czy mnie odprowadzić. I nawet nie chodziło o to, że to był on i ja, tylko po prostu o sytuację. On tymczasem nie zapytał nawet, jak się czuję. Ani co zamierzam teraz zrobić. Ani nawet czy chcę papierosa. Nie zapytał o to – ani o żadną z setki innych rzeczy, o którą mógłby w tamtej chwili zapytać – bo po prostu już go tam nie było.

*

Ściszenie radia – to było pierwsza rzecz, jaką sekretarka Anny Ślęzak zrobiła po powrocie z palarni. W gabinecie szefowej siedziała Paulinka Koniuszek; wprawdzie ściany były grube i niewiele można było przez nie usłyszeć, ale kiedy stanęło się tuż przy drzwiach... Sekretarka nie chciała uronić ani jednego słówka.

– Posłuchaj, Paulinka – głos szefowej brzmiał stanowczo i zdecydowanie. Tak jakby doskonale wiedziała, co chce powiedzieć młodej pracownicy. I że zamierza to powiedzieć, niezależnie od protestów, uwag i oporu, jaki jej słowa mogą napotkać. – Jak zapewne już słyszałaś, przyjeżdża do nas żona Rawskiego. – Anna Ślęzak wiedziała aż za dobrze, że zachować cokolwiek w sekrecie jest w tej firmie prawie niemożliwe. – Pojawi się lada chwila, jak sądzę. Ciebie ma tutaj wtedy nie być. Czy to jasne?

– Ale...

– Żadnego ale. Ma cię tu nie być i już.

– Ale ja jestem dziś asystentem wydawcy... – Asystent wydawcy, choć brzmiał dość szumnie, zajmował się najmniej twórczą bieżącą pracą: wycinaniem kilku zdań z przydługich wypowiedzi polityków, montowaniem obrazków, słuchaniem konferencji prasowych. – Jak mogę tak po prostu wyjść z pracy?

– Tym to się akurat najmniej powinnaś martwić. Na dyżurze jest was czwórka, wydawca da sobie radę bez ciebie, ręczę ci. – Szefowa uśmiechnęła się na poły złośliwie, a na poły pobłaźliwie. Paulinka Koniuszek miała problem z określeniem tych proporcji. Miała też problem ze słowami.

– Sama chyba rozumiesz, że spotkanie z Rawską to nie jest coś, o co powinnaś w swojej sytuacji zabiegać. Drugi raz ratowanie twojego tyłka może mi nie pójść tak łatwo. Nie chcę cię tu widzieć, kiedy ona przyjedzie, jasne?

– Jasne. – Anna Ślęzak nie przyjmowała Paulinki Koniuszek do pracy. Robił to poprzedni kierownik, z racji płci, a może po prostu upodobał, dużo bardziej czuły na walory jej dużych oczu i jeszcze większego biustu. Ale to Ślęzak mogła ją zwolnić. I raz już mało brakowało, by to uczyniła.

– Dobra, zabieraj się stąd. – Palce przebierające w paczce papierosów na chwilę znieruchomiały. – I jeszcze jedno. – Anna Ślęzak spojrzała wprost w rozbiegane oczy swojej młodej rozmówczyni. – Jeśli wiesz, gdzie podziewa się Rawski, to lepiej mi o tym powiedz.

– Nie wiem! Nie mam pojęcia! Od ponad miesiąca zupełnie nic o nim nie wiem! – Koniuszek pochyliła się cała do przodu, jej ręce zacisnęły się w pięści, w zieleni oczu błysnęło coś bardzo wyraźnie. To mogło być oburzenie, to mogła być wściekłość. A może nawet desperacja? Ten wybuch sprawiał wrażenie autentycznego. Jednak nie na tyle, by całkowicie przekonać kogoś tak doświadczonego na różnych życiowych poletkach jak Ślęzak.

– Ty i Rawski dość już nawywijaliście. Jeśli siedzi u ciebie w mieszkaniu i trzeźwieje, to lepiej, żeby się tu pojawił, zanim przyjedzie jego żona. Lepiej dla wszystkich, a w szczególności dla ciebie.

– Nie ma go u mnie w mieszkaniu. – Zniknęły zacisnięte pięści, zostały dłonie oparte całą powierzchnią na poręczach krzesła. Niezbyt zadbane dłonie ze sterczącymi skórkami i pobielającymi paznokciami. – Może mi pani wierzyć albo nie, ale to prawda.

Ślęzak była zaskoczona. Nie spodziewała się, że w głosie Koniuszek usłyszy tyle godności. Niestety, nie miała czasu głębiej się nad tym zastanowić, bo jej wzrok przykuł jaskrawy kolor pilnej informacji u konkurencji. „Makabryczne znalezisko – ludzka noga w stołecznym Parku Skaryszewskim”.

– Kurwa, dlaczego my nic o tym nie wiemy? – Wycelowała pilotem w telewizor, aby zrobić głośniejsze. – Ja się tu zajmuję jakimiś pierdołami, a konkurencja ma takie newsy!

Nieco pobladła prezenterka stacji rywalizującej z Kanałem Szóstym starała się swoją beznamietnością choć trochę złagodzić sensacyjny wymiar wiadomości.

– Podczas spaceru w Parku Skaryszewskim pani Halina zobaczyła wypchaną reklamówkę wystającą z kosza na śmieci. Nieforemny pakunek zwrócił jej uwagę.

Jak zwykle jakaś nadgorliwa emerytka – pomyślała Ślęzak, patrząc na babcię z trwałą à la baranek. Kobieta wykrzykiwała właśnie na antenie konkurencji: „Pani, ale żem się przestraszyła!”.

– Przeżyła szok, kiedy okazało się, że w plastikowej torbie znajduje się zgięta w kolanie ludzka noga. „Patrzę ja, otwieram tę siatkę, a tam stopa wystaje. Normalnie jak żywa, z paznokciami takimi sinymi już trochę!” – babcia przed kamerą była w swoim żywiole.

– Policja odmawia na razie komentarza w tej sprawie, ale w dalszej części programu będziemy próbowali połączyć się z komisarzem Baniakiem z biura prasowego stołecznej policji. Informację o tym makabrycznym zdarzeniu otrzymaliśmy na naszą platformę do kontaktu z widzami.

Nie dość, że nadgorliwa emerytka, to jeszcze wydzwania do konkurencji – pomyślała Ślęzak. Zaraz, a może do nas też zadzwoniła, a ktoś to zbagatelizował? I znów jesteśmy w tyle za Network TV. Szlag by

to trafił! Anna Ślęzak wiedziała, że nic nie przyciąga ludzi przed telewizory tak jak sensacja. Najlepiej z odrobiną makabreski. Podniosła się zza biurka, by pójść do newsroomu i znaleźć tego, kto odpowiadał dziś za odbieranie połączeń od widzów. Już ja mu, kurwa, pokażę – pomyślała. Cała historia z Rawskim była ostatnią rzeczą, o której w tej chwili pamiętała, ale nagle zobaczyła, że Paulinka Koniuszek wciąż jeszcze jest w jej gabinecie. Tuż przy drzwiach, z ręką na klamce, w kolorze ściany.

– Paulinka, co z tobą? – Ślęzak przeraziła się nie na żarty, kiedy biel twarzy dziewczyny zaczęła przechodzić w zieleń, a zieleń w fiolet. – Dobrze się czujesz?

– Nie!

Sekretarka podsłuchująca po drugiej stronie zdołała odskoczyć w ostatniej chwili. Impet, z jakim Paulinka popchnęła drzwi i wypadła z gabinetu, podniósł kartki na biurku i poruszył firanki. Kurczowo przyciskała dłoń do ust, na wypadek gdyby jednak nie udało jej się zdążyć do toalety.

– Jezu, nie sądziłam, że jest aż tak wrażliwa. Ostatecznie przecież nie pracuje tu od wczoraj – Ślęzak pokręciła głową z niedowierzaniem. Sekretarka była wdzięczna Paulince, że jej sensacyjne zachowanie odwróciło uwagę szefowej od tego, kto stał pod drzwiami, choć wcale nie powinien. Tymczasem Paulince Koniuszek udało się dobiec do łazienki; wymiotowała jeszcze długo po tym, jak szefowa znalazła redaktora odpowiedzialnego za kontakt z widzami i potrafiła mu wynagrodzenie za to, że zlekceważył telefon od pani Haliny.

– No dzwoniła, dzwoniła, ale... Noga w śmietniku, w parku?! Litości, pomyślałem, że babcia coś pieprzy. Takie rzeczy się przecież nie zdarzają. – Jego nieudolne tłumaczenia tylko dodatkowo zdenerwowały szefową.

– Jak widzisz, się, kurwa, zdarzają. I mówi o tym konkurencja, a nie my. Dzwon na policję i coś od nich wyduś, ale już!

Anna Ślęzak pracowała w Kanale Szóstym dopiero od kilku miesięcy. Już miała dość.

*

Aleksander miał mój numer telefonu, ale ani w noc mojego wypadku, ani następnego dnia, ani nigdy później nie zrobił z niego użytku, by zapytać, jak sobie radzę. Nie dość, że tak po prostu mnie tam zostawił – roztrzęsioną i samą w środku deszczowej nocy – to na dodatek moje samopoczucie nie interesowało go ani trochę. Chyba że pytał o nie w pracy. Wtedy robił to głośno, wyraźnie i wcale nie licząc na odpowiedź, ale za to tak, by wszyscy słyszeli. Wieści o moim nieszczęsnym bliskim spotkaniu ze ścianą firmy rozeszły się bowiem bardzo szybko. Przy jego wydatnym udziale, jak sądzę.

– Przecież to paranoja. – Mówiła Hanka, a w jej głosie tym razem pobrzmiwały tony autentycznej złości. – Facet opowiedział wszystkim, co zrobiłaś, a to, czy nic ci się nie stało, w ogóle go nie obchodzi. Za to gdy ma wystarczające audytorium, o tak, wtedy go to interesuje. Nawet bardzo. Ostatnio wpadł do gabinetu szefowej, by spytać ją, jak się czujesz. Patrzcie go, jaki to on troskliwy! Gdyby naprawdę chciał wiedzieć, pytałby ciebie, a nie szefową, to jest przecież, kurwa, oczywiste.

Byłam w stanie dużo znieść, ale tym razem nawet ja uważałam, że to przesada. Nie mogłam darować mu tej lodowatej obojętności, jaką okazał mi tamtej, naprawdę trudnej, nocy. I tych pytań o mnie, których cel – skądinąd ewidentny – nie miał zupełnie nic wspólnego ze mną. Już od wiosny wiedziałam, że Aleksander nie jest dla mnie – że muszę zapomnieć, że nic z tego, że nie warto. Teraz jednak moje przekonanie nabrało twardego waloru definitywności – nie chciałam mieć nic wspólnego z Aleksandrem Rawskim. Właściwie przestałam się do niego odzywać – nie było już spojrzeń przechwytywanych w locie, nie było mniej lub bardziej znaczących zerknięć, nie było dyskretnych uśmiechów. Kilka razy próbował mówić coś do mnie – ładne sukienki, piękne oczy, jakieś boleśnie typowe zaczepki, na które przestałam reagować. Widziałam, że nie jest z tego zadowolony, choć może nie chodziło wcale o mnie; to raczej nagła utrata zainteresowania mogła go zboleć. Należał do specyficznego gatunku mężczyzn

przyzwyczajonych do tego, że to oni mogą przestać zwracać uwagę na kobietę – nigdy zaś odwrotnie. Hanka przynosiła mi niespodziewane wieści, które tylko potwierdzały moje podejrzenia.

– Mówią, że wypytuje o ciebie. Różnych ludzi, Paulinkę też. Zobaczysz, niedługo będzie chciała się z tobą zaprzyjaźnić. Skoro z nim nie chcesz rozmawiać, myśli, że może przez nią uda mu się coś zdziałać.

Wiedziałam, że nie mogę na to pozwolić. Wierzyłam nie tylko w słowa, wierzyłam też w znaki. W kwestii Aleksandra bezsprzecznie dostawałam ich wiele, wręcz zastanawiająco wiele. Wszystkie mówiły to samo i składały się na jeden, nader spójny przekaz, którego zadaniem było utrzymać mnie od niego z daleka. Odczytanie znaków, które dostawałam, było dziecinnie proste – tym gorzej dla mnie. Nigdy później nie mogłam powiedzieć, że nie zostałam ostrzeżona. Tym razem – naprawdę i solennie – postanowiłam zrobić z tych ostrzeżeń użytek. Niestety, nie na zawsze.

*

Nie znałem rozkładu pracy dziennikarzy. Nie wiedziałem, kto kiedy dyżuruje, a kiedy ma wolne. Słowem, nigdy nie wiedziałem, kiedy przyjdzie ona, choć zawsze tylko na nią czekałem. Dziesiątego kwietnia też. Ważna data, trzecia rocznica, dużo pracy. Miałem tego dnia pierwszą zmianę, czyli od wschodu słońca do popołudnia. Zaczęli bladym świtem – składanie wieńców, egzekwie, obrządki cmentarne. W Kanale Szóstym pełna mobilizacja; od tygodnia wiadomo było, który wóz transmisyjny stoi przed jakim miejscem smoleńskiego kultu. Wysłano ekipy nawet do Rosji – Katyń, lotnisko Siewiernyj, brzoza. To tam miały się odbyć oficjalne obchody państwowe, kontrowane rzecz jasna przez „społecznych” wielbicieli teorii spiskowych i alternatywnych wersji historii, którzy na potrzeby swoich obrzędów postanowili sparaliżować Warszawę. Reporterzy w stosownej żałobie, zamówione w nadmiarze łącza satelitarne, wszystkie newralgiczne punkty miasta obstawione – byle tylko przypadkiem nie przeoczyć VIP-a przy grobie albo którejś z konkurencyjnych delegacji oficjalnych przed pomnikiem. Wyścig na wiązanki żałobne i wizyty na cmentarzu; kto uczci bardziej, lepiej i godniej. Przy okazji – kto poważniej się obrazi i bardziej sugestywnie swą obrazę uzasadni. Prezes PiS z pretorianami w szarych oparach świtu na Powązkach ustawił wszystko na określonym poziomie – na poziomie wysokiego C z lekkim fałszem. Później już nie sposób było zmienić tonacji ani nawet zejść z diapazonu, oficjalna rządowa delegacja wyglądała więc jak ubogi krewny. Zmarznięty premier w kłębach pary ulatującej z ust obwieścił, że składa kwiaty o poranku, by ruszyć w ogromnie ważną wizytę do Nigerii. Ucieczka z wygodnictwa, żalosna rejterada, a może zwykły zdrowy rozsądek. W każdym razie pole zostało oddane, a harcownicy wypuszczeni do boju nie zamierzali się zatrzymać. Najazd klubów „Gazety Polskiej”, przemarsze przez miasto, pielgrzymka pod samozwańcze sanktuarium Pałacu Prezydenckiego. Apogeum miało zostać osiągnięte wieczorem, kiedy mnie już tu nie będzie. Na szczęście nie będę musiał miksować obrazków falujących tłumów i płonących pochodni.

Przyszła akurat na finał w Smoleńsku. Składanie wieńców, asysta wojskowa, trzeci garnitur urzędników wśród szczerego pola scenerii nieszczęścia sprzed trzech lat. I ona. Nareszcie ona. To nie był poranny dyżur, ale wyglądała na zmęczoną. Bluzka zsuwająca się z ramienia, artystyczny nieład rozrzuconych włosów, głośne westchnienie – pozory nonszalancji miały ukryć złą kondycję. Niestety, bez skutku. Cienie pod jej oczami przebijały przez warstwę makijażu, w wygięciu ust było więcej ze smutku niż ze zmęczenia. Tym razem czerwona szminka nie pomogła. Jej twarz mówiła o nieprzespanej nocy, ale przyczyną braku snu zdawała się być raczej zgryzota niż ekstaza. Ciekawe, czy była z nim. Ciekawe, co on jej zrobił.

– Wiesz, że sporo cię czeka – powiedział do niej kolega, którego zmieniała. Kiwnęła głową ze zrozumieniem, ale i z rezygnacją. – I jak, udała się wczoraj impreza?

Czyżby ten facet wiedział o niej więcej niż ja? Może prosiła go, by został dziś na dyżurze chwilę dłużej, może uprzedzała, że się spóźni?

– Nieszczególnie.

Wiedziałem. Na pewno „impresa” oznaczała noc z Rawskim, a to przecież nie mogło się udać. On nie był mężczyzną dla niej. Co mógł jej dać z żoną ukrytą w innym mieście, ze swoją zszarganą reputacją, z historią dawnych romansów ciągnącą się za nim jak kula u nogi. „Bezwzględny gracz”, powiedział o nim Darek, mój przyjaciel ze studiów – jeden z prezenterów Kanału Szóstego, skądinąd ofiara intryg Rawskiego. Miał na myśli życie zawodowe, ale pewnie i w osobistym ta przybłęda z Opola nie postępowała inaczej. Arogant, egoista, megaloman. Czy możliwe, by Joanna tego nie dostrzegąca, by pomijała to, co oczywiste, by nie rozpoznawała tego, co widać? Nie wyglądała na kobietę, która nie zna się na ludziach, ale łudziłem się, że może jednak. Chociaż w głębi ducha przeczuwałem coś, co było jeszcze gorsze niż naiwność czy niewiedza; podejrzewałem, że ona dobrze wie, z kim ma do czynienia, a mimo to wciąż go chce. Tego bałem się najbardziej.

Była skupiona, aczkolwiek pisała z mniejszym polotem niż zwykle. Zresztą może to temat dnia nie pozwalał jej na rozwinięcie skrzydeł. Nie mogła przecież napisać o zawłaszczonym Krakowskim Przedmieściu, o żenującym poziomie występów na zaimprovizowanej scenie, o reaktywowanym fanatyzmie „obrońców krzyża”. Ale musiała być w tym wszystkim – na żywo, bez chwili przerwy, pośród przekazu z kilku kamer jednocześnie. Mnie było trochę łatwiej – realizatorów wizji zawsze jest na dyżurze dwóch, mogłem więc zrobić użytek z paru minut przerwy, kiedy to kolega przejął stery.

– Nie możesz stąd wyjść, więc pomyślałem o tobie.

Wyglądała na naprawdę wdzięczną, kiedy postawiłem przed nią kubek kawy. Czarnej z jedną łyżeczką cukru trzcinowego – przez te wszystkie dni zdążyłem zauważyć, że taką właśnie zawsze kupuje w bufecie.

– To bardzo miło z twojej strony. – Miała oczy mniejsze niż zwykle, ale tak samo lśniące. Dziś były w kolorze kasztanów.

Chciałem powiedzieć jej, że to tylko kawa, że to nic, że chciałbym dać jej o wiele więcej.

– Na zdrowie – powiedziałem.

Czułem jej wzrok na plecach, kiedy się odwróciłem, by podejść do konsoly. Był ciepły jak te kasztany na gorąco, które sprzedają z rusztu na ulicach francuskich miast.

– No dobrze, koniec z tym Krakowskim Przedmieściem. Przenosimy się do Sejmu. – Głos wydawcy zabrzmiał jak niemiły przerywnik w bardzo miłych rozmyślaniach. Nacisnąłem odpowiednie guziki na konsolecie.

– A teraz, proszę państwa, prezentacja wyników badań zespołu parlamentarnego do spraw wyjaśnienia przyczyn katastrofy smoleńskiej. – Na chwilę przemiksowałem na studio, by Alicja Mrozek, której przypadł wątpliwy zaszczyt prowadzenia rocznicowych serwisów, mogła zapowiedzieć zmianę scenografii. Jedna z większych sal w Sejmie, liczna publiczność, lider zespołu o wzroku tyleż sokolim, co kompletnie oszalałym.

– „Na pokładzie prezydenckiego tupolewa doszło do trzech wybuchów”.

Pozornie sensacyjne enuncjacje, które w rzeczywistości były odgrzewanym kotлетem wymysłów powtarzanych od kilkunastu miesięcy. Prymitywne prezentacje w Power Poincie, opinie ekspertów, o których nikt nigdy nie słyszał, argumenty rodem z *Wahadła Foucaulta*. Nie ma dowodów na zamach? To znaczy, że je ukryli. Nie ma śladów wybuchu? To znaczy, że je zatarli. Mdły zakalec niestworzonych historii podawany jako pyszne ciasto prawdy objawionej, wszechobecny spisec, powietrze ciężkie od gęstniejącej obsesji. Biedna Joanna – musiała tego wszystkiego słuchać i cytować te brednie tak, jakby były coś warte. Po godzinie była blada, po półtorej godziny przezroczyta, po dwóch wysunęła się z krzesłem, odepchnęła klawiaturę i położyła głowę na biurku. Jej plecy wraz z pośladkami okrytymi ściśle przylegającym materiałem spódnicy tworzyły miękką linię pięknego łuku.

– Mogę coś dla ciebie zrobić? – zapytałem. To był już koniec mojego dyżuru, stałem z ręką na klamce drzwi reżyserki.

– Tak. – Wysiliła się na uśmiech, ale wciąż było widać, jak bardzo ma dość. – Zabierz mnie stąd.

Nawet nie wiedziała, jak bardzo chciałbym to zrobić. Jak bardzo chciałbym zabrać ją od tej pracy żmudnej i uciążliwej, od tego dnia zimowego mimo wiosny, od tego umęczenia i niewyspania. Jak bardzo chciałbym zabrać ją od wszystkich źródeł jej zmartwień, od tej szarości, która psuła porcelanową czystość jej rysów, od tego bólu, który ściągał jej usta. Jak bardzo chciałbym zabrać ją od Aleksandra Rawskiego.

– Chodź. – Uśmiechnąłem się do niej. Widziałem już, jak jedzie ze mną do mojego domu pod Warszawą. Jak siedzi ze mną przed kominkiem, jak idzie ze mną na długi spacer z psem, jak pije ze mną domową nalewkę, której w długie, mroźne wieczory z precyzją alchemika nadawałem idealne proporcje słodczy miodu i ostrości spirytusu.

– Chciałabym. – Żartobliwy ton, lekki uśmiech, całkiem poważne spojrzenie.

– W każdej chwili.

Została tam, uwięziona wśród teorii spiskowych i żałobnych obchodów, wśród rozczarowania i przygniatającego ją ciężaru wczorajszej nocy. A ja po raz kolejny miałem pojechać sam do domu. Do domu, który był stanowczo za duży dla mnie jednego.

*

Zima przyszła tego roku w sam czas – na początku grudnia, dokładnie wtedy, kiedy wszyscy byliśmy już znużeni jesiennymi wichrami, deszczem i błotem. Śnieg przykrył nagie gałęzie, lód ściął kałuże, biel rozjaśniła nieznośną szarość – świat od razu stał się piękniejszy. Piękny był zwłaszcza ten pierwszy śnieg – świeży i lśniący, czysty i dziewiczy. Taki właśnie śnieg padał w dniu, w którym poszłam na imprezę do Paulinki.

Pracowałam tego dnia na porannym dyżurze – pobudka w mrokach grudniowej nocy, pierwsza kawa jeszcze przed świtem, droga przez zasy pod niebem niskim i ponurym. A później szalone tempo gości, serwisów i relacji na żywo o drogowcach tradycyjnie zaskoczonych nadejściem zimy. Poranne pasmo w telewizji informacyjnej ma swój nieco perwersyjny urok, zwłaszcza zimą – ta atmosfera obłąkanej twierdzy, jedynej – i pierwszego zarazem – bastionu przytomności wśród królestwa snu, wyspy pracującej na najwyższych obrotach wśród morza świata ledwie budzącego się do życia. I to uczucie, kiedy wychodzi się z pracy przed jedenastą – dla wszystkich innych mózół właśnie się zaczyna, a ty masz cały dzień przed sobą. Choćby po to, by schować się pod kołdrą, nie dać mrozowi dostępu do swojej duszy i spać.

Tego dnia, kiedy poranne pasmo dobiegło końca, zamiast od razu pójść do domu i zakopać się pod kocem, zszłam na chwilę do newsroomu. Paulinka jakby czekała tam tylko na mnie.

– Joanna, będziesz dzisiaj, prawda?

Jak dotąd skutecznie opierałam się jej mniej lub bardziej natarczywym próbom zbliżenia się do mnie, odrzucałam zaproszenia na piwo, udawałam, że nie słyszę propozycji wspólnych zakupów. Ostatnio jednak nie odmówiłam jej jednoznacznie – już kilka dni temu zapraszała na parapetówkę w swoim nowo wynajętym mieszkaniu. Raczej nic podejrzanego, zanosilo się po prostu na picie ubrane w skromne szaty damskiej imprezy. Oprócz mnie zaprosiła kilka dziewczyn z firmy, w tym i Hanke. Wiadomo było, co nas czeka: ploteczki, rozmowy o pracy podlane alkoholem, mniej lub bardziej złośliwa obmowa. Pomyślałam, że może lepiej będzie się tam pojawić, by nie paść ofiarą tego ostatniego – nieobecni bowiem zawsze stają się tematem, a ja ze wszech miar nie chciałam się nim stać akurat w jej ustach. Zestaw gości gwarantował raczej, że impreza nie będzie źródłem jakichkolwiek problemów z Aleksandrem w tle, tym bardziej że on pracował do dwudziestej trzeciej, a zaproszenie Paulinki

opiewało na jakąś bezpieczną popołudniową porę.

– Tak, będę – odpowiedziałam i aż się zdziwiłam ulgą w jej napiętej twarzy. Ewidentnie nie mogło chodzić o nagłą sympatię, której dowody składała mi od pewnego czasu, co już samo w sobie było dość intrygujące. Tak jakby Hanka miała całkowitą rację i Aleksander postanowił użyć swojej kochanki do ponownego nawiązania kontaktu ze mną. Wiedziałam, że Paulinka nie jest dziewczyną, która w locie dostrzega prawdziwy kontekst rzeczy, ale jej nowa rola wydawała się na tyle dwuznaczna, że dziwiłam się, iż się na nią godzi. Nie miałam żadnych dowodów na to, że robi to dla niego, ale jeśli tak było, to władza, jaką miał nad nią, była przerażająca. Myślałam o tym w drodze do domu przez zasy, myślałam o tym pod gorącym prysznicem, myślałam o tym, kładąc się pod koc. Nawet zasypiając, nie mogłam przestać o tym myśleć.

Zawsze jest coś dziwnego w budzeniu się w środku dnia ze snu głębokiego jak mroki nocy. Własny pokój, doskonale znane łóżko i znajoma pościel, a i tak uczucie obcości jest przez moment nie do przewyciężenia. Chwila zagubienia na granicy światów, sen ciężki i odurzający jak narkotyk, przebudzenie nie w porę i nie w czas. I ta sceneria zimowego popołudnia, niepasująca do jawy ani do snu, do dnia ani do nocy. I wreszcie ta ulga, ta jasność, to nagłe rozeznanie, kiedy już wiesz, gdzie jesteś i która jest godzina. Wyjrzałam przez okno – śnieg wciąż padał, dzieci na podwórku lepiły bałwana, psy dość niepewnie stawiały łapy w tym czymś mokrym i zimnym, co od zeszłego roku zdążyły już zapomnieć. Kubek gorącej kawy pomagał mi zebrać siły do wyjścia. Uznałam, że impreza w damskim gronie nie jest czymś, co wymaga specjalnych przygotowań – długi, miodowy sweter z futrzanym kołnierzem powinien wystarczyć, zwłaszcza włożony do rajstop jako sukienka. Niezależnie od okazji, nie chciałam, by Paulinka oglądała mnie nieumalowaną, zrobiłam więc porządny makijaż, odpowiedni na zimę, taki, który wytrzyma napór wiatru niosącego śnieg i czerwienią ust ożywi biały krajobraz.

Przed imprezą byłam umówiona z Hanką na niezbędne zakupy.

– Dobrze, że idziesz. Niech ta mała kurewka wie, że jej nie unikaszk. Niezależnie od tego, z którym facetem z firmy aktualnie sypia. – Mówiła z właściwą sobie pewnością sądów i utwierdzała mnie w tym przekonaniu podczas kupowania butelek i ciasteczek, a także w drodze, kiedy już odpowiednio zaopatrzone na świętowanie nowego mieszkania Paulinki zmierzałyśmy razem w jego kierunku. Jej nowe lokum mieściło się w wieżowcu-molochu w samym centrum miasta, w jednym z tych podłużnych, betonowych pudeł, w których latem praży słońce, zimą mróz przenika przez okna, a podczas wietrznych nocy cała konstrukcja kolebie się na boki. Obok nieustannego hałasu dochodzącego ze skrzyżowania głównych arterii miasta oraz szeregu wad oczywistych dla budownictwa apogeum PRL, jej nowe mieszkanie miało jedną niezaprzeczalną zaletę – znajdowało się bardzo blisko miejsca pracy; na tyle blisko, na ile mogła tego potrzebować dziewczyna chwytającaienne i nocne dyżury, bez różnicy, jak popadnie, byle więcej. Właściwie nikt nie wiedział, na co wydaje zarobione pieniądze – nie miała zobowiązań rodzinnych ani kredytów, a jej szafa składała się z kilku par dżinsów i sukienek pamiętających triumfy święcone w sklepach sieciowych co najmniej kilka sezonów temu. Czasem jej błędny, szklisty wzrok, zaczerwienione nozdrza i zdolność do wytężonej pracy kilkanaście godzin bez przerwy wskazywały na możliwą naturę jej wydatków, ale ona sama nie zwykła się z tego zwierzać. Nawet jeśli naprawdę najbardziej lubiła koks, dziś akurat postawiła na alkohol.

– Cześć, dziewczyny, jak dobrze, że jesteście. I to z wódką, doskonale. Jakby co, mam jeszcze kilka butelek wina, tak że co kto woli.

Paulinka miała na sobie krótką sukienkę z koronki, której długość i brak talii wskazywały raczej na koszulkę do spania. Poza tym nie była już ruda, miała ciemnobrązowe włosy w kolorze bardzo podobnym do mojego. Trochę za bardzo podobnym do mojego, by mógł to być przypadkowy efekt. Chyba zauważyła, jak na nią patrzę, bo wyjaśniła bez pytania:

– No tak, zmieniałam kolor włosów. Ktoś bardzo mnie prosił, żebym miała akurat taki. Chyba mi ładnie, co?

– Bardzo ładnie – powiedziałam, ale poczułam zimno pełznące wzdłuż kręgosłupa. To był mój kolor. Mój kolor włosów na jej głowie, w dodatku na czyjąś prośbę. Rzecz jasna, nie musiałam pytać na czyją. To było coś na kształt satysfakcji, ale i bolesnego ukłucia, kiedy pomyślałam: „Więc jednak myśli o mnie. Sypia z Paulinką, ale myśli jednak o mnie”. Mina Hanki walczącej w mikroskopijnym przedpokoju z zimową kurtką mówiła jednak jasno: „Może i myśli, ale nie ma to już żadnego znaczenia”. „Oczywiście, że nie ma” – odpowiedziałam jej wzrokiem, a ukłucie minęło.

W jedynym pokoju, z którego składało się mieszkanie Paulinki, były już dwie nasze koleżanki z pracy i całkiem nieźle napoczęta butelka czerwonego wina. Nie miałam dziś nastroju na wino – coś mocniejszego wydawało mi się bardziej odpowiednie do okazji, jako jedyna piłam więc wódkę. Paulinka znalazła specjalnie dla mnie zgrabny, dwudziestopięciogramowy kieliszek – i podczas gdy im siniały usta od taniego bordeaux, mnie rozgrzewało przyjemne ciepło wódki, wyjątkowo dobrze pasujące do mrozu i śniegu za oknem. Kiedy tylko wszystkie usiadłyśmy przy stole, zaczęło się.

– Konrad jest koszmarnym wydawcą, nie znoszę z nim pracować, właściwie nigdy nie wiadomo, czego od ciebie chce.

– Emilia jest jeszcze gorsza.

– To prawda, szczerze mówiąc, upierdliwa z niej suka.

– Wszyscy oni są upierdliwi, a słyszałyście, co ostatnio zrobił Jacek? Ponoć tak pokłócił się z Adamem, że grozili sobie nawzajem zwolnieniem.

– Idioci, jakby którykolwiek z nich mógł kogoś zwolnić.

– No jeszcze by tego brakowało.

– Jacek zawsze był wybuchowy, nic dziwnego, że w końcu żona go zostawiła.

– Tak? Naprawdę to wreszcie zrobiła? Najwyższy czas.

I dalej w tym tonie – szybka przejażdżka po wszystkich z pracy, później po bliższych i dalszych znajomych, wreszcie po własnych facetach, narzeczonych, kochankach. Im mniej alkoholu zostawało w butelkach na stole, tym tematy stawały się odleglejsze od pracy, a wyznania bardziej osobiste. One piły wino, ja wódkę – czystą, w kieliszku, tak jak lubię najbardziej, albo w wysokiej szklance zmieszaną w sokiem, tak by starczyła na dłużej. Języki rozwiązywały się w miarę tego, jak pod stołem przybываło pustych butelek. Doszłyśmy nawet do wspomnień z liceum i kanonicznych licytacji, kto wcześniej i mocniej upił się po raz pierwszy. Przez cały wieczór Paulinka ani słowem nie wspomiała o Aleksandrze ani o niczym, co mogłoby się z nim wiązać. Tylko w miarę jak piła, stawała się coraz bardziej natarczywa.

– Powiedz, jakiej szminki używasz. Cholera, też taką powinnam mieć. Najlepiej podaj mi firmę i kolor, żeby była dokładnie taka sama.

Kiedy zgrabnie uchylałam się od odpowiedzi, zaczynała na nowo.

– Jak ty to robisz, że zawsze tak dobrze wyglądasz? Te sukienki, szpilki... codziennie! Też bym tak chciała, ale nie mam na to, kurwa, siły.

Patrzyłam na nią, jak bardzo usilnie stara się być dla mnie miła, jak się z tym miota i jak bardzo czegoś ode mnie chce. Niecierpliwie ruchy jej rąk nie wyglądały dobrze, kiedy nerwowo sięgała po moją papierośnicę. Już nawet nie pytała, czy może. Im później się robiło, tym twarz miała bardziej ściągniętą. Rozluźniła się nieco, gdy Patrycja i Ania postanowiły, że dość na dziś, że czas do domów, że narzeczeni lada moment po nie przyjadą. Kiedy zostałyśmy we trójkę – ja, ona i Hanka – Paulinka włączyła naszą stację.

– Zobaczmy chociaż kawałek „Przeglądu”, co, dziewczyny?

Nie miałam na to szczególnej ochoty, ale chyba nie można było zakazać jej włączenia telewizora we własnym domu. Przez chwilę oglądałyśmy w milczeniu, jak Aleksander i współprowadząca z nim program Izabela odpytują pana z przedsiębiorstwa oczyszczania miasta o to, jak pługosolarki radzą sobie z nagłym atakiem zimy. Nagłym atakiem zimy w grudniu, co tylko dodawało całej sytuacji absurdu – i na ekranie, i u nas – w ciasnym mieszkaniu Paulinki na ósmym piętrze chybotliwego bloku. Gwałtownym ruchem wlała w siebie pół kieliszka wina naraz, zanim rzuciła:

– Właściwie to jakiś czas temu napisałam esemesa do Aleksandra, żeby do nas wpadł, jak skończy serwis. Nie macie nic przeciwko, prawda?

Wymieniłam z Hanką błyskawiczne spojrzenia. Zdążyła, zanim ja otworzyłam usta.

– Ale wiesz, Paulinka, my go właściwie nie znamy. Głupio nam trochę będzie z nim pić.

Paulinka podchwyciłaby cokolwiek, a to akurat było dość łatwe.

– No to właśnie go poznacie. Naprawdę, napijemy się, będzie miło. My tak często ze sobą... eee... pijemy. – Ilość alkoholu, którą wlała w swoje drobne ciało, nie pozostawała bez wpływu na jasność jej wypowiedzi. – Zostaniecie, prawda? – rozglądała się coraz bardziej zagubiona. Zagubiona w nie swojej, jak sądzę, intrydze, która chyba coraz mniej przestawała jej się podobać, za to coraz bardziej zaczynała ją oplatać.

– Zastanowimy się, czy zostaniemy – powiedziałam, zgarniając stanowczym ruchem torebkę. Jakoś tak wyszło, że byłam najbardziej trzeźwa z nich wszystkich. W tym momencie właściwie byłam już trzeźwa bezdyskusyjnie i kompletnie. – Skoczmy na razie po papierosy i pomyślimy. – Taka mała ucieczka wydawała mi się najlepszym wyjściem. – Chodź, Hanka, nie chce mi się iść samej.

Paulinka sprawiała wrażenie zadowolonej. Było oczywiste, że tak naprawdę nie chce, abym została i że sama już nie wie, jak ma się skończyć ten wieczór. Czy Aleksander przyjdzie po prostu do niej – jak pewnie przychodził co wieczór – czy też tym razem oczekuje od niej już czegoś zupełnie innego? Możliwe nawet, że była na tyle naiwna, by wciąż nie rozumieć, do czego to wszystko prowadzi. Poza tym była już mocno pijana – aby wstać, musiała przytrzymać się oparcia krzesła.

– Bo wiecie, dziewczyny, my się z Aleksandrem przyjaźnimy... – z trudem złapała równowagę.

– Wiemy o tym, oczywiście – moje słowa były szybsze niż myśli, ale to właśnie one musiały paść – to znaczy sypiasz z nim, tak?

– Nie, no co ty, zwariowałaś?! Nie sypiam z nim, absolutnie. – Paulinka niebezpiecznie chybotliwym krokiem przeszła parę metrów ku drzwiom do łazienki. – Skoro wy lecicie po fajki, to ja w tym czasie wskoczę pod prysznic ogolić nogi, okej?

Na dworze panował dziesięciostopniowy mróz, ale było mi tak gorąco, że nawet nie pomyślałam o tym, by zapiąć kożuch. Czułam dziwną mieszankę złości i podniecenia, zdenerwowania i nadziei, zaskoczenia, a jednocześnie ulgi, że stało się to, o czym podświadomie tak naprawdę cały czas wiedziałam, że ma się stać. Był w tym ból – bo przecież niezaprzeczalnie sypia z Paulinką – ale i satysfakcja, że to jednak mu nie wystarcza. Nie chciałam go widzieć, nie chciałam z nim rozmawiać, nie chciałam go więcej w moim życiu, a jednak wszystko nieuchronnie ku temu prowadziło. Mogłam sobie mówić, że to nic nie znaczy, że to będzie tylko przypadkowe spotkanie i jeden wspólnie wypity kieliszek na cudzej imprezie, ale sama dobrze wiedziałam, że to będzie coś więcej. Że zacznie się coś, co później trudno będzie zatrzymać. A może w ogóle niczego nie uda się już zatrzymać?

– Nie możesz teraz zwać – Hanka nie zwracała uwagi na panią w spożywczym, którą zdaje się wyjątkowo zainteresowały nasze niepewne miny i nerwowy pośpiech, z jakim płaciłyśmy w kasie. – To byłaby ucieczka z pola walki. Beładny odwrót.

– Wiem – zadeklarowałam, choć wcale nie wiedziałam do końca. Może właśnie tak należało zrobić? Pieprzyć to, co pomyśli Paulinka, zabrać swoje pachnące miętą papierosy i uciekać stąd, byle dalej? –

Wróćmy tam – mój głos brzmiał dość obco nawet dla mnie samej. – Posiedzimy dwadzieścia minut, wypijemy po kieliszeczku i wtedy pójdziemy.

– Tak będzie najlepiej, zdecydowanie. I niczym się nie stresuj, świetnie wyglądasz, w sam raz na spotkanie z tym palantem. – Hanka była nieoceniona.

Kiedy wróciłyśmy na ósme piętro posępnego wieżowca, Paulinka naprawdę siedziała pod prysznicem. Jednak kiedy stamtąd wyszła, stało się jasne, że być może przygotowała się do randki, ale niewiele jej to pomogło na rozmyty wzrok, płaczący się język i coraz niżej opadającą głowę. Czekanie było nieznośne – atmosfera stawała się gęsta niczym smugi dymu z papierosów, które układały się pod sufitem w coraz grubsze wstęgi. Dzwonek do drzwi jak wybawienie od narastającej ciszy.

– Dobry wieczór paniom. – Aleksander w stanowczo zbyt cienkim, eleganckim, czarnym płaszczu; rześki, ożywiony i ani trochę niezaskoczony obecnością moją i Hanki. – Pamiętałem, że chciałaś, żebym kupił coś do picia – zwrócił się do Paulinki – ale sklep akurat był zamknięty.

– Na pewno, dobre sobie – pogardliwe parsknięcie Hanki stłumił odgłos szklanki zamasyżycie odstawianej na stół. Usiadł obok mnie, naprzeciwko Paulinki. Natychmiast zabrał się do rozlewania wina do kieliszków, tak jakby chciał pospiesznie nadrobić czas, który zamiast na picie w naszym gronie musiał poświęcić na odpytywanie włodarzy miasta o pługi śnieżne.

– Ja dziękuję za wino, piję wódkę – powiedziałam, kiedy jego ręka z odkorkowaną butelką zawędrowała w moją część stołu.

– Wódkę? Ostro.

– Nieszczerólnie – zaprzeczyłam zgodnie z prawdą.

– Mój Boże, już tak dawno nie piłem wódki. – W jego głosie pobrzmiwało coś na kształt tęsknoty, ale i jakiś dziwny fałsz.

– Dużo tracisz – powiedziałam, przechylając kieliszek. W niektórych sytuacjach człowiek po prostu musi się napić. To była jedna z nich.

Niewinne uwagi o pracy, trunkach i pogodzie, spojrzenia znaczące, ale nie natarczywe, które rzucał mi od czasu do czasu – nie zaczynało się źle; rzekłabym nawet, że łagodnie. Tymczasem Paulinka zdawała się być coraz mniej obecna. Po kilku grymasach na twarzy – które ewidentnie znamionowały walkę z falą mdłości – podniosła się z niewyraźnym „muszę do łazienki”. Wyraz twarzy Aleksandra nie zmienił się ani na jotę, kiedy nie wróciła po kwadransie, a w łazience zapadła głucha cisza.

– Pójdę zobaczyć, co z nią – oznajmiła wreszcie Hanka.

Zaczęło się, kiedy tylko zostaliśmy sami. Siedział bardzo blisko mnie, pachniał mieszanką wody kolońskiej, nawilżanych chusteczek do zmywania telewizyjnego makijażu i wiatru, który przykleił do jego włosów drobinki śniegu. Patrzył na mnie zupełnie inaczej niż patrzy się na koleżankę z pracy.

– Papierosa? – Zapytałam, sięgając po paczkę, której zawartości nie zdążyłam jeszcze przełożyć do papierośnicy.

– Rzuciłem palenie. Niestety. – Podał mi ogień eleganckim gestem kogoś, kto czynił to przez lata.

– To rzeczywiście duża strata. – Przypomniałam sobie, jak seksownie wyglądał z papierosem.

– Nie spodziewałem się spotkać cię tutaj – zabrzmiało prawie wiarygodnie. – Ale bardzo się cieszę, że jesteś. Uwielbiam na ciebie patrzeć. Rzadko się pojawiaasz w newsroomie, ale kiedy już to robisz, wtedy jest wyjątkowo. Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że wszyscy mężczyźni patrzą tylko na ciebie?

– A czy ty patrzysz tylko na mnie? – Nasze oczy na chwilę spotkały się ponad niebieskawą smugą dymu wędrującą ku sufitowi.

– Nie da się nie patrzeć na ciebie. Na bizantyjski przepych twojej urody, na twoje idealne nogi, na doskonały kształt twojego tyłka, który obiecuje więcej, niż można sobie wyobrazić.

Nigdy w niczyich oczach nie widziałam aż takiej intensywności. Z pozorną niedbałością bawił się

nóżką od kieliszka, ale napięcie w jego gestach było aż nazbyt wyraźne.

– I ta twoja szminka, która prześladowuje mnie w snach. Właściwie zawsze chciałem zobaczyć, jak to robisz. Proszę cię, umaluj usta.

Wyciągnęłam szminkę z etui i powolnym ruchem przeciągnęłam nią po wargach – gest tak ewidentnie erotyczny, że równie dobrze mogłabym rozebrać się przed nim. Nie wiem, czego było wówczas więcej w ciasnej przestrzeni mieszkania Paulinki – dymu czy pożądania? Na pewno nie powietrza, bo oboje nie mieliśmy czym oddychać.

– Nie wiem, czy mam już przywidzenia, ale spójrz za okno – powiedział, uzupełniając zawartość naszych kieliszków. Lśniący, srebrny balonik wypchnięty z okna przez imprezujących nieco huczniej niż my. Zamiast spadać, płynnym ruchem unosił się do góry – do nieba, w dal, w bezkres zimowego horyzontu. Skojarzenia były oczywiste i nieuchronnie nosiły znamiona kiczu.

– Jak w tanim filmie. Balonik uciekający do nieba. Marzenia, ulotne nadzieje, życzenia, które mają się spełnić.

– Mam nadzieję, że doleci aż do gwiazd – powiedział i spojrzeliśmy sobie prosto w oczy. Napięcie między nami było tak silne, że wprost można było wyczuć elektryczny smak powietrza, zobaczyć iskry przeskakujące między nami jak niebieskawe płomyczki. Jak ognie świętego Elma, które tuż przed burzą pojawiają się na masztach statków. Każdy żeglarz wie, że przy całym swym hipnotycznym pięknie zawsze zwiastują nieszczęście. Nie byłam żeglarzem, nie umiałam nawet pływać, ale to nie powstrzymało mnie przed skokiem na głęboką wodę. Wiedziałam już, że niezależnie od wszystkiego, tej nocy coś zaczęło się między nami. Coś, na co właśnie straciłam wszelki wpływ – jeśli w ogóle kiedykolwiek go miałam.

Powrót Hanki do pokoju był jak zakłócenia podczas kluczowego momentu transmisji piłkarskiego meczu o wszystko.

– Z nią jest bardzo źle.

Ależ oczywiście – Paulinka! Dopiero te słowa przypomniały mi o jej obecności.

– Cholerna pijaczka – mruknął Aleksander, a ja nawet nie zwróciłam uwagi, jak bardzo było to nieładne, choć nieprzytomna Paulinka na podłodze łazienki rzeczywiście nie przedstawiała najlepszego widoku. Jakoś nam się udało przenieść ją na łóżko, przykryć kocem, podłożyć poduszkę pod bezwładną głowę. Zapobiegliwość Hanki kazała jej nawet przynieść miskę. Tymczasem Aleksander nie sprawiał wrażenia, jakby w czymkolwiek przeszkadzał mu zarys nieprzytomnej postaci jego kochanki i bezładne postępowanie dochodzące od czasu do czasu z jej strony. Nic też w jego zachowaniu nie wskazywało na to, jakoby nasza impreza miała się zakończyć. W czeluściach szafek Paulinki udało mu się nawet znaleźć butelkę campari – jedyny nadający się jeszcze do wypicia trunk, który w obliczu wyczerpania się zasobów zarówno wódki, jak i wina wydawał się dość godnym zastępstwem. Wymieniłyśmy z Hanką spojrzenia. Picie nad zwłokami właściwie nie było szczególnie kuszącą opcją, ale cóż – skoro i tak wszystko było tej nocy już tak dziwne, mogliśmy zrobić jeszcze i to.

Kiedy Aleksander rozlewał do kieliszków czerwony płyn, przycisnął pod stołem swoje kolano do mojego. Kiedy uzupełniał gorycz campari słodyczą soku z pomarańczy, jego dłoń jakby przez przypadek dotknęła mojej. Kiedy w trójkę wznosiliśmy w górę kieliszki, patrzył na mnie wzrokiem, którego nie można było z niczym pomylić. Wreszcie, po wymianie kilku mniej lub bardziej znaczących zdań o pracy, piciu i rozpacz z powodu rzucenia palenia, Hanka stwierdziła:

– Chyba czas już na nas. Mój telefon padł, niech któreś z was pożyczy mi swój, żebym mogła zadzwonić po taksówkę.

Jednocześnie wyciągnęliśmy w jej kierunku dłonie z telefonami.

– Weź mój – powiedział Aleksander – jest służbowy, można dzwonić, ile się chce.

– Służbowy telefon? – Ożywiłam się. – Taki jest, zdaje się, idealny do wysyłania nieprzystojnych

esemesów?

– Zdecydowanie – odpowiedział – uwielbiam nieprzystojne esemesy.

– W takim razie szkoda, że nigdy żadnego mi nie wysłałeś. – Hanka doskonale udawała, że jest skupiona tylko i wyłącznie na wybieraniu numeru do korporacji taksówkowej. – Przez cały ten czas mogłeś napisać mi najróżniejsze świństwa.

– Obiecuję, że to zrobię – powiedział, a jego głos był zachrypnięty od pożądania. – Obiecuję ci wszystkie świństwa świata.

Zanim wyszliśmy, Hanka zniknęła jeszcze na chwilę w łazience. W małym przedpokoju Paulinki nie było miejsca nawet na łokcie – stałam tuż obok Aleksandra w ciemnej, klaustrofobicznej przestrzeni wypełnionej zarysami wieszaków i tołubkami płaszczy. Podał mi mój wielki żółty kozuch, później odwrócił się na chwilę. To był moment, gwałtowny gest, którego się nie spodziewałam – nagły ruch powietrza mógł mnie ostrzec, ale było już za późno – schwycił moją głowę w obie ręce, poczułam gorąco jego warg, język w moich ustach. Jak nastolatki schowane w szatni na balu maturalnym – rozrzucone płaszcze, torebki strącone rozmachem ukradkowych objęć, nagły odskok na widok intruza. Hanka wyglądała na nieporuszoną, chociaż na pewno zdradzał nas przyspieszony oddech, zaróżowione policzki, głośniejsze bicie serc.

– Idziemy, co? Sądzę, że Paulince nic nie będzie, dojdzie do siebie do rana. – Można jej było przyznać rację, o ile uznać, że w pół do trzeciej to jeszcze nie rano.

Windy o takiej porze wydają się jeszcze ciasniejsze niż zwykle. Ta w bloku Paulinki była pudłem pomalowanym na psychodeliczną purpurę, której monotonię przełamywały tradycyjne dla ludowej ekspresji wyznania, inwektywy i deklaracje polityczne. Lustro z wielką rysą przez środek, wlepki sławiące Legię, goła żarówka pod sufitem. A w środku ja, Aleksander i Hanka – nieznośnie długa droga w dół, emocje, od których powietrze stawało się lepkie, porozumiewawcze spojrzenia.

Krajobraz zimowej nocy wyglądał jak z obrazka – śnieg grubą warstwą pokrył ziemię, a i tak nie przestawał padać. Pierwszy śnieg w tym roku – świeży i lśniący, czysty i dziewiczy. Najpiękniejszy. Nie mogłam oprzeć się pokusie z dzieciństwa – wystawiłam język, by łapać śnieżynki i czuć ten magiczny smak, kiedy ich zimno rozplywa się w zetknięciu z jego gorącem. Hance chyba też udzielił się podobny nastrój, bo zaczęła gołymi dłońmi lepić śnieżki. Troje pijanych na śniegu – właściwie brakowało nam tylko sanek. A także wezwanej przez Hanke taksówki, której jakoś w żaden sposób nie mogliśmy znaleźć. Może dlatego, że szukaliśmy jej w parku – tam, gdzie było najpiękniej i gdzie śnieg był najświeższy. Właściwie nie wiem, jak tam trafiliśmy, ale udeptywanie lśniącej bieli i podziwianie własnych śladów wydawało nam się znakomitą rozrywką. Do chwili, gdy Aleksander złapał mnie za ramię:

– Proszę cię, wsadźmy ją już do tej taksówki. Pozbądźmy się jej. – Jego oddech był gorący; dużo gorętszy niż powinien być na mrozie o trzeciej nad ranem. Ostatnia ścieżka wydeptana w śniegu, ostatni rzut oka na białe czapy na drzewach. W końcu udało nam się przebrnąć przez oblodzone chodniki i znaleźć taksówkę dla Hanka. Tę, którą wezwała, albo jakąś zupełnie inną – centrum wielkiego miasta jest nim niezależnie od pory, pogody i warunków i zawsze znajdzie się w nim taksówka dla dziewczyny, która wypięła odrobinę za dużo i spóźniona wraca do domu.

– Dobranoc, Hanka. Zdzwonimy się jutro – wiatr i śnieg stłumiły moje słowa, a taksówka już odjeżdżała gdzieś w dal i biel. Jeszcze nim zniknęły nam z oczu jej światła, już całowaliśmy się łapczywie, zachłannie, namiętnie. Niecierpliwi jak gimnazjaliści – na środku ulicy, w samym centrum miasta, pod wielkim neonem z moim imieniem. Głodni siebie jak ofiary drakońskich diet – mimo przechodniów spieszących na nocne autobusy albo do całonocnych knajp, mimo spojrzeń kierowców, mimo bezlitosnych świateł wielkiego miasta. Całowaliśmy się tak, jakby nie było mrozu, śniegu ani niczego wokół nas. Jakby nie było tego roku, który zmarnowaliśmy, tych zabliznionych ran, o których

postanowiłam zapomnieć i tych solennych postanowień, które tak łatwo złamalam. Panowie z monitoringu miejskiego mieli tej nocy używanie, bo całowaliśmy się przez całą drogę do mojego domu. Idąc przez Śródmieście, całowaliśmy się na każdym rogu, na każdym skrzyżowaniu i na każdym przejściu dla pieszych. Przemierzając zasy i oblodzone chodniki, całowaliśmy się przy każdym poślizgnięciu i zachwianiu, przy każdym uśmiechu i każdym powiewie mroźnego wiatru. Nie mogąc oderwać od siebie ust, całowaliśmy się jak opętani, a pierwszy w tym roku śnieg padał wokół nas ciężkimi, mokrymi płatkami.

Mieszkałam na drugim piętrze starej kamienicy bez udogodnień takich jak winda – ciemna klatka schodowa, zakurzone stopnie, moje plecy oparte o poręcz. Niecierpliwe ruchy rąk rozpinających guziki, haftki i zamki, palce wkradające się pod kolejne warstwy zimowych ubrań, zachłanne poszukiwanie ciepła skóry zmarzniętymi dłońmi. Kiedy przed drzwiami mieszkania przetrząsałam zawartość torebki, myślałam, że nigdy już nie natrafię na klucze. Na szczęście były, znalazły się, nie zginęły. Wreszcie drzwi zatrzasnęły się za nami, szlak porozrzucanej bielizny wyznaczył drogę do łóżka, nie było już nic oprócz nerwowego pośpiechu rąk, zachłanności ust, gorączki spełnienia. To było jak symfonia w świecie ciszy, jak wykwintne danie po latach diety bez cukru i soli, jak coś, co miało być już wcześniej, na zawsze, tak naturalnie, a tylko przez jakąś dziwną pomyłkę trafiło do nas dopiero teraz.

– Myślałam, że wiesz – powiedziałam, kiedy na chwilę oderwał ode mnie usta. – Myślałam, że wiesz, że ty i ja to będzie doskonały romans.

– Byłem idiotą. Wybacz mi – podniósł na mnie oczy niebieskie i zimne jak jeziora o brzasku. – Wybacz mi, że zmarnowałem tyle czasu. Teraz nadrobimy to wszystko. To wszystko i jeszcze więcej.

Nie mogłam mu nie wierzyć, kiedy tak klęczał z głową na moim brzuchu. Nie mogłam mu nie wierzyć, kiedy z taką mocą zaciskał dłonie na moich biodrach. Nie mogłam mu nie wierzyć, kiedy porywała mnie wezbrana fala, a jego gorący język obracał się we mnie.

*

– Może kawy? – Ślęzak postanowiła być miła. Przynajmniej na tyle, na ile powinna dla zdenerwowanej kobiety w średnim wieku i w trudnej sytuacji.

– Dziękuję, nie trzeba. Nie przyjechałam tu na kawkę.

Justyna Rawska ewidentnie była poruszona, ale mimo to nie brakowało jej kontenansu. Ciemne, krótkie włosy, ascetyczny kostium z cieniutkiej, drogiej wełny, puder brązujący, który nie do końca zdołał zamaskować ślady stresu, nerwowego oczekiwania i wyczerpującej podróży. Ślęzak widziała ją po raz pierwszy. Jak dotąd znała tylko jej głos.

– Pozwoli pani, że zapalę – powiedziała kurtuazyjnie, chociaż w swoim własnym gabinecie nie musiała prosić o przyzwolenie. I tak doczekała się tylko grymasu dezaprobaty wokół pełnych, ale nieco już przywiedłych ust Rawskiej. Musiała być mniej więcej w wieku swojego męża, choć – odwiecznym prawem natury – багаż lat, który jemu przydawał czaru dojrzałej męskości, na niej kładł się ciężarem. Ślęzak wyczuwała jednak, że to nie mogło być jedynie to – sama była zaledwie o kilka lat młodsza i aż za dobrze wiedziała, że nie tylko czas ryje bruzdy wokół ust i marszczy czoła kobiet. Wokół Rawskiej unosiła się aura zmartwienia, która wcale nie wydawała się być efektem z ostatniej chwili, lecz raczej gorzkim osadem zbyt wielu nieprzespanych nocy, pustych poranków i zimnych kaw.

Ślęzak wyobrażała ją sobie trochę inaczej. Teraz rozumiała, że wtedy, w tamtej rozmowie Rawska była ostra tylko dlatego, że nie mogła sobie pozwolić na rozpacz. Rozmawiały wówczas przez telefon, błogosławione narzędzie tych, którzy mają coś do ukrycia. To był lipiec, jeden z tych pięknych dni, kiedy bursztynowe słońce czyni nas nadmiernie ufnymi – tamte słowa wracały teraz do Ślęzak aż zbyt wyraźnie i znów paliły ją jak policzek, wymierzony z furją i precyzją jednocześnie.

– Ślęzak, słucham – powiedziała wtedy, widząc na wyświetlaczu swojego telefonu nieznaną numer.

– Czy to pani jest szefową Kanału Szóstego? – głos kobiety po drugiej stronie był jak wata izolacyjna skrywająca przewód pod wysokim napięciem.

– Owszem, ja. O co chodzi? – Wyobraźnia Ślęzak podpowiedziała jej jakieś mgliste propozycje awansu, oferty nowych stanowisk, a nawet sugestie przejścia do konkurencji wypowiedane przytłumionym głosem tajemniczej kobiety. Niestety, chwila marzeń i nadziei trwała tylko sekundę.

– Czy pani prowadzi tam burdel czy zakład pracy?

– Słucham? – to było twarde lądowanie.

– Nazywam się Justyna Rawska, jestem żoną Aleksandra. Do czego to podobne, żeby w miejscu pracy działały się takie rzeczy?!

No tak, Rawski i jego ekscesy. Do Anny Ślęzak wróciły nagle wszystkie plotki, wszystkie uwagi zasłyszane na korytarzu, wszystkie rewelacje znoszone jej przez życzliwych.

– Tak się złożyło, że dowiedziałam się o tym, co się tam wyprawia pod pani okiem. Niejaka Koniuszek i mój mąż.

W całym swoim życiu Anna Ślęzak tylko dwa razy nie wiedziała, co powiedzieć – pierwszy był wtedy, gdy za „zbyt wybujałe ambicje” wyrzucano ją z firmy, którą stworzyła od podstaw; to był ten drugi.

– Halo, jest tam pani?

– Jestem. – Poczula, jakby nagle coś dużego i okrągłego utkwilo jej w gardle.

– To dobrze. Szkoda tylko, że nie ma pani wtedy, kiedy powinna pani pilnować tego, co tam się dzieje. To tak pani kieruje firmą? Robiąc z niej burdel?!

Ślęzak czuła się odpowiedzialna za to, co działo się w stacji, ale ostatecznie przecież Rawski nie był małym chłopcem powierzonym jej opiece. Wzięła bardzo głęboki oddech.

– Pani Justyno, współczuję pani, ale nie odpowiadam za to, co moi pracownicy robią po godzinach.

– Gówno prawda! – Teraz Rawska była naprawdę zła. – Odpowiada pani i w tej chwili przyznaje, że wiedziała pani o wszystkim.

To był mocny strzał – Ślęzak w istocie wiedziała, ale nigdy nie sądziła, że jakakolwiek zdradzana małżonka przyjdzie kierować swe pretensje właśnie do niej.

– Niech pani nie myśli, że ja nie wiem, co się tam u pani dzieje. Ta cała Koniuszek, która sypia ze wszystkimi jak leci, żonaty, nieżonaty, dzieciaty, niedzieciaty. I taka prowadzi się z moim mężem! Pod firmą, jawnie, na oczach wszystkich!

Do tej pory szefowej nie przyszło do głowy, że może zareagować czymś więcej niż ironicznym uśmiechem na wzmiankę o zalotach młodej, ładnej Koniuszek do każdego kolejnego mężczyzny z redakcji.

– Jest tam pani szefową, jak może pani do tego dopuszczać? To jest niszczenie rodzin, rozbijanie małżeństw. – Głos Rawskiej zbliżał się właśnie do granicy oddzielającej wściekłość od hysterii.

Ślęzak nie lubiła przegrywać, nawet w dyskusji. I dobrze wiedziała, że ani Aleksander Rawski nie jest bezwolną ofiarą przewrotnej uwodzicielki, ani ona dozorczynią niesfornych dziewczynek. Ale potrafiła uczciwie przyznać, że pewnie mogła coś zrobić w tej sprawie. Dobitnie przypominał jej o tym widok, który jakimś trafem stanął jej teraz przed oczami – sylwetka jej męża wychodzącego z ich wspólnego domu z walizką w ręce i kochanką u boku.

– Ma pani rację – powiedziała. Głośno, wyraźnie i odważnie. Nagłe milczenie Rawskiej musiało być efektem zaskoczenia równie wielkiego jak jej dotychczasowe oburzenie. – Ma pani rację, i dlatego jeszcze dziś porozmawiam z Koniuszek.

– Niech ją pani wyrzuci.

– Zrobię to, jeśli będę zmuszona. Ale może wystarczy, jak przemówię jej do rozumu. Swoją drogą,

pani powinna porozmawiać z mężem. – Ślęzak nie miała serca mówić jej, że Koniuszek raczej nie była jedyna, a mąż Rawskiej zdaje się nie spędzał wieczorów w czterech ścianach pokoju hotelowego. A przynajmniej nie robił tego sam.

– Porozmawiam, oczywiście.

– Ja ze swej strony zrobię wszystko, co możliwe, żeby w pracy nie dochodziło już do... do takich rzeczy – nie chciała pozwolić sobie na zbyt długie szukanie właściwych określeń.

– Dziękuję. – Zdawała sobie sprawę, ile musiało kosztować Rawską to jedno proste słowo. Dopiero kiedy wsłuchiwała się w ciszę, która zapadła w telefonie po tym, jak jej rozmówczyni się rozłączyła, szefowa Kanału Szóstego zaczęła zastanawiać się nad tym, kto tak dokładnie i uprzejmie doniósł żonie Rawskiego o poczynaniach jej niewiernego męża.

Pomna tamtej rozmowy, Ślęzak wiedziała, że i teraz nie będzie łatwo – poczekała, aż tytoniowy obłok trafi do płuc, nikotyna do krwi, a krew do mózgu. Powoli wypuściła niepotrzebny już dym, starając się nie dmuchać nim w stronę swojego gościa.

– Bardzo mi przykro z powodu... – słowo „zaginięcie” wydało jej się stanowczo za mocne. „Zniknięcie” Rawska mogła uznać za obraźliwe. – Z powodu nieobecności pani męża.

– Czy pani coś o tym wie? – Justyna Rawska postanowiła pominąć konwenanse, wstępy i formułki okolicznościowe.

– Niestety, nie. I z tego, co mi wiadomo, Paulinka Koniuszek też nie. – Ślęzak poszła w ślady jej bezpośredniości. Na wzmiankę o Paulince powieki Rawskiej zdrząły; były jak papier – cienki i pognieciony na krawędziach.

Anna Ślęzak opowiedziała jej wszystko to, co wiedziała od Migoty – całą historię od czwartku wieczorem aż do teraz. Zrobiła to zwięźle, ale i szczegółowo, bez paniki, ale ze współczuciem, oględnie, aczkolwiek wystarczająco barwnie; podkreśliła najbardziej prawdopodobny scenariusz – jakim był jej zdaniem jakiś wyjątkowo trudny powrót do trzeźwości – ale nie bagatelizowała sprawy.

– Mąż pił, owszem, ale to nigdy tak nie wyglądało. Tyle czasu nie siedziałyby gdzieś nie wiadomo gdzie, tym bardziej bez telefonu. Jestem tego pewna, znam go na tyle. – Rawska powiedziała to z takim przekonaniem, że Ślęzak nie pozostało nic innego jak jej uwierzyć, a to czyniło sprawę nieco bardziej skomplikowaną.

– Czy przychodzi pani do głowy jakieś miejsce, gdzie mógłby być? – Ślęzak zaryzykowała to pytanie, chociaż wiedziała, że wkracza na grząski grunt.

– Poza mieszkaniem osoby, o której obie wiemy, to nic. Bo widzi pani, tak naprawdę ja nie wiem, jak on spędzał tu dnie.

Ślęzak dopiero teraz zobaczyła, jak oryginalny kolor mają oczy Rawskiej. Były ciemnoszare, matowe, jakby z hartowanej stali. Niewiele się w nich odbijało, a smutek sprawiał wrażenie stałego lokatora.

– Wiedziałaam tylko, w jakim hotelu się zatrzymywał, poza tym raczej nie mówił mi wiele. W tym hotelu już byłam – Rawska uprzedziła pytanie Ślęzak – tu, blisko pracy, na jednej z tych uliczek z barami i klubami – jej podbródek powędrował w kierunku okna gabinetu. – Taki mały, podrzędny hotelik, gdzie recepcjonista zna wszystkich gości. Jego też znał, oczywiście, ale jedyne, czego się dowiedziałam, to że nie nocował u nich w czwartek. Ostatni raz widzieli go jakoś po południu, gdy wychodził do pracy.

– Po południu w czwartek? – Ślęzak z dziennikarskiego nawyku nie mogła się powstrzymać przed tym drobnym uściśleniem.

– Tak. Program kończy się o dwudziestej trzeciej i wtedy powinien był wrócić do hotelu, prawda?

– Owszem. – Potwierdziła niechętnie, bo wiedziała, jak może brzmieć kolejne pytanie, ale to, co padło z ust Rawskiej, nie było pytaniem. Było czystą rozpaczą ubraną w kostium zdania oznajmującego.

– Już tam nie wrócił. Zostały wszystkie jego rzeczy. – Rawska była na granicy płaczu i Ślęzak dłużej

nie mogła udawać, że tego nie widzi. – Dałam recepcjoniście parę złotych i wpuścił mnie do jego pokoju. Wszystko tam jest, nawet szczoteczka do zębów. Zupełnie niczego ze sobą nie zabrał.

Boże, błagam, niech ona nie płacze – bezgłośnie modliła się Ślęzak. Nie jestem dobra w pocieszaniu, proszę Cię, nie każ mi przytulać i pocieszać tej kobiety. Im żarliwiej się modliła, tym bliżej była Rawskiej. Przysunęła się ze swoim fotelem tak, by móc przez blat biurka dotknąć jej dłoni.

– Niech się pani nie załamuje, proszę. – Ręka tamtej była zimna i wilgotna. – Pani Justyno, niech się pani trzyma. To jeszcze nic nie znaczy. – Nie wiedziała, co powinna mówić, ale mówiła to, co sama chciałaby usłyszeć w sytuacji równie absurdalnej, co nieprzyjemnej. Jak dotąd nie zakładała na poważnie, że Aleksandrowi mogło się coś stać. Jednak przerażenie jego żony sprawiło, że i ona poczuła chłód zbliżającego się nieszczęścia. A może nieszczęścia, które już tu było i tylko czekało na to, by zostać nazwane?

– Pójdziemy... Pójdzie pani na policję i zgłosi jego zaginięcie. Pójdę z panią, jeśli pani chce. – Tak naprawdę Ślęzak wcale nie chciała tego robić, ale już było za późno, by wycofać się z tak wielkodusznej propozycji. Na szczęście Rawska nie miała ochoty z niej skorzystać.

– Pójdę sama, w porządku. Czy mogę dostać telefon męża? – Udała, że nie zauważa tych kilku łez, które spłynęły jej po policzkach, ale to było już wszystko – uspokoiła się; dzielna, silna kobieta w drogim kostiumie i w butach na praktycznym, niskim obcasie; kobieta, która nie maże się z byle powodu. Anna Ślęzak odetchnęła.

– Oczywiście, zaraz kolega da pani ten telefon. – Nacisnęła guzik interkomu, za pomocą którego porozumiewała się z sekretarką. Ta powinna była zareagować natychmiast, ale Ślęzak wiedziała, że upłynie chwila, zanim przejdzie do swojego biurka od drzwi, pod którymi miała w zwyczaju podsłuchiwać.

– Poproś do mnie Migotę z telefonem Rawskiego – powiedziała, udając, że nie zna powodu zwłoki, z którą zareagowała sekretarka.

– Migota? To z nim rozmawiałam, prawda? – Rawska starała się złapać swoje odbicie w wypolerowanym blacie biurka, tak by sprawdzić, czy jej dyskretny makijaż wciąż jest na miejscu.

– Z nim. Bardzo porządny człowiek, zaręczam.

– Na pewno. Tylko dlaczego odebrał ten telefon dopiero dzisiaj? – W jej głosie było już więcej złości niż zgryzoty.

– Naprawdę sądziliśmy wszyscy, że Aleksander znajdzie się lada moment. I oczywiście nadal jestem przekonana, że tak się stanie – poprawiła się tak szybko, że przy odrobinie dobrej woli można było nie zauważyć niezręczności. – Dziękuję, Tomek – powiedziała Ślęzak, kiedy kierownik produkcji pojawił się z telefonem. Chciała powstrzymać potok pytań, wyjaśnień i zapewnień, z których szkody na pewno byłoby więcej niż pożytku.

– Jeżeli nie chce pani, żeby z panią iść na policję, to chociaż dam pani samochód z kierowcą.

– Nie trzeba, przejdę się.

– Nie zna pani miasta, tak będzie lepiej, naprawdę – nawet dla samej Ślęzak nie było jasne, dlaczego tak bardzo chce, by ta kobieta przyjęła coś od niej. – Tereska – ponownie zwróciła się do sekretarki przez interkom – poproś jednego z chłopaków z wydziału zdjęciowego, żeby wziął samochód i pojeździł dziś z panią.

Mimo że jej gość nie protestował, Ślęzak dodała jeszcze:

– Najbliższa komenda jest tu, w Śródmieściu, ale lepiej będzie, jeśli panią zawiezie.

– Dobrze, dziękuję – powiedziała tamta, nie patrząc na swoją rozmówczynię. Schowała telefon męża do torebki, tak jakby nie chciała przy jego szefowej sprawdzać nieodebranych połączeń. Torebka Justyny Rawskiej była dokładnie taka, jak jej kwadratowe, niepomalowane paznokcie, jak jej krótka fryzura, jak

jej skórzane buty na niskim obcasie – porządna, wytrzymała, praktyczna. Wszystkie te atrybuty solidności i powagi aż zanedbto dawały do zrozumienia, że ich właścicielka twardo stąpa po ziemi, ale Anna Ślęzak miała poważne wątpliwości, czy uda się jej wytrwać w tej sztuce akurat dzisiaj.

– Powodzenia – powiedziała do drzwi, które zamknęły się za żoną zaginionego prezentera.

*

Oboje pracowaliśmy następnego dnia – ja miałam dyżur od wpół do jedenastej, a on program jakoś tuż po południu, ale nie miało to tamtej nocy żadnego znaczenia. Spaliśmy niewiele, nie pamiętając o tym, jak trudne potrafią być poranki – zwłaszcza te ciemne i zimowe po nocach, w których alkoholu jest więcej niż snu. A jednak nie zaczynało się tak źle – uśmiech, pocałunek, słowa dające nadzieję.

– Podoba mi się twoje mieszkanie. Zamierzam być tu teraz częstym gościem.

Zdziwił mnie tylko ten nagły pośpiech. Nie chciał nawet kawy, wyszedł, gdy ja dopiero zaczynałam tradycyjny kołowrót porannych czynności – stanowczo zbyt szybko, trochę jak ktoś, kto po upojonej nocy realizuje wyświechtany scenariusz przedwczesnej ucieczki. Nie zatrzymywałam go jednak; może orzeźwiający spacer na mroźnym powietrzu był tym, czego potrzebował, by zebrać siły do pracy.

– Pewnie teraz chcesz jak najszybciej zostać sama. – Wcale nie chciałam, ale nie zaprzeczyłam, kiedy zęgnął mnie przed drzwiami. – Mamy przed sobą dużo wieczorów, zobaczysz, jak będzie dobrze – powiedział, znikając w oddali korytarza.

Gorąca kawa, chłodny prysznic, kryjący makijaż – Bogu dzięki za niezawodne sposoby na niewyspanie. Spokojnie szykowałam się do wyjścia – kremowa wełniana sukienka, trochę coca-coli na kaca, rzut oka na pasek informacyjny mojej stacji. Dopiero po dłuższej chwili zorientowałam się, że Aleksander zostawił telefon – leżał samotny i porzucony gdzieś pod szafką w przedpokoju i tylko uporczywy dzwonek sprawił, że go znalazłam. Pewnie trafił tam wczoraj, kiedy żadne z nas nie miało głowy do porządków – części mojej garderoby wciąż leżały gdzieś na podłodze jak nieme dowody autentyczności szalu wczorajszych uniesień.

Nie sądziłam, że będzie z tym telefonem jakikolwiek problem – postanowiłam oddać mu go w pracy, zwalczwszy pierwiej nader silną pokusę sprawdzenia, czy są w nim esemesy od Paulinki. Nawet jeśli są, to już i tak nie mają żadnego znaczenia, pomyślałam, wrzucając jego telefon do swojej torebki. Tymczasem nieszczęsna zguba nie przestawała dzwonić – wyświetlacz pokazywał „Justyna”. No tak, przecież on ma żonę – uświadomiłam sobie z nagłą goryczą. Rzecz jasna, wiedziałam o tym, ale w kontekście wczorajszej nocy wydawało się to zupełnie nierzeczywiste.

Właściwie nie wiem, jak to się stało, że wyszłam z domu tylnymi drzwiami – z tamtej strony miałam pewnie bliżej do kiosku, a chciałam jeszcze kupić gazety. Droga do pracy była tak lekka jak nigdy, a niestrudzenie padający śnieg przypominał mi nasz wczorajszy szalony spacer. Zmieniając koleżę udręczonego porankiem, uśmiechałam się szerzej niż zwykle. Nawet ponura, ciemna reżyserka – normalnie przypominająca bunkier albo najeżony elektroniką statek kosmiczny – dzisiaj wydawała się ładniejszym miejscem, a czujniki dziesiątek monitorów mrugały do mnie jakoś przyjaźniej. Ledwie na serio zabrałam się do pracy, zadzwonił telefon. Mój telefon. Wyświetlacz pokazywał jeden ze stacjonarnych numerów redakcji.

– Gdzie ty, kurwa, jesteś? – Skurcz w dole brzucha zastąpił mój dobry nastrój.

– W pracy. A gdzie niby mam być?

– Jakim cudem jesteś w pracy, skoro nie widziałem cię, jak do niej idziesz?

– Nie rozumiem – to było jedyne, na co mogłam się zdobyć wobec bezmiaru złości w głosie Aleksandra. – Mam twój telefon, muszę ci go oddać.

– No mam nadzieję. Jesteś na drugim piętrze? Zaraz tam będę. – Odłożył słuchawkę, nie czekając na moją odpowiedź. Choć absolutnie nie powinnam tego robić w trakcie trwania programu, wyszłam

z reżyserki.

– Zabaw się przez chwilę w zonglera – poprosiłam kolegę, którego zadaniem było emitowanie stworzonych przeze mnie napisów. Nikt nie zauważył mojego wyjścia poza Piotrem – realizatorem, który rzucił mi szybkie spojrzenie znad swego stołu pełnego guzików i gałek.

Na korytarzu jak zwykle kręciło się mnóstwo ludzi – reporterzy biegali z dyskami, ekspres do kawy w przycupniętym pod ścianą barku działał pełną parą, do palarni zmierzały grupki złąknionych nikotyny. Aleksander nie wyglądał na zmęczonego – może to złość dodawała jego rysom wyrazistości. Stanowczym ruchem wyjął mi z ręki swój telefon.

– Czekałem na ciebie. Półtorej godziny czekałem, aż wyjdiesz do pracy – pomyślałam o śniegu, mrozie i jego stanowczo za cienkim płaszczu. A także o kacu, niewyspaniu i poczuciu zmarnowanego czasu. – Chciałem odebrać od ciebie ten pieprzony telefon, ale ty się, kurwa, zapadłaś pod ziemię.

– To niemożliwe, wyszłam po prostu z domu. – Nie wiem, dlaczego nie powiedziałam mu o drugich drzwiach. Może dlatego, że było kwestią chwil, zanim zaczniesz mnie szukać wydawca programu, który właśnie trwał beze mnie? Albo dlatego, że coraz bardziej kręciło mi się w głowie? A może dlatego, że jego zimna złość była ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewałam po gorących szeptach minionej nocy.

– Zresztą mogłeś po prostu wrócić do mnie po ten telefon. – Niepozorne drgnienie w jego twarzy, ledwie dostrzegalna zmiana w liniach zmarszczek wokół oczu, nieco mocniej zaciśnięte palce. – Tylko mi nie mów, że nie pamiętałeś, gdzie mieszkam.

Jeszcze zanim te słowa wybrzmiały do końca, wiedziałam, że tak właśnie jest. Czy w ogóle pamiętał, gdzie spędził ostatnią noc? I na czym mu ona minęła? Dobry Boże, niech chociaż nic nie mówi – wtedy będę mogła udawać, że to tylko zły sen, przywidzenie, błąd w interpretacji. Może nawet w to uwierzę.

Niektóre spojrzenia zza szklanej ściany palarni stawały się trochę zbyt badawcze. Podałam mu swój adres – dokładnie, z numerem mieszkania, jak na poczcie.

– Mam nadzieję, że na przyszłość będziesz wiedział i zrobisz z tej wiedzy użytek. – Przelotne dotknięcie rękawa jego marynarki było wszystkim, co mogłam zrobić, zanim odwrócił się w stronę schodów i odszedł. Bez słowa.

*

Maj – miesiąc najdłuższych spacerów i najdalszych wypraw do lasu. Zawsze nad wieczorem i przed zmierzchem, zawsze o tej godzinie, w której złoto zaczyna powlekać się warstewką szarości. Zawsze wtedy, kiedy wciąż jeszcze jest widno, ale wiadomo, że słońce już zaszło. Kiedy kolejny zły dzień zmierza do finału. Miałem nadzieję, że któryś spacer będzie wystarczająco długi, a któraś wyprawa dość odległa, by skrócić te przekłete wieczory. Przekłete swoim pięknem, przekłete moją samotnością. Chodziłem dziennie nieraz i po piętnaście kilometrów, nawet mój pies miał dosyć. Akita – japońska rasa myśliwska; Samuraj był duży, mądry i z nutką agresji we krwi. „Będzie potrzebował długich spacerów” – powiedział weterynarz, myśląc o instynkcie walki i polowania przechowanym przez pokolenia w pazurach, kłach i supłach mięśni pod biało-rudym futrem. Poruszał się dostojnie, szybko i prawie bezszelestnie. Był groźny, choć ukrywał to pod pozorem ociężałości i spokoju. Jak japońscy wojownicy patronujący jego imieniu, jak jego przodkowie hodowani do walk, jak zabójcy, którym cywilizacja przypisała nowe role. Role, w których się odnaleźli, ale z których potrafią wyjść w mgnieniu oka. Jeden skok masywnego ciała, trochę krwi, kilka rozerwanych tkanek – i już, przeznaczenie spełnione, ofiara nie żyje. Potrafił zaatakować, chociaż pięknie udawał, jaki jest grzeczny i dobry. Ot, zupełnie niegroźna przytulanka o puszystym futrze. Sztukę ukrywania swej natury Samuraj opanował do perfekcji – umiał się nawet uśmiechać. Prawie jak jego pan, kiedy Rawski witał się z nim na korytarzu.

Mój pies potrzebował spacerów, chyba jednak ja potrzebowałam ich bardziej. On rzecz jasna to wiedział – kiedy na leśnych polanach spuszczałem go ze smyczy, ani myślał biegać. Patrzył na mnie

swoimi zmrużonymi oczami i nawet nie udawał, że się uśmiecha. Przecież doskonale wszystko rozumiał – wiedział, dla kogo przemierzamy te kilometry i który z nas naprawdę tego potrzebuje. Zazwyczaj pod mądrym wzrokiem swojego groźnego psa myślałem wtedy o niej – o tym, że śni mi się każdej nocy i że chciałbym podejść do niej i poprosić, by przestała. Przecież to nieładnie nachodzić kogoś co noc. Czasem myślałem o Rawskim, o tym, jak bardzo źle mu życzę i jak dalece mi za to wstyd. A niekiedy myślałem o swojej żonie. Był czas, kiedy chciałem, by wróciła; teraz chciałem już tylko wiedzieć, dlaczego odeszła. Dlaczego zostawiła mnie w domu, który dla niej zbudowałem, dlaczego obietnica musiała zostać złamana, dlaczego złe zakończenie jest obowiązkiem, a nie opcją. „Rzygam tę twoją ciągłą opieką, nie potrzebuję niańki” – powiedziała. Nie mieliśmy nawet dziecka, które mogłaby mi zostawić, którym mógłbym się zająć, które mógłbym kochać. Nie miałem nikogo – był tylko Samuraj i moje sny.

Co noc widziałem twarz Joanny, widziałem ją po przebudzeniu i przed zaśnięciem. Mówiłem sobie, że już wcale nie myślę o niej, że właściwie w ogóle jej nie znam, tylko jeszcze żeby przestała śnić mi się każdej nocy. Nie przestawała. Dni w pracy były przez to jeszcze trudniejsze. Zwłaszcza takie jak dziś, kiedy beztrąsko umawiała się z Rawskim. To musiało być właśnie to – musiała się z nim umawiać. Na pieszczoty, na seks, na rozrywkę, za którą przyjdzie jej płacić zawyżony rachunek w emocjonalnej walucie. Kiedy usłyszała dźwięk esemesa, tak szybko chciała go przeczytać, że aż telefon wypadł jej z rąk. Podałem go jej, chociaż chciałem zacisnąć dłoń w pięść, a resztki tego, co zostanie, wyrzucić do kosza. „Uważaj”, powiedziałem. Uważaj na Rawskiego, uważaj na kosztowne zabawy, uważaj na tych, którzy biorą, nie dając. Musiała zrozumieć, że ma uważać na telefon. Niezręcznie, źle, fatalnie. Bolała mnie ta zachłanność w jej wzroku, ten uśmiech, który pojawił się natychmiast po tym, jak przeczytała wiadomość. Musiała być od niego – inaczej przecież to napięcie, które rozświetlało jej oczy, nie kazałoby jej wyjść na papierosa i zapalać go drżącą ręką. Nie mogłem nie wyobrazić sobie ciągu dalszego. Nie mogłem nie zastanawiać się nad tym, co pisze, wystukując odpowiedź długim, czerwonym paznokciem swojego kciuka. O czym myśli, wydychając dym. Joanna wróciła z palarni, rozbrzmiał kolejny sygnał przychodzącej wiadomości. Propozycja, odpowiedź i dogranie szczegółów. A może obietnica, zaproszenie i przedsmak? Napisała coś jeszcze, to musiało być coś krótkiego. „Tak, przyjdź” albo „Dobrze, po pracy”. „Czekam”, w ostateczności. Tylko dotąd pozwoliłem sięgnąć swojej wyobraźni, dopóki widziałem ją tuż obok w fioletowej sukience, pięknej i obcisłej jak futerał. Futerał na wiolonczelę jej talii i bioder. Teraz, gdy byłem sam, wieczorem, w lesie, obracałem w myśli wszystkie pominięte detale, wszystkie nieprzećwiczone sceny bolesnego scenariusza, wszystkie przypuszczenia graniczące z pewnością. A może już z obsesją?

*

„I gdzie są te nieprzystojne esemesy, które mi Pan obiecał?”. Wiedziała, że nie powinnam była pisać do niego pierwsza, ale ta potrzeba była silniejsza ode mnie. Od tamtej nocy, tamtych obietnic, wyznań i zapewnień minęło kilka dni. Kilka bardzo długich dni, podczas których nie wydarzyło się zupełnie nic. Oczywiście, jeśli za nic uznać pracę, czytanie, rozmowy przy kawie i te wszystkie inne czynności, które normalnie składają się na życie, ale akurat teraz były tylko nic nieznaczącymi wypełniaczami czasu między kolejnymi zerknięciami na telefon. Jakoś tak wyszło, że nie pracowałam wieczorami – nie widywałam go więc; poza tym nie był przecież cały czas w mieście – Aleksander nigdy nie pracował przez wszystkie dni tygodnia, co najmniej kilka razy w miesiącu wracał do siebie, do Opoła, do żony. Mimo że spędzał tu tak wiele czasu, nigdy nie przeprowadził się do Warszawy – pojawiał się zawsze niejako na gościnne występy; może to atmosfera wycieczki, klimat delegacji biorący wszystko w nawias, obcy dotyk hotelowej pościeli – może właśnie to pozwalało mu na tę nieskrępowaną swobodę, z jakiej tu korzystał. Z jakiej – miałam nadzieję – będzie korzystał tu ze mną.

„A ma Pani nastrój?” – esemes od niego po chwili stanowczo zbyt długiej jak dla dziewczyny na

krawędzi desperacji.

„Jakże mogłabym nie mieć po tym, jak obiecał mi Pan wszystkie świństwa świata”. To był koniec – ani jednej wiadomości więcej. Tak jakby nagle znudził się pisaniem do mnie. Albo, co gorsza, jakby przeraził się swojej własnej obietnicy, którą przypominałam mu po tym, jak zdążył ją już zapomnieć. Stała mi przed oczami scena z korytarza przed reżyserką – czy naprawdę mógł nie pamiętać? Czy to wszystko mogło nie mieć dla niego żadnego znaczenia? To była tylko zabawa, która skończyła się wraz ze świtem?

Niedługo później spotkałam go w pracy – wiedziałam, że to nieuniknione, ale ta wiedza nie czyniła niczego łatwiejszym. Ten dzień był jednym z tych, przez które praca w mediach tak diametralnie różni się od każdego innego zajęcia. Strzelanina w amerykańskiej szkole, dwadzieścia siedem ofiar uzbrojonego psychopaty, horror na żywo. Krew na szkolnych ławkach, zabite dzieci, napastnik zastrzelony przez dzielnych – aczkolwiek spóźnionych – policjantów. Kolejni eksperci zaproszeni do wydań specjalnych rozwodzili się nad zgubną miłością Amerykanów do broni, dyżurni psychologowie na telefon tłumaczyli widzom możliwe skutki traumy u ocalonych, napisy w ostrzegawczych barwach fruwały po ekranie jak wielkie wykrzykniki. Wreszcie kilka minut przerwy, jedyna chwila, by wyskoczyć do łazienki, po kawę, na papierosa. Właśnie wtedy go zobaczyłam – szłam schodami, jedno piętro w dół. Aleksander stał przy windzie – byliśmy sami na pustym korytarzu. Spojrzał na mnie na moment, odwrócił wzrok, później patrzył już tylko w głąb szybu windy. Tak jakby był to najbardziej interesujący widok świata. Nie wiem, ile stopni miałam do zejścia, ale poczekał, aż pokonam je wszystkie. „Dzień dobry” powiedział na sekundę zanim zniknęłam w drzwiach newsroomu. Za późno. O wiele za późno. Po namyśle stanowczo zbyt długim, bym nie zrozumiała, że zdecydował się na to w ostatniej chwili. W ostatniej chwili, aż do której tak nieporuszenie udawał, że mnie nie poznaje. Tak jakby nie mnie obejmował tydzień wcześniej, tak jakby nie mnie całował, jakby komuś zupełnie innemu obiecywał uniesienia. Stałam na środku newsroomu, kompletnie nie pamiętając, po co tam przyszłam. Wokół mnie fruwały kartki z listą pośpiesznie zaproszonych gości, przekleństwa miotane pod adresem zbyt opieszłych montażystów, polecenia nerwowo wypluwane przez wydawców.

– Kurwa, dlaczego obrazki są jeszcze niegotowe, przecież za pięć minut wracamy na antenę!

– Zośka, ogarnij to, do cholery, specjalista od broni nie odbiera telefonu.

– Wydrukuj mi scenariusz, przecież bez niego nie wejdę do studia!

Stałam w środku tego wielkiego zamieszania, tak jakby w ogóle mnie ono nie dotyczyło. Stałam daleka od tego ferworu, zgiełku i hałasu. Stałam z opuszczonymi dłońmi, jak marionetka, o której zapomniał lalkarz. Teatrzyk skończony, niewidzialne nitki zerwane, lalka już niepotrzebna.

*

„Wilcza” – głosiła niebiesko-czerwona tabliczka na białym murze starej kamienicy, w której – jak obwieszczal szyld i wyblakłe napisy na markizach – mieścił się salon urody.

– To tutaj? – Rawska zapytała ostrzyżonego na jeża młodzieńca, który z łaski szefowej Kanału Szóstego robił dziś za jej kierowcę.

– Prawie tutaj, dosłownie kilka domów dalej. Tu akurat było się gdzie zatrzymać, więc gdyby pani była uprzejma się przejść... Zaczekam tu.

– Oczywiście – przez twarz kobiety przemknął ledwie widoczny grymas, ale młody kierowca, który we wstecznym lusterku widział tylko pół jej oblicza, nie wiedział, czy przypisać go niechęci do małego spaceru, czy ogólnemu rozdrażnieniu pasażerki. Wiedział, kogo wozi, i już nie mógł się doczekać tych wszystkich wlepionych w niego spojrzeń, gdy będzie relacjonował kolegom swoje wrażenia.

Justyna Rawska nigdy nie była w tej części Warszawy. W ogóle nie знаła miasta – jakoś tak wyszło, że chociaż jej mąż pracował tu długie lata, ona nie towarzyszyła mu w jego podróżach. Właściwie stolicę

znała tylko z opowieści; może jeszcze z filmów albo z licealnej wycieczki szkolnej ponad ćwierć wieku temu. Ale wtedy wszystko było tu inne. Szła ulicą, która musiała być jedną z tych nielicznych, gdzie przetrwało sporo przedwojennych kamienic. Miała oko wyczulone na sztukę – nawet w tej sytuacji nie umknęła jej uroda marmurowych gzymsów i kutych balustrad balkonowych budynku po drugiej stronie ulicy. Minęła piekarnię, pralnię, szkołę tańca i sklep z kwiatami – dopiero wtedy dotarła na miejsce. Chciała iść dalej, chciała udawać, że to winiarnia tuż obok albo jakaś niewinna kawiarenka jest jej celem. Granatowy szyld „Policja”, bura kamienica, której wieku nie dało się określić, wysoki podjazd, na który należało się wspiąć właściwie nie wiadomo po co. Nie chciała tam wchodzić; najbardziej na świecie Justyna Rawska nie chciała tam wchodzić. Zatrzymała się niezdecydowana – stała przed komisariatem, przestępując z nogi na nogę. Jeszcze chwilę, jeszcze jeden oddech, może kiedy na moment zamknę oczy, Aleksander będzie obok. Zamknęła, otworzyła, Aleksandra nie było. Był za to kiosk, dokładnie naprzeciwko. Rawska nie paliła od czasu, gdy zaszła w ciążę, czyli od siedemnastu lat. Teraz jednak ogarnęła ją przemożna chęć zaciągnięcia się, nieodparte pragnienie gryzącego dymu, wręcz fizyczna potrzeba, by zająć czymś palce. Przeszła na drugą stronę ulicy, choć w tym miejscu nie było pasów.

– Poproszę papierosy.

– Jakie? – Znudzony kioskarz niechętnie oderwał się od krzyżówki.

– Nie wiem. Jakiegolwiek. – Podał jej paczkę, a w jego oczach było coś na kształt obraźliwego politowania. Nie przejęła się, nawet tego nie zauważyła. – I jeszcze zapalniczkę.

Tak zaopatrzona mogła wrócić na swój kawałek chodnika przed komisariatem. Dym z papierosa wcale nie był mocny, ale i tak się nim zakrzuszyła. Zakręciło jej się w głowie – minęło tyle lat, odkąd paliła po raz ostatni, a mimo to jej organizm najwyraźniej przypominał sobie zapomnianą przyjemność. Co za prymitywna gra na czas, jakie to dziecinne i niepoważne – wiedziała to doskonale, ale nie mogła przecież zgasić papierosa wypalonego tylko do połowy. Bardzo chciała zapalić drugiego, ale w żadnym razie nie dałaby już rady – lekki zawrót głowy przechodził właśnie w nieprzyjemne mdłości. Zgasła niedopałek obcasem, a była to rzecz, której w normalnych okolicznościach Justyna Rawska nigdy by nie zrobiła. Rzecz przyszła i niepewna, jak mawiał jej mąż. A później po prostu podeszła w górę dziwnym podjazdem i pchnęła drzwi.

*

Joanny nie było dziś w pracy. Nie lubiłem dni bez niej – kiedy oboje mieliśmy dyżur, nie tylko mogłem na nią patrzeć. Wiedziałem też, gdzie jest i co robi, nawet jeżeli jej zajęciem była akurat korespondencja z Rawskim. Kiedy nie pracowała, zawsze gdzieś z tyłu mojej głowy uparcie kołatała się myśl, że jest z nim. Nie wiesz, co robi ani z kim – karciełem się nieustannie, ale i nieustannie widziałem ją w ramionach Rawskiego. Jego objęcia ją dusiły. Ale nie w tamten ciepły, majowy wieczór. Wtedy ona miała wolne, a Rawski był w pracy; wychodząc po ostatnim serwisie, widziałem, jak kieruje się w stronę metra. Bogu dzięki, przynajmniej nie szedł do niej; wiedziałem, że ona zawsze rusza gdzieś w przeciwną stronę. Nie wsiadłem od razu do samochodu, musiałem jeszcze kupić karmę dla psa. Niedobry pan ze mnie – zaniedbałem Samuraja, a jedyne, na co mogłem liczyć o tej porze, to całodobowy spożywczy z asortymentem monopolowym dużo szerszym niż wybór psich przysmaków. Nie było wyjścia, jakąś puszkę muszą przecież mieć. Był piątek – samotny, nieco przerażony sprzedawca uwijał się wśród licznych spragnionych. Na liście pragnień dominował alkohol, papierosy i prezerwatywy – przygotowania do gorączki piątkowej nocy, ostatnie zakupy przed imprezą, kompletowanie zestawu na biforek czy jak oni teraz ten rozbieg nazywają. Wszedłem między półki – żelazny zestaw chipsów, słonych paluszków i delicji. Mimo to nie traciłem nadziei na jakiś Pedigree Pal albo Chappy. Moje starania zostały nagrodzone – dostrzegłem znajomy kształt psich puszek na sąsiednim regale. Odslonięta

przestrzeń między półkami, widok na oblegane stoisko monopolowe i na kolejkę do kasy. W tej kolejce stał Rawski – marynarke, w której przed chwilą występował na wizji, miał nonszalancko przewieszoną przez ramię. Koszula z telewizyjnych występów, ale już bez krawata; musiał zdążyć go zdjąć i upchnąć gdzieś do kieszeni. Chyba nie był szczególnie przywiązany do swoich krawatów. Płacił właśnie kasjerowi. Pół litra czystej wódki – to były całe jego zakupy. Żadnego soku, żadnego zestawu imprezowego, jakby po prostu kupił sobie coś do picia. Wodę mineralną prawie. Odchodząc od kasy, włożył butelkę do papierowej torby, o którą poprosił sprzedawcę. Butelka w torbę, torba pod pachę i do wyjścia. Tuż przed drzwiami coś go zatrzymało – irytujący dźwięk fabrycznie ustawionego dzwonka rozbrzmiewał na cały sklep, dopóki Rawski nie znalazł telefonu w którejś z kieszeni.

– Tak, jadę. Jadę dzisiaj. O północy mam autobus. Niedługo, znaczy się. Nie, nie spóźnię się. Jak to gdzie jestem? W sklepie, zakupy na drogę robię.

Zakupy na drogę. Nigdy nie jechałem nocnym autobusem do Opolu, ale to musiała być kilkugodzinna podróż. Cztery, pięć godzin, może nawet więcej. Monotonna droga przez ciemność, niewygodne fotele, więzienie trzęsącego się pudła. Koszmar, którego całe życie starałem się unikać – mężczyzna tylko na sobie samym może polegać i nie ma tu wyjątku dla zbiorowych środków transportu. Jednak Rawski wyglądał na całkiem zadowolonego, kiedy wreszcie wyszedł ze sklepu. Widać zamierzał odpowiednio znieczulić się na trudy dalekiej podróży. Nocna jazda i właśnie nabyta jej towarzyszka pospołu go ukołyszają. Im więcej wiedziałem, tym mniej rozumiałem Joannę. Co z niego był za mężczyzna? Kilka kilogramów za dużo, parę centymetrów za mało, gigantyczne ego. I jeszcze do tego zdeklasowany pijak.

*

– Słucham panią – odezwał się dyżurny zza kontuaru, kiedy wreszcie nadeszła jej kolej. Przed nią było jakichś dwóch nieszczęśników mówiących tylko po rosyjsku, emeryt w pikowanej kamizelce wymachujący listą dóbr skradzionych z jego mieszkania, młodzieniec z rozbitym nosem i zdartymi knykciami.

– Ja... chciałam złożyć zawiadomienie o zaginięciu – nie wiedziała, co powiedzieć; była wdzięczna, że akurat przyszły do niej słowa, których użyła rezolutna szefowa jej męża.

– A co się stało? – Nie była przygotowana na to, że będzie musiała zdawać szczegółową relację ze swego nieszczęścia przy recepcji, wśród wchodzących i wychodzących, w tłumie zarówno tych, którzy wyglądali na poszkodowanych, jak i tych, których można było wziąć za sprawców. Chłopak w dresie i białych adidasach siedzący na krzesełku nieopodal słyszał wyraźnie każde jej słowo.

– Zaginął mój mąż.

– Zaginął, to znaczy ile go nie ma? Bo wie pani, jak to bywa z mężami, którzy wychodzą z domu... Wychodzą, potem wracają, nie ma potrzeby od razu ich szukać. – Porozumiewawczy uśmiezek funkcjonariusza pewnie miał być przyjazny. Rawska poczuła, jak bardzo ją mdli.

– Skończył pracę w czwartek o dwudziestej trzeciej, od tamtej pory się nie pojawił.

– Znaczy się, nie wrócił do domu przez dwie noce?

– To nie tak... My nie mieszkamy razem. To znaczy mieszkamy, ale... – Rawska zapatrzyła się na strużki krwi wypływające spod palców, którymi pobity chłopak trzymał się za nos. Jego krew była tak czerwona, że przypominała raczej rekwizyt teatralny, przerysowaną charakteryzację. Ketchup.

– To w końcu mieszkacie czy nie? – Policjant za kontuarem wydawał się tracić cierpliwość.

– Mieszkamy, tylko w Opolu. A mąż przyjeżdża do pracy do Warszawy i wtedy tu nocuje. Sam – dodała, mimo że akurat tego nie mogła być do końca pewna.

– Czyli widziano go ostatni raz w Warszawie? Bo jakby w Opolu, to tam powinna pani składać zawiadomienie...

– Nie, nie w Opolu. Tutaj. – Nie spodziewała się, że pan w granatowym mundurze aż tak usilnie

będzie próbował się jej pozbyć. Pożałowała, że nie zabrała ze sobą Anny Ślęzak.

– Niech pan posłucha – zacisnęła palce na krawędzi blatu, który oddzielał ją od policjanta. – Mój mąż jest prezenterem telewizyjnym, wyszedł z pracy w czwartek po programie i od tamtej pory ślad po nim zaginął. Mamy sobotę i chcę zgłosić jego zaginięcie. Czy przyjmie pan moje zgłoszenie, czy każe mi szukać go przez media, zamiast przez was?

Podziałało.

– Przyjmiemy pani zawiadomienie, oczywiście. Opowie pani wszystko chłopakom od zaginięć, oni się zajmą sprawą. Proszę chwilkę poczekać – wskazał jej wolne miejsce tuż obok naburmuszonego chłopaka w dresie. Jego spojrzenia spod bejsbolówki naciągniętej na oczy w żaden sposób nie można było uznać za zapraszające, ale i tak usiadła. Tymczasem policjant zza kontuaru pogrążył się w rozmowie telefonicznej. Słuchawka przy jego uchu była staromodna, w kolorze brudnej bieli; wyglądała na wykonaną z bakelitu. Justyna Rawska miała dobre oko do materiałów – to był tylko plastik, i to prawdopodobnie chiński.

– Halo? Aspirant Główka z dołu. Mamy tu panią z telewizji, która chce zgłosić zaginięcie. Zejdzie tu któryś z was po nią? Okej, dzięki. Już za chwilę – rzucił w kierunku Rawskiej. – A kto z państwa do podpisania protokołu skradzionych rzeczy? Pan? No to zapraszam.

Emeryt w pikowanej kamizelce ruszył krokiem tak zwawym, o jaki nikt by go nie podejrzewał. Rawska patrzyła na tych wszystkich oczekujących, na aspiranta Główkę wymachującego jakimś papierem, na dwóch panów przemykających między recepcją a pokojem z napisem „Pomieszczenie do odtwarzania nagrań z monitoringu”. Na ogromnym plakacie na wysokości jej oczu mały chłopczyk w za dużym mundurze policyjnym salutował nieudolnie do czapki z generalskim otokiem. „I Ty możesz zostać generałem” – głosił podpis. Jak dobrze, że mam córkę, pomyślała Rawska. Nie było jej już niedobrze; po prostu ogarnęło ją znużenie. Może tak właśnie działa świadomość nieuchronności? Trafiła w tryby maszyny, które miały powoli, dokładnie, zapamiętałe. Nic już się nie ukryje, nic nie zostanie pominięte, nic nie będzie jej oszczędzone. Będzie musiała przez to przejść – krok po kroku, niezależnie od wszelkich nieprzyjemności, sama. Przez jedną ulotną chwilę pomyślała: czy warto? Czy warto dla niego? Myśl odfrunęła jak ważka; rosły mężczyzna w bluzie z kapturem pochylił się nad jej twarzą.

– To pani w sprawie zaginięcia?

– Ja.

– W takim razie proszę za mną. – Nie wyglądał jak policjant; raczej jak jeden z tych, którzy przed policją mają się na baczości. Sportowe buty, workowate spodnie, otwarta puszka coli w dłoni. Przeszedł z Rawską na drugą stronę pomieszczenia i otworzył przed nią solidne, szklane drzwi. Tam, gdzie się znaleźli, było zupełnie pusto.

– Pojedziemy na szóste piętro, do nas do wydziału. Proszę. – Przytrzymał jej drzwi windy.

– Ta maszyna się nie zatnie? – Rawska nie mogła się powstrzymać na widok zabytku z wewnętrznymi drzwiami ze sklejki i z guzikami, których nie dało się uruchomić jednym naciśnięciem.

– Nie powinna. – Mężczyzna uśmiechnął się. Miał krótko ostrzyżone włosy, jasne oczy, napis „Shame on you” na bluzie w obrzydliwie jaskrawych kolorach. Gdyby Justyna Rawska miała syna, nie pozwoliłaby mu takiej nosić.

– Pani z telewizji? – zapytał. Uśmiech wokół jego ust nie był ironiczny, raczej pełen zainteresowania.

– Nie. Nie jestem panią z telewizji. Mój mąż pracuje w telewizji.

– I to właśnie on zaginął?

– Tak.

– Interesujące. – Sposób, w jaki to powiedział, tak dalece kontrastował z jego bluzą i sportowymi butami, że Rawska nie wiedziała już, co o nim myśleć. Korytarz, na którym wysiedli z windy, był długi

i ciemny mimo białego koloru ścian. Wypaczone linoleum na podłodze, odstające drewniane listwy, pootwierane drzwi do pokojów, skąd widać było kraty w oknach i biurka pamiętające epokę maszyn do pisania.

– Proszę tutaj. – Pięć biurek, ale tylko jeden komputer, czajnik na parapecie, stosy papierów piętrzące się na blatach i na podłodze. Przy jednym z biurek siedział mężczyzna: jakieś trzydzieści lat, trochę dłuższe włosy i żadnej bluzy.

– Proszę, niech pani siada i opowie nam wszystko. – Żaden z nich się jej nie przedstawił. – I jeszcze jakbym mógł prosić pani dowód osobisty.

Nie musiała go długo szukać; w jej torebce wszystko było porządnie poukładane, każda rzecz w swojej przegródce. Położyła plastikowy kartonik na biurku i wzięła głęboki oddech.

– Właściwie nie wiem, od czego zacząć. – Poczowała się dziwnie pod wzrokiem dwóch mężczyzn. Skupionych, zainteresowanych, nie do końca przyjaznych.

– Najlepiej od początku – odpowiedziała jej eskorta z windy. Niech tak będzie, amen.

– Mieszkamy z mężem w Opolu, ale mąż pracuje w Warszawie.

– Od jak dawna? – wtrącił się ten zza biurka.

– Od półtora roku, jakoś tak. W telewizji, w Kanale Szóstym.

– Kanał Szósty... znamy ich, znamy. – Mężczyźni uśmiechnęli się do siebie. A może i do niej. – Informują czasem o sukcesach stołecznej policji.

– A czasem o wypadkach. No nic, proszę dalej. – Ten w bluzie pociągnął łyk ze swojej puszkii z colą.

– Mąż prowadził program w czwartek wieczorem. „Przegląd Dnia”, tak się nazywa. Ten program. – Policjanci patrzyli na nią wyczekująco. – Wyszedł z firmy tuż po dwudziestej trzeciej i powinien był pójść do hotelu, w którym mieszkał. Nie pojawił się tam.

– Była już pani u nich?

– Byłam. – Rawska przypomniała sobie schludnie zasłane łóżko, laptop Aleksandra, zmiętą czwartkową gazetę na stoliku.

– Kiedy miała pani ostatni kontakt z mężem?

– W czwartek, koło dwudziestej drugiej. – Rawska splotła dłonie na kolanach. Miała zaskakująco solidnie zbudowane ręce; silne, mocne palce zakończone krótko obciętych, kwadratowymi paznokciami. – Napisał mi esemesa, że zostaje na noc w Warszawie. Bo czasem się zdarzało, że wracał do domu.

Nie wyjaśniła nic więcej, nie miała siły tłumaczyć im kulis tego, jak wymogła na nim nocne jazdy do Opola i dzienne powroty do stolicy na program.

– Później dzwoniłam do niego, ale nie odbierał.

– Czy to mu się wcześniej zdarzało? Zdarzało mu się nie odbierać telefonów od pani? – Domyślała się, do czego może prowadzić to pytanie, ale mimo to odpowiedziała:

– Zdarzało.

Mężczyźni wymienili między sobą spojrzenia. Spojrzenia pełne znaczeń.

– W piątek po południu powinien był pojawić się w pracy – kontynuowała Rawska. – Znów na swój wieczorny program. Ale się nie pojawił.

– I kto go poprowadził?

– Koleżanka, z którą zazwyczaj występują razem – nie chciała wdawać się w szczegóły, których i tak nie znała z pierwszej ręki. – Ludzie z pracy, szukając Aleksandra, odkryli, że jego telefon cały czas leżał na jednym z biurek. Ściszone. Ja dzwoniłam do niego też w piątek. I w sobotę rano. Dopiero wtedy ktoś odebrał i mi to wszystko opowiedział. I wtedy przyjechałam i...

– Była pani u niego w pracy?

– Tak.

– I w hotelu?

– Tak.

– I co?

– I go nie ma. – Rawska poczuła w całej pełni ciężar tego zdania. Policjanci wcale nie kazali jej się tłumaczyć, ale ona po prostu musiała. – W czwartek wieczorem w ogóle się nie przejęłam, ale to chyba normalne, prawda? Widziałam go na ekranie tuż przed tym, zanim zadzwoniłam, więc wszystko musiało być w porządku. Zaniepokoiłam się trochę, kiedy nie odbierał w piątek, ale... mężowi zdarzało się wypić i...

– W porządku, wszystko w porządku. – Młody policjant wyszedł zza biurka i opiekuńczym gestem położył jej rękę na ramieniu; to było miłe i dzięki temu mogła mówić dalej.

– Dopiero kiedy zobaczyłam piątkowy „Przegląd Dnia”... Kiedy zobaczyłam program bez niego... wtedy naprawdę zaczęłam się martwić. Dzwoniłam i dzwoniłam... Zastanawiałam się, czyby nie przyjechać już wtedy, ale to był środek nocy... więc poczekałam do rana. No i wtedy... wtedy już przyjechałam.

Jeden z policjantów – ten miłszy, wrócił za biurko; ten posepniejszy znacząco pokiwał mu głową.

– No tak, czyli ewidentnie mamy zaginięcie. Teraz złoży pani formalne zeznanie, zaraz kolega wszystko spisze. – W wyrazie twarzy Rawskiej było coś, co zmusiło go, aby dodał: – Proszę się nie denerwować, większość zaginionych, zwłaszcza dorosłych mężczyzn, odnajduje się w ciągu kilku dni. Jak się nazywa pani mąż?

– Aleksander Rawski. – Wydało jej się kuriozalne, że pytają o to dopiero teraz.

– Zna pani jego PESEL?

– Znam.

– Sprawdzimy w bazie, może na przykład został zatrzymany.

Słowa jak obrazy; słowa, które przywołują odgłos zatrząskiwanych krat, zapach lizolu, szczęk kajdanek zamykających się na nadgarstkach. Tak – pomyślała – tak, chciałabym, żeby był w więzieniu. Była zdziwiona, kiedy podane przez nią jedenaście cyfr zamieniło się na ekranie komputera w gęsto zadrukowane trzy strony. Niezręcznie jej było zaglądać policjantowi przez ramię, ale widziała komplet informacji na temat prawa jazdy, wszystkich kiedykolwiek posiadanych przez Aleksandra samochodów i meldunków, historii mandatów, nabytych nieruchomości, spraw sądowych i aktów notarialnych z jego udziałem.

– Mąż nigdy nie siedział w areszcie, prawda?

– O ile wiem, to nie. – Wysiliła się na blady uśmiech.

– Niczego przed panią nie zataił – policjant odwzajemnił uśmiech i jego paskudna bluza przez chwilę wydała się Rawskiej odrobinę ładniejsza. – Nie siedział ani nigdy nie był zatrzymany. Teraz też nie.

– Szkoda – powiedziała, nie zastanawiając się nad sposobem, w jaki policjanci mogą zinterpretować te słowa.

– Potrzebujemy jego rysopisu. Rozumie pani, do poszukiwań. – Odszedłszy sprzed monitora, wyczarował nagle długopis i jakąś tabelkę. – Wzrost?

– Metr siedemdziesiąt trzy. – Na jej usta zabłąkał się cień uśmiechu; za kilka dodatkowych centymetrów wzrostu dałby się pokroić, ale nawet gdyby go kroili, nie przyznałby się do tego.

– Waga?

– Osiemdziesiąt kilo. – Stanęły jej przed oczami wszystkie te chwile, kiedy podawała świeżo upieczone ciasto albo pogryzała orzeszki przed telewizorem, a on odwracał wzrok, by nie skusić się ani na kawałek, ani na garstkę, w swoim obsesyjnym strachu przed tyciem.

– Kolor oczu?

– Niebieskie. – Pomyślała o jego oczach zimnych i przenikliwych. O tym, jak prześladowały ją w snach, kiedy była boleśnie młoda i rozpaczliwie zakochana.

– Jakież znaki szczególne? Blizny? Tatuże?

– Nie ma. – Poznali się w pierwszej klasie liceum; na tyle dobrze znała historię zapisaną na jego ciele, by wiedzieć, że akurat te szaleństwa go ominęły.

– Ma pani jakieś jego zdjęcie?

– Nie mam. Ale na pewno będzie w internecie. Kanał Szósty nie bije może rekordów oglądalności, ale wcześniej mąż pracował też w innych stacjach i... w internecie jest sporo jego zdjęć.

Policjanci spojrzeli na siebie tak, jakby wzajemnie mieli do siebie pretensje, że żaden z nich na to nie wpadł.

– Jasne, oczywiście. Zaraz znajdziemy. Wprawdzie warunki są u nas, jakie są i mamy jeden komputer na nas pięciu, ale zaraz się tym zajmę. Marcin, weź no zacznij spisywać.

– Może kawy? – Kolega dość bezceremonialnie wszedł mu w słowo. Może grali w dobrego i złego policjanta, a może po prostu ten był sympatyczniejszy.

– A wie pan, że tak? Chętnie, jeśli mogę.

Policjant nazwany Marcinem starał się jak tylko mógł, by spisywane zeznanie brzmiało wiernie i szczegółowo. Stukał w klawisze z zapalem i konsultował z nią każde słowo. Był młody, pełen dobrych chęci, może nie zdążył jeszcze znieubić swojej pracy. Justyna czuła do niego sympatię, kiedy patrzyła, jak w skupieniu przemienia jej chaotyczną relację w urzędowy dokument. Poza tym wyglądał na miłego chłopaka. I był ładnie ubrany. Żadnej jaskrawej bluzy, tylko ponadczasowa koszula w kratę. Taka, jaką pozwoliłaby nosić synowi.

– Niech pani nie podgląda, bo mamy tu listy gończe – uśmiechnął się, kiedy jej wzrok powędrował w stronę stosu teczek na biurku.

Wszystko, co najgorsze, zostało już powiedziane. Przynajmniej tak wydawało się Rawskiej, dopóki nie usłyszała dziwnie przytłumionego głosu policjanta, z którym jechała windą.

– Przykro mi, że muszę panią o to zapytać, ale takie są procedury. Czy pani wie cokolwiek o tym, gdzie może być mąż? Czegoś się pani domyśla? Jakaś kochanka, jakieś lewe interesy, cokolwiek?

Powiedzieć im czy nie? Wywlekać brudy przed ich oczy czy pozwolić, by szukali po omacku? Pomogę czy zaszkodzę? Długo milczała, a kiedy wreszcie otworzyła usta, jej głos brzmiał jak nienaoliwione drzwi, jak zepsuty zawias, jak drewniana podłoga uginająca się pod wiatrem.

– W lipcu dowiedziałam się, że mąż ma romans. Trwało to ponoć od zimy, a może nawet od jesieni. – Nie potrafiła spojrzeć w oczy żadnemu z nich; parapet wydawał się najwłaściwszym przedmiotem do oglądania. Cisza trwała tylko przez chwilę.

– Wie pani z kim?

– Wiem. – Nadal patrzyła na parapet. Okno było otwarte, a choć zbliżał się koniec sierpnia, wpadające przez nie powietrze wciąż było gorące. Promienie słońca miały kolor bursztynu. – Z jakąś dziewczuszką z pracy, która mogłaby być jego córką.

Policjant nie chciał być niegrzeczny, po prostu taką miał pracę.

– Może jest u niej, może do niej odszedł?

– Aleksander nigdy nie odchodził do swoich kochanek. – Justyna Rawska odwróciła oczy od parapetu i podniosła je wprost na policjanta. Były szare jak popiół wygarniany z jesiennych ognisk na polach.

– Wie pani, jak ona się nazywa?

– Wiem. Paulina Koniuszek. Wszyscy mówią Paulinka. Nawet ci, którzy jej nie lubią – dodała, sama nie wiedząc po co. – Ale ponoć nie ma go u niej. Mówi tak osoba, której można wierzyć. – Naprawdę wierzyła Ślęzak, wbrew całej swojej niechęci do jej bezpośredniości, do jej dosadności, do twardości

jej charakteru widocznej w każdym słowie i każdym geście. – Poza tym przecież odejście do kochanki nie oznaczałoby nieprzychodzenia do pracy. Ani tym bardziej porzucenia telefonu.

– Ma pani rację – powiedział komisarz Antoni Kwarnicki, bo tak właśnie nazywał się policjant w brzydkiej bluzie z kapturem. – Przy okazji, czy mogę dostać telefon pani męża?

– Oczywiście. – Sięgnęła ręką do torebki – To jego służbowy.

– A miał jeszcze inny?

– Nie.

Albo o tym nie wiesz – pomyślał komisarz. Albo o tym nie wiem – usłyszała w swojej głowie Justyna Rawska.

– Proszę przeczytać i jeśli wszystko się zgadza, to podpisać. – Miły chłopak w koszuli w kratę podsunął jej kartkę jeszcze ciepłą od drukarki. Zaginięcie, wieczór 22 sierpnia, poranek 24 sierpnia, niepokój, hotel, miejsce pracy – czytała tak, jakby to nie jej dotyczyło. Jakby to była jakaś relacja, zbyt szczegółowa na prasową, a zbyt nieudolna na literacką. To naprawdę o mnie? Naprawdę o Aleksandrze? Jakoś nie mogła w to uwierzyć, chociaż podpis wyszedł jej całkiem zamaszysty.

– A to dla pani – policjant włożył jej do ręki jakiś świstek. – I proszę się przygotować, że możemy panią jeszcze odwiedzić albo wezwać tu do nas. Rzecz jasna, jeśli mąż się nie znajdzie, a sadzę, że znajdzie się szybciej, niż pani myśli. – Był młody, ale zbyt długo już pracował w wydziale zaginięć, by zapomnieć o tej niezbędnej formułce. – Jeśli ma pani w domu jakieś nieuprane rzeczy męża, bieliznę osobistą, szczotkę do włosów, coś takiego, to proszę tego nie ruszać, bo może być potrzebne do zdjęcia DNA.

To zabrzmiało trochę jak w filmach. Jak w efekciarskich kryminałach, których Rawska nigdy nie lubiła.

– Czy ja mogę jechać do domu? Czy powinnam zostać w Warszawie?

– Nie, nie musi pani tu zostawać – Uśmiechnął się uspokajająco. – Będziemy dzwonić jakby co. Macie państwo dzieci?

– Mamy szesnastoletnią córkę.

– Gratuluję. Moje ma się dopiero urodzić. Chłopiec. – Twarz cała mu się rozpromieniła, Justyna nie wiedziała więc, na ile było to szczere wyznanie, a na ile próba odwrócenia jej uwagi. – Być może będziemy musieli porozmawiać z pani córką, ale oczywiście uprzedzimy o tym. – Była wdzięczna, że nie użył słowa „przesłuchać”.

– Jeszcze tylko jedna, ostatnia rzecz – młody funkcjonariusz przypomniał sobie, kiedy Rawska stała już w drzwiach. – Czy mąż chorował na depresję, miewał myśli samobójcze?

Myśli samobójcze i Aleksander? Takie połączenie wydawało się zbyt egzotyczne, by Justyna kiedykolwiek w ogóle brała je pod uwagę.

– Czy mógł, pytam czysto teoretycznie, próbować popełnić samobójstwo?

Policjant musiał wziąć jej milczenie za wahanie.

– Nie, nie ma takiej możliwości. – Rawska włożyła w to zdanie całą pewność, na jaką tylko było ją stać. – Aleksander miał dobrą pracę, oszczędności, plany na przyszłość. Kupiliśmy kawałek ziemi w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, mąż budował tam dom.

Te słowa brzmiały dobrze, brzmiały mocno, brzmiały przekonująco. Tyle tylko, że użyła czasu przeszłego, a kiedy zdała sobie z tego sprawę, było już za późno.

*

Dni mijały ciężkie od śniegu i nawet nadchodzące Boże Narodzenie nie umiało poprawić mi nastroju. Miasto wirowało w przedświątecznej orgii handlu. Kolędy w sklepach, Święci Mikołajowie naganiający do zakupów, feeria światełek, ozdóbek, choinek. Podgrzewanie atmosfery osiągało swoje apogeum –

nigdzie tak jak w wielkim mieście nie widać tego, jak dalece komercja wyparła ducha – narodzenie Pana było już tylko pretekstem do zatracenia się w spirali zakupów, konsumpcji, zupełnie zbędnych przygotowań. Tekturowa atrapa święta, okazja w hurtowni ze wzruszeniami, surogat po promocyjnej cenie. Żadnych prawdziwych radości. Jako że mieszkalam sama, nie udzielał mi się ferwor sprzątania, lepienia pierogów, pieczenia ciast. Jedyne, co musiałam zrobić, to kupić prezenty.

To był jeden z ostatnich dni przed Wigilią – miałam nadzieję uniknąć tłoku w sklepach, wybierając się na zakupy o nietypowej porze, ale i tak centrum handlowe przemierzały setki rozgorączkowanych poszukiwaczy prezentów. Tatusiowie na ostatnią chwilę wpadający po konsolę do gier dla swoich pociech, panie domu kompletujące składniki niezbędne do świątecznego ciasta, wujkowie rozpaczliwie poszukujący podarunku dla siostrzeńców, o których nie wiedzą nic poza ich wiekiem, a i to nie zawsze dokładnie. Czasem jakiś pan w garniturze chyłkiem przemykający do sklepu z biżuterią, by jeszcze zdążyć pod choinkę z kolczykami albo bransoletką. Dla żony? A może dla kochanki? Niektórzy pewnie kupowali w dwóch egzemplarzach. Oglądałam wystawy, przerzucałam książki, płyty i ubrania. Z każdą chwilą coraz mniej zdecydowana, coraz bardziej zdezorientowana. To wszystko było tak sztuczne, że aż stawało się nierzeczywiste.

Jingle bells rozbrzmiewające po raz pięćdziesiąty z głośników i natrętny zapach cynamonu rozpylany w sklepach wcale nie ułatwiały sprawy. Cały ten pęd wokół mnie, kolejki, hostessy z dzwoneczkami. W pewnej chwili nie wiedziałam już, po co tak naprawdę tam przyszedłam. Wcale nie chciałam niczego kupować. Prezenty, święta, zakupy – przecież tylko udaję, że o tym myślę. Zapomniałam jednak, że najtrudniej udawać przed samą sobą. Cały czas myślałam tylko o Aleksandrze – był jedynym, czego tak naprawdę chciałam, nie tylko na święta.

Przerzucałam akurat swetry w jakimś sklepie z ubraniami – błysk złotej nitki, delikatność wełny i wypukłości guzików pod palcami. Przecież to wcale nie tych swetrów chcę dotykać – pomyślałam i ta myśl była jak sygnał. Zrób coś! – mówił jakiś głos we mnie. Wiedziałam, że nic nie zależy ode mnie, ale mimo to postanowiłam spróbować. Ryzykownie, niemądrze, odważnie. „Masz jakieś plany na wieczór? Tak się składa, że mam posprzątane na święta” – wystukałam na klawiaturze telefonu i od razu wysłałam, tak by nie dać sobie szansy na zmianę zdania. Bolało, już kiedy niosłam do przymierzalni sweter wraz z milczącym telefonem. Bolało jeszcze bardziej, kiedy chwile przechodziły w minuty, minuty w godziny, a mój telefon wciąż milczał. Jedyne, co miał dla mnie w odpowiedzi, to cisza. Jakby nawet odmowna odpowiedź była nadmiarem łaski, na którą nie zasługiwałam. Jakby wystukiwanie tych kilku słów wiadomości do mnie było stratą czasu. Jakby to wszystko, co było między nami, można było strzepnąć z marynarki jak pyłek i iść dalej. Nie oglądając się za siebie.

– Jak mogłaś to zrobić? Przecież, kurwa, wiedziałaś, że tak będzie – argumentacja Hanka była tak oczywista, że nie znajdowałam na nią odpowiedzi. Dobra odpowiedź zresztą nie istniała.

– Pomyślałam, że dam mu szansę. Szansę na to, by wiedział, że wciąż go chcę. Mimo wszystko.

Siedziałyśmy w małym, obskurnym barze, na rzecz którego porzuciłam upiorne centrum handlowe. Hanka była dobrą koleżanką – na tyle dobrą, że kiedy zadzwoniłam do niej z płaczem, darowała sobie pieczenie makowców i przysłała napić się ze mną.

– Nie martw się, to akurat wie na pewno.

O tej porze bar był prawie pusty. Gorączka przedświątecznych przygotowań nie sprzyjała wpadaniu na kieliszeczek. Jakiś stały bywalec drzemał w kącie nad kuflem piwa, poza nami był tam jeszcze tylko barman smętnie wpatrujący się w telewizor. Dzięki Bogu nastawiony nie na naszą stację.

– Joanna, wpadasz w jakiś straszny kanał. Nie pozwól sobie na to. – Hanka dodawała swoim słowom mocy, machając papierosem tuż przed tabliczką z zakazem palenia. Znudzony barman nawet nie spojrzał w naszą stronę. – Przespałaś się z facetem, który nie okazał się tego godzien. Okej, pomyłka, zdarza się.

Zapominasz o tym i już, tyle, koniec historii.

Mówiła o tym tak, jakby to była najłatwiejsza rzecz na świecie.

– Już nigdy w życiu nie napiszę do niego.

– Już nigdy w życiu nie powinnaś o nim myśleć.

Dwa kieliszki obrzydliwie kwaśnego wina to było stanowczo za mało, by o nim nie myśleć. Zamieniłyśmy więc wymarły bar na sklep monopolowy, a następnie na moje mieszkanie. Jednak i to nie pomogło na myślenie o Aleksandrze. Im bardziej opadał poziom wina w naszej butelce, tym trudniejsze mi się to wydawało. Potok skarg, łez i kłamliwych zapewnień, że już nigdy więcej, że przekreślam, że zapominam.

– Tak trzeba – mówiła Hanka, ale zbyt dobrze znała życie, by nie wiedzieć, że „trzeba” i „można” to dwie różne rzeczy. Mimo to przyjmowała moje deklaracje za pewnik, podawała mi chusteczki, kiedy płakałam, i sprawiała wrażenie, że wie, o czym mówię, gdy opowiadałam o tym, jak bardzo boli.

– Życie byłoby o wiele prostsze, gdyby można było sobie wybrać, w kim się człowiek zakocha. – Jej słowa pomagały, nawet jeśli tylko na chwilę. – Taki skurwysyn nie zostałby w ogóle dopuszczony do konkursu.

Hanka głaskała mnie po twarzy; jej ręce były chłodne, pachniały dymem z papierosa, cukrem i rodzynkami.

– Wszystko będzie dobrze – mówiła. Nie umiała kłamać.

*

Jeden z policjantów – ten, który niedługo miał zostać ojcem – zjechał z Justyną Rawską windą. Nie wątpił, że sama da sobie radę, ale takie były procedury – nie mógł zostawić jej samej na terenie komendy. Wrócił na górę dopiero, gdy zamknęły się za nią drzwi wejściowe.

– I co, znalazłeś go? – zwrócił się do kolegi, który zdążył już zająć jego miejsce przed ekranem komputera. Jedynego komputera na ich pięciu. Pracowali ze sobą już kilka lat, szukali dziesiątek zaginionych, nie miał żadnej wątpliwości, że jego pytanie będzie zrozumiane tak, jak należy.

– Tak, właśnie wydrukowałem.

Komisarz Kwarnicki położył przed kolegą zaskakująco wyraźne zdjęcie. Ciemne włosy, które zaczynały leciutko siwieć na skroniach, rysy ostre i wyraziste, całkowity brak uśmiechu.

– Piękny pan z telewizji. – Było w tym trochę pobłażania, odrobina ironii i parę kropel rzeczywistego uznania.

– Taa... pewnie sobie gdzieś hasa, a kobita się martwi.

Zaginiony prezenter patrzył na nich ze zdjęcia. W jego wzroku była pewność siebie, jakaś mglista obietnica, blask zimny i intrygujący, który sprawiał, że komisarz Marcin Walczak wpatrywał się w podobiznę Rawskiego dużo dłużej, niż zwykł był patrzeć na zdjęcia zaginionych.

– To co robimy? Czekamy, aż minie czterdzieści osiem godzin?

– Tak, ale na telefon możemy zerknąć już teraz.

Komisarz Kwarnicki odblokował klawiaturę nokii. Żaden smartfon; Kanał Szósty musiał nie być zbyt hojny dla swoich pracowników.

– Ostatnie połączenie było odebrane. Z dzisiaj z ósmej zero sześć. Dzwoniła Justyna.

– To musiało być to, o czym mówiła. Że dziś rano ktoś z pracy wreszcie odebrał jego telefon.

– Tak. – Komisarz Kwarnicki przewijał dalej rejestr połączeń. – Wcześniej ma dwanaście nieodebranych.

– Leć od czwartku wieczorem.

– Pięć od żony, jedno od Paulinki, jedno od Marty, trzy z firmy, dwa razy numer nieznany.

– Paulinka to, zdaje się, wiemy kto. Jak ona powiedziała? Dziewuszka z pracy? – Walczak

przypomniał sobie smutne oczy Rawskiej.

– Firma to wiadomo, szukali go w piątek przed programem. Pytanie, kto to jest Marta.

– No i numery nieznane, ale na to na razie wiele nie poradzimy. – Kwarnicki odłożył telefon.

W przeglądaniu cudzych połączeń był jakiś niezaprzeczalny urok legalnego oddawania się działaniom całkowicie niewłaściwym, bezkarnego grzebania w czyimś życiu, odsłaniania wstydliwych sekretów. To było coś, co Kwarnicki lubił najbardziej.

– Kiedy dzwoniła Paulinka?

– W piątek o dwunastej zero dwie.

– Hm... – Walczak sięgnął po paczkę gum z nikotyną. Rzucanie palenia było takie uciążliwe. – Skoro dzwoniła do niego w piątek, to by znaczyło, że nie było go u niej.

– Wtedy go nie było. Ale wcześniej? Diabli wiedzą... Upojna noc, późny poranek? Może chciała sprawdzić, czy dotarł do siebie po wyjściu od niej. Albo powiedzieć, jak było miło i spytać, kiedy następny raz.

– Co za świnią z niego. – Walczak nie mógł się powstrzymać. Ze swoim krótkim stażem wiernego małżonka, ze swoim oczekiwaniem na dziecko, ze swoim poczuciem wyższości miękkim i wygodnym jak ulubiona para kapci.

– Dosyć tego gadania, panowie. – W drzwiach pojawiła się głowa zastępcy naczelnika wydziału. – Stołeczna chce, żebyśmy dali paru chłopaków. Robi wielką akcję obstawiania parków. Znaleźli drugą nogę.

Kwarnicki i Walczak podnieśli się obaj jak na komendę.

– Gdzie?

– W Lesie Kabackim. Znów w koszu na śmieci.

– Nieźle. – Kwarnicki wyraził swoje uznanie przeciągłym gwizdnięciem. – Ktoś roznosi po parkach poćwiartowane zwłoki. Czegoś takiego dawno nie grali.

– Najgorsze jest to, że już o tym trąbią w telewizji.

– Trudno, żeby przepuścili taki kąsek.

Pokawałkowane ciało, kosze na śmieci, miejsca spacerów tysięcy warszawiaków. Nie dało się ukryć, że nawet dla nich to była gratka. A przynajmniej coś o wiele bardziej interesującego niż to, czym zazwyczaj przychodziło im się zajmować, czyli małolaty na gigantach i wiarołomni mężowie, którzy wychodzą po papierosy po to, by odnaleźć się za dwa tygodnie u kochanki.

– Za pięć minut jest odprawa w operacyjnym.

– Idziemy. – Walczak zdążył jeszcze sięgnąć po swoją paczkę gum z nikotyną. Niebezpiecznie byłoby ruszać się bez niej.

*

Lubiłem pracować w święta. Najbardziej w te, w które inni ludzie zajmowali się zasiadaniem do stołu z rodziną. Takich akurat nie było na horyzoncie kalendarza, więc dobre i Boże Ciało. Najbardziej obrzędowe i najmniej chrześcijańskie ze wszystkich katolickich świąt. Czysta liturgia, metafizyka w zaniku. Polska pobożność ludowa w swoim apogeum pustych rytuałów i słabych uzasadnień teologicznych. Kolorki, kwiatki, figurki, czyli odpust i wata cukrowa. Być może niektórzy lubili; jak się przekonałem po przyjsciu do pracy – ani ja, ani Joanna nie. Niestety, do tego grona należał też Rawski. Wszyscy troje stawiliśmy się w pracy zamiast na procesji, ale jak się później okazało, nie wszyscy bawiliśmy się równie dobrze.

Ostatni serwis pasma popołudniowego kończył się o siedemnastej, później następowały puste, leniwe godziny przerwy aż do dwudziestej. Wszyscy zazwyczaj opuszczali wtedy reżyserkę – dziś niektórzy wyszli na słońce jednego z ostatnich majowych dni, inni – tak jak Joanna – zstąpili do ponurego półmroku

newsroomu. Tylko ja zostałem w kokpicie reżyserki – kapitan opuszczonego statku, kosmicznego raczej niż morskiego. Miałem świeżo zaparzoną kawę, zdobytą tuż przed zamknięciem bufetu, papierosy, które mogłem palić w miejscu niedozwolonym przy szeroko otwartym oknie, i *Muzeum niewinności* Pamuka. Co robi teraz Joanna? Czy siedzi z nim na dole? Czy rozmawiają? Dokuczliwe myśli były jak stały element, jak ucisk będący ceną za czucie, jak nieuniknione, do którego trzeba się przyzwyczaić. Jakies pół godziny przed dwudziestą wszyscy zaczęli schodzić się z powrotem. Koniec spokojnego czytania, koniec palenia na parapecie. Może i dobrze – wreszcie wróci ona, wreszcie będzie dalej od Rawskiego, a bliżej mnie. Ale długo nie wracała. To dziwne, bo zazwyczaj przychodziła na tyle wcześnie, by przygotować jeszcze swoje napisy i cytaty. Może zrobiła to, pracując na innym komputerze, ostatecznie przecież siedziała w newsroomie. Za dziesięć ósma wszyscy byli już gotowi do pracy; nawet panowie od oświetlenia, którzy zazwyczaj mają mnóstwo zajęć ważniejszych niż oświetlenie. Przyszła też Emilia, wydawca.

– Czy mnie się wydaje, czy ktoś tu palił?

– Wydaje ci się.

Pociągnęła nosem, ale nie z dezaprobatą; raczej z uznaniem. Sama była jedną z tych karnych pracownic, które palą wyłącznie w szklanej klatce palarni. Miała chyba jednak poważniejsze zajęcia niż śledzenie cudzych naruszeń regulaminu BHP.

– Rawski przyszedł? – szczeękła przez interkom do newsroomu, do kierownika produkcji.

Nie ma Rawskiego. Nie ma go tuż przed serwisem, który ma prowadzić. W mojej głowie nagle rozbłysła lampka. Nie ma też Joanny – ani śladu jej sukienki w groszki i czarnych szpilek. Do lampki w mojej głowie dołączyły dzwonki. Dzwonki alarmowe.

– Do czego to, kurwa, podobne?! Gdzie ten Rawski? Zaraz mamy emisję!

Teraz Emilia była już więcej niż wściekła. Musiała mieć pewność, że jej prezenter przyszedł do pracy, tylko jakimś dziwnym trafem zaginął tuż przed programem. Dwie minuty do emisji – czasu zostało naprawdę niewiele.

– Spokojnie, już jest. – Ktoś na dole był wyraźnie zadowolony z roli dostawcy dobrej nowiny. Błyskawiczne podpięcie mikrofonów, szybkie ustawienie się na tle scenografii, pióro wyjęte z wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Co to za pojawianie się w ostatniej chwili?! Chcesz mi wypierdolić program?!

Pracownik techniczny mocował słuchawkę w uchu Rawskiego, Emilia krzyczała wprost do niej. Rawski bąknął jakieś nieskładne przeprosiny; nie dość, że był niepoważny, to jeszcze wyglądał nie tak, jak powinien. Na początku nie zauważyłem, co jest nie tak – zdążyłem tylko rzucić na niego okiem, zbyt byłem zajęty wbijaniem wzroku w puste krzesło Joanny. Wciąż jeszcze się nie pojawiła, a to stawało się już niebezpieczne. Wpadła do reżyserki dosłownie na kilkanaście sekund przed anteną. Robi to, czego nie powinna, jest nieodpowiedzialna, ryzykuje. Ale zdążyła. Bogu dzięki. I nawet uszło jej to na ucho; Emilia zbyt była zła na Rawskiego, by skupiać się na Joannie. Za to ja nie mogłem skupić się na niczym innym. Z nią też coś było nie tak – przyspieszony oddech, jakieś dziwne rozedrganie, błysk w oku. I coś jeszcze. Coś, czego nigdy nie było. A może raczej coś, co było zawsze, a teraz właśnie tego brakuje?

– Kurwa, co się z wami wszystkimi dzisiaj dzieje?

Wrzask Emilii uświadomił mi, że źle nacisnąłem jeden z niezliczonych guzików na mikserze. Widzowie zobaczyli reportera z Krakowa poprawiającego sobie fryzurę przed wejściem na żywo zamiast apokaliptycznych obrazków płotów i drzew obalonych przez wichurę.

– Długi weekend, głośny weekend. Zwłaszcza na południu: tam grzmi, błyska, niesie ulewy i silny wiatr. Na tyle silny, że zrywa dachy i łamie drzewa. My patrolujemy powiat proszowicki i liczymy szkody.

Aleksander Rawski starał się mówić płynnie i wyraźnie, ale nie brzmiało to wszystko tak zgrabnie, jak powinno. On też musiał być nieco rozkojarzony. Albo nieprzygotowany – może nie zdążył porządnie napisać wygłaszanych przez siebie kwestii. Ciekawe, dlaczego zabrakło mu czasu? Ciekawe, co robił wtedy, kiedy powinien był przygotowywać się do serwisu? Był z nią, to pewne; ale czy mogli robić to, o czym nie potrafię przestać myśleć? W pracy, przed serwisem, właściwie przy wszystkich? Nie mogłem nic wyczytać z twarzy Joanny; poza tym, że coś mi nie pasowało w liniach, wypukłościach, a może w kolorach? Mały zgrzyt, jak w niewyszlifowanych zdaniach Rawskiego. Patrzyłem na nią, patrzyłem na niego. Na nią, na niego. Nieskładne zdania, czegoś brak. Guziki na konsolocie zdawały same się wciskać, realizowałem ten program, ale to wszystko działo się gdzieś obok – Emilia musiała nie być zadowolona. Patrzyłem uważnie, w skupieniu, jak na rebus z gazetki. Znajdź niepasujące elementy, wskaż trzy różnice, odkryj to, co dwa obrazki mają wspólnego, choć wcale nie powinny.

Szminka. Tym elementem była czerwona szminka Joanny, która zamiast na jej ustach majaczyła jakąś niewyraźną, roztartą smugą w kąciku ust Rawskiego. Nie mogłem być tego pewien – u niego to był ledwie blady ślad czerwieni, jakieś wspomnienie, coś na tyle niewyraźnego, że aż się prosi o przeoczenie. Z nią sprawa wyglądała inaczej – było jasne, że ktoś stał makijaż z jej ust. Ktoś, czyli ten amant dla ubogich. Całowali się, to wszystko. Jakieś żalosne obściskiwanie się na korytarzu. Jego język między jej wargami. Tylko na tyle mogłem pozwolić swoim myślom, chociaż przecież wiedziałem, że robili coś więcej. Joanna wyjęła szminkę. Małe, zgrabne etui, którego nigdy nie widziałem u żadnej innej kobiety. Zawsze musiała być taka cholernie stylowa; ciekawe, jaki zakamarek firmy uznała za odpowiednio stylowy, by się w nim pieprzyć. Podobał mi się gest, którym malowała usta – może to płynny ruch jej nagiego ramienia sprawił, że złagodniałem. Rawski, wszystkiemu winien jest Rawski. Mężczyzna, który lubi dobrą zabawę i pewnie nie przepada za tym, by ktoś mu ją psuł. Cała przyjemność po mojej stronie.

– Masz ślady szminki na ustach. Jak przypuszczam, nie swojej. Jeśli chcesz się zabawiać w pracy, rób to ostrożniej.

Tuż po serwisie, jeszcze włączony zestaw, który pozwalał mi słyszeć polecenia wydawcy, chwilowa usurpacja miejsca Emilii. Cedziłem mu te słowa wprost do ucha, nawet nie zastanawiając się, jak brzmią. Nie mógł mi odpowiedzieć – słuchawka w uchu prezentera działa tylko w jedną stronę. Nie chciałem być złośliwy, nie mam w zwyczaju mieszać się w cudze sprawy, zawsze uważałem się za tego, który nie szuka konfrontacji, nie mówi ludziom przykrych rzeczy w twarz i myje ręce przed jedzeniem. A jednak poczułem przyjemność, kiedy jego twarz straciła zwyczajną ostrość rysów, kiedy rozmazała się z zaskoczenia i w tym rozmazaniu z urazy stężała. To była mała, brudna przyjemność złamanych norm, wykorzystanej przewagi, ujawnionych tajemnic. Przyjemność, od której robi się i gorąco, i wstyd. Spojrzałem raz jeszcze na Joannę. Już uszminkowana, tylko trochę blada. Musiałem stamtąd wyjść.

*

Styczeń zawsze wydawał mi się najdłuższym miesiącem. Niby tylko trzydzieści jeden dni – żaden eksces – ale te trzydzieści jeden krótkich, ciemnych dni i długich, jeszcze ciemniejszych nocy zlewało się w nieskończone pasmo zimowego letargu, uśpienia, wegetacji. Zima była wyjątkowo surowa w tym roku – żadnych, choćby najbardziej nieśmiałych symptomów odwilży, nawet najlżejszej zapowiedzi wiosny, żadnej zmiany, którą można by wyczuć w powietrzu. Tylko śnieg, lód i mróz. Jednego z tych dni wypełnionych śniegiem, lodem i mrozem czułam się gorzej niż zwykle. Wróciłam z porannego dyżuru i chciałam ukraść choć trochę snu zabranego mi przez pobudkę o nieludzkiej porze na długo przed świtem. Jednak nie mogłam zasnąć. Mimo kołdry, koca i maksymalnie podkręconego grzejnika wciąż było mi zimno. Do tego dreszcze wzdłuż kręgosłupa, złowróżbne drapanie w gardle i uporczywy ból głowy. Wiedziałam, że nie będzie dobrze – niewyspana, przeziębiona i zakopana w trzy koce

próbowałam spędzić popołudnie z książką. Stare, drewniane okna przepuszczały podmuchy lodowatego wiatru, firanka unosiła się nad parapetem, śnieg uderzał o szyby. Miałam wrażenie, że tak będzie już zawsze. Zimno, jednostajnie, źle. Sygnał esemesa był jak zapowiedź upragnionej odmiany.

„Coś Cię ostatnio nie widuję w pracy...”

Jak gdyby nigdy nic, po sześciu tygodniach milczenia, tak po prostu – Aleksander. Wiedziałam, że tym razem decyzja należy do mnie – mogę podjąć tę grę albo powiedzieć „pas”. Stawka była wysoka – w puli dużo do wzięcia, ale obawiałam się, że karty znaczone, atuty zaś nie po mojej stronie. To tak, jakby świadomie siadać do stołu z szulerem – rozgrywka na jego zasadach, tylko wtedy, gdy on tasuje i rozdaje karty. Ale niestety, to albo nic – Aleksander Rawski grał wyłącznie według własnych reguł. Oszukańczych, krzywdzących, niesprawiedliwych, ale jedynych, które pozwalały na dreszcz wspólnej gry. Wchodzę – postanowiłam przystąpić do licytacji.

„Jakoś tak się mijamy... Czyżby brakowało Ci mojego widoku?” – Karta-stół, podjęłam jego wist.

„Dotkliwie” – wyszedł nieco mocniejszym kolorem.

„Mnie Ciebie również”. – Graliśmy w to samo. Ciekawe, kto zgarnie lewę?

„No to wino, bourbon, wódka? Czego sobie życzysz?” – To było mocne zagranie, nie spodziewałam się go aż tak szybko. Czyżby już w trzecim rozdaniu był w stanie oszacować, co mam na ręce?

„Życzę sobie Ciebie. Może być z butelką wina” – nie przeliczył się w swoich rachubach, moja karta atutowa poleciała na stół.

„Dziś?” – Rozgrywka nabierała szaleńczego tempa. Karty powoli zamieniały się w rollercoaster.

„A dziś Ci odpowiada?” – niewiele więcej mogłam już wyłożyć na stół, choć miałam świadomość, że nie jest to zbyt mocna karta – był piątek, czyli dzień, w którym Aleksander zazwyczaj wracał na weekend do żony, do Opola.

„Nie bardzo” – nagły spadek tempa; czyżby karta przestała mu iść? – „Ale cały następny tydzień spędzam w Warszawie. Chętnie pomogę, na przykład przy sprzątanii”. – To akurat nie było najfortunniejsze skojarzenie, jakie mógł przywołać. Niemniej gra toczyła się dalej.

„W takim razie odezwij się w przyszłym tygodniu”, – niewątpliwie lubił decydować, postanowiłam więc pozwolić mu na to. Może tak właśnie trzeba z nim grać? – „Chętnie skorzystam z Twojej pomocy, niekoniecznie przy sprzątanii”.

To ja wygrałam to rozdanie. Przekonałam się o tym dwie godziny później.

„Nie mogę przestać myśleć o Tobie”. Był teraz w pracy, nie dalej jak pół godziny temu widziałam go na ekranie – wypytywał speców od bezpieczeństwa o kulisy rzezi zakładników, którą zakończyła się akcja odbicia algierskiej rafinerii z rąk terrorystów. Temat był dobry – krew, ofiary, źle zorganizowany szturm jako finał wielodniowego dramatu przetrzymywanych. Jednak Aleksander nie wyglądał na szczególnie zainteresowanego. Może nie mógł skupić się na programie, bo myślał wtedy o czymś zupełnie innym? Taką właśnie miałam nadzieję. Byłam przeziębiona, gardło bolało mnie coraz mocniej, a od okien ciągnęło coraz bardziej dojmującym zimnem. To wszystko jednak nie miało już teraz żadnego znaczenia. Jedynym, co miało znaczenie, był fakt, że Aleksander wrócił do mojego życia. Byłam gotowa absolutnie na wszystko – włącznie z łyknięciem kodeiny, wypiciem czterech kaw i postawieniem się na nogi tylko po to, by go dzisiaj zobaczyć.

„Czyżbyś jednak zmienił zdanie co do dzisiejszego wieczoru? Czy po prostu chcesz poćwiczyć wyobraźnię?” – odpisałam.

„Chyba jednak to drugie. Na razie”. – Mimo wszystko ulżyło mi, że kodeina i cztery kawy jednak nie będą potrzebne. – „Bardzo bym chciał zobaczyć Cię teraz w samych pończochach i szpilkach”.

„Czarnych czy czerwonych?” – zapytałam, mając na myśli szpilki, ale odpowiedź, którą dostałam, świadczyła, że Aleksander wyjątkowo poważnie traktuje ćwiczenie wyobraźni.

„W czarnych pończochach. Buty czerwone, tak jak szminka. Włosy upięte w kok”.

Język krótkich poleceń, konkretnych rekomendacji, wyraźnych żądań. To wszystko, czego miałam później tak bardzo pragnąć, a co na razie dawało tylko przedsmak wrażeń słodko-gorzkich i uderzających do głowy jak dżin z tonikiem.

„Widzę, że ktoś tu jeszcze jest oprócz mnie wielbicielem czerwonej szminki... Włosy upięte w kok? Myślałam, że wolisz rozpuszczone”.

„Nie. Wolę, kiedy nic nie zasłania twarzy. Zwłaszcza czasami”. W ten sposób dowiedziałam się o jego ulubionej fryzurze i już wiedziałam, jak muszę uczesać się w przyszłym tygodniu. Jakby spełnianie jego życzeń było moim najoczywistszym zadaniem.

„Będę to miała na uwadze” – zapewniłam. Łyknęłam wcześniej kilka aspiryn, gorączka walczyła z nimi o lepsze w moim organizmie. Fale ciepła nadchodziły na przemian z zimnymi dreszczami, głowę miałam jak z waty, oddech coraz płytszy. Nie wiedziałam już, czy to od gorączki tak się czuję, czy od nadmiaru wrażeń. Nie miałam siły zastanawiać się nad tym wszystkim – może to właśnie nadmiar wrażeń wywołał gorączkę? Może właśnie robię coś, czego nie powinnam, a moje ciało rozpaczliwie mnie przed tym przestrzega? Odpływałam w świat snów dziwnych, ciężkich i duszących, kiedy napisał: „Pewnie już spisz, ale muszę Ci powiedzieć, że uwielbiam Twoją czerwoną szminke”.

„Malując usta, będę myśleć o Twojej przyjemności”. – Tym razem to ja złożyłam obietnicę; obietnicę, w której mocy przyjdzie mi tkwić nawet wtedy, gdy wszystko będzie już inne – adresat dawno zapomni, a ja nadal będę jej dotrzymywać – wbrew sobie, wciąż i wciąż, boleśnie.

*

– Tym razem odwaliliśmy kawał dobrej roboty. – Anna Ślęzak stała na środku newsroomu. Popołudniowe kolegium redakcyjne właśnie dobiegało końca. – Wprawdzie z pierwszą nogą daliśmy dupy – rzuciła wymowne spojrzenie w kierunku nieszczęśnika od kontaktów z widzami – ale z drugą byliśmy przed Network TV. A to się liczy.

Liczyło się też to, że sprawa jest rozwojowa. Skoro są dwie nogi, oczywiste było, że powinny pojawić się dalsze części ciała. Dywagacje o tym, kiedy i gdzie mogą się odnaleźć, a także z czym może się wiązać cała sprawa, zajmą dużo czasu antenowego. Pozwolą wypełnić pustkę końcówki lata, dotąd zdominowaną przez sprawę syryjską. Okrutny reżim gazujący swoich obywateli był oczywiście interesujący, ale jednak daleki. Zwłaszcza wobec perwersyjnego uroku kroniki kryminalnej na żywo i w odcinkach. Poćwiartowane zwłoki tu, w stołecznym parku, były czymś o niebo atrakcyjniejszym dla widza, który rzecz jasna ceni informacje ze świata, ale nic go nie elektryzuje tak jak zbrodnia na miejscu. Zbrodnia instant z rodzinnym dramatem albo mafijnymi porachunkami w tle.

– Łukasz, pozwól na chwilę do mnie do gabinetu. – Szefowa zwróciła się do reportera od spraw kryminalnych. Tego, który nie wiadomo skąd przyniósł do stacji wieść o drugim znalezisku.

– Rzecz jasna, nie zapomnę o tobie w kosztorysie – zaczęła, kiedy usiadł naprzeciwko niej, po drugiej stronie wielkiego, lśniącego biurka ze sklejki, która miała udawać dąb. – Wiem, że masz swoje dojścia w policji. Szczegóły mnie nie interesują. – Podniosła rękę w geście sprzeciwu, kiedy tylko otworzył usta. – Mam tylko nadzieję, że dalej będziesz umiał robić z nich użytek. Potrafię to docenić, pamiętaj.

Wyjęła papierosa z leżącej na biurku paczki; zaczęła obracać go w palcach, opukiwać paznokciem, postukiwać nim o powierzchnię blatu. Łukasz Branik, reporter kryminalny Kanału Szóstego, kojarzył te gesty tylko z postawnymi mężczyznami o posępnych twarzach, którzy odwiedzali jego ojca w dawno minione wieczory. Nigdy nie mówili wiele, choć ich wzrok sugerował, że wiedzą dużo więcej, niż mogliby wyrazić słowami. Zawsze zanim ciasny pokój ojca wypełnił się dymem, zapamiętałe i wiernie

odprawiali swoje rytuały z postukiwaniem, ugniataniem, przesuwaniem palcem po gładkiej, okrągłej powierzchni skrętów. Robiliśmy to, aby tytoń równo ułożył się w bibułce – powiedział mu kiedyś ojciec, kiedy po latach ośmielił się zapytać go o magiczne gesty, które zapamiętał z dzieciństwa. Mimo że wyjaśnienie brzmiało przekonująco, młody Branik ciągle był przekonany, że chodziło w tym wszystkim o coś więcej. O coś, czego stary Branik, emerytowany pułkownik policji, a wcześniej zasłużony funkcjonariusz MO, nie wiedzieć czemu nie chciał mu zdradzić.

– Mówię poważnie. Pilnuj tej sprawy, tak żebyśmy pierwsi wiedzieli, jak pojawią się następne części ciała. Albo jak kogoś złapią. Trzymaj rękę na pulsie, nie pożałujesz. Może nawet się okaże, że znajdą się pieniądze na ten reportaż, o którym mówiłeś w zeszłym miesiącu.

Papieros gotowy do zapalenia, audiencja skończona, błysk płomienia zapalniczki.

– Postaram się – powiedział z powściągliwością, z której był znany. Albo z której starał się być znany.

– I przy okazji, gdybyś dowiedział się czegoś o Rawskim, to też daj mi znać.

– Oczywiście.

Gryzący dym z jej papierosa odprowadził go aż do drzwi. Anna Ślęzak zaciągnęła się głęboko i rozparła w fotelu; wiedziała, że może mu ufać – zarówno w tabloidzie, w którym pracował wcześniej, jak i w telewizji zasłynął jako spec od pijanych konkubentów z siekierami w dłoniach, uduszonych niemowląt znajdujących w wersalkach, podejrzanych samobójstw i widowiskowych wypadków. Najczęściej wiedział więcej niż inni i najczęściej jego wiedza pochodziła ze sprawdzonego, acz nieoficjalnego źródła.

*

Weekend minął pod znakiem ogłupiających leków na przeziębienie, malinowej herbatki i ciepłego koca. Czytałam jakiś kryminał, jednak nawet sama przed sobą nie mogłam udawać, że choć trochę obchodzi mnie rozwiązanie zagadki. Próbowałam oglądać w telewizji jakieś komedie, ale wszystkie wydawały się zupełnie nieśmieszne. Wiedziałam, że przez weekend Aleksander będzie milczał – klasyczny schemat znany aż do bólu każdej kochance każdego żonatego mężczyzny – ale wizja kontynuacji naszej piątkowej korespondencji rozgrzewała mnie od środka, zaprzętała myśli, dawała nadzieję. Instynktu samozachowawczego starczyło mi na tyle, by nadzieja ta była raczej niepewna, półprzezroczysta, wątpliwa. To Aleksander dyktował warunki gry, a ja zgodziłam się grać na jego zasadach – przynajmniej tyle już wiedziałam, niezależnie od gorączki, która wciąż zaburzała jasność moich myśli. Przeziębienie i właściwe mu otepienie wciąż trzymało mnie mocno, ale mimo to moje ciało było na tyle zdrowe, by rozpaczliwie pragnąć Aleksandra. Rozpaczliwie, bezradnie, boleśnie. I właśnie temu pragnieniu pozwalałam decydować o wszystkim.

Kiedy w poniedziałek napisał: „Jak tam samopoczucie?”, runęły ostatnie tamy. Starałam się wierzyć, że to nowy początek, powrót kochanka marnotrawnego, rozdanie tym razem na poważnie, ale w gruncie rzeczy wystarczał mi sam fakt, że Aleksander nie zmienił swoich planów – wystarczały mi jego myśli i jego pożądanie.

„Świetnie” – napisałam nieco na wyrost, bo choć wróciłam do pracy, wciąż nie rozstawałam się z arsenałem pastylek na gardło i chusteczek do nosa. – „Dużo myślałam o Tobie” – to już akurat była prawda.

„Ja o Tobie również” – odpowiedź szybka i odsyłająca piłeczkę znów na moją stronę boiska.

„I co z tym zrobimy?” – zaserwowałam mu stary, dobry tekst wszystkich podrywaczy świata.

„To zależy, jakie to były myśli...” – zawsze wierzyłam w słowa, ich moc i potęgę. Umiałam rozpoznać ludzi, którzy bali się słów. Czyżby Aleksander był jednym z nich? Czyżby należał do tych, którzy lubią je dostawać, nie dając nic w zamian? A może potrzebował tylko pewności, że poruszamy się

w podobnych rejonach wyobraźni? „Przyjemne, intensywne, mało przyzwoite” – napisałam. Dzięki Bogu wróciłam już z pracy, mogłam bez przeszkód skupić się na tej grze, która z każdą wymienioną wiadomością robiła się coraz bardziej niebezpieczna. A może coraz przyjemniejsza?

„Widziałem zadartą spódnicę, zsunięte pończochy, rozmazaną czerwoną szminkę. Poza tym sporo było w moich myślach o nagich, wypiętych pośladkach i rozłożonych nogach” – a jednak ostro, ostrzej nawet, niż się spodziewałam. Tak jakby naszych ciał nie oddzielało sześć tygodni milczenia, tak jakbyśmy ledwie wczoraj skończyli się pieprzyć i wciąż czuli na językach swój smak. Te tygodnie odrzucenia bolały, ale nie zdołały zatrzeć we mnie wspomnień zmysłowych i namacalnych jak faktura skóry, gorąco warg, zachłanność dłoni. Wciąż czułam pod palcami każdą linię jego twarzy, każde zagłębienie i wypukłość ciała, czułam jego oddech i dotyk jego rąk – rąk czułych i mocnych jednocześnie.

„Chciałbym wypełnić Twoje usta i patrzeć, jak spoglądasz na mnie z dołu szeroko otwartymi oczami” – jego słowa aż pulsowały od pożądania, ale jedynym pożądaniem, które czułam w tej chwili, było moje własne. „Chciałbym zlizywać z Ciebie wilgoć, patrzeć na Twoje bardzo spragnione i mocno rozchylone wargi, ssać Cię i lizać tak długo, aż...” – urocze niedopowiedzenie, otwarte pole dla wyobraźni, która i tak pracowała już na pełnych obrotach.

„Tak długo, aż poczuję, że nie wytrzymam już ani chwili dłużej z powodu wzbierającej, obezwładniającej rozkoszy?” – właściwie już wtedy byłam jej blisko.

„Właśnie tak”. Nie potrafiłam dotykać się tak, jak on to robił, ale ciepło z dołu brzucha rozlewało się po mnie coraz szerzej, coraz wyżej, coraz bardziej wszechogarniająco.

„Odwiedziny po dwudziestej trzeciej to nie za późno dla Ciebie?” – zapytał tak, jakbyśmy nigdy nie szukali razem kluczy w mojej torebce o trzeciej nad ranem.

„To bardzo dobra pora. Na kiedy więc się umawiamy na te jakże kuszące przedsięwzięcia?” „Środa?” – zapytał i była to świetna propozycja. Wiedziałam, że do tego czasu wydobreję i będę mogła go zarazić co najwyżej gorączką z podniecenia.

„Będę czekać na Ciebie” – napisałam, a dłonie drżały mi przy tym tak, że sama nie wiem, jakim cudem uniknęłam pomylenia klawiszy na klawiaturze telefonu.

*

Łukasz Branik poważnie podchodził do swoich obowiązków. Na tyle poważnie, by nazajutrz zrezygnować z wątpliwych rozkoszy niedzielnego obiadu z rodziną. Zamiast pomidorowej w wazie i białego obrusu wybrał knajpę na Nowolipiu – podłą, zadymioną i zupełnie niepozorną. Nie znosił dymu ani ciemnych pomieszczeń w słoneczny dzień, ale duży reportaż kryminalny w paśmie wysokiej oglądalności to była pokusa, której nawet nie próbował się oprzeć.

– Masz coś dla mnie? – Mężczyzna, do którego dosiadł się Branik, wyglądał jak jeden z tych, za którymi w dawnych czasach zamykały się drzwi gabinetu jego ojca. Skórzana kurtka mimo dwudziestu ośmiu stopni na dworze, wytarte dżinsy, zmarszczki gęsto utkane wokół oczu.

– Rękę. Pięknie zgiętą w łokciu przed stężeniem pośmiertnym. Wciśniętą do torby. Zwykłej, kolorowej torby ze sklepu.

– Gdzie tym razem? – Branik nie palił, ale nawet nie przyszło mu do głowy odsuwać się od smugi dymu ulatującej z ust jego rozmówcy.

– Na Polu Mokotowskim. Kilka godzin temu. – W głosie mężczyzny dźwięczało coś przywodzącego na myśl metal, chrom, może nawet stal.

– Nie upilnowaliście? Przecież obstawiacie parki.

– Chuj tam obstawiamy. W niedzielę w parkach są tłumy. Pieprzeni spacerowicze. Są ich tysiące, nie ma opcji, żebyśmy ogarnęli wszystko. Przecież nie zakazemy wstępu do parków.

Branik znał swego rozmówcę od czasu, gdy jako trzylatek zaczął odróżniać i rozpoznawać dorosłych

innych niż członkowie najbliższej rodziny. Nigdy dotąd nie słyszał z jego ust tylu słów naraz. I nigdy dotąd nie było w jego słowach tylu emocji. Może to wiek wyzwolił go z pułapki, w którą tak często zdarza się wpadać mężczyznom – z przekonania, że milczący oznacza twarde? Może lata życia wyleczyły go z nieufności do słów? A może po prostu nie musiał już udawać Brudnego Harry'ego, bo stał się nim do tego stopnia, że udawanie przestało być potrzebne?

– A wiecie już chociaż kto to?

– Gównu wiemy. Wiemy, że to facet. Po ręce ciężko dokładnie określić wiek, ale nie był ani młodzieńcem, ani staruszką. – Mężczyzna zamaszystym gestem odstawił na blat kufel piwa. Branik nie mógł się powstrzymać od rzutu oka na jego rękę. – Mamy siedem świeżych pasujących zaginięć. I co najmniej dwa razy tyle trochę starszych, które też mogłyby pasować. Od części nie mamy nawet DNA. A badania zajmą najmniej dwa dni. Jak dobrze pójdzie, bo pindy z laboratorium mogą nie mieć odczynników.

– Taa... – Branik dobrze znał realia. Aż tak dobrze, że nigdy nawet nie pomyślał o tym, żeby pójść w ślady ojca.

– Moglibyśmy wzywać rodziny na identyfikację, ale więcej byłoby z tego szkody niż pożytku.

Nawet ktoś niezaznajomiony z meandrami procedury mógł sobie wyobrazić chłód prosektorium i grozę fragmentów. Ramię odcięte w stawie, sinawe paznokcie, rozcapierzone palce. „Proszę się dobrze przyjrzeć. To tylko ręka, ale może należeć do państwa męża, ojca, brata. Może dostrzegacie państwo jakieś znaki szczególne?” Zaciśnięte szczęki mężczyzn, zemdlenia kobiet, wymioty do umywalki w rogu pomieszczenia.

– Więc jesteśmy w dupie – zakończył niezbyt optymistycznie. – Musimy czekać, aż zabójca łaskawie podrzuci nam resztę.

– A linie papilarne?

– Nic nie dały, nie ma gościa w bazie.

Tak jak większości praworządnych obywateli, pomyślał Branik. Baza AFIS, którą policja tak lubiła chlubić się w mediach, zawierała całkiem sporo zestawów zidentyfikowanych odcisków palców, ale były to odciski osób, od których kiedykolwiek była okazja je pobrać. Czyli od przestępców bądź o przestępstwo obwinianych. W praktyce chodziło o zatrzymanych, byłych więźniów, nierzadko o „podejrzanych tych co zwykle” zwijanych na komendę przy każdej okazji. Ani śladu praworządnych obywateli; chyba że akurat zdarzyło im się być świadkami poważnych wykroczeń.

– Teraz zapytasz o to, co ma pod paznokciami – mężczyzna spojrział na Branika spod oka, lekko na ukos, podejrzliwie. Wyglądał przy tym zupełnie jak Clint Eastwood. – Nic nie ma. Kompletnie nic. Żadnego naskórka, żadnej krwi, nawet żadnego brudu.

Regularność rysów młodego dziennikarza zmąciło niedowierzanie.

– Ma paznokietki wyszorowane jak dziwka przed balem. Żadnych śladów, żadnych odcisków. Profesjoniści nie ćwiartują. Gdyby nie to, powiedziałbym, że to robota profesjonalisty.

– Znacie czas zgonu? – Wiele można było zarzucić Branikowi, ale z ukrywaniem zaskoczenia radził sobie nieźle.

– Trup jest świeży. Jakies czterdzieści godzin, jak powiedział patolog przy okazji nogi. Ale to jeszcze nic pewnego; da się dokładniej określić, dopiero jak będzie korpus. No wiesz, treść żołądkowa i inne obrzydlistwa. – Rzucił mu wymowne spojrzenie. – W każdym razie gość nie żyje od jakichś dwóch dni. Ale nie spiesz się z podawaniem tego. A tak w ogóle, to co u taty? – Nagle złagodniał. Tak jakby pokawałkowane zwłoki gdzieś zniknęły, odpłynęły, straciły znaczenie. Jakby spotkali się tu na wspominki i plotki ze starych czasów.

– W porządku. Jak zwykle: gra w karty i pije koniak.

Nie była to cała prawda o zajęciach starego Branika, ale wystarczyła, by na twarzy posępnego mężczyzny zamajaczyło coś odlegle przypominającego uśmiech.

*

W środę miałam randkę. Z mężczyzną, którego znalazła dla mnie Ewa – siostra Hanki, okolicznościowa swatka, dziewczyna o bogatych doświadczeniach, która lubiła dzielić się nie tylko opowieściami.

– To fajny facet, zobaczysz. Spałam z nim kilka razy w dawnych czasach, było świetnie. A poza tym miło się z nim rozmawia. Zdaje się, że teraz jest sam, i to z włączonym trybem poszukiwań. Spotkaj się z nim, pogadaj, sama się przekonasz – zaproponowała kiedyś w porywie wielkoduszności, po tym jak Hanka opowiedziała jej o naszym przedświątecznym picciu i mojej rozpaczy.

Umówiłam się z nim ze sporym wyprzedzeniem, na długo zanim Aleksander zapowiedział swoją wizytę. Cóż było robić? Środowe popołudnie spędzałam w snobistycznej włoskiej restauracji, którą wybrał dawny kochanek Ewy wspaniałomyślnie przekazywany teraz mnie, jak puchar przechodni albo pałeczka w sztafecie zaprzyjaźnionych kobiet. Miał na imię Krzysztof, jakieś czterdzieści lat i każdy jego gest podkreślał, że pracuje w banku – solidnym, poważnym banku – a każde jego słowo, że ma jasno sprecyzowane zamiary – solidne, poważne zamiary.

– Kiedyś bawiłem się w różne przygody. Rozrywki, ekscesy, te sprawy. Teraz wszystko się zmieniło, szukam kobiety do solidnego, poważnego związku.

Widziałam w jego oczach odcień lekkiej desperacji, kiedy mimo niepowodzeń z metodycznym uporem nawijał tagliatelle na widelec. Nie zniechęcał się, choć szło dość opornie.

– Jesteś ładna, mądra, przypadłabyś do gustu mojemu ojcu – patrzył na mnie z entuzjazmem, uśmiechał się, właściwie mógłby być całkiem miły, gdyby nie był taki solidny i poważny. Biegał. Oczywiście, tacy jak on nie pozostają odporni na modę szerzącą się z prędkością światła. Patrzyłam na niego, kiedy opowiadał o bieganiu, o radości wysiłku maratonów i o endorfinach, które uwalniają się podczas biegu. Kiedy tak mówił, z żarem wyznawcy i przekonaniem oddanego członka sekty, myślałam tylko o tym, co czeka mnie dziś wieczorem. O endorfinach, które trafią do moich żył bez konieczności zakładania sportowych butów i forsowania stawów.

Byłam absolutnie pewna, że Krzysztof to mężczyzna, na którym można polegać – nie zniknie, nie porzuci, nie przerwie romansu na samym początku przyjemności. A mimo to ani przez chwilę nie brałam go pod uwagę. Byłam tam po prostu dlatego, że tak wyszło, ale jedyne, co tak naprawdę chciałam zrobić, to wstać, zostawić rozgrzebany na talerzu makaron i pójść do domu, aby zająć się przygotowaniami do wieczoru z Aleksandrem.

– Spodobałaś mi się już wtedy, kiedy Ewa mówiła mi o tobie. Wiesz, czego chcesz, i to jest cenne.

Rzeczywiście, wiedziałam – jednak ta lista była zatrważająco krótka i z całą pewnością nie było na niej nikogo solidnego i poważnego. Patrzyłam na jego szczupłe, delikatne ręce, na oczy, w których mieszały się nadzieja i strach przed odrzuceniem, na czubek jego języka, który zgrabnie oblizywał z ust krople oliwy. Przepraszam cię, że nawet nie daję ci szansy. Przepraszam, że poznamy się akurat wtedy, gdy mogę myśleć tylko o kimś innym. Przepraszam, że nie skorzystam z twoich solidnych, poważnych zamiarów.

Sygnał esemesa dobiegający z mojego telefonu przerwał wywód Krzysztofa. Wywód pełen nadziei, deklaracji i propozycji. „Robisz się wilgotna, czekając na mnie?” – przeczytałam na ekranie telefonu.

– Posłuchaj, Krzysztof. Miły z ciebie facet, ale przepraszam, spieszę się – pomidorek cherry z głośnym plaśnięciem spadł z widelca. Prosto w talerz pełen sosu śmietanowego; poważnego, solidnego, niezaprzeczalnie mdłego.

*

Nie powinienem był tego robić. Nie powinienem był jechać za nią. Przeklęta ciekawość, zgubny zapal, śledztwo o z góry wiadomym rezultacie. Wyszła z pracy przede mną, tak jakby było jej szczególnie pilno. „Do widzenia, dobranoc” rzucając w pośpiechu, wyścig nóg na schodach i mechanizmu windy, kto pierwszy na dole, kto pierwszy do domu. Była dziś w awangardzie opuszczających miejsce pracy. Ciepłe lipcowe powietrze oblepiające ciało, noc jasna i krótka, auta odjeżdżające z parkingu przed firmą jedno po drugim. Dźwięk silników niósł się długo na wymarłym placu, w który budowa metra zamieniła okolice telewizji. Nie zdążyłem zauważyć, jak wsiada do swojego małego, poobijanego samochodziku. Nie wiedziałem, czy jest sama. Pewnie nie była, pewnie to właśnie do niego było jej tak spieszą. Rawski miał dziś wieczorny dyżur razem z nami. Nie dalej niż pół godziny temu, realizując „Przegląd Dnia”, małodusznie się ucieszyłem, że filtr na jednej z kamer był zepsuty i ostre rysy jego twarzy wyglądały nieco gorzej niż zwykle. Czy to możliwe, że wsiadłby tak po prostu do jej samochodu? Że odjechaliby razem sprzed firmy jak gdyby nigdy nic? Spóźniłem się i to było źródło wszystkich nieszczęść. Spóźniłem się – nie zdążyłem zobaczyć, czy wsiada do auta sama, czy w towarzystwie. W zupełnie nieodpowiednim dla niej towarzystwie. Ciekawe, jakie mają plany na piękną, letnią noc? Będą pić białe wino i patrzeć w gwiazdy? A może pieprzyć się przy szeroko otwartym oknie? Jutro Joanna znów będzie smutna.

Wiedziałem, że mieszka gdzieś niedaleko. Śródmieście, parę przecznic od firmy, dziesięć minut jazdy. Wiedziałem, że jest z nim, choć przecież nie mogłem być tego pewien. Ta wiedza – a raczej jej niepewna prefiguracja – nie dawała mi spokoju. Kiedy naciskałem klamkę mojego wysłużonego pathfindera, jej samochód właśnie wyjeżdżał z miejsca parkingowego. Zobaczyłem tylko tył karoserii na sportową modłę uniesiony do góry, błysk czerwonego lakieru, fragment szyby. Było za ciemno. Za ciemno, bym mógł zobaczyć, kto siedzi na miejscu pasażera. To był ten moment, w którym powinienem był powiedzieć sobie „stop”. W którym powinienem był ruszyć do domu i zapomnieć o rozmazanym kształcie za ciemną szybą czerwonego samochodu. Pojechałem za nią.

Złapały mnie światła, jej autko na chwilę zniknęło z horyzontu, wyprzedziła mnie o co najmniej dwa skrzyżowania. Skoro zrobiłem już tyle, zrobię jeszcze więcej. Byle zobaczyć, byle się przekonać, byle bolało. Dodałem gazu, miałem nadzieję, że pojechała prosto i że bez trudu dogonię ją na pustych arteriach nocnej Warszawy. I rzeczywiście, zobaczyłem ją już po chwili, stała grzecznie na czerwonym świetle. Ledwie udało mi się zatrzymać, zapiszczały opony, linia, która powinna była być przede mną, znalazła się gdzieś w połowie podwozia. Bogu dzięki, że przejście dla pieszych było puste. Żadnych wrzeszczących babć, żadnych przemykających nastolatków ani pomstujących mamus z wózkami. Tylko ciemna terenówka tuż obok małego autka z absurdalnie nisko umieszczonymi siedzeniami. Musiałem zdążyć spojrzeć, nim zmieni się światło. Kilkanaście sekund, dwie dzielące nas tafle szkła, ciemne wnętrza auta. Rawski wyglądał jak wciśnięty na siłę do samochodziku-zabawki; pochylał się nad nią, pewnie coś mówił. Jego ręka tkwiła pod jej spódnicą. To nie było kolano ani nawet udo. Joanna patrzyła na mnie – wielkie oczy w nieruchomej twarzy. Mój wzrok, szyba, ręka Rawskiego, szyba, jej spojrzenie bez choćby przebłysku rozpoznania, choć przecież wiedziała, kim jestem i na co patrzę. Ciemność, niewyraźne kształty, gorąco letniej nocy pulsujące wokół nas. Światło zmieniło się na zielone, ruszyliśmy prawie w jednym momencie. Nie mogłem się przemóc, by zamiast na nią spojrzeć na drogę. Jechałbym tak Bóg wie ile, do pierwszego zachwiania toru jazdy, do utraty panowania nad kierownicą, do pierwszego auta nadjeżdżającego z przeciwka. Ale ona skręciła – nie miała włączonego kierunkowskazu ani pewnie nawet zamiaru skręcać, ale skręciła. W ostatniej chwili, jakby pod wpływem nagłego impulsu. Nie będzie dalszej jazdy tuż obok siebie, nie będzie dalszego patrzenia. Koniec tortury na dziś. Ja prosto, ona w bok, ja do pustego domu, ona robić rzeczy, których nie powinna. Które z nas dłużej nie zaśnie?

Dwudziesta trzecia długo nie chciała nadejść. Zrobiłam wszystko tak, jak miało być – czerwone szpilki, czarne pończochy, upięte włosy. Poduszki, świece, wypolerowane kieliszki. Zmysłowy głos Lany Del Ray w tle. Wszystko musiało być doskonałe – zbyt długo na to czekałam, by cokolwiek pozostawić przypadkowi. Sukienkę wybrałam specjalnie dla niego – liczyłam na urodę czarnych koronek i erotyczny walor szerokiej spódnicy, którą tak łatwo będzie zdrzeć. Pociągnęłam paznokcie lakierem, by moje palce lśniły, umalowałam oczy, by rzęsy rzucały cień na policzki, nie włożyłam majtek, by od razu po przyjściu mógł się przekonać, jak bardzo za nim tęskniłam. To było jak ostatnie minuty przed długo zapowiadaną premierą teatralną – tamtą grudniową noc postanowiłam uznać z falstart, co najwyżej za próbę generalną. Prawdziwy początek naszego romansu miał się rozegrać dopiero dziś – z całą pieczołowitością przygotowałam się do premierowego spektaklu, a ostatnim minutom przed przedstawieniem towarzyszyło nerwowe oczekiwanie. Wreszcie dzwonek do drzwi – kurtyna poszła w górę.

– Pięknie wyglądasz – powitał mnie. Widziałam w jego oczach upajającą mieszankę podziwu i pożądania. Zbyt długo na niego czekałam, za mocno tęskniłam, za bardzo go chciałam.

– Mam dla ciebie niespodziankę – włożyłam jego rękę pod swoją spódnicę. Jego dłoń tak zimna jak ja gorąca; płatki śniegu, które przyniósł na płaszczu, zamieniały się powoli w drobne plamki wilgoci. Moje wargi zamknęły się wokół jego palców, tak jakbym nigdy nie chciała go wypuścić. Może tak właśnie było? Swobodna wariacja na temat uścisku, preludium do posiadania, spojrzenie prosto w oczy.

– Uwielbiam cię. Jesteś definicją seksu, jesteś spełnionym snem erotycznym.

Nie zapytałam, dlaczego w takim razie nie chciał śnić tego snu, dlaczego wolał obchodzić się bezsmakiem jawy przez siedem długich tygodni. Nie zapytałam o nic, chciałam dać mu wszystko.

Byłam głodna jego dotyku, spragniona jego ust, rozpaczliwie stęskniona za jego ciałem. Płaszcz, marynarka, koszula – tyle warstw, które oddzielały mnie od jego skóry. Siadanie w fotelach, nalewanie wódki, wnoszenie w górę kieliszków – tyle najzupełniej zbędnych gestów, które oddzielały mnie od tego, czego nie mogłam się doczekać. Niezobowiązująca rozmówka o samopoczuciu i pracy – tyle zbędnych słów, słów innych niż te, które chciałam słyszeć. Minał nieznośnie długi kwadrans, zanim sięgnął przez stół do mojej twarzy – dobry Boże, zerznij mnie, teraz, wreszcie, już!

– Podejź tam – wskazał na komodę w drugiej części pokoju, tuż obok lustra. – Stań do mnie tyłem i oprzyj się na łokciach. Tak, właśnie tak. – Był zadowolony, kiedy robiłam wszystko tak, jak chciał. Siedział w fotelu, całkowicie ubrany, bawił się kieliszkiem. – Teraz zdrzyj spódnicę. Rozstaw szeroko nogi i pochyl się.

Po prostu na mnie patrzył. Stałam nieruchomo, bardziej niż naga w tych obiecanych mu czarnych pończochach i czerwonych szpilkach, bez majtek, z warstwami koronki odrzuconymi na plecy. Byłam żywą fotografią z pisma erotycznego, byłam ilustracją perwersyjnej sesji mody, byłam spragnioną kobietą, która odsłania cały bezmiar swego pragnienia spływającego wewnętrzną stroną ud. Stałam wystawiona na jego spojrzenie, a on patrzył na mnie tak, jakby to nie było preludium, bynajmniej nie wstęp, żadna niewinna uwertura. Patrzył na mnie tak, jakby już mnie rznął.

Kiedy w końcu to zrobił, przypominało to praktyczne ćwiczenia z teorii różnorodności – pieprzył mnie niespiesznie i gwałtownie, delikatnie i ostro, rozkosznie i boleśnie – wszystko po kolei, wszystko naraz, wszystko. Rozpływałam się pod nim, roztopiałam jak przyniesiony z dworu płatek śniegu, znikalam. Boże, nie wytrzymam więcej, nigdy już nie każ mi czekać tak długo, nie zniosę tego po raz kolejny. Pamiętam jak przez mgłę, że krzyczałam – gdzieś u szczytu ekstazy, gdzieś z daleka, głośno. Położył mi rękę na ustach, trzymał mocno, zaciskał palce na mojej szyi. Jeszcze mnie uciskał czy już dusił?

– Nigdy więcej mi tego nie rób. Drugi raz nie wytrzymam tak długo – powiedziałam tuż po tym, jak

odżykałam oddech. Nie jestem pewna, czy zrozumiał, co miałam na myśli.

Sięgnięcie po papierosa było wszystkim, na co miałam siłę – rozleniwienie po spełnieniu, stygnące ciała tuż obok siebie, wiatr od nieuszczelnionych okien poruszający płomieniami świec. W moich żyłach nikotyna mieszała się z oksytocyną, Aleksander wodził tęsknym wzrokiem za papierosem żarzącym się w półmroku. Wiedziałam, że pokusa jest zbyt silna.

– Daj trochę – powiedział. Moje włosy spadły mu na twarz, kiedy pochylałam się nad nim z ustami pełnymi dymu. Tytoniowy pocałunek, zetknięcie ust, aromatyzowany dym oplatający języki.

– Co taka piękna kobieta jak ty robi tu ze mną? – zapytał, a w jego głosie nie było śladu drwiny, ironii ani nawet żartu.

– Pali – odpowiedziałam zgodnie z prawdą i podałam mu papierosa. Wziął go oczywiście. Czymże był wielomiesięczny wysiłek rzucania palenia wobec uroku chwili? Paliliśmy jednego papierosa, podając go sobie z ust do ust – jak uczniowie ukradkiem na przerwie, jak nastolatki skryte w bramie, jak przyjaciele, którymi nigdy nie byliśmy i którymi pewnie nigdy nie będziemy. Ślina zmieszana na filtry, wymienione płyny ustrojowe, złamane serce.

– Sypiasz z Paulinką? – zapytałam.

– Sypiam z tobą.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie. – Na pytanie, którego wcale nie chciałam zadawać, ale coś w mojej głowie mówiło: „Zastanów się, gdzie mógł być przez te siedem długich tygodni? Gdzie spędzał długie zimowe wieczory? Co, a raczej kto, odciągał go od ciebie?”.

– Nie sypiam z nią. – Zabrzmiało prawie wiarygodnie. – Nigdy z nią nie spałem.

To już nie było potrzebne. Całkiem zbędne. Boleśnie nieprawdziwe.

Smutki dymu snuły się pod sufitem, Lana Del Ray wciąż od nowa śpiewała te same smutne piosenki, Aleksander patrzył na mnie tak, że niemal dostrzegałam coś na dnie jego oczu. Myślałam przez chwilę, że wiem, co to jest – mój Boże, wszystko będzie dobrze, a jednak! Ale nie – to były tylko okruszki lodu. Aleksander po prostu wstał i zaczął się ubierać. Papieros wypalony, tętno wróciło do normy, koniec spektaklu. Ukłony, oklaski, kurtyna w dół.

– Pojadę do siebie do hotelu – powiedział, kompletując garderobę. Elegancka koszula, spinki do mankietów i spodnie wprost na gołe ciało; Aleksander nie nosił bielizny. Okruszki lodu w jego oczach urosły już do rozmiarów kostek

– Możesz zostać na noc – zaproponowałam, choć nigdy tego nie lubiałam, choć zawsze starałam się tego unikać, choć zazwyczaj widziałam w tym tylko kłopot.

– Przecież tego nie lubisz – zabrzmiało tak, jakby naprawdę to wiedział.

– Dla ciebie mogę zrobić wyjątek.

– Innym razem. – W jego oczach był już tylko lód.

To nie był czas na nagość – włożyłam szlafrok i zapaliłam drugiego papierosa; tym razem już tylko dla siebie. Nie smakował ani trochę, a kiedy zamykałam drzwi za Aleksandrem, był już tylko jedną wielką goryczą.

– Dobranoc, Joanno.

Żadnych zapowiedzi, żadnych tłumaczeń, żadnych obietnic. Jedyne, co mi po nim zostało, to krawat – porzucony gdzieś na oparciu kanapy, zapomniana wątpliwa ozdoba, męczący składnik służbowego stroju na wizję. Podniosłam go do twarzy – nie pachniał Aleksandrem. Pewnie nawet nie był jego własnością – przydziałowy krawat z telewizyjnej garderoby dla pana prezentera. Może chociaż będzie musiał po niego wrócić?

*

Ostatnia niedziela sierpnia płynęła niespiesznie; jak miód, jak toffi albo karmel – jej kleista

bezsztakność ciągnęła się jedwabście i nieskończenie, bardzo słodka i w swej słodczy nieznośnie mdła. Było nudno, było nostalgicznie, było leniwie. Ale tylko do momentu, w którym odpalono race sensacji. Kanał Szósty podał na pilnym pasku informacyjnym, że na warszawskim Polu Mokotowskim znaleziono ludzką rękę. Lewą, męską rękę odciętą w ramieniu i schowaną w reklamówce. Wyrazy płynące na dole ekranu układały się w nieco odrealniony, ale niezaprzeczalnie alarmujący komunikat, który burzył spokój ostatniej wakacyjnej niedzieli. „Stołeczna policja ogłosiła pełną mobilizację >> Funkcjonariusze patrolują parki, lasy i ogrody >> Sprawca makabrycznej zbrodni wciąż pozostaje nieuchwytny >> Policja apeluje do warszawiaków o zwracanie bacznej uwagi na podejrzane pakunki lub osoby kręcące się w okolicach zieleni miejskiej >> O godzinie 15.00 odbędzie się konferencja prasowa Komendy Stołecznej Policji. Zapraszamy na transmisję w Kanale Szóstym”.

Ta ostatnia informacja mogła zaistnieć dopiero po godzinie narad, wzajemnych pretensji i uderzeń pięściami, które musiało wytrzymać biurko komendanta.

– Kto im to, kurwa, wyniósł?! I to w takim tempie!

– Kto wyniósł, ten wyniósł, to nie jest teraz najważniejsze – posępny mężczyzna podobny do Clinta Eastwooda starał się powściągnąć emocje swojego zwierzchnika. – I tak by się dowiedzieli, a tak może uda się ich jeszcze do czegoś wykorzystać.

Wściekła purpura zaczęła ustępować z twarzy komendanta. Może rzeczywiście sprawy nie mają się aż tak źle? Rzesz tajniaków i mundurowych krążących po parkach i tak nie dało się ukryć – wzmożenie było zbyt ewidentne, a zważywszy na niewytłumaczalne zamiłowanie ludzi do wydzwaniania do radia i telewizji, istniało duże ryzyko, że media i tak dowiedzą się o kolejnych częściach ciała. Najprawdopodobniej od samych znalazców, chociaż wystraszoną parkę, która odkryła rękę, udało się przekonać, by zachowała dyskrecję. Poza tym nawet komendant zdawał sobie sprawę, że media nie odpuszczą – elementarna konsekwencja i podstawowa znajomość anatomii nakazywała, by po dwóch nogach i jednej ręce spodziewać się czegoś jeszcze.

– Dobra, postawimy w takim razie na kontakt ze społeczeństwem. Zalecamy czujność, prosimy o informacje, bla, bla, bla.

To rozwiązanie miało ewidentną wadę w postaci wystawienia się na konieczność odbierania dziesiątek telefonów od wszelkiej maści wariatów, wieszczów Apokalipsy i grzecznych chłopców podających się za morderców. Ale dawało też szansę – owszem, nikłą, ale jednak zawsze realną, że oto zadzwoni ktoś, kto naprawdę ma coś do powiedzenia w sprawie „kawałków”, jak między sobą policjanci zaczęli nazywać tę sprawę. Ostatecznie przecież ktoś musiał coś widzieć. Park Skaryszewski, Las Kabacki i Pole Mokotowskie to miejsca publiczne i niemożliwe, żeby sprawca przemycił się do kolejnych śmietników w czapce niewidce.

– Zwołamy konferencję. Wprawdzie jest niedziela, ale nie szkodzi, efekt będzie bardziej dramatyczny. Niech się Baniak szykuje do występu. Da sobie radę, dobry jest w tych śliskich, gładkich gadkach. – Był to dość duży wyraz uznania pod adresem rzecznika prasowego. – Tylko żeby nie wygadał za dużo.

Mężczyzna podobny do hollywoodzkiego twardziela nie przerwał swego milczenia. Skinął tylko głową, chociaż wiedział, że to zupełnie niemożliwe, by komisarz Baniak wygadał za dużo. Wcale nie dlatego, że jest takim dobrym rzecznikiem; po prostu nie było niczego do wygadania.

*

Aleksander nie wracał po swój krawat. Nie szukał pretekstów, okazji, okoliczności – nie szukał mnie. Ja za to szukałam jego – w spojrzeniach mężczyzn mijanych na ulicy, w pościeli tuż po przebudzeniu, na dnie kieliszka. Czasem odnajdywałam jakieś jego fragmenty u przypadkowych mężczyzn – zarys jego barków i pleców u kogoś, kto stał przede mną w kolejce, wykrój jego ust u listonosza, który przynosił mi

paczkę, kształt jego szczęk u kogoś siedzącego dwa stoliki dalej w kawiarni. W pracy mijaliśmy się jak gdyby nigdy nic, starałam się jednak nie patrzeć zbyt często w jego stronę. Nie patrzeć na niego, za wszelką cenę nie patrzeć. Unikać jego lodowato błękitnych oczu, jego głębokiego głosu, cienia jego sylwetki. Chwile między programami spędzałam w reżyserce, starałam się nie schodzić do newsroomu częściej, niż było to konieczne, by utrzymać wszystkich w przeświadczeniu, że nic się nie wydarzyło. To akurat było zaskakująco proste – Aleksander nie uczynił nigdy niczego, co mogłoby świadczyć, że wie o mnie cokolwiek więcej niż to, jak mam na imię. Nie sądzę, by ktoś z pracy coś zauważył – może z wyjątkiem Piotra, realizatora, który niekiedy podczas długich wieczornych dyżurów w reżyserce patrzył na mnie jakoś dziwnie. Było w jego spojrzeniu coś więcej niż po prostu zainteresowanie. Był w nim jakiś ukryty przekaz, jakaś zakodowana wiadomość, jakiś sekret – wiedza przemieszana ze smutkiem. Tak jakby mi współczuł, jakby wiedział, że cała jestem czekaniem – czekaniem, aż Aleksander sobie o mnie przypomni, aż zadzwoni, aż przyjdzie. Aż znajdzie czas dla mnie, niezależnie od tego, jak bardzo by to było upokarzające.

Nie wiedziałam, jak spędza wieczory, aż do pewnej lutowej nocy – nocy zamieci, zasp po kolana i wichru, który zabierał oddech. Śnieżycą jak z książki – świszczący wiatr, kłęby śniegu krążące w powietrzu, całkowicie przesłonięty horyzont. Wiedziałam, że nie powinnam wracać do domu samochodem, ale wizja brnięcia przez zamieć wydawała się jeszcze gorsza. Skończyłam dyżur równo z Aleksandrem. Kozuch, szalik, rękawiczki – zimowy rynsztunek bojowy, który sprawiał, że nie dało się tak po prostu wyjść. Nie byłam wcale pierwsza przy drzwiach, ale Aleksander zdaje się w ogóle nie kwapił się z wyjściem. „Nie interesuj się, nie myśl o tym, daj sobie spokój” – karciałam samą siebie. Rytuał odśnieżania samochodu, włączanie ogrzewania, drapanie dziury w warstwie szronu na przedniej szybie. Kiedy odjeżdżałam sprzed firmy, Aleksander wciąż jeszcze z niej nie wyszedł. Toczyłam się wolniutko i ostrożnie, na drugim biegu, z wycieraczkami drgającymi konwulsyjnie w skazanej na porażkę walce ze śniegiem wciąż i wciąż nawiewanym na szyby, w oczy, w usta. Udało mi się dojechać do skrzyżowania – nie było nawet tak ślisko, to tylko wiatr niósł śnieg i chciał nas wszystkich zasypać. Zatrzymałam się, czekając na skręt w lewo. Grzecznie włączony kierunkowskaz, żadnej próby wymuszania pierwszeństwa, śnieg tańczący w świetle reflektorów. Wtedy ich zobaczyłam – Aleksandra i Paulinkę, razem. Wyszli bocznym wyjściem, małymi drzwiami schowanymi z drugiej strony budynku. Szli tuż obok siebie, czerń jego płaszczka poznaczona śniegiem, biel jej wełnianej czapki i szalika jakby specjalnie wybrana po to, by skryć się w zamieci. „Nie sypiam z nią. Nigdy z nią nie spałem” – przecież wiedziałam, że kłamał, ale i tak bolało. Bolało tak, jakby ktoś dał mi w twarz.

Przez moment zastanawiałam się, co zrobić – odkręcić szybę, pomachać jak gdyby nigdy nic, zapytać, czy ich gdzieś nie podwieźć? Gdybym to zrobiła, mogliby mnie nawet nie zauważyć – wpatrzeni w siebie, pogrążeni w rozmowie, zajęci sobą. Odjechałam stamtąd jak najszybciej – zamieć litościwie przesłaniała świat i mam nadzieję, że żaden kierowca w aucie obok ani żaden zabłąkany przechodzień nie mógł dostrzec mojej twarzy. Jakimś cudem udało mi się dojechać do domu. Nic nie widziałam; nie wiem, czy bardziej przez śnieg gęsty jak wata cukrowa, czy przez łzy, które podchodziły mi do oczu, drapały w gardle, dusiły w środku. Wcale nie to było najgorsze, że szli razem w stronę jej domu. Nawet wcale nie to, że musieli celowo poczekać, aż wyjdę i odjadę. I nawet nie to, że tak ładnie razem wyglądali. Najgorsze było to, że Aleksander się uśmiechał. Uśmiechał się do niej tak, jak nigdy do mnie. Śmiali się do siebie – patrzyli sobie w oczy i śmiali się do siebie przez cały ten śnieg, przez wiatr, przez zamieć.

*

– Szanowni państwo. Witamy na konferencji prasowej Komendy Stołecznej.

Błysk fleszy, czerwone lampki pracujących kamer, cichnący szmer dziennikarzy. Wszystkie oczy na niego; komisarz Piotr Baniak wręcz czuł, jak oblepia go skondensowana uwaga dziesiątek osób.

Transmisja na żywo we wszystkich telewizjach informacyjnych, później wzmianki w najważniejszych programach, nagłówki w jutrzejszych gazetach. I do tego ta mała z Kanału Szóstego, która siedzi w pierwszym rządzie i wpatruje się w niego jak w obrazek. Komisarz Baniak marzył o tym całe lata. Pięć nudnych lat na studiach prawniczych, długie miesiące na kursie oficerskim i jeszcze dłuższe tygodnie w komendzie na Nowolipiu. Wydział do Walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw – też coś. Zawsze wolał mówić o zabójstwach, niż się nimi zajmować. Od tego byli inni, mniej reprezentacyjni; uśmiech komisarza zajaśniał w blasku fleszy. Jego zęby lśniły błękitnawo, nieuchronnie przywodząc na myśl kafle z pieca. Był w stanie darować nawet to, że ściągnięto go do pracy w niedzielę prosto z grilla u znajomych. Ostatecznie co tam grill, tu były kamery.

– Jak państwo wiecie, w ciągu dwóch dni znaleziono w Warszawie trzy fragmenty ciała. Wczoraj dwie nogi odcięte w pachwinach, dzisiaj rękę odciętą w stawie ramiennym. – Jakkolwiek to brzmiało, powiedział to. – Najprawdopodobniej są to części tego samego ciała. Wszystko, co możemy na chwilę obecną powiedzieć, to że był to mężczyzna, prawdopodobnie w średnim wieku, niepracujący fizycznie.

Przez godzinę przed konferencją starannie obmyślał dobór słów, ale i tak było słychać, że język polski nie należał w szkole do jego ulubionych przedmiotów.

– Tożsamość ofiary nie jest jeszcze znana. Prowadzimy czynności zmierzające do identyfikacji. Prawdopodobnie ofiara zginęła kilka dni temu. Wiadomo, że sprawca zostawia części ciała w parkowych koszach na śmieci, zapakowane w kolorowe torby foliowe. – Zająknął się nieco. Przypomniawszy sobie, że komendant nakazał mu unikać detali. Zwłaszcza tych nazbyt obrazowych.

– Ze względu na drastyczność przestępstwa i dobro śledztwa nie możemy podać państwu więcej szczegółów. Mogę powiedzieć jedynie, że trwają intensywne czynności mające na celu ujęcie sprawcy bądź sprawców tego odrażającego czynu. – Chwila na oddech i rzut oka na twarz. Część była zasłuchana, część skrzywiona, a część wyrażała wyłącznie zniecierpliwienie.

– Sprawa jest na tyle bulwersująca, że policja postanowiła zwrócić się o pomoc do obywateli. Uruchamiamy specjalną infolinię, na którą można będzie przekazywać wszelkie sygnały istotne dla śledztwa.

Palce reporterów śmigają po tabletach; gdzieś tam dało się też usłyszeć skrobanie długopisów po papierze – wśród dziennikarzy wciąż jeszcze zdarzali się tradycjoniści.

– Zależy nam szczególnie na informacjach od osób, które widziały podejrzane osoby w okolicach śmietników parkowych. Prosimy o kontakt każdą osobę, która w ostatnich dniach widziała cokolwiek podejrzanego w Parku Skaryszewkim, Lesie Kabackim i na Polu Mokotowskim.

Czuł, że słowo „osoba” – niezależnie od bogatej deklinacji – padło w tym zdaniu stanowczo zbyt często. A przecież miało być tak zgrabnie! Oświetleniowcy z telewizji rozstawili w pomieszczeniu kilka reflektorów; Baniak czuł, jak grzeją – strużka potu spłynęła mu po karku, pod koszulę, wzdłuż pleców.

– Proszę, mamy teraz chwilę na pytania.

Przebojowa reporterka Network TV we wściekle czerwonej sukience nawet nie czekała, aż poprosi ją o zabranie głosu.

– Czy wiadomo, jak zginęła ofiara?

To było łatwe. Akurat po niej Baniak spodziewał się czegoś o wiele gorszego.

– Nie, tego jeszcze nie wiemy.

– Ale można mówić o morderstwie?

To było jedno z tych słów, których należało się wystrzegać. Zwłaszcza gdy wszystko, co się ma, to dwie nogi i ręka.

– Jeszcze jest za wcześnie na tego rodzaju sformułowania. Powiedziałem, że nie wiemy, wskutek jakich zdarzeń nastąpiła śmierć ofiary.

– Panie komisarzu, proszę uściślić, jak znaleziono poszczególne fragmenty ciała. – Rozpięta pod szyją koszula, elegancka marynarka, modne oprawki okularów. Duży, liberalny dziennik albo lewicujący tygodnik z ambicjami; Baniak nie był pewien. – Czy za każdym razem reklamówki z makabryczną zawartością znajdowały przypadkowe osoby?

– Tak. – Starał się, by jego głos brzmiał pewnie, ale przeczuwał, że wchodzi na pole minowe. – Za każdym razem znaleziska dokonywały osoby po prostu spacerujące w parku. Jedna z tych osób zdaje się rozmawiała z telewizją. – Rzucił wymowne spojrzenie w kierunku czerwonej sukienki. To jej stacja zrobiła jednodniową gwiazdę z pani Haliny, która opowiadała o sinawej stopie wystającej z siatki.

– Spacerowicze tak po prostu zaglądali do koszy na śmieci? Czy też pakunki zwracały uwagę w jakiś szczególny sposób? – Redaktor z gazety był nieubłagany.

– Nie zwracały uwagi, jak pan to powiedział, w sposób szczególny. Ale niektórzy obywatele są na tyle czujni, by zaniepokoić się dużą reklamówką w koszu na śmieci.

Gdzieś z boku sali dotarło do niego kilka kpiących parsknięć. „Skąd on się urwał? Z PRL?”. Nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

– W jakim stanie były te części ciała? – zapytał ktoś z tylnych rzędów. Pewnie jedna z tych hien z żądnych krwi brukowców.

– Proces rozkładu nie był zaawansowany. – Chciał powiedzieć coś jeszcze o przypuszczalnym czasie zgonu, ale po sekundzie namysłu ugryzł się w język. Zawsze lepiej mniej niż więcej.

– Były na nich rany, ślady walki? Jakies widoczne obrażenia?

Hiena nie odpuszczała. Komisarz Baniak nie znosił tak bezpośrednich pytań. Co mówić, czego nie mówić, co pomijać, co zatajać – rozmawiał o tym z komendantem, ale niezależnie od tego, jak długo się rozmawia, oni zawsze mogą zapytać o coś, czego się nie przewidziało. I co wtedy? Komisarz Baniak nie miał już do kogo zwrócić się o radę.

– Nie – odpowiedział po chwili.

– Mówi pan, że nogi były odcięte w pachwinach, a ręka w stawie ramiennym. – Rzeczowy ton, który miał ukryć podniecenie. To musiał być ktoś z pisemek kryminalnych. – Czy te rany, ten sposób cięcia, wskazują, że sprawca potrafił to robić? Na przykład był chirurgiem? Albo miał wykształcenie medyczne?

Baniak pomyślał o poszarpanych krawędziach ran, które sugerowały trudną walkę z cielesną materią i wskazywały na brak doświadczenia nie tyle nawet w cięciu ludzi, co choćby w sprawianiu zwierzęcych póltusz. I pomyślał też o bezwzględnym zakazie epatowania drastycznymi szczegółami.

– Przykro mi, ale nie mogę udzielić odpowiedzi na to pytanie. – Wśród dziennikarzy rozszedł się szmer zawodu. Szkoda, tak miło było widzieć wyraz wyczekiwania i napięcia na ich twarzach. – Mogę jedynie powiedzieć, że... – kilka par oczu znów utkwiło w mówcy – że cięcia nie zostały dokonane skalpelem. – Pauza obliczona na wzmocnienie efektu. – Raczej narzędziem o mniej ostrych krawędziach, za to większym – tasakiem lub nożem rzeźnickim.

Jęk zawodu przeszedł w westchnienie ekscytacji. Baniak sam nie wiedział, skąd mu się wziął ten nóż rzeźnicki. Koledzy mówili tylko o tasaku, porządnym nożu do mięsa, ewentualnie małej siekierce. Niemniej był to strzał w dziesiątkę; nawet ci, którzy parskali na czujność obywatelską, teraz wydawali się zachwyceni komisarzem Baniakiem w roli rzeczownika prasowego. Nagle wszyscy ośmielili się do coraz bardziej fantastycznych pytań:

– Czy zamierzacie czatować w parkach?

– Czy macie jakieś podejrzenia co do motywów?

– Czy zabójca może być psychopatą? Seryjnym mordercą? Wampirem?

Komisarz postanowił rzucić im jeszcze jeden ochłap:

– Rzeczywiście, wszystkie fragmenty ciała były częściowo wykrwawione.

Poruszenie przebiegało po nich jak fala, jak prąd, jak szybkie i zwinne łapy zwierzęcia. Sensację czuć było w powietrzu na kilometr: rzeźnicki nóż, wykrwawione, pokawałkowane zwłoki, oczekiwanie na kolejne ruchy zabójcy. Ach, cóż to będą za nagłówki! Baniak wiedział, że dostali już dość. Teraz na wszystkie pytania wystarczy tylko zużyta, aczkolwiek nieśmiertelna formułka:

– Czynności trwają. Dla dobra śledztwa nie możemy na razie powiedzieć nic więcej.

Już wstał, już otarł ukradkiem strużkę potu spływającą z czoła, już poprawił mundur.

– Dziękuję państwu za przybycie, będziemy informować na bieżąco o postępach w śledztwie.

Obowiązek spełniony, występ zaliczony, publika zachwycona. Zadowolony z siebie komisarz przedzierał się do drzwi przez zwoje kabli od sprzętu telewizyjnego, które wiły się po podłodze jak węże. Przez całą długość sali odprowadzały go oczy jak spodki do filizanek. Szeroko otwarte oczy małej z Kanału Szóstego, która przez całą konferencję nie zadała ani jednego pytania, a teraz wpatrywała się w plecy rzeczownika policji tak, jakby zobaczyła ducha.

*

– Na pewno z tobą wszystko w porządku?

Ptyś był moim przyjacielem, dobrym, bliskim i zaufanym, ale mimo to nie chciałam mówić mu o powodach mego złego nastroju. Wystarczy, że wiedziała Hanka – Rawski nie zasługiwał na to, bym czyniła z niego temat rozmów ze wszystkimi moimi przyjaciółmi. Poza tym szłam z Ptrysiem na bal – obiecałam mu to już dwa miesiące temu i pod żadnym pozorem nie chciałam psuć mu zabawy.

– Tak, oczywiście, że w porządku. Pięknie wyglądasz – powiedziałam, poprawiając węzeł jego krawata.

Naprawdę był bardzo elegancki w jedwabnym garniturze i koszuli, której każdy szew i każda nitka głośiły, że nie została kupiona w sklepie sieciowym. Strój był odpowiedni do okazji – wybieraliśmy się na Bal Dziennikarzy, doroczną branżową imprezę z pretensjami do powagi i elegancji. Marmurowy chłód auli Politechniki, dostojeństwo klasycystycznej architektury, wspomnienie rozmachu carskich balów. A do tego kilka zupełnie współczesnych atrybutów – czerwony dywan, rewiowe schody, błysk fleszy. Rzecz jasna fotoreporterzy polowali na znane twarze, ale zawsze istniała szansa, że choćby przez pomyłkę lub z rozpędu zmarnują część karty pamięci swoich aparatów na kogoś takiego jak ja i dziennikarz polityczny jednej z niszowych stacji, jakim był Ptyś. Zwłaszcza że oboje wyglądaliśmy wyjątkowo dobrze – nie zapomniałam o żadnym balowym artefakcie; począwszy od długiej sukni w kolorze krwi, a na małej torebce z cekinami skończywszy. Telewizyjna fryzjerka za butelkę brandy wyczarowała na mojej głowie coś pomiędzy hollywoodzkimi lokami a królewskim upięciem; dużo lakieru, jeszcze więcej perfum, policzki zaczerwienione trochę od mrozu na zewnątrz, a trochę od ekscytacji. Pewne okazje wymagają ścisłego przestrzegania konwencji – byliśmy więc jej wierni, gdy wkraczając na scenę wydarzeń, uśmiechaliśmy się promiennie do siebie nawzajem i do wszystkich. Do auli, w której odbywał się bal, schodziło się w dół po schodach – rytuał zstąpienia do grona wybranych, do kręgu wtajemniczonych. A może do piekieł?

Basowe dudnienie muzyki, drinki mieniające się wszystkimi kolorami tęczy, blask szkła i lodu w dłoniach mężczyzn poważnych i pobłażliwych jednocześnie. Dystans i zaproszenie wciąż jeszcze w równych proporcjach – jesteśmy ważni, ale gdy już zaprezentujemy to wszem wobec, będziemy chcieli się bawić. A może nawet zabawić? Czerń ich garniturów przeplatała się z intensywnymi barwami sukienek pań. Jesteśmy ważni, przyszliśmy to pokazać – mówiły ich oczy zajęte przepatrywaniem zebranych; jest bal, możemy odetchnąć – mówiły ich rozluźnione łokcie spoczywające na kontuarze baru, ich palce obracające szklaneczki z bursztynową zawartością, ich coraz szerzej otwierające się oczy. Dziennikarzy tak naprawdę przyszło niewielu; dopisali za to biznesmeni, kilku polityków, paru aktorów. Wymieszane w równych proporcjach twarze znane z ekranu i z ekonomicznych stron gazet. Rywalizacja

na dyskusyjne atrybuty atrakcyjności – uwaga fotoreporterów kontra drogie zegarki. I tak wygrywał znany prezenter serwisów informacyjnych w jednej z komercyjnych stacji. Otoczony wianuszkami wpatrzonych weni kobiet, był żywym przykładem magii syntezy wszystkich walorów – twarz znana z telewizji, ale nie z tabloidów, solidność i zaufanie, dowcip skrzący się na równi z zegarkiem. Co najmniej Breitling, może nawet Ulysse Nardin. Otaczające go panie synchronicznie wybuchały śmiechem i jednocześnie kiwały głowami. Ich wiernopoddańcze spojrzenia upodobiały jedną do drugiej tak, że – jak przypuszczam – sławny dziennikarz był w stanie odróżnić je tylko po sukienkach. Panie – nawet te znane z kart kolorowych czasopism – nie cieszyły się aż takim powodzeniem. Niektóre z nich były wręcz smutne, tak jakby nadaremno napompowały usta wypełniaczem i unieruchomiły czoła botoksem. Może cały ten bal był dla nich tylko przykrym obowiązkiem, reprezentacyjną koniecznością, okazją, by pokazać nowe piersi albo nowego kochanka. Na szczęście w barach serwowano drinki bez ograniczeń – płynne pocieszenie i niezawodny umilacz zabawy był aż nazbyt łatwo dostępny. Choć na początku należało się jeszcze pilnować – wiadomo, wszędobylscy fotoreporterzy i czujni redaktorzy serwisów plotkarskich. Oczywiście było jednak, że owa czujność i ograniczenia stopnieją wraz z upływem czasu. Nawet bowiem w epoce Pudelka życie bez alkoholu było raczej nie do przyjęcia dla sfrustrowanych czterdziestoparolatek, którym połączone zabiegi plastyczne i oświetleniowe nie pozwalały już wyglądać tak jak dwadzieścia lat temu ani tym bardziej jak na lśniących, komputerowo przerobionych okładkach. Jakkolwiek niedorzeczne to było, niektóre z nich – te z najgłębszymi dekoltami i te najrzadziej odchodzące od baru – musiały naprawdę cierpieć z tego powodu.

Na scenie miotał się wokalista modnego zespołu, kilka par próbowało swych sił na parkiecie mimo oczywistego braku melodii w rzepoleniu dochodzącym z głośników, popularna prezenterka programów śniadaniowych pozowała do zdjęć. Dość natrętna promocja zdrowego stylu życia – to z tego była znana. Zanim strzeliła migawka aparatu, zdążyła odstawić szklanę, w której kropla soku nieudolnie usiłowała nadać oszukańczą barwę czystej wódce. „Namawia do abstinencji, a sama pije” – uff, tym razem udało się ocalić wizerunek i uniknąć złośliwych nagłówek w brukowcach. Bal rozkręcał się powoli, coraz jawniej ukazując swoje prawdziwe oblicze. To jak z dywanem, po którym stąpało się, wchodząc – był, owszem, czerwony, ale nieco przybrudzony i wystrzępiony na brzegach. Tak samo bal, przystrojony początkowo w szlachetne piórka przedsięwzięcia charytatywnego, powoli stawał się tylko tym, czym był w istocie – okazją do zaprezentowania się, rzucenia uśmiechu na prawo i lewo, do pogrzania się w blasku fleszy i spojrzeń. A później już tylko do zwyczajnej zabawy i jeszcze zwyczajniejszego upicia się – w wyselekcjonowanym gronie, rzecz jasna.

Spotkałam kilku znajomych z firmy – jeden dyrektor, kilku mniej niż bardziej reprezentacyjnych reporterów, prezenter pogody uśmiechnięty tu na balu równie błazeńsko jak na ekranie. Była też Izabela Kalicka, prezenterka współprowadząca „Przegląd Dnia” z Aleksandrem. Gdyby nie stały wyraz dezaprobaty marszczący jej twarz, wyglądałaby bardzo ładnie w granatowej, szerokiej sukni z lśniącą tafty. Niewykluczone nawet, że mogłaby się mierzyć ze znaną publicystką z konkurencyjnej stacji, której balowe kreacje i wymyślne buty co roku stawały się tematem przewodnim portali o modzie. Może i Aleksander tu będzie? przeszło mi przez myśl, kiedy zobaczyłam Izabelę.

– Chodźmy coś zjeść. – Ptyś pociągnął mnie w stronę kolumnienek i podcieni po bokach auli, gdzie urządzono bufet. Wędzony łosoś, wędlina udająca włoską, winogrona i sery – zupełnie bez polotu, ale smacznie. Nie sądziłam, by menu przypadło do gustu znanej telewizyjnej kucharce, która z dość zde gustowaną miną wyciągała dwoma palcami babeczkę z kremem spośród tych z czekoladą. Mimo wszystko jednak nie mogło być tak źle – dwaj serialowi aktorzy z prawdziwym ukontentowaniem wkładali do ust kolejne kawałki schabu na zimno, w pośpiechu nakładali na talerzyki porcje sałatki, na wyścigi zgarniali z półmisków mozzarellę z pomidorami. Szybkość ruchów ich widelców wywoływała

jednoznaczne skojarzenia.

– Czy oni przyszli tu najeść się na cały tydzień?

– Chyba tak – odpowiedział Płyś, z galanterią wrzucając na mój talerz plaster szynki pseudoparmeńskiej. Przy bocznych drzwiach prowadzących do palarni, tuż za stołami, gdzieś na końcu podcieni mignęła mi znajoma sylwetka. Szerokie barki, ciemne włosy z odrobiną gustownej siwizny na skroniach, twarz jak rozmazana plama beżu z dwiema kropkami błękitu. Aleksander – a więc był tutaj. Ciekawe z kim. Z żoną? Z Paulinką? Sam? Tymczasem Płyś hojnie dorzucił mi oliwek, tak jakby rozumiał, że mam teraz ważniejsze zajęcia niż wybieranie przystawek. Aleksander szedł w moim kierunku – jedną rękę miał w kieszeni, na przegub drugiej ciągle zerkał, sprawdzając godzinę. Im był bliżej, tym wyraźniej widziałam, że zachowuje się jak człowiek, który nie przyszedł na bal, tylko w interesach. Nie mógł mnie widzieć przez gęszcz ludzi u stołu, ale po chwili zatrzymał się i stanął gdzieś z boku, daleko zarówno od tańczących, jak i od bufetu. Talerz zadrżał mi w dłoni i niebezpiecznie przechylił się na bok. Aleksander wciąż nerwowo patrzył na zegarek, rozglądał się po sali, ewidentnie na kogoś czekał. Cała jego postawa wyrażała zdecydowanie, jakieś skupienie, może nawet stres? Tak bardzo chciałam wiedzieć, na co patrzy, na kogo czeka, co tu jest grane? Śliski plaster szynki zsunął się z przechylnego talerza, gładkie krągłości oliwek posypały się na ziemię.

– Ale rozrabiasz. – Płyś uśmiechnął się, zgrabnie łapiąc w locie jedną z oliwek. – Coś się stało? – Spoważniał, zauważywszy mój wzrok uporczywie podążający w kierunku kąta sali. – Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

– Może nie ducha, ale... zresztą nieważne. Chodźmy do deserów. – Pozorną beztruską starałam się przykryć swoje poruszenie. – Albo lepiej do baru – nie bez znaczenia dla tej propozycji było to, że wiedziałam, iż stamtąd będę miała jeszcze lepszy widok na poczynania Aleksandra. Wciąż stał tam, gdzie poprzednio, ale teraz nie był już sam. Podeszło do niego dwóch mężczyzn – nieznane twarze, ciemnogranatowe garnitury na modłę fasonu wylansowanego przez premiera, miny na pograniczu powagi i zafrasowania.

– Płysiu, znasz któregoś z nich? Tam, w krużganku – skinęłam głową w tamtym kierunku.

– Któregoś z tamtych trzech? No ten z prawej to przecież Rawski, z twojej stacji.

– Tak, to wiem. – Obawiałam się, że to właśnie powie. – A tamci dwaj?

– Nie wiem, nie znam. A co?

– Nic. Zdrowie! – Stuknęłam swoją szklanką w brzeg jego drinka. Ale nie spuszczałam wzroku z ubocza, gdzie Aleksander stał ze swoimi tajemniczymi rozmówcami. Kimkolwiek dla niego byli, ich spotkanie nie wyglądało na przyjacielską pogawędkę. Wyraźnie coś ze sobą załatwiali – jakieś układy, jakieś zobowiązania, jakieś mniej lub bardziej podejrzone interesy. Zważywszy na dyskrecję i otaczającą ich aurę konspiracji – chyba raczej te drugie. Po tym, jak wymienili ze sobą kilka słów, przeszli w stronę wyjścia do palarni. Żadnych poufanych gestów, żadnego klepania się po plecach, żadnych uśmiechów. Wyszli. Została po nich tylko lekka atmosfera niedomówień, mgiełka niejasnych supozycji i kilka znaków zapytania.

– Zatańczy pani? – Głos wydał mi się znajomy, ale nie byłam pewna, dopóki nie przeniosłam wzroku z drzwi do palarni na jego twarz.

– Oczywiście. – Jerzy Blajer, kolega z pracy, wydawca, jeden z tych, z którymi praca nie była nigdy bardziej nieprzyjemna niż to absolutnie konieczne. Tańczył prawie tak dobrze, jak wydawał serwisy informacyjne.

– Jak się pani bawi, panno Madecka? Tak nas tu dzisiaj niewielu. – Zawsze mówił per „pani” do wszystkich młodych kobiet, taki już miał styl.

– Niewielu, to prawda. – Minął nas w tańcu blondwłosy redaktor naczelny jednego z tygodników.

Popularny, rozpoznawalny, kompletnie pijany. Rozluźniony węzeł krawata zwisał mu smutno na szyi, a pognieciona koszula wychodziła z tyłu ze spodni. – Chociaż niektórzy chyba nie tracą okazji.

Miałam na myśli znanego naczelnego sprzed chwili, ale Jerzy Blajer miał mi do powiedzenia coś o wiele lepszego.

– Mówi pani o Rawskim? Tacy jak on nigdy nie tracą okazji.

– Okazji na co? – Po prostu musiałam zapytać.

– Na wszystko. – Zgrabnie obrócił mnie w piruetce. – Na co tylko się da.

Gdybym mogła wybrać odpowiedź ze wszystkich możliwych, na pewno nie wzięłabym tej. Ale to właśnie tę dostałam.

Bal nieodwołalnie i w sposób nieunikniony staczał się ku końcówce rozlanych drinków, marynarek porzuconych na oparciach krzeseł i tańców na bosaka. Rawski wrócił ze swoimi towarzyszami – ciekawe, gdzie byli? Z palarni – prowizorycznie urządzonej w jednym z korytarzy – można było przedostać się dalej, do pustych i ciemnych pomieszczeń, na co dzień służących studentom. Ciekawe, w którym z zakamarków politechniki toczyli swoje podejrzone rozmowy? Widziałam, jak żegnali się skinieniem głowy. Aleksander został jeszcze na chwilę sam. Był jak żywa figura jednego z tych gości, których zawsze można spotkać na każdym przyjęciu – jednego z tych, co to nigdy nie tańczą i tylko obserwują wszystkich, sącząc drinka pod ścianą. Różnica była taka, że Aleksander nie sączył drinka – wziął z baru czystą wódkę. Poza tym robił wszystko dokładnie tak, jak należy – patrzył z pogardliwą miną, ironicznym uśmieszkiem przykrywając drwinę i poczucie wyższości. A może zazdrość?

Nie mogłam patrzeć na niego cały czas; nie chciałam, by Petyś nabrał podejrzeń. Poza wszystkim, to on występował w roli obserwatora – ja się bawiłam; tak jak można bawić się na dogorywającym balu, którego pretensje do lśniących okładek i kolorowych obrazków szybko zamieniają się w coraz mniej pewne kroki i coraz bardziej zmętniałe spojrzenia. Jedno było pewne – Aleksander był tu sam i to już wystarczyło, bym poczuła się lepiej.

– Dzień dobry, Joanno – usłyszałam gdzieś za sobą. Byłam na parkiecie, tańczyłam z Petysem, Aleksander musiał przeciskać się już do wyjścia. Na chwilę nie dłuższą niż jeden oddech poczułam jego rękę na swoich nagich plecach.

– Cześć. – Więc jednak mnie widział, więc jednak zwrócił na mnie uwagę, więc jednak... Zniknął, zanim zdążyłam pozwolić sobie na ciąg dalszy. Jedyne, co jeszcze dostrzegłam, to jego plecy i delikatny połysk jedwabnego garnituru. Dookoła przygasały fluorescencyjne dekoracje, na podłodze poniewierały się szczątki pękniętych baloników, orkiestra fałszowała już otwarcie i bez silenia się na cokolwiek. Patrzyłam na drzwi, w których zniknął Aleksander. Znów zniknął. Na jak długo? Na zawsze? Gwiazda talk-show dla gospodyń domowych zatoczyła się od baru, odbiła ode mnie jak piłka i wpadła na stół. Dotyk jej sztucznych piersi był miękki i wcale nie nieprzyjemny. Petyś zdążył odsunąć mnie w porę od załamującego się stolika. Na szczęście były na nim już tylko dwie lub trzy szklanki – nikt nie zauważył straty, chociaż huk był dość głośny. Nogi gwiazdy talk-show rozjechały się na rozlanym drinku. Upadła na pośladki, ale i tak musiało ją boleć.

– Kurwa – powiedziała dopiero wtedy, gdy garść różnokolorowych konfetti spadła jej na głowę.

*

Długi dyżur, moment przerwy, chwila na papierosa. Na szczęście palarnia nie była daleko – dokładnie naprzeciwko reżyserki. Kiedy tam wszedłem, ktoś już był w środku. Palce z papierosem, nadgarstek z tatuażem, a dalej chude, blade przedramię. Kosmyki włosów przesłaniały jej twarz, miała na sobie kolorowe tenisówki z gatunku tych modnych, które udają stare, do tego nieprzyzwoicie krótkie szorty. Zbyt wiele o niej słyszałem, by jej nie poznać – Paulinka Koniuszek, jedna z tych młodych od wszystkiego. Jak niosła firmowa wieść gminna – z tych naprawdę od wszystkiego, także od zajęć

pozaredakcyjnych. Podniosła wzrok, kiedy zapalałem papierosa; to nie mogło być spojrzenie przeznaczone dla mnie. Za wiele w nim było, za wiele urazy, pretensji i strachu. Trzymała telefon przy uchu, może zamiast mnie spodziewała się zobaczyć tego, do kogo dzwoniła. To spojrzenie musiało być przeznaczone właśnie dla niego. Ktokolwiek to był, nie chciałbym znaleźć się na jego miejscu. Zaciągała się pospiesznie i nerwowo, krótkimi oddechami wydmuchiwała dym, jaskrawe światło palarni podkreślało białawe wicherki skórek wokół jej obgryzionych paznokci.

– Kurwa mać!

Odłożyła telefon gestem stanowczo zbyt mocnym i nadmiernie zamaszystym. Ktoś nie odebrał – jej wściekłość z tego powodu musiała być większa niż troska o aparat. Jeden z tych zbędnie nowoczesnych i wrażliwych na dotyk prawie jak człowiek.

– Wszystko w porządku? – zapytałem, chociaż odpowiedź wydawała się oczywista. A jednak taka nie była; Paulinka Koniuszek potrafiła mnie zaskoczyć.

– Tak.

Zgasiła papierosa i usiadła na jednym z trzech krzesełek, które ustawiła tu firma w trosce o kręgosłupy palaczy. W jednej ręce ścisnęła swój brutalnie potraktowany telefon, z drugiej uczyniła sobie podpórkę. Kolano, łokieć, głowa oparta na dłoni. Wzięła kilka głębokich oddechów; musiała mieć katar, nozdrza miała zaczerwienione, a powieki – choć starannie pokryte jakimś upiornym lazurem – chyba spuchnięte. Patrzyłem na nią z coraz większym zainteresowaniem. Tymczasem ona wyszła. Tak po prostu – zebrała siły i wyszła.

– Na razie – rzuciła, zaciągając za sobą szklane drzwi kryjówki dla nikotynistów. Wtedy mi się przypomniało. Przecież to kochanka Rawskiego! Nie dość, że tak mówił mi mój przyjaciel Darek – któremu można była zarzucić wszystko oprócz niedoinformowania – to jeszcze mnie samemu zdarzyło się widzieć ich kiedyś razem. To było dawno, jakoś zimą albo u progu wiosny; nie zwróciłem wtedy na to uwagi, ale przecież szli gdzieś razem, Koniuszek i Rawski, bardzo blisko siebie i bardzo sobą zajęci. Jeśli to Rawski był przyczyną dzisiejszego zachowania Koniuszek, to romans ten zdawał się wyjątkowo jej nie służyć. O ile Rawski mógł służyć komukolwiek – pomyślałem o Joannie, która właśnie stanęła w drzwiach reżyserki. Wyglądało, jakby postanowiła wyjść na papierosa dopiero wtedy, kiedy w palarni nie będzie już Koniuszek.

*

– Przecież to on. To Rawski! – Wszystkie oczy w newsroomie skierowały się w jej stronę. Zdawała sobie sprawę, że być może mówi odrobinę za głośno. Hanka Chaberek nigdy nie lubiła zwracać na siebie uwagi, zawsze wolała po prostu dobrze wykonywać swoją robotę, ale tym razem postanowiła uczynić wyjątek. – Przecież byłam na tej konferencji, słuchałam tego idioty Baniaka. Mężczyzna, w średnim wieku, niepracujący fizycznie. Tak powiedział!

Joanna, redaktorka cytatów i nagłówków, która wyjątkowo zamiast w reżyserce siedziała ze wszystkimi w newsroomie, podniosła głowę. Choć była zaprzyjaźniona z Hanką, ten ton pełen emocji był dla niej czymś nowym. Spojrzały na siebie przeciągle i wyraziście, tak jakby jedna chciała przekazać coś tej drugiej.

– Pani Hanko, niech pani da spokój. Mężczyzn w średnim wieku niepracujących fizycznie może być w tym mieście ładnych kilkaset tysięcy. – Jerzy Blajer starał się tonować nastrój młodej dziennikarki. Zawsze z tą swoją manierą mówienia per „pani” do dziewczyn przed trzydziestką.

– Ale w sumie może coś w tym jest... – Izabela Kalicka spojrzała na zaaferowaną koleżankę. Przyszła na swoją wieczorną zmianę jeszcze wcześniej niż zwykle. Rzecz jasna była obowiązkowa, ale przy okazji dobrze było dowiedzieć się, co korytarze szepczą o Rawskim. Musiała mieć czas na garderobę, bufet i dłuższe plotki w charakteryzatorni. Tam też przecież mogli coś wiedzieć.

– Nie może, na pewno. Mówię wam, to on. Jak nic to on. – Hanka nie umiała wytłumaczyć źródeł swojej pewności, ale była przekonana, że poćwiartowane zwłoki odnajdywane w warszawskich parkach to ich redakcyjny kolega. Zbyt dużo pojawiło się tu zbiegów okoliczności, by można je było zlekceważyć.

– Rawski zaginął w nocy z czwartku na piątek. A ten gość, co teraz jest zwłokami w kawałkach, został zabity najwyżej kilka dni temu. No proszę, nic wam się tu nie nasuwa? – postanowiła podeprzeć swoją intuicję logiką.

– Co ty opowiadasz, przecież jeszcze nie wiadomo nawet, czy został zabity. – Do rozmowy włączył się Marek, kierownik produkcji. Było to dość niebywałe, bo zazwyczaj od tego, co działo się w redakcji, wolał rozkład wyścigów konnych na Służewcu.

– No żartujesz. To takie standardowe pieprzenie policji, że jeszcze nie wiadomo, jak zginął, ale chyba nie sądzisz, że ktoś zadałby sobie tyle trudu z ćwiartowaniem faceta, który zmarł na zawał. – Niespodziewanie w sukurs Hance przyszedł Blajer. Marek nic już nie powiedział; jednak plan dzisiejszych gonitw okazał się ciekawszy.

– Mówię wam, to Rawski. Zobaczycie. – Hanka nie odpuszczała. Zazwyczaj pracowała na miejscu, jako asystentka wydawcy, czyli osoba od brudnej codziennej roboty zapełniania poszczególnych serwisów w miarę zgrabnie przyciętymi wypowiedziami polityków i spółki. Dziś wyjątkowo musiała pojechać z kamerą na pilnie zwołaną konferencję policji. Jeżdżenie na zdjęcia nie było jej specjalnością, ale kiedy już zdarzało jej się to robić, umiała wyciągać wnioski nie tylko z tego, co nagrywani mówili, ale też ze sposobu, w jaki to robili.

– Ktoś ma tu chyba zbyt duże skłonności dramatyczne. – Blajer postanowił zakończyć tę dyskusję. – A tak przy okazji, to wiem, że ma pani dziś dyżur z kamerą, ale jakby pani mogła przez chwilę jeszcze zastąpić Koniuszek i pomóc mi z serwisem na dwudziestą...

– A gdzie jest Koniuszek? – Hanka mogła pozwolić sobie na pytanie, bo wiedziała, że nikt i tak nie posądzi jej o niechęć do pracy. To akurat zupełnie nie wchodziło w grę.

– Zgadnij. – Blajer już nawet mógł powiedzieć jej per „ty”; przekaz w jego głosie był wystarczający.

– Nie wiem, no skąd mam wiedzieć. – Hance coraz mniej się to wszystko podobało.

– Rozmawia z policjantami. Którzy odwiedzili ją w domu i dlatego spóźni się na wieczorny dyżur.

– O kurwa.

– Wszystkich nas to czeka. Myślisz, że nas nie będą przesłuchiwać? Będą. – Izabela wygłosiła swoje zdanie, tak jakby pochodziło z jakiegoś oficjalnego dziennika obwieszczeń. – Zawsze to robią, taka jest procedura. Po prostu z oczywistych względów zaczęli od niej.

– Muszę iść zapalić. – Nie było już tak, że Hance podobało się coraz mniej. Teraz nie podobało jej się zupełnie. – Oczywiście zostanę, żeby ci pomóc. – Skinęła głową Blajerowi i sięgnęła do torebki po papierosy.

– Idę z tobą. – Joanna zamachała w jej kierunku swoją papierośnicą. Metaliczny blask, elegancja w starym stylu, rekwizyt, który byłby na swoim miejscu raczej we francuskim filmie niż w nowoczesnej palarni. Ta papierośnica była jak sama Joanna – oryginalna, błyszcząca z daleka, stylowa. Tak stylowa, że aż ocierająca się ryzykownie o cienką granicę przerysowania.

*

Życie stawało się coraz mniej znośne – niekończąca się zima zmroziła miasto, świat zapadł w śnieżne odrętwienie i wydawał się jakiś nierzeczywisty, jak cukierkowa pocztówka z zimowym landszaftem. Monotonia wszechogarniającej bieli czyniła wszystko jednostajnym, a płonąca we mnie gorączkę zamieniała na tępy, pulsujący ból. Nie było na to lekarstwa – nie było lekarstwa na tygodnie bez Aleksandra wypełnione tylko zazdrością, śniegiem i czekaniem. Śnieg i czekanie – te dwie rzeczy splotły się dla mnie nierozdzielnie. Pracowałam na środkowe lub poranne zmiany, widywałam go więc tylko na

ekranie. Długie, samotne wieczory spędzane przed telewizorem z kieliszkiem w rękę złały mi się w jedno pasmo ciągłego niespełnienia i wiecznej nadziei. Jakby nigdy nie było jego rąk na moim ciele, moich ust na jego twarzy, jego dłoni w moich włosach. Jakby to wszystko mi się tylko przyśniło. Zresztą on sam śnił mi się co noc – nie chciał odejść z moich snów, tak abym nawet śpiąc, nie miała spokoju. Cały luty bez Aleksandra. I w tym pewien piątkowy wieczór.

– Dobranoc państwu, zapraszamy na „Przegląd Dnia” w poniedziałek. Miłego weekendu.

Aleksander i Izabela pożegnali się z ekranu. Zastanawiałam się, czy po tym, jak schowa długopis do wewnętrznej kieszeni marynarki, odstawi szklanekę z wodą, zamknie za sobą drzwi studia, po tym, jak pożegna się ze wszystkimi i wyjdzie w noc, śnieg i mróz, czy od razu wtedy pójdzie do niej. To nie dawało mi spokoju, a zazdrość, złość i pożądanie – w takiej właśnie, a może w zupełnie odwrotnej kolejności – krążyły we mnie i przechodziły jedno w drugie, nieuchronnie łącząc się w mieszankę wybuchową. Czy od razu będą się pieprzyć, czy najpierw trochę pogadają? Wypiją coś, wymienią plotki, obgadają kogoś z pracy – może mnie? Czy leżąc na niej, porówna ją ze mną, czy całując ją, choć przez chwilę pomyśli o mnie, czy w zieleni jej oczu dostrzeże brąz moich?

Mam tego dość, muszę skończyć z tą obsesją, muszę wyjść – myśl jak impuls, tak intensywna, że odczułam ją prawie cieleśnie. Nie miałam planu, nie miałam towarzystwa, nie miałam pomysłu, ale wiedziałam, że piątkowa noc znajdzie coś dla mnie. Umalowałam usta czerwoną szminką – gest zwyczajny, ale i niezaprzeczalnie erotyczny, gest, który chciałam czynić dla niego, ale tej nocy ktoś inny będzie podziwiał jego efekty. Sukienka, kozaki na szpilce, torebka, w której oprócz kluczy i pudru nie mieści się już nic więcej.

Kilka minut w taksówce i oto byłam – królestwo nocnej Warszawy, klubowe zagłębienie z imitacją czerwonego dywanu i oryginałami wykidajłów przy wejściu. Świat tandety i przepychu, fałszywych kryształów i prawdziwych piwnic, baterii kolorowych butelek za barem i białych ścieżek na brzegach umywalek.

Młode kobiety zazwyczaj nie chodzą w takie miejsca same – odruch stadny nakazuje im łączyć się w grupki, tria czy choćby pary, tak by jawne polowanie czysto umownie mogło uchodzić za niewinną rozrywkę. Jednak konwencja nie usuwa podtekstów, od których pulsuje świat nocnych atrakcji. Chciałam dziś odczytać je wszystkie, tak by w przewidywalnych liniach ich następstw znaleźć ukojenie. Choćby na chwilę, choćby według nieśmiertelnego i wyświechtanego scenariusza. Sztampowy podryw, kolorowe drinki, wymiana paru zdań i kilku płynów ustrojowych. Tego chciałam – wszystko było lepsze od tego dojmującego bólu w środku. Może nawet stałoby się lekarstwem? Może zajęłoby nie tylko ręce, ale i myśli? Może pomogłoby mi znaleźć się bardziej tu i teraz, zamiast tkwić wciąż w ciasnym mieszkanku Paulinki.

Samotna kobieta to dość rzadki widok w klubie; samotna kobieta, która wie, czego chce i nie przysłania tego konwencją „przyszłam tylko potańczyć”, to widok jeszcze rzadszy. Było mi obojętne, jak na mnie patrzą – nie dbałam o taksujące spojrzenia mężczyzn, ciekawskie zerknięcia personelu, wrogi wzrok kobiet. Błogosławione lokale, w których wciąż można palić – podeszłam do baru, zamówiłam drinka, oparłam się o kontuar i zapaliłam papierosa. Długim, powolnym gestem. Jak na komendę podniosło się kilka męskich głów dotąd pochylonych przy barze. Obie ręce zajęte, doskonały punkt obserwacyjny, strategiczna pozycja.

Kluby nocne rządzą się pewnymi prawami, które obowiązują niezależnie od rangi lokalu, niezależnie od zasobności klienteli i niezależnie od aspiracji – bądź pretensji – jednych i drugich. Styl bywa różny, sedno – zawsze to samo. Odwieczny taniec poszukiwaczy przygód, tradycyjny rejs poławiaczy pereł, zawsze z tym samym arsenałem gestów, spojrzeń i min. Tego wieczoru przegląd mężczyzn wypadł interesująco, a przede wszystkim wydawał się pełny. Można było obejrzeć chyba wszystkie gatunki

spotykane w takich miejscach. Byli tam uwolnieni od krawata – i sami swym uwolnieniem zadziwieni – urzędnicy, byli stateczni ojcowie rodzin, weekendowo od swojej stateczności urlopowani, byli zagubieni w meandrach kontekstów kulturowych obcokrajowcy, byli przyjezdni z Grodziska Mazowieckiego liczący na seks gdzie indziej niż w dużym pokoju zanim wróci mama, byli też nieco nadszarpnięci zębem czasu, ale wciąż głodni wrażeń Bardzo Ważni Biznesmeni. Znalazło się też paru dziarskich chłopców, paru synków, którzy pożyczili porsche od tatusia, parę wystylizowanych męskich ślicznotek i kilku pseudoartystów, z naciskiem mniejszym na sztukę, a większym na pseudo. Do wyboru, do koloru – nic, tylko brać. Wszyscy wyprostowani, z wciągniętymi brzuchami, mniej lub bardziej kurczowo ściskający szklanki, kieliszki lub butelki z piwem. Wszyscy przekonani o swych wielkich walorach, a jednocześnie trochę niepewni siebie. Nawet ci w ekskluzywnych łóżach, z butelkami drogiego szampana w wiaderkach z lodem – nawet oni korzystali od czasu do czasu z tradycyjnych sposobów przykrywania niepewności głośnym śmiechem, przesadnym gestem, rozpartą pozą.

– Cześć, piękna. Co pijesz?

– Co taka kobieta jak ty robi tutaj sama?

– Mogę postawić ci drinka?

– Zatańczymy?

Wszystko niewarte wzmianki. Spokojnie stałam dalej przy barze – i tak przecież nie chodziło o to, by tańczyć. Chodziło o to, by zapomnieć, a to było trudne zadanie, nie mogłam więc wybrać do niego byle kogo.

Mężczyzna w szarej marynarce wydawał się odpowiedni. Stylowy, ale nieszczególnie oryginalny, poszukujący, ale bez ostentacji. Mniej więcej w wieku Aleksandra, skronie lekko przyprószone siwizną, biała koszula, dobry materiał. Podał mi ogień gestem ze starego kina – tak jakby co najmniej przez pół życia podpatrywał Bogarta.

– Twój wzrok sugeruje, że mogę coś dla ciebie zrobić.

Otwierał kilka możliwości, ale nie zamierzałam korzystać z tej, która prowadziła do początku wspianej przyjaźni.

– Zabierz mnie stąd – powiedziałam. Było w nim jakieś odległe podobieństwo do Aleksandra – w zarysie ust, w sposobie, w jaki patrzył mi w oczy, w ruchu dłoni z zapalniczką. Może właśnie dlatego go wybrałam? Wieczór toczył się dalej według zawstydzająco przewidywalnego scenariusza. Cichsza knajpka, gdzie można było odprawić rytuał kilku wspólnych drinków, wymiany uśmiechów, komplementów i żenująco szampowych pogaduszek. Banał rozmów z nieznanym – o pracy, ulubionej muzyce i znakach zodiaku. To ja zadałam sakramentalne pytanie.

– Idziemy do mnie czy do ciebie?

Do niego. Jedziemy; taksówką rzecz jasna. Kierowca patrzył na mnie bez cienia sympatii, tak jakby nigdy nie woził nad ranem przypadkowych par. Albo robił to na tyle często, że zdążył już nabrać obrzydzenia. A może wbrew temu, co sądziłam, moja desperacja nie była wcale aż tak dobrze ukryta?

Miał ładne mieszkanie na jednym ze strzeżonych osiedli – elegancka garsoniera z niewielką liczbą sprzętów; przecież wszystko, co potrzebne, jest w prawdziwym domu, tam gdzie żona, dzieci i pies. Wstające słońce przeświecało przez zasłonięte żaluzje – paski światła i cienia układały się na pościeli, czyniąc jej nieskazitelną biel choć trochę mniej banalną. Całował delikatnie, dotykał z wyczuciem, mówił tylko tyle, ile trzeba. Chciałam zatracić się w jego objęciach – w objęciach mężczyzny, o którym nic nie wiedziałam. Nic oprócz tego, co najważniejsze – że nie był Tobą. Wierzyłam, że jeśli odtworzę gesty, to wrócą też emocje. Wierzyłam, że jeśli pobudzę ciało, to poruszy się i duch. Wierzyłam, że jeśli powtórzę słowa, to przywołam ekstazę. Jak rytuał, który spełnia się przez powtórzenie, a nie przez osobę. Wierzyłam, że mogę odpłynąć od Ciebie – gdzieś daleko, z kim innym, podejrzenie łatwym pocieszeniem

ugasić ogień. To samo, to wszystko to samo, mówiłam sobie. Na próżno – w jego spojrzeniu wypatrywałam Twoich oczu, w jego dotyku szukałam Twoich rąk. Gehenna niespełnienia, nadzieja na niemożliwe. Wszystko było zgodne ze sztuką i wszystko było nie tak. Jak obrzęd bez wiary, jak naczynie bez wody, jak forma bez treści. Już wiedziałam, że się od Ciebie nie uwolnię. To samo, to wszystko to samo, mówiłam sobie. Ale to nie było to samo. To była tylko rozpacz. Czułam, jak zamiast rozkoszy narasta we mnie gorycz – mimo że był niewinny, winiłam go. Winiłam go za to, że nie był Tobą.

*

– Ty coś wiesz? – Hanka zaczęła bez ogródek, kiedy znalazły się z Joanną w szklanej klatce palarni. Letnia niedziela, czas bez serwisów na antenie, rozprzężenie między popołudniowym a wieczornym ubogim pasmem weekendowym. Kilka osób snuło się po korytarzu, bufetowa właśnie zamykała swój przybytek, pozorny spokój, pod którym jednak zdawało się pulsować podskórne napięcie.

– Nie wiem. Naprawdę zupełnie nic nie wiem. – Głos Joanny brzmiał jak niegładzony metal zawinięty w aksamit, z tym jej leciutko ściętym „r” i gardłowym, niskim tonem. W czasach, gdy próbowała zostać reporterką, jeden z szefów powiedział o niej, że taki głos nie nadaje się do czytania materiałów na antenie, tylko do łóżka. Miał dobre ucho.

– Ale to on, mówię ci. – Twarz Hanka wyrażała pewność wielką, oczywistą i nieznoszącą sprzeciwu. – To straszne, jak się o tym pomyśli, ale wreszcie się doigrał. Jak myślisz, kto go załatwił? – Mimo wrodzonej inteligencji i znajomości języków obcych, nigdy nie zrobiłaby kariery w dyplomacji.

– Jezu, nie mam pojęcia. Wiesz, jaki z niego człowiek.

– Wiem, kurwa. Dzięki Bogu nie aż tak dobrze jak ty, ale wiem. – Dwie pary ciemnych oczu spotkały się na chwilę; jedno prawie bez makijażu, drugie starannie obwiedzione czarną kreską – Ciekawe, jak się teraz ma Koniuszek?

– Sądzisz, że płacze po nim? – Głos Joanny zabrzmiał tak, jakby ktoś odwinął metal z aksamitu.

– No raczej, że nie. Ale pewnie się i nie śmieje, skoro ma łapaczy na karku.

– Hanka, daj spokój, przecież nawet nie wiadomo, czy to naprawdę on. – Joanna machnęła lekceważąco ręką; doskonała czerwień jej paznokci błysnęła w halogenowych świetlikach.

– On, on. Zobaczysz. I wtedy dopiero się zaczniesz.

*

Cały luty bez Aleksandra, pół marca bez Aleksandra, bezmiar pustki. Gdzieś w Rzymie kardynałowie wybierali papieża – nie obchodziło mnie to ani trochę, mimo niezaprzeczalnej atrakcyjności średniowiecznego rytuału, mimo doniosłości chwili, mimo dekoracji pędzla Michała Anioła. Dyskretny urok feudalizmu, zakulisowe gierki i przemyślnie intrygi przykryte sakralnym sztafażem, brutalna rywalizacja o władzę i wyrafinowana walka o rząd dusz. Gra o tron w wersji bez smoków, za to z Duchem Świętym. Być może rzeczywiście Duch Święty był zajęty na konklawe i nie miał czasu na inne sprawy. Może naprawdę nikt oprócz kardynałów zamkniętych w Kaplicy Sykstyńskiej nie mógł liczyć w tym czasie na Jego interwencję – całej reszcie pozostawały tylko niewysłuchane modlitwy, daremne wołania, prośby odbijające się głuchym echem. Nie interesowało mnie więc, co się dzieje w Rzymie. Jakie znaczenie miało, kto założy Pierścień Rybaka, skoro dla mnie wciąż była tylko pustka?

A jednak nie na zawsze – nowy papież przyniósł mi szczęście. To był trudny dzień w pracy – wieczorne wydanie specjalne, niecierpliwe oczekiwanie na dym z komina Kaplicy, chwila niepewności i – jest, wreszcie jest! Biały dym, zwykła ludzka radość i profesjonalne podniecenie. W takiej chwili praca w mediach jest najwdzięczniejszym zajęciem świata. Czułam się ważna i czułam się potrzebna, gdy wiedziałam, że zaraz, za moment, na żywo przekażę światu dobrą nowinę. Niezależnie od tego, jak drobną częścią całej maszyny jestem, miałam w tym swój udział – swój równie podniecający, jak stresujący udział w wielkim widowisku, w eskalacji napięcia, w erupcji emocji. Cały ten transmitowany

na żywo spektakl unieważniał chwilowo to, co jeszcze przed momentem było dla mnie najistotniejsze. Kiedy zeszałam na chwilę do newsroomu, nawet nie zauważyłam Aleksandra. Kiedy odbierałam listę gości zaproszonych do programu, ani na moment nie spojrzałam w jego stronę. Ale konklawe się skończyło – Duch Święty musiał wrócić z Watykanu i podjąwszy na nowo swoje obowiązki wobec świata, litościwie uznał, że dość już czekałam.

„Lady in red. Rasowo to wygląda” – wiadomość wyświetlona na ekranie mojego telefonu zapewniała mnie, że czerwona krótką sukienka jest dobra na wszystko. Gdybym miała czas, być może zastanowiłabym się nad tym dość specyficznym doбором słów. „Rasowo” – komplement bardziej dla kłaczy niż dla kobiety, ale cóż – nie mogłam być nazbyt wybredna, zważywszy na to, jak rozpaczliwie chciałam dostać od niego cokolwiek.

„Napijesz się ze mną?” – zdążył jeszcze napisać, zanim przepadł na kilka długich godzin w szklanej klatce studia. Zanim ja przepadłam w bunkrze reżyserki, w gąszczu słów i w setkach napisów.

„*Habemus papam*” – oświadczył trzęsącym się głosem francuski kardynał. Niepozornemu, zasuszonemu staruszkowi brakowało siły i wyrazu, ale i tak cały świat patrzył tylko na niego. Słowa jak odwieczne zaklęcie, słowa, które miały moc i potęgę, słowa, które na naszych oczach tworzyły nowy porządek rzeczy. Kanoniczna formuła z mocą kreacji.

Jorge Mario Bergoglio – duże zaskoczenie, lekka konsternacja, trudne nazwisko. Chciałam jako pierwsza napisać je na ekranie, ale jednocześnie nie mogłam sobie pozwolić na błąd. Moje palce biegały po klawiaturze – koncentracja, stres, adrenalina. „Wybór nowego papieża to świetna okazja, by cię zerznąć” – Aleksander siedział w studiu z zaproszonymi komentatorami, ale jedynym, co pokazywaliśmy na antenie, był obecny pępek świata, czyli balkon Bazyliki Świętego Piotra. Mógł pozwolić sobie na nielegalną komunikację między studiem a reżyserką, na zakazany esemes wysłany podczas programu, na bluźnierstwo tyleż obrazoburcze, co rozkoszne.

Skromny biskup z Argentyny machał do wiernych na placu Świętego Piotra, a cały świat patrzył z zapiętym tchem, jak w prostocie słów i pokorze gestów rodzi się nowa droga Kościoła. Doniosła chwila, przełomowy moment, historyczne wydarzenie. Wszystkie te frazesy serwowałam widzom, podczas gdy sama myślałam tylko o tym, by wreszcie stąd wyjść. By porzucić wydanie specjalne, nowego papieża, a nawet nadzieję na rewolucję w Kościele. By wyciągnąć Aleksandra ze studia, oprzeć się o szklane drzwi do newsroomu i nie tyle pozwolić mu się pieprzyć, co po prostu samej go zerznąć.

Tymczasem zaczęliśmy od picia. A jeszcze wcześniej od trudnych pytań. Gdy wreszcie skończyliśmy program, Aleksander wsiadł po prostu do mojego samochodu. Jakby nigdy nic, jakby nie obchodziły go te pełne niezdrowej ciekawości spojrzenia naszych współpracowników. Jakby wspólny odjazd sprzed firmy był dla nas czymś najzupełniej naturalnym. Przez chwilę szukałam kluczyków – z zajętej dłońmi i wzrokiem wbitym w czeluście torebki ośmieliłam się zapytać:

– Właściwie dlaczego nie widziałam cię tak długo?

To nie był nawet ułamek tego, o co chciałam go zapytać, nawet promil tego, co chciałam wiedzieć, ale to było wszystko, na co się zdobyłam. Patrzył na mnie inaczej, niż się spodziewałam – nie tak, jak mężczyzna nienawykły do tłumaczeń i nieprzyzwyczajony do pytań. Raczej jak ktoś, kto wie, że winien jest pewne wyjaśnienia, choć ma świadomość, jak dalece nieadekwatnie zabrzmiały jego odpowiedzi. A może po prostu jak ktoś, kto coś ukrywa, ale nie lubi związanego z tym trudu?

– Nie było mnie. – Boże, czy on naprawdę myśli, że nie sprawdzam jego grafika dyżurów? – A wtedy, kiedy byłem, raczej nie nocowałem w Warszawie.

Jego wzrok mówił „nie brnij dalej”, ale – o dziwo – nie było w nim groźby ani ostrzeżenia. Może raczej – coś zupełnie nietypowego dla Aleksandra – prośba? Albo coś, co doskonale ją udawało, a tak naprawdę było tylko zniecierpliwieniem, które mówiło „daj mi spokój”. Te kilka słów mętnych

wyjaśnień uznał za wystarczające – wiedziałam, że nie dostanę już niczego więcej i albo mimo to wezmę go ze sobą do domu, do łóżka, do serca, albo po prostu odjadę. Nie potrafiłam oszukać samej siebie na tyle, by nie zdawać sobie sprawy z iluzoryczności tego wyboru.

– Wsiadaj, jedziemy.

Wybieram Twoje świństwo, kłamstwa i kręactwa; wybieram poniżające milczenie, którym mnie raczysz, i wybieram Twój egoizm. Zgadzam się na Paulinkę, zgadzam się na Twoje brudne sekrety i zgadzam się na przyływy i odpływy Twego zainteresowania. Pozwalam Ci kierować się wyłącznie swoją wygodą, pozwalam zawsze dyktować warunki i pozwalam Ci traktować mnie jak rzecz. Wybieram, zgadzam się i pozwalam, bo nie potrafię przestać Cię kochać. Trzaśnięcie drzwi od strony pasażera było jak pieczętka przybita pod deklaracją.

*

Dla Paulinki już się zaczęło. Było ich dwóch, obaj wysocy, jeden w bluzie, a drugi w zwykłym T-shirtcie. Stali przed drzwiami na długim, obskurnym korytarzu bloku w centrum miasta, w którym mieszkała najmłodsza pracownica Kanału Szóstego. Wprawdzie adres jej zameldowania podany przez operatora telekomunikacyjnego wskazywał na jedną z gorszych dzielnic Koszalina, ale nietrudno było się dowiedzieć, gdzie w Warszawie wynajmuje mieszkanie. Jak relacjonował im koszaliński dzielnicowy, jej matka nie była całkiem trzeźwa, ale za to bardzo rozmowna.

– Pani Paulina Koniuszek?

Skinęła głową, chociaż nikt tak do niej nigdy nie mówił. Bladość rodem z młodzieżowych powieści o wampirach, uroda regularnych rysów zmacona zbyt mocnym makijażem, kosmyki włosów zniszczonych farbowaniem zwisające wokół twarzy.

– Jesteśmy z policji. – Nawet nie zadali sobie trudu, by wyjąć legitymacje. Choć wcale nie powinna, większości ludzi wystarczała tylko deklaracja. – Prowadzimy poszukiwania Aleksandra Rawskiego. Mamy podstawy przypuszczać, że jest – chwila zawahania – lub był u pani.

– Kto wam tak nagadał? – w jej westchnieniu złość mieszała się z rezygnacją.

– Mamy podstawy tak przypuszczać – komisarz Kwarnicki cierpliwie powtórzył swoje słowa sprzed chwili. – Porozmawia pani z nami tutaj czy woli pani dostać wezwanie na komendę?

W dziewięciu na dziesięć takich przypadków ludzie woleli uniknąć formalnego wezwania na przesłuchanie. I w dziewięciu na dziesięć przypadków wychodzili na tym gorzej, niż gdyby spokojnie przygotowali się do zeznań.

– Ja miałam właśnie wychodzić do pracy...

– Niech pani zadzwoni, że się trochę spóźni. Nie zajmujemy pani dużo czasu. Możemy wejść?

Nie istniał żaden przepis, który nakładałby w takiej sytuacji obowiązek wpuszczenia policji do mieszkania. Nieformalne rozpytanie, żadnych protokołów ani nakazów prokuratorskich. Zaproszenie policjantów w takiej sytuacji zależało tylko i wyłącznie od dobrej woli rozmówcy, który równie dobrze mógłby wyjść do nich na klatkę schodową lub przyjąć ich w przedpokoju. Jednak Kwarnicki i Walczak byli w pełni świadomi, że mało kto o tym wie. A obejrzenie czyjegoś mieszkania zawsze mogło prowadzić do interesujących wniosków.

– Proszę – powiedziała, choć przez jej twarz przebiegł wyraźny grymas niechęci.

Gdyby rzecz działa się w skandynawskim kryminale, policjanci powinni w przedpokoju zdjąć buty. Ponieważ jednak działa się w Polsce, po prostu weszli. Typowe mieszkanie do wynajęcia w bloku, w którym lokatorzy zmieniają się częściej niż pory roku. Jedno pomieszczenie stanowiące zarówno salon, jak i sypialnię, aneks kuchenny z zaskakująco dużą lodówką, sztampowy obraz z Ikei na ścianie. Na parapecie trochę bibelotów, o które lokatorka musiała już sama zadbać – zdjęcia w drewnianych ramkach, kwiaty z bibuły, misie o lekko przybrudzonym futerku. Do tego zmięta pościel w serduszka na

niezasłanej kanapie, która musiała pełnić też funkcję łóżka. I wygnieciona męska koszula przewieszona przez oparcie krzesła.

– Proszę, niech panowie siadają. – Szybkim ruchem zdjęła jakąś paczkę leżącą na stole. – A więc? – Spróbowała się nawet uśmiechnąć, tak jakby postanowiła, że jednak lepiej będzie wyobrazić sobie, że to po prostu przyjacielska pogawędka. Spod dekoltu jej bluzki wychyliło się wytatuowane na obojczyku jaskrawe serce wśród kolczastych pędów róż.

– Rozumiemy, że Aleksandra Rawskiego nie ma u pani – dość ostrożnie zaczął Kwarnicki. – Ale chcielibyśmy wiedzieć, czy był w nocy z czwartku na piątek.

– Nie – odpowiedziała szybko. Może trochę za szybko?

– Czy pracowała pani w czwartek wieczorem?

– Tak. Do dziewiątej, znaczy się do dwudziestej pierwszej. – Stół przesłaniał policjantom jej dłonie schowane na kolanach. Nie mieli szansy odczytać sentencji wyrytych czarnym tuszem na wewnętrznej stronie jej nadgarstków.

– I co pani robiła później? – Kwarnicki i Walczak starali się nie wpatrywać ostentacyjnie w jej oczy. Powieki miała pokryte cieniami we wszystkich kolorach tęczy, a jej surrealistycznie długie rzęsy nie mogły być prawdziwe.

– Nic. Poszłam do domu. – Jej głos brzmiał bardzo pewnie.

– I co dalej?

– Nic. – Powtórzyła. – Oglądałam jakiś film, wzięłam prysznic i poszłam spać.

– Rozumiem, że nie miała pani gości?

– Nie. – Zamachała rękami.

– Po co dzwoniła pani do Rawskiego w piątek około południa? – to było najmocniejsze, co na razie mieli.

– Po co dzwoniłam? Ja... – o ile do tej pory jakoś sobie radziła, teraz zupełnie się pogubiła.

– No bo... bo chciałam z nim porozmawiać. Skąd w ogóle wiecie, że do niego dzwoniłam? – Pytanie tyleż zbędne, co kierujące rozmowę na śliskie tory zapewnień o kompetencji organów ścigania.

– Chyba zdaje pani sobie sprawę, że wiemy takie rzeczy. Nie wszystko da się ukryć. – Walczak czuł żenujący posmak tego dialogu jak z kiepskiego filmu o nowojorskich gliniarzach, ale był on nieuchronny.

– O czym chciała pani z nim porozmawiać? – Kwarnicki wiedział, że teraz nie mogą jej dać zbyt wiele czasu na przetrwanie kabotyńskich przechwałek Walczaka.

– Ja... – Paulinka wodziła wzrokiem od jednego policjanta do drugiego, coraz bardziej bezradna. – Ja chciałam z nim porozmawiać... O nas, o naszych sprawach. Zresztą jakie to ma znaczenie. I tak nie odebrał.

– O tym też wiemy – Walczak nie mógł sobie darować.

– Co panią łączyło z Aleksandrem Rawskim? – pytanie Kwarnickiego zabrzmiało odrobinę ostrzej, niż powinno. Odpowiedziała mu cisza.

– Pani Paulino, przecież i tak się dowiemy. – Walczak dla odmiany przybrał ton dobrego wujka, ale nie przestawał grać na strunie wszechwiedzy podszytej pogroźkami leciutkimi jak powietrze końca lata. W przedłużającej się ciszy słychać było radio grające w sąsiednim mieszkaniu; w PRL-owskim bloku ściany były cienkie jak styropian.

– Ale to było kiedyś! Kiedyś, zanim wyszła ta cała afera z jego żoną, która kazała wracać mu na noce do Opola. Zanim mnie zostawił! – Dla większego kontrastu z dotychczasowym milczeniem Paulinka zaczęła krzyczeć. – Od miesiąca, od ponad miesiąca nie mam z nim żadnego kontaktu. W ogóle nie chce ze mną gadać, chociaż powinien, do kurwy nędzy, powinien!

Kwarnicki i Walczak wymienili spojrzenia ponad blatem okrągłego stolika, przy którym siedzieli,

ponad stosem kolorowych pism o życiu gwiazd, ponad dłońmi Paulinki raptownie wyjętymi spod stołu. „Love, faith, hope” – przeczytali na skórze cieniutkiej jak pergamin, na niebieskich liniach żył, wśród poziomych kresek wyżłobionych zginaniem nadgarstka.

– Ktoś naopowiadał o nas jego żonie, a ona, idiotka jedna, wydzwaniała do szefowej i miałam cholerne problemy w pracy. A potem pokłóciłam się z Aleksandrem, między innymi o to i... – jej opowieść stawała się coraz bardziej chaotyczna, ale wyłaniający się z niej obraz zaczynał nabierać coraz wyraźniejszych kształtów, kolorów, a może nawet światłocieni. – Później już w ogóle nie chciał ze mną gadać i zostawił mnie samą z tym wszystkim i...

– Spokojnie, pani Paulino. Jak zapewne pani wie, sprawdzimy pani słowa. Sprawdzimy, czy rozmawialiście przez telefon i kiedy ostatnio wymienialiście esemesy.

– Jak to? Sprawdźcie nasze esemesy? – Oczy Paulinki zogromniały do rozmiarów z komiksów Mangi i w pośpiechu uciekły z twarzy mężczyzn.

– Tak. To standardowa procedura, proszę się nie stresować. Ale jeśli wie pani coś o zaginięciu Rawskiego, to powinna nam pani to powiedzieć. Teraz. – Walczak starał się pochwycić jej dziwnie zeszlony wzrok, który błąkał się gdzieś wśród wieżowców za oknem.

– Nic nie wiem. – Zebrała się w sobie na tyle, by spojrzeć na nich, by porzucić widok na zewnątrz, na chmury i smugi miodowego światła tańczące w oknach sąsiednich budynków. Mimo całego napięcia w jej twarzy, mimo koszmarnego makijażu, mimo jej chorobliwej bladości, Kwarnicki i Walczak nie mogli nie zauważyć, jak bardzo jest ładna. Może to właśnie jej uroda niegrzecznej gimnazjalistki zwiódła Rawskiego?

– A ta koszula to czyja? – rzucił Kwarnicki, gdy już mieli wychodzić. Pytanie na odchodne, które zabrzmiało spod drzwi lekko i niezobowiązująco, choć wcale takie nie było. Skinął ręką gdzieś w kierunku krzesła i niezasałanego łóżka – porzucona męska koszula, zmięta pościel, znaki upojnej nocy wciąż widoczne, mimo że poranek dawno już przeszedł w popołudnie. Kwarnicki był pewien, że gdyby udało się choć odrobinę odchylić kołdrę, zobaczyłby bieliznę Koniuszek, brudną, splamioną i podniecającą.

– Kolegi. – Ku rozczarowaniu obu mężczyzn było ją stać tylko na taką odpowiedź.

– A może kogoś innego?

– Spieszę się – powiedziała Paulinka z zastanawiającą jak na nią stanowczością.

Może i Rawski nie chciał już mieć z nią nic wspólnego, ale nie znaczyło to bynajmniej, że doskwierała jej samotność. A może po prostu należało jej się coś na pociechę?

*

Zmrożona wódka, cierpka i mocna, była odpowiednim trunkiem na toast z okazji wyboru nowego papieża. Ostatecznie przecież to właśnie mieliśmy świętować. Aleksander pił dużo i beznamiętnie; dopiero teraz zauważyłam, że pozostawał przy tym niepokojąco trzeźwy.

– Uwielbiam twoje nogi – siedzieliśmy naprzeciwko siebie, on w fotelu, ja na niskiej pufie, ze stopą opartą o jego biodro. Lubiłam tę poufałość gestów zastrzeżonych dla kochanków, intymność podkreślaną nieoczywistym dotykiem, bliskość tak kontrastującą z oficjalnym dystansem, który był naszą codziennością w pracy. Jego palce przesuwają się po mojej nodze od kostki aż po udo. Pieszczotliwy gest, jednak odrobinę zbyt mechaniczny, by można go było nazwać czułym.

– Wiem. Też je lubię – odpowiedziałam w pełni świadoma gładkości moich ud i idealnej krągłości kolan. – Są po prostu ładne.

Jego ręka znieruchomiła tuż pod koronką pończochy.

– Nie jesteś przypadkiem zbyt pewna siebie?

– Nie sędzę. Wolisz skromne dziewczynki? – zapytałam może odrobinę zbyt zaczepnie, ale nie

podobał mi się kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa. Skąd miałam wiedzieć, że weźmie moje pytanie dosłownie i na poważnie?

– Tobie skromność na pewno nie grozi. – Zabrałam nogę spod jego ręki. – Za to zbyt stanowcze wyrażanie swojego zdania jak najbardziej.

Nie byłam pewna, czy się nie przesłyszałam. Rozmawialiśmy o pracy – nic specjalnego, niezobowiązujące ploteczki i mniej lub bardziej krytyczne opinie na temat naszych wspólnych kolegów. Później trochę o polityce – mówiłam otwarcie to, co myślę, ale nie przyszło mi do głowy, że to może mu się nie podobać. Krzyczał na mnie jak na swoich gości w studiu, kiedy prowadził „Arenę”, ale nie przypuszczałam, że pod złym przyzwyczajeniem kryje się drugie dno.

– Nie ma nic złego w wyrażaniu swojego zdania.

– Robisz to za ostro. I właściwie niepotrzebnie. – Pouczył mnie z wyżyn przekonania o swej mądrości.

– Wolałbyś, bym ci potakiwała? – Zanim to pytanie wybrzmiało do końca, znalazłam już na nie odpowiedź. Znalazłam ją w jego oczach. Lubił dyskutować, sam nieraz prowokował spór w zupełnie zwyczajnej rozmowie, ale teraz już wiedziałam, że chodzi o to, by finalnie przyznać mu rację. Ja tego nie zrobiłam, a do tego, jak widać, Aleksander nie był przyzwyczajony.

– Nie powinnaś wygłaszać swoich opinii niepytana.

– Słucham? – Protekcyjna rada rodem z dziewiętnastowiecznego podręcznika savoir-vivre’u dla grzecznych panienek usilnie poszukujących męża. Albo reprimenda nauczyciela, który nie lubi, by ktokolwiek oprócz niego samego zabierał głos w klasie. Co gorsza Aleksander powiedział to tak, jakby w jego uwagach nie było niczego niewłaściwego. Siedział u mnie w domu, pił moją wódkę i czekał na to, by mnie przelecieć, a żadna z tych okoliczności nie powstrzymała go przed pouczeniem mnie w sposób już nie tyle mało elegancki, co wręcz niegrzeczny.

– Wy kobiety jesteście po prostu za głupie na wiele rzeczy.

Nie ulegało wątpliwości, że mimo wypitego alkoholu był trzeźwy. Nie mogłam zrzucić jego słów na karb pijaństwa, a samo zmęczenie trudnym dyżurem chyba nie wystarczało, by go wytłumaczyć. Tego było już za wiele, nawet jak dla mnie.

– Mówisz mi w moim własnym domu, że jestem głupia?

Doskonale wiedziałam, co chce powiedzieć. A jednak zawahał się na sekundę – udało się zatrzymać słowa, które padłyby między nas jak kamienie.

– Nie o to mi chodziło, ale... – nie chciałam, by dodał choć słowo.

– Zdaje się, że chcesz stąd wyjść.

– Spróbuj mnie wyrzucić. – Groźba, parcie do konfrontacji, a może po prostu nieudolna próba rozładowania napięcia? Wystarczyło, bym poczuła się bezradna. Zupełnie jakby wiedział, że tak naprawdę mimo wszystko wcale nie chcę, by wychodził. Spojrzałam na niego: miał w oczach lód. Może czuł się aż tak pewnie, że wiedział, iż może pozwolić sobie na wszystko?

– Przepraszam. – A jednak nie, jednak Bogu dzięki nie wiedział o mnie wszystkiego. Lód stopniał. – Przepraszam, nie to miałem na myśli. Uwielbiam z tobą rozmawiać, przecież wiesz.

To było jak cukierek ofiarowany dziecku na pocieszenie. Przykro mi, kochanie – misia i lalkę zgarnął już kto inny, dla ciebie został tylko cukiereczek. Nędzny i właściwie mało słodki, ale bierz, bo innej nagrody nie będzie. Jego dłoń wróciła na moją nogę – głaskał ją teraz ze zdwojoną siłą, z takim oddaniem, jakby chciał za wszelką cenę dowieść mi, że wszystko jest w porządku. Tak jakby przekonywał mnie o tym ruchami swojej dłoni pełną w górę mojego uda. Tak jakby upewniał w tym nas oboje swoimi palcami w zakamarkach mojego ciała. „Wszystko w porządku”, mówiły jego oczy przysłonięte mgiełką pożądania. „Wszystko w porządku”, zapewniały mnie jego ręce między moimi

udami. „Wszystko w porządku”, zdawały się mówić jego usta, kiedy mnie całował. Jeszcze chwila, jeszcze jeden głęboki oddech, jeszcze jedna wątpliwość – już za późno.

– Wszystko w porządku – wyszeptałam mu wprost do ucha, chociaż wiedziałam, że kłamię. Nic nie było w porządku, ale jego gorące dłonie mówiły co innego, a prawda rozpuściła się już w pożądaniu.

*

Przyszli w poniedziałek. Justyna Rawska nie spała od świtu, jakby czekała na nich przy stole w kuchni, nad kubkiem gorącej kawy wśród zimna chromowanych sprzętów i wypolerowanych naczyń.

– Dzień dobry, aspirant Mirosław Nowacki.

– I starszy aspirant Andrzej Małek, Komenda Miejska Policji w Opolu. Przyszliśmy celem pobrania materiału do badań DNA.

Zabrzmiało to tak, jakby odczytywał instrukcję służbową, niemniej jego okrągła twarz pod czapką od munduru wydawała się sympatyczna. Sprawdzały się zapowiedzi policjanta z Warszawy.

– Czy może nam pani udostępnić jakieś rzeczy osobiste męża? Szczoteczkę do zębów, brudną bieliznę, grzebień?

„Bрудna bielizna” zabrzmiała w jej uszach jak zgrzyt – po pierwsze, mąż tuż po maturze przestał nosić majtki i nigdy do tego zwyczaju nie wrócił. Po drugie – poczuła się przez chwilę jak obiekt nieuzasadnionej napaści: przecież dobrze prowadzę dom, przecież zawsze się staram i nie odkładam prania na później – niemniej tak, oczywiście, może im udostępnić. Czy będą uprzejmi zaczekać? Dopiero gdy poszła na piętro, by poszukać potrzebnych rzeczy w łazience, zdała sobie sprawę, że nawet nie zaproponowała im kawy. Jak mogła tak zrobić? Przecież jest wzorową gospodynią. Biednym aspirantom pozostanie wdychanie aromatycznej pary z jej kubka. Nie szkodzi, nieważne, drobiazg – sama się zdziwiła, jak łatwo rozgrzesza się z drobnych zaniechań względem dobrego wychowania. Z drobnych zaniechań biorą się duże – mówiła zawsze jej matka. Matka, która odradzała jej ślub z Aleksandrem.

– Czy życzą sobie panowie kawy? – zapytała, kiedy wróciła na dół ze szczotką do włosów i jakąś koszulą męża, której udało się ocaleć od prania. Rozchełstany szlafrok, potargane włosy, absurdalnie szeroki uśmiech. Policjanci spojrzeli najpierw na nią, później na siebie. Uważnie, wymownie, z niepokojem lekkim, ale wyraźnym.

– Chyba nie trzeba.

– Jasne. Nie trzeba. – Szeroki uśmiech wciąż tkwił na jej twarzy; jak przyklejony albo narysowany dziecięcą kredką. – Nie trzeba. To zabierajcie to i już. – Uśmiech zniknął jak niezrozumiałe zapisy szkolnego matematyka starte z tablicy mokrą gąbką. – No już! Wyoście się. – To, co wydobyło się z jej gardła, było dźwiękiem na niebezpiecznym pograniczu szloch i hysterii. Dwaj aspiranci wycofywali się chyłkiem; nie zdążyli nawet porządnie zapiąć foliowych torebek, do których powkładali rzeczy Aleksandra. Dowód rzeczowy numer 1, dowód z miejsca zbrodni numer 2 – jak w amerykańskich filmach sensacyjnych, które czasami późnymi wieczorami oglądał Aleksander. Ona nigdy nie oglądała.

Usiadła ciężko za stołem, oparła głowę na rękach, kilka głębokich oddechów. Zaraz przestane widzieć niewyraźnie, zaraz się uspokoję, wszystko będzie dobrze. Była winna przeprosiny policjantom; wyjrzała za okno, chciała nawet wyjść do nich, ale podjazd był już pusty. Kawa dawno wystygła – nie było już żadnego gorąca, które mogłoby choć trochę roztopić lodowaty chłód supernowoczesnej kuchni. Stal, chrom, sterylne powierzchnie bardziej pasujące do laboratorium niż do centrum rodzinnego życia, które jej zdaniem powinna stanowić kuchnia. Choć był ciepły, letni dzień – pewnie jeden z ostatnich – w jej kuchni w wielkiej willi na eleganckich przedmieściach Opola panował chłód. Chłód, który powoli wpełzał pod poły jej szlafroka; który lśnił w ostrzach baterii ekskluzywnych noży z najdroższej stali. To Aleksander zdecydował o tym zimnym pięknie; ona wolała mieć kuchnię podobną do tej, jaką pamiętała z dzieciństwa – pachnącą drewnem, ziołami i ciastem. Jasną, rozbrzmiewającą głosami więcej niż

jednego dziecka. Za późno. Teraz już na wszystko za późno. Sięgnęła po kartkę papieru, którą stołeczny policjant wcisnął jej do ręki, zanim wyszła z komisariatu. „Załącznik nr 3. Potwierdzenie przyjęcia zawiadomienia o zaginięciu osoby”. To wszystko, co miała teraz zamiast Aleksandra. Zamiast kłótni i gróźb, zamiast awantur i krzyków, zamiast bólu i nadziei. Lata jej życia, lata miłości, pretensji i milczenia zamienione w kartkę papieru z urzędową pieczętą i podpisem.

*

Nadchodziła Wielkanoc. Wyjątkowa w tym roku – z mrozem i z bałwankami zamiast zajęczków. Wciąż bez wiosny, ale z nieustającą nadzieją. Wielki Piątek wypadł jakoś pod sam koniec marca – miałam wieczorny dyżur i mało czasu na zadumę. Spokojny rytm najsmutniejszego dnia chrześcijaństwa, drogi krzyżowe tamujące ruch na ulicach miasta, odwzorowanie odwiecznego schematu cierpienia niezbędnego, by mogła nadejść radość. Musiałam wyjść z pracy na chwilę w przerwie między programami – wróciłam do newsroomu tuż przed wieczorem, wprost z wiatru i śniegu. Miałam na sobie krótką kurtkę, jeszcze krótszą spódnicę i kozaki na szpilce – równie piękne, jak niepraktyczne. Zestawienie ud nagich w cieniotkich rajstopach i kurtki z grubego futra musiało wyglądać naprawdę dobrze. I tak właśnie wyglądało. Potwierdzały to spojrzenia wszystkich kolegów z pracy.

– Joanna, dobry wieczór. Ależ świetnie wyglądasz.

– Pięknie, pięknie, stęskniliśmy się.

– Posiedź z nami trochę, popatrzymy sobie na ciebie.

Z każdym z tych komentarzy oczy Aleksandra robiły się coraz większe. Wodził nimi za mną tak, jakby odkrył mnie na nowo. Czyżbym znalazła swoją słabość? pomyślałam. Był więc jednym z tych, którym potrzeba potwierdzeń. Jednym z tych, którzy lubią patrzeć cudzymi oczami. Jednym z tych, którym zachwyty innych wyostwiają własną skłonność. Rzecz jasna, nie uznałabym za dobre, gdyby Aleksander uzależniał swoje zainteresowanie mną od podziwu innych, ale miałam nadzieję, że chodzi w tym wszystkim o odrobinę zazdrości. Może tym bardziej mnie pragnął, im bardziej ześlizgiwały się po mnie pożądlive spojrzenia i komplementy innych? Było w tym coś z perwersji, a więc była i ekscytacja.

Gdy tylko opuściłam newsroom, by pójść do reżyserki na program, od razu zabrzączał mój telefon. Wiadomość od Aleksandra – tym razem spodziewałam się jej jak rzadko kiedy. Zakładałam wprawdzie, że jedzie na święta do domu, ale widać furora, jaką zrobiłam wśród innych panów, była dlań na tyle silnym bodźcem, by odłożyć wyjazd do jutra. Uznał, że żona może poczekać – pewnie nie pierwszy raz, ale tym razem dla mnie.

„Poświętujemy?” – napisał, tak jakby naprawdę zakładał, że pamiątka ukrzyżowania to dobra okazja. „Doskonały pomysł” – odpowiedziałam między jednym a drugim napisem relacjonującym drogę krzyżową w Koloseum. Pochodnie rozświetlające mroki areny zroszonej krwią chrześcijan, skupienie na twarzach wiernych wpatrzonych w nowego papieża, rozważania napisane przez libańską młodzież współgrające z obowiązkowym nastrojem smutku. Magia podniosłego misterium odgrywanego z niesłabnącą mocą od dwóch tysięcy lat. Jednak dzisiaj przewracaliśmy kalendarz – dzień Męki Pańskiej miał być dniem radosnym. Karnawał w dzień najściślejszego postu. Orgia w czas umartwienia.

„Uprzedzam, że już w samochodzie będę natarczywy”.

„Tak w Wielki Piątek?” – jako absolwentka katolickiego liceum musiałam zgłosić choć śladowe zastrzeżenia. Zresztą pewnie tego właśnie po mnie oczekiwał.

„Właśnie tak. Będę wyjątkowo nieprzyzwoity” – obiecał.

„Już nie mogę się doczekać” – odpisałam i była to najszczęsza prawda, gdyż wieczór ciągnął się bez opamiętania. O wpół do jedenastej zaczął się „Przegląd Dnia” – Aleksander i Izabela z podziwu godną cierpliwością podsumowywali misteria pasyjne, drogi krzyżowe i wielkopiątkowe liturgie. Patrzyłam na Aleksandra, doceniając wagę pozorów – poważny, skupiony, ani na moment niedający po sobie poznać,

na czym polegać będą jego własne wielkopiątkowe liturgie. Jednak myślami musiał błędzić gdzie indziej, bo rozmowa z zaproszonym do studia księdzem nie przebiegała jak należy i Izabela – znana wielbicielka tematów kościelnych – nieraz była zmuszona go poprawiać. Tylko ja znałam powody jego roztargnienia i ta wiedza łaskotała mnie przyjemnie gdzieś w dole brzucha. Wiedziałam, że występując przed setkami tysięcy ludzi, Aleksander myślami jest w moim łóżku, i nie mogłam zaprzeczyć, że ta świadomość bardzo mnie podnieca. Kiedy skończyliśmy pracę, swoim zwyczajem odczekał chwilę, zanim wyszedł na zewnątrz. Biała Wielkanoc; kaprys aury, który zmieniał porządek świąt. Wielkanoc jak Boże Narodzenie – Aleksander był moim prezentem. Czekałam na niego w samochodzie; zdążyłam odpalić silnik i włączyć ogrzewanie, zanim wyłonił się z drzwi firmy.

– Dlaczego na mnie nie poczekałaś? – zapytał, sadowiac się na fotelu pasażera. Rzucił to tak lekko i z takim przekonaniem, jakby naprawdę chciał, bym stała obok niego w newsroomie, czekając, aż zetrze makijaż i włoży płaszcz. Tak jakby chciał, by wszyscy widzieli, że wychodzimy razem. Musiałam wyglądać dziś naprawdę dobrze.

– Pospiesz się – powiedział, a w jego oczach była namiętność. Nie przejmował się tym, że z pracy wychodzą wszyscy nasi koledzy. Jeszcze zanim ruszyłam, położył rękę na moim kolanie. Zanim wyjechałam z parkingu, już mnie całował.

Jazda do domu była trudna: jego ręce między moimi udami – dźwignia zmiany biegów, jego język w moim uchu – kierunkowskaz, jego oddech na mojej szyi – sprzęgło. Niebezpiecznie ścięte zakręty, jazda mało płynna, za to stanowczo nieuważna, motoryzacyjna symfonia pożądania. Wreszcie niedokładne, pospieszne parkowanie – byle szybciej, byle wydostać się z pudełka samochodu i znaleźć się wreszcie wśród mebli, o które można się oprzeć biodrami, wśród poduszek, na które można upaść, wśród zasłon, które odetną nas od świata. Szybkie kroki na schodach, niecierpliwe trzaśnięcie drzwiami, płatanina zimowych przyodziewków rzuconych niedbale na podłogę.

– Poczekaj, poczekaj chwilę – powiedziałam, kiedy popchnął mnie w stronę kanapy. Przypomniałam sobie, że mam dla niego niespodziankę; coś, co może mu się spodobać, a czego od dawna nie miałam okazji nosić. Dlaczego by się nie zabawić w małą przebieraną, w erotyczny kicz akcesoriów tyleż szablonowych, co podniecających, w mały butik chwytów zgranych, ale niezawodnych? Gorset sztywny od fiszbinów i ciężki od koronek, pończochy ze szwem wzdłuż łydki i gipiurą podtrzymywaną przez zmyślną konstrukcję zapinek, buty o obcasach ostrych i cienkich jak sztylety. Marzenie fetysty, archetyp dziewczyny z kabaretu, uosobienie męskich wyobrażeń o stroju nieprzyzwoitym i do jednego tylko przeznaczonym. Skroplona konwencja, obrazek wycięty z pisma dla panów, czysta forma. I jedno wielkie pożądanie – widziałam je w oczach Aleksandra. To było oczywiste, ale niezmiennie dobre – kontrast góry zabudowanej jak zbroja i nagich pośladków w majtkach ze sznureczków, klepsydra wąskiej talii i uniesionych piersi podanych jak na tacy. Twarde-miękkie, nagie-zakryte, delikatne-ostre. Klisza do cna wyeksploatowana przez popkulturę, wyrafinowanie, które zamieniło się w banał – ale banał niezmiennie działający na wyobraźnię. Długo patrzył na mnie, zanim w ogóle mnie dotknął.

– Mój Boże. Założyłaś gorset. Gorset z podwiązkami – stwierdził oczywistość, a jego głos brzmiał tak, jakby sam nie mógł w to uwierzyć. Albo jakby z wielkim trudem doszukiwał się czegoś w mrokach pamięci. Nie wiem, co oprócz mnie miał przed oczami. Może noc poślubną dwadzieścia lat temu, może jakąś wizytę w burdelu, a może tylko obrazy z własnych pragnień? O czymkolwiek myślał, ja mogłam tym być. Kogokolwiek widział, ja mogłam stać się tym kimś. Czegokolwiek chciał, ja mogłam zrobić to dla niego. Dla niego mogłam zagrać każdą rolę, wejść w każdą konwencję, być kimkolwiek chciał, bym była. Dziwką albo żoną, gwiazdą kina ze starego plakatu albo modelką ze świerszczyka chyłkiem wykradanego ojcu, wspomnieniem fascynacji z czasów dorastania albo ożywioną fantazją z erotycznego snu. Mogłam stać się każdym, tak aby choć przez moment być dla niego wszystkim.

– Uwielbiam, kiedy palisz po seksie – powiedział, kiedy sięgałam po papierosa. – To było naprawdę dobre pieprzenie.

Nie dało się temu zaprzeczyć. Poprzekręcane szwy na pończochach, splątane włosy, skóra wokół ust podrapana od jego zarostu. I to wyjątkowe uczucie rozluźnienia – orgazm jak bomba tlenowa, płuca pełne powietrza, ostrzejsze kolory i wyraźniejsze kształty. Słyszałam szum krwi – to hormony szczęścia docierały do każdej komórki mojego ciała.

– Naprawdę doskonale. – Uważałam, że nie muszę mu tego mówić, ale widziałam, jak bardzo zadowolonym go to uczyniło.

– I to w Wielki Piątek – dodał tonem, który można było interpretować jako ironiczny. A może nieco posępny? Mimo to uśmiechnęłam się.

– Sądzę, że sam Jezus nie miałby nic przeciwko temu. Akurat on na pewno by nam wybaczył.

Skóra na kościach jego policzków napięła się jak płótno na blejtramic. Zaraz usłyszę, jak pęka – pomyślałam. Wiedziałam już, że tym razem to nie są żarty.

– Nie. Na pewno by tego nie zrobił – powiedział z tak zaciętym wyrazem twarzy i z tak posępną pewnością, że nie było cienia wątpliwości, że mówi poważnie. Wiara spętana strachem, systemem zakazów i sztywnymi formułkami? Metafizyka zabita przez kościółkowe schematy? A może jeszcze gorzej: brak wiary? Albo coś zupełnie innego – zaskakujący przeblask świadomości? Patrzył gdzieś na ścianę poza mną i w pustce tego spojrzenia dostrzegłam prawdę – on zdaje sobie sprawę, że nie ma nic na swoje usprawiedliwienie. Nie nam – Tobie, Aleksandrze. Bóg nie wybaczyłby Tobie i wcale nie chodzi o seks ani o Wielki Piątek, pomyślałam i zrozumiałam, że on to wie.

Może dlatego postanowił zostać na noc i być dla mnie miły. Jednak nie na tyle, by wypić razem poranną kawę – bycie miłym w wykonaniu Aleksandra starczyło tylko na tyle, by położyć się spać na kanapie z dala od mojego łóżka, zbudzić mnie rano, bym zamknęła za nim drzwi i pożegnać dość chłodnym pocałunkiem.

– Krawat – zobaczyłam, że czegoś brakuje w jego stroju. – Znów zapomniałeś krawata.

– Nie szkodzi, odbiorę po świętach. Będę miał pretekst, by tu wrócić. – To było zawsze coś, ale jednak wiedziałam już zbyt dużo o Aleksandrze, bym potrafiła wziąć to za dobrą monetę. Wprost z mojego mieszkania poszedł na dworzec, by odjechać do żony. Wielka Sobota – czas ostatnich porządków, trzepania dywanów i pieczenia ciast. Ciekawe, czy będzie pomagał jej w domu? Jak będzie patrzył na nią przy świątecznym stole? Ciekawe, czy jej też nie kocha?

*

Poniedziałek od rana zapowiadał się nieźle – Kanał Szósty miał o czym informować, co relacjonować, czym epatować. Trzech górników zabitych o świcie w wypadku w myśłowickiej kopalni wyznaczyło rytm dnia, w który zgrabnie wpasowały się kolejne groźby pod adresem syryjskiego reżimu, wrogie pomruki Rosji biorącej dyktatora w obronę, a nawet intensywne poszukiwania dwójki surferów zaginionych na Zatoce Puckiej. Popołudnie okazało się jeszcze łaskawsze dla wydawców serwisów informacyjnych.

– Coś się dzieje na Centralnym. Wydzwanają do nas widzowie. Że jakaś podejrzana torba, że niby alarm.

Młody pracownik od kontaktu z widzami był teraz szczególnie czujny. Po tym, jak zbagatelizował telefon o nodze znalezionej w parku, był świadom, że kolejna pomyłka może go kosztować posadę. Uznał więc, że tym razem lepiej będzie wszcząć nawet nieuzasadniony alarm, niż pozwolić, by jakaś potencjalna rewelacja przeszła stacji koło nosa.

– Trzeba to sprawdzić. Dzwon na PKP i na policję. – Emilia Miłkowska dobrze pamiętała wielką gorączkę antyterrorystyczną sprzed kilku lat. Był czas, że każdy porzucony bagaż wywoływał alarm,

histerię, a nierzadko nawet ewakuację, po której okazywało się, że zawinił roztargniony pasażer albo że to mało śmieszny dowcip nastolatków. Niemniej tym razem zanosilo się na coś poważnego, a nawet jeśli w finale paraliż Dworca Centralnego okazałby się zbędny, to i tak sam w sobie był świetnym tematem.

– Policja potwierdza zamknięcie Centralnego. To może być bomba. – Nikt w reżyserce nie był pewien, czy chodzi o bombę w dosłownym znaczeniu, czy raczej o rosnące słupki oglądalności.

– Joanna, daj mi to natychmiast na pilnej belce. – Emilia zwróciła się do dziewczyny właśnie zmieniającej kolegę na stanowisku niewdzięcznej pracy wachlowania napisami, które miały przykuwać uwagę widzów. „Z ostatniej chwili – warszawski Dworzec Centralny zamknięty” – napisała. Za moment „Bomba na Dworcu Centralnym?”, bo może jednak trzeba nieco podgrzać atmosferę. Napisać, wyemitować, myśleć o następnym. Napisy płynęły przez ekran, jej szczupłe, długie palce skakały po klawiaturze, a ona sama jakoś się skrzywiła. Przychodząc na popołudniową zmianę, liczyła raczej na spokojny dyżur. Sądząc po sukience i szpilkach, może nawet planowała imprezę tuż po pracy. Chociaż akurat w jej przypadku wszyscy byli przyzwyczajeni do strojów jak z żurnala i wyjściowych kreacji. Właściwie chyba nikt nigdy nie widział Joanny Madeckiej w dzinsach czy butach na płaskim obcasie. Pewnie nawet nie miała czegoś takiego w szafie.

– Na początek łączymy się z rzecznikiem Polskich Dworców Kolejowych. I stawiamy wóz koło Centralnego, natychmiast. Niech tam jedzie jakiś przytomny reporter, bo za kwadrans chcę mieć stamtąd wejście na żywo.

Nagły zwrot akcji, szybkie tempo, wyścig do newsa – Emilia była w swoim żywiole. Na szybko, na już, bez chwili zwłoki i bez refleksji. Dziennikarstwo jak piekarnia: kto szybciej dostarczy więcej rumianych bułeczek; tyleż powierzchowne, co atrakcyjne. Kolorowy obrazek, groźny napis, napięcie podkreślane bez umiaru, za to na adrenalinie. Kanał Szósty nie był liderem oglądalności, ale szybko się uczył.

– Z naszych nieoficjalnych informacji wynika, że służby porządkowe na Dworcu Centralnym zaniepokoiła dużych rozmiarów walizka pozostawiona bez nadzoru na jednym z peronów.

Dobrze, że trafiło akurat na Alicję Mrozek, jedną ze sprawniejszych prezenterek, która potrafiła powiedzieć coś bez promptera.

– To, co widzicie państwo w tej chwili, to amatorski film przesłany nam przez naszego widza.

Trzeba było sobie jakoś radzić, dopóki kamera i wóz satelitarny nie dotarły na miejsce. Ekran wypełniło kłębowisko ludzi beładnie przemieszczających się po peronie. Tory, kiosk z gazetami, nogi. Nogi, tablica z rozkładem jazdy, dziecko ciągnięte za rękę. Nogi, nogi, nogi. Walizka. Samotny, porzucony pakunek przy jednej z nielicznych ławek w środkowej części peronu. Zwykła, niepozorna, czarna walizka. Całkiem elegancka, niezniszczona, duża. Stała sobie spokojnie między ławką a betonowym koszem na śmieci. Na zamazanym filmiku przysłanym przez widza widać było, jak dostojnym krokiem podchodzi do niej dwóch sokistów.

– Przy naszym telefonie jest Andrzej Brusek, rzecznik spółki kolejowej zarządzającej dworcami. Dzień dobry, panie rzeczniku. Proszę nam powiedzieć, dlaczego zamknięto Dworzec Centralny? Czy porzucona walizka jest rzeczywistym zagrożeniem?

– Witam państwa – rzecznik w żadnej sytuacji zdawał się nie zapominać o dobrych manierach. – Dworzec Centralny nie tylko zamknięto. Ze względu na powagę sytuacji zarządzono również jego ewakuację.

Napis o domniemanej bombie i porzuconej walizce natychmiast zniknął z ekranu – zaledwie sekundę zajęło Joannie zastąpienie go bijącą po oczach informacją o ewakuacji. Pan rzecznik kontynuował przez łącza telefoniczne:

– Ewakuacja dobiega już końca, z budynku dworca udało się usunąć prawie wszystkie osoby.

Czekamy teraz na przyjazd specjalnego oddziału antyterrorystów, który zajmie się podejrzanym pakunkiem.

– Kto zwrócił na niego uwagę? – swoim pytaniem przerwała mu Alicja. – Czy wiadomo, co może być w środku?

– Nie wiadomo, ale mamy podejrzenia, że może znajdować się tam ładunek wybuchowy. Na walizkę uwagę zwrócili funkcjonariusze Straży Ochrony Kolei. Niestety nie wiadomo, jak długo stała na dworcu. To wykaże dopiero analiza monitoringu.

Tu nastąpiła litania utyskiwań na niską świadomość zagrożeń terrorystycznych wśród społeczeństwa. Nikt z setek podróżnych nie zwrócił uwagi na walizkę, a alarm wszczęli dopiero sokiści. O końcu przydługiej rozmowy z rzecznikiem zdecydował entuzjastyczny głos kierownika produkcji, wrzeszczącego do Emilii przez interkom:

– Mamy obrazki! Robuś nagrał i właśnie wysłał!

Reporterowi Kanału Szóstego udało się dotrzeć na Dworzec Centralny w sam czas – szerokim strumieniem sygnału satelitarne do stacji popłynęły obrazki z ewakuacji i poruszające wypowiedzi przerażonych pasażerów.

– Nie wiedziałam, co się dzieje, kazali nam opuścić budynek. Bomba czy co.

– I co ja teraz zrobię? Muszę koniecznie dziś wieczorem być w Katowicach.

– Bomby im się zachciewa, myślałby kto. I jak ja teraz pojedę do córki do Milanówka?

Wstrzymany ruch pociągów, kordony policji wokół dworca, wielki alarm. Następną godzinę programu wypełniły wejścia na żywo sprzed budzącego grozę opustoszałego Centralnego, dywagacje na temat zawartości podejrzanego pakunku, rozmowni goście w studiu – jak zwykle, eksperci od wszystkiego, a czasem nawet naprawdę od ataków terrorystycznych. – Policijni pirotechnicy są już w środku – emocjonowała się Alicja, kiedy kamera Kanału Szóstego pokazywała na żywo, jak w podziemia dworca zstępują mężczyźni w kosmicznych kombinezonach. Hełmy z plastikowymi osłonami na twarze, ciężkie pancerze skafandrów ochronnych, kołnierze przerośniętych ekwipunków ortopedycznych. Wyglądali jak statyści z filmu o wojnie w Afganistanie, którzy przez pomyłkę trafili na inny plan zdjęciowy. Ale i na nim sobie poradzili. „Alarm odwołany” – to było wszystko, co powiedział do mediów ich dowódca, gdy po kwadransie wyszli na zewnątrz. Kilku z nich odchyliło osłony hełmów, by otrzeć pot z czoł, ale wyraz ich twarzy pozostawał nieprzenikniony. Dziennikarze nie chcieli odpuścić.

– Co było w walizce?

– Czy to rzeczywiście był ładunek wybuchowy?

– Co panowie tam znaleźli?

Mimo tych nalegań dowódca saperów był nieugięty.

– W walizce nie było ładunku wybuchowego. Tyle możemy powiedzieć. Nikomu nic nie grozi. Po więcej informacji proszę się zgłaszać do rzecznika policji.

Komisarz Piotr Baniak po raz kolejny miał więc swój dzień. Jego telefon rozgrzał się do czerwoności. Wydzwaniały radiostacje, redakcje telewizyjne, szmatławce wietrzące sensację, a nawet poważne dzienniki spragnione bomby na jutrzejszych czołówkach. Bomby, która mogła okazać się czymś jeszcze lepszym.

– Mówię wam, to musi być coś grubego. Gdyby po prostu nic tam nie było albo gdyby były tam stare gazety, to pirotechnicy powiedzieliby od razu. – Emilii po raz pierwszy od trzech godzin udało się wyskoczyć z reżyserki na papierosa. W palarni kilka osób z uznaniem słuchało jej wywodów. Zaciągała się łapczywie i pospiesznie. – Trzeba się dowiedzieć, co tam było.

– Emilia, chodź natychmiast, musimy znów wchodzić na antenę. – Realizator wyjrzał z reżyserki. Palarnia znajdowała się naprzeciwko; ktoś, kto o tym zdecydował, wykazał się wyjątkowo rozwiniętym

zmysłem praktycznym. – Zdaje się, że ma być oświadczenie policji.

„Pamiętaj, tylko oświadczenie” – zaznaczył komendant. Pewnie za podszeptem tego Brudnego Harry’ego od siedmiu boleści, którego zawsze – nie wiedzieć czemu – słucha. Komisarz Baniak był rozżalony; dostał wyraźne wytyczne: żadnych pytań, trzy oficjalne zdania, zakaz dywagacji. „Nie możemy im robić show codziennie” – powiedział komendant. „Wczoraj wystarczy”. Nie można go było denerwować – był zły, naprawdę zły. Zdaniem Baniaka zupełnie niesłusznie. Nie mógł przecież przewidzieć, że posiłki ściągnięte ze wszystkich komend w Warszawie i z całego Mazowsza będą nadaremno pilnować parków.

– Szanowni państwo, mamy dla państwa krótkie oświadczenie w sprawie fałszywego alarmu bombowego.

Oświadczenie dla prasy zainscenizowano na szybko, przed dworcem, gdzie wciąż stały wozy transmisyjne wszystkich stacji telewizyjnych. Na zewnątrz, na stojąco, prowizorycznie – nie były to warunki, jakich życzyłby sobie rzecznik.

– W walizce zostawionej bez opieki na Dworcu Centralnym znajdował się kolejny fragment zwłok. Był to korpus męski.

Szum wśród dziennikarzy nie pozwolił Baniakowi kontynuować. Szmer szedł przez zgromadzonych jak fala; pomruk grozy, podniecenia, a może ukontentowania?

– Nie możemy na razie powiedzieć nic więcej w tej sprawie. Podejmujemy czynności mające na celu ujęcie sprawcy, między innymi przeprowadzimy szczegółową analizę monitoringu dworca.

– Czy jest pewność, że to kolejny fragment tych samych zwłok?

– Czy na tym peronie była kamera?

– Jak oceniacie państwo szanse namierzenia sprawcy?

– Dziękuję. To wszystko na dziś. – Baniak, pomny ostrzeżeń komendanta, odwrócił się plecami do rozemocjonowanej cizby wykrzykującej pytania. Czuł się jak ważny polityk, którego otacza wianuszek żądnych wiedzy reporterów. Co najmniej jak premier w Sejmie, za którym gonią postawni mężczyźni z kamerami i truchtają piękne kobiety z mikrofonami w dłoniach. Szkoda, że nie wsiadam do samochodu, biegliby za mną i czepiali się zderzaka – pomyślał z leciutkim ukłuciem żalu.

*

Miała dzisiaj urodziny. Sierpniowa dziewczynka – słońce i blask z małą domieszką smutku. Włożyła krótką sukienkę czerwoną jak krew – ostry kontrast z jasną cerą i ciemnymi włosami. Pewnie chodziło jej o to, żeby było drapieźnie, ale tak naprawdę wyglądała dość bezbronne. Jak Królowna Śnieżka tuż przed tym, zanim zła macocha wręczy jej zatrute jabłko. Aż chciało się zawołać: „Nie rób tego, uważaj!”.

Uśmiechała się, częstowała czekoladkami, wszystkie formy zachowane. Ja też podszedłem złożyć jej życzenia. Dziwnie było objąć ją tak po prostu, przy wszystkich. Tak niewinnie, legalnie i z uzasadnieniem. Wtedy dotknąłem jej po raz pierwszy. Była krucha i bardzo drobna, dziwnie się czułem, zaciskając ręce na jej ramionach. Pachniała pestkami brzoskwini roztartymi na wewnętrznej stronie ud, lakierem do włosów i dymem z miętowych papierosów.

– Życzę ci tego wszystkiego, na co zasługujesz. I żeby to, co cię tak dręczy, raz na zawsze zniknęło z twojego życia. Raz na zawsze, pamiętaj.

Pocałowałem ją – grzeczny, koleżeński pocałunek w policzek. Wbrew temu, czego się spodziewałem, jej skóra była chłodna. Chłodna, ale napięta. To miało być wszystko, ale okazja była zbyt dobra, by ją zmarnować. Z ustami tuż przy jej uchu powiedziałem: „On nie jest ciebie wart”. Nie wiem, czy usłyszała, ale gdy ją puszczałem, w jej oczach było zdziwienie.

Cały dzień chodziła jakaś podenerwowana – przyjmowała od wszystkich życzenia, żartowała, błyszczała, ale widać było, że na coś czeka. Dopiero kiedy zniknęła na chwilę w newsroomie, a później

stamtąd wróciła, widać było w niej jakąś zmianę. Rozluźnienie, poprawę humoru, a może ulgę? Wydawało mi się, że skóra na jej policzkach jest mniej napięta. Szkoda, że nie miałem już pretekstu, by to sprawdzić. Pewnie spotkała Rawskiego. Może nawet był łaskaw z nią porozmawiać. Dopiero wtedy, gdy ona do niego poszła – siedział piętro niżej i nawet nie mógł sam przyjść złożyć jej życzeń. Co za traktowanie kobiety, co za wygodnictwo, co za straszna pomyłka. Joannie to chyba jednak nie przeszkadzało – poprawiła włosy, uszmkowała usta i wyszła na papierosa. Nie byłem pewien, ale wydawało mi się, że ręce jej drżały, kiedy szukała w torebce swojej słynnej eleganckiej papierošnicy. Nie wiedziałem tylko, czy to z nerwów, czy z podniecenia. Biedna Joanna uwięziona w klatce zmiennych humorów i nieprzewidywalnych łask Rawskiego. Jak długo jeszcze to wytrzyma?

Im bliżej było końca programu, tym ona bardziej nie mogła się go doczekać. Siedziała jak na szpilkach – tych przysłowiowych albo tych własnych, bo z niecierpliwości podwinęła nogę pod siebie – jakby dzięki temu szybciej miała się stąd wydostać. Gotowa do skoku, w bloku startowym, ostatnie odliczanie.

– Dobranoc państwu, zapraszamy na „Przegląd Dnia” już jutro.

Kamera odjeżdżała powoli, frenetyczna muzyczka sygnalizowała nieuchronny koniec programu, Kalicka pociągała ostatni łyk wody ze służbowej szklanki, a Rawski z właściwą sobie pieczołowitością chował pióro do wewnętrznej kieszeni marynarki. Dziś raczej nie spieszył się na autobus. Nie będzie pijanej jazdy do Opola, miał pewnie inne zadania – trzeba było przecież zrobić komuś krzywdę. Urodzinową krzywdę. Było mi jej żal, tak bardzo żal.

Mimo wszystko nie spieszyła się szczególnie – zamiast prosto do wyjścia, poszła jeszcze do newsroomu. Stałem już przy swoim samochodzie, kiedy wyłoniła się z wielką szklaną miską w dłoniach. Może to był nawet kryształ? Poczułem, jak nadzieja wzbiera we mnie, pęka i się rozlewa – to po tę miskę poszła, nie po niego. Wsiadła do auta i odpaliła silnik. Odjedzie, zaraz odjedzie stąd sama. Nic się nie stanie, nikt nie ucierpi, wszystko dobrze się skończy. Rawski w drzwiach firmy był małym błędem sygnału, drobną usterką techniczną. Rawski wsiadający do samochodu Joanny był zakłóceniem całkowicie rozmazującym obraz. Trzasnęły drzwi auta, Joanna ruszyła. Parking już opustoszał – jej samochód został jako ostatni. Oprócz mojego, rzecz jasna. Może go tylko odwiezie na ten cholerny autobus, może wcale nie wejdą razem do jej mieszkania. Wiedziałem oczywiście, że wejdą, ale chciałem to zobaczyć. Nie myślałem już racjonalnie, nie było żadnego powodu, dla którego miałbym za nimi jechać. Ale byłem zły, bardzo zły – to wszystko trwało już za długo. O wiele za długo. Ruszyłem ostro i gwałtownie, minęła mnie akurat wtedy, kiedy sprzęgło zamieniało się rolami z gazem. Właściwie niewiele brakowało, a bym w nią wjechał; w ten jej mały samochodzik z zupełnie nieodpowiednią zawartością. Widziała mnie i widziała, że ja ją widzę. Z Rawskim.

*

„Jak tam nastrój przed rocznicą Smoleńska?” Esemes przyszedł tuż przed serwisem o piętnastej, właśnie kończyłam sprawdzać wizytówki do tematów. Ostatni raz widzieliśmy się niewiele ponad tydzień temu – pamiętny Wielki Piątek. To był naprawdę niezły rezultat; zbyt dobrze pamiętałam sześć tygodni milczenia, by nie cieszyć się z propozycji, która padła po zaledwie dziesięciu dniach od naszego ostatniego spotkania. Tematy z serwisu zupełnie przestały mnie interesować – od tej chwili myślałam już tylko o tym, co czeka mnie wieczorem. Teoretycznie nie powinnam szaleć – następnego dnia pracowałam na środkowym dyżurze, co znaczyło, że na szczęście nie będą mnie dotyczyć wieczorne awantury na Krakowskim Przedmieściu, ale i tak 10 kwietnia to nie jest łatwa okoliczność dla kogokolwiek, kto pracuje w mediach – rocznicowe obchody, przemówienia, może nawet jakaś kłótnia? Wiedziałam, że będzie dużo pracy, ale to wszystko i tak nie miało już żadnego znaczenia.

„W tym roku omija mnie marsz z pochodniami, nie wiem, jak to przeżyję. Pomożesz mi jakoś?” –

napisałam. „Jak mam to zrobić?” Odpowiedź była błyskawiczna – gra ruszyła. „Utulić mnie w żalu, rzecz jasna. Albo odpowiednio pobudzić, by żal minął”. „W takim razie postaram się”. Wiedziałam, że nie przyjdzie do mnie wcześniej niż po ostatnim wieczornym serwisie, miałam więc mnóstwo czasu, by wszystko przygotować. Także siebie. „Masz jakieś specjalne życzenia co do tego, w czym chciałbyś mnie dzisiaj zobaczyć?” – nasza korespondencja była dużo bardziej interesująca niż rozmowa z gościem w studiu, którą właśnie powinnam była się zajmować.

– Zacytujesz go czy nie, do cholery? Mówi przecież mądre rzeczy. – Wydawca wyraźnie dała odczuć swoje niezadowolenie z lekceważenia jej programu. Całe szczęście, to była już końcówka mojego dyżuru.

„Szpilki i coś jak męska koszula. Pod spodem stringi. To wszystko”.

Męska koszula na kobiecie – niezaprzeczalny urok seksownego kontrastu, odwieczny powab łamania konwencji, kusząca zapowiedź szaleństwa przekraczania granic. Na to więc miał dzisiaj ochotę. Ja tymczasem miałam apetyt na coś więcej – wiedziałam już, że sam seks może do tego nie wystarczyć. Skoro jak dotąd nie udało mi się przywiązać do siebie Aleksandra ani ekscesami łóżkowymi – ani nawet słowami – może pora skorzystać z babcinych rad i dać mu tym razem coś jeszcze? Na przykład dobrą kolację?

Po pracy weszłam do sklepu. Stojąc przed bogactwem półek z kolorowymi makaronami i egzotycznymi przyprawami, żałowałam, że nie mogę mu zaoferować niczego więcej prócz oliwek, serów i szparagów w szynce – po raz pierwszy w życiu żałowałam, że nigdy nie nauczyłam się gotować. Nie uczyniłam tego, mimo – a może właśnie dlatego – że moja matka wciąż nie traciła nadziei, że kiedyś tak się stanie. Stała mi przed oczami lodówka, którą podarowała mi w tyleż złośliwym, co pełnym znaczeń prezencie na urodziny, a która stała teraz bezużytecznie w moim mieszkaniu. Absurdalnie duża lodówka w małym mieszkaniu dziewczyny, która nie umie gotować. Niemniej pomysł kolacji dla Aleksandra był zbyt dobry, by miał się zmarnować z tak błahego powodu. Uznałam, że ten staroświecki wyraz troski będzie tym, co przypadnie do gustu mężczyźnie po długim dniu pracy. Potrzebowałam tylko kogoś, kto mi w tym pomoże; na szczęście był ktoś taki, a mianowicie Ptyś. Do gotowania nie trzeba było go długo namawiać.

– Potrzebuję czegoś lekkiego na późną kolację. Nie miałbyś ochoty wpaść do mnie i zabawić się trochę w kuchni?

Nie była to propozycja, której odmawiają zapaleni kucharze amatorzy. A tym bardziej dobrzy przyjaciele. Zwłaszcza gdy wytłumaczyłam, że przecież nie chodzi o moje własne podniebienie. Po południu, gdy ja zgłębiałam tajniki gramatyki hiszpańskiej na cotygodniowych zajęciach, Ptyś gorączkowo myślał o menu i kompletował potrzebne składniki. „Zrobię krem z pomidorów. Z bazylią, groszkiem ptysiowym i śmietanką. Twój amant będzie zachwycony, zobaczysz” – napisał w esemesie. Brzmiało dobrze – słodycz pomidorów i aksamitna konsystencja kremu były obietnicą doznań przyjemnych i gładkich.

– Formy subjuntivo używamy do wyrażania pragnień, uczuć i chęci. To bardzo użyteczna struktura – przekonywał nauczyciel, serwując kolejną porcję końcówek koniugacyjnych do nauczenia się na pamięć.

„Chciałbym tuż po wejściu zatkać Ci czymś usta”. Ten esemes doskonale odpowiadał tematyce pragnień i chęci. Nie był od Ptiesia rzecz jasna i zapowiadał wrażenia zgoła inne niż kulinarne.

„Popchnę Cię na kolana, zatkam sobą usta, a później zerznę na drzwiach”.

Zastanawiałam się, czy wszyscy widzieli falę gorąca, która przepłynęła przeze mnie w postaci rumieńca na policzkach i błysku w oczach.

„Ale rzecz jasna będzie tam jeszcze czas na mój język w Tobie. Lubię jej widok, gdy siadasz mi na twarzy”.

Czułam, jak moje usta robią się suche, a ręce zaczynają drżeć. Nie potrafiłam już skupić się na żadnych, mniej lub bardziej zawitych, hiszpańskich strukturach gramatycznych. Drogę do domu pokonałam jak na skrzydłach – wydawało się, że wszystkie moje pragnienia spełnią się już za parę godzin i nawet nie będę musiała wyrażać ich w żadnej specjalnej strukturze. Zwykły polski tryb oznajmujący sprawdzał się wystarczająco dobrze – „Uwielbiam, kiedy pieprzysz mnie całym sobą” – napisałam do Aleksandra, czekając na Prysia i jego kulinarny arsenał.

Kiedy wreszcie przyszedł, byłam pod wrażeniem – toreb ze snobistycznych delikatesów, własnego blendera przyniesionego z domu, zapachu i chęci do działania. Niestety, zapomniałam poprosić go o męską koszulę. Biała, prosta i damska musiała wystarczyć – na szczęście była na tyle uniwersalna, by przywołać cały zestaw mniej lub bardziej odległych, ale zawsze jednoznacznie erotycznych skojarzeń – szkoła, akademia okolicznościowa, drżenie rąk przy pośpiesznym rozpinaniu guzików.

To był wyjątkowy wieczór; wypełniło go wyczekiwanie podszyte podnieceniem i ferwor gorączkowych przygotowań, powietrze w moim małym mieszkaniu aż gęstniało od wielkich nadziei i żarliwych pragnień. Klaustrofobia pożądania podsycanego przez umiejętnie dawkowane wiadomości od Aleksandra, narastająca gorączka, licealna ekscytacja przygotowaniami do randki. A może raczej do łóżka, bo tak to właściwie należało nazwać, co tylko dodawało całej sytuacji pikanterii. Prys szalał w kuchni, ja myłam włosy w łazience – aromaty pomidorów, bazylii i oliwy mieszały się z chemicznym zapachem szamponu, stukot garnków z szumem suszarki, gdzieś w czeluściach odpływów woda z kuchennego zlewu ze strugami wody spod prysznic. Kuchnia, łazienka, szafa z ubraniami; bulion, pomidory z puszki, tusz do rżęs – melodia przygotowań na cztery ręce nabierała coraz bardziej szaleńczego tempa. Działaliśmy we dwoje z Prysiami, ale Aleksander też poniekąd był tam z nami. „Lubisz klapsy?” – pytał w pozornie niewinnym esemesie, by zaraz, za chwilę roztoczyć wizję lania rodem z filmów dla dorosłych. „Zleję Ci tyłek z wyczuciem, ale ekscytująco” – obiecywał. Aleksander pisał o klapsach, ja robiłam makijaż, a Prys z podziwu godną cierpliwością tłumaczył mi, jak mam odgrzać zupę. Przy okazji raczył mnie też przepisem na nią.

– Skup się, opowiem ci wszystko, żebyś jakby co wiedziała, jak ją zrobiłaś.

– Bez przesady... Nie będzie mnie chyba o to pytał – zaprotestowałam.

– Nigdy nic nie wiadomo. No więc, bierzesz oliwę i czosnek...

Prys zdradzał mi swoje kulinarne sekrety, ja zaś prezentowałam mu w praktyce tajniki makijażu. Słowo za gest, składnik zupy za ruch ręki, rozkosz smaku za piękno lśniących powiek i czerwonych ust. Atmosfera była gęsta, klapsy wisiały gdzieś w powietrzu, a pomidory i puder, czerwona papryka i cień do powiek, słodka śmietanka i perfumy o ciężkim zapachu róży i drewna współistniały na równych prawach w naszych jednoczesnych opowieściach. Opowieściach o pożądaniu, o staraniu i o nadziei. Opowieściach, które obie – ta kulinarna i ta kosmetyczna, ta złożona ze słów i ta wyłącznie z gestów – zlewały się w jedno wielkie oczekiwanie. Aleksander pisał: „Chciałbym teraz włożyć język do twojego tyłka i obrócić nim kilka razy”, a ja chciałam tylko, żeby przyszedł, zrobił ze mną to i wszystkie świństwa świata.

Prys zbyt długo był moim przyjacielem, by to przeoczyć, by zignorować moje rozgorączkowanie, by nie wyczuć, że tym razem dzieje się coś więcej niż zwykle.

– No powiedz mi, kto jest tym twoim amantem – poprosił, kiedy zupa była już prawie gotowa. – Chcę wiedzieć, dla kogo gotuję.

– Mogę ci go nawet pokazać. – Włączyłam telewizor. Aleksander miał przecież wieczorny dyżur, co w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało mu zajmować się erotyczną korespondencją ze mną.

– Z telewizji? Może jeszcze z twojej stacji?

Z telewizora popłynął głos Aleksandra.

– Kluby „Gazety Polskiej” i środowiska PiS przygotowują się do jutrzejszych obchodów trzeciej rocznicy katastrofy smoleńskiej. Będą to uroczystości niezależne od oficjalnych obchodów państwowych – mówił z ekranu. Wyglądał przy tym jak zwykle, czyli elegancko, profesjonalnie, może odrobinę zbyt sztywno. Patrzył prosto na nas swoimi lodowato błękitnymi oczami. Przystojny, męski, wyniosły.

– No tak, Rawski. – W głosie mojego przyjaciela nie było zaskoczenia. – Powinienem być się domyślić na Balu Dziennikarzy.

Patrzył na Aleksandra z uwagą, ale jak ktoś, kto ma już swoją opinię i jest do niej przywiązany.

– Ile on ma lat? – zapytał po chwili.

– Czterdzieści pięć – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Nie jest dla ciebie za stary? – W głosie Ptysia czuć było pewne powątpiewanie, jakąś niepewność, może nawet troskę.

– Nie. Przecież wiesz, że nie. – Zdziwiłam się, że pyta akurat o wiek. Powinien wiedzieć, że nigdy nie lubiłam mężczyzn przed czterdziestką. Chyba wyczuł moją pretensję, bo od razu wyjaśnił:

– Właściwie to nie o wiek chodzi. Nie wiem konkretnie o co. Trudno to sprecyzować, ale... chcę ci powiedzieć, żebyś uważała, Joanna. Jest w nim jakaś zawziętość, coś... niewłaściwego... – jąkał się, ale w jego oczach widać było cień niepokoju. – Coś niegodnego zaufania.

– Jest w nim coś złego – dokończyłam, bo nie chciałam, by mój przyjaciel dłużej się męczył.

– Tak. Coś bardzo złego – potwierdził z całkowitym przekonaniem.

I staliśmy tak na środku pokoju, zawieszeni w gorączkowych przygotowaniach, nagle zatrzymani i unieruchomieni powagą naszej konstatacji. Co zostało powiedziane, zaistniało. Poruszeni mocą słów i nazwaną rzeczywistością, staliśmy przed telewizorem jak zaczarowani, oderwani od swoich zajęć, zamrożeni w kadrze – ja w ręczniku, Ptyś z chochlą w ręce. Na ekranie Aleksander też stał nieruchomo – wyprostowany, patrzący wprost na nas, z nieodłącznym długopisem w palcach. Byłam pewna, że nas widzi.

Zupa Ptysia wyszła fantastycznie – słodycz pomidorów przełamana ostrą nutą czosnku, aksamitna konsystencja kremu z chrupiącymi listkami świeżej bazylii, biały kleks śmietany na czerwieni dania. Nie mogłam sobie odmówić kilku łyżek po tym, gdy Ptyś już wyszedł, a ja czekałam na Aleksandra. Wiedziałam, że to moje ciało będzie dla niego główną atrakcją, ale miałam nadzieję, że zupę potraktuje jako miłą niespodziankę. Nie tylko Ptyś spisał się dzielnie, efekty moich starań też robiły wrażenie. Nawet nie musiał nic mówić; zobaczyłam wszystko w jego oczach. Biała koszula włożona tylko do pończoch i czerwonych szpilek wyglądała tak, jak miała wyglądać – intrygująco i grzecznie zarazem, a przy tym niezaprzeczalnie perwersyjnie. Wszystko było tak, jak obiecywał w esemesach. Zdążyłam tylko zamknąć drzwi i oprzeć się o nie plecami – solidne, masywne drzwi oklejone na szczęście czymś miękkim, jakąś skórą czy skajem stworzonym właśnie po to, by przyjemniej było się na nich pieprzyć. Zima tego roku była wyjątkowo długa – na początku kwietnia nocami wciąż trzymały mrozy. Miał bardzo zimne ręce – bałam się, że w zetknięciu z moją rozpaloną skórą będą syczeć jak topniejące kryształki lodu. Zimno – ciepło, on w płaszczu – ja na wpół rozebrana, zimne dreszcze – fale gorąca. Te zderzenia miały siłę, której nie sposób było się oprzeć. Jak zwykle – całował znakomicie, pieprzył się jeszcze lepiej. To było ostre i bardzo dobre – lustrzane skrzydła szafy w przedpokoju jakoś niewyraźnie odbijały nasze ciała uderzające miarowo o drzwi. Może zawstydził je mój krzyk, a może to nasza namiętność rozmywała kontury i czyniła niewyraźnym wszystko, co nie było pożądaniem. Nie powiedzieliśmy do siebie ani słowa, tak jakby nasze ciała mówiły za nas, jakby ich rytmiczna rozmowa wystarczała za wszystko. I tak właśnie było, dopóki nie nasyciliśmy pierwszego głodu, dopóki nie opadła z nas pierwsza fala pożądania zaspokojonego w pośpiechu, w ubraniach, w absolutnym szale namiętności. To było jak opętanie – widziałam mroczki przed oczami i nie mogłam nawet zaczerpnąć tchu. To było jak transgresja,

jak opuszczanie własnego ciała i patrzenie na nie z góry gdzieś spod sufitu. Bolało, ale to był dobry ból – ból, po którym przychodziła rozkosz rozlewająca się jak alkohol w żyłach, jak balsam na skórze, jak miód na sercu. To było właśnie to, czego chciałam przez całe życie.

Dalej było już tylko lepiej – drzwi wejściowe zamieniliśmy na komodę w dużym pokoju, na biurko w sypialni, na fotel, dywan i wreszcie na kanapę. Seks z nim był – jak zawsze – czystą poezją. Kiedy byłam z Aleksandrem w łóżku, zapominałam o wszystkim: o tygodniach odrzucenia, o jego zmiennych nastrojach, o tym, że nie liczył się dla niego nikt poza nim samym. W łóżku stawał się innym mężczyzną – mężczyzną, któremu można wybaczyć wszystko, mężczyzną, w którym chcesz cię zatracić, niezależnie od ceny, jaką trzeba będzie za to zapłacić. Niezaprzeczalnie było w tym coś diabelskiego – nie wiem, czy współczesny diabeł nie przybierał czasem postaci niebieskiej pigułki, ale nawet jeśli tak, to jego szatański czar pozostawał niezmienny.

Kiedy już rozedrganie ustało, ekstaza pozostawiła po sobie tylko zmęczenie, a świat odzyskał właściwe proporcje i kształty, nadszedł czas na rozmowę – część w jego wykonaniu niezaprzeczalnie mniej przyjemną niż seks. Słowa Aleksandra jakoś ześlizgiwały się z rzeczywistości – nigdy nie miały w sobie takiej mocy, jaką chciałabym w nich czuć. Może po prostu nigdy nie mówił mi tego, co chciałam usłyszeć? Rzecz jasna prawił mi komplementy, ale te dość zdawkowe wyrazy uznania dla mojej urody nigdy nie nazywały tego, co naprawdę powinny. Niemniej nie traciłam nadziei. Tym razem przecież miałam dla niego coś z klasycznego repertuaru miłej dziewczyny, coś, czego dotąd na nim nie próbowałam, a co mogło przecież zadziałać: zupę, o której właśnie sobie przypomniałam.

– Zrobiłam krem z pomidorów, dobry. Zjesz trochę? – zapytałam, od razu wstając, byłam bowiem przekonana, że zechce porcję.

– O tej porze?! Nie będę nic jadł.

– Może jednak? Dwie łyżki? – Starłam się ratować sytuację.

– Zwariowałaś? Jak w ogóle mogłaś pomyśleć, że w środku nocy będę jadł jakąś twoją zupę?

To były mocne słowa, ale akurat nie takie, jakich chciałam. Całe moje staranie, cały wysiłek Ptysia, cała historia opowiedziana przez pieczołowicie dobrane i połączone składniki – na nic. Tymczasem to nie było jeszcze ostatnie słowo Aleksandra. – Wszystkie jesteście takie same. Ty też, niestety. Chcecie tylko, żeby was chwalić, jak dobrze gotujecie.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć, choć rzecz jasna było to bliskie raczej śmiechowi przez łzy. Mój Boże, gdyby tylko wiedział. Gdyby wiedział, że nie potrafię zrobić nawet jajecznicy, a zupa jest nie tyle dziełem moich rąk, co pomysłowości. Gdyby tylko wiedział, że gotował dla niego Ptyś, a ja jedynie chciałam przypisać sobie cudze zasługi. Wszystko na nic, nie wspominając już o wysiłku mojego przyjaciela. Cóż, nie zawsze nasze pomysły przynoszą owoce, ale czasem odmowy bywają wyjątkowo okrutne. Widać z Aleksandrem wszystko musi być wyjątkowe, pomyślałam, kładąc się obok niego na kanapie. Rozczarowanie mnie osłabiło, poczułam się zbyt zmęczona, by pójść do swojego łóżka. Z mieszanki zawodu i zmęczenia wytraściło się zubożenie. Nie miałam nawet siły zmyć makijażu – i tak oba dzisiejsze dzieła źle skończyły: zupa stała nadaremno na kuchennym palniku, a kunsztowny makijaż wytarł się o poduszkę. Została tylko kolorowa mozaika na poszewce, wzór z czarnych smug i srebrnego pyłu, nikomu niepotrzebny smutny rysunek. Aleksander nic nie powiedział, kiedy zasypiałam obok niego, ale widziałam, że nie jest zadowolony z mojego towarzystwa. Kiedy nie chodziło o seks, nie potrafił mnie nawet dotknąć.

*

Stacje informacyjne nadawały na okrągło. Kanał Szósty zrzucił nawet z anteny serwisy sportowe i reklamy. Newsowa gorączka trwała nadal, tyle tylko, że w roli głównej występowało już nie zagrożenie wybuchem, a kolejne makabryczne znalezisko. Czwarty odcinek pasjonującego serialu kryminalnego,

z nagłymi zwrotami akcji, zagadką i tajemnicą. A do tego krew była prawdziwa. Dla słupków oglądalności nie można sobie wymarzyć niczego lepszego. Choć pracownicy Kanału Szóstego uwijali się dzielnie, szefowa nie mogła na bieżąco śledzić efektów ich pracy. Miała bowiem gości.

– Komisarz Antoni Kwarnicki.

– I komisarz Marcin Walczak z Komendy Rejonowej Policji Warszawa-Śródmieście.

– Prowadzimy czynności w sprawie zaginięcia państwa pracownika, Aleksandra Rawskiego. Pani jest szefową redakcji?

– Owszem. Zapraszam – skinęła ręką w kierunku pomieszczenia w głębi. – Pani Teresko, trzy kawy poproszę.

Oczy sekretarki nie mogły się oderwać od towarzystwa, w którym Anna Ślęzak wkraczała do swojego gabinetu. Ku jej rozczarowaniu szefowa zamknęła za sobą drzwi.

– Oczywiście postaram się pomóc, na tyle, na ile tylko będę mogła. – Przyjazna deklaracja współpracy na początek, efekt pierwszego wrażenia. A później niewinne z pozoru zdanie, które miało pokazać, kto tu tak naprawdę rządzi: – Ale zdajecie sobie panowie sprawę, że to dla nas bardzo niewygodna sytuacja. Oczekuję, że wyjaśnicie ją jak najszybciej.

– Staramy się. – Kwarnicki przez dziesięć lat pracy osiągnął biegłość w sztuce zapewnien o znakomitych postępach i wzmoczonych wysiłkach, ale nie pozbył się wrodzonej lakoniczności.

– Mamy kilka spraw do pani. Na początek potrzebujemy listy osób, które w czwartek dwudziestego drugiego sierpnia pracowały na wieczornej zmianie wraz z Aleksandrem Rawskim. Będziemy musieli porozmawiać z nimi wszystkimi. Prosimy, by ich pani uprzedziła.

– Oczywiście, nie ma sprawy. – Anna Ślęzak odetchnęła. Spodziewała się czegoś gorszego na dobry początek. – Może nawet zorganizuję panom jakieś pomieszczenie na te rozmowy.

– Świetnie. – Kwarnicki był autentycznie zaskoczony. Może chce nas przekupić? błysnęło mu na chwilę w głowie. Ale zaraz zgasło. – A teraz mamy kilka pytań do pani.

– Słucham. – Ślęzak nie powstrzymała na czas swojej ręki, która sięgnęła do paczki papierosów leżącej na biurku. – Nie będzie panom przeszkadzać?

– Nie, proszę. – Przez twarz Walczaka przemknął grymas. Klepnął się po kieszeni, by sprawdzić, czy nie zapomniał swoich gum z nikotyną. Były na miejscu, ale to tylko pogłębiło jego żal. Nawet bowiem przed samym sobą Walczak nie mógł udawać, że ich białe, sterylne listki są czymś więcej niż żalonym erzacem wobec gęstego kłębu dymu i rozkosznej obłości papierosa w palcach kobiety, z którą rozmawiał. Nienawidził jej teraz.

– A czy pani była tu dwudziestego drugiego sierpnia wieczorem?

– Wyszłam jakoś koło dwudziestej. – Była na tyle uprzejma, by nie dmuchnąć dymem w jego kierunku.

– I jak spędziła pani wieczór?

– Wróciłam do domu, zwolniłam opiekunkę do dziecka i jak to pan ujął, spędziłam wieczór, z *Epoką lodowcową* i kanapkami z nutellą.

Dziecko. Słabe alibi, pomyślał Kwarnicki, chociaż kobieta przed nim nie była o nic podejrzana.

– A później?

– Później położyłam córkę spać, wypiłam dwa kieliszki wina i zasnęłam przy telewizji. Jakie to ma znaczenie dla sprawy Rawskiego?

Kwarnicki i Walczak spojrzeli na siebie. Być może naprawdę odrobinę się zapędzili.

– Chodziło nam o to, kiedy widziała go pani po raz ostatni.

– Właśnie wtedy, wychodząc z redakcji. Dziękuję, pani Teresko. – Nie powiedziała nic więcej, dopóki sekretarka nie postawiła na stole tacy z filiżankami. – I mam prośbę. Niech pani naszykuje dla

panów listę osób, które pracowały przy czwartkowym „Przełądzie Dnia”.

Przynajmniej będzie miała jakieś zajęcie, które nie pozwoli jej wystawać pod drzwiami, pomyślała Ślęzak. Policjanci równie dobrze jak ona rozumieli, że lepiej będzie poczekać z kolejnymi pytaniami, aż za sekretarką zamkną się drzwi.

– Co w ogóle może nam pani powiedzieć o Rawskim? Jako szefowa, rzecz jasna. Co się z nim mogło stać według pani?

Odpowiedź na to pytanie mogła być długa i bogata. Ślęzak zgasiła papierosa i odepchnęła od siebie popielniczkę, w której misterna konstrukcja z niedopałków groziła katastrofą ekologiczną. Postanowiła być szczerą, lecz oględna.

– Rawski był specyficznym człowiekiem. Takim, który idzie przez życie, nie oglądając się na innych. Niewykluczone, że załazł przy tym paru osobom za skórę.

– Sugeruje pani, że miał wrogów? – Walczak nie mógł wyjść z podziwu, o ile łatwiej zadaje się pytania, kiedy żaden dym nie wzbija się w powietrze tuż obok jego nosa.

– Nie wiem, czy od razu wrogów. Ale na pewno parę osób mogło mieć do niego żal. – Ślęzak nie patrzyła na policjantów, ale gdzieś przed siebie. Może na ekranie telewizora z wyłączonym głosem próbowała mimo wszystko śledzić konkurencję. Wzrok miała uważny, a twarz spokojną.

– Kto na przykład?

– Rozumiecie panowie, że to trochę niezręczna dla mnie sytuacja. – Przeniosła spojrzenie wprost na nich. Milczeli. – Ten żaloszny romans z Paulinką, zresztą nie jedyny pewnie. No i do tego sprawy zawodowe. Jak by to powiedzieć? – zamyśliła się przez chwilę. – Rawski nie lubił się przepracowywać. Zdarzało się, że przychodził na program kompletnie nieprzygotowany, bo na przykład wcześniej prowadził pokaz garnków albo otwarcie nowej sali w ratuszu w Pcimiu.

Policjanci spojrzeli na nią z niedowierzaniem; cóż, nie musieli znać realiów pracy w telewizji. Konferencje, inauguracje, wręczenia nagród. Można moderować, uświetniać, prowadzić. Twarz znana ze srebrnego ekranu, trzy godzinki mało wyczerpującej pracy, dodatkowe, całkiem niezłe pieniądze. *Toutes proportions gardées* – dla jednych gala Polskiej Rady Biznesu, dla innych rozdanie wyróżnień dla producentów parówek. Tak czy inaczej, interes się kręcił. Rzecz jasna nie wszyscy byli chętni, ale akurat Rawski – zawsze.

– I w takich sytuacjach ktoś musiał robić coś za niego, ale on i tak uważał, że jest świetny. W ogóle chyba zasadniczo tak uważał.

– To znaczy, że nie ceniła go pani jako pracownika?

Ślęzak czuła się bezradna wobec zawilości sytuacji, którą musiałyby wytłumaczyć tym dwóm. A pewnie i tak by nie zrozumieli.

– Posłuchajcie, panowie. Rawski jest arogantem, który krzyczy na gości w studiu i nie raz i nie dwa olewa przygotowanie się do programu. Ale zdarza mu się mieć dobry dzień, a wtedy wyrabia naprawdę niezłą oglądalność. Poza tym to, kto prowadzi u nas serwisy, zależy nie tylko ode mnie.

Nie dało się już prościej ani bardziej dobitnie.

– Sugeruje pani, że Rawski ma jakieś umocowanie polityczne?

– Tego nie powiedziałam. – Ślęzak poczuła się zawiedziona. Lepiej oceniała tych panów.

– On zdaje się pracuje u państwa nie od tak dawna?

– Przyszedł do nas, a raczej wrócił, jakieś półtora roku temu. Z nowo założonej stacji, w której liczył na nie wiadomo co, a tymczasem skończyło się klapą. Był tam nie tylko prezydentem. Bodaj dyrektorem czy kimś takim. Wyszło z tego gówno i może dlatego tutaj tak bardzo chciał pokazać, że nadal jest ważny.

– A chciał?

– Chciał. I czasami robił to trochę za ostro. Była taka historia z „Areną” – publicystyką w dobrym

czasie i z dobrą widownią. Rawski uparł się na ten program i chodził wokół tego tyle, aż wygryzł gościa, który go prowadził. Obawiam się, że ludzie pamiętają mu takie rzeczy.

Ślęzak pomyślała, że powiedziała aż za dużo.

– Jak się nazywa ten gość, którego wygryzł?

– Iglicki. Dariusz Iglicki. – Niespełniony aktor, który odnalazł się w meandrach polityki, za to nigdy nie opanował tajników gier i podchodów.

– Znaczy się, Rawski jest gotów na wiele dla kariery?

– Można tak powiedzieć. – Wzrok Ślęzak uciekł w stronę paczki z papierosami. Nie, tylko nie to! Westchnienie Walczaka musiało jakimś telepatycznym kanałem dotrzeć do kobiety, bo zostawiła papierosy w spokoju. Pomyślała o pewnym zimowym wieczorze, kiedy Rawski przyszedł do jej gabinetu z butelką wina. W ferworze dyskusji o nowej ramówce położył swoją rękę na jej dłoni – jakby przez pomyłkę, jakby przypadkiem. Patrzył w jej oczy tak, jakby naprawdę podobały mu się jej rubensowskie kształty, jej workowaty sweter, jej oczy zmęczone i pokryte czerwoną pajęczyną popękanych żyłek. A może jej stanowisko? Anna Ślęzak cofnęła wtedy rękę. „Dość tego wina na dziś. Mam jeszcze robotę”. Nie potrafił ukryć zdziwienia; nie przywykł, by ktoś odrzucał jego ofertę, niezależnie od tego, jak była bezczelna czy desperacka. Rzeczywiście, dla kariery Aleksander Rawski byłby gotów na wiele.

– Jeszcze jedno. Czy wie pani, kim była dla niego Marta? Marta... Bobrek – Walczak zerknął w notatki, aby przypomnieć sobie nazwisko właścicielki numeru, z którego dzwono do Rawskiego w dzień po jego zaginięciu.

– Nie mam pojęcia. To nikt od nas. – Ślęzak przepatrzyła w myślach twarze wszystkich swoich pracowników. Żadnej nie skojarzyła z takim nazwiskiem. – Jeśli to wszystko, to wybaczą panowie, ale muszę zająć się pracą. Mamy dziś gorący dzień – skinęła głową w kierunku telewizora z wyłączoną fonią. Jakiś ekspert kryminolog bezgłośnie otwierał usta na tle obrazów Dworca Centralnego otoczonego kordonem policji. Błyskające koguty na dachach radiowozów, taśma policyjna, kilometry kabli telewizyjnych wozów transmisyjnych. „Zbrodnia stulecia?” – głosił napis na dole ekranu.

*

Wiosna w tym roku kazała czekać na siebie wyjątkowo długo. Kiedy wreszcie przyszła, nawet nie potrafiłam się nią cieszyć. I tak nie była taka, jak powinna – dni cieplejsze, ale szarawe i smutne, nagie drzewa, które zapomniały zakwitnąć, i deszcz rozmazujący krajobraz. Tak jak wiosna zapomniała o nas w tym roku, tak znów zapomniał o mnie Aleksander. Nie odzywał się już do końca kwietnia. To, że wiedziałam, czego mogę się po nim spodziewać, wcale nie zmieniało faktu, jak bardzo bolało mnie jego milczenie. Dziesiątki słów pocieszeń od Hanki, liczne wspólnie wypite butelki, stałe wpatrywanie się w telefon, jakby obserwacja mogła sprawić, że zadzwoni. Jednak nawet jeśli dzwonił albo brzęczał sygnałem esemesa, to żadna z przychodzących wiadomości nie była od niego. A więc każda była tylko rozczarowaniem.

Trzeci maja był dniem, z którym wiązałam pewne nadzieje – święto państwowe i długi weekend, ale nie tylko. Także dzień jego imienin. W pracy wieczorne serwisy mijały w tempie leniwym i nieuchronnie naznaczonym nudą – świąteczny dzień ciszy i spokoju to nie jest dobry czas dla stacji informacyjnej. Żadnych kłótni polityków, żadnych inicjatyw rządowych, wokół których można by toczyć dyskusje, żadnych – jakże wdzięcznych do relacjonowania – tragedii ani katastrof. Nawet nikt spośród znanych ludzi nie był uprzejmy umrzeć – przypominanie dorobku i wspominki to zawsze doskonały sposób na wypełnienie czasu antenowego. Tymczasem nic. Nie można było nawet poruszyć żelaznego tematu bezpieczeństwa powrotów z długiego weekendu – był piątek, więc pozostały jeszcze dwa dni wyjątkowo długiej majówki. Został nam tylko niezmienny co roku repertuar historyków i rzecz jasna politycy niezawodni w swoich występach, tym razem okolicznościowych i wyjątkowo nudnych, ale wciąż jednak

nadających się do transmisji. Żyliśmy więc oficjalnymi przemowami z okazji rocznicy konstytucji z 1791 roku, premierem biegnącym przez Warszawę, wielkim orłem z białej czekolady w ramach prób promocji mniej spiżowych obliczy patriotyzmu. Mimo atmosfery odległej od koncentracji, nie zauważyłam, by Aleksander jakkolwiek świętował: żadnych cukierków, żadnego wina ani ciasta. Niemniej postanowiłam uczcić jego imieniny. Nawet mój strój był dla niego – rozcięta czerwona spódnica kusząco odsłaniała udo przy każdym kroku, a gdy siadałam, rozkładała się na boki jak płatki kwiatu. Kiedy zeszałam do newsroomu po serwisie, on wracał akurat ze studia.

– Joanna. Wiedziałem, że to ty. Poznałem cię z daleka, po zapachu. Nikt nie pachnie tak pięknie. – Prawie otarł się o mnie, gdy mijaliśmy się w wąskim przesmyku koło tablicy informacyjnej. To był doskonały moment.

– Zdaje się, że niektórzy mają dziś imieniny.

– No tak, rzeczywiście. – Jego uśmiech nie był już tak promienny.

– Wszystkiego najlepszego, Aleksander.

– Dziękuję, dziękuję bardzo – przerwał mi, choć widać było, że zamierzam powiedzieć coś jeszcze. –

Ale wiesz, u mnie na Opolszczyźnie nie obchodzi się imienin.

Nie miałam pojęcia, czy na Opolszczyźnie rzeczywiście nie obchodzi się imienin, ale wiedziałam już, że na pewno nie będziemy świętować ich razem. Szkoda, bardzo wielka szkoda. Sądziłam, że gdy skończymy dziś pracę, będzie stanowczo za późno, by jechał do domu, do żony, czeka go więc samotny imieninowy wieczór w obcym mieście – świetna okazja, by spędzić go ze mną. W swej zapobiegliwości – albo raczej w głupiej nadziei – przygotowałam nawet na ten cel butelkę naprawdę dobrej wódki, która mroziła się w oczekiwaniu na imieninowy toast. Aleksander jednak miał inne plany – plany, w których ja nie byłam uwzględniona. Co zamierzał robić, dokąd pójść, jak spędzić ten imieninowy wieczór? Tego nie mogłam wiedzieć – jak zwykle nie miał dla mnie żadnych wyjaśnień, tylko chłód słów oszczędnych i wymijających. Po powrocie do reżyserki, przygotowując ostatnie wydania serwisów, przez cały czas myślałam już o tylko o tym. Propozycje zmian w konstytucji autorstwa Solidarnej Polski – jakie plany ma Aleksander? Koncert Niepodległości na Zamku Królewskim – z kim będzie świętował swoje imieniny? Akcja „Orzeł może”, czyli patriotyzm na wesoło – kto tym razem okazał się lepszym towarzystwem ode mnie? Zazdrość była jak hinduska bogini z wieloma językami i dłońmi – te dłonie wyciągały się teraz po mnie, a języki lizały niczym płomień, pozostawiając po sobie jadowity posmak.

Kiedy program się skończył, spotkaliśmy się z Aleksandrem przy wyjściu. Nie wychodził sam – siedł z kobietą, ale Bogu dzięki nie była to Paulinka. Zupełnie nie wiedziałam, co o tym myśleć – jego towarzyszką była Emilia, pięćdziesięcioletnia pani wydawca. Nie sądziłam, że gustuje w kobietach starszych od siebie, ale ostatecznie wiedziałam przecież, że Emilia jest atrakcyjna, samotna i – jak niesie wieść gminna – nie stroni od alkoholu. Może właśnie ona miała być jego kompanem do imieninowych toastów? A może wspólnie wybierali się gdzieś dalej, gdzieś indziej, na imprezę, na której dla mnie nie było miejsca?

– Dobranoc – powiedzieliśmy sobie bardzo grzecznie. Widziałam, jak idą razem w stronę taksówki czekającej na nich przed firmą. Mimo wszystko jakoś nie chciało mi się wierzyć, że jadą do Emilii. Może Aleksander tylko zabierał się z nią gdzieś po drodze? Może jednak wracał do domu? Ostatecznie przecież nie pracował następnego dnia, a była to pora kursowania nocnych autobusów, które często wybierał zamiast pociągów. Może dziś także jechał po prostu na dworzec? A jednak nie mogłam wiedzieć tego na pewno. Dokąd jedziesz, do cholery? Chociaż sama wsiadłam do samochodu, nie ruszałam, czekając, aż Aleksander i Emilia zrobią to pierwsi. Obserwowałam ich we wstecznym lusterku – wiedziałam, że muszę wyglądać jak kiepska aktorka z taniego filmu o szpiegach, ale mimo wszystko nie mogłam odjechać, dopóki oni tego nie zrobili. Gdyby nie było tak pusto na ulicach i gdyby nie mój czerwony

samochód, w którym nie miałam szansy pozostać niezauważona, zrobiłabym to: pojechałabym za nimi. Siedziałam nieruchomo jeszcze chwilę po tym, jak spaliny z ich taksówki dawno rozwiały się na wietrze, a parking przed firmą opustoszał. Ręce zaciśnięte na kierownicy, wzrok wbity w lusterko, martwa cisza maszynerii nieożywionej jeszcze magicznym przekręceniem kluczyka. Zamiast świętowania imienin Aleksandra czekał mnie kolejny samotny, pusty wieczór. Co będziesz dzisiaj robił, z kim pił, na kogo patrzył swoim zimnym wzrokiem? Tak bardzo chciałam to wiedzieć, że jeśli tylko diabeł uznałby za stosowne przystąpić ze mną do targu, za tę wiedzę oddałabym mu duszę. I to raczej bez zbędnego wahania.

*

– Zbrodnia stulecia, kurwa. Odpierdoliło im.

Telewizor nastawiony na Kanał Szósty szemrał swoją sensacyjną melodię w rogu gabinetu komendanta.

– Nie ma co się dziwić. Dla nich to rarytas. – Mężczyzna o twarzy Clinta Eastwooda starał się uspokoić swojego zwierzchnika.

– Taa... Rarytas. Szkoda, że nie dla nas. – Głośna sprawa, bulwersujące zabójstwo, wstrząsające okrucieństwo. Czyli śledztwo w błysku fleszy, naciski z góry, nadmierne oczekiwania. A do tego zupełnie daremna mobilizacja w parkach. Nie mogło być gorzej.

– Jutro będzie wiadomo, kto to. Jeśli to któryś z naszych siedmiu zaginionych, rzecz jasna.

Siedem osób spośród tych, których zaginięcie zgłoszono w ostatnich tygodniach, było mężczyznami w średnim wieku. Dwóch z nich wprawdzie pracowało fizycznie, ale policja postanowiła ich również wziąć pod uwagę. Przy żadnym fragmencie zwłok nie było niczego, co wskazywałoby na tożsamość. Żadnych dokumentów, żadnych zdjęć z portfela, żadnych elementów charakterystycznych. Mało tego – żadnych włókien, żadnych śladów naskórka pod paznokciami, żadnych odcisków palców. Paznokcie ręki wyczyszczone, każda część ciała dokładnie umyta, nigdzie żadnych znaków szczególnych. Jak dotąd.

– Jak już będziemy wiedzieli, kto to jest, pójdzie nam łatwo.

Morderstwo z ćwiartowaniem zwłok było czymś zbyt spektakularnym, zbyt rzadko spotykanym, zbyt mocnym, by sprawcy udało się nie popełnić przy tym żadnego błędu. Poza tym to oczywiste – rodzina, kochanki, wspólnicy. To wśród nich należy szukać zabójcy. Prawie zawsze.

– Ktoś, kto ćwiartuje zwłoki, musi mieć silny motyw emocjonalny. Zemsta, nienawiść, nauczka. To nie mogło być przypadkowe zabójstwo.

– Ty mi tu, Piątek, z tą swoją Ameryką nie wyjeżdżaj. – Pięć komendanta opadła na biurko. Było mu duszno, coraz bardziej duszno w zapiętej pod szyję koszuli i w pomieszczeniu z zamkniętymi oknami. – To nie film o agentach FBI, do kurwy nędzy.

Podinspektor Andrzej Piątek jako jeden z nielicznych polskich funkcjonariuszy był kiedyś na szkoleniu w Quantico. Zabrali go jako bardziej doświadczonego partnera pewnego młodego zdolnego, którego wypatrzyli sobie sami Amerykanie. Metody poszukiwania sprawców szczególnie brutalnych przestępstw, profile psychologiczne, analiza śladów z miejsca zbrodni. Bardzo prestiżowe, dalece zaawansowane, totalnie nieprzydatne. Komendant przeciągnął palcem wzdłuż krawędzi kołnierzyka.

– Mówię tylko, że jeśli będziemy wiedzieć, kto to jest, to wszystko stanie się łatwiejsze. – Oby tylko się nie okazało, że to ten gość z telewizji, dodał w myślach.

– To goń ich tam w tym laboratorium. DNA, nowe możliwości, tyle się o tym pieprzy. A jak przychodzi co do czego, to musimy czekać na odczynnik.

Realiów nie dało się bagatelizować, ale i tak testy DNA były lepszą metodą niż wzywanie na oględziny rodzin wszystkich siedmiu zaginionych. Ta przyjemność będzie zarezerwowana dla przypadku, w którym profil genetyczny będzie pasował. Co innego potwierdzenie, a co innego poszukiwanie kogoś,

komu pozbawiony kończyn korpus wyda się znajomy.

– A może uda nam się go złapać, jak będzie podrzucał kolejną część? – podinspektor machinalnie zerknął na ekran telewizora. Spektakl trwał.

– To byłoby, kurwa, najprostsze. – Komendant nigdy by się nie przyznał, że aż do dzisiaj liczył tylko i wyłącznie na to. A także tylko i wyłącznie na tym opierał plan dalszych działań.

– Zostały mu jeszcze dwie części do pozbycia się. – mruknął Piątek. – Tylko gdzie to zrobi?

– Właśnie, kurwa, gdzie? Mam obstawić całe miasto tajniakami? – Irytacja komendanta wzbierała. Gorąco, duszno, niebezpiecznie.

– Pomyślmy. Pomyślmy, gdzie może to zrobić.

Trzy parki, Dworzec Centralny. Zawsze miejsce publiczne, zawsze koło kosza na śmieci lub w samym koszu. Co będzie następne? Centrum handlowe? Ogródek jordanowski?

– Teraz będzie nam łatwiej. Na Centralnym wszędzie są kamery, będziemy go mieć na nagraniu.

– Właśnie. Nagrania. – Komendant przypomniał sobie o złożonej przez jego rzecznika szumnej zapowiedzi dokładnej analizy monitoringu. – Zajmij się tym. Weź sobie paru chłopaków, powiemy, że powołujemy grupę dochodzeniowo-śledczą, media uwielbiają takie pierdoły.

– Jasne. – W twarzy Piątka nie drgnął ani jeden mięsień. Przecież od dziecka mówili mu, że mężczyzna nie może okazywać emocji. Emocje były złe, a ekscytacja najgorsza z nich wszystkich.

*

Pojechałem ich śladem, zupełnie nie przejmując się odległością, światłami, przyzwoitością. Jechałem bezczelnie tuż za nimi, a oni chyba nawet nie zauważyli. Tak byli zajęci sobą albo swoimi planami na wieczór. Joanna zaparkowała przed jedną z tych starych kamienic na Hożej. Zatem to tutaj mieszkała – wśród grubych murów, nieco odrapanych zabytkowych gzymsów, ponurych podwórek. Pojechałem kawałek dalej; nie chciałem, żeby mnie zobaczyli – jeszcze nie. Czekałem na środku pustej ulicy, aż wyjdą z samochodu. Wyszli, ale nie uśmiechali się do siebie. Widziałem wszystko we wstecznym lusterku – Joanna niosła miskę, a Rawski sprawdzał zawartość swoich kieszeni. Tak jakby czegoś zapomniał, ale wciąż nie tracił nadziei, że to coś znajdzie. Wcale nie wyglądali jak kochankowie, raczej jak małżeństwo tuż przed wielką kłótnią. Kłótnią z miską w roli głównej.

Napięcie między nimi, napięcie w powietrzu, napięcie we mnie wielkie i nieznośne.

Poczekaliśmy, aż znikną na klatce schodowej. Gaz, wsteczny bieg, pieprzyć drogę jednokierunkową. Zaparkowałem dwa samochody dalej od jej czerwonego autka. W oknach gdzieś na drugim piętrze zapaliły się światła, czyjaś ręka sięgnęła tam do zasłony. Czy to były jej okna? Jej ręka? Odkręciłem szybę, zapaliłem papierosa, odsunąłem fotel do tyłu. Mam nadzieję, że Samuraj nie będzie się o mnie niepokoił – musi dziś na mnie poczekać. Albo nawet pogodzić się z tym, że pan nie wróci na noc do domu. Nieszczęśliwy układ dyżurów – jutro miałem poranną zmianę, a już zbliżała się północ. Zostawało niewiele godzin na sen, a i tak przecież wiedziałem, że nie zasnę. Dziś Joanna nie przyjdzie do mnie we śnie, może nie mieć okazji. Zwłaszcza że jest zajęta czym innym. Kim innym. Kimś zupełnie niewłaściwym. Nie wiedziałem, co będę robił, jaki mam plan ani czym to się wszystko skończy. Po prostu nie chciałem stamtąd odjeżdżać – chciałem siedzieć tam w aucie, na ulicy przed jej domem, desperacko i idiotycznie, i patrzeć w jej – albo nawet nie jej – okna. W okna, w których ostre światło lamp zastąpiły niewyraźne, pełgające płomyki. Pewnie zapaliła świeczki. Dla niego. Niech to wszystko szlag trafi, diabli wezmą, niech to cholera. Kurwa mać! Uderzyłem dłońmi o kierownicę. Nagle przypomniałem sobie Paulinkę Koniuszek sprzed kilku dni. Zachowywałem się tak jak ona, i to pewnie z powodu tej samej osoby. Papieros mi nie smakował, miejsce kierowcy nie było należycie wygodne, a letnie powietrze wystarczająco świeże. Tak naprawdę w ogóle nie było świeże – dopiero teraz poczułem, że nadchodzi burza. Było duszno, gęsto i lepko, jak w dziadkowych opowieściach o upałach

sprzed lat i o kanikule z prawdziwego zdarzenia. Tej jak z Konwickiego, tej zanim wybuchła wojna.

Włączyłem radio, chciałem, by ktoś – choćby z eteru i fal dźwiękowych – dotrzymał mi towarzystwa. Grali jakieś obrzydliwie wesołe piosenki. Niedaleko stąd Plac Trzech Knajp rozłączał swoje uroki nieco przejrzałe i pospolite, a mimo to wciąż atrakcyjne. Był czwartek, a więc oblężenie barów nie osiągało rozmiarów weekendowej orgii. Ot, paru podchmielonych młodych ludzi na chodniku, kilku stałych bywalców i tlenionych panienek, które postanowiły nie czekać z desperacką akcją „podryw”. A może „lans” – tego nie byłem pewien, niektóre bowiem rozróżnienia nie leżą w granicach możliwości czterdziestolatka ze wsi w Puszczy Kampinoskiej. Wszystkie te płaskie wdzięki i marne uciechy znajdowały się kawałek stąd – tu była tylko pusta, mało uczęszczana ulica, którą cała ta młodzież, bywalcy i panienki co najwyżej mogli zmierzać w kierunku z góry upatrzonych rozrywek. Ale akurat nikt nie zmierzał. Byłem tylko ja i moja złość. Moje splątane emocje i zwierzątko w środku mnie – szarpało się i chciało wyjść na zewnątrz. A może to wcale nie było zwierzątko, tylko diabeł? Okno Joanny – o ile to było okno Joanny – znów rozjarzyło się ostrzejszym światłem; dziwne, po świeczkach powinien przecież nastąpić mrok. Machinalnie spojrzałem na zegarek: dwunasta piętnaście. Światło zgasło, wiatr porwał z chodnika jakieś śmieci, plastik i folia zawirowały w powietrzu. Deszcz musiał być już blisko. Dość tego. Drzwi samochodu zamknęły się za mną ze zgrzytliwym szczęknięciem. Dość już tego, do jasnej cholery. Burza nadciągała nad udręczone upałem miasto.

*

„Sukienka jak obietnica”. Wreszcie upragniony esemes od Aleksandra. Był ciepły majowy dzień, a sukienka naprawdę wyjątkowej urody. Zgrabnie opinająca biodra, purpurowa, z kuszącym dekoltem. Rzecz jasna włożyłam ją specjalnie dla niego – wciąż podniecała mnie gra w sprawdzanie grafiku jego pracy i szczególnie pieczołowite dobieranie garderoby w dni naszych wspólnych dyżurów. Nie traciłam nadziei, że chociaż nie spędził ze mną imienin, może będzie miał dla mnie jakiś inny majowy wieczór. Na tym etapie nie miałam już żadnych złudzeń – wiedziałam, że dla Aleksandra jestem zabawką, po którą sięgał, kiedy przychodziła mu na to ochota, a którą po skończonych igraszkach po prostu porzucał w kącie. Jakkolwiek niszczące to było, godziłam się na to – byleby tylko chciał się mną bawić jak najczęściej. Tamtego wieczoru chyba wreszcie znów chciał.

Obawiam się, że nie udało mi się nie zaczerwienić, kiedy przeczytałam następną wiadomość od niego. „To jest taka fajna elegancja, która rozkosznie kontrastuje z wizerunkiem Ciebie klęczącej przede mną albo wypiętej z zadartą sukienką i stringami zaplątanymi gdzieś wokół kostek”. Siedziałam oczywiście w reżyserce, piętro ponad Aleksandrem – wielka szkoda, że nie mogłam widzieć jego twarzy podczas wystukiwania tego esemesa. Siłą rzeczy musiał to robić pod okiem Emilii, która wydawała dziś wieczorny program, i Paulinki, która przy nim pracowała. Telefon wypadł mi z dłoni. Piotr spojrzał na mnie jakoś dziwnie znad stołu realizacyjnego. Jego oczy błyszczały nad migającymi diodami konsoli. Błyszczały też, kiedy ruszył w moim kierunku, podniósł mój upuszczony telefon i podał mi go. „Uważaj” – powiedział, a jego oczy wciąż błyszczały gorączkowo, tak jakby wiedział, jakie świństwa właśnie przeczytałam. „Kontrasty bywają bardzo sexy” – odpisałam Aleksandrowi zgodnie z tym, o czym byłam przekonana. „I wreszcie masz pończochy w pracy” – napisał. Zdziwiło mnie, skąd to wie. Sukienka z pewnością nie była za krótka ani zbyt obcisła, a poza wszystkim widzieliśmy się tylko przez chwilę – kilka przelotnych spojrzeń, wymiana niesłów ukrytych gdzieś na dnie oczu, błysk za lśnienie. Może niektórzy mężczyźni po prostu na odległość wyczuwają takie rzeczy? Może posiadają szósty, erotyczny zmysł? I jakoś tak się składa, że właśnie oni zawsze wydają się najatrakcyjniejsi. „Dziś wieczorem chciałbym popatrzeć, jak pochylasz się głęboko, ubrana tylko w te pończoszki i szpilki”. Poczułam, jak robi mi się gorąco; musiałam oderwać się na chwilę od pisania o sensacyjnym sondażu, który po raz pierwszy dawał przewagę opozycyjnemu PiS nad rządzącą PO. „Myślę, że da się to zrobić” – odpisałam

tak, by nie miał żadnych wątpliwości, że da się zrobić, cokolwiek zechce.

I dało się – dotrwać jakoś do końca dyżuru, a później czekać na niego z niecierpliwością w samochodzie. Chyba jednak przejmował się ludźmi z pracy bardziej, niż chciałby się przyznać. A może po prostu przejmował się Paulinką, która kończyła dziś pracę o tej samej porze?

– Odjedź kawałek, wsiadę za rogiem – powiedział, nachylając się do otwartej szyby w moim samochodzie. Surogat konspiracji, małe, żalodne kombinacje, nieudolnie stwarzane pozory, które miały przykryć rzeczywistość. Wszystko po to, by ona go nie zobaczyła? Mała igielka ukłuła mnie lekko, ale boleśnie. Ja na drodze w aucie, on na chodniku – oddzielnie, ale w tym samym kierunku. Zbyt wiele razy widziałam tę scenę, bym mogła pozostać wobec niej obojętna. Tym razem jednak nie poszedł tam, gdzie mnie nie ma – tym razem wsiadł do mojego samochodu.

Przekleństwa zatłoczonego Śródmieścia – nie było miejsc pod moim domem, musiałam zaparkować gdzieś dalej, mieliśmy kilka ulic do przejścia. Było naprawdę pięknie – ciepła majowa noc po bardzo długiej zimie. W tym roku wszyscy czekaliśmy na wiosnę ze szczególnym utęsknieniem – po siedmiu długich miesiącach śniegów noc z powietrzem pachnącym bzami była jak spełnienie marzeń.

– Nasz zimowy romans zamienił się w letni – powiedziałam bez zastanowienia. Może to wiosna uderzyła mi do głowy: rozkwit, nadzieja, stopniałe śniegi.

– Lato to dobra pora na ekscesy – odrzekł dopiero po chwili, kiedy już wspinaliśmy się po schodach do mieszkania. – Zaczniemy od dziś.

I rzeczywiście zaczęliśmy. On w fotelu, jak zwykle, ja naprzeciw niego na małej pufie, jakieś szklanki z sokiem, jakieś ptasie mleczko z żelaznych zapasów dla niespodziewanych gości, jakaś płyta z nastrojową muzyką włączona pospiesznie, by po całym dniu pracy w newsach nie trafić przypadkiem na wiadomości w radiu.

– Wstań i podejdź tu do mnie – powiedział. Pierwsze żądanie, na razie skromne, delikatne, mała próbka stanowczego tonu. Kiedy wstałam, sięgnął pod moją sukienkę; palce miał niecierpliwe i szybkie, kiedy zdecydowanym ruchem zdejmował mi majtki.

– A teraz wróć tam, gdzie siedziałaś. Sukienka do góry, nogi szeroko. – Mówił do mnie stanowczo, zdecydowanie, tak jak lubiłam. – I zapal papierosa.

Nogi w szpilkach i pończochach jak ramy dla odsłoniętego sekretu, przesłona dymu między nami, sztuczna scena z prawdziwym pożądaniem.

– A teraz pokaż mi, jak sama sobie to robisz. Pokaż mi, jak to robisz, kiedy mnie nie ma.

Moja ręka już we mnie, posłuszna jego poleceniom, szukała ścieżek znanych i niezawodnych, ale dotąd ukrytych przed światem. Teraz już nie, teraz wszystko na pokaz, teraz wszystko dla niego.

– Nie przestawaj palić.

Prawa ręka wędrowała od skraju popielniczki do ust, lewa tańczyła we mnie, rytmy oddzielne, ale jakże zgrane. Powoli wypełniały mnie gęsty dym i lepka przyjemność – od środka, dogłębnie, razem. Począł dokładnie tyle, ile trzeba. Papieros nie zdążył jeszcze zgasnąć porzucony w popielniczce, smugi dymu wciąż płynęły między nami, mój oddech był już krótki, ale jeszcze nie był bezdechem. Było coś zwierzęcego w ruchu, którym zerwał się z fotela – stanął za mną i jednym szarpnięciem podniósł mnie do góry. Poczułam jego ramię na szyi, oddech na karku, jego głos tuż przy moim uchu.

– Powiedz, co mam zrobić. Zrobię wszystko, co zechcesz.

I zrobił. Wszystko co chciałam i jeszcze parę innych rzeczy. Rzeczy, których istnienie przeczuwałam, których istnienia mogłam się domyślać, ale o istnieniu których jak dotąd nie wiedziałam. To było jak podróż gdzieś do kresu – do kresu sił i wytrzymałości, do kresu ekstazy i uniesienia, do kresu rozkoszy i spełnienia. Może to była podróż do kresu mnie?

– Musimy się napić – powiedział, kiedy nasze oddechy uspokoiły się już na tyle, byśmy mogli

rozmawiać inaczej niż za pomocą języka jęków, szeptów i krzyków. – Masz coś, mam nadzieję?

– Mam, coś powinnam mieć – odpowiedziałam z przekonaniem osoby, która zbyt wiele wieczorów spędziła, szukając czyjejś twarzy na dnie kieliszka.

Wróciłam z kuchni z butelką wódki – była wprawdzie odrobinę napoczęta, ale powinna przecież wystarczyć na nas dwoje pijących na dobranoc.

– No to zdrowie – nalał i od razu wychylił swój kieliszek. I zaraz następny. I jeszcze jeden, nie czekając wcale na mnie. Zdawałam sobie sprawę, że Aleksander lubi wypić, zdarzało nam się przecież pić razem i mniej więcej wiedziałam, czego mogę się spodziewać. Ale dziś chyba miał wyjątkowy dzień. A może to był dzień, w którym nie chciało mu się trzymać fasonu pozorów? Pił wódkę tak jak wodę, jakby picie było czynnością, którą po prostu musi wykonać, by zaspokoić pragnienie. W miarę jak pił, nie upijał się ani trochę, ale jego oczy stawały się coraz zimniejsze. Jakby wódka prosto z lodówki mroziła jego spojrzenie. Może mroziła jego duszę?

– Właściwie można by jeszcze – zauważył, kiedy w butelce pokazało się dno.

– Można by – zgodziłam się, chociaż mój udział w konsumpcji nie był dominujący. – Tu za rogiem jest nocny monopolowy, może idź i kup – zaproponowałam coś, co o drugiej w nocy wydawało mi się naturalnym rozwiązaniem. Jednak Aleksander miał inne zdanie na ten temat.

– Zwariowałaś?! Nie będę nigdzie chodził. Nie chce mi się ubierać ani łązić po nocy. Jeśli koniecznie chcesz, to idź sama.

To było tak, jakby teraz mówił do mnie zupełnie inny mężczyzna niż ten, który szeptał: „Zrobię wszystko, co zechcesz”. Może ktoś go podmienił? zastanawiałam się, podczas gdy Aleksander patrzył na mnie oczami zimnymi jak kryształki lodu.

– Nie, koniecznie nie chcę – powiedziałam, zbierając kieliszki ze stołu. W jego oczach dostrzegłam coś na kształt zawodu. A może złości?

– No już, włóż coś na siebie i idź.

– Nie, nie pójdę. – Nie wiem, kto powiedział to za mnie, ale ku mojemu własnemu zaskoczeniu właśnie takie słowa wyszły z moich ust. Był środek nocy i oczywiste się wydawało, że to mężczyzna powinien ruszyć po zakupy. Nie mam pojęcia, skąd wynikał jego upór. Chodziło o skrajne wygodnictwo czy po prostu o pieniądze? A może o to, że nie był w stanie zrobić niczego dla mnie?

– Naszykować ci łóżko? – zapytałam, zerkając w stronę kanapy, na której sypiał, bywając u mnie.

– Nie, jeszcze nie.

– Może chociaż dam ci jakiś koc?

– Nie. Już ci, kurwa, mówiłem, że nie.

Skoro tak, poszłam do łazienki, zostawiwszy go samego wśród dopalających się świeczek, resztek ptasiego mleczka i z pustą butelką. Długi, gorący prysznic jest dobry na wszystko – teraz też pomógł mi zebrać myśli. Może ma zły dzień, może jest zmęczony, może wcale tak naprawdę nie chce więcej pić – tak łatwo było rozgrzeszyć Aleksandra, kiedy każda wątpliwość spływała wraz ze strumieniem gorącej wody, a każde zastrzeżenie rozmywało się w obłoczkach pary kładącej się na gładkich powierzchniach luster i kafelków. Ale nie było już tak łatwo, kiedy wróciłam do suchego i chłodnego pokoju. Tu już nic nie mogło litościwie zaburzać obrazu sytuacji: Aleksander siedział na kanapie, którą chciałam rozłożyć, patrzył przed siebie wzrokiem pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu, a w ręce ścisnął butelkę wypełnioną mętym zielonym płynem. Potrzebowałam chwili, aby ją rozpoznać. „Mojito classic. Od dziś nie musisz sama przygotowywać swojego ulubionego drinka – słynny koktajl teraz gotowy w butelce” – usłyszałam w głowie reklamę, której uległam jakoś przed rokiem. A może nawet jeszcze wcześniej? Nawet nie pamiętałam, jakim cudem ta butelka jeszcze była u mnie. Okazało się, że reklama kłamała, mojito było niewypijalne, więc stało zapomniane gdzieś w lodówce. Teraz prosto z butelki popijał je

Aleksander. Na pewno było już nie tylko niedobre, ale też przeterminowane i zwietrzałe.

– Aleksander, proszę cię, nie pij tego. To ma sto lat.

– Jest doskonale – brzmiał tak, jakby naprawdę był o tym przekonany.

– Może ci zaszkodzić, naprawdę.

– Nic mi nie będzie, daj spokój. – Im bardziej w butelce ubywało zielonego płynu, tym Aleksander stawał się łagodniejszy. – Teraz możesz mi dać ten koc, o którym mówiłaś. Tylko zostaw mi pocieszycielkę.

Z osłupieniem patrzyłam, jak kładzie się do snu z palcami kurczowo zaciśniętymi na butelce mojito. Postawił ją sobie na podłodze, tuż przy głowie, tak by móc po nią sięgnąć w każdej chwili.

– Będiesz z tym spał? – zapytałam.

– Pomoże mi usnąć – odpowiedział, a na jego twarzy na moment pojawiło się coś na kształt uśmiechu. Nie było sensu tłumaczyć mu, że ja lepiej wywiązałabym się z tego zadania. Zgasiłam światło nad jego głową i poszłam położyć się do swojego łóżka.

Następnego dnia pracowałam na środkową zmianę, musiałam więc wstać jakoś po ósmej. Kiedy się obudziłam, Aleksander jeszcze spał – to było wyjątkowe, jak dotąd to on wstawał przed mną i budził mnie, bym zamknęła za nim drzwi. Poruszył się, kiedy usłyszał moje kroki w pokoju.

– Dzień dobry – powiedziałam, kierując się w stronę łazienki. Kiedy stamtąd wyszłam, Aleksander wciąż jeszcze nie wstał. Wyraz jego twarzy był mieszaniną niezadowolenia i dezorientacji.

– Coś ci jest? – zapytałam, podchodząc bliżej. Kiedy ukucnęłam tuż przy jego twarzy, zobaczyłam ziemisty kolor cery i zmarszczki dużo głębsze w świetle poranka niż w łaskawym półmroku wczorajszego wieczoru. Dotknęłam bruzdy na jego czole, przesunęłam palcem po mapie tajemniczych linii. Po mojej ulubionej siateczce zmarszczek w kącikach jego oczu. Zdjął moją rękę gestem na tyle stanowczym, by mnie zabolął.

– Chyba źle się czuję – odpowiedział, choć widać było, że tak naprawdę wcale nie ma ochoty ze mną rozmawiać. Tak jakbym to ja była winna jego złego samopoczucia.

– Głowa czy żołądek?

– Chyba jedno i drugie. – Nie bardzo miał jak odwrócić ode mnie twarz, ale wiedziałam, że to właśnie chce zrobić.

– W takim razie dam ci i aspirynę, i coś przeciwbólowego. – Sięgnęłam po torebkę, by poszukać leków.

– Nie chcę żadnej aspiryny.

– Daj spokój, pomoże ci. Dam ci jeszcze coca-coli, to zawsze pomaga. – Dzieliłam się z nim jednym z moich sprawdzonych sposobów na kaca, ale Aleksander nie zamierzał z niego skorzystać.

– Nie chcę żadnej coca-coli. – Podniósł się dość ciężko, ale zdecydowanie.

– To co chcesz? Wody, kawy?

– Nic, kurwa. Nic nie chcę i nic mi nie jest. – Rozdrażnienie w jego głosie przechodziło już w zniecierpliwienie.

– Przecież widzę, że za dużo wypijeś. Albo zaszkodził ci ten bełt, na którego się uparłeś.

– To smakowało jak rozpuszczalnik. – Tony obrzydzenia w jego głosie były aż nadto wyczuwalne. – Albo jak płyn do mycia naczyń.

– Ostrzegałam cię – przypomniałam mu.

– I co z tego? Musiałem to wypić, bo nie chciałaś iść po nic innego.

Zanim zniknął w drzwiach łazienki, rzucił mi spojrzenie, w którym był wyrzut, złość, ale też coś na kształt satysfakcji. To wszystko była moja wina. Moją winą był jego bolący brzuch, moją winą była jego zachłanna łapczywość, moją winą była jego uparta niechęć, by pójść do sklepu. A najgorsze w tym

wszystkim było to, że on naprawdę mógł tak myśleć.

*

Rawski zaginął. Cała firma rozbrzmiewała tym zdaniem. Nie było innych tematów, innych problemów, innych plotek ani pogłosek. Plany restrukturyzacji zeszły na dalszy plan, nikogo nie obchodziło, że koordynator ośrodków terenowych porzuca żonę dla kierowniczkę produkcji. Rawski zaginął. Tylko to się liczyło. Tylko to przyspieszało oddech, czerwieniło policzki, pobudzało wyobraźnię.

- Nie przyszedł wczoraj na dyżur.
- Po prostu nie przyszedł?
- Nie przyszedł.
- Niebawem.
- I dotąd się nie pojawił.
- Ktoś ma z nim jakiś kontakt?
- Nie. Znaleźli jego telefon. Tutaj w pracy.
- O kurwa.
- O kurwa.

Dziwnie mi było tego słuchać. Tych litani przypuszczeń, tych szeregów sugestii, tych zestawów domniemań. Tak jakby ktokolwiek mógł o tym coś wiedzieć. Nagle im wszystkim się przypomniało, jaki z Rawskiego był skurwiel. Teraz dopiero, po czasie. Zaczęli wreszcie mówić głośno o tym wszystkim, o czym dotąd szeptali po kątach. Szkoda, że nie byli tacy odważni, gdy jeszcze tu był i nie omieszkał przepuścić żadnej okazji, by kogoś wykorzystać.

Nie miałem ochoty na te insynuacje fruujące w powietrzu, na te sensacyjne dociekania, na tę gorączkę. Wolałem milczeć. Rawski zaginął. I tyle przecież wystarczy. Dzisiaj miała przyjechać jego żona. Przyjechać na poszukiwania – pytanie tylko, męża czy ciała? Biedna kobieta, współczułem jej naprawdę. Choć mimo wszystko gdzieś w głębi byłem przekonany, że nie będzie rozpaczać.

*

Posępne podziemne czeluście, jak pieczara umarłego smoka albo betonowy przedsionek nowoczesnego piekła. Bez wizgu pociągów, bez ludzkiego harmidru. Brak charakterystycznych odgłosów odbierał temu miejscu wszelką realność. Nieme nagranie ukazywało ściany pomazane graffiti raz po raz przysyłane cielskami nadjeżdżających pociągów. Betonowe słupy podtrzymujące całą konstrukcję. Podróżni z większymi walizkami, mniejszymi torbami albo nawet zupełnie bez bagażu. Schody ruchome w samym rogu kadru. A do tego lekki śnieżek w końcu sierpnia. Obraz z monitoringu na peronie trzecim Dworca Centralnego nie był zbyt wyraźny – PKP nie dorobiło się niczego lepszego niż stara kamera przemysłowa 360 linii. W teorii obraz miał być kolorowy, ale w praktyce dominowała szarość i brud. Mimo że przecież umyli dworzec rok temu na Euro 2012. Niestety, oko kamery nie sięgało do ławek i koszy na śmieci, nie uwieczniono więc akurat tego fragmentu peronu, który na porzucenie swego bagażu wybrał sobie morderca. Morderca – właśnie tak myślał o nim Piątek, choć istniało przecież prawdopodobieństwo, że ktoś, kto pozbywa się części ciała, jest tylko współnikiem.

– Z peronu trzeciego mają tylko to. – Młody aspirant, który przyniósł mu nagrania, nie miał zbyt tegiej miny. – Kamera nad tą częścią peronu, o którą nam chodzi, akurat była zepsuta.

Jak zawsze, to, co akurat najpotrzebniejsze, nie działa. Szlag by to trafił! Piątek uderzył dłonią o stół. Wściekłość była jedną z tych nielicznych emocji, które wypadało, by okazywał mężczyzna. Nie będzie można zobaczyć, jak morderca stawia swoją walizkę na ziemi i oddala się od niej. Nie będzie można zapamiętać jego stroju i sylwetki i poszukać go na innych nagraniach z dworca. Nie uda się prześledzić jego drogi. Mimo wszystko wciąż jednak istniała szansa, że będzie go można chociaż zobaczyć – nie mógł bowiem przejść przez peron, nie pojawiając się w polu widzenia kamery. Problem był tylko jeden – ludzi z ciemnymi, średnich rozmiarów walizkami przez dworzec przewijały się dziesiątki. 13.06 – dwunastu ludzi w kadrze, w tym sześciu z walizkami. 13.20 – szesnastu ludzi w kadrze, w tym dziewięciu z walizkami. 13.28 – o tej porze musiało nie być żadnego ważnego pociągu, bo ludzi tylko pięciu, w tym dwóch z walizkami. I tak dalej. Jak odróżnić zbrodnicze zamiary od niewinnych planów podróży? Jak odróżnić jeden podobny do siebie bagaż od drugiego? Gdyby Piątek potrafił okazywać szerszą gamę uczuć, westchnąłby. Niestety, to nie będzie takie proste. Los widać sprzyjał temu, kogo starali się złapać. Mimo to wpatrywał się w ten zaśniewony, niemy film, jakby był co najmniej trzymającym w napięciu kinowym hitem. Ludzie o zupełnie niewyraźnych twarzach, zamazanych zmęczeniem, upałem i grubym ziarnem z nagrania o niskiej rozdzielczości. Rozmyte piksele nieodróżnialnych od siebie ciemnych walizek. Bezkształtna masa, która coraz bardziej zlewała się w jedno.

I nagle 14.28 – przez peron przechodzi postać w dresie. Zdecydowanym krokiem, nie patrząc na boki, zmierza w kierunku kosza na śmieci. Nie za wolno, niezbyt szybko, dokładnie w takim tempie, by nie zwracać na siebie uwagi. Sportowe buty, szerokie spodnie, bluza z długim rękawem i kaptur naciągnięty na głowę mimo letniego gorąca. Spod kaptura wystaje daszek bejsbolówki, który skutecznie osłania twarz. Do tego jakaś bezkształtna torba objijająca się o biodro. Typowy strój młodocianego miejskiego rozrabiaki albo grzecznego chłopca, który naoglądał się zbyt dużo MTV. Może to ty?

Piątek aż cały pochylił się do przodu; gdyby mógł, wszedłby do środka telewizora. Postać ciągnęła za sobą walizkę na kółkach. Niczego nie było widać wyraźnie, ale stary policjant poczuł to niezawodne ukłucie intuicji. Niestety, na podstawie nagrania nie można było powiedzieć o tym człowieku prawie niczego. Może poza tym, że według wszelkich znaków na betonowym niebie peronu był młodym,

niewysokim mężczyzną. Raczej szczupłej budowy ciała, jak dało się zauważyć pod luźnym ubraniem. Szedł prostym, równym krokiem, ale w jego ruchach była jakaś miękkość. Miękkość, która zwracała uwagę, bowiem zupełnie nie pasowała do całości. Jakiś trochę zbyt krągły ruch biodrem, jakaś ledwie zauważalna niepewność sposobu stawiania stopy w masywnym, sportowym bucie. Gówniarz dopiero się uczy, jak powinien chodzić mężczyzna – w myślach Piątka jad mieszał się ze stereotypem. Walizka wyglądała na ciężką, na pewno chłopak nie ciągnął jej z łatwością. To by się zgadzało – znaleziony korpus ważył ponad czterdzieści kilogramów.

Piątek zatrzymał nagranie, cofnął je i obejrzał raz jeszcze. Oko kamery nie sięgało dalej niż do solidnego, betonowego filaru, na którym wspierała się konstrukcja dworca. Chłopak z walizką zniknął za nim i tyle, koniec, w kadrze już pojawiali się następni. I następni. I następni. Nie wracał trasą, którą przeszedł. To mogło burzyć teorię, że właśnie on był właścicielem walizki z oryginalną zawartością. Mogło być dowodem na to, że po prostu wsiadł do pociągu i odjechał. Albo na to, że był na tyle przebiegły, by porzuciwszy walizkę, wrócić z peronu inną drogą. Pewnie przeszedł kawałek dalej, wszedł na drugie ruchome schody i innymi drogami szukał wyjścia z podziemnego labiryntu. Nie było absolutnie żadnych dowodów na to, że tajemniczy dresiarz jest osobą, na którą poluje cała stołeczna policja. Niemniej w głosie podinspektora Piątka słychać było przekonanie, kiedy mówił do młodego aspiranta:

– Chcę całość monitoringu z Centralnego. Od czternastej do – powiedzmy – piętnastej trzydzieści. Z hali głównej i z obu antresoli, z których zjeżdża się na perony. I z pasażu handlowego po obu stronach. Znaczy się zewsząd. Zaprzęgnij paru kolegów do roboty, szukamy tego szczyła.

Jego palec wyglądał całkiem oskarżycielsko, kiedy celował w miejsce, w którym powinna znajdować się twarz, a w którym widać było tylko daszek czapki.

*

– Dziewczyno, przecież to absurd – oburzenie Hanki wydawało się jak najbardziej autentyczne. – Facet chce cię wysłać samą do monopolowego o drugiej w nocy, wypija ci jakieś resztki z lodówki i potem marudzi, a ty rozpaczasz, że mógł się obrazić. To jest, kurwa, chore.

Siedziałyśmy w naszym bufecie pracowniczym. Ja nad kotлетem twardym jak podeszwa, ona nad makaronem rozgotowanym na mięciutko – stołówka nie była niestety najmocniejszą stroną naszej firmy. Zwłaszcza w święto; było Boże Ciało, przedostatni dzień maja, leniwy czwartek, który rozpoczynał kolejny długi weekend – panie bufetowe odmawiały przykładania się do swoich obowiązków na znak protestu, że nie mogą wyjechać, jeśli nie nad morze, to chociaż do teścia na działkę. Krojenie kotleta przypominało piłowanie. Trochę drżała mi przy tym ręka.

– Boję się, że więcej się do mnie nie odezwie.

– Odezwie się, o to możesz być spokojna. Życzyłabym ci, żeby nie, ale tacy jak on zawsze wracają. Jak kanapka w ustach pijanego.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć na takie porównanie. W tej samej chwili mój telefon zabrzączał sygnałem esemesa.

– Co, już się znalazł? Pewnie nie ma się czego napić, bo zapomniał, że sklepy są dziś nieczynne – złośliwość Hanki była bezwzględna.

„Ładnie Ci w tych groszkach”. Odruchowo rozejrzałam się po bufecie, by sprawdzić, czy aby nie siedzi gdzieś dwa stoliki od nas. Ale nie, na szczęście go nie było, musiał widzieć mnie wcześniej, w redakcji albo gdzieś na korytarzu. Rzeczywiście miałam na sobie sukienkę w groszki: różowo-czarną, wąską w talii, spływającą do kolan łagodnymi, szerokimi falami. Do tego bardzo wysokie szpilki i kok – ulubioną fryzurę Aleksandra. Po prostu żurnal mód dla wzorowych pań domu z lat pięćdziesiątych; mogło mu się podobać.

– Wracajmy na górę. Chyba i tak tego nie zjemy – skinęłam głową w stronę makaronowej brei na talerzu Hanki.

– Że nie zjemy, to jedno, a że nie możesz się doczekać, by zobaczyć tego palanta, to drugie. – Odsunęła od siebie talerz z wyrazem absolutnej rezygnacji na twarzy. Coś mi się wydawało, że ta rezygnacja nie dotyczyła tylko walorów smakowych potrawy.

Kiedy weszliśmy do newsroomu, wszyscy dopiero zabierali się do przygotowywania wieczornych wydań serwisów. Świąteczne rozluźnienie i posucha politycznych wydarzeń nie pozostawały bez wpływu na tempo naszej pracy. Nie oszukujmy się – kiedy głównym tematem dnia są procesje, nie ma dla nas wiele roboty; nawet ostre słowa biskupów o in vitro niewiele tu pomogły. Niemniej jest czas antenowy do zapełnienia i właśnie nad tym z wyraźnie skrzywioną miną biedziła się Emilia, wydawca programu. Na szczęście na odsiecz nudzie przysły burze i wichury na południu Polski – dramaty mieszkańców poniszczonych domów zawsze dobrze wyglądają na ekranie.

Aleksander siedział na samym końcu newsroomu, schowany za monitorem i pilnie weń wpatrzony. Usiadłam jakieś dwa biurka od niego, ale tak, byśmy dobrze się widzieli z naprzeciwka. Nie musiałam siedzieć w reżyserce – serwisów było dziś na tyle mało, że mogłam pójść tam tylko na samą emisję, a na cały wieczór wygodnie ulokować się w redakcji. I patrzeć na niego. Patrzeć na niego cały czas.

„Groszki groszkami, ale chciałbym zobaczyć, co jest pod spodem” – telefon leżał na moim biurku; wyjęłam go z torebki i położyłam tuż obok klawiatury. Wszyscy słyszeli sygnał esemesa. Spojrzałam na Aleksandra – nie patrzył na mnie, zupełnie skoncentrowany na tym, co miał przed sobą na ekranie monitora. Tak samo jak ja trzymał telefon tuż pod ręką, ale wyglądał, jakby interesowało go wyłącznie pisanie zapowiedzi do łączenia z komendantem powiatowej straży pożarnej we wsi nawiedzanej przez nawałnicę. Nie mogłam być gorsza. Otworzyłam scenariusz serwisu i napisałam nagłówek do pierwszego tematu – „Długi weekend pod piorunem”. A do Aleksandra w tym samym czasie: „Pod spodem jest coś jeszcze ładniejszego niż na wierzchu”. Moje palce biegały między klawiaturą komputera a przyciskami telefonu: tu i tam słowa, które nie tylko opisują rzeczywistość, tu i tam słowa, które ją tworzą. Sekundę po tym jak nacisnęłam „wyślij”, zapisał telefon Aleksandra. Widziałam niecierpliwość w geście, którym po niego sięgał.

„Pokaż. Chcę to zobaczyć. Tu i teraz”. Miałam nadzieję, że nikt nie zauważył, jak moja twarz pokrywa się rumieńcem. Pilnie wpatrywałam się w monitor, niby od niechcienia wystukując na klawiaturze telefonu: „Co mam zrobić?” Kolega siedzący tuż obok spojrzał na mnie jakoś dziwnie, kiedy sygnał esemesa u Aleksandra rozbrzmiał natychmiast po tym, jak ja odłożyłam telefon. Trochę zbyt synchronicznie prowadziliśmy korespondencję, by mogło to wyglądać na przypadkowe. Hanka zerknęła na mnie z drugiego końca newsroomu z mieszaniną wyrzutu i niesmaku. Wyłączyłam dźwięk w telefonie.

Odpowiedź przyszła prawie natychmiast, tak jakby już dawno miał ją przemyślaną. „Wejdz na parapet i zamknij okno”. Jedyne okno w newsroomie – duże, otwarte, na tyle wysokie, że ktoś mojej postury rzeczywiście musiał wejść na parapet, aby sięgnąć do klamki. Aleksander miał na nie idealny widok ze swego miejsca pod ścianą. I wiatr, który wiał dziś od rana. To było zbyt podniecające, bym mogła się wahać. Zwłaszcza że ludzi w newsroomie zbierało się coraz więcej – pojawili się już wszyscy pracujący na wieczorną zmianę. Aby podejść do okna, musiałam minąć kierownika produkcji, wiecznie marudzącego pana zajętego w tej chwili – zamiast wieczornym programem naszej stacji – programem wyścigów konnych.

– Mareczku, zamknij okno, co? Trochę już wieje.

– A zamykaj sobie, co chcesz. – Nawet nie oderwał wzroku od rozpiski gonitw, byłam więc pewna, że nie zechce mnie wyręczać.

Spokojnie zbliżyłam się do okna i weszłam na parapet; na szczęście był na tyle niski, że mogłam

zrobić to zgrabnie. Było dokładnie tak, jak chciał Aleksander – wiatr ciepły, ale na tyle silny, by moja spódnica pofrunęła do góry. Pozwoliłam, aby na chwilę odstłoniła wszystko. Błysnęła biel ud, mignęła czerń koronkowych majtek. Obietnica i pokusa. Zapowiedź i wspomnienie. Niemal w tej samej chwili przytrzymałam fruwały materiał, ale wiedziałam, że Aleksander zobaczył to, co chciał. I tak, jak chciał. Nie wiem, na ile chodziło mu o filmowy posmak tej sceny, na ile o grę między nami, a na ile o to, że tylko my dwoje spośród wszystkich tu obecnych wiedzieliśmy, co naprawdę się dzieje i po co. Kiedy wracałam do swojego miejsca za biurkiem, patrzył na mnie wzrokiem, w którym były wszystkie święstwa świata.

„Jak ci się podobało?” – napisałam, chociaż byłam prawie pewna, że znam odpowiedź. Skrzyżowaliśmy spojrzenia ponad monitorami, a powietrze między nami drżało od pożądania. Dwa biurka ode mnie. Za daleko, bym mogła dosięgnąć go stopą. Na tyle blisko, by czuć fale ciepła tworzące się gdzieś w brzuchu, gdzieś na dole, gdzieś nisko. Usiłowałam skupić się na serwisie – do każdego tematu napiszę dziś wyjątkowo ładny nagłówek, szczególnie się postaram, by odkupić winę grzechu przeciwko pracy. Grzechu przeciwko trzeźwości umysłu. Grzechu przeciwko rozdziałowi życia od fantazji.

– Aleksander, z tymi burzami to pojedziemy trochę dłużej, dobrze? W Małopolsce zdaje się mocno wieje, jak dobrze pójdzie, to będziemy mieć ładne obrazki pozrywanych dachów. – Chropawy głos Emilii brzmiał tak, jakby nie wiedziała, co się dzieje tuż obok niej. Jakby serwis o dwudziestą naprawdę miał jakiegokolwiek znaczenie. Jakby nie wiedziała, że wichury, nawałnice i pioruny szaleją dziś nie tylko nad powiatem proszowickim w Małopolsce.

– Jasne, oczywiście, pociągniemy ten temat – mówił, niedbałym gestem odkładając telefon. Niemoralna propozycja już biegła do mnie przez niewidzialne zwoje cyfrowych łącz. Jeszcze chwila, jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie rzucone znad monitora, jeszcze jedna daremna próba udawania, że pracujemy. „Są napięcia, które trudno się uśmierza, patrząc na Twoje nogi. Masz ochotę na mały spacer po zakamarkach firmy?” Tego się nie spodziewałam. A może bałam się o tym pomyśleć? W newsroomie nigdy nie jest cicho: stukanie w klawisze kilkunastu par rąk, szemrzące telewizory ustawione na program konkurencji, „postawcie tam wóz”, „masz wejście na żywo” – urywki rozmów telefonicznych i poleceń, wydawanych czasem półgłosem, a czasem krzykiem. Mimo tych wszystkich odgłosów słyszałam, jak moja krew krąży w żyłach. Jak płynie gorąca i szybka, transportując molekuly podniecenia do każdego zakamarka ciała. Poprawiałam wizytówki w temacie o procesjach – pomyłone literki, nie te przyciski, drżące palce spadające z klawiatury. „Zamknij scenariusz serwisu”, nacisnęłam i wstałam. Na tyle powoli, by Aleksander widział, co robię, ale nie na tyle, by wyglądało, że na kogoś czekam. Nasze spojrzenia spotkały się, gdy odwracałam głowę, ginąc w korytarzu – jego oczy wydawały się być centrum całego wszechświata newsroomu.

Wychodząc, nie zabrałam torebki ani nawet telefonu, ale i tak nie wątpiłam, że Aleksander jakoś mnie znajdzie. Weszłam po schodach na drugie piętro, minęłam reżyserkę i palarnię, poszłam tam, gdzie mieszczą się montażownie, i niespiesznie spacerowałam korytarzem. Było dość pusto, czasem przemknął jakiś reporter w drodze na montaż, z notatkami w garści i z niepewną miną – odwieczny problem „czy zdążę na czas zmontować materiał?”. Większość drzwi była zamknięta, ale zza niektórych dochodził charakterystyczny dźwięk kilkakrotnie przewijanych wypowiedzi – to montażyści sprawdzali, czy zrobili cięcie czysto i w odpowiednim momencie. Gdzieś jakieś plotki, jakieś urywki rozmów, odgłosy kubków z kawą odstawianych wbrew zakazowi na blaty stołów montażowych. Nikt nie wie, co tu robisz, idziesz po postu do łazienki albo zmierzasz do automatu ze słodyczami – mówiłam sobie, chociaż właściwie nie miałam powodów do zdenerwowania. Cisza, spokój, niecałe dwadzieścia minut do najbliższego wydania serwisu. Zatrzymałam się przed windą – starą, ciasną windą, którą właściwie nikt już nie jeździł. Kiedyś

łączyła pokoje redakcyjne na trzecim piętrze z montażownikami, ale odkąd redakcję przeniesiono do nowego newsroomu, prawie wyszła z użycia.

– Jedzie pani na górę? – Nie słyszałam kroków Aleksandra, ale stał tuż obok mnie. Jego głos był zachrypnięty, a usta suche. Nie czekając na moją odpowiedź, nacisnął guzik przywoływania windy.

– Owszem, na górę – odpowiedziałam. Nasze ramiona prawie stykały się ze sobą, kiedy tak staliśmy z odwieczną niezręcznością ludzi czekających wspólnie na pociąg, na windę, na samolot. Nie patrzyliśmy na siebie dłużej niż zwyczajowe rzucenie okiem na obcego współtowarzysza czekania. Tak, aby zaspokoić ciekawość, ale by nie narazić się na posądzenie o niegrzeczność.

Drzwi windy rozsunęły się z chrobotem starej maszynerii. Wsiadłam pierwsza. I znalazłam się w środku dekoracji do filmu *noir*. Winda wyglądała jak żywcem wyjęta z lat czterdziestych – zresztą może właśnie tak było, zważywszy na wiek naszej firmy i częstotliwość remontów budynku. Ciasna klatka wyłożona drewnem, przydymione lustro, oprócz tych rozsuwanych – ręcznie zamykane drzwi wewnętrzne. Nikłe światło wydobywające się gdzieś u sufitu spod mlecznego klosza. Brakowało tylko Bogarta w prochowcu z postawionym kołnierzem i dyskretnego zapachu tytoniu. Aleksander zamknął drzwi i nacisnął „pięć”, ostatnie piętro. Gabinety dyrektorów, sekretariaty, sale konferencyjne. Istniała duża szansa, że w Boże Ciało o tej porze nie będzie tam nikogo. Winda ruszyła dopiero po chwili – z namysłem, głośnym stukotem i drzeniem kabiny. Nie odezwaliliśmy się do siebie ani słowem, staliśmy po prostu naprzeciwko siebie, mierząc się wzrokiem – uwięzieni w pułapce pożądania. Kiedy prawie byliśmy u celu, Aleksander nacisnął „stop”. O dziwo, stary mechanizm nie zawiódł i winda zatrzymała się z głośnym stęknieniem. Dokładnie między piętrami, w zawieszeniu, poza światem. Wiedzieliśmy oboje, jak bardzo musimy się spieszyć – bezkarnie uciec od świata można tylko na chwilę. Nie było więc czasu na pocałunki, nie było czasu na zdejmowanie ubrania, nie było czasu nawet na słowa. Skroplona namiętność, destylat pożądania, seks szybki i ostry jak ze snów, których wstydzimy się po przebudzeniu. Żadnej otoczki, żadnych wstępów, czysta esencja. Pierwszy ból szybko zamieniał się w rozkosz, gorąco naszych oddechów wielokrotnie w ciasnej przestrzeni, kabina kołysała się w rytm uderzeń moich pleców o ścianę. Starłam się nie krzyczeć, koniecznie nie krzyczeć. Obrazki odbite w lustrze wznagały pożądanie – moje nogi zaplecione wokół jego bioder, jego ręce pod moimi pośladkami, nasze twarze z rozchylonymi ustami. A później moje ręce kurczowo zaciśnięte na małej poręczy, zarys wyprostowanych nóg i wypiętych pośladków, twarz Aleksandra z jakimś dzikim, nieznanym mi wyrazem. I jeszcze ja na kolanach, jego ręka na mojej głowie, owocowy smak jego spermy w moich ustach. Później już tylko nerwowe oblizywanie warg, poprawianie fryzury, zapinanie rozporoka. Zerkaliśmy na siebie z czymś na kształt zakłopotania, kiedy każde z nas z nagłą nieporadnością ruchów poprawiało garderobę. Wciąż jeszcze nie uspokoiłam oddechu, kiedy Aleksander nacisnął „start”. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie z niemym pytaniem – a co, jeśli się zacięła i nie ruszy? Ale stara, cierpliwa winda postanowiła jednak zwieźć nas z powrotem. Z powrotem do pracy, do rzeczywistości, do życia. Do życia, w którym nic nie jest tak proste i oczywiste jak w ciasnej klatce szaleństwa zmysłów.

Jechaliśmy trzy piętra w dół – droga już bez napięcia, bez iskier trzaskających w powietrzu, ale wciąż bez słowa. Ostatnie chwile, gdy jesteśmy tylko we dwoje, ostatni moment, gdy możemy robić to, o czym naprawdę myślimy, udając, że obchodzą nas zerwane dachy i zalane piwnice, procesje i homilie o *in vitro*, wypadki drogowe i wzmożone kontrole policji. Aleksander pochylił się do mnie – winda niosła nas w dół, a on całował mnie niespiesznie i delikatnie, rozmazywał swoimi wargami resztki mojej szminki, tak jakby chciał nadrobić swoje dotychczasowe zaniedbanie w tej kwestii. Nie przestawał mnie całować, nawet kiedy winda pożegnalnym stęknieniem zasygnalizowała nam, że dotarliśmy do celu, że zabawa skończona. Oderwał ode mnie wargi dopiero w chwili, gdy sięgnął do drzwi. Oboje jednocześnie otarliśmy usta grzbietem dłoni – obojgu nam na rękach zostały czerwone, rozmazane smugi.

Oboje schowaliśmy dłonie za plecy, kiedy wysiadając, mijaliśmy się z panem Jankiem, montażystą czekającym na windę. Bardzo się zdziwiłam, że ktoś jeszcze w ogóle nią jeździ – a jednak. Wsiadając, pan Janek spojrzał na nas jakoś podejrzliwie. A może tylko tak mi się wydawało? Dopiero kiedy szliśmy obok siebie korytarzem, Aleksander odezwał się do mnie.

– Jest za dwie ósma.

– To znaczy, że zdążymy – uśmiechnęłam się. Serwis zaczynał się o ósmej i wiedziałam o tym, ale wcześniej jakoś nie przyszło mi do głowy zerknąć na zegarek.

– Do zobaczenia – rzuciłam lekko, wchodząc do reżyserki. Tam już szalała Emilia.

– Do czego to, kurwa, podobne?! Gdzie ten Rawski? Zaraz mamy emisję!

– Spokojnie, już jest – przez interkom popłynął uspokajający komunikat kierownika produkcji. Jej ulga była wręcz namacalna: o tej porze, w święto, raczej nie miała na podorędziu żadnego zastępczego prezentera.

– Co to za pojawianie się w ostatniej chwili?! Chcesz mi wypierdolić program?! – wrzasnęła do słuchawki, którą pracownik techniczny właśnie umieszczał w uchu Aleksandra. Cała reżyserka słyszała jego dziwnie słumione „przepraszam”, ale w tej chwili Emilia niestety zauważyła też mnie – logowałam się właśnie do komputera, przed którym właściwie powinnam była siedzieć już od dobrych kilku minut.

– A ty też, następna! Gdzie wy wszyscy łazicie tuż przed emisją?!

Bogu dzięki, na tym skończyła. Ale był ktoś, kogo ten temat szczególnie zainteresował. Piotr przez cały program rzucał mi badawcze spojrzenia. Właściwie zamiast zająć się realizacją, zajmował się patrzeniem na mnie. Raz nawet się pomylił i wpuścił na wizję zupełnie nie to, co powinien.

– Kurwa, co się z wami wszystkimi dzisiaj dzieje? – rzuciła Emilia, ale widać było, że jest naprawdę wściekła. Zwłaszcza że chłodny profesjonalizm Rawskiego zastąpiło jakieś dziwne rozedrganie. Uśmiechnęłam się na myśl, że tylko ja znam jego przyczynę. Piotrowi wyraźnie nie podobał się mój uśmiech. Rzucił mi spojrzenie, w którym oskarżenie mieszało się z urazą. A może był tam jeszcze smutek? To nie był przyjemny wzrok. Miałam świadomość, że on nie może wiedzieć, dlaczego prawie spóźniłam się na program, ale i tak poczułam się jakoś nieswojo. Przejechałam jeszcze raz wierzchem dłoni po ustach, poprawiłam włosy, sprawdziłam, czy ramiączko od stanika przypadkiem nie wystaje mi spod sukienki. W końcu sięgnęłam po puderniczkę, by sprawdzić, czy aby na pewno nie mam na twarzy smug rozmazanej szminki. Nie miałam, ale wtedy zrozumiałam, o co mu chodzi. Był spostrzegawczy – o niebo bardziej spostrzegawczy od całej reszty. Spóźnienie Aleksandra, mój przyspieszony oddech i niekompletny makijaż zgrabnie złożyły mu się w całość. To nie szkodzi, to nieważne, to tylko jakieś mgliste podejrzenia – uspokajałam samą siebie, dokładnie malując usta, tak aby nie było już niczego, co mogłoby zwrócić jego uwagę. Ale dziwny chłód, który poczułam, jakoś nie chciał mnie opuścić. Kiedy serwis wreszcie dobiegł końca, Piotr poczekał, aż Emilia wyjdzie z reżyserki i z jej miejsca odezwał się prosto do ucha Aleksandra.

– Masz ślady szminki na ustach. Jak przypuszczam, nie swojej. Jeśli chcesz się zabawiać w pracy, rób to ostrożniej.

W jego głosie nie było ani jednej nuty żartu. Ani jednego półtonu, który pozwalałby potraktować te słowa jak dowcipne pouczenie. Nie było nawet kpiny. W jego głosie była tylko powaga i zimna złość – a może też odrobina groźby? Nie czułam się dobrze, kiedy spojrzał na mnie, wychodząc z reżyserki. Jego oczy kłuły mnie dziesiątkami zielonych igieł.

*

– Nie widać go, kurwa. Nigdzie go nie widać. Zresztą nie wiemy nawet, czy to on.

Kilka godzin pracy trzech młodych funkcjonariuszy poszło na marne. Owszem, tajemniczy dresiarz pojawiał się na Dworcu Centralnym z walizką o 14.25 – wchodził wejściem od strony przyległego

centrum handlowego, gdzie zarejestrowały go dwie kamery. Obraz z obu ukazywał tylko rozmazany zarys niczym się niewyróżniającej sylwetki. Później musiał zjechać na peron wyjątkowo tym razem działającymi schodami ruchomymi, bo kolejne nagranie było tym, które obejrzano jako pierwsze. I tyle. Jeśli wracał, musiał wybrać pasaż północny, gdzie dwie trzecie kamer było tylko atrapami. Albo przeczekać w jednym ze sklepów czy salonów gry – podziemia dworca nawet teraz, po remoncie, który zabrał wiele odcieni z podejrzanego kolorytu tego miejsca, nadal obfitowały w mniej lub bardziej ponure lokale, w których można się było przechować. Albo nawet przebrać się w łazience i wyjść z dworca jako biznesmen czy turysta w krótkich spodenkach. Przede wszystkim zaś nie dość, że jakoś nagrania była nędzna, to jego wartość dowodowa – żadna. Poza bowiem intuicją doświadczonego podinspektora nic nie świadczyło o tym, że to właśnie ten chłopak podrzucił walizkę z ludzkim korpusem. Nie było przecież widać, jak ją zostawia ani jak odchodzi. Właściwie nic nie było widać. I prawie nic nie było wiadomo.

– Wiemy tylko, że musiał trzymać ten korpus gdzieś w zimnie. W lodówce może. Jest wychłodzony i dobrze zakonserwowany.

Wydawało się to logiczne, zważywszy na sierpniowe temperatury i na kolejność, w jakiej sprawca pozbywał się poszczególnych części ciała.

– Więc mamy, kurwa, problem. Bo walizka też jest czysta.

Słowa ulatywały z ust Piątka wraz ze smuzką dymu. Chyba będę musiał zacząć palić, pomyślał pochylony ku niemu młody reporter.

– W sensie bez odcisków?

– Bez odcisków, bez włókien, bez niczego. Nówka sztuka, nieśmigana, prosto ze sklepu. Prosto z jednego z dwudziestu sześciu Carrefourów w Warszawie. Albo jednego z prawie pięciuset w Polsce. Nie do znalezienia.

– Niezły jest. – Branik nie mógł się powstrzymać.

– To się jeszcze okaże. – Dym z ust podinspektora trafił prosto w twarz chłopaka.

*

Nadszedł czerwiec, miesiąc jaśminów w parkach i róż w ogrodach. Miesiąc pełni rozkwitu i letniej bujności, czas szaleństw przesilenia i ekscesów najdłuższych nocy w roku. Czerwiec – miesiąc, w którym krew szybciej krąży w żyłach, a nadzieja na odnalezienie kwiatu paproci pozwala na więcej. Na samym początku miesiąca miałam trochę wolnego; zasłużony odpoczynek za Boże Ciało i długi weekend spędzony w pracy. Długie spanie, trochę czytania, jakieś zakupy – wszystko to bez smaku i bez entuzjazmu. Tylko wspomnienie przygody w windzie rozgrzewało mnie swoim blaskiem. Jak się okazało, nie tylko mnie. Aleksandrowi także udzielała się magia najpiękniejszego miesiąca roku; odezwał się do mnie już we wtorek, cztery dni po naszym ostatnim – jakże pamiętnym – spotkaniu; rzecz dotąd zupełnie niebywała. Zważywszy, że na sobotę i niedzielę pojechał do Opola i dopiero w poniedziałek pojawił się w Warszawie, było to przyspieszenie nieznane dotąd w naszych relacjach. To miał być leniwy wieczór na kanapie z książką, ale jakoś tak wyszło, że spędzałam go nad butelką wina z Ptysiem i Mateuszem, naszym wspólnym przyjacielem. Wspominki ze studenckich czasów, plotki, dużo śmiechu. Ciepłe powietrze i gwar czerwcowej nocy wpadający przez otwarte okno. W przyszłym tygodniu wybierałam się z Ptysiem na wesele, nie mogłam więc przepuścić okazji do konsultacji w sprawie stroju. Panowie nalegali, bym zaprezentowała im sukienkę – zabawa w rewię mody nie jest propozycją, której się odmawia na lekkim rauszu, resztę wieczoru spędziłam więc w długiej, niebieskiej sukience z dekoltem kusząco odsłaniającym plecy. I tę właśnie sukienkę miałam na sobie, kiedy o wpół do dwunastej mój telefon zabrzączał sygnałem przychodzącej wiadomości. Ptyś – świadom całej historii z Aleksandrem – rzucił mi zaintrygowane spojrzenie. „Śpisz?” – pisał Aleksander. Jedno z tych absurdalnych pytań, od których każdemu z nas czasem nie udaje się ustrzec. „Nie śpię” odpisałam, patrząc na do połowy wypite

wino, rozkrojone ciasto, świeżo umyte truskawki ociekające jeszcze wodą. „Ja też jakoś nie. Myślę o Tobie” – to było zbyt ładne, aby mogło być prawdziwe.

– Jakież dobre wieści? Twarz cała ci pojaśniała – zauważył Mateusz. Nie przypuszczałam, że to aż tak bardzo widać.

– Bardzo dobre – odpowiedziałam. Zapomniałam tylko dodać, że w związku z tymi wieściami pewnie obaj z Ptysiem będą musieli wyjść trochę szybciej, niż zamierzali. „Mogę zajrzeć do Ciebie?” – spontaniczne odwiedziny w środku nocy, niespodziewane atrakcje, wielkie nadzieje. „Znasz adres. Możesz zajrzeć w każdej chwili” – zazwyczaj jestem wrogiem deklaracji, ale tym razem uczyniłam wyjątek. Niestety, została mi mniej przyjemna część programu – trzeba było jakoś pozbyć się Ptsia i Mateusza. Tak – wiedziałam, że to podłe, wiedziałam, że to nie w porządku, wiedziałam, że tak się nie robi przyjaciom, ale co z tego? I tak to zrobiłam.

– Przepraszam was, chłopaki, ale jakoś źle się poczułam. Chyba dość już wypiliśmy. – Nie był to może najoryginalniejszy wykręt świata, ale liczyłam na jego skuteczność.

– Nie no, chyba nie jest tak źle... – Mateusz z lekką dezorientacją wodził wzrokiem od nieskończonej butelki białego wina do mojej twarzy, od mojej twarzy do telefonu odłożonego niedbale na stół. Ptyś zrozumiał od razu.

– Chyba jednak jest. Zbieraj się, Mateusz, czas już na nas. – Spojrzałam na niego z wdzięcznością. Prawdziwi przyjaciele to ci, którzy nie dość, że darują nam nasze podłości, to jeszcze starają się pomóc. Nawet w dziele, którego bynajmniej nie pochwalają.

– Nie powinnaś tego robić, Joanna. Nie powinnaś spotykać się z tym facetem – usłyszałam szept Ptsia, kiedy Mateusz zniknął w przedpokoju. – Rób, co chcesz, ale pamiętaj, że cię ostrzegam.

– Dzięki, Ptyś. – Tylko na tyle było mnie stać. Nie mogłam się doczekać, aż za moimi przyjaciółmi zamkną się drzwi. Szykowali się do wyjścia nieznośnie długo. Pospieszcie się, do cholery! Udało mi się nie krzyknąć, ale moje zniecierpliwienie było chyba aż nadto widoczne. Chciałam po prostu, by sobie poszli, chociaż jeszcze pół godziny temu w ogóle nie przyszłoby mi to do głowy. Nawet nie zdążyłam sprzątnąć ze stołu, nie mówiąc o przebraniu się z weselnej sukienki – Aleksander zadzwonił do drzwi dosłownie chwilę po tym, jak Ptyś z Mateuszem wreszcie sobie poszli. Może nawet minęli się na schodach? Pytająco spojrział na stół, na trzy kieliszki ze śladami ust i trzy łyżeczki odłożone pośpiesznie obok talerzyków z niedojedzonym ciastem.

– Wyrzuciłam przyjaciół, by się z tobą spotkać – powiedziałam. Patrzył tak, jakby w to nie wierzył, mimo ewidentnych dowodów, które miał przed sobą. Jego wzrok wędrował od stołu do mnie – stałam przed nim w długiej, niebieskiej sukience, która na każdą inną okazję świata pasowałaby bardziej niż na wtorkowy wieczór w domu. Nie było sensu tłumaczyć mu, dlaczego ją włożyłam; prościej było ją po prostu zdjąć.

– Powinnaś być z dwudziestopięcioletnim koszykarzem. Nie ze mną – powiedział po tym, jak z namiętności zostało już tylko westchnienie.

– Nie chcę dwudziestopięcioletniego koszykarza. – Sięgnęłam po papierosa. A on po ręcznik. Tak jakby się wstydził, że surowiej ocenię jego nagość, mając zmysły niezmacone podnieceniem.

– Dlaczego nie? – wyjął mi papierosa z ręki i zaciągnął się głęboko, łapczywie, zachłannie.

– Dlatego, że chcę ciebie. – Jak miałam mu wytłumaczyć, że był obrazem z dna mojej wyobraźni, snem nadrannym, który zapada w podświadomość i prześladowuje na jawie? Jak miałam mu wyjaśnić, że raz oswobodzonego dzina nie da się wtłoczyć z powrotem do lampy? Jak miałam mu powiedzieć, że już nie potrafię się uwolnić?

– Co ty właściwie robisz w pracy? – zmiana tematu była tak nagła, że nie od razu się zorientowałam, o co mu chodzi.

– Jak to co? Piszę nagłówki, cytaty, opisy. Sprawdzam wizytówki. Przecież wiesz.

– Matka Joanna od wizytówek. – Pogarda w jego głosie zazgrzytała jak ordynarny fałsz podczas koncertu w filharmonii.

– Słucham?

– Marnujesz się tam. Powinnaś robić coś zupełnie innego.

– Co na przykład? – Tak bardzo chciałam, by powiedział coś, co mimo wszystko pozwoli przypisać mu dobre intencje.

– Nie wiem. Powinnaś to sobie jakoś załatwić z kimś na górze, może któryś z dyrektorów zaproponowałby ci coś lepszego. – Nie miałam pojęcia, do czego zmierzał. Dopóki nie wyjaśnił: – Ludzie załatwiają sobie karierę w bardzo różny sposób. Chyba nie sądzisz, że mnie zawsze udawało się tylko i wyłącznie dzięki ciężkiej pracy? – Zaskoczył mnie, nigdy dotąd nie rozmawiał ze mną w ten sposób.

– Tak właśnie myślałam.

– Nie bądź dzieckiem. Czasem trzeba po prostu być we właściwym miejscu w odpowiednim czasie. Albo zrobić coś odpowiedniego. W twoim przypadku to drugie byłoby łatwiejsze. – Wciąż jeszcze nie przypuszczałam, do czego zmierza. – Jedna laska jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziła. Może powinnaś zrobić ją komu trzeba. Albo możesz zacząć od Ślęzakowej, ona, zdaje się, jest trochę na ropę, a trochę na gaz. Dobrze by ci z nią poszło.

Pomyślałam o naszej szefowej – twarda babka, ostra, kiedy trzeba, ale i wyrozumiała dla pracowników. Zwłaszcza dla kobiet.

– Zwariowałeś. – Mówił tak, jakby pójście z kimś do łóżka było zjedzeniem kanapki. Jeśli tym właśnie było dla niego, ja na pewno nie chciałam o tym wiedzieć.

– Nie denerwuj się, to tylko taka przyjacielska rada. – Poklepał mnie po łydce, gestem tyleż protekcjonalnym, co zniecierpliwionym. – Niejedna pani z telewizji tak właśnie zrobiła karierę, wierz mi. Na swojej ciężkiej pracy możesz daleko nie zajechać. Tylko tyle.

Tylko tyle. Aż tyle. Stanowczo za dużo.

*

Czternastu pracowników redakcji, ośmiu technicznych z reżyserki i czterech operatorów kamer w studiu – tyle nazwisk obejmowała lista, którą trzymał w dłoni komisarz Kwarnicki.

– No dobra, lećmy alfabetycznie. – Części z nich na pewno dziś nie było w pracy, nie było też możliwości, by zdążyli ze wszystkimi, ale mimo to postanowili założyć sobie dość ambitny cel. – Podzielmy się. Połowa tego towarzystwa wypada na... – szybki rzut oka na kartkę pozwolił mu dokończyć – na Madeckiej Joannie.

– Dobra, niech będzie. – Walczak zakładał, że będzie z tym dużo roboty, ale mimo wszystko nie sądził, że aż tyle.

– Proszę nam opowiedzieć, jak wyglądał wieczór dwudziestego drugiego sierpnia w Kanale Szóstym?

– Czy miała pani kontakt z Aleksandrem Rawskim? Co mówił?

– O której godzinie widział pan Aleksandra Rawskiego?

– Czy wiadomo pani coś na temat, gdzie Rawski mógł się udać po pracy?

– Czy widział pan, by Rawski rozmawiał z kimś przed wyjściem z firmy?

– Czy zauważyła pani, czy Rawski wychodził z firmy sam, czy w towarzystwie?

– Rawski poprowadził serwis i jak zawsze po wyjściu ze studia spędził jeszcze chwilę w redakcji. Ścierał makijaż, brał swoje rzeczy, nie wiem. Tak, z kimś tam gadał na pewno. Nie, nie wiem o czym, o pierdołach jakichś. Albo o programie. Nie pamiętam.

– Przed „Przeglądem” Rawski niewiele mówił. Gadali coś z Blajerem, z wydawcą znaczy się. Nie wiem, nie pamiętam, coś o atrakcjach. Aaaa, czy idzie dziś na imprezę. Jak to kto idzie? Blajer raczej. Bo Rawski na imprezę to chyba nieszczególnie. To jest taki gość, co woli siedzieć w barze. Nie, ja z nim nigdy w barze nie siedziałem. Tak po prostu o nim mówią.

– Coś o picu gadali, bo siedziała tam też Madecka, co miała urodziny. Jak to skąd wiem? Cukierkami częstowała, życzenia jej składaliśmy. Blajer się pytał, czy idzie pić. Pewnie się chciał do niej wprosić. Rawski? Rawski raczej nie. On się nie zna z Madecką. W sensie na tyle się z nią nie zna.

– Blajer się go pytał, czy jedzie dziś do Opola. No tak, czwartek był, nie weekend, ale Rawskiemu zdarza się jeździć do domu też w środku tygodnia. Tak, nocnym autobusem. Najczęściej Polskim Busem, oni są najtańsi. Daleko? No tak, daleko, kilka ładnych godzin jazdy. Ale jeździł czasami. I następnego dnia wracał. Głupie to było bardzo – tak, tak uważam. Żona pewnie mu kazała. Albo mu się w Warszawie nudziło.

– Różnie się dostawał na dworzec Polskiego Busa. Tak, to kawałek stąd, przy Metrze Wilanowska. Z różnymi ludźmi się zabierał. Najczęściej z Miłkowską, bo ona gdzieś w tamtych okolicach mieszka, ale jak Miłkowskiej nie było, to z kim innym. Nie wiem dokładnie, z różnymi ludźmi. Ich samochodami albo nawet taksówką. Czym kto jechał, to Rawski się z nim zabierał. Tak, ze mną parę razy też. Kiedy ostatnio? W ubiegłym tygodniu ostatnio.

– Czasem jeździł pociągiem z Centralnego. Też zazwyczaj wtedy próbował się z kimś zabrać. Lubił przyoszczędzić, w życiu nie widziałam, żeby sobie sam taksówkę zawołał. Że nie przepadam za nim? Ja tam go, proszę pana, prawie nie znam.

– W różne miejsca chodził po pracy. Do hotelu czasami. Do baru... jakiś tam miał ulubiony naprzeciwko swojego hotelu, „Setka” czy coś, zawsze o nim opowiadał. A czasami do metra. To znaczy nie jestem pewien, czy do metra, czy tylko w tamtą stronę, bo tam akurat mieszka Paulinka. No tak, do Paulinki też chodził.

– Nie wiem, kiedy Rawski wyszedł z pracy. Ja wyszłam przed nim. Nie lubię siedzieć w pracy dłużej niż trzeba, a mąż po mnie przyjechał i czekał. Nie, nie widzieliśmy Rawskiego na parkingu.

– Nie wiem, z kim mógł się zabrać w czwartek, Miłkowskiej nie było. Może szedł do Koniuszek, ale nie wiem, bo Koniuszek skończyła pracę dwie godziny wcześniej i nie gadali za specjalnie ze sobą. Właściwie to chyba w ogóle ze sobą nie gadali. W sumie się nie dziwię...Po tej awanturze, co była ze trzy tygodnie temu. Jakiej awanturze? No, Paulinka na środku newsroomu na niego wrzeszczała. Że jakim prawem nie odbiera od niej telefonu i takie tam. A on nic, nawet jak go zaczęła szarpać za rękaw. No tak, sceny były.

– Jeśli pojechał na dworzec, to ktoś go na pewno ze sobą zabrał. Zawsze ktoś tam go zabierał. Nie, nie wiem kto. Kiedy wychodziłem, Rawski jeszcze był w newsroomie.

– Pojechałam do domu. Samochodem. Nie spieszyłam się specjalnie, musiałam jeszcze zabrać cukierki. Tak, po urodzinach. Nie zauważyłam, czy Rawski jeszcze wtedy był w newsroomie. Chyba już go nie było, nie wiem. Tak, jechałam sama.

*

A jednak udawałam, że to nieprawda. Z całych sił udawałam sama przed sobą, że to nieprawda. Że nie powiedział tego, co powiedział. Że mówił ogólnie, że nie o mnie, że nie na serio. Może białe wino zmąciło mi zmysły, może źle go zrozumiałam, może przemawiała przez niego gorycz z powodu jakichś zadawnionych uraz? Musiałam tak myśleć, inaczej byłoby mi niezręcznie przed samą sobą, że tak bardzo się cieszyłam, kiedy znowu napisał. Znowu po kilku dniach, znowu na tyle szybko, że sformułowania takie jak „porządny romans” i „nareszcie” jakoś same, zupełnie nieproszone wpadały mi do głowy i za nic nie chciały jej opuścić. To był piątek, który – jak donosiła mi Hanka – w pracy mijał pod znakiem

podtopień po nawałnicach i fali kulminacyjnej na Łabie. Było też sporo o sześciu milionach wydanych na koncert Madonny – „Niegospodarność w Ministerstwie Sportu” przeplatała się z „Promocją wydarzeń kulturalnych na Stadionie Narodowym”. Tym razem dobór słów nie należał do mnie – to był ostatni z moich kilku dni wolnych, efekty zmagania kolegów z materiałem oglądałam na ekranie telewizora mojej matki, do której pojechałam w odwiedziny. Dolewka rosółki, żylasty schabowy w tłustej panierce, sakramentalne „Czy masz kogoś?” przy deserze. Trochę zadawnionych pretensji, kilka coraz bardziej napastliwych pytań, lekka awanturka w finale. Po prostu standard rodzinnej wizyty – nadmiar uczuć i deficyt empatii, próby zaboru i bohaterski opór, słowa ciężkie jak brzuchy po obiedzie. Byłam zadowolona, kiedy udało mi się dotrzeć do końca. Nie, mam, nie chcę słoików. Tak, mam, będę uważać na siebie. Wreszcie był już tylko piękny, czerwcowy wieczór, dworzec kolejowy i niecała godzina jazdy.

Pociąg włókł się niemiłosiernie przez bezbrzeżną nudę płaskiego krajobrazu Mazowsza. Siedziałam tak, jak lubię najbardziej – z głową opartą o okno poddawałam się uspokajającemu „tur-tur” kół pociągu. Leciutkie drgania szyby, drobinki kurzu tańczące w promieniach przedwieczornego słońca, obraz za oknem, który się zmienia, a jednak wciąż pozostaje jednaki. Sznury aut czekających cierpliwie na swoją kolej przed zamkniętym przejazdem, usmarkane dzieci popalające na nasypie, faceci w cyklistówkach zmierzający chwiejnie do monopolowego na swoich nieco pordzewiałych maszynach. I pola, ciągle pola – mdłe, nudne i płaskie. I miasteczka – zapyziałe i przykurzone, z dworcami jak spod sztancy i z leniwym smutkiem wszystkich małych miasteczek świata. A później już bloki, pierwsze wieżowce, chaotyczna i coraz bardziej agresywna zabudowa. I wreszcie totalny chaos tętniącego życiem centrum – Warszawa w całej krasie i w całym bezmiarze urbanistycznego bałaganu, stolica kontrastów i zaskakujących zderzeń, miasto piękne swoją brzydotą. Spokój zastąpiony rozedrganiem, smutek wyrugowany rozmachem, najbardziej drapieżny kapitalizm zderzony z siermiężnymi pozostałościami socjalizmu. Jest w tym moc i energia, którą czuje się już od pierwszych chwil w piekielnych czeluściach Centralnego. Moc, energia, seks. Aleksander w moim telefonie.

„Nie tęsknisz za pracą?” – przeczytałam na ekranie. „Bardzo” – odpisałam, chociaż tak naprawdę tęskniłam za czymś zupełnie innym. Bywał u mnie ostatnio często, a przecież apetyt rośnie w miarę jedzenia. „Mogę Ci jakoś pomóc?” – odpowiedź była błyskawiczna. Schody ruchome jak zawsze były nieruchome, wystukiwałam więc esemesa, dzielnie wspinając się w górę. „Twoja pomoc będzie miała charakter duchowy czy może nieco bardziej cielesny?” – nacisnęłam „wyślij” w momencie, gdy wreszcie wychyliłam się z brzucha podziemi dworca. Jeszcze tylko krótki spacer do domu, kilka drobnych poprawek makijażu i dwie godziny, które muszą minąć do końca dyżuru Aleksandra. „Według niektórych szkół filozoficznych doznania cielesne mogą być drogą do oświecenia duchowego. Masz ochotę poćwiczyć?” – zgrabne, błyskotliwe, obiecujące.

„Ogromną” – odpisałam i czułam, jak moje usta robią się suche, a wargi wilgotne.

„W takim razie przygotuj się na ćwiczenia z ekstazy”. Było to polecenie z gatunku tych, których realizacji nie można się doczekać.

*

– Co za gówniane zeznania. I co za gówniana firma. Media, myślałby kto, a nawet własnego parkingu nie mają.

Walczak nie ukrywał irytacji. Coraz bardziej chciało mu się palić, a guma z nikotyną coraz mniej pomagała. Usiedli z Kwarnickim przy stoliku w ogródku restauracyjnym. Chłodne piwo i żeberka w ciepły, sierpniowy wieczór po ciężkiej pracy. Było tak, jakby lato nie chciało odejść. Jakby postanowiło zaprezentować się tym piękniejszym i i łaskawszym, im bardziej jego koniec wydawał się nieuchronny. Ostatnie dni wakacji z miodowym światłem i słoneczną pieśczęcią. Walczak uczeplił się

nadziei, że chociaż ona przyniesie mu ulgę.

– A jeszcze jak na złość, na miejskim nie ma monitoringu.

Akurat w tamtym miejscu brak kamer nie dziwił. Niewielki skrawek chodnika, placyk zastawiony samochodami i jeden wielki rozkop – trwała właśnie budowa drugiej linii metra, która żarłocznie pochłaniała całe kawałki tkanki miasta. Wykluczając je przy okazji z normalnego funkcjonowania.

– No nic, nie zobaczymy, z kim wychodził. Ale jeśli poszedł do hotelu...

– Do którego, jak wiemy, nie dotarł. – Kwarnicki pociągnął duży łyk jasnego z pianką.

– Albo do tej swojej knajpy naprzeciwko hotelu – poprawił się Walczak – to to akurat zobaczymy.

Zaginiony prezenter pomieszkiwał w hotelu na ulicy dla amatorów nocnych wrażeń. Kluby mniej lub bardziej taneczne, lokale serwujące darmowe drinki paniom na tyle odważnym, by do nich weszły, sklep monopolowy obleżony o każdej porze dnia, a zwłaszcza nocy. Czyli jeden z najściślejszych w Śródmieściu nadzór kamer – zarówno miejskich, jak i prywatnych, montowanych zapobiegliwie przez właścicieli przybytków, przed którymi co noc ustawiały się kolejki ludzi rozemocjonowanych i mało trzeźwych. W kolejce stojącej za gorączką nocy łatwo o bójkę, lepiej więc mieć wszystko pod kontrolą, a przynajmniej pod obserwacją.

– To prawda. Zresztą i tak trzeba będzie pogadać w tym barze.

Tę część ich roboty Kwarnicki lubił najbardziej. Odtwarzanie cudzego życia z okruczeństwa opowieści, odkrywanie zwyczajów, niekiedy niewinnych, ale częściej wstydliwych, rekonstrukcja ścieżek na podstawie relacji o drogowskazach. Im bardziej te ścieżki były strome i im niebezpieczniej zbaczały w stronę urwisk, tym było ciekawiej.

– Ale na początek musimy sprawdzić, czy przypadkiem jednak nie pojechał do Opola. I na dworcu Polskiego Busa, i na Centralnym.

– Taa... – W zębach Kwarnickiego chrupnęło zeberko. Gdyby się okazało, że Rawski jednak wyjechał tamtej nocy, sprawę przejęłoby Opole. A on zdążył dostrzec w niej taki potencjał. Potencjał zmyślnych kłamstw, piętrowych machinacji i brudnej bielizny ukrytej pod drogim garniturem. A może to nie był garnitur, tylko zmięta pościel?

*

To był jeden z tych wieczorów, w które chciało się żyć – ciepły, ale nie duszny, z powietrzem słodkim i lekkim jak bita śmietana. I żadne spaliny nie mogły tego zepsuć – najpiękniejszy miesiąc roku nie przestaje nim być nawet w środku wielkiego miasta. Spacer z dworca był czystą przyjemnością – wiedząc o tym, co czeka mnie już za chwilę, szłam szybciej i lżej niż zwykle. Jakbym płynęła przez orzeźwiające, czerwcowe powietrze. W domu pootwierałam szeroko okna i balkon, tak by ciepły podmuch wpadał do mieszkania bez przeszkód. Przebrałam się w czerwoną sukienkę – jedną z tych, które lubił najbardziej – wąska w talii i szeroka przy kolanach, doskonała do zadzierania na plecy i do wślizgiwania się pod nią dłonią. Czekaając na niego, paliłam papierosa na balkonie. Ciasno poustawiane samochody, śmietniki, kilka drzew – typowe śródmiejskie podwórko schowane w głębi ruchliwej ulicy. Jakby ciężka, przedwojenna brama odcinała gwar z modnych knajp i wielkomiejski zgiełk – tu królował dużo bardziej swojski gatunek krótko ostrzyżonych panów z puszkami piwa w dłoniach. Taki wieczór jak ten musiał wygonić ich z domów – siedzieli na murku, stali przy trzepaku, zawzięcie kopali kamyki.

– Legia ci się, kurwa, nie podoba?!

– Mnie się, kurwa, nie podoba!?! Mnie?! Chyba tobie się, kurwa, moja drużyna nie podoba.

I dalej w tym stylu. Niewłaściwie skanalizowany testosteron podlany sosem z taniego piwa i plemiennego poczucia przynależności. Mimo wszystko nie wyglądali na szukających zaczepki – po prostu stali tam jak naturalny element letniego krajobrazu. Nawet ich dyskusje nie były tak naprawdę agresywne, sprawiali raczej wrażenie ludzi odgrywających pewien rytuał. Nie do końca świadomie, ale

już cokolwiek leniwie. Zdążyłam zgasić papierosa i usłyszeć coś jeszcze o chuju trenerze, zanim dzwonek u drzwi zwabił mnie do środka.

– Dobry wieczór, kociątko.

Kiczowate, tandetne, ładne. Nigdy dotąd tak do mnie nie mówił. Zaczął mnie całować już w drzwiach. Miał ciepłe dłonie i pachniał wiatrem – jakimś odległym zapachem pól, łąk i liści – wcale nie jak ktoś, kto spędził wieczór w szklanej klatce studia telewizyjnego.

– Pięknie wyglądasz. Teraz jeszcze piękniej – powiedział, rozmazując palcem smugi szminki wokół moich ust. Wiedziałam, że to lubił.

Jakoś tak wyszło, że od razu znaleźliśmy się na balkonie. Bez zasiadania w fotelach, bez wyjmowania kieliszków, bez pytań o herbatę. To Aleksander mnie tam poprowadził – pewnie i jemu podobała się ta noc ciepła, jasna i orzeźwiająca. Wielbiciele Legii wciąż toczyli swoje ubogie słownikowo rozmowy, powietrze nadal chciało się jeść łyżkami, a Aleksander patrzył na mnie wzrokiem, w którym z każdą minutą gęstniała żądza.

– Daj mi spróbować czegoś jeszcze lepszego niż twoja ślina – powiedział, sięgając ręką do moich ud. Zatrzymał się na wysokości koronki od pończochy. – Sięgnij paluszkami i daj mi trochę. No, dalej.

Było późno, ale nie na tyle, by podwórko usnęło w letnią noc. Ktoś zbliżał się z workiem do śmietnika, okrzyki dziarskich chłopców wciąż dobiegały nas wyraźnie, jakieś auto parkowało pod ścianą domu. Drugie piętro, jeden z kilku balkonów w rzędzie – na ile wyraźnie było go widać z dołu? Sięgnęłam dłonią pod spódnicę, pod majtki, do środka. A później włożyłam mu palce do ust. Cały czas patrzył mi prosto w oczy, jakbyśmy tylko my dwoje byli na świecie, jakby nic innego nie istniało poza nami, naszym pożądaniem i obietnicą naszej rozkoszy. Oblizwał wargi, kiedy moje palce wyslizgnęły mu się z ust.

– Smakujesz jak napój gazowany, po którym na języku zostaje posmak bąbelków. Jak tonik. Z nutą goryczki wśród słodczy.

Jego ręka zatrzymana w połowie mojego uda ruszyła wyżej. Miał duże, ciepłe dłonie, zwinne palce, które wchodziły we mnie gładko, miękko, z wilgotnym kłębieniem. Ktoś wyprowadzał psa – ile mógł dostrzec w mroku między żelaznymi prętami balkonu? Wyciągnięta ręka Aleksandra ginąca pod moją spódnicą, nieśmiały ruch moich bioder, otwarte usta.

– Nie tutaj – powiedziałam, choć unosił mnie prąd rzeki gęstej i rwącej.

– Tutaj – odparł, a ja sama nie wiedziałam już, czy jego oczy są zimne, gorące czy tak zimne, że aż gorące. Umiał dotykać mnie tak, jak nawet ja sama nie potrafiłam. Może było to słycać, bo łysi panowie jakby stracili nieco zainteresowanie swoimi puszkami piwa. Czy mi się wydawało, czy zaczęli zerkać w naszą stronę? Popchnęłam Aleksandra w kierunku drzwi – poszedł, bo tak jak i ja chciał czegoś więcej we mnie niż tylko swojej ręki.

– Nie lubisz miękkiej gry, co? – zapytał, choć jego pytanie miało walor twierdzenia. – Więc będzie ostro.

I było. Ostro, boleśnie, rozkosznie. Seks z nim za każdym razem stanowił odkrycie. Spełnienie. Sens. Uwielbiałam, kiedy wypełniał mnie tak całkowicie i aż do granic – wypełniał sobą moje usta i gardło, waginę i brzuch, całą mnie. Pewnie krzyczałam – z Aleksandrem nie potrafiłam być cicho, nie umiałam się kontrolować, nie próbowałam nawet myśleć o czymś tak prozaicznym jak sąsiedzi, otwarte drzwi balkonowe, ludzie na zewnątrz. O czymś tak dla mnie wówczas nieistotnym jak łysi panowie na murku, którzy słyszeli każdy mój jęk, każdy krzyk, każde westchnienie. Musiało im się podobać, sądząc po żywiołowych reakcjach. Potrzebowałam chwili, żeby to do mnie dotarło. Nie od razu pojęłam sens entuzjastycznych porykiwań, okrzyków „jeszcze” i gwizdów. Ach, to do nas, to o nas, to pod naszym adresem? Bogu dzięki, że chociaż zasłony były zaciągnięte i cały show miał tylko formę audio.

– Szkoda, że jeszcze nie biją nam brawa. – W głosie Aleksandra zabrzmiało tyle samo przekąsu, ile rozbawienia. A może była tam też odrobinka dumy? – Wyjdź, ukłoń się panom i powiedz, że dość na dziś.

– To ty tu jesteś specjalistą od występów.

– Występ był wspólny – powiedział, zapalając dla mnie papierosa. Nasza publiczność musiała ubolewać nad brakiem dalszego ciągu. Wrzaski przechodziły w żałosliwe buczenie, buczenie w jęk zawodu, jęk zawodu w ciszę rezygnacji.

– Takie coś zdarza się raz w życiu. Dziewczyna, która pieprzy się tak, że wszyscy kibole ze Śródmieścia przychodzą posłuchać.

Już miałam odpowiedzieć, że przecież nie pieprzyłam się sama, ale mnie ubiegł.

– Daj spokój, kociątko. Uwielbiam, jak krzyczysz.

Uwielbiałam krzyczeć. Uwielbiałam, kiedy był we mnie. Uwielbiałam, kiedy oddawał mi papierosa, wypuszczając ustami kilka kłębków skradzionego dymu. Słodkie, czerwcowe powietrze opływało mnie od zewnątrz i wypełniało od środka – każdy mięsień rozluźniony, krew gęsta od hormonów, to wyjątkowe uczucie dotlenienia, które niepostrzeżenie przechodzi w miękką senność. Ręka Aleksandra w moich włosach, leciutki powiew od okien, papieros dogasający w popielniczce jakże nierozsądnie ukrytej między fałdami prześcieradła. Wszystko było dokładnie tak, jak powinno. Piękna noc, piękny czerwiec i piękny czas, kiedy miałam Aleksandra dla siebie. Byłam szczęśliwa. Aż do tamtego wieczoru kilka dni później.

*

– Mówią, że on nie żyje. I mówią, że te kawałki roznoszone po mieście to on.

– Mówią o nim na mieście, że lewy z niego facet.

Nie mogłem się powstrzymać, za bardzo lubiłem Chandlera. Jednak Darek nie był w nastroju do aluzji literackich. Siedzieliśmy na piwie w jednej z „dyżurnych” knajp pracowników Twoich Mediów. Rzut beretem od firmy, zniżki na podrzędny lunch, jeszcze podrzędniejszy wystrój gratis. Knajpa nazywała się Cytrynka i rzeczywiście była dość kwaśna. Mimo pięknego słońca weszliśmy do środka. Na zewnątrz siedziało dwóch facetów trochę zbyt podobnych do policjantów. Jeden miał wprawdzie całkiem młodzieżową bluzę, ale ani to, ani piwo i żeberka nie mogły nikogo zwieść. Kręcą się tu teraz wokół firmy i pewnie jeszcze długo będą się kręcić. Był wieczór, ale oprócz nas prawie nikogo. Goście wybierali miejsca na zewnątrz – widać stróżę prawa nie na wszystkich działali odstraszająco.

– Tu nie można, kurwa, palić, ale przynajmniej pogadamy.

Darek gestem rezygnacji odsunął od siebie paczkę papierosów. Znałem go od osiemnastu lat i od osiemnastu lat się przyjaźniliśmy. Można powiedzieć, że osiągnęliśmy w naszych relacjach pełnoletność – ufałem mu. Choć skończył jako prezenter Kanału Szóstego, Darek z zawodu był aktorem. Studiowaliśmy razem w filmówce, ja na wydziale operatorskim, on na aktorstwie. Dawne dzieje, wielkie plany, ogromna naiwność. Gdyby ktoś nam powiedział przed laty, że skończymy w sieczkarni kanału informacyjnego, to obaj byśmy go wyśmiali. Telewizyjny realizator wizji zamiast autora nastrojowych zdjęć do filmów zgarniających nagrody na festiwalach. Czytanie z promptera zamiast wielkich ról dramatycznych. Nie zawsze mamy to, czego chcemy. Ale czasem jednak się zdarza.

– Żyje czy nie, w każdym razie go nie ma. Zniknął.

Bogu dzięki, nareszcie – uzupełniłem w myśli, ale do wypowiedzenia tego na głos nie upoważniała nawet pełnoletnia przyjaźń.

– Mała Chaberek mówi, że te kawałki w parkach to on.

– Kto to jest mała Chaberek? – Dzięki Darkowi zazwyczaj byłem na bieżąco z redakcyjnymi plotkami, ale o takim kwiatku nigdy dotąd nie słyszałem.

– Nie wiesz? Hanka, przyjaciółka Madeckiej. Mówiła to już wczoraj.

Teraz brzmiało już dużo jaśniej. Ciekawe tylko, skąd przyjaciółce Joanny wzięło się takie przypuszczenie. Wczoraj wszyscy trąbili o dwóch nogach i ręce znalezionej w parkach. Czyżby jakaś Hanka знаła Rawskiego na tyle dobrze, by od razu skojarzyć, że kosz na śmieci to odpowiednie dla niego miejsce?

– A jak to naprawdę on? Kurwa, Piotr... Boję się.

Nie mógł skupić wzroku na jednym punkcie, ręka co rusz wyciągała się w kierunku paczki papierosów w geście tyleż bezradnym, co kompulsywnym. Mój przyjaciel nie wyglądał dobrze.

– Daj spokój. Nawet jeśli – założmy, powtarzam, założmy – on nie żyje, to co ty możesz mieć z tym wspólnego?

Zabrzmiało ostrożnie, delikatnie, zapobiegliwie. Staralem się.

– Jak to co? Nic z tym, kurwa, nie mam wspólnego, ale przecież wszyscy wiedzą, że go nie znosiłem.

– Zdaje się, że nie ty jeden.

– Masz kogoś konkretnego na myśli? – Nareszcie skupił wzrok. Ufałem mu. Ale nie aż tak.

– Parę osób by się znalazło.

Jego oczy znów rozpoczęły niestrudzoną wędrówkę po blacie stołu, po tafli okna, po powierzchni sufitu.

– No ale ta historia z „Areną” i w ogóle...

„Arena” – publicystyka nieco ordynarna, ale mięsista, dobry czas antenowy, wysoka oglądalność. To był program Darka – jego pomysł i wykonanie, mało elegancko, za to bardzo skutecznie zabrane mu przez Rawskiego. Pamiętałem tę historię sprzed roku – zanim Darek zorientował się w czymkolwiek, sieć była już upleciona, zarzucona i powoli wciągana na ląd. Cały połów w cudze, sprytnie nadstawione ręce. Rawski bardzo chciał ten program, a nie zdarzało się przecież, by nie dostawał tego, czego chciał.

– Boję się, że oni pomyślą, że to ja go zabiłem.

Tego było już za wiele. Obawiałem się, że zaraz zacznie wykręcać palce, załamywać ręce, obgryzać paznokcie. Albo ściśnie szklankę z piwem tak mocno, że z wnętrza dłoni zostanie mu krwawa miazga.

– Darek... – Spojrzałem mu prosto w oczy, zmuszając go, by skupił wzrok jeszcze raz, choć na chwilę. – Są lepsze powody do mordowania niż ukradziony program. Uwierz mi.

Jeden z ostatnich promieni słońca zabłąkał się na nasz stół. Przeciął na pół metalowy blat, prostokąt bezużytecznej paczki papierosów, złotawy płyn w szklance pokrytej odciskami spoconych palców. I czoło mojego przyjaciela, na którym głęboka bruzda powoli ustępowała miejsca zwykłej gładkiej powierzchni.

*

Dworzec Polskiego Busa w żaden sposób nie przypominał porządnego dworca autobusowego. Ani nawet nieporządnego. Jedna zatoczka, plastikowa wiata do złudzenia podobna do przystanku autobusu miejskiego, słupek z wywieszonym rozkładem jazdy. A tuż obok pętla komunikacji miejskiej – tak, że można było pomylić rejs do Katowic czy Berlina z kursem do zajezdni Wola albo na Ursynów. Tuż obok stacja metra wypluwała z siebie potoki ludzi, zapewniając ciągły ruch i potencjalnych chętnych na dalekie wojaże. Miejsce tętniło życiem, a przaśnego kolorytu dodawał bazar, na którym podróżnych kusily rozlewane na miejscu płyny do mycia naczyń, góralskie kapcie, słodczyce wprost z łóżka polowego. Może firma celowo wybrała taką właśnie lokalizację dla swego dworca, by zapewnić klientom swojskie warunki, do jakich przywykli – wśród rejwachu targowiska przysadziste podrózne ze szmacianymi torbami w kratę czuły się jak u siebie. Dla poszukujących nieco bardziej wyrafinowanych rozrywek był salon gier, kuszący mrokiem szyb czarnych, acz przykurzonych, i fluorescencją nieco odrapanych malowideł; dla głodnych – kebab nęcący zapachami mięsa i rzadko zmienianego tłuszczu. I jeszcze obowiązkowo – delikatesy, czyli piwny wodopój dla strudzonych, czynny w morderczych godzinach od

świtu do długo po zmierzchu – ostatecznie pragnienie nie zależy przecież od pory. Sceneria jak tandetna dekoracja z papier-mâché do przedstawienia objazdowego teatrzyku, z tym że objazd akurat w tym wypadku był prawdziwy, choć raczej nie służył celom artystycznym. A wśród tego wszystkiego ludzie – dziesiątki statystów dublujących nieustannie tę samą scenę, upodobnionych do siebie podróżą, upałem, zmęczeniem. Nawet rzutcy biznesmeni z laptopami pod pachą nie różnili się za bardzo od biednych studentów jadących do domów po zapasy i babć podróżujących w sobie tylko znanych celach. Jedyne autokary zgrzytały małym dysonansem w tej symfonii prząsności i umęczenia – lśniące, piętrowe, czerwono-czarne potworki w niczym nie przypominały starych, dobrych PKS-ów, znanych z dróg i bezdroży naszej prowincji. Tak bardzo po polsku nowoczesność mieszała się z prowizorką, a brzydota z funkcjonalnością.

– Czy oni mają tu jakąś informację?

We wtorek o dziewiątej rano nie było aż tak wielkiego tłoku, ale Kwarnickiemu i tak się nie podobało. Nie lubił miejsc, gdzie ludzie tłumnie się gromadzili; wolał te, w które przemykali samotnie, licząc na to, że nikt ich nie zauważy.

– Jest jakiś punkt sprzedaży biletów – Walczak wskazał ręką w kierunku oklejonej na czerwono budki wciśniętej między kebab a salon gier. Musieli mieć coś dla tych nieudaczników, którzy nie skorzystali z promocji w internecie.

– Dzień dobry, Komenda Rejonowa Policji Warszawa-Śródmieście.

Sprzedawczyni w kasie wyglądała na zaniepokojoną. Widać nie przywykła do widoku policjantów – jeśli w ogóle składali tu wizyty, ich celem było raczej zaplecze tureckiego baru z kebabem.

– Prowadzimy poszukiwania i chcielibyśmy się dowiedzieć, czy poszukiwana przez nas osoba odjechała państwa autokarem w czwartek dwudziestego drugiego sierpnia.

– Obawiam się, że to nie będzie takie proste. – Dobór słów i ton jej głosu w żaden sposób nie pasowały do odrostów na farbowanych włosach i lakieru łuszczącego się na paznokciach.

– To znaczy? – Walczak nie mówił zbyt wyraźnie ze względu na gumę, którą obracał w zębach. To też nie pasowało.

– To znaczy, że bilety nie są imienne. Można sprawdzić co najwyżej po przelewach, którymi klienci płacą, kupując bilet w internecie. No chyba że kupują tu, na miejscu.

– Aha. – Kwarnicki już widział te przydługie poszukiwania. Trzeba będzie zwrócić się do centrali przewoźnika, do banku, wszczynać mozolną procedurę sprawdzania operacji na koncie. Zresztą kupiony bilet nie zawsze oznacza podróż – dlatego właśnie tu byli. Poza tym zawsze istnieją jakieś drogi na skróty.

– To tej osoby szukamy. – Pokazał kasjerce zdjęcie Rawskiego. Zimowe, z szalikiem zawiązanym wokół szyi na modny węzeł, bardzo wyraźne. Jego oczy w otoczce poziomych zmarszczek patrzyły wprost na oglądającego fotografię. Nieco kpiąco. – Mógł odjechać w czwartek do Opola, jakoś koło północy. Może go pani widziała.

– Widziałam go. – Kwarnicki poczuł gorzką mieszankę żalu i zawodu. – Ale nie w czwartek koło północy.

– To znaczy, nie widziała go pani? – Miejsce żalu zajęła ulga.

– Widywałam, ale nie tamtego dnia i nie o takiej porze. Nasz punkt pracuje do dwudziestej drugiej. – Kobieta skinęła głową w kierunku wielkich cyfr naklejonych na drzwiach pomieszczenia, w którym przebywali.

– Czy będziemy mogli porozmawiać z kierowcą, który tamtego dnia miał nocny kurs do Opola? – Walczak przejął pałeczkę; wcześniej musiał tylko przepchnąć językiem gumę na bok policzka.

– Sądzę, że tak. Zaraz sprawdzę, kto to był. – Zobaczyli jej odrosty w całej krasie, kiedy pochyliła

głowę nad jakimiś papierami. Niestety, nie mogli podziwiać ich w spokoju. Przegrodę w postaci szklanych drzwi sforsował dochodzący z zewnątrz histeryczny wrzask. Tak wrzeszczą ofiary chorej wyobraźni scenarzystów amerykańskich horrorów. Albo świadkowie rzeczywistych horrorów, którym makabra nie odbiera głosu. Kiedy Kwarnicki i Walczak wybiegli na zewnątrz, nieartykułowane dźwięki ułożyły się w spazmatyczny okrzyk: „Policja! Trup! Policja!”.

– Proszę się odsunąć, jesteśmy z policji. – Kwarnicki się powstrzymał, by nie powiedzieć: „To ja jestem policja”.

Dziewczyna, która krzyczała, miała jakieś szesnaście lat – może to tłumaczyło jej nieświadomą skłonność do powtarzania w życiu zachowań bohaterów filmów – musiała naoglądać się zbyt dużo o nieletnich wampirach. Wciąż jeszcze wrzeszczała, kiedy Kwarnicki i Walczak podchodzili do kosza na śmieci, którego zawartość wywołała aż tak gwałtowną reakcję. Wyglądał niepozornie: okrągły, blaszany, włożony w kanciastą konstrukcję z betonu; pełno takich w mieście. Tylko zawartość nie była typowa – reklamówka w kolorze wściekłego różu; taka, w jaką pakują zakupy w jednej z sieciówek z ubraniami. Dziewczyna musiała pomyśleć, że ktoś przez pomyłkę wyrzucił zakupy; może dlatego zajrzała do środka. Ale zamiast fatalaszków wystawał z niej łokieć. Wycelowany prosto w patrzących, biały, ściśle zgięty.

– Ja pierdołę. – Walczak nie zauważył, jak przeżuta guma wylatuje mu z ust. Na szczęście na chodnik, a nie do torby, na której pojawienie się czekała cała stołeczna policja.

*

Miałam na sobie piękną sukienkę z zamkiem od góry do dołu, tak krótką, że kiedy szłam, odsłaniała brzeg koronek u pończoch – już nawet nie tyle seksowną, co wprost wyzywającą. Do tego czarna skórzana kurtka nabijana złotymi ćwiekami, szpilki i Twoja ulubiona fryzura – wysoko upięty kok. Wszystko na nic. Na nic uśmiechy, na nic malowanie ust, na nic ukradkowe spojrzenia. Cały wieczór w pracy czekałam, aż napiszesz do mnie – przecież ostatnio było tak dobrze, tak często, tak regularnie. Niestety, miałeś inne plany, w których nie było miejsca dla mnie. Kiedy skończył się ostatni serwis, czekałeś, aż wyjdę. Powiedziałeś mi nawet „dobranoc”, gdy chowałam rzeczy do szafki. Myślałeś, że jak zwykle przyjechałam samochodem; że wyjdę przed budynek, wsiądę i odjadę; wystarczy chwilę poczekać – przecież robiłeś tak już nieraz. Pech chciał, że tym razem przyszłam pieszo, więc i pieszo musiałam wracać. Na Twoje nieszczęście chwilę zamarudziłam, weszłam jeszcze do łazienki, szukałam czegoś w torebce. Było chłodniej, niż myślałam – tuż po wyjściu zatrzymałam się na chwilę, by włożyć kurtkę. Ułamek sekundy, spojrzenie kątem oka wystarczyło, bym zobaczyła, jak wychodzisz z nią. Znowu z nią.

To dlatego tak długo czekałeś, to dlatego chciałeś, bym wyszła, to dlatego pozostałeś obojętny na bezdyskusyjną urodę moich nóg i ewidentny głód w moich oczach. Rozbrzmiały mi w głowie Twoje opowieści, które serwowałeś w redakcji dziś wieczorem – o tym, jak korzystasz z życia i jak uroczo spędzasz wieczory w Warszawie. To z nią je spędzasz – tak jakbyś ze mną nie mógł wyjść do knajpy. Tak jakbym ja nadawała się tylko do dyskretnego rżnięcia w zaciszu domowych pieleszy. Jakbym była zabawką, której możesz używać, kiedy chcesz, jak chcesz i całkowicie na Twoich warunkach. Nie byłam bez winy, bo pozwalałam Ci na to. Miałam to, na co się godziłam, ale mimo wszystko – nie przewidziałam, że będzie boleć aż tak. Że znów zrobisz mi to samo.

Szłam przed wami, cała nasza trójka w tym samym kierunku. Ja – do pustego domu, Ty i ona – do knajpy w rześką noc albo do łóżka, które nie będzie zimne ani nieprzyjazne. Nie odwróciłam się już, nie spojrzałam za siebie – szłam naprzód dziarskim krokiem, połykając łyzy, których nikt nie widział. Pewnie nawet nie wiesz, czy was widziałam. Może to był błąd, może powinnam była odwrócić się ostentacyjnie i spojrzeć na Ciebie tak, byś był pewien, że wiem. Ty widziałeś mnie na pewno. Ciekawe, czy udało Ci się nie patrzeć na miękkie krzywizny mojego tyłka, ciekawe, czy myślałeś o mnie, idąc z nią u boku. Znowu ona – Paulinka jak powracające przekleństwo, jak bumerang przegranej rywalizacji, jak zadra

w sercu.

Nie wytrzymałam długo – przeszłam na drugą stronę ulicy, byle dalej od was i waszych planów na wieczór. Twoich planów na wieczór, w których nie było dla mnie miejsca. Wiedziałam, że znów będę sobie mówić „nigdy więcej”, że znów będę obiecywać, że już nie pozwolę Ci przyjść do mnie, że tym razem odmówię, że to już koniec – na zawsze, definitywnie, ostatecznie. I że jak zawsze wszystkie te postanowienia nie będą nic warte w obliczu potęgi władzy, jaką miałeś nade mną.

Zdecydowanym ruchem wyjęłam spinkę z włosów. Miałam dość fryzury, którą robiłam dla Ciebie, przez wzgląd na Ciebie, z myślą o Tobie. Wiatr we włosach sprawił, że z powrotem poczułam się choć trochę sobą. Jednak wciąż nie aż na tyle, by nie myśleć rozpaczliwie tylko o jednym – muszę się napić. Muszę się napić, inaczej tego nie wytrzymam. Tylko alkohol mógł choć trochę przytłumić gorzki smak łez i rozmazanych strug tuszu do rzęs. Tuszu, który tak pieczołowicie kilka godzin temu nakładałam dla Ciebie, a który był Ci tak doskonale obojętny w obliczu sztucznych rzęs Paulinki.

*

Nie było dobrze. Może nawet było zupełnie źle. Rzucą się na nas jak hieny na padlinę – ta myśl towarzyszyła podinspektorowi Piątkowi przez całą drogę z laboratorium do gabinetu szefa.

– No, kurwa, gorzej być nie mogło. Mamy wyniki DNA: nasz trup to gość z telewizji.

Mimo wszystko postarał się, by w jego głosie złości było więcej niż obaw.

– Ktoś już o tym wie? – słysząc było, jak komendant przełyka ślinę.

– Jeszcze nie. – Piątek rozsądnie nie policzył siebie, a lekkomyślnie pani z laboratorium.

– I niech tak zostanie jak najdłużej.

– Przecież musimy powiedzieć jego rodzinie.

– Równie dobrze możemy to zrobić... trochę później. Na przykład wtedy, jak znajdzie się głowa.

Może było w tym trochę racji. Na pewno więcej chęci zyskania na czasie, ale i trochę racji.

– Może nawet uda nam się go złapać, zanim znajdzie się głowa.

– To właśnie miałem na myśli. – Komendant spojrzał tęsknie w kierunku słońca za oknem. W pokoju powietrze było tak gęste, że kładło się ciężarem na ich ramionach, garbiło im plecy, opuszczało w dół kąciki ust.

– To się nie może przedostać do mediów. Tak długo, jak tylko się da.

Wyjątkowo w tej sprawie Piątek przyznawał rację swojemu szefowi.

– Weź jeszcze chłopaków od nas, jeśli potrzebujesz. I weź też tych ze Śródmieścia, którzy szukali tego całego...

– Rawskiego. Tak się nazywał. – Piątek lubił dokładność.

– Rawskiego. To oni znaleźli drugą rękę, prawda?

Nawet po dwudziestu pięciu latach w policji niektóre zbiegi okoliczności wciąż potrafiły go zadziwić.

– Oni. Ale jeszcze nie wiedzą, że to fragment ich klienta.

Druga ręka – podobnie jak pierwsza – była zgięta w łokciu i ucięta niezbyt profesjonalnie w stawie ramiennym. Była też wyszorowana – zabójca być może nie był rzeźnikiem, ale na pewno czyścioszkiem.

– No to niedługo się dowiedzą. – Komendant westchnął. Tak jakby mógł dzięki temu zrzucić z piersi choć odrobinę ciężaru. – Weź ich i weź kogo tam, kurwa, chcesz, tylko zrób coś w tej sprawie.

– Zrobię. – Zazwyczaj bał się obietnic, ale to była jedna z tych sytuacji, w których nie dało się ich uniknąć. Siedzący przed nim komendant zbyt dobrze wiedział, że pokpienie tej sprawy może go kosztować stanowczo więcej, niż był w stanie zapłacić za święty spokój i nicnierobienie. Podinspektor Piątek pomyślał o młodym zdolnym, z którym szkolił się u Amerykanów. Szef nie przepadał za wschodzącą gwiazdą, która ani na moment nie przestawała zachowywać się jak gwiazda, ale powaga

sprawy skłaniała do ryzyka.

– Chciałbym Jasiewicza.

– Proszę bardzo. Tyle tylko, że jest w Stanach. Koleżeńska współpraca, wymiana doświadczeń, plaża w Kalifornii. Ty się musisz tym zająć, Piątek. Masz... jak to się mówi? Absolutny priorytet.

Nie było sensu tłumaczyć, że to sprawa ma priorytet, podinspektor Piątek pokiwał więc tylko głową. Jego twarz Clinta Eastwooda była jak wiecznie zamknięta książka. Nie można z niej było wyczytać nic więcej niż to, co autor dał na okładkę. A z całą pewnością nie zamieścił tam notki o euforii, bo taki stan nie przystoi przecież mężczyźnie.

*

Czerwiec nie był już najpiękniejszym miesiącem roku – był tylko kolejnym miesiącem, który Aleksander spędzał z Paulinką. Z nią, z inną, sam. Nie ze mną.

– Ten człowiek jest jak rak. Zjada cię komórka po komórce, tak, że niedługo nic z ciebie nie zostanie – powiedziała Hanka, gdy któregoś dnia poszliśmy się napić po pracy. Tłumy ludzi w barze z taną wódką, odciski wilgotnych szklanek na nie do końca czystym kontuarze, boleśnie znudzona mina kelnera pewną ręką odmierzającego trunku równie podły, jak skuteczny w znieczulaniu.

– Mam już dość myślenia o tym, gdzie jest, zastanawiania się nad tym, co robi, gryzienia się tym, z kim spędza czas. Dość, naprawdę dość. – Mówiłam to wszystko, całkowicie świadoma, że jedyne, co naprawdę chcę wiedzieć, to gdzie jest, co robi i z kim spędza czas. „Lufki dla pań”, leciutki trzask zderzanych kieliszków, na zdrowie.

– Ten kretyn funduje ci wieczną huśtawkę. Ale bądźmy szczerze, ty sama nie chcesz z niej zejść. – Hanka ze swoim zdrowym rozsądkiem, Hanka ze swoim jasnym spojrzeniem, Hanka, która zawsze trafia w sedno.

– Chcę z niej zejść. Tym razem chcę.

O ile dam radę – chciałam dodać, ale obie wiedziałyśmy, że to zbędne. Powątpiewanie w oczach Hanki, „jeszcze kolejeczka dla pań?”, wódka ciepła i szczypiąca w język. Miałam nadzieję, że mówię prawdę.

– Nie chcę go więcej widzieć.

– Najwyższy czas. I tak absurdalnie długo to znosisz – Hanka zerknęła na poszarpaną skórę przy moim paznokciu, na drżenie palców, na moją ściągniętą twarz.

– Już nie będę. Mam dość Paulinki w moim życiu. I Rawskiego, rzecz jasna. Chciałabym, żeby zniknął. Żeby zniknął na zawsze.

Powiedziałam to. Zawsze wierzyłam w słowa, w ich moc i potęgę. W świat utkany ze słów, w werbalne stworzenie, w zakłęcie, które się spełnia. Powiedziałam to, mimo że wierzyłam w słowa. A może właśnie dlatego, że w nie wierzyłam? Powiedziałam.

*

Po tak ekscytującym poranku popołudnie musi być spokojne – naiwna wiara w prawa statystyki i rachunek prawdopodobieństwa przyświecała Kwarnickiemu i Walczakowi, kiedy popychali przeszkłone drzwi baru na ulicy dla amatorów cierpkich trunków i mocnych wrażeń. Jedna z tych modnych knajp z wódką na stojąco, siermiężna, jakoby igrająca ze stylistyką minionej epoki, a tak naprawdę po prostu tania. Setka – już sama nazwa sugerowała brak zbędnego wyrefinowania, co wewnątrz skwapliwie potwierdzało. Zakurzone ałasowe abażury ze złotymi frędzlami, niewygodne metalowe stołki, zaśniedziałe lustra, które jakoś nie chciały odbijać pięknych twarzy – wszędzie tylko te brzydsze. W założeniu bar był może przeznaczony dla warszawskich lanserów i modnisiów, którzy na fali nostalgii chcieli strzelić lufę i zjeść śledzika jak z opowieści rodziców, szybko jednak osunął się w kierunku zwykłej speluny, gdzie podejrzenie łatwo spaść ze stołka albo zarobić w zęby w bramie obok. Kwarnicki

lepiej czuł się tylko w burdelach albo na tyłach nielegalnych kasyn. Tatar, paszтет, biała kiełbasa, zimne nóżki – menu wisiało na ścianie, na tablicy z przesuwanymi literkami jak w barze mlecznym. Nie był głodny, inaczej trudno byłoby mu się zdecydować. Walczak tymczasem myślał tylko o tym, jak to dobrze, że nawet w takiej mordowni nie wolno już palić. Pochwalona niech będzie ustawa o zdrowiu publicznym. Dziewczyna za barem stała do nich tyłem, energicznymi ruchami wycierała kieliszki; nawet w panującym tu lekkim półmroku ścierki w jej rękach nie można było nazwać czystą.

– Dzień dobry. – Kiedy barmanka się odwróciła, Walczak wyrecytował formułkę ze stopniami i przynależnością służbową. Dziewczyna wyglądała na nieufną; w pewnych zawodach nie lubi się policji, dziwnym trafem profesja barmana należy do tej grupy.

– Od jak dawna pani tu pracuje? – Walczak starał się być przyjazny. Lepiej, żeby to on zaczynał rozmowę.

– Od roku. – Dziewczyna miała koszulkę z odrobinę zbyt dużym dekoltem, grzywkę trochę za bardzo pozlepianą lakierem i tipsy ozdobione stanowczo zbyt licznymi cyrkoniami. Gdyby nie ten nadmiar, amatorom zdrowych chłopskich córek mogłaby się wydać nawet ładna, z twarzą pełną i gładką, z rumieńcem na policzkach, z okrągłymi piersiami rozpychającymi poliester bluzki. – Rok temu przyjechałam do Warszawy i od razu dostałam tu pracę. – Kiedy się uśmiechnęła, krąg tych, którym mogła wydawać się ładna, rósł znacząco. Była w niej świeżość – odrobinę zmacona, ale wciąż jeszcze pierwsza.

– To świetnie. – Walczak uśmiechnął się tak, jak robią to grzeczni chłopcy z dobrych domów na drodze do przeobrażenia w przykładowych ojców rodzin. – W takim razie na pewno dużo pani wie o stałych bywalcach. Na przykład o tym.

Podsunał barmance pod nos zdjęcie Rawskiego. Wydrukowane z internetu na zwykłym papierze trochę się już pogniotło, ale wciąż było dostatecznie wyraźne. Przez twarz dziewczyny przemknął cień tak wyraźny, że cały nędzny wystrój baru na chwilę utonął w mroku. Nie było już świeżości, został tylko grymas czegoś pomiędzy odrazą a bólem, palce wypuszczające kieliszek, trzask szkła o podłogę.

– Przepraszam – zdążyła z siebie wyrzucić, zanim zniknęła na zapleczu.

Walczak spojrział na Kwarnickiego z niedowierzaniem; przecież był miły, prawda? Trzasnęły drzwi od zaplecza, ale dziewczyna nie wróciła – zamiast niej przy kontuarze pojawił się ktoś łyсы, postawny i wyglądający bardziej na wykidajkę niż na barmana. Niemniej z przeczącą jego wyglądowi delikatnością ruchów wziął się za wycieranie kieliszków pozostawionych przez poprzedniczkę. Chociaż resztki tego słuczonego musiały mu chrząścić pod butami, nawet na nie nie zerknął. Podobnie jak na zdjęcie Rawskiego, które zostało na kontuarze.

– Czym mogę panom służyć?

– Co jej się stało, do cholery? – Kwarnicki miał już dość uprzejmych uśmiechów Walczaka.

– Powiedzmy, że przywołaliście panowie przykre wspomnienia. Mogę służyć czymś jeszcze?

– Posłuchaj pan – Kwarnicki się wyprostował i spojrział w oczy swemu rozmówcy. Nie dość, że były nieduże, to jeszcze nieokreślonej barwy. – Prowadzimy poszukiwania faceta, który należał do stałych bywalców waszej knajpy. Chcemy się dowiedzieć, czy był u was dwudziestego drugiego sierpnia po dwudziestej trzeciej. Jeśli pańska koleżanka coś o tym wie, to będzie lepiej – przede wszystkim lepiej dla niej – jeśli nam o tym powie. Ta sprawa to nie są przelewki, jasne?

Barman pierwszy spuścił wzrok. Wprost na zdjęcie Rawskiego.

– To wszystko jest trochę skomplikowane... Ten gość tu bywał, ale nie o to chodzi. Marta...

Marta? Obaj policjanci jednocześnie pomyśleli o tym samym. Trzynasta dziewięć, piątek, nieodebrane połączenie w telefonie Rawskiego. Wcześniejsze połączenia z tego numeru – raz odebrane, raz nie. Numer należał do Marty Bobrek, zameldowanej w Nowej Wsi, gmina Ciechanów. Która to Marta

Bobrek zamieszkiwała w Warszawie na ulicy Pereca w mieszkaniu wynajmowanym w cztery osoby – tak przynajmniej stwierdził jej ojciec, kiedy udało się go oderwać do telefonu od pracy w polu. I która to Marta Bobrek prawdopodobnie nalewała wódkę i podawała serdelki w szemranym barze w samym sercu stołecznego Śródmieścia. Kwarnicki i Walczak nie mogli uwierzyć w swoje szczęście – rozmowa z tajemniczą Martą i tak by ich nie ominęła, a tymczasem mają zgrabne dwa w jednym. I to w dodatku z zaangażowaniem emocjonalnym i potłuczonym szkłem w tle.

– Proszę mówić dalej. Rozumiem, że coś łączy pańską koleżankę z Aleksandrem Rawskim?

– Aleksander Rawski? Tak się nazywa? – W głosie barmana pobrzmiwało tłumione zainteresowanie. Cudze życie zawsze bywa ciekawsze niż własne, pomyślał Kwarnicki. Ostatecznie przecież coś o tym wiedział.

– Tak.

– Nie wiedziałem. Spędzał tu dużo czasu, ale nigdy się nie przedstawił. W ogóle nie mówił wiele. Był raczej jednym z tych gości, co to biorą butelkę, lokują się pod ścianą, siedzą i patrzą. – Kwarnicki był bardzo zadowolony z nagłej rozmowności barmana. Nigdy nie należy wątpić w siłę pokusy bezkarnej obmowy bliźnich. Zwłaszcza obmowy w celu szlachetnym i szczytnym. – I tak sobie wypatrzył Martę.

– Do czego wypatrzył? – Kwarnicki lubił pracować z Walczakiem, ale jego poczciwość czasami utrudniała mu życie.

– Do czego, do czego... No do łóżka, no. – Barman ściszył głos do konfidencjonalnego szeptu. Tak aby koleżanka na zapleczu w żadnym razie nie mogła go usłyszeć. Przez twarz Walczaka przebiegł grymas. Paulinka, barmanka, kto jeszcze? Nie potrafił zrozumieć stylu życia Rawskiego, nie umiał też ukryć swojej dezaprobaty. Podszytej poczuciem wyższości, rzecz jasna. Poczuciem wyższości musującym rozkosznie jak bąbelki szampana.

– Od jak dawna to trwało? – Kwarnicki lubił konkrety. Wcale nie potrzebował niedopowiedzeń, by jego wyobraźnia pracowała na pełnych obrotach.

– Nie wiem, ze cztery miesiące? Może z pięć. Ale to nie był właściwy facet dla Marty, mówiłem jej – rzucił do Kwarnickiego, jakby ten w ciągu pięciu minut przeobraził się w jego najlepszego kumpla. – Cały ten romans był do niczego. Gość raz był, dwa razy go nie było, a Marta się szarpała. Szkoda jej było dla niego. No, ale cóż... facet z telewizji, dziewczyna się nakręciła. A ostatnio to w ogóle nie chciał się z nią zadawać – dodał tonem donosu.

– Będziemy musieli porozmawiać z panią Martą. Może spróbuje ją pan do nas poprosić?

Poważna prośba, odpowiedzialna misja, ambitne zadanie.

– Jasne, spróbuję. – Baczność i pełna gotowość. Jak dobrze, że bar o tej porze był pusty.

– Proszę nam jeszcze tylko powiedzieć, czy widział go pan tutaj w czwartek dwudziestego drugiego sierpnia?

– Nie było go wtedy. – W jego głosie pobrzmiwała taka pewność siebie, że nawet Kwarnicki uznał za stosowne mu uwierzyć. – Ostatni raz był w poniedziałek. Pił jak zwykle, czyli trochę za dużo. Pamiętam to dobrze, bo pocieszałem wtedy Martę.

– Trzeba ją było pocieszać?

– Tak. Zachowywał się tak, jakby w ogóle jej nie znał. – Barman przeszedł w kierunku zaplecza. Chwila ciszy, efektowna pauza, szczerza opinia na odchodne. – Kawał chuja był z niego.

Jego ostatnie słowa zawisły w powietrzu. Wisiały tam jeszcze wtedy, kiedy wrócił z zaplecza z bezradnie rozłożonymi rękami.

– Nie ma jej. Wyszła, uciekła, zabrała swoje rzeczy.

Kwarnickiego i Walczaka wiele różniło, ale obaj posiadali umiejętność właściwej oceny rangi wydarzeń. To było bardziej niż interesujące. Właściwie co by się stało, gdybym zapalił jednego? Wizja

dymu, który rozjaśnia myśli i oczyszcza umysł, rosła w głowie Walczaka. Rosła i rosła, ale też dzwoniła wściekłą wibracją.

– Cholera, to mój telefon. – Nie mógł odgonić od siebie tytoniowych oparów, które ruszyły nań z każdego zakamarka wyobraźni. Wreszcie w którejś z kieszeni znalazł aparat.

– Co?! Naprawdę?! – Wyraz twarzy kolegi pozwolił Kwarnickiemu zrozumieć, że stało się coś naprawdę ważnego. Coś, co było w stanie przyćmić nawet nikotynowe pożądanie.

– Tak, dobrze, oczywiście. Jesteśmy zaszczyceni, tak.

Kwarnicki usiłował zrozumieć, czym jego kolega może być zaszczycony. Mimo wszystko takie słownictwo nie zdarzało się u nich na co dzień. „Dziękuję, do widzenia” – Walczak zakończył rozmowę.

– Wychodzimy stąd. – Ekscytacja nie pozbawiła go resztek ostrożności. Dopiero kiedy znaleźli się na ulicy, z daleka od nadstawionych uszu wścibskiego barmana, podzielił się z Kwarnickim elektryzującą wieścią.

– Rawski nie żyje. Słynny trup w kawałkach to on.

– Żartujesz!

– I mało tego. W stołecznej powołał specjalny zespół. Śledztwo dekady, pełna mobilizacja i takie tam. Kierownikiem jest Piątek.

Kwarnicki gwizdnął. Wszyscy w warszawskiej policji słyszeli o posepnym podinspektorze z nieruchomą twarzą, który wsadził za kratki kilku czołowych stołecznych gangsterów.

– No i teraz bomba. Nasza robota nie pójdzie na marne. Chcą nas do tego zespołu.

W oczach Walczaka paliły się takie same iskry jak wtedy, gdy się dowiedział, że będzie ojcem. Nie było już w ogóle tematu palenia. Były tylko wielkie nadzieje i podniecenie małego chłopca, który dostał nową i piękną zabawkę. Ostatecznie praca z Brudnym Harrym z Pałacu Mostowskich to nie byle co. A nawet coś całkiem dużego.

*

Jednak słowa mnie nie wyzwoliły. Może dlatego, że były tylko pobożnym życzeniem, nie zaś prawdą? Chciałam go widzieć, chciałam, by on jak najczęściej widział mnie, chciałam, by widząc mnie, myślał o wszystkich święństwach świata. To niepowstrzymane pragnienie nie dawało mi spokoju. Każdy wieczorny dyżur był jak pole walki, jak strategiczne wyzwanie, jak szansa na zdobycie przyczółków. Po przyjściu do pracy najpierw zawsze sprawdzałam, czy on już jest. Program komputerowy, na którym pracowaliśmy, miał uroczą opcję „pokaż wszystkich zalogowanych pracowników”. Korzystałam z niej bez opamiętania. Czy Aleksander już jest? Czy przyszedł do pracy? Czy już mogę szykować się do małego spaceru po redakcji? Cześć, co słyhać? Macie może dzisiejszą gazetę? Albo torebkę herbaty ekspresowej? Muszę nanieść zmiany na grafiku. Przyszłam do Hanki. Stek bzdurnych pretekstów, które służyły tylko temu, bym mogła mu się pokazać. Bym mogła sprawdzić, że siedzi przy jednym z biur, a Paulinka jest daleko od niego.

Czasem, gdy nie prowadził „Przeglądu Dnia”, tylko samą „Arenę”, wieczorny program publicystyczny, wizyty w newsroomie nic nie dawały. Publicystyka miała swoją kanciapę gdzieś daleko, na końcu korytarza, w strategicznym kącie tuż przy automacie z colą i batonikami. W przerwach między serwisami ruszałam więc w powolny spacer pustawym korytarzem. Nie wzbudzając niczyich podejrzeń, przemierzałam przestrzeń drugiego piętra – od reżyserki przez zestawy montażowe po załomy korytarza i królestwo warszawskich programów lokalnych – szłam po prostu kupić sobie coś słodkiego. Przecież czystym przypadkiem byłoby, gdyby Aleksander wracał akurat z garderoby albo z charakteryzatorni. Jeśli tam nie udało się go spotkać, nic straconego. Zawsze jeszcze mogłam pójść do łazienki w połowie drogi między pokojem publicystyki a studiem. Nic to, że miałam inną łazienkę dużo bliżej; Aleksander musiał przecież przyjść na program do studia. Jeśli tylko odpowiednio obliczyłam czas, mogłam spotkać go

w służbowym garniturze, w telewizyjnym makijażu, zdążającego z plikiem kartek. Gotowy do występu przypominał zwierzę składające się do skoku; skoncentrowane, ale spokojne. Lubiłam moment, gdy mijałam go na korytarzu, nadchodząc z naprzeciwka, ale jeszcze lepiej było, gdy wychodziłam z łazienki akurat wtedy, gdy nadchodził. Mogliśmy wówczas iść chwilę tuż obok siebie; nie mógł nie patrzeć na moje nogi i tyłek, gdy przepuszczał mnie w drzwiach. Czasem mówił coś o mojej sukience, patrzył na mnie wzrokiem, w którym szukałam propozycji, nigdy się nie uśmiechał. Zawsze po takim spotkaniu czekałam na wiadomość od niego. Wystawianie się przed jego oczy, przypomnienie o sobie, poniżająca parodia kuszenia. Nie myślałam o tym, ile jest warte pożądanie, które budzi się tylko wtedy, gdy ma się obiekt blisko, przed sobą, na wyciągnięcie ręki. A najlepiej, by na korytarzu był oprócz nas ktoś jeszcze. Spojrzenia innych ślizgające się po mnie były niezawodnym gwarantem iskier w jego oczach. Iskier, które jednak boleśnie rzadko przekładały się na ciąg dalszy.

*

Widziała ich już. Justyna Rawska nie miała wątpliwości, że już ich widziała. Tylko kiedy, gdzie, w jakim kontekście? Czyżby już wcześniej stali na schodach jej domu tak jak teraz, w środowy poranek, po pierwszej od prawie tygodnia nocy, którą udało jej się przespać? A może to było w kuchni? Nadmiar białego wina i środków uspokajających nie pozwalał jej sobie przypomnieć.

– Dzień dobry, aspirant Mirosław Nowacki.

– I starszy aspirant Andrzej Małek.

Ich nazwiska jak refren piosenki, którą już słyszała. Jakoś, gdzieś, kiedyś.

– Panowie byli już u mnie, prawda?

– Owszem. – Policjanci spojrzeli w jej oczy szare, szklane i nieprzytomne. Prawie nie miała źrenic.

– Pani Justyna Rawska?

Wiedzieli przecież, jak się nazywa, ale pokusa zyskania jeszcze tej jednej czy dwóch minut okazała się zbyt silna.

– Tak, to ja. – Było coś w ich minach, w ich głosach, co zdołało rozgonić benzodiazepinowy obłok panoszący się w jej głowie. Coś strasznego i zimnego, co przebiło się przez ochronny pancerz chemicznego wyciszenia. Nie wiedziała, nie mogła wiedzieć, a jednak zrozumienie było jak błysk. Tabletki w jednej chwili przestały działać.

– Co się stało?

Wszystko było w ich twarzach. Był tam strach, było rozżalenie na tak niewdzięczną misję i była może nawet odrobina współczucia. Justyna wodziła oczami od jednej nienaturalnie poważnej miny do drugiej. Ta cisza nie mogła już trwać dłużej. Tylko kto miał powiedzieć to, co musiało zostać powiedziane?

– Nie żyje, prawda? – Źrenice nagle przywrócone do normalnych rozmiarów, dłoń oparta o futrynę, ledwo zauważalne drgnięcie kącików ust.

– Bardzo nam przykro. Musimy poinformować panią o śmierci pani małżonka.

Wyrok, od którego nie przysługuje odwołanie – ostateczny, nieodwracalny, zaskakujący niezależnie od tego, że przeczuwany. Aleksander nie żyje – nie żyje już na zawsze.

– Tożsamość określono na podstawie badań DNA. Niestety, konieczna będzie identyfikacja. Przykro nam, naprawdę bardzo nam przykro.

Ludzki rys w urzędowym bełkocie. I tak nie mógł pomóc. Już nic nie mogło pomóc. Policjanci mówili coś o zakładzie medycyny sądowej w Warszawie, o tym, że trzeba będzie pojechać, że współczują, że zły stan zwłok. Mówili coś o bulwersującej zbrodni, że sprawca na pewno się znajdzie, że wszystko się wyjaśni. Tak jakby cokolwiek było jeszcze do wyjaśnienia. Nie będzie już nigdy więcej wyjaśnień, nigdy więcej dobra ani zła, nigdy więcej słów. Będzie tylko pustka – taka jak ta, której policjanci przestraszyli się na twarzy wdowy.

Czasem okoliczności były łaskawe mi sprzyjać, choć nawet o tym nie wiedziałam. Tak jak tego dnia pod sam koniec czerwca – dnia, w którym deszcz nie chciał przestać padać. Miałam wolne, sądziłam, że Aleksander również, bo z tego, co skrupulatnie sprawdziłam w grafiku pracy, wynikało, że w wieczornym paśmie królował dziś jego zmiennik. Nie przypuszczałam więc nawet, że jest w Warszawie. Dom, żona, córka, czyli wszystko to, co bolało na tyle, by nie chcieć o tym myśleć. Nie było widoków nawet na nędzną pociechę w postaci perwersyjnej przyjemności oglądania go na ekranie. Tymczasem myliłam się – podczas gdy ja spędzałam przedpołudnie z Alice Munro, Aleksander siedział na niewygodnym stołku barowym jakiś kilometr ode mnie w knajpie znanej pod swojską nazwą Setka. Nie był tam sam, ale tego – podobnie jak i całej reszty – dowiedziałam się dopiero pół godziny później. Najpierw dostałam wiadomość. „Jak sobie radzisz z deszczem?”. To było tak bardzo nie w jego stylu, że na moment zwątpiłam, czy aby na pewno on jest autorem. Kolejny esemes rozwiął wątpliwości. „Wzięłam dziś poranek za Michała i teraz wetuję sobie wstawanie przed świtem”. Skojarzenia były oczywiste – pijackie przedpołudnie, barowa pogoda, dźwięk butelek słyszalny w szumie deszczu. „Dotrzymać Ci towarzystwa?” – napisałam w nadziei na zaproszenie. „Tu byś nie pasowała. Zajrzę do Ciebie” – to było wszystko, ale i tak więcej, niż spodziewałam się jeszcze krótki czas temu. „Tylko ostrzegam: dziś nadaję się co najwyżej do tego, by ze mną pogadać” – uczciwie było uprzedzić go o tym, że moja miesięczka może zniweczyć jego plany. Odpowiedź była zastanawiająca. „To nie ma znaczenia. Będę za chwilę”.

I rzeczywiście pojawił się za chwilę. Marny kwadrans wystarczył mu na całkiem długi – i bardzo mokry – spacer. Od razu się zorientowałam, że jest pijany. Ale nie tylko pijany. Pośpiech jego rąk, siła uścisku, władczość ruchu, którym zrywał ze mnie sukienkę, nosiły znamiona intensywności tak wielkiej, że aż niepokojącej. Aleksander był taki jak zwykle, ale bardziej.

– Daj spokój, mam okres. – Spróbowałam odsunąć go od siebie, chociaż pulsowanie w moim podbrzuszu wcale nie było związane z przypadłością, o której mówiłam.

– To nieważne. Nie szkodzi.

Poczułam, jak wciska się we mnie coś zupełnie innego niż tampon. Po jego dłoniach spływały strużki ciepłego deszczu, tak jak nitki krwi po moich udach. Nie przeszkadzało mu to, nic mu nie przeszkadzało. Usta miał mokre, a oczy głodne, kiedy tak trafiał do mnie, wypełniał szczelnie, rozpychał gwałtownie. Tyle że jego gwałtowność nie była tą, która nęci i odrobinę przeraża, ale zawsze zamyka się w jakichś – podświadomie choćby wyczuwalnych – granicach. To nie było przedstawienie ku podnieceniu serc, on robił to z przekonaniem. Z przekonaniem na tyle wielkim, że uwierzyłam w siłę jego pragnienia. A może nawet czegoś więcej. Wilgoć i ślina, śluz i pot, deszcz i krew – wszystko mieszało się ze sobą, kiedy popchnął mnie do pokoju, oparł o mebel i brał mnie od tyłu, patrząc na nasze odbicia w lustrze. Lubił patrzeć, lubił mówić, lubił zatracać się w orgazmie tak, że na moment pomieszanie zmysłów odbierało mu wzrok.

– Naprawdę to masz. Naprawdę masz najładniejszy tyłek w firmie – powiedział, kiedy tylko znów mógł mnie dostrzec.

– A kto tak twierdzi?

– A paru takich.

I wtedy już wiedziałam. Umiałam już wytłumaczyć poryw jego żądz, nagły apetyt, zachłanność, z którą mnie brał. Aleksander Rawski zobaczył mnie w oczach innych. „Paru takich” sponsorowało naszą dzisiejszą namiętność. I to dlatego właśnie nic – nawet fizjologia – nie mogło jej przeszkodzić.

– Dwóch moich kolegów z Opola zaczęło pracę w „Głosach Powiatów”.

Mówił o nowo powstałej redakcji, która miała spełniać mało dochodową, ale za to zaszczytną misję

informowania o wydarzeniach z życia prowincji. Głos ludu, blisko prostych spraw, interwencyjne tematy społeczne. Czyli w praktyce dziura w drodze i podpalona stodoła, a jak dobrze pójdzie – jakaś pikietka albo awantura w sejmiku wojewódzkim.

– Spotkałem ich dzisiaj, razem jeszcze z takim jednym. Moi starzy znajomi.

Pamiętałam, że Aleksander kilka lat spędził w niełasce, czyli na wygnaniu w opolskiej filii firmy. Dziur w drodze i awantur w sejmiku wojewódzkim musiał tam mieć pod dostatkiem, a więc serdecznie dość. Wymienił mi szybko trzy nazwiska.

– Znasz ich?

Znałam dwóch. Wprawdzie nie zostaliśmy sobie przedstawieni, ale dziewiętnastowieczne konwenanse nie miały znaczenia wobec luźnych telewizyjnych obyczajów spotkań w bufecie, w palarni czy u montażyistów. Mimo to postanowiłam powołać się na zaniedbane formy towarzyskie.

– Wiem, którzy kto, ale tak właściwie to ich nie znam.

– To dziwne. Bo oni doskonale znają ciebie. – W jego głosie zagrało coś na pograniczu nieokreślonej złości i bardzo konkretnej złośliwości. – Jakoś wszyscy cię znają w tej firmie.

– Pracuję tu już kilka lat, a jak sam dobrze wiesz, nietrudno u nas znać kogoś z widzenia.

Czułam się idiotycznie, tłumacząc mu takie rzeczy. Jednak jego intencje były odmienne od tych, o które go podejrzewałam.

– Joanna Madecka, legenda tej firmy. Skarb schowany w reżyserce. Jakoś dziwnie znają cię wszyscy faceci. I wszyscy chcieliby robić z tobą tylko jedno.

– Przesadzasz – powiedziałam, chociaż przecież byłam świadoma znaczenia niektórych spojrzeń i charakteru pewnych, z pozoru niewinnych, propozycji.

– Kiedy ich dzisiaj spotkałem – wrócił do historii o swoich kolegach z Opola – poszliśmy do Setki, wiesz, tej knajpy niedaleko firmy, do której czasami chodzę.

Do której nigdy mnie nie zabrałeś, dokończyłam za niego w myśli.

– I oni przez cały czas mówili tylko o tobie. Czy cię znam, czy wiem, kim jesteś i w ogóle. A jak już wypili, tylko o tym, co chcieliby z tobą zrobić. – Nie słyszałam w jego głosie żadnych pretensji, żadnej zazdrości ani nawet żadnego oburzenia. Tylko dumę. – To było naprawdę żalosne. Te ich rojenia, fantazje, zachwyty. Cały czas myślałem sobie: „Co wy, idioci, możecie o tym wiedzieć”. I nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo mnie to kręci, że oni o tym gadają, a ja to po prostu mam. – Sięgnął ręką do mojej piersi tak, jakby należała do niego.

Mam bujną wyobraźnię. Potrafiłam sobie wyobrazić nie tylko to, jak bardzo go to kręci, ale i jak marna to w gruncie rzeczy podnieta. Jak krucha i zależna od zmiennych wiatrów cudzych fascynacji. Jego niepohamowana namiętność, jego zachłanność, jego niczym nieograniczone pożądanie – wszystko to było tylko odbiciem. Jakby sam nie potrafił dostrzec tego, co miał przed sobą; potrzeba mu było cudzych oczu, cudzych wrażeń, cudzych apetytów. Odblask tylko, nie ogień, erzac zamiast miodu, poczucie własności w miejsce uczucia. Jakby potrafił odnaleźć mnie na dnie cudzych oczu, podczas gdy jego własne pozostawały puste.

*

– Przepraszam cię, kochanie. Muszę, tak. Ważna sprawa jest. Inaczej nie zostawiałbym cię tak długo samej. Tak, coś dużego. Będę uważał na siebie, tak. Pa, skarbie, muszę kończyć.

Kwarnicki nie lubił słuchać rozmów Walczaka z żoną. Zawsze były takie same – grzeczne, czułe, do wyrzygania. Ciekawe, jak długo jeszcze uda mu się kroczyć jasno wytyczoną ścieżką? Kwarnicki nie mógł się doczekać, aż będzie świadkiem małej pomyłki w trasie, drobnego rozminięcia się mapy z terenem, pozornie niegroźnego zejścia z wyznaczonego szlaku. Mówią wprawdzie, że nie wszyscy skracają w stronę urwisk, bagien i mokradeł, ale jakoś w to nie wierzył.

– Skończyłeś już? Przecież nie będą na nas czekać.

Walczak po drodze zerknął jeszcze na wyświetlacz telefonu. Jakby się zastanawiał, czy może dodatkowo nie napisać esemesa. W małej salce, do której weszli, siedziało już kilku mężczyzn. Kwarnicki miał nadzieję, że nie czekają tylko na nich.

– Dobrze, wreszcie jesteśmy w komplecie. – Jedno spojrzenie posępnego mężczyzny w skórzanej kurtce rozwiało jego złudzenia. Po cholerę mu kurtka, kiedy jest tak ciepło? Kwarnickiemu przeszły przez myśl określenia takie jak pozerstwo czy szpan, ale szybko przysłonił je obraz bluzy, z którą sam nie lubił się rozstawać. Nawet wczoraj, chociaż pogoda była identyczna.

– Panowie...

Podinspektor Andrzej Piątek potoczył wzrokiem po twarzach zgromadzonych. Na żadnej nie dostrzegł zniechęcenia, za to na kilku stanowczo zbyt wiele radosnego oczekiwania. Czy nikt im nie powiedział, że nie jesteśmy harcerzami i nie wybieramy się do lasu na podchody?

– Jak wiecie, sprawa jest poważna i ma absolutny priorytet. To słowa komendanta. – Może niedokładnie tak się wyraził, ale na pewno to właśnie miał na myśli. – Nie musimy oszczędzać. Mamy tylu mundurowych i tyle analiz w laboratorium, ile chcemy. Ale musimy wziąć się do roboty. I to ostro. – Wiedział, że wyraz jego twarzy wystarczy, i tak jednak nie mógł sobie darować małego wzmocnienia. – Facet był prezenterem w telewizji, nie muszę wam mówić, co to znaczy. Na razie udało nam się, by to nie wyciekło do mediów, ale wiecie, że tak się nie da w nieskończoność. I wiecie też, co wtedy będzie.

Wszystkie twarze jak na komendę przybrały poważny wyraz zrozumienia i troski. Może poza jedną – młody komisarz ze Śródmieścia wciąż wydawał się po prostu zadowolony. Z siebie, z życia, z tego, że żona czeka na niego w domu.

– Dlatego dobrze by było, gdybyśmy się pospieszyli. Nie będziemy się tu bawić w żaden amerykański film – po kilku twarzach przemknął cień rozczarowania, gdyż pewnie właśnie na to mieli nadzieję – ale musimy wszyscy razem zastanowić się nad sytuacją.

Właściwie pożałował, że jednak nie zażądał papierowego standu i kolorowych markerów ani korkowej tablicy i pinezek. Wydrukowane dla każdego notatki musiały wystarczyć.

– Zobaczmy więc, co tu mamy. Aleksander Rawski, urodzony 30 marca 1968 roku we wsi Skorogoszcz pod Opolem.

Gdyby miał rzutnik, twarz martwego prezentera mogłaby teraz ukazać się na ścianie w całej okazałości. Pożałował, że tak bardzo się bał posądzeń o filmowe inklinacje.

– Matura w liceum w Opolu, nieukończone studia prawnicze, pierwsza praca w radiu, a później już telewizja. I tak przez ponad dwadzieścia lat. Ze zmiennym szczęściem – program na ogólnopolskiej antenie, ale jednak nigdy nie główne wydanie dziennika. Później nieudany eksperyment ze stacją regionalną, wreszcie miękkie lądowanie w Kanale Szóstym. Żonaty, jedno dziecko.

Piątek odrobił pracę domową i tego samego oczekiwał od reszty.

– Więcej szczegółów znają komisarz Walczak i komisarz Kwarnicki ze Śródmieścia. To oni prowadzili poszukiwania po tym, jak żona Rawskiego zgłosiła zaginięcie. Panowie, proszę.

Podinspektor skinął głową dwóm młodym policjantom. Przez chwilę się zastanawiali, który z nich ma mówić, wreszcie zaczął ten mniej zadowolony. Piątek zauważył dziwny blask w jego oczach, kiedy szczegółowo i dokładnie przedstawiał rezultaty trzech dni pracy. Tak jakby kreślenie obrazu daleko odbiegającego od wizerunku szanowanego pracownika, dobrego męża i przykładnego ojca sprawiało mu przyjemność. Miny mężczyzn zebranych w pokoju wydłużały się wraz z każdą kolejną rewelacją. Kochanki, alkohol, tryb życia tyleż rozrywkowy, co wyczerpujący. Śliska pajęczyna kłamstw, więzi pozorne i tylko jemu wygodne, życie wyciskane jak pomarańcza dla egoistycznej zachcianki wypicia soku. A do tego kilka niejasnych powiązań, duża porcja pewności siebie, szczypta arogancji. Piątek był

bardziej niż zadowolony, że wziął tych dwóch – zdążyli już pogrzebać w życiu prywatnym ofiary, i to całkiem nieźle, sądząc z tego, co słyszał.

– Sami widzicie, panowie. Jest pięknie – zakończył komisarz Kwarnicki, a Piątek nie wiedział, na ile to zakończenie było żarciem. Ani nawet czy w ogóle nim było.

– Taak... – na chwilę stracił wątek, co zdarzało mu się naprawdę rzadko. – A teraz pan prezydent występuje w kawałkach. Rzecz jasna, wierzę w technikę kryminalistyczną, ale pyłki pyłkami, a decyduje zawsze motyw. Stary, dobry motyw. – Poczł przyplływ nowych sił, kiedy przedstawiał im swoje credo śledczego równie staroświeckiego, jak skutecznego. – A tu jest tego aż nadto. W przeciwieństwie do śladów. Musimy się przyjrzeć bardzo dokładnie i bardzo blisko całemu jego otoczeniu.

– Kochanki. To oczywiste na początek – odezwał się ktoś z końca stołu.

– Jutro rano będziemy mieć billingi telefoniczne. Razem z treścią esemesów, poprosiliśmy z ostatniego pół roku – odezwał się drugi z policjantów ze Śródmieścia. Ten z zadowoloną miną. Może rzeczywiście miał do niej podstawy? Działali sprawnie i mieli już nawet parę rzeczy. Którymi teraz łaskawie dzielili się z kolegami.

– Zajmiemy się tym. – Piątek nie chciał nadmiernie podkreślać osiągnięć dwóch młodych ze Śródmieścia. – Musimy pomyśleć, co dalej. Czego możemy się spodziewać.

– Głowy – odpowiedział ktoś spod ściany. Kilku policjantów nieśmiało parsknęło śmiechem, tak jakby nie byli pewni, czy wypada.

– Głowy – łaskawie zgodził się Piątek. Znów wrócił do rytmu, to był dobry znak. – To ostatnia część ciała, której zabójca musi się pozbyć. Park Skaryszewski, Las Kabacki, Pole Mokotowskie. A później Dworzec Centralny i dworzec Polskiego Busa. Zamienił parki na miejsca związane z transportem. A co wybierze teraz?

Piątek popatrzył na swoich współpracowników. Może nie byli najlepsi, ale musieli przynajmniej spróbować.

– Chyba nie chodzi o to, że to miejsca związane z transportem. Chodzi o to, że to miejsca związane z Rawskim. – Znowu chłopak ze Śródmieścia. – Rawski kursował między Warszawą a Opolem. Często jeździł albo z Centralnego, albo autobusem z dworca Polskiego Busa.

Wszyscy słuchali z minami pełnymi skupienia, kiedy komisarz Marcin Walczak tłumaczył niuanse zastanawiająco częstych podróży Aleksandra Rawskiego. W czasie, gdy siedem par oczu w dusznej salce w Pałacu Mostowskich z uwagą śledziło ruchy jego ust, oczy żony komisarza Walczaka znużyły się patrzeniem w telewizor. Przeczytała już paski informacyjne wszystkich stacji – wreszcie trochę się uspokoili z tymi częściami ciała znajdowanymi w Warszawie. Po wczorajszej awanturze z korpusem w walizce musieli uznać, że chwilowo wystarczy. Albo po prostu nic nowego nie działo się w tej sprawie. Wioletta Walczak miała jakieś niejasne podejrzenia, że przedłużająca się nieobecność jej męża może mieć związek z tą makabrą. Cóż, taka praca – zabójca w mieście, wszystkie ręce na pokład. Wyłączyła telewizor, miała dość na dziś. Wyjrzała przez okno – wśród podmuchów wiatru nad Warszawę nadciągał zmierzch. Niespieszny, letni zmierzch po jednym z ostatnich dni pełnych słońca. Cienie stawały się coraz dłuższe, ale wciąż jeszcze było jasno – przygaszona szarość zastępowała kolory dnia, a mat wypierał blask. Delikatnie, dyskretnie, nieubłaganie. Było wpół do dziewiątej, miała więc jeszcze co najmniej pół godziny, zanim się ściemni. Marcina nie było od rana; cały dzień spędziła sama w czterech ścianach trzydziestometrowego mieszkania w bloku tuż przy placu na Rozdrożu. Przecież do Łazienek mam dziesięć minut drogi – pomyślała, wiedząc, że jeszcze zdąży przed nocą. Rażniej będzie czekać na męża wśród ludzi, pawi i róż.

Wioletta Walczak miała już dość siedzenia samej, już dość ścian, sufitu i podłogi – wzięła do ręki torebkę i nie zastanawiając się wiele, wyszła z mieszkania. Kolacja dawno była gotowa, jedyny pokój

posprzątany, wszystkie kanały w telewizji sprawdzone i niezakwalifikowane do oglądania. Często chodziła do Łazienek – bliskość ogrodu stanowiła jedną z nielicznych zalet mieszkania w ciasnej klitce odziedziczonej po dziadku Marcina. Niestety, wciąż nie było ich stać na remont. I pewnie długo jeszcze nie będzie – pomyślała, zagłębiając się w podziemne przejście pod ruchliwym skrzyżowaniem, a później idąc w kierunku bramy parku. Dziecko to duże wydatki; ich skala była teraz głównym tematem jej rozmyślań, nawet wśród drzew i zieleni. „Łazienki Królewskie – kompleks ogrodowo-pałacowy. Czynne codziennie od świtu do zmierzchu” – zaskakująco poetycko głosiła tabliczka na żelaznym ogrodzeniu parku. Zdążyłam – pomyślała z satysfakcją, wślizgując się do środka wśród cizby ludzi zmierzających w odwrotnym kierunku. Wioletta Walczak lubiła to miejsce i lubiła, kiedy Marcin przychodził tu po nią, nie zastawszy jej w domu po powrocie. Mieli nawet swoją ulubioną ławkę, stałe miejsce, na którym kiedyś często siadywali razem. Teraz Wioletta usiadła na niej sama; jej mąż był zbyt zajęty formułowaniem mało pewnych sugestii na podstawie wątpliwych przesłanek.

– Teraz wybierze jakieś miejsce w inny sposób związane z Rawskim.

– Ja bym obstawił Dworzec Zachodni. PKS pasowałyby po pociągach i prywatnych autokarach.

– Nie, mówię wam, to nie ten klucz. – Kwarnicki z uznaniem patrzył na kolegę, który z głębokim przekonaniem dowodził swych racji.

– Ale parki, w których zostawiał pierwsze kawałki, nie były związane z Rawskim – głos podinspektora Piątka brzmiał zdecydowanie, ale nie udało mu się przeciąć sporu.

– Może i były. Może tamtędy spacerował, ale tego nie wiemy.

Między ośmioma mężczyznami zapadła cisza. Ciężka jak głowa, której brakowało do kompletu okaleczonego ciała.

– Może po prostu morderca uznał, że w parkach będzie ładnie. Może jest esteta. Nie wiem, kurwa. – Walczak przeklinał na tyle rzadko, że pospolity wulgaryzm miał w jego ustach walor świeżości, zdolny przywrócić mu utracone od nadużywania znaczenie.

– W takim razie gdzie teraz będzie ładnie? – Piątek poczekał, aż młody komisarz choć trochę uspokoi emocje.

– Krakowskie Przedmieście?

– Knajpa, w której pijał?

– Starówka?

– Siedziba Kanału Szóstego?

– Tę i tak mamy na oku. – Piątek wiedział, że mimo działań w stanie podwyższonej czujności nie byli w stanie obstawić tajniakami całego miasta. Trzeba było coś wybrać. On musiał coś wybrać.

– Stare Miasto i Dworzec Zachodni. – Zabrzmiało dokładnie tak, jak chciał: nieodwołalnie.

W momencie, kiedy Walczak ugryzł się w język, by nie powiedzieć „to błąd”, jego żona, ulokowana wygodnie w mniej uczęszczanym zakątku najpiękniejszego stołecznego parku, objęła brzuch dłońmi. Odwieczny gest ciężarnych, w którym ochrona i troska spletają się z podkreśleniem wyjątkowości swojej sytuacji. A może też z chęcią ulżenia sobie choćby na moment? Do porodu zostały niecałe cztery tygodnie, a oni nawet jeszcze nie kupili wózka.

Przyszły ojciec był myślami jak najdalej od wózka. Zajmował go bez reszty plan na jutro, kreślony spokojnym, choć nieco już ochrypłym głosem podinspektora o twarzy bez mimiki.

– Nie sądzę, aby inteligentny zabójca zachował się na tyle głupio, by przyjechać metrem z ręką w plastikowej torbie. Ale mimo to któryś z was musi jutro sprawdzić monitoring ze stacji metra koło dworca Polskiego Busa.

Na samym dworcu kamer oczywiście nie było, dlatego Piątek nie łączył wielkich nadziei akurat z tym wątkiem. Inaczej niż z billingami telefonicznymi i pewnym przesłuchaniem.

– Trzeba pogadać z tą kobietą, która prowadziła z nim serwisy. Koniecznie.

Izabeli Kalickiej nie było akurat wtedy, kiedy Kwarnicki i Walczak prowadzili swoje wypytywanki wśród pracowników Kanału Szóstego. A mogła przecież powiedzieć o swoim koledze coś, czego jeszcze nie słyszeli. Mogła też wiedzieć, dokąd poszedł po ostatnim wydaniu serwisu, co jak na razie – wobec bogactwa rozrywek Rawskiego i kompletnej różnorodności zeznań jego współpracowników – pozostawało zagadką. Zagadką o kluczowym znaczeniu.

– Na dziś koniec, panowie. Nie muszę wam chyba przypominać o pewnych oczywistych kwestiach.

Miny siedmiu mężczyzn wyrażały absolutne zrozumienie. Choć mówiono, że Piątek sam lubi podrzucić coś od czasu do czasu mediom, byli przekonani, że akurat w tej sprawie nie wybaczyłyby im ani połowy słowa darowanego nie temu, komu trzeba. Marcin Walczak niezgrabnie wstał z krzesła – zasiedział się nieco przez te parę godzin.

Jego żona sięgnęła tymczasem do torebki, którą położyła obok siebie na ławce. Zdejmując papierek z batonika, czuła, jak jej ślinianki ruszają do wytężonej pracy. Podobno w ciąży apetyt na słodkie ma się wtedy, kiedy dziecko jest dziewczynką – ona miała urodzić chłopca, a nie mogła sobie odmówić czekolady. Przytyła już trzynaście kilo, powinna uważać, ale i tak była zupełnie bezradna wobec rozkoszy słodczy na języku i poprawy samopoczucia wprost proporcjonalnej do wzrostu poziomu glukozy. Paliwo dla komórek – rozgrzeszyła się, kiedy po batoniku został już tylko papierek. Wyrzucę i idę, pomyślała, patrząc na zmierzch podpełzający coraz bliżej jej stóp opuchniętych i zmęczonych. Kosz stał tuż obok ławki. Kobieta nachyliła się nad nim z papierkiem. Zamiast do środka, dowód jej słabości wobec zachcianek poszybował gdzieś obok – wiatr porwał go z ręki. W środku kosza tkwiła plastikowa reklamówka, podmuch musiał zabawić się z nią tak samo jak z papierkiem po batoniku – była otwarta. Ze środka wystawały włosy. Lalka? Lalka dla dziecka? Wioletta zajrzała w głąb torby. Nie powinna była tego robić. Niebieskie oko patrzące wprost na nią na pewno nie było z guzika. Ani nawet ze szkła. Poczwała, jak grunt usuwa jej się spod nóg. Wir, karuzela, mgła. W parku nie było już prawie nikogo, ale ktoś przecież musiał usłyszeć jej krzyk. Zanim upadła, Wioletta Walczak poczuła jeszcze kopnięcie syna – mocniejsze, bardziej nerwowe, spazmatyczne. I ból, który palącym skurczem objął dół jej brzucha. I wilgoć na wewnętrznej stronie ud. Nie zdążyła przed ciemnością.

*

Czekałem przed reżyserką. Sam skończyłem dyżur już dwie godziny temu, ale postanowiłem zaczekać na nią. Teraz albo nigdy, to był ten moment.

– Piotr? Co ty tu jeszcze robisz?

Prawie wpadła na mnie, tak blisko drzwi stałem. Niedobrze, nie powinienem jej wystraszyć. Niebieska sukienka poruszała się wokół jej bioder jak woda. Jak rozkołysana fala. Nie mogę dać się porwać, jeszcze nie teraz.

– Muszę z tobą porozmawiać. Masz pięć minut?

Spojrzała na mnie, a jej uwaga równa była mojemu skupieniu. Oczy miała dziś jasne – bardziej orzechy laskowe niż czekolada.

– Mam. Co się stało?

– Wyjdźmy stąd. – Moja ręka na jej łokciu, pozwoliłem sobie na mały gest poufałości. Nie będziemy przecież rozmawiać w firmie. Ruszyliśmy schodami w dół, ona pierwsza. Dystans dwóch pięter odmierzany kształtem jej pośladków, ruchami jej bioder, stukaniem jej obcasów. Może kiedyś będę mógł jej dotknąć, może będę mógł położyć rękę na tych łukach i elipsach. Może już całkiem niedługo. Ciekawe, czy jest twarda? Ciekawe, czy ma ciało jak lateks, które po naciśnięciu wraca do swojej idealnej, gładkiej formy? Może dane mi będzie się przekonać. Może szybciej, niż myślę.

Szliśmy obok siebie w milczeniu, byle dalej od firmy. Jakiś ogródek kawiarniany na ulicy dawniej

gwarnej i ludnej, a teraz wyłączonej z życia miasta przez niekończącą się budowę metra. Stoliki zaanektowały nie tylko chodnik, ale i kawałek ulicy. Kiedyś to była jedna z najbardziej ruchliwych arterii, dzisiaj zredukowana do paru miejsc parkingowych i nieruchomej pustki bocznej uliczki. Uliczki donikąd.

– Kawy? – zapytałem, kiedy usiedliśmy przy jednym ze stolików. Leniwe popołudnie schyłku lata, kobieta i mężczyzna o poważnych twarzach, żadnego pośpiechu. Nikt by się nie domyślił, że tutaj, zaraz, za chwilę czyjś świat zmieni się bezpowrotnie. Że waży się coś ważnego, coś na zawsze. Że padną słowa, które zdecydują o wszystkim.

– Mogę się napić. – Mówiła spokojnie, ale w ruchu, którym szukała czegoś w torebce, znać było nerwowość. Nie bój się, kochanie. Wszystko będzie dobrze. Jeśli mi pomożesz. Albo jeśli pozwolisz pomóc sobie.

– Joanno... – Nie wiedziałem, jak zacząć. Jak zacząć, aby jej nie wystraszyć. Ćwiczyłem to kilkakrotnie, Samurajowi się podobało, uśmiechał się i kiwał głową, ale czy to wystarczy? Trzask amerykańskiej zapalniczki, zapach benzyny, blask metalu w słońcu. Czy ona wszystko musiała mieć jak z filmu?

– Joanno... – Głęboki oddech, rozbieg przed przeszkodą. – Wiesz, że chodzą i węszą. Szukają Rawskiego.

Dym spomiędzy warg umalowanych na czerwono, szczupła ręka oparta o stół, cisza ulicy zapomnianej przez Boga i ludzi.

– Pytają wszystkich, dokąd poszedł po pracy. A my oboje wiemy dokąd.

– No? Dokąd? – Musiała mieć nerwy ze stali; ręka z papierosem drgnęła jej tylko raz i niezbyt mocno.

– Do ciebie. – Z głębi kawiarni wyjrzała kelnerka; pewnie chciała podejść, ale aura wokół nas musiała odwieść ją od tego. Bardzo mądrze. – Przecież wiesz, że was widziałem.

– I co z tego?

– Nic. – Nie zrozumiała jeszcze, że nie jestem jej wrogiem. – Poza tym, że pojechałem za wami. Zatrzymałem się pod twoim domem i spędziłem tam prawie całą noc. Prawie całą, moja piękna.

Słońce jeszcze nie zachodziło, żaden przedmiot nie rzucał cienia, ale ten, który przemknął przez jej twarz, był całkiem długi i zupełnie wyraźny. Nie męcz się, kochanie.

– I dlatego mogę ci pomóc. Nikomu nie powiedziałem, że widziałem was razem. I nigdy nie powiem.

Teraz i ja mogłem zapalić; moja zapalniczka była wprawdzie tylko plastikowym bikiem, ale przypalony nią papieros i tak smakował.

– A jeśli cię zapytają, co robiłaś w tamtą noc, to powiedz, że byłaś ze mną. Uwierzą. Mój samochód tam był, mój telefon tam był, ja tam byłem. Aż do porannego dyżuru następnego dnia.

Nawet nie zauważyła, że z jej papierosa został tylko filtr i wiotki słupek popiołu. Patrzyła na mnie, jakby widziała mnie po raz pierwszy w życiu, a jej oczy były w kolorze czarnej kawy. A może nawet smoły?

– Pojechałem za wami, bo nie mogłem znieść, że zadajesz się z tym idiotą. Pojechałem za wami, bo nie mogłem nie pojechać.

Znała się na słowach na tyle, by wiedzieć, kiedy ich nie dawać, a tylko przyjmować. Milczała.

– Siedziałem w samochodzie pod twoim domem i patrzyłem w twoje okna. Jak zapalasz świeczki dla niego. Długo patrzyłem, ale wreszcie nie mogłem tego znieść. Wysiadłem, zostawiłem to twoje okno, poszedłem się napić. Po prostu musiałem. Tyle knajp koło twojego domu, smutna wódka nad ranem.

Czułem się dziwnie, opowiadając jej to wszystko. Tamte emocje, ówczesne decyzje, ubrane w kostium kilku prostych zdań i oglądane z dystansu nie wydawały się już tym, czym były wtedy. Słowa,

które wypowiadałem, zostawiały na języku lekki posmak zażenowania.

– Spadł deszcz, przeszła burza, było mi wstyd. Musiałem się przespać choć chwilę przed porannym dyżurem. Nie było sensu wracać do domu, zostałem w samochodzie. A potem pojechałem do pracy. Kiedy odjeżdżałem, u ciebie znów paliło się światło.

Pochyliłem się do niej na tyle blisko, na ile pozwalał mi stół w tej kawiarni widmowej i nierzeczywistej.

– Nie wiem, gdzie on jest ani co się z nim stało. Ale nie ma go już w twoim życiu i tylko to się liczy. Powiemy, że tamtej nocy byliśmy razem. A później zapomnimy, że było inaczej.

Powiemy, zapomnimy, my. Chciałem, by to zabrzmiało jak prezent. Obawiałem się, że zabrzmiało jak warunek.

– Nikt nie wie, co się z nim stało. – Odezwała się po raz pierwszy od chwili długiej i nabrzmiałej. Nabrzmiałej milczeniem, napięciem, może wahaniem. – Ale wbrew temu, co mówią, myślę, że żyje. Wciąż żyje. Tak czy inaczej.

Patrzyła mi prosto w oczy, sprawiała wrażenie szczerzej, ale nie mogłem się pozbyć odczucia, że jej słowa nie znaczą dokładnie tego, co znaczą. Że mówi to, co mówi i mówi coś jeszcze. Drobnie wykroczenie przeciw logice Arystotelesa. Jakiś sens ukryty w zanadrzu, treść zaszyta pod podszewką słów. Rzecz, która jest nie tylko tym, czym jest. Czy przed chwilą sam nie zrobiłem tego samego?

– Chyba widzę go nawet teraz. Czy to nie on siedzi tam, przy ostatnim stoliku?

Zmrużyła oczy od słońca; dziwne, kiedy siadaliśmy, wydawało mi się, że nikogo tam nie ma.

– Joanna? Tak właśnie myślałam, że to ty. Jak tylko cię dostrzegłam z daleka. Jak tam u ciebie?

Włosy ze śladami co najmniej kilku eksperymentów kolorystycznych, rezolutne spojrzenie, dużo energii. Wieloznaczność zbladła, nastrój się ulotnił.

– Hanka! Jak miło cię widzieć. To jest Piotr, pewnie się nie znacie.

Piotr Antuchowicz, Hanka Chaberek, krótki uścisk dłoni, wymiana spojrzeń tyleż zainteresowanych, co odrobinę podejrzliwych.

– Podać coś państwu? – Kelnerka uznała za stosowne zaoferować nam swoje spóźnione usługi. Joanna wyglądała na zadowoloną.

– To co, może usiądziesz z nami, jakieś wino czy coś?

Hanka odsunęła krzesło, kelnerka zaczęła wymieniać gatunki win w promocyjnych cenach, a ja słyszałem przemykającą obok straconą okazję. Chciałem zapytać o tamten wieczór, chciałem zapytać o to wszystko, czego nie mogłem widzieć, siedząc w barze i samotnie upijając się na smutno. Chciałem zapytać o to, czego nie mogłem być pewien. Ale na razie musiałem się zadowolić tylko jednym. Okruczem rzuconym mimochodem, zagubionym w szuraniu krzeselka i w nazwach szczepów, apelacji i roczników.

– Jeszcze coś à propos poprzedniego tematu. – Jej głos był przyjemny, niski jak zawsze, ale jakoś specjalnie łagodny. – Mieszkania osiemnaście. Moje okna wychodzą na podwórze.

– Tak, na podwórze – przytaknąłem machinalnie, dopiero ponieważ orientując się w znaczeniu jej słów. Przy okazji odwróciłem na chwilę głowę: ostatni stolik był pusty.

*

– 502 783 135. Chcę wiedzieć, czyj to numer.

Podinspektor Piątek nie musiał powtarzać dwa razy. Jeden z siedmiu towarzyszących mu mężczyzn od razu się podniósł, by zadzwonić do centrali operatora komórkowego. Esemesy – to jakże wygodne i pozornie niewinne narzędzie – potrafią obrócić się przeciwko autorowi w najmniej oczekiwanym momencie. Albo bezwstydnie odsłonić jego sekrety.

– Czyjkolwiek to numer, ten ktoś był niezły. – Kwarnicki nie potrafił się powstrzymać. – I sam

Rawski też był niezły. Jeszcze lepszy, niż myśleliśmy. Wiedział, do czego używać służbowego telefonu.

Rozbuchany erotyzm aż kipiał, aż wylewał się z długich zwojów papieru, które wręczono im jako korespondencję Aleksandra Rawskiego z ostatnich sześciu miesięcy. Nieprzyzwoite propozycje, seksualne obietnice, opisy tyleż soczyste, co pobudzające. Kwarnicki nie potrafił powstrzymać drżenia rąk, kiedy przekładał kolejne strony. „Chciałbym cię zerznąć dziś w nocy”, „Bądź dobrze wilgotna, kiedy przyjdę”, „Mam dziś ochotę na to, co ostatnio”. Paulinka Koniuszek i Marta Bobrek, a czasem nawet żona – nic, o czym by nie wiedzieli. Ale do tego tajemniczy numer, z którym nie było połączeń w dniu zniknięcia ofiary. Ani w ciągu całego poprzedniego miesiąca – ostatnia wymiana esemesów miała miejsce 19 lipca. „Pomyślałem sobie, że jest na tyle ciepło, że możesz nie mieć na sobie majtek”. „Powinieneś to sprawdzić”. „Jak tylko stąd wyjdziemy”. „Nie mogę się już doczekać”.

– Czyżby kolejna dupa z pracy? – facet, który zastępował zajętego w szpitalu Walczaka, nie przypominał go ani trochę.

Po dziewiętnastym lipca – kompletna cisza między tymi dwojgiem. Wcześniej – wymiana wiadomości, która nie pozostawiała żadnych wątpliwości co do charakteru ich znajomości. To musiały być erupcje pożądania przeplatane dziwnymi okresami ciszy i milczenia. Kwarnicki czuł suchość w ustach i lekki szum w uszach, kiedy czytał. „Bardzo bym chciał zobaczyć Cię teraz w samych pończochach i szpilkach”. „Malując usta, będę myśleć o Twojej przyjemności”. „Chciałbym wypełnić Twoje usta i patrzeć, jak spoglądasz na mnie z dołu szeroko otwartymi oczami”. Szum w uszach narastał – był już zagłuszającym wszystko pulsowaniem krwi. „Będzie tam jeszcze czas na mój język w Tobie. Lubię jej widok, gdy siadasz mi na twarzy”. „Uwielbiam, kiedy pieprzysz mnie całym sobą”. Kwarnicki nie był pewien, czy zdążył zapanować nad wyrazem swojej twarzy, kiedy podnosił ją w kierunku wkraczającego z powrotem kolegi.

– Ten numer należy do niejakej Joanny Madeckiej, lat dwadzieścia siedem, zamieszkałej w Warszawie przy ulicy Hożej.

– Joanny Madeckiej? – Kwarnicki przypomniał sobie dziewczynę z Kanału Szóstego. Brązowe oczy w mocnej ramie czarnych kresiek, czerwień ust tyleż niedzisiejsza, co intrygująca, powłóczyście spojrzenia, jakie rzucali jej koledzy z pracy. To ona? Femme fatale od urodzinowych cukierków sypiała z facetem o reputacji tak wytartej jak kurtka podinspektora Piątka?

– Rozmawialiśmy z nią, ale tylko tak ogólnie.

Powinien był powiedzieć, że właściwie bardziej gapili się na jej nogi, niż z nią rozmawiali, ale to nie mogło raczej spotkać się ze zrozumieniem reszty zespołu.

– Nic nie było wiadomo o jej romansie z Rawskim. Mówili o nim różne rzeczy, ale akurat o tym nikt nam nie wspomniał. Dziwne.

Kwarnicki zdał sobie sprawę, że rzeczywiście – to było bardzo dziwne, zważywszy na to, jak chętnie pracownicy Kanału Szóstego dzielili się sekretami alkowy swego kolegi. Czy to możliwe, żeby nikt o tym nie wiedział? Nawet szefowa, która zdawała się wiedzieć wszystko?

– Trzeba z nią pogadać. Jeszcze raz. Na poważnie.

Nie dodał, jak ogromną miał nadzieję, że to właśnie on będzie z nią gadał.

– Pogadamy. – W odróżnieniu od przedmówcy, głos mężczyzny o twarzy hollywoodzkiego aktora pozbawiony był gorliwości.

Rawski coraz bardziej fascynował Kwarnickiego – przedziwny był klucz, według którego ten człowiek wybierał sobie kochanki. Niewyrośnięta z emo mentalna nastolatka, która na złość tatusiowi robi ci laskę w kiblu, królowa wiejskiej dyskoteki, a teraz jeszcze gwiazda złotej epoki kina, która spóźniła się na współczesny pociąg do Hollywood. Wszystkie trzy młode, wszystkie trzy ładne, nie wszystkie trzy równie zaangażowane. Autorytatywny głos szefa zakłócił mu te rozważania natury tyleż

antropologicznej, co erotycznej.

– Zobaczcie tutaj. – Stuknął palcem w jedną z ostatnich stron wydruku korespondencji zamordowanego prezentera. – Esemesy z tą całą Joanną są stare, a te całkiem świeże.

27 lipca, 30 lipca, 2 sierpnia – i tak już do końca, co dwa, trzy dni z regularnością godną szwajcarskiego zegarka. Łagodne „Dlaczego się do mnie nie odzywasz?” przechodziło z czasem w nieco ostrzejsze „Musimy pogadać, nie możesz mnie tak z tym zostawić”, a kończyło się na zupełnie dramatycznym „Zapłacisz mi za to, przysięgam!”. Widać rzeczywista desperacja Paulinki Koniuszek była dużo większa niż ta, którą zaprezentowała policjantom. A bezwzględność Rawskiego – zdumiewająca. Konsekwentnie od końca lipca nie odpisał na ani jedną jej wiadomość. Ani nie odebrał ani jednego jej telefonu, których były dziesiątki.

– Oho, zdaje się, że mamy tu groźby karalne.

To było wreszcie coś, czego można się było ucześcić. To było niezłe. Ale czy wystarczające?

– Mamy jeszcze to. – Jeden z podopiecznych Piątka pomachał kartką wydruku. – I to może się jakoś łączyć z tym waszym numerem nieznanym. – Skinął głową w stronę Kwarnickiego. „Waszym numerem” – widać nie zanotował nieobecności Walczaka, zajętego czuwaniem przy łóżku żony – ale musiało chodzić mu o dwa tajemnicze telefony spośród dwunastu nieodebranych połączeń, które wykonano do Rawskiego dzień po jego zaginięciu.

Wymiana wiadomości z 20 sierpnia była obiecująca: „Znasz moje warunki. Nic mniej mnie nie zadowoli”. To Rawski. „Pracuję nad tym, by ich przekonać” – odpowiedź z nieznanego numeru. Który niestety miał pozostać nieznanym.

– Gówno z ptysia. Prepaid. Szukaj wiatru w polu.

Ordynarny szantaż czy zwykłe ustalenia, które mogły dotyczyć czegokolwiek – nawet jakiegoś przyjemnego zlecenia na boku? Groźby otwierające pole nieskończonych spekulacji czy zwykłe różnice zdań? Może chodziło o pieniądze, a może o bezprawne żądania? Ta wiadomość mogła być wszystkim, a było ich więcej. „Przecież wiesz, czego chcę”. „Nie mogą ci dać aż tyle”. „Niech wybierają”. Piątek poczuł ten smak – gorzki, mdlący, nie do pomylenia. To było zniechęcenie. Oblepiało go jak kropelki potu między łopatkami pod kurtką i koszulą, wypełzało z niezliczonych kartek z korespondencją Rawskiego, kryło się wśród kolumn cyfr i rzędów literek. W sali – tak jak w całym Pałacu Mostowskich – nie można było palić, musiał jednak przykryć tamten smak inną goryczą – łatwiejszą do zniesienia i bardziej wyraźną. Jeden z młodszych policjantów otworzył okno; Piątek poczuł się lepiej, gdy dym z jego płuc zmieszał się z ciepłym powietrzem sierpniowego poranka. Za dużo możliwości, zbyt mało konkretów. Tropy wśród bzdur, kwestie kompletnie nieistotne pośród ważnych śladów. A może odwrotnie? Nie licząc telewizyjnej garderoby, Rawski nigdzie nie dzwonił w dzień swojej śmierci, nie prowadził żadnej istotnej korespondencji, z nikim się nie umawiał przez esemesy. Napisał dwie wiadomości – „Pogadamy jutro” do tajemniczego numeru, którego właściciela nie można było ustalić, i „Dziś zostaję jednak w Warszawie” do żony. O 21.23, tak jakby naprawdę długo się nad tym zastanawiał. To jedynie potwierdzało ich dotychczasowe ustalenia – Aleksander Rawski nie pojechał do Opola. Ale dokąd poszedł, gdzie spędził wieczór, komu dał się zabić?

– Jak wiecie, na nagraniach z monitoringu z Centralnego mamy chłopaka. Młodego szczeniaka w sportowych ciuchach.

– Ale przecież nie wiemy, czy to on zostawił walizkę. – Facet, który zastępował Walczaka, bardzo chciał być przydatny.

– Właśnie o to mi chodzi, że nie wiemy. – Piątek dmuchnął dymem za okno. – A to znaczy, że to może być i szczeniak, i kto inny. Na przykład kobieta.

Po twarzach mężczyzn zgromadzonych w ciasnej salce przebiegł grymas. Tylko Kwarnicki nie

poruszył ani jednym mięśniem w twarzy. Może chciał upodobnić się do swojego szefa?

– Kobiety nie ćwiartują. – Któryś z policjantów dał wyraz obiegowej opinii.

– Chyba że nie dają rady wynieść ciała w całości. – Słowa Kwarnickiego zapewniły mu uważne spojrzenie Piątka.

– Chyba że nie dają rady wynieść ciała w całości – powtórzył, tak jakby obracał te słowa na języku. Smakował, badał, próbował. – Albo bardzo kogoś nienawidzą.

To byłoby coś, zważywszy na styl życia Rawskiego, w którym roiło się od kobiet mających powody do nienawiści. Dużo kobiet, tony pretensji, dobry motyw. Poza tym odkąd mieli głowę, wiedzieli już, jak zginął Rawski. Jedno celne uderzenie, prosty, mocny cios, doskonale rozbita potylicy. „Dość ciężkie niezidentyfikowane narzędzie”, jak głosił raport patologa. Czyli coś, co swobodnie mogła podnieść kobieta. Ale z drugiej strony – żadnych śladów walki, żadnych przepychanek, dokładne zatarcie śladów, włącznie z oczyszczeniem rany tak, by nie zostawić w niej niczego, co mogłoby pomóc w określeniu narzędzia. No i ten nieszczęsny brakujący element... A to już nie było kobiece. Chociaż Andrzej Piątek nieszczęśliwie znał się na kobietach.

– To jak myślicie, panowie, która z nich? A raczej na którą nam wystarczy na razie do przeszukania?

Ktokolwiek był zabójcą, nie było podstaw, by sądzić, że zrobił to w swoim własnym mieszkaniu. Przy tak dokładnym zatarciu śladów i tak precyzyjnym zaplanowaniu zbrodni – a co do planu i premedytacji Piątek nie miał żadnych wątpliwości – raczej oczywiste było, że zrobił to zupełnie gdzie indziej. A nawet jeśli już – założmy w ostateczności – uczynił to w swoim mieszkaniu, to miał wystarczająco dużo czasu, by idealnie je całe wysprzątać. Ale mimo wszystko – trzeba było przecież coś zrobić, zwłaszcza gdy nie miało się prawie nic. Szczegółowa rewizja wydawała się całkiem dobra na początek.

– Koniuszek, to jasne.

Aż nazbyt jasne – pomyślał Kwarnicki, a myśli tej towarzyszył widok czarnych wzorków tatuażu na białym wnętrzu kobiecego nadgarstka.

– Jurek, idź z wnioskiem do prokuratora. Wy – zwrócił się do dwóch mężczyzn wiodących tęsknym wzrokiem za ognikiem jego papierosa – ściągnijcie Bobrek, gdziekolwiek jest. A my – podinspektor Piątek spojrzał wymownie na komisarza Kwarnickiego – przejedziemy się do Kanału Szóstego.

*

– Chodź ze mną, dobrze ci zrobi. Mam zaproszenie dla dwóch osób. – Ptyś machnął mi przed oczami biało-granatowym kartonikiem. Czerwony pasek przez środek nawoływał, by świętować 237. rocznicę niepodległości USA. Dlaczego nie? Nie miałam ostatnio zbyt wielu okazji do świętowania – dlaczego nie miałabym świętować urodzin mocarstwa, które dało światu Hemingwaya, coca-colę i Marilyn Monroe?

– Będzie wielka impreza, whiskey and soda, muffiny i fajerwerki – przekonywał mnie Ptyś.

– Fajerwerki też? – uśmiechnęłam się. 4 lipca nie mógł się przecież obejść bez fajerwerków, nawet w Warszawie.

– Oczywiście. – Entuzjazm Ptysia do narodowego święta Amerykanów wydał mi się nieco podejrzany. Do czasu, aż wyjaśnił: – Będzie pełno ludzi, właśnie dlatego robią to w rezydencji ambasadora, a nie w samej ambasadzie. Pełno ludzi, Joanno. Także pełno facetów. Fajnych facetów. Może znajdzie się ktoś dla ciebie?

Mówił do mnie jak do ubogiej kuzynki na wydaniu, której koniecznie trzeba znaleźć męża, ale jego troska była wzruszająca. Jakbyśmy wybierali się na dziewiętnastowieczny bal, na którym panny z dobrych domów mogą poznać odpowiednich kawalerów. Niepowiedziane, że od razu kawaler, ale może naprawdę znajdzie się ktoś dla mnie? Staralam się wierzyć, że mogę zapomnieć. Zapomnieć o tym, o kim myślałam każdego dnia i każdej nocy. O tym, kogo nie chciałam więcej widzieć, a kogo tak bardzo

pragnęłam mieć przy sobie.

Czwartego lipca pracowałam na poranną zmianę. Błogosławione niech będą dni, w które świt przychodzi na tyle wcześnie, że jasno jest już o upiornych godzinach z pogranicza nocy i dnia. Kilka kaw, byli tenisiści jako goście w studiu, niekończące się rozmowy o wimbledońskich sukcesach polskiego białego sportu. „Historyczny półfinał Wimbledonu”, „Janowicz kontra Kubot”, „Dwaj Polacy na trawie” – moje napisy sprawiały wrażenie, jakbym i ja dała się ponieść sportowej euforii, ale nie był to ten rodzaj emocji, jakiemu naprawdę ulegałam. Dużo sportu na dyżurze, później kilka spraw do załatwienia, parę godzin skradzionego snu i już rytuał szykowania się na wieczór. Nie zastanawiałam się długo nad sukienką – ostatecznie przyjęcie dyplomatyczne z okazji państwowego święta nie pozwalało na zbyt wiele. Ale już gdy wsiadałam do taksówki, którą podjechał po mnie Ptyś, wiedziałam, że dokonałam dobrego wyboru.

– No pięknie, pięknie – pokiwał głową na widok wąskiej, zgrabnej sukienki w kolorze dojrzałych śliwek. Głęboki dekolt, dekoracyjne przeszycia na biodrach, odkryte ramiona.

– A już myślałam, żeby się przebrać. Jakby co, to może jeszcze zdążę. – Zatrząskiwiałam za sobą drzwi do taksówki, poprawiając jednocześnie kolczyk, który jakimś dziwnym trafem nie chciał zwisać z mojego ucha tak, jak powinien.

– O nie, kochana, nie ma mowy. Nie będziemy już zmieniać sukienki. Po pierwsze, jest świetnie, po drugie, nie możemy się spóźnić do ambasadora.

Kierowca poprawił wsteczne lusterko, by lepiej nas w nim widzieć. Szklą przeciwsłonecznych awiatoarek zalśniły w wieczornym letnim słońcu.

– Zawsze myślałem, że takie coś zdarza się tylko w filmach – powiedział. Nie mogłam widzieć jego twarzy, ale byłam pewna, że się uśmiecha. Ja też uśmiechnęłam się do Ptrysia.

– Musimy odświeżyć nasz angielski. Poćwiczmy: „*Are you a millionaire from Texas, who is looking for a wife from Poland?*”

– Doskonale. – Ptyś był zachwycony. – Pytaj jeszcze, ile ma sztuk bydła. Albo lepiej, ile szybów naftowych.

– Cholera, właściwie jak się mówi po angielsku „szyb naftowy”?

– *Oil elevator* – kierowca pospieszył nam z pomocą, zanim zdążyliśmy się rozeźmiać. Wiedziałam, że to będzie udany wieczór.

I rzeczywiście był. Dwa tysiące ludzi w ogrodach rezydencji, marines w pysznych mundurach, gryzący dym z grilla zmieszany z zapachem waniliowych kadzidełek. Tłok, powolne tempo przeciskania się przez rzesze wystrojonych ludzi, kilometrowa kolejka, w której trzeba było odstać co najmniej pół godziny, by dostać hamburgera. Dzięki Bogu o wino było łatwiej – kelnerzy w nienaganych białych marynarkach roznosili na tacach doskonale, schłodzone kalifornijskie chablis. Jakoś udawało im się lawirować wśród tłumu – może dlatego, że ich tace bardzo szybko robiły się puste.

– Powinien tu być Mateusz z dziewczyną, mam nadzieję, że jakoś ich znajdziemy. – Udało nam się dotrzeć do stolika ze słodyczami, Ptyś burzył właśnie misterną konstrukcję amerykańskiej flagi z czerwonych, niebieskich i białych babeczek. Chemiczna słodycz, cukiernicze farbki barwiące usta, palce poklejone jak po dziecięcej orgii z watą cukrową. Obcasy moich butów zapadały się w trawę zdeptaną setkami podeszew. Mimo to trzeba było chodzić, krążyć, rozmawiać – *that's the party, baby*. Rozglądałam się po twarzach; znane przeplatały się ze znajomymi, a te z kolei z tajemniczymi. Politycy – dawni i obecni – otoczeni wianuszkami potakujących głów; biznesmeni wyróżniający się lepszym krojem garniturów i cichszym tonem rozmów; aktorzy, piosenkarze, celebryci wszelkiej maści, za to różnego stopnia gazetowej popularności. A wśród nich twarze nieznane, ale pełne wyrazu, porozumiewawcze uśmiechy, spojrzenia przelotne, lecz absolutnie celowe.

– Służby, policjanci, szpiedzy. Diabli wiedzą kto – szepnął mi do ucha Mateusz, którego wreszcie spotkaliśmy przy stole z kurczakami. Chrupiąca panierka, mięso wyhodowane na hormonach, kwintesencja Ameryki. – Kompletna zbieranina. Są tu wszyscy święci i ci, o których nikt nie wie, kim są naprawdę.

– Ktoś na pewno wie – zauważyłam, sięgając po kolejny kieliszek z winem. Smakowało tak, jak powinno smakować chłodne, białe wino w piękny letni wieczór.

– Może ty. – Mateusza nie tak łatwo było przekonać. – Na przykład ten tam, po lewej. Patrzy na ciebie cały czas.

Spojrzałam w tamtym kierunku – trzydzieści kilka lat, niepolska opalenizna, uśmiechnięte oczy w ledwie zarysowanej siateczce zmarszczek delikatnych i drobniutkich jak pajęczyna.

– Nie wiem, nie znam go – zdążyłam odpowiedzieć, zanim Ptyś zabrał mnie w małą rundkę w poszukiwaniu kolejnych znajomych. Miał ich sporo; w odróżnieniu ode mnie był jednym z tych dziennikarzy, którzy nie spędzają czasu za biurkiem, a lata biegania z kamerą wyrobiły mu szereg znajomości. Toteż krążyliśmy teraz wśród polityków – brzydszych niż w gazetach, za to dużo bardziej rozluźnionych niż w telewizji.

– Dzień dobry, panie ministrze.

– Witam, witam. A z jakąż to piękną panią pan redaktor dzisiaj?

– Moja przyjaciółka, też z mediów.

– Madecka, dobry wieczór.

– Miło mi poznać.

Szerokie uśmiechy, uściski dłoni, spojrzenia nieco już zmaczone winem, dymem, splendorem. Znałam ich wszystkich co najmniej tak dobrze jak Ptyś – znałam ich poglądy, styl wypowiedzi, sposób mówienia. Po latach słuchania potrafiłam z góry rozpoznać ich intencje, wybrać puentę, przewidzieć, co który z nich powie i w jaki sposób. Traktowałam ich jak dobrych znajomych, których spotyka się codziennie w pracy – momentami krnąbrnych, ale najczęściej przewidywalnych. To ja wsłuchiwałam się w ich słowa, ja decydowałam, które z nich pojawią się na ekranie, które będą komentowane, eksponowane, dyskutowane. Większość polityków, choć zupełnie mnie nie znała, dobrze wiedziała, jak dużo zależy ode mnie – wybór cytatu jest zawsze interpretacją, a to do mnie należało wybranie z ich słów tych, które widzowie mieli zaszczyć uwagą. Żonglowałam ich słowami, miałam więc udział w tworzonej przez nich rzeczywistości. Nie biegałam po Sejmie z mikrofonem, nie byłam z politykami na co dzień, a jednak byli mi zdecydowanie bliscy. Bliscy i dalecy jednocześnie – jak coś za szybą, co zarazem jest na wyciągnięcie ręki. Akurat wtedy, wśród bujnej zieleni ogrodów ambasadora, zdecydowanie miałam do czynienia z tym drugim, o czym się przekonałam, gdy poczułam dłoń szefa ważnej komisji sejmowej na pośladku. Uśmiechał się przy tym do mnie tak, jakby nic się nie stało – ot, tłok, ścisk, przypadkowe dotknięcie.

– Daj mi swój numer, mała – szepnął mi do ucha, kiedy mój towarzysz odwrócił się w stronę tacy z kieliszkami. Udałam, że nie słyszę, a potem jak najszybciej pociągnęłam Ptysia w stronę stołu, przy którym kłębił się tłum gotowych na wszystko wielbicieli hamburgerów.

– Nie przejmuj się, on tak ma. Znany jest z tego – tłumaczył mi, kiedy już udało nam się oddalić od rąk przyozdobionych spinkami do mankietów i masywnym zegarkiem wystającym spod rękawa. Minął nas elegancki pan pułkownik w nienagannie odprasowanym mundurze. Niestety, dyskretny urok jego baretek nie mógł się równać z połyskiem medali i wypolerowanych guzików mundurów amerykańskich marines. Tuż za nim podążał mężczyzna, o którym mówił mi Mateusz. Skrzyżowaliśmy spojrzenia – miał w oczach dużo więcej, niż wyrażał jego uśmiech. Chwila, moment w tłumie, przeszedł, zniknął i odpłynął gdzieś wśród baloników i girland.

– No, przystojny – w głosie Ptsia słycać było lekką nutkę podziwu. – Naprawdę przystojny.

Ciekawe, ile ma szybów naftowych?

– Sądzisz, że to Amerykanin?

– No raczej – sprawiał wrażenie przekonanego. Podobnie jak do ryzykownego pomysłu, by stanąć w kolejce po nieszczęsne hamburgery. Ogonek wił się wzdłuż całego ogrodu, a mina znanej aktorki, która właśnie konsumowała zdobyte danie, jakoś nie wskazywała, by warto było podjąć ten wysiłek. Mimo to stanęliśmy grzecznie w kolejce. Wtedy właśnie poczułam sygnał telefonu w torebce przewieszzonej przez ramię. Na biodrze, tuż przy ciele, lekka vibracja z obietnicą w tle. To nie było ani trochę racjonalne, ale przez sekundę pomyślałam o mężczyźnie o przenikliwym spojrzeniu. „Czy mam dzisiaj szansę zobaczyć Twoje piękne nogi?”. Aleksander, który tkwił w ciemnym i chłodnym newsroomie, pracując jak zwykle na wieczorną zmianę. Może pokłócił się z Paulinką? Albo mu się chwilowo znudziła? Ptyś spojrzał na mnie, kiedy tak stałam z telefonem w ręku.

– To on? Twój prezenter od siedmiu boleści? – Nie musiałam nic mówić; moja twarz mówiła za mnie. Ptyś nie mógł darować Rawskiemu odmowy konsumpcji jego zupy. Nieopatrznie opowiedziałam mu o tym, podobnie jak i o innych powodach mego rozczarowania, a to uruchomiło lawinę niechęci, której nie dało się już zatrzymać.

– Nie odpisuj mu. Nawet o tym nie myśl. – Ptyś jednym szybkim ruchem zamknął klapkę mojego telefonu i wrzucił go z powrotem do torebki. – Zajmij się przystojnym Amerykaninem. Albo kotлетem. Kurwa, czymkolwiek, tylko nie tym gościem.

I nawet mi się to udało. Ale tylko dopóki moja torebka jeszcze raz nie zakołysała się od sygnału przychodzącej wiadomości.

– Idę zapalić – powiedziałam, wskazując ręką w nieokreślonym kierunku tej części ogrodu, w której co chwila rozbłyskiwały płomyki zapalniczek. Wiedział, po co tam idę, ale niezależnie od tego, jak bardzo dobrze mi życzył, nie mógł mnie przecież zatrzymać. Jednocześnie szukałam telefonu i papierosów.

– *Calling or smoking?* – usłyszałam, jeszcze zanim podniosłam wzrok znad torebki. Wysoki, w garniturze szytym na miarę, z oczami jak szarozielone pryzmaty, w których załamywało się światło. Upuściłam na dno torebki telefon, który trzymałam już w dłoni.

– *Smoking* – odpowiedziałam.

– *American?* – Charakterystyczny trzask benzynowej zapalniczki.

– *Polish.*

– To zabawne, bo ja też. – Jego czysta polszczyzna obaliła koncepcje Ptsia. – Kim jest najładniejsza dziewczyna na całym przyjęciu?

– Kim jest najbardziej tajemniczy mężczyzna?

W mroku wieczoru świeciły jedynie dekoracje, gwiazdy i ogniki naszych papierosów. Ptyś by mnie pochwalił.

– Paweł Jasiewicz.

Wciąż znak bez desygnatu. Mógł być każdym, mógł być kimkolwiek, mógł być nawet szpiegiem z fantazji Mateusza. Może nawet kimś, kto zastąpi mi tego, którym nie był i nie mógł być

– Joanna Madecka. – Skinął głową tak, jakby wiedział, choć przecież wiedzieć nie mógł.

Moja torebka raz jeszcze poruszyła się od brzęczącego telefonu. Był tam, a w nim były wiadomości od Aleksandra, zapewne coraz bardziej zniecierpliwionego tym, że mu nie odpisuję. Nie należał do tych, którzy umieją czekać. Ja musiałam umieć.

– Jak się pani podoba świętowanie z Amerykanami?

– Jest interesująco. – Spojrzałam mu prosto w oczy. Szukałam w nich choćby smugi zimnego błękitu.

Bezskutecznie.

Tymczasem szykowano się już do kulminacyjnego punktu wieczoru – wszystkie skrzynki przyniesione, race gotowe do odpalenia, powoli cichnąca muzyka.

– *Ladies and gentlemen, and now we invite you for a special moment of celebrating the independence anniversary. The fireworks show.*

I się zaczęło. Kolorowe wzory, huk wystrzeliwanych petard, niebo rozświetlone fontannami świetlistych kwiatów. Oczy mężczyzny obok mnie zwielokrotniały blask sztucznych ogni. Sylwester w środku lata, szczyt kiczu, amerykański styl. Pochylił się do mnie i dotknął mojego nagiego ramienia – niby przypadkiem, tak naturalnie, palce miał ciepłe i mocne.

– Przepraszam. Przepraszam na chwilę. – Odeszłam na bok, nie mogłam już dłużej, telefon był jak część mojego ciała, która domagała się uwagi. Już sięgając do torebki, pomachałam mu jeszcze na do widzenia.

„Nie ma Cię w pracy. Nie mogę nacieszyć oczu Twoim widokiem”. Przepychałam się wśród tłumów wpatrzonych w niebo.

„Może chociaż mogę odwiedzić Cię wieczorem?” Oddalałam się, ale wpatrzone we mnie oczy były jaśniejsze niż fajerwerki.

„Brakuje mi Ciebie”. Wpadła na mnie jakaś pijana, rozkrzyczana Amerykanka. „*Sorry, sorry, my dear*”. *That's all right*, brnęłam dalej wśród huku wystrzałów i w blasku rozświetlającym niebo.

„Przyjdź, będę czekać” – kilka wystukanych słów, ulga jak zdjęte brzemię, syk petardy, która długo płynęła po niebie, zanim rozbłysła tysiącem spadających sztucznych gwiazd.

– Tu jesteś – Petyś złapał mnie za ramię.

„Będę, jak tylko skończę program”. Twarz tamtego mężczyzny, która mignęła mi gdzieś w tłumie. Gdzieś wśród lśniących girland spadających z nieba, gdzieś daleko ode mnie.

– Tak, tu jestem, chodźmy. – Pociągnęłam Petyś za rękę i ruszyłam w kierunku wyjścia. Show wciąż trwał, przystojny Amerykanin, który okazał się Polakiem, tkwił gdzieś tam wśród widzów, fanfary fajerwerków grały na niebie. Szłam coraz szybciej, tuż przy bramie rezydencji zdążyłam odwrócić się tylko na moment. Stał tam, gdzie go zostawiłam, i odprowadzał mnie wzrokiem, a sztuczne ognie rozbłyskiwały kolejnymi wybuchami na niebie granatowym, prawie czarnym.

*

– To ona.

– Kto?

– Madecka. – Kwarnicki dostrzegł szczupłą sylwetkę na szpilkach. Dziewczyna musiała właśnie przyjechać do pracy; zamykała samochód zaparkowany tuż przed siedzibą Kanału Szóstego. Jej paznokcie wyglądały jak dzieło tego samego lakiernika, który malował wóz. Musiał być wielbicielem czerwieni.

– No to chodźmy.

Lata pracy nauczyły Piątka, że niespodziewane najście wtedy, gdy człowiek zupełnie się tego nie spodziewa, może dać doskonałe rezultaty. Szybkie rozpytanie przy samochodzie – to mogło być obiecujące. Prawie jak szybki seks na tylnym siedzeniu. Ta myśl zaskoczyła jego samego, ale w dziewczynie, do której podeszli, było coś nieodparcie nasuwającego takie właśnie skojarzenia. Mimo eleganckiej sukienki, mimo twarzy spokojnej i poważnej, mimo starannie nałożonej szminki, która miała powstrzymywać myśli o dotykaniu jej ust opuszkami palców.

– Pani Joanna Madecka?

– Owszem. O co chodzi? – spojrzała na Kwarnickiego tak, jakby zupełnie go nie rozpoznawała. Tymczasem on rozpoznał coś bezbłędnie: tę trudną do określenia, ale wyraźnie uchwytną aurę, ten erotyczny blask, to słynne coś, które sprawiało, że chociaż Joanna Madecka nie była w swojej firmie ani

najładniejsza, ani nawet najmłodsza, to właśnie za nią wodzili wzrokiem wszyscy mężczyźni.

– Obawiam się, że musimy zająć pani chwilkę. Zdaje się, że nie powiedziała nam pani czegoś bardzo istotnego o Aleksandrze Rawskim. – Komisarz starał się nie okazywać, jak bardzo ubódł go brak rozpoznania w jej oczach. Udaje, musi udawać.

Prawie całkowicie zapełniony parking, rzędy aut, kilka zaciekawionych spojrzeń tych, którym udało się szczęśliwie znaleźć miejsce i wysiąść z samochodu. Słońce odbijające się w czerwonym lakierze. Jedna nieduża dziewczyna, dwóch wysokich mężczyzn, bardzo blisko.

– Pytał mnie pan wtedy, czy wiem, dokąd poszedł dwudziestego drugiego sierpnia po pracy. I tylko o to, o ile sobie przypominam.

Kwarnicki miał nadzieję, że nikt nie usłyszał westchnienia jego ulgi – więc jednak udawała. Pamięta go.

– A teraz pytam, co panią łączyło z Aleksandrem Rawskim?

– Był moim kochankiem. – Bez chwili wahania, bez jednego tonu choćby pozornego zawstydzenia, bez odwrócenia wzroku.

– Znaczą się, kochała go pani?

– Kochałam się z nim pieprzyć.

Kwarnicki poczuł, jak jego serce pompuje krew do wszystkich członków ciała. A szczególnie do tego jednego. „Sporo było w moich myślach o nagich, wypiętych pośladkach i rozłożonych nogach”. „Popchnę cię na kolana, zatkam sobą usta, a później zerznę na drzwiach”. „Chciałbym teraz włożyć język do twojego tyłka i obrócić nim kilka razy”. Wszystkie świństwa świata, które pisał jej Rawski, a on oddałby teraz pięć lat życia za to, aby być nim.

– Ale nic z tego nie wyszło. – Jej głos był pewny, choć brzmiały w nim nutki żalu. – Dał sobie ze mną spokój, może chciał się pogodzić z żoną, może miał kogo innego, nie wiem. Zresztą i tak pieprzył się ze mną stanowczo za rzadko.

Spojrzała wprost na Kwarnickiego, ale widać było jej mało:

– Szkoda.

Nonsensem byłoby, gdyby Piątek udawał, że nie czuje, jak gęste zrobiło się wokół nich powietrze. Niemniej widział już w życiu zbyt wiele, by nie umieć odróżnić tego, co autentyczne, od najlepszej choćby kreacji.

– Tak dobrze pani zniosła to porzucenie?

– A co mogłam zrobić, nawet jeśli nie? – Teraz brzmiała prawdziwie, teraz mógł jej uwierzyć. – Wydzwaniać? Wypisywać? Prosić?

Podinspektor Piątek musiał przyznać jej rację. Kobieta taka jak ona nie mogła tego zrobić. Tego akurat niewątpliwie nie. Ale może mogła go zabić?

– Co pani robiła dwudziestego drugiego sierpnia po pracy?

– Pojechałam do domu.

– I jak spędziła pani wieczór? To były zdaje się pani urodziny? – Przypomniał sobie szczegóły rozmów z pracownikami Kanału Szóstego, które przekazali mu Walczak i Kwarnicki; ten ostatni jeszcze wtedy, gdy mógł mówić.

– Owszem, to były moje urodziny. I nie spędzałam ich sama. – Wyczuł jakieś drgnienie w jej głosie, coś bardzo delikatnego, ale innego niż wszystko to, co dotąd w nim słyszał. A może tak mu się tylko wydawało? Jej oczy w oprawie czarnych kresek wciąż były nieporuszone, dłonie spokojne, żadnych nerwowych ruchów.

– A z kim w takim razie?

– Z kolegą z pracy. – Tego akurat się nie spodziewał. Poza tym coś tu nie pasowało.

– Z kolegą z pracy. Ale jechała pani sama?

– Tak. Piotr miał następnego dnia poranną zmianę, więc pojechał za mną swoim samochodem. Nie chciał o świcie iść pieszo. Wie pan, my tutaj zaczynamy bardzo wcześnie. – Po raz pierwszy się uśmiechnęła, ale tego uśmiechu nie wystarczyło na całą twarz.

– Piotr. A jak dalej?

– Antuchowicz. – Odpowiedziała gładko, szybko, bez zastanowienia. Może naprawdę pocieszała się po Rawskim?

– Rozumiem, że on to potwierdzi?

– Oczywiście.

Poprawiła torebkę. W odróżnieniu od większości kobiet nie nosiła jej na ramieniu, tylko jak dama z przedwojennych fotografii – w zgięciu łokcia. Nie powiedziała „To wszystko? Mogę już iść?”, ale Piątek wiedział, że o to właśnie chodziło. A oni nie mieli podstaw, by trzymać ją dłużej. Po pierwsze, miała alibi, po drugie, wszystko – łącznie z zawartością telefonu Rawskiego – wydawało się potwierdzać jej wersję.

– Dobrze, dziękuję pani na razie.

– Ale być może będziemy musieli się jeszcze zobaczyć. – Kwarnicki znów był gotów z nią rozmawiać. Badać, przyciskać, nalegać, choćby tylko werbalnie. I właściwie nawet nie do końca w związku ze śledztwem.

– Nie wydaje mi się – rzuciła, odchodząc w stronę wejścia, a głos jej był prawie tak zimny jak spojrzenie. Gdyby się dobrze wsłuchać i dokładnie wpatrzeć, można tam było znaleźć okruszki lodu. Małe skrawki o ostrych krawędziach, które zupełnie do niej nie pasowały; tak jakby znalazły się tam skądinąd. Przypadkowo, ale nieodwracalnie.

*

Zdążyłam do domu pięć minut przed tym, zanim zadzwonił do drzwi.

– Gdzie byłeś? – Był zły, od początku zły. Tak jakby chciał powetować sobie zbyt długie czekanie na moją odpowiedź.

– Na przyjęciu w ambasadzie.

– Dużo facetów? Przespałeś się z którymś? – To miał być żart, ale oboje wiedzieliśmy, że zabrzmiało inaczej.

– Nie. Wolałam przespać się z tobą – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Chyba właśnie to chciał usłyszeć. Spojrzał mi w oczy dokładnie tak, jak lubiłam najbardziej, po czym gwałtownym gestem odwrócił mnie twarzą do ściany. Jak zwykle nie zapytałam go o nic. O Paulinę, o dni ciszy i obojętności, o to, co robił przez te wszystkie wieczory, których nie chciał spędzić ze mną i w których brakowało kolegów, którzy by go do tego zainspirowali. Najważniejsze, że był tu znowu, że czułam jego gorący oddech na karku, że nie rozebrawszy się nawet, wciskał się we mnie. Sukienka podciągnięta do góry, odsunięta na bok majtki, których nawet nie chciało mu się zdejmować, szpilki ze śladami świeżej trawy. Ściana, do której przyciskał moją twarz, była chłodna i gładka, gest, którym przytrzymywał mnie za włosy, odrobinę zbyt mocny. Już nie chciałam, by cokolwiek wyjaśniał – chciałam tylko, by nie przestawał.

Nigdy nie wiedziałam, który Aleksander jest prawdziwy – ten, który pasował do mnie jak dłoń do rękawiczki, czy ten, który nawet nie potrafił mnie dotknąć. Ten, który wypełniał mnie sobą jak woda wypełnia kształt naczynia, czy ten, który zachowywał się wobec mnie jak obcy człowiek. Ten, w którym roztapiałam się jak masło, czy ten, który mroził mnie swoją obojętnością. W takich chwilach wierzyłam, że ten pierwszy, ale niestety – one nie trwały wiecznie.

– Zadowolona? – zupełnie niepotrzebne pytanie, na które musiałam udzielać oczywistej odpowiedzi.

– Bardzo.

– Zasłużyłem na to, by się napić? – kolejne pytanie, które miało zabrzmieć żartobliwie, choć wcale takie nie było. Napić się. Zawsze chciał się napić, przychodząc do mnie. Poszłam do z lodówki po białe wino.

– Wino? No nie żartuj.

Nie chciałam mieszać z wódką wina wypitego w rezydencji, ale dla niego przyniosłam butelkę z czterdziestoprocentową zawartością. Dopiero wtedy się rozluźnił.

– Uwielbiam cię między innymi za to, że zawsze masz w domu zapasy.

Cóż miałam mu powiedzieć, skoro sam jakoś nigdy nie wpadł na to, by je uzupełnić? Może z alkoholem było jak z papierosami – cudze zawsze smakują lepiej. Kiedy już wypiliśmy kilka kieliszków – on wódkę w tempie trzy razy szybszym niż ja wino – kiedy już obmówiliśmy kilkoro kolegów z pracy, kiedy już rozwiął się dym z ostatniego papierosa, jakoś tak wyszło, że zaczęłam rozmawiać z nim o książkach. Wprawdzie na większość tytułów odpowiadał „nie czytałem”, ale wiedział chociaż, skąd jest calvados.

– Ciężko byłoby mi żyć, gdyby mi ktoś to zabrał.

– Calvados czy czytanie?

– Czytanie.

– Przesadzasz.

– Nie. – Niewielu rzeczy w życiu byłam tak pewna jak tej.

– Wierzysz w jakieś bzdury. – Machnął ręką, jakby chodziło o coś zupełnie marginalnego.

– Słowa to nie są bzdury.

Zastanowił się przez chwilę, zanim odpowiedział:

– Może i nie. – Przechylił butelkę, by po raz ostatni napełnić kieliszek. – Tym gorzej dla ciebie.

Miał rację, tym gorzej dla mnie. Patrzył gdzieś w bok, tak jakby mnie w ogóle nie było. Nie było sensu, bym mówiła cokolwiek. Cokolwiek z rzeczy, które miały znaczenie.

– Idę się położyć – doskonale wiedziałam, że nie zaproponuje, bym położyła się obok niego. – Chcesz coś jeszcze, Aleksander? Coś jeszcze mogę ci dać?

– Tak. Jakiś koc – powiedział, patrząc na mnie tak, jakby dopiero mnie tam dostrzegł. Uciążliwy dodatek do miłego wieczoru z butelką, w łóżku wygodniejszym niż hotelowe.

– Koc. Oczywiście.

Wyjęłam z szafki ten, pod którym zawsze sypiał, będąc u mnie. Ten, którego sama przestałam używać, by nie stracił jego zapachu. Pochyliłam się nad nim, by go okryć – troskliwie, dokładnie, jak dziecko. Nie mógł nie poczuć czułości moich rąk. Nie mógł nie zrozumieć spojrzenia, które rzuciłam mu, zanim wyprostowałam się i wyszłam z pokoju.

– Zobacz, jaki z ciebie idiota. Ze wszystkich rzeczy, które chciałam ci dać, ty wybrałeś koc.

Jego oczy były nie tylko zimne – były zupełnie puste, kiedy tak patrzył bez słowa na mnie, przeze mnie, na wskroś mnie.

*

– Mam nadzieję, że zdaje sobie pani sprawę z powagi sytuacji. Nie rozmawiamy już o zaginięciu, tylko o zabójstwie, a zabójca ciągle jest na wolności.

Zabrzmiało jak zdanie z podręcznika dla adeptów szkoły policyjnej albo dialog z kiepskiego filmu. Bardziej drętwo niż dramatycznie, ale Kwarnickiego nie było na razie stać na nic więcej. I, jak przypuszczał, nie będzie go stać, dopóki nie sprawdzi dokładnie i w każdym szczególe opowieści Joanny Madeckiej. Może wtedy wróci mu spokój, a wraz z nim elokwencja.

– Oczywiście nie możemy państwu niczego narzucić, ale dla dobra śledztwa lepiej by było, gdybyście

państwo już się tym tak nie ekscytowali. Zresztą najważniejsza chyba będzie w tej kwestii wola pani Rawskiej.

Piątek wiedział, że Rawska wybiera się do Warszawy. Że już jutro będzie identyfikować zwłoki swego męża, a to, co zobaczy, wyrze na niej takie wrażenie, że ostatnią rzeczą, jakiej sobie zażyczy, będzie medialny szum wokół całej sprawy. Niebawem sprawy, to akurat przyznawał.

– Wola pani Rawskiej. Oczywiście. – Anna Ślęzak wyglądała na wstrząśniętą. I jakby nieco mniejszą za wielkim biurkiem na wysoki połysk. Mimo wszystko Piątek uznał, że jeszcze nie wystarczy uświadomienia jej powagi sytuacji.

– Poza tym muszę przypomnieć, że cała sprawa nie stawia was wszystkich w najlepszym świetle. A z częścią waszych pracowników będziemy musieli wykonać czynności.

– Wykonujcie. Wykonujcie, panowie, wszystko, co trzeba. – Papieros w jej palcach stuknął o blat. – Cholera, jak to się stało? Zabity, pokawałkowany, rozniesiony po Warszawie? Nasz dziennikarz? Facet, z którym rozmawiałam jeszcze tydzień temu?

– Też chcielibyśmy znać odpowiedź na to pytanie.

Jednak Ślęzak była już myślami gdzie indziej. Żal żalem, ale antena, news, oglądalność.

– Rozumiem, że informacja o tym, że poćwiartowane zwłoki to Rawski, i tak przedostanie się do wiadomości publicznej?

Piątek życzyłby sobie, by tak się nie stało, ale znając realia, wiedział, że to nieuniknione.

– Pewnie tak.

– W takim razie podamy to i pożegnamy naszego prezentera. – Nie dodała na głos, że ma nadzieję, że wyprzedzą z tym Network TV. – I tylko tyle.

– Niech będzie. Rzecz jasna jeśli wdowa się zgodzi.

Ekskluzywny news na wyłączność prosto z policyjnego źródła oddalił się w bliżej nieokreśloną przyszłość. Tytoń pod bibułką zachrząścił w jej palcach.

– I jeszcze jedno. Dowiedzieliśmy się w sekretariacie, że nie ma dziś w pracy Piotra Antuchowicza. A bardzo chcielibyśmy z nim porozmawiać. Zostawimy mu zaproszenie na komendę.

Kiedy urzędowy kwitek spłynął na jej biurko, w spojrzeniu Anny Ślęzak pojawiło się zdziwienie. Dotąd nie wzywali nikogo aż tak oficjalnie.

– Przekażę. – Nie przypuszczała, że Antuchowicz w ogóle znał Rawskiego bliżej. Umysł Ślęzak jakoś nie potrafił połączyć ze sobą mężczyzn tak różnych. Co oni mogli mieć ze sobą wspólnego?

– Panowie chcieli ze mną rozmawiać? – elegancka garsonka, makijaż odpowiedni do światła telewizyjnych reflektorów, drogie kolczyki. W drzwiach stanęła Izabela Kalicka.

– Nadal chcemy. – Kwarnicki doszedł do wniosku, że z jego elokwencją nie jest jednak tak źle. Może jeszcze nie wszystko stracone.

– Słucham panów. – Prezenterka Kanału Szóstego przysunęła sobie jeden z foteli w rogu pokoju. Jak widać, obecność szefowej zupełnie jej nie przeszkadzała. Do czasu, aż tamta zapaliła papierosa; twarz Kalickiej skrzywiła się z dezaprobaty. Musiała być jedną z tych, które nigdy nie skusiły się na papierosa, nawet lata temu w szkolnej toalecie w imię szczeniackiej solidarności.

– W czwartek dwudziestego drugiego sierpnia prowadziła pani „Przegląd Dnia” wraz z Aleksandrem Rawskim, prawda?

– Jak zwykle. To takie okropne, że zaginął. Czy wiedzą już panowie, gdzie on jest?

Spojrzenia dwóch policjantów i szefowej Kanału Szóstego skrzyżowały się gdzieś pośrodku smużki dymu. Jakimś cudem Piątek zrozumiał, że gdyby powiedział Kalickiej prawdę, zamiast zeznania miałby jeden wielki lament. I to wcale nie dlatego, że jakoś wyjątkowo lubiła Rawskiego; po prostu w takiej sytuacji należałoby lamentować, a Izabela Kalicka była jedną z tych osób, które zawsze robią tylko to, co

wypada.

– Pracujemy nad sprawą. Proszę nam opowiedzieć, czy Rawski był wtedy jakiś inny niż zwykle? Albo czy mówił coś o swoich planach na wieczór?

Wysunęła brodę i zagryzła wargę. Widać było, że myśli szczególnie intensywnie, ale nawet wtedy zwyczajem doświadczonej prezenterki telewizyjnej nie zapomniała o tym, jak wygląda.

– Nie. Normalnie prowadził serwis, jak zwykle nie był zbyt rozmowny. Przed wejściem na antenę gadali coś w newsroomie z Blajerem. Czy jedzie dziś do Opolą, zdaje się. Rawski mówił, że jeszcze nie wie, ale chyba nie. Czy coś takiego.

– A po wyjściu ze studia? Nie wie pani, dokąd poszedł?

– Nie mam pojęcia. Kiedy ja wychodziłam, on jeszcze siedział w newsroomie. A to, że był trochę przybity, to chyba naturalne w jego sytuacji.

Nozdrza podinspektora Piątka rozszerzyły się. Pies złapał trop.

– To znaczy? Co ma pani na myśli?

– No... Anno, nie mówiłaś im? – Kalicka spojrzała na swoją szefową, tak jakby szukała u niej pomocy.

– Z grubsza mówiłam. – Dym z papierosa Anny Ślęzak poszybował gdzieś ku sufitowi. – O romansie z Koniuszek i o awanturze, jaką zrobiła jego żona.

– No właśnie. Aleksander miał jak najczęściej wracać do domu, nie zostawać na noc w Warszawie. Tak się złożyło, że byłam kiedyś świadkiem jego rozmowy z żoną. Nie żebym podsłuchiwała, absolutnie – zastrzeżenie Kalickiej było tyleż rytualne, co zbędne – i właśnie wtedy jakoś tak szczerze porozmawialiśmy ze sobą. Nie wiem, chyba musiał się komuś wyzalić. To było tuż po tym, jak Paulinka wrzeszczała na niego na środku newsroomu.

Policjanci słyszeli już coś niecoś o tej awanturze, ale zawsze dobrze było poznać szczegóły.

– Mówi pani o tym, jak czyniła mu wyrzuty, że nie odbiera od niej telefonów?

– Tak, właśnie. To było trochę żenujące, tak przy wszystkich, w redakcji. Przeklinała, jak zwykle zresztą, wrzeszczała, że jakim prawem nie odbiera. Aleksander coś tam jej odpowiedział, chyba, że zawsze odbiera i że musiała się pomylić. To było dość bezczelne, przyznam, i musiało ją bardzo wkurzyć, bo jak on ruszył w kierunku studia, to biegła za nim. Prawie czepiała się jego rękawa, okropna sytuacja.

Rzeczywiście, okropna, ale chyba nie dla Kalickiej?

– Poszliśmy wtedy z Aleksandrem na kawę i... – Piątek już widział w wyobraźni, jakich sztuczek musiała użyć tak wytrawna wielbicielka plotek, by wyciągnąć coś z milczącego zazwyczaj kolegi; nie była to przecież okazja, którą mogłaby przepuścić – i... mówił trochę o tym, że ma problemy z żoną i że chce skończyć z Paulinką.

Opowieść najwyraźniej dopiero się zaczynała, ale Piątkowi udało się wtrącić:

– Kiedy to było?

– Jakoś ze dwa tygodnie temu? Może trzy? – zapytała samą siebie, chociaż Piątek był pewien, że zna dokładną datę.

– Z tą Paulinką to ja od dawna mówiłam, że to jakieś wariactwo. – Wygięła usta w grymas niezadowolenia. Wyglądała jak bogata ciotka, która karci krnąbrnych siostrzeńców za to, że podczas rodzinnego posiłku położyli łokcie na stole. – Powinien był dać sobie z nią spokój dużo wcześniej. Ja mówiłam, proponowałam, że pomogę. Znam fajną terapię małżeńską przy duszpasterstwie dominikanów, mówiłam, że mógł pochodzić z żoną, że załatwię, ale nawet nie chciał o tym słyszeć.

Nie dość, że wścibska, to jeszcze dewotka – ocena Piątka była druzgocząca, ale nie umniejszała jego nadziei na jakieś rewelacje. Poukładane, oceniające innych, zawsze skore do dobrych rad – takie kobiety

są skarbnicą wiedzy na temat bliźnich.

– Znaczy się, Rawski rozmawiał z panią o swoim życiu?

– No, poza tym jednym razem to nie za bardzo, ale słyszało się przecież to i owo, więc chciałam pomóc...

– A o jego romansie z Madecką też pani słyszała? – Kwarnicki uznał, że już najwyższy czas wnieść coś do rozmowy.

– Z Madecką!?! – prezenterka Kanału Szóstego aż cała pochyliła się do przodu. Zaskoczenie było tak wielkie, że na chwilę starło z jej twarzy starannie przybrany wyraz koleżeńskiej troski.

– Z Joanną!?! – jej zdziwieniu zawtórowała szefowa. Musiała bardzo się zawieść, jeśli sądziła, że naprawdę wie o wszystkim, co działo się w redakcji. A może raczej była pod wrażeniem, że komuś udało się tu coś ukryć. Dyskrecja należała do cech, które Anna Ślęzak ceniła najwyżej.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Piątek wiedział, że to zapewnienie musi pozostawić koledze. – Co najmniej od pół roku.

– Kto by pomyślał? Joanna z żonatym mężczyzną? – Rumieńce na policzkach Izabeli Kalickiej wypełzły spod makijażu. Choć był to bardzo gruby makijaż. – Nigdy bym nie powiedziała! Wie pan, ona i ja jesteśmy po tej samej szkole, kończyłyśmy liceum sióstr zmartwychwstanek.

Powiedziała to tak, jakby były koleżankami z klasy, choć jasne było, że musi być między nimi co najmniej piętnaście lat różnicy.

– Sądziłam, że ona... wartości rodzinne i w ogóle... że to by jej przeszkadzało.

Kwarnicki pomyślał, że jednak jej nie przeszkadzało. I że – wbrew intencjom różnych mamusi, ciotek i Izabel – są dziewczyny, którym solidne, katolickie wychowanie w niczym nie przeszkadza. A może nawet pomaga. „Chcesz poćwiczyć wyobraźnię?” Korespondencja Madeckiej z Rawskim była jak paproch w oku, którego nie mógł się pozbyć. Im bardziej starał się o nim nie myśleć, tym dotkliwiej czuł jego piekącą obecność pod powieką.

– No to teraz w ogóle wszystko się komplikuje. – Kalicka musiała naprawdę wierzyć, że życie małżeńskie Rawskiego było jej sprawą. – Jeszcze z tą ciążą...

– Jaką ciążą, do cholery? – Piątek wiedział, że akurat przy tej kobiecie nie powinien przeklinać, ale uderzenie adrenaliny do jego żył było szybsze.

– No bo... a to panowie nie wiecie? Paulinka jest w ciąży. Powiedział mi to wtedy na tej kawie. Znaczy się, mówił ogródkami, ale domyśliłam się.

Anna Ślęzak skojarzyła bladość i rozpaczliwy bieg do toalety z zestawem oczywistych symptomów – więc jednak nie chodziło o obrzydzenie! Tylko jakoś jej nie pasowało, że Kalicka nie podała tak sensacyjnej informacji dalej. A jeśli podała, to dlaczego nie dotarła ona do niej?

– Z Rawskim w ciąży?

– No, on twierdzi, że nie, ale kto wie, jak jest naprawdę... Z tą Paulinką to przecież nie wiadomo, sypiała z kim popadnie. – Jej twarz się wykrzywiła, jakby prezenterka starym, telewizyjnym przyzwyczajeniem uważała, że słowa wymagają ilustracji. – Chociaż mówiłam mu, że to już poważna sprawa, ale on jakby się zaparł. Że nie jego i że jej nie wierzy. Tylko że no... dziecko to zawsze dziecko – Kalicka nie byłaby sobą bez zestawu uniwersalnych pouczeń. – Więc mówiłam mu, żeby coś z tym zrobił. Wyjaśnił czy coś...

Kwarnicki i Piątek spojrzeli na siebie. Zdaje się, że w ich sprawie właśnie wyjaśniono wszystko.

– Dziękujemy pani. To naprawdę bardzo ważne, co pani powiedziała.

Obaj jak na komendę ruszyli do wyjścia. Odprowadzające ich do drzwi słowa Kalickiej brzmiały nieco mniej pewnie.

– Tylko panowie... ja nie wiem, czy jego żona wie...

– Jego żona ma teraz na głowie ważniejsze sprawy. Na przykład pogrzeb.

Oczy okrągłe i wielkie jak pięcioletówki, miękka linia otwartych ust, brwi uniesione do połowy czoła. Odmłodzenie jako łaskawy efekt uboczny zdziwienia.

– To on nie żyje?! – W miejsce starannie modulowanego głosu pojawił się pisk, a w miejsce wytrawnej dziennikarki – zwykła przekupka.

Policjantów już nie było, odpowiedziała jej szefowa.

– Nie żyje. I jest w kawałkach.

Kalicka prawie się zakrztusiła swoim własnym szokiem. A może niezdrową ekscytacją?

– A jego żona o niczym nie wiedziała. Bo wiesz, Izabela, niektórzy jakimś dziwnym trafem nie wiedzą tego, co powinni.

Do bezbrzeżnego zdziwienia na twarzy prezenterki doszedł jeszcze wyraz niezrozumienia. Jednak Anna Ślęzak nie zamierzała jej niczego tłumaczyć. To oczywiste, że ktoś taki jak Kalicka nie poznał się na człowieku, ale ona? Szefowa Kanału Szóstego zgmiotła papierosa w popielniczce – była zła na samą siebie, że nie doceniła Madeckiej. Okazało się, że tylko ona potrafiła jednocześnie trzymać język za zębami i go wysuwać. Czyli że ona jedna nadawała się w tej nieszczęsnej, rozplotkowanej firmie do tego, by mieć z nią romans. Poczula ukłucie żalu, że pozwoliła, by ktoś ją w tym ubiegł. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że przecież ten ktoś nie żyje. I że wieść o tym lotem błyskawicy roznosi się właśnie wśród pracowników – Izabeli Kalickiej nie było już w gabinecie.

*

To nie dawało mi spokoju. Dręczyło, gryzło, szczypało od środka. Więc jednak. Więc nie obejdzie się bez tego. Więc trzeba będzie skłamać. Tak oficjalnie, urzędowo, pod nazwiskiem i PESEL-em. Nie będzie żadnej taryfy ulgowej. Kwitek, który dostałem od sekretarki szefowej, leżał przede mną na kuchennym blacie. Wezwanie na komisariat. A raczej na komendę – Komenda Stołeczna Policji, ulica Nowolipie 2, klasycystyczny pałacyk owiany ponurą sławą. Nie sądziłem nawet, że wciąż jeszcze wzywają tam podejrzanych. A tym bardziej świadków. O kłamcach nie wspominając.

Będę musiał tam pójść, wylegitymować się i opowiedzieć im wszystko tak, jak nie było. Prosty cel, trudna sztuka. A co, jeśli to ona? Jeśli to ona go zabiła? Nie chciałem tej myśli w swojej głowie, ale rozbrzmiewała w niej uparcie i natrętnie. Samuraj patrzył na mnie z politowaniem, kiedy tak miotałem się po pokoju. Spacer. Długi spacer po lesie – może ułoży mi wszystko w głowie. A może jeszcze bardziej pomiesza? Nie byłem pewien, ale musiałem spróbować. W puszczy panował spokój, jakby przyroda zapadła w popołudniową drzemkę. Tylko ja, mój psi towarzysz i jeszcze parę głosów szmerzących gdzieś w koronach drzew, w kłębowisku gałęzi, w zdradliwych rozpadlinach przykrytych miękkością mchu. Ja sam zaoferowałem Joannie pomoc. Sam poleciłem, by powiedziała, że była wtedy ze mną. Tak, tak było. Tylko że wtedy Rawski po prostu zaginął. Nie wiedziałem jeszcze, że nie żyje i zażywa pośmiertnego spoczynku w sześciu kawałkach.

– Naprawdę nie wiedziałeś? Nie udawaj.

Głos dochodził gdzieś z gęstwiny gałęzi. Popołudniowe słońce nie rozświetlało wszystkich mrocznych zakamarków. Może i nie wiedziałem, ale przeczuwałem. A może nawet jeszcze gorzej: miałem nadzieję, że tak jest. I stało się – nie żyje naprawdę. Ale to nie ona, nie ona go zabiła.

– Tego akurat nie możesz wiedzieć.

Tamtej upiornej nocy, nocy desperacji i szaleństwa, wysiadłem z samochodu. Wszystko było dokładnie tak, jak jej opowiedziałem. Pierwsza lepsza knajpa szeroko otwarta dla zagubionych miejskich wędrowców, złość wymieszana z zazdrością, jedna wódka, druga, trzecia. Deszcz odsłonił bezlitośnie cały idiotyzm sytuacji mężczyzny pod oknem zupełnie obcej mu kobiety. Całe zażenowanie, każdy wymiar niewłaściwości, wszystek wstyd. Palił jeszcze bardziej niż poprzedzająca go gorączka. Nie wiem, jak

długo siedziałem przy jednym z porysowanych stolików, wśród pustego szkła i mokrych kółek, które zostały na blacie po zmrożonych szklankach. Czwarta wódka, piąta. W jak najciemniejszym kącie, jak najdalej od ludzi, jak najgłębiej schowany. Wreszcie trzeba było pójść – przed szóstą zaczynał się poranny dyżur, przed którym musiałem choć trochę otrzeźwieć. Z emocji i wstydu dużo bardziej niż z upojenia alkoholem. Kiedy wsiadałem z powrotem do auta, zegar na desce rozdzielczej pokazywał czwartą. Półtorej godziny snu, najpierw głowa oparta na kierownicy, a później po prostu rozłożone tylne fotele. Surogat noclegu, drzemka w turystycznych warunkach, kara za jeżdżenie nie tam, gdzie trzeba. Zamroczenie bardziej niż sen, minuty ciężkie od wódki i żalu. Tym razem sen bez Joanny, jakieś obrazy złe i oderwane od znaczeń. A może przeciwnie – znaczące i przez to jeszcze gorsze? Świt po burzy wstał jasny i czysty, wszystko będzie dobrze, wszystko zacznie od nowa. Włosy byle jak poprawione w lusterku, miętowa guma do żucia, Bogu dzięki za dzinsy, czyli dobrodziejstwo spodni, które się nie gniołają. O wpół do szóstej ruszyłem. Kamienica, w której mieszkała Joanna, pogrążona była w ciszy i spokoju. Jakiś emeryt – zapewne cierpiący na bezsenność – wyszedł z psem na trawnik mokry i parujący po deszczu. Przejechał jeden z pierwszych porannych autobusów, wiatr poświstywał w jego oknach i przegubach. Joanna pewnie spała; przy uchylonym oknie, przykryta czymś lekkim, ciepła i miękka od snu. A gdzie był wtedy Rawski? Pojechałem do pracy, ryzykując spotkanie z jakimś nadgorliwym patrolem, który mógłby obnażyć niedostatki mojej trzeźwości. Od razu w pracy mocna, gęsta kawa, trochę zimnej wody w umywalce. Później było już lepiej, coraz lepiej. Miałem pewnych rzeczy nie robić już nigdy więcej. Tylko jedno nie mogło mi dać spokoju, tylko jednego klocka brakowało w logicznej konstrukcji zbudowanej z faktów i domniemań, pocieszeń i postanowień.

– A gdzie był wtedy Rawski?

To pytanie wciąż rozbrzmiewało w mojej głowie. Zadawał je dziś krzak jałowca, powtarzał je stary, zwalony pień gdzieś przy wykrocie, szemrały nim igły świerków. Gdzie był wtedy Rawski? Zdążył wyjść od niej w ciągu tych godzin, które spędziłem w barze? Czy wymknął się, gdy walczyłem z widziadłami półsnu? Poszedł sobie, poszedł od niej, poszedł szukać śmierci? Śmierci, którą znalazł diabli wiedzą gdzie i z czyjej ręki. A może wcale nie tak – może leżał już wtedy martwy u niej w mieszkaniu?

To było niedorzeczne. Bezpodstawne. niesprawiedliwe. Joanna nikogo by nie zabiła, a już na pewno nie Rawskiego. Ta konstatacja nie była przyjemna, ale jednak niosła ulgę.

Poza tym jakże mogłaby go poćwiartować? Taka drobna, szczupła dziewczyna. Ona tego nie zrobiła. Nie ma winy, za to może mieć kłopoty. Jeśli dowiedzą się, że był u niej tamtej nocy, spotkają ją problemy poważniejsze niż jakiegokolwiek dotąd. Jak wtedy im wytłumaczy, że to nie ona? I że nie powiedziała wszystkiego od początku? Tylko ja mogłem jej pomóc. Ta świadomość rozplątywała się na moim podniebieniu jak kostka czekolady. Gorzkiej czekolady; takiej w kolorze jej oczu.

– Będziesz musiał skłamać. Zaryzykować. Wziąć w tym udział.

Zaszemrało gdzieś wśród jodeł i świerków. Nie byłem pewien, co dokładnie usłyszałem, ale „wziąć w tym udział” bardzo łatwo można było zrozumieć jako „współudział”. To przecież dla niej, tylko bezinteresowna pomoc, kłamstwo w słusznej sprawie.

– Jesteś pewien?

Nie byłem. Podobnie jak – wciąż jeszcze i wbrew wszelkim zaklęciom – tego, że to nie ona. Cień nadciągał gdzieś od zachodu, wpełzał między pnie, wypełniał wilgotne zagłębienia w ziemi. I obrzeża mojej świadomości. Nie byłem tego pewien, bo nie mogłem być. I nie będę mógł – dopóki ona mi tego nie powie.

*

Oglądałam program Aleksandra. Tym razem była to sama przyjemność. Oglądałam go, malując się, czesząc i ubierając; a raczej rozbierając, bo nie chciał dziś żadnej bielizny. „Czy może przypadkiem jest

Pani w domu?” – napisał godzinę temu. Tak się składało, że byłam, a nawet jeśli byłoby inaczej, dla niego zmieniałabym to jak najszybciej. „Mam dziś program do dwudziestej pierwszej” – pisał tak, jakby grafik jego pracy miał przede mną jakieś tajemnice. Może dobrze, że o tym nie wiedział? „Później miałbym ochotę zedrzyć z Ciebie coś fajnego. Coś, pod czym nie będzie bielizny”. Czekałam więc na niego, a to czekanie było jak aperitif, który wzmacnia apetyt i zaostrza smak. Patrzyłam na Aleksandra na ekranie, rozpoznając tak dobrze mi znane gesty i miny. Wyglądał świetnie w ciemnym prążkowanym garniturze, w białej koszuli ze spinkami u mankietów. Stały element – ciemny, masywny długopis w palcach – dodawał mu nonszalancji i pewności siebie, choć i tak było jej niemało w jego zimnym spojrzeniu spod półprzymkniętych powiek, w jego rękach rozłożonych i opartych o blat stołu, w jego postawie wyniosłej i doprawionej odrobiną pogardy. Dla zaproszonych gości, dla wydawcy, który szeptał mu coś do ucha przez włączoną słuchawkę, dla widzów?

Sam program miał udawać poważną publicystykę, a w praktyce stanowił ordynarną pyskówkę, która przebiegała według żałośnie wyświechtanego scenariusza. Pięciu czy sześciu polityków z różnych partii, jakieś wydarzenie tygodnia, które w sposób oczywisty i przewidywalny musiało ich dzielić, argumenty rodem z podwórka bardziej niż z sal parlamentarnych. Trochę oczywistych różnic politycznych, kilka uwag osobistych, mało powściągliwości, za to ogromna chęć prezentacji swoich przekonań. Zaczynali pod płaszczykiem grzeczności i merytorycznych wypowiedzi tylko po to, by jak najszybciej przejść do sakramentalnego „ja panu nie przerywałem”, „proszę pozwolić mi skończyć” i „pan mówił już bardzo długo”. Kończyli rzecz jasna na przekrzykiwaniu się i wzajemnych pretensjach. Aleksander niczym się od nich nie różnił: goście wrzeszczeli na siebie, Aleksander wrzeszczał na gości, wszyscy nawzajem wchodzili sobie w słowo. Patrzenie na to sprawiało mi perwersyjną przyjemność – był tak niegrzeczny i pobudzony, że ocierało się to o agresję. Może po prostu się nie przygotował, a może lubił pozwalać im na kłótnię. W każdym razie cały program nie był niczym innym, a Aleksander zachowywał się jak ten, który rzucił ochłap mięsa między psy, pozwoliwszy im się szarpać – i tyle, to wystarczy. Wiedziałam, jak trudno w takiej sytuacji wyłowić jakiś mądry cytat z przekrzykujących się głosów i urywanych zdań. Na szczęście to nie ja byłam dziś na dyżurze i nie do mnie należało to zadanie; ja miałam przed sobą zadania zupełnie innej, dużo przyjemniejszej natury. Uwielbiałam te rzadkie chwile, kiedy wiedziałam, co będzie po tym, jak Aleksander skończy program; dokąd pójdzie, jak już zgasną reflektory w studiu, jak fotel prezentera spowije mrok, po tym, jak zaproszeni goście rozejdą się każdy w swoją stronę.

– Dobranoc państwu, zapraszam na „Arenę” za tydzień.

Pożegnaniu towarzyszyły niemilknące odgłosy awantury. Dopiero napisy końcowe i wesoła muzyczka zdołała ich zagłuszyć. Najpierw tylko trochę, później coraz bardziej i bardziej, aż w końcu ucichli zupełnie i zniknęli pod planszą zapowiadającą reklamy. Wiedziałam, że teraz Aleksander zegnają się z nimi, pozwala odpiąć sobie mikrofon i cały zestaw nagłaśniający, chowa długopis do wewnętrznej kieszeni marynarki. A później zamyka za sobą szklane drzwi studia, wychodzi z kręgu jaskrawych świateł, może zamienia słowo czy dwa z wydawcą. I później idzie do mnie, prosto do mnie, natychmiast do mnie. A ja czekam na niego, zdążywszy się napatrzeć i nasłuchać. Teraz chcę dotknąć, powąchać i posmakować.

Musiał przyjść naprawdę od razu po programie. Nie zdążył nawet zdjąć służbowego garnituru, w którym widziałam go na ekranie telewizora jeszcze kwadrans temu. Makijaż stał niedokładnie; wciąż znać było na jego twarzy rozmazane smugi pudru. Wciąż też był w nastroju, w jakim prowadził „Arenę”.

– Nie mogłem się skupić na tym cholernym programie. A wiesz dlaczego?

Zapytał, kiedy jego twarz była tak blisko mojej, że widziałam jak w powiększeniu każdą zmarszczkę w kącikach jego oczu, każdy okruch lodu błękitniejący w jego tęczęwkach, każde wygięcie linii jego ust.

– Dlatego, że przez cały czas trzymałem palec w twoim tyłku.

Nie wiem, czy bardziej podnieciły mnie jego słowa, czy palec, który naprawdę zanurzył się między moimi pośladkami aż po trzecie zgięcie. Nie wiedziałam, po której stronie odwiecznego dylematu stoję – co bardziej wyzwala żądze: to, co mówimy, czy to, co robimy? Słowa i w nich zakłeta prefiguracja ekstazy idealnej czy jednak czyny ze swoją rozkoszą mniej wzniosłą, ale namacalną? Kiedy mówił mi, co ze mną zrobi, jego słowa sprawiały, że sływałam sokiem podniecenia. Kiedy robił to wszystko ze mną, słowa i czyny spletały mi się w jedno. W jedno pasmo pożądania i spełnienia, głodu i nasycenia, bólu i ukojenia.

Aleksander uwielbiał moje pośladki; uwielbiał je oglądać, rozchyłać, dotykać. Uwielbiał uderzać w nie otwartą dłońią i patrzeć na ślady palców odcisnięte na krągłej, białej powierzchni. Krzyknęłam, gdy któryś z klapsów okazał się za mocny. Poczułam, jak skóra czerwieni się i napina, jak pękają delikatne wiązki kolagenu i łańcuchy białek, jak ich rozerwana struktura ujawnia się na zewnątrz pod postacią czerwonych pręg.

– Przesadziłeś – powiedziałam, ale jego język zlizął moje pretensje. Aleksander przesunął nim po bolącej powierzchni mojego pośladka: od prawej do lewej, z dołu do góry i odwrotnie. Dotyk jego języka wydawał się chłodny na skórze gorącej od uderzenia; zostawiał na niej śliski, ciągnący się ślad wilgoci. Zwierzęcość tego gestu była czymś więcej niż oczywistym echem – była czymś na tyle pierwotnym, na tyle silnym, na tyle zniewalającym, że kazała mi stać tak przed nim z rękoma opartymi o stół, z rozstawionymi nogami i pośladkami wypiętymi tuż przed jego twarzą. Kazała mi stać tak i poddawać się podnieceniu, które rosło z każdą zasychającą strużką jego śliny i z każdym ruchem jego języka. Jego języka, który był tak doskonały. Który był doskonałością absolutną, kiedy porzucił mój pośladek i zaczął zataczać kółka wokół łechtaczki, kiedy koniuszkiem otwierał wargi, by się między nie wślizgnąć, kiedy drażnił i pieścił, lizal i ssał, obracał się wokół i zgrabnymi, okrągłymi ruchami doprowadzał mnie do szaleństwa. Dylemat: słowa czy działania, został wtedy zniesiony. Wszystkie słowa sływały z języka Aleksandra wprost we mnie – nie musiał ich już wypowiadać; jego język sam mi je dawał, a ja nie mogłam przestać krzyczeć w odpowiedzi.

Jego język był dla mnie łaskawszy niż on sam. Mogłam się o tym przekonać tuż po tym, jak wrócił spod prysznicza zawinięty w ręcznik. I rzecz jasna od razu zaczął się rozglądać za swoim ubraniem. A przy okazji – za sposobnością powiedzenia czegoś, czego mówić nie należało.

– Naprawdę nie sypiasz z nikim z firmy?

– Nie. – To była prawda tak czysta, że nawet nie widziałam potrzeby podpierania jej czymkolwiek.

– Może i masz z tym rację. Wybór nie jest najlepszy.

Obgadywanie koleżanek i kolegów z pracy, czyli to, co lubił najbardziej, a do czego ja zazwyczaj ochoczo się przyłączałam. Tylko że dzisiaj stary temat wystąpił w nowej odsłonie.

– To nie to, co w czasach, gdy pracowałam w Opolu w TV Na Czas.

Mówił o tej części swojego życia, kiedy to porzucił konsorcjum medialne, do którego należał między innymi Kanał Szósty. Po wielu latach pracy – trochę w centrali, a trochę na opolskim wygnaniu – Aleksander zdecydował się na mały eksperyment z nową, regionalną telewizją. Plany były ambitne, ale wykonanie zdaje się mocno średnie; nie znałam szczegółów, ale wiedziałam, że już dwa lata później wrócił do starej, dobrej firmy. W czołowym przedsięwzięciu jednak nie było już dla niego miejsca i tak trafił do Kanału Szóstego – gdzie tymczasem znalazłam się i ja.

– Tam było zupełnie inaczej.

– Chyba zawsze jest inaczej, kiedy jest się dyrektorem. – Poniewczasie się zorientowałam, że zabrzmiało trochę bardziej złośliwie, niż powinno.

– Taaa... – Wyjął mi z ręki papierosa i zaciągnął się. Chciwie, zachłannie, namiętnie. Na pewno nie jak ktoś, kto nie pali i jest ze swego niepalenia dumny. Raczej jak ktoś, kto bardzo tęskni. Nie tylko za

tytoniem.

– To były świetne czasy. Gabinet, służbowy samochód z kierowcą, asystentka i dwie sekretarki.

– Sypiałeś z nimi? – Przecież wcale nie chciałam wiedzieć, a mimo to zapytałam. Lekko, niezobowiązująco, tak jakbym wcale nie przywiązywała wagi do odpowiedzi. To kosztowało mnie sporo trudu, choć sama nie wiem, po co go sobie zadałam. Może chciałam odpłacić Aleksandrowi pięknym za nadobne? A może wierzyłam, że właśnie tego wymaga ode mnie pewna konwencja – konwencja, która może narażać na niewygody i przykrości, ale nie pozwoli mi odsłonić się całkiem, a tym samym zostać bezbronną?

– Z sekretarkami nie. Sypiałem z asystentką.

To musiało być jakieś półtora roku temu, ale coś w jego głosie, w wyrazie twarzy, w geście, którym trzymał zabranego mi papierosa, sprawiło, że i tak zaboląło.

– Pojechaliśmy kiedyś razem na targi do Cannes. Niby kupować filmy. To było naprawdę coś.

Każdy mężczyzna wie, że nie mówi się takich rzeczy kobiecie. Aleksander też musiał to wiedzieć, ale i tak kontynuował.

– Niezła była z niej dupa. Blondynka. – Powiedział to tak, jakby rozmawiał z kolegą, który z całą pewnością podzieli jego uznanie. Jednak coś, co zobaczył w moich oczach, kazało mu się zmitygować. – Oczywiście nie śmiałbym porównywać cię do niej.

Przez moment pomyślałam, że już wszystko będzie dobrze, że powie to, co należy, a może nawet coś jeszcze. Ale ten moment był krótszy niż czas, w którym Aleksander otworzył usta, uwolnił dym z płuc i na nowo podniósł papierosa do warg. Mojego papierosa.

– Jak tak na ciebie patrzę, to dochodzę do wniosku, że jesteś od niej... – pauza dzwoniła ciszą, nawet dym unoszący się miękko ku sufitowi nie potrafił złagodzić jej głuchej ostrości, która zawisła między nami – ...mądrzejsza.

Głucha ostrość ciszy przecięta jego słowem spadła gdzieś między nas. Ciężko i nieodwołalnie.

*

Mieszkania osiemnaście. Tak powiedziała wtedy w kawiarni, zanim nadejście Hanki przerwało naszą rozmowę. Zanim zdążyłem zapytać o to, co przegapiłem, ale czego nie mogłem przemilczeć. O to, czego musiałem się dowiedzieć. Kiedy przyjechałem przed jej dom, zmierzch przechodził w wieczór. Szara godzina, sunące w powietrzu pasma smutku, dobry czas dla samobójców, dla melancholików i tych z depresją. A może nawet dla wątpiących i zagubionych. Można było coś wyjaśnić albo zagubić się jeszcze bardziej.

– Piotr? – Zdziwiła się, widząc mnie w progu. Spróbowała obrócić to zdziwienie w uśmiech.

– Daruj, że tak bez zapowiedzi i że tak nagle...

– Wejdz, nie będziemy przecież rozmawiać w drzwiach.

Stara kamienica, małe mieszkanie, szeroko otwarte drzwi na balkon. I rzeczywiście – widok na podwórko. To nie w jej oknach tamtej nocy płonęły świece. To nie jej mieszkanie pograżyło się w mroku tuż przed burzą. Nie mogłem widzieć ani słyszeć niczego, co działo się wtedy tutaj. Czy ona mi to opowie?

– Napijesz się czegoś?

Grała na czas albo naprawdę nie wiedziała, po co przyszedłem. Wąska, czarna sukienka, łopatki odsłonięte w wycięciu na plecach, bosa stopy. Musiała gdzieś wychodzić, jeszcze nie zdążyła włożyć szpilek.

– Nie chcę ci krzyżować planów...

– Właśnie wróciłam.

Jeśli to była nieprawda, to przeszła jej przez gardło gładko i wiarygodnie. Czy to znaczy, że potrafi

kłamać?

– Joanna, posłuchaj. Chcą ze mną rozmawiać. Chcą, żebym do nich przyszedł. Przyszedł i złożył zeznanie.

Gwałtowny obrót, jeden ruch, pół oddechu – znalazła się bardzo blisko mnie. Było w niej coś, co nasuwało skojarzenia z laleczką z porcelany. Taką do postawienia na kominku, ale nie do ściskania w dłoni – zbyt łatwo można by ją było stłuc.

– Pójdę tam i powiem im, co trzeba. Powiem, że byłem z tobą aż do rana.

Szeroko otwarte oczy i czerwone usta w twarzy białej jak płótno. Królowna Śnieżka, wersja bez krasnoludków, ale wciąż zdecydowanie tylko dla dorosłych.

– Tylko muszę wiedzieć. Muszę wiedzieć, jak było.

Trochę koloru wróciło na jej twarz; dopiero teraz zauważyłem, że zdążyła zacisnąć rękę na brzegu stołu. Jakby musiała się czegoś przytrzymać, bo zbyt mocno zakręciło jej się w głowie.

– Było tak, jak wiesz, że było.

– To za mało. Powiedz mi.

Chciałem od niej słów, konkretnych i rzeczywistych. Słów wprost i w twarz. Słów, których mógłbym się uczepić i już nigdy nie puścić.

– Wyszedł stąd jakoś po drugiej. Nie wiem, może wpół do trzeciej. Nie nocował u mnie, pokłóciliśmy się. Zresztą i tak często wychodził w środku nocy. Miał mnóstwo swoich spraw. Wtedy też wyszedł, nie mówiąc, dokąd idzie. Tak było, to wszystko.

Mówiła spokojnie, płynnie, równo; tym swoim głosem niskim i głębokim – głosem kobiety po przejściach zupełnie nie na miejscu u młodej dziewczyny.

– Nie zabiłaś go?

– Nie. – Patrzyła na mnie prosto i bez żadnych uników. Patrzyła na mnie oczami w kolorze gorzkiej czekolady, które widziałem codziennie przed zaśnięciem i po obudzeniu. Przepraszam Cię, kochanie, że choć przez chwilę mogłem sądzić, że kłamiesz.

*

On nie żyje, umarł, jest trupem. Trupem w kawałkach rozniesionym po Warszawie. Sensacyjna wiadomość obiegała korytarze budynku Twoich Mediów. Jak dym rozpływała się w powietrzu, jak mgła unosiła się nad ziemią, jak podmuch wiatru wślizgiwała się w każdy zakamarek. Szemrała swoją upiorną melodię w szparach ścian, w ramach okiennych i w futrynach drzwi. Wypełniała redakcje, omiatała stoły montażowe, towarzyszyła w samochodach ekipom jadącym na zdjęcia. Wpływała na każdą decyzję wydawców, każdą minę prezenterów w studiu i każdy ruch realizatorów nad konsolą. Nie było innego tematu ani nie było nikogo, kto pozostałby wobec niego obojętnym.

– Zamordowali go.

– Zabili.

– Pocięli.

Prezenter Kanału Szóstego, człowiek, którego mijali na korytarzach, spotykali w bufecie, z którym spędzali długie godziny w newsroomie. Dyżurny zły chłopczyk, mężczyzna o zszarganej reputacji, który w istocie miał więcej tajemnic niż głównych ról w plotkach.

– Sypiał z Madecką, słyszałaś o tym?

– Jezu, z nią też?

– No tak.

– Z nią bym akurat nie powiedziała.

– Z nią, z Koniuszek, z barmanką z Setki, może nawet jeszcze z Miłkowską.

– Co za życie prowadził!

– Jakie życie, taka śmierć.

Aleksander Rawski, którego oglądali na ekranie, z którym uzgadniali startówki do materiałów, z którym zdarzało im się spotkać w księgowości albo w garderobie. Któremu rzucali spojrzenia powłóczyście lub pełne zazdrości, zależnie od płci. Dla kogoś był niemiły, komuś ukradł program, na kogoś przerzucał swoją pracę. Kogoś podrywał i ten ktoś bardzo żałował, że nie wykorzystał swojej szansy. Teraz to wszystko było już nieważne. Ważne było to, o czym wszyscy myśleli, co przerabiali w głowach na wszelkie możliwe sposoby, od czego nie mogli się uwolnić. Rozważali to, wydmuchiwali o tym dym, nie mówili o tym. W ogóle o tym nie mówili. Bo przecież to mógł być ktoś z nich.

*

Laleczka z porcelany nie stłukła się, kiedy ją objąłem. Kiedy ścisnąłem, całowałem, gniołem. Wyciągając po nią ręce, nie myślałem, jak może to wyglądać – że za szybko, że może nie należy, nie powinno się, nie wypada. Wiedziałem tylko, że mam ją tuż obok, że wszystkie przeszkody zniknęły, że nie ma Rawskiego, nie ma trujących podejrzeń, nie ma żadnych wątpliwości. Jutro pójdę i zrobię to, co musi zostać zrobione, a później nie będzie już niczego, co mogłoby stanąć między nami. Nowe stworzenie świata – świata dla nas, z mitem genesis i legendą założycielską. Drobne kłamstwo wepchniemy skrzętnie pod kamień węgielny; to nic, czasem trzeba, niekiedy tak bywa. Kłamstwo w imię prawdy, zło w imię dobra. Nadzieja. Już niedługo zapomnimy o wszystkim i wreszcie będziemy szczęśliwi. Naprawdę miała skórę jak lateks, była twarda i gładka, gorąca i zimna na przemian. Aromat brzoskwini, który roztaczała wokół siebie, teraz rozkwitał w kilku odślonach, w wielości nut i w piętrowych wariacjach. Było tam wszystko; wszystko w bezwstydnym pomieszaniu zmysłów na wewnętrznej stronie jej ud. Dotknięcie zapachu, faktura smaku wyczuwalna pod dłonią, dotyk, który rozpływa się na języku i upaja zapachem. Leciutka gorycz pestek, rozgryzionych i roztartych, delikatność aksamitnej skórki, gęstość mięszu odurzająca i mięsista. Wszystko zmieszane ze sobą, wszystko połączone straconym dla logiki łańcuchem zmysłów, wszystko dla mnie. Sok lepki i słodki – oby tylko mój język nie przeoczył ani kropli, oby mój wzrok dotknął każdego szmeru. Tyle miesięcy czekania, tyle tygodni z oddali, tyle myśli i przebudzeń w środku nocy. Nagroda za wytrwałość, spełnienie na końcu obsesji. Gdyby jeszcze można było wyczytać coś z jej oczu powleczonych lśniąca mgiełką, odcyfrować manuskrypt jej twarzy, sprowadzić na ziemię podniebne wygięcie łuków jej brwi. O czym myślisz, kochanie, kiedy wbijasz paznokcie w moje plecy? Co masz pod powiekami, kiedy zamykasz oczy? Czy aby na pewno do mnie szepczesz i krzyczysz? Nie mogę wiedzieć wszystkiego, ale to jedno wiem – jesteś, jesteś tu ze mną i nic już tego nie zmieni. To nieprawda, że nie ma szczęśliwych zakończeń. Nigdy już nie wypuszczę Cię z rąk, nigdy nie oddalę się od Twojej twarzy jak z obrazów prerafaelitów. Nigdy już nie pozwolę Ci odejść.

*

To mógł być ktoś z nich. Ta myśl nie dawała Justynie Rawskiej spokoju. Zawsze domyślała się, jak Aleksander spędza samotne dni w Warszawie, ale jest spora różnica między litościwą łagodnością domysłów a bezwzględny okrucieństwem wiedzy. Teraz wiedziała – wiedziała już na pewno, dokładnie, z całą bolesną jasnością. Potajemne romanse, ciemne sprawy, sieć kłamstw. Złe zakończenie. A przecież miało być tak dobrze; przecież miało być pięknie wbrew temu, co mówiła jej matka. Choć była przyzwyczajona do tego, że często jest sama, dzisiaj dom wydał jej się wyjątkowo pusty. Co można robić tuż po tym, gdy mówią ci, że twój mąż nie żyje? Że twojego męża zamordowano? Czy jest jakieś właściwe zajęcie na taką okoliczność? Benzodiazepiny w jej krwi nie poddawały się tak szybko; choć ich magiczna moc puściła na chwilę, teraz znów zdawała się wracać. Błogosławiona mgiełka znieczulenia, która oplata neurony słodkim szeptem „jest mi wszystko jedno”. Tak jak Aleksandrowi było wszystko jedno – wszystko jedno, czy ona wie, czy się domyśla, wszystko jedno, jak bardzo ją boli. Teraz też bolało. Zabity i poćwiartowany, znieawidzony i ukarany, kat w nagłej roli ofiary. Kto mógł to

zrobić? Kto to był? Pytania niedające spokoju, powracający refren, natrętne myśli.

Jej pracownia – mały pokój na tyłach domu, jedyne miejsce w całej tej wielkiej, zimnej willi, w którym czuła się u siebie. Poszła tam teraz. Aleksander nigdy tu nie wchodził, jeśli chciał coś od niej, kiedy pracowała, najwyżej wołał ją od progu. Jakby to wszystko, co tam robiła, nie było warte nawet okrucza jego zainteresowania. Czymże były jej abażury, jej mozaiki, cała ta jej dłubanina wobec dziennikarskiej kariery w stolicy? Choć wiedziała, że jest inaczej, pozwoliła sobie wmówić, że niczym. Na stole leżały rozłożone przybory; nawet nie pamiętała, kiedy ostatnio ich używała. Kilka rodzajów specjalnych nożyków, szkło barwione na różne kolory, mosiężne druty powyginane we wszystkie strony. I nieukończony witraż, nad którym ostatnio pracowała. Jakiś popularny wzór, pseudosecesyjne lilie z szeroko rozchylonymi płatkami. Najwięcej zamówień miała na artystyczne lampy witrażowe, ale czasem zdarzało się, że ktoś chciał po prostu obrazek. Na prezent albo na pamiątkę. Usiadła do pracy automatycznie, tak jakby było to najnaturalniejsze zajęcie, któremu powinna się teraz oddać. Jej ręce same wiedziały, co robić; właściwie bez udziału woli zaczęły przycinać szkielek, dopasowywać do wzoru, szlifować. Obok pytania „kto?” pojawiło się w jej głowie inne, nowe. Dlaczego? Lilia wypełniała się płatkami z mlecznego szkła, a na miejsce „dlaczego?” wsuwało się „za co?”. Co zrobiłeś, co Tobie zrobiono, jak mam żyć z tym wszystkim? Wiedziała, że już o świcie pojawią się policjanci, którzy zabiorą ją do Warszawy. Identyfikacja zwłok brzmiała na tyle strasznie, by o tym nie myśleć. A już identyfikacja pokawałkowanych zwłok była czymś, co zaburzało doskonale wyćwiczony, mechaniczny rytm jej palców, pod którym szkło i mosiądz stawały się kwiatem. Nie ma Cię, nigdy więcej nie będzie, a rozpacz mieszała się ze strachem, bólem i czymś jeszcze. Czymś, czego Justyna Rawska nie odważyłaby się nazwać nawet wyłącznie w myślach. Choć robiła swoje lampy od tylu lat i już od niepamiętnych czasów nie zdarzyło jej się przy tym zaciąć, teraz poczuła, jak szkło wchodzi w palec. Gładko, miękko, boleśnie. Słony smak łez kapiących jej na rękę zmieszał się ze słodczą krwi.

*

– Proszę, niech pan siada. Zaraz poproszę pana podinspektora.

Młody mundurowy przyprowadził mnie do pomieszczenia, które mogło być zarówno pokojem przesłuchań, jak i zwykłą salą konferencyjną. Jasne ściany, duży, prosty stół, drobinki kurzu tańczące w promieniach słońca. Kraty w oknach.

– Podinspektor Andrzej Piątek, dzień dobry.

Kawałek amerykańskiego kina na polskiej komendzie. Nie mogłem odwrócić wzroku od bruzd w jego surowej twarzy, od zaciśniętych szczęk, od nieruchomego spojrzenia jasnych oczu. Clint Eastwood we własnej, choć cudzej osobie. Nawet gesty miał jak on – oszczędne, powolne, a jednak nakazujące mieć się na baczności. Aktor grający policjanta; a może policjant grający aktora?

– Nazywam się Piotr Antuchowicz. Dostałem wezwanie, więc jak rozumiem, mogę w czymś pomóc?

Zignorował moje pytanie. Usiadł na wprost i mierzył mnie wzrokiem jak szeryf rewolwerowca w saloonie na Dzikim Zachodzie. Kto pierwszy wyciągnie colta? Cokolwiek to było – jeszcze western czy już parodia – szkoda, że scenograf nie zadbał o whiskey.

– Chcieliśmy porozmawiać o wieczorze dwudziestego drugiego sierpnia.

Już chciałem uznać to „my” za wygórowane mniemanie o sobie albo za źle napisaną kwestię w scenariuszu. Ale szeryf nie był sam. W drzwiach stanął jego pomocnik – niestety, z zupełnie innej bajki. Wysoki, szczupły, bluza z kapturem. Gdzieś już widziałem jego twarz; nie potrafiłem sobie tylko przypomnieć, w jakich okolicznościach.

– Jak spędził pan tamten wieczór?

– I noc. Po kolei, ze szczegółami. – Przybysz w bluzie sprawiał wrażenie wyjątkowo zainteresowanego. Zatem tak to wygląda. Za sekundę wydarzy się wszystko; słowa zmienią rzeczywistość

i nie będzie już odwrotu.

– Pracowałem na wieczornej zmianie. Do dwudziestej trzeciej.

– To wiemy. Co było później? – Chyba samemu szeryfowi nie podobała się niecierpliwość pomocnika. Ściągnął brwi i spojrzał na niego z ukosa. Ciekawe, jak długo ćwiczył tę minę przed lustrem?

– Joanna miała urodziny. Pojechałem do niej.

– Pani Madecka mówiła nam, że jechała do domu sama.

– Tak było. Pojechałem swoim samochodem, był mi potrzebny następnego dnia na poranek.

– Poranny dyżur po wieczornym. Krótkie w takim razie było to wasze świętowanie.

– Wystarczyło.

Podinspektor, jak na szeryfa przystało, zdawał się absolutnie nieporuszony. Tymczasem w twarzy jego kompana zagrał jakiś mięsień. Nerwowo, a może ostrzegawczo. Postanowiłem dorzucić coś jeszcze.

– Mieszkam dość daleko, za miastem. Zdarzyło mi się już w takiej sytuacji zostać u Joanny na noc.

– A od jak dawna ona jest gotowa pana gościć? Bo z tego, co wiemy, przez dłuższy czas wołała chyba, by nocował u niej ktoś inny.

Kłamstwo przyszło mi bardzo łatwo, trzeba więc było za nie zapłacić. Skąd on wiedział, gdzie uderzyć tak, by najbardziej bolało?

– Rzeczywiście, zaczęliśmy się spotykać dopiero niedawno. Jakoś na początku sierpnia.

Policjanci wymienili spojrzenia. Oczy młodego błyszczały.

– Spędził pan z nią całą noc z dwudziestego drugiego na dwudziestego trzeciego?

– Tak.

Zabrzmiało jak na ślubie, ale ważyło znacznie więcej.

– Pojechałem do pracy jakoś koło wpół do szóstej. Joanna spała, szła dopiero na wieczorną zmianę.

– Panie Antuchowicz... – Łagodna perswazja, empatyczne pochylenie się ku mnie, nawet ślad uśmiechu w kącikach ust mężczyzny w bluzie. Jeśli próbowali grać w złego i dobrego policjanta, to słabo im to wychodziło, bo obaj byli, lub usilnie chcieli być, tymi złymi. – Pan musi wiedzieć, że to wszystko można sprawdzić. Można sprawdzić, gdzie stał pański samochód, czy rzeczywiście jechał tamtego wieczoru za samochodem Madeckiej, gdzie logował się pański telefon.

– Oczywiście. – Sądziłem, że przeceniają liczbę kamer w tamtym starym zakątku Śródmieścia, ale proszę bardzo, niech sprawdzają. Niech sprawdzają wszystko, co tylko chcą.

– Nikt z pracy nie wspominał o państwa romansie. – W głosie młodego policjanta pobrzmiwała uraza. Jakby żałował, że nie dowiedział się o tym wcześniej. Jakby coś go ominęło.

– A czy do romansu konieczne są plotki?

Chyba nie takiej odpowiedzi się spodziewał. Słyszałem, jak przełyka ślinę. Co jeszcze wymyśli?

– Chciałbym, żebyśmy się dobrze zrozumieli. – W jego głosie pobrzmiwały dziwne tony. Można je było uznać za groźbę, ale równie dobrze za desperację. – Ta kobieta mogła zabić człowieka i poćwiartować go z zimną krwią. Proszę się dobrze zastanowić, czy chce pan ją kryć?

Przez twarz szeryfa przebiegł nagły skurcz. Grymas dezaprobaty, a może nawet złości. I to skierowanej wcale nie na mnie.

– Nikogo nie kryję. Mówię, jak było. Zresztą kobieta, o której mówimy... Kobieta, którą ja znam, nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego.

– Dostyc już tego. – Posępny szeryf przerwał swemu koledze zabawę. Chyba nie był z niego zadowolony. Za to miałem wrażenie, że ze mnie owszem. – Pańskie zeznanie zostało przyjęte. Dziękujemy, to wszystko.

Ruszył do drzwi charakterystycznym krokiem na szeroko rozstawionych nogach. I to już? To koniec? Spodziewałem się jakiegoś urzędowego papieru, pieczętki, podpisu. Tę lukę uzupełnił młody policjant.

– Jest pan świadomy odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań? Artykuł dwieście trzydzieści trzy paragraf pierwszy kodeksu karnego. Do trzech lat więzienia. A może być jeszcze gorzej: za pomoc w ukrywaniu sprawcy i zacieranie śladów nawet pięć lat. Proszę o tym pamiętać.

Pamiętałem o tym. Pamiętałem o tym niezależnie od grymasu jego twarzy, na której trud przypomnienia sobie numerków i liczb mieszał się z jakimś niewytłumaczalnym zawodem i rozczarowaniem.

– Nie zapomnę. Ale czy się to panu podoba, czy nie, tamtej nocy byłem z Joanną Madecką.

Jego twarz – i tak pociągała – wydłużyła się jeszcze bardziej. Czyżby aż tak bardzo zaangażował się w śledztwo? A może chodziło mu o coś jeszcze? Zresztą nie wiem, nieważne, mało istotne. Jakiś policjant dziwny i nerwowy niczego już nie mógł zmienić. Stało się. Powiedziałem, zeznałem, skłamałem. Słowa na wagę podejrzeń, słowa na miarę oczyszczenia. Słowa dla nowej rzeczywistości – rzeczywistości bez Rawskiego. Cena za jego nieobecność była wysoka, ale warto ją było zapłacić. Dla niej. A raczej dla nas – teraz już dla nas.

*

Druga połowa lipca była piękna tego roku. Aż za piękna dla niektórych. „Sposoby na upał”, „Jak sobie radzić w gorące dni”, lekarze jako stali goście w studiu i ich beznadziejnie przewidywalne rady w rodzaju „pić dużo płynów” i „nie wychodzić na słońce między jedenastą a szesnastą”. Tego akurat udawało mi się unikać, zwłaszcza że większą część dnia spędzałam w klimatyzowanej reżyserce – zimnym i ciemnym pudełku naszpikowanym aparaturą, miniaturze kosmicznego statku zupełnie obojętnej wobec aury na zewnątrz. Ludzie odpoczywali gdzieś na plażach, podczas gdy ja żyłam pieniędzmi. Rząd w poszukiwaniu szesnastu miliardów, łatanie dziury budżetowej, plany nowelizacji. Dni w pracy byłyby nieznośnie nudne, gdyby nie oczekiwanie na następcę brytyjskiego tronu. Królewski potomek, któremu nie było spieszno na świat, zapełniał czołówki mediów na całym świecie. Hordy dziennikarzy koczowały przed londyńskim szpitalem, do którego miała trafić księżna. Nie mogliśmy być gorsi. Dywagacje o imieniu małego Windsora – który przecież miał być dziewczynką – przeplatały się z uczonymi wywodami historyków o sukcesji tronu. A wszystko po to, by chociaż przez chwilę popławić się w świecie dyskretnego uroku monarchii i dworskiego blichtru; świecie wciąż atrakcyjnym, choć przefiltrowanym przez nowoczesność i i plotkarskie serwisy internetowe.

Jednego z tych dni – dni oczekiwania na królewskiego potomka – pracowałam na wieczornej zmianie razem z Aleksandrem. Nie odzywał się do mnie od naszej ostatniej wspólnej nocy spod znaku wspomnień o asystentce, ale znałam go już na tyle, by wiedzieć, że to nic nie znaczy. Mógł zrozumieć, mógł się wystraszyć, mógł zniknąć, ale mógł też po prostu mieć inne zajęcia, inne plany, inne rozrywki. Zawsze przecież było coś ważniejszego niż ja. Poza tym słyszałam dziwne plotki na jego temat – koniec nocowania w hotelach, jakieś absurdalne eskapady nocnym autobusem do Opola i z powrotem, awantura w domu. Rzeczywiście, z tego, co donosiła mi Hanka, nie widywano go już z Paulinką. Nie wiedziałam dlaczego, nie byłam nawet pewna, czy koniec ich romansu jest prawdą, ale nie potrafiłam się z tego nie cieszyć. Tak samo jak nie potrafiłam się nie cieszyć, kiedy napisał. Siedziałam akurat w newsroomie, przerwa między wydaniem serwisów, małe rozprężenie. „Pomyślałem sobie, że jest na tyle ciepło, że możesz nie mieć na sobie majtek”. Siedział trzy biurka ode mnie, spojrzał w moją stronę, kiedy odczytywałam esemesa. Może chciał sprawdzić, czy się zaczerwienię? Rozejrzałam się po twarzach ludzi wokół nas – oczy wbite w ekrany monitorów, reporterzy wyklócający się o dostęp do kamer, jakaś grupka plotkująca w kącie. Tylko Izabela zerknęła na nas tak, jakby widziała nasze krzyżujące się spojrzenia. Miałam na sobie majtki, ale dla niego byłam gotowa pójść do łazienki, zdjąć je i udać, że nigdy ich nie było. „Powinieneś to sprawdzić” – odpisałam. Jednocześnie zdjęłam nogę z nogi i wysunęłam się nieco na krześle. Chciałam, aby już do końca dyżuru nie mógł myśleć o niczym innym niż

to, co skrywa moja spódnica. Zadziałało. „Jak tylko stąd wyjdziemy”. „Nie mogę się już doczekać” – to była prawda.

Poczekaliśmy chwilę po ostatnim serwisie, tak by wszyscy – a zwłaszcza Izabela – zdążyli wyjść. Aleksander czekał przy moim samochodzie. Nigdy nie mogłam rozszyfrować, kiedy zależy mu na tym, by nikt nas nie widział, a kiedy wręcz przeciwnie.

– Jednak masz te majtki – gdy tylko ruszyłam, poczułam jego rękę między nogami. – Trzeba to będzie szybko zmienić.

Czerwone, zatrzymałam się na światłach. Tuż obok stanęła wielka, przybrudzona terenówka. Jechała za szybko, ledwie zdążyła wyhamować przed pasami, zapiszczały opony. Nie było na tyle ciemno, bym nie rozpoznała kierowcy – Piotr, kolega z pracy, realizator. Nie kiwnął mi głową, nie uśmiechnął się, nie odkręcił szyby. Po prostu patrzył na mnie. Na mnie, na Aleksandra na siedzeniu obok, na jego rękę głęboko pod moją spódnicą. Światło zmieniło się na zielone – ruszyliśmy w tym samym momencie; skręciłam, choć miałam jechać prosto.

– Facet od nas, prawda? – w głosie Aleksandra nie było słyhać jakiegoś szczególnego niepokoju.

– Tak. – potwierdziłam. – Widział nas.

– Ech tam, nic takiego. Nie widział przecież mojej ręki. – Gdyby potrafił się uśmiechać, powiedziałabym, że to był właśnie uśmiech. Wsunął palce głębiej.

– Nie wiem – skłamałam, chociaż wiedziałam doskonale.

*

– Bobrek ma alibi. I to nie do podważenia. – Podinspektor Piątek schował telefon do wewnętrznej kieszeni swojej skórzanej kurtki. – Kiedy zabili Rawskiego, ona nalewała pięćdziesiątki i podawała pasztet. Była po prostu w pracy, mogą to potwierdzić dziesiątki ludzi.

– To dlaczego uciekła, kiedy chcieliśmy z nią pogadać? – To nie pasowało Kwarnickiemu ani do prostej dziewczyny, ani do żelaznego alibi.

– Nie wiem. Może pan z telewizji na tyle zawrócił dziewczynie w głowie, że jej odbiło. Chłopcy znaleźli ją u rodziców we wsi. Chyba rozpacza po nim.

– Idiotka. – Kwarnicki nie mógł się powstrzymać. Przypomniał sobie zimne spojrzenie i beztroski ton głosu Madeckiej.

– Wiesz, że teraz nie będzie łatwo? – Piątek spojrzał na niego: badawczo, uważnie, przenikliwie.

– Wiem. Nie dość, że mąż jest w kawałkach, to jeszcze... tamto. – Mimo chwili poszukiwań nie udało mu się znaleźć lepszego określenia. – Jak my jej o tym powiemy?

– Jakoś powiemy. – Piątek ze wszystkich sił starał się trzymać fason starszego, doświadczonego kolegi, który wie. Chociaż tak naprawdę wcale nie wiedział. Przez całą jego karierę w policji poćwiartowane ciała trafiły mu się dwa razy. Ale u żadnego nie brakowało pewnej kluczowej części. Wątpił, by morderca, niczym w tanich powieściach sensacyjnych w miękkiej okładce, chciał sobie zostawić coś na pamiątkę. Był raczej przekonany, że brakujący fragment znajdzie się prędzej czy później, najpewniej znów w jakimś parku. Albo po prostu padł ofiarą ćwiczeń; jak wskazywały brzegi ran, morderca nie był dobry w cięciu. Dlatego Piątek nie widział potrzeby czynienia z drobnego braku sensacji. Choć był świadom, że mimo wszystko nie może go zataić.

Budynek Zakładu Medycyny Sądowej pilnie potrzebował remontu. Albo sam zakład – nowego budynku. Pałacyk z lat dwudziestych był, owszem, efektowny, ale pełen śladów intensywnej eksploatacji. Odrapane mury, tynk odchodzący płatami z nieco sfatygowanych kolumn, niepasujące do całości kraty w oknach. Policjanci wiedzieli coś jeszcze, co niekoniecznie miało dotrzeć do uszu rodzin krojonych tam ofiar – wiedzieli mianowicie, że budynek jest nie tylko posępny, ale też ciasny. Stanowczo za ciasny, co wymuszało nieco inne warunki przetrzymywania zwłok niż te, których życzyliby sobie bliscy zmarłych.

Samobójcy, nagle, niewyjaśnione zgony, ofiary wypadków, pobić, a czasem nawet morderstw. Sekcje zwłok z całego Mazowsza. Najczęściej denatów trzeba było po prostu pokroić, ale czasem – skompletować przed pokrojeniem. Tak właśnie było z Rawskim, choć jego przypadek zasadniczo się różnił od rozkawałkowanych przez siłę uderzenia ofiar wypadków drogowych. Tam wystarczyło zebrać wszystkie części ciała, tu trzeba było cierpliwie na nie poczekać. Poczekać, by to, co za życia stanowiło całość, po śmierci znów ułożyło się w komplet. Choć nie całkiem i niezupełnie – ciągle brakowało jednej drobnej części. Patolodzy postarali się na tyle poskładać ciało, by jego widok wywołał jak najmniejszy szok u wdowy, choć było oczywiste, że w tym akurat przypadku szoku nie da się uniknąć.

– Pani Rawska? Dzień dobry. Jak się pani czuje?

To pytanie wydawało się zbędne wobec jej szklatego wzroku, w którym jawne szaleństwo tłumiała mętnawa powłoczka chwilowego chemicznego ukojenia.

– Wiem, że to będzie bardzo trudne. Współczuję pani – Piątek się starał, by zabrzmiało to wiarygodnie – ale identyfikacja jest konieczna. Takie są procedury.

– Chcę zobaczyć męża. – Głos Rawskiej brzmiał zaskakująco przytomnie. Rozumiała przecież, że nie chodzi wcale o żadne procedury. Chodzi o to, na czym zawsze zasadało się jej małżeństwo: o to, że jedna strona musiała zrobić wszystko dla drugiej. Bez wzajemności.

– Proszę tędy.

Policjanci w milczeniu poprowadzili ją ciasnymi, odrapanymi korytarzami. A później schodami w dół. Dlaczego kostnice zawsze są w suterrenach?

Lekarzy było aż trzech. Specjaliści od chirurgii dowolnej i cięć fantazyjnych, najgorsi studenci na roku, wtajemniczeni czytelnicy znaków śmierci, którzy woleli rozpoznawać je po fakcie, niż z nimi walczyć.

– To jest pani Rawska – głos podinspektora odbił się metalicznym echem od rzędów lodówek. Zapęniały całą ścianę, od samej podłogi aż po sufit, a prostokątne drzwiczki i charakterystyczne uchwyty przywodziły na myśl szuflady. Skarby schowane w szufladach. Lekarze wymienili ze sobą spojrzenia; Kwarnicki przysięgłby, że widzi, jak jeden z nich błyskawicznym ruchem chowa coś do kieszeni fartucha. Kształtem to coś przypominało nadgryzioną kanapkę.

Stołów sekcyjnych było kilka; na paru z nich pod szczelnym przykryciem można się było dopatrzeć zarysów człowieka, a ich surowe linie przypominały dziwną hybrydę stołów operacyjnych z umywalkami. Rawska czuła, jak zimna musi być ich gładka, stalowa powierzchnia. Jak twardo i niewygodnie musi się tam leżeć. W tym królestwie śmierci, w domenie martwoty, w tej lodowej krainie.

– Gdzie jest mój mąż? – zapytała, rozglądając się po pomieszczeniu. Nie było tu diabelskich płomieni ani kotłów ze smołą, a zamiast siarki w powietrzu unosił się słodkawy zapach rozkładu, ale miejsce to niewątpliwie było piekłem. Piekłem à rebours – zimnym, ale nic nie tracącym ze swojej grozy.

– Ja... muszę panią ostrzec. Ten widok jest... może być... bardzo nieprzyjemny. – Głos jednego lekarzy brzmiał szorstko, nieco chropawo, tak jakby właściciel odwykł od posługiwania się nim. Ostatecznie przecież jego pacjenci nie wymagali rozmowy.

– Jestem na to przygotowana – powiedziała, chociaż nikt w to nie uwierzył, nawet ona sama.

Piątek i Kwarnicki nie umawiali się ze sobą, ale odruchowo stanęli po obu jej stronach. Obaj wiedzieli, że tak właśnie trzeba. Zielonkawa płachta podniosła się, zsunęła odrobinę i odsłoniła głowę. Szeroko otwarte oczy Rawskiego patrzyły na nich w zdumieniu.

– Chcę zobaczyć resztę.

Piątek uznał, że źle usłyszał.

– Czy rozpoznaje pani męża?

– Tak. To mój mąż. Ale chcę zobaczyć resztę. – Głos Rawskiej odbił się od stali, chromu i metalu. Ręce lekarza zsunęły płachtę. Nawet ona musiała być w kolorze zgnilizny, jakże dbają tu o spójność stylu – Kwarnicki starał się ironią swoich myśli zagłuszyć mdłości, które zaczęły pełznąć w górę przełyku. Sześć części ciała Rawskiego zostało ułożonych tak, jakby miały stanowić całość. Tyle że poszarpane cięcia w pachwinach, stawach barkowych i na szyi były aż nadto dobrze widoczne. Jak jakaś perwersyjna biżuteria, jak nieudolne tatuaże, jak pozostałości jakichś magicznych rytuałów. Ślady po sekcji były przy tym niczym – nawet wielkie nacięcie na tułowiu w kształt litery „Y” wydawało się mniejsze niż brązowe, postrzępione linie. Rawska nie mogła oderwać wzroku zwłaszcza od miejsca na szyi, w którym odcięto głowę. To było irracjonalne, nie umiała wyjaśnić tych skojarzeń, ale pomyślała o jakobinach i ich rewolucyjnym wynalazku, o Annie Boleyn i ostrym mieczu, o wszystkich bohaterach historycznych, którym ścinano głowy. I wśród nich o Tomaszu Morusie. „Oto jest głowa zdrajcy” – miała nadzieję, że nie powiedziała tego na głos.

– Tylko widzi pani, tu jest taki problem... – głos młodego lekarza nie brzmiał zbyt pewnie. – Taki problem, że... to nie jest wszystko.

– Jak to „to nie jest wszystko”? – Ciało, które widziała przed sobą, wydawało się być czymś aż nadto niż wszystko. Wszystko, co można znieść.

– Przepraszam, kolega źle się wyraził. – Piątek spojrzał na lekarza ze zniecierpliwieniem, które Rawska wzięła za obruszenie. – Chodzi o to, że...

Mężczyźni widzieli, że kobieta staje się coraz bledsza. Że białość w trupim odcieniu zaczyna wpełzać na jej twarz coraz bardziej przezroczyście i nienaturalnie wydłużoną. To był ostatni moment.

– Chodzi o to, że nie ma języka. Sprawca wyciął mu język.

Krzyk Rawskiej poruszył powietrze i odbił się od sprzętów. Stal i chrom zdawały się go zwielokrotniać, nagłaśniać, powtarzać echem, w którym rozpacz zgrzytała metalicznie i sucho.

– I jak ja mam go pochować?! Jak mam go pochować bez języka?!

Ręka Rawskiej wyciągnęła się w kierunku leżącego przed nią ciała męża; mężczyźni nie przypuszczali, by zrobiła to świadomie – kierował nią raczej jakiś nawyk, jakieś przyzwyczajenie domagające się sprawdzenia, kontroli, potwierdzenia.

– Jak mam go pochować, skoro nie jest cały?!

Czubki palców przeslizgnęły się po martwej twarzy; musiała niedawno się skaleczyć, bo na zimnym policzku Rawskiego została smuga krwi. Szklistość jej oczu zamieniła się w mleczną mgłę, ciało zachwiało się i osunęło bezwładnie. Dwie pary silnych rąk zdołały ją pochwycić, zanim Justyna Rawska uderzyła głową o twardą posadzkę prosektorium. Zdążyli zapobiec upadkowi, podtrzymać jej ciało nieprzytomne i nagle ciężkie, stawić opór materii lecącej przez ręce. A kiedy to czynili, wśród stali, lodówek i lamp jarzeniowych wciąż rozlegał się wrzask. Wydawało się, że jego tony ostre i wysokie będą rozbrzmiewać już na zawsze uwięzione wśród gładkich, zimnych powierzchni pomieszczenia bez okien.

*

Kiedy weszliśmy do domu, moje majtki bardzo szybko znalazły się na podłodze. Niektóre części garderoby stworzone są po to, by je zdejmować – koronkowe czarne dużo lepiej wyglądały porzucone gdzieś na dywanie, wciśnięte w kąt, schowane za kanapą. Zaczęłam się za nimi rozglądać dopiero, gdy wróciłam z długiej podróży bardzo daleko stąd.

– Fajnie? – zapytał, kiedy tylko mój wzrok zdradził, że znów jestem obecna. Nie lubiłam, kiedy zadawał te pytania, ale była to chyba część jakiegoś rytuału. Zdążyłam zapewnić go, że owszem, bardzo, zapalić papierosa i głęboko odetchnąć – wtedy powiedział to, na co tak długo czekałam. To, co chciałam usłyszeć, a na co już przestałam liczyć.

– Taka piękna, ciepła noc... Może pójdziemy gdzieś się napić?

Opowieści o knajpach, w których spędza wieczory. Pogaduszki w pracy o piciu na mieście – zawsze z kim innym, nigdy ze mną. Ja i on zawsze tylko w czterech ścianach mojego mieszkania. I teraz wreszcie propozycja, na którą czekałam przez cały ten czas. Wypiliśmy ledwie po kilka kieliszków, a w lodówce nie miałam już żadnych ukrytych zapasów. Okazja była doskonała.

– Wolisz czerwoną sukienkę z dzisiaj czy tę fioletową z przyjęcia w ambasadzie? – zapytałam, ale teraz nie miało to już dla niego większego znaczenia.

Oczywiście nie podobało mu się, że poprawiam makijaż – kiedy sam był gotów do wyjścia, tego samego oczekiwał od innych. A należał do mężczyzn przywykłych do tego, że inni zazwyczaj spełniają ich oczekiwania. Fioletowa sukienka spełniała je z nawiązką, choć teraz akurat nie był w nastroju do doceniania jej walorów. Był w nastroju do picia.

– Dziesięć pięćdziesiątek poproszę – powiedział do kelnerki, gdy już usiedliśmy w ogródku modnej knajpy. Już wtedy powinny włączyć mi się w głowie wszelkie dzwonki alarmowe, ale niestety, z jakimś niczym nieuzasadnionym optymizmem uznałam, że dobrze, proszę bardzo, wypiję tyle.

Było naprawdę pięknie – gorąca noc w środku lipca – jedna z tych nielicznych nocy w roku, kiedy ciepłe powietrze wydaje się pieścić skórę i pachnieć werbeną. Miasto żyło – grupki mniej lub bardziej pijanych imprezowiczów snuły się po chodnikach w lunatycznej trasie od jednego klubu do drugiego. Taksówki rozwożące do domów tych, dla których zabawa już się skończyła, przemykały po pustych ulicach. Niechętni tańcom w zatłoczonych klubach oblegali bary i kawiarniane ogródki. Ten, w którym usiedliśmy, był wyjątkowy – słynny warszawski chodnik próżności. Na celebrytów pora zbyt późna (lub raczej zbyt wczesna, zważywszy na modę na knajpiane śniadania), ale byli za to geje ubrani od stóp do głów w lannerskie ciuchy, hipsterzy ze swoim zblazowaniem tyleż malowniczym, co sztucznym, długowłose dziewczyny w kusych kurteczkach i obcisłych džinsach – jak spod sztancy, wszystkie z tymi samymi rekwizytami piątkowego podrywu w postaci różowych błyszczków i głodnych spojrzeń. Aleksander dobrze się wśród nich czuł – od razu zauważyłam to ożywienie, te nieudolnie skrywane próby rozglądania się dookoła, ten błysk w oku, który tym razem nie był przeznaczony dla mnie, chociaż to moja stopa podjęła pod stolikiem powolną wędrówkę wzdłuż jego nogi.

Podobnie jak ja lubił podsłuchiwać rozmowy dobiegające z sąsiednich stolików – urwane zdania, słowa wyjęte z kontekstu, ulotnie i wiecznie niedokończone „a on do mnie wtedy...”, „a ja jemu na to...”. Dyskusja o temacie rozmowy dwóch blondynek przy stoliku obok była prawie tak zajmująca jak picie. Blondynki patrzyły na nas – na moją stopę sunącą po jego udzie, na nasze spojrzenia, na pustoszące w równym tempie kieliszki wódki.

Oczywiście próba dotrzymania mu kroku w piciu była karkołomnym przedsięwzięciem, zważywszy na różnicę naszych gabarytów, możliwości, a przede wszystkim wprawy. On pił tak, jak piją tylko niektórzy, doświadczeni w bojach alkoholowych mężczyźni – zachłannie, ale bez pasji przynależnej zachłanności, na chłodno i wytrwale, może nawet z pewną nutą desperacji, ale nie upijając się przy tym wcale. Miałam nadzieję, że gdy będę piła równo z nim, może wreszcie usłyszę od niego choć kilka z tych słów, których tak bardzo chciałam. Może dzisiaj, może nareszcie, może teraz? Byłam złaknięta jego słów; słów, w których mieszka sens i namiętność. Zawsze wierzyłam w słowa, w ich moc i potęgę; dzięki jego słowom chciałam zbliżyć się do rzeczy, które nie mogły zaistnieć, póki nie zostaną nazwane. Póki on ich nie nazwie. Niestety, to nie był koncert życzeń. Aleksander nie sięgnął po słowa, które gdzieś tam, gotowe i uformowane, czekały tylko na to, by zrobić z nich użytek. Jedyne, na co się zdobył, to krytyczne uwagi pod adresem mojej czerwonej szminki, którą zresztą do tej pory zdawał się uwielbiać.

– Jesteś jedyną znaną mi kobietą, która używa szminki w takim kolorze.

– Myślałam, że ci się podoba.

– Podoba. Ale nie obawiasz się, że czasem wygląda tandetnie?

Tandetnie? Szminka w stylu Marylin Monroe na moich ustach? Czysty seks w klasycznym wydaniu?

– Nie, sędzę, że nie u mnie – odpowiedziałam, zerkając w stronę neonowych błyszczyków blondynek przy stoliku obok.

– Czasem u ciebie też. – Zabolalo.

Pięłam dalej, chociaż powinnam była wiedzieć, że zbliżam się do cienkiej czerwonej linii. Kiedy znów zaczęłam mówić o Paulince, lampki ostrzegawcze powinny były już płonąć. Ach, co ja o niej mówiłam! Za irracjonalną potrzebę oczerniania jej – jakby to mogło cokolwiek zmienić w jego oczach – tym razem przyszło mi drogo zapłacić. Jednak to było silniejsze – niepowstrzymana potrzeba, nieodparta pokusa, słowa, które same ulatują z ust, i choć wiesz, że są okrutne i kłamliwe, żadną siłą nie możesz ich zatrzymać.

– Nigdy w życiu nie byłam tak pijana, jak ona wtedy na własnej imprezie – stara płyta, i dość zdarta, ale z niewytlumaczalnej, a może raczej nieco wstydlivej przyczyny, której na imię zazdrość, znów chciałam tę płytę zagrać.

– Nie wyobrażam sobie, by kobieta była w takim stanie, nigdy nie zdarzyło mi się rzygać po wódce – wierutne kłamstwo podane na zgrabnym półmisku wyrazów politowania i słów pogardy. Niestety, teraz już wiem. Kiedy mówisz coś takiego, diabeł zawsze to usłyszy, a takiej okazji nie przepuści. W przeciwnym bowiem razie nie byłby diabłem.

– Znowu o niej mówisz. Masz obsesję na jej punkcie – powiedział. Szorstko i z pewnego rodzaju pretensją.

Wciąż przesuwałam stopą w cienkiej pończosze w górę i w dół jego nogi i czułam, jak – początkowo rozkoszne, a później coraz bardziej mdlące – alkoholowe ciepło rozchodzi się po moim ciele. Nie zdobył się na to, by dotknąć mojej stopy, to już byłby nadmiar łaski. Za to prośenie blondynek przy stoliku obok o ogień już nim nie było – podszedł do nich, gdy okazało się, że nie mam czym przypalić papierosa. Nie mógł przecież zmarnować takiej okazji: doskonała sposobność, aby błysnąć, zaprezentować się, jaki to on szarmancki i elegancki, popatrzeć na zainteresowanie w cudzych oczach. Zresztą i tak już od dłuższej chwili grzał się w blasku ich spojrzeń.

– Przepraszam, dama, która jest ze mną, potrzebuje ognia. Czy mógłbym od pań pożyczyć zapalniczkę? – Był całkowicie świadomy tego, jakie wrażenie robi na kobietach. Miał piękny, głęboki głos i te iskry w oczach, którym kobiety nie potrafią się oprzeć. Miał gesty znamionujące pewność siebie i uważność. Miał wszystko. Poza tym nieszczęsne panienki musiały chyba kojarzyć jego twarz z telewizji, bo nie dość, że dały mu ogień, to jeszcze spełniły pokładane w nich nadzieje.

– Prawdziwy z pana dżentelmen, naprawdę w dzisiejszych czasach to rzadkość. Ma pani szczęście – zwróciła się do mnie ta wyglądająca na głupszą, a tym samym na bardziej zdesperowaną.

– Tak, na pewno – odpowiedziałam, w myślach widząc zimowy obrazek Aleksandra, który nie chce pomóc kierownicze produkcji w odśnieżaniu samochodu. „Aż tak zimno to mi nie jest” – powiedział wtedy, sprawiając wrażenie, że jest z siebie dumny. Tymczasem diabeł nie spał. Mój towarzysz ani razu nie powiedział „nie pij już więcej” albo „może ci już wystarczy”. Widocznie współcześni mężczyźni nie mówią takich rzeczy kobietom – same powinny to wiedzieć. Szkoda, że akurat tym razem nie wiedziałam.

Chodnik próżności pustoszał, blondynki poszły szukać szczęścia gdzie indziej, szkło stało puste – nadszedł czas na zmianę lokalu. Krokiem coraz bardziej chwiejnym, ale jeszcze nie kompromitująco chybotliwym, byłam w stanie przejść kilkaset metrów ulicami nocnej Warszawy do kolejnej knajpy. Sama mu o niej powiedziałam – podrzędny lokal z tanią wódką w dawnym słynnym kinie z czasów PRL. Doskonałe miejsce na wyszynk bez pretensji do jakiegokolwiek elegancji, za to z prostotą niepozobawioną uroku. Na poplamionym i wytrawionym wódką kontuarze podawali tam magiczne mikstury o wdzięcznych

nazwach kiwi, piernik albo pomarańcza, pachnące nieco chemicznie, ale za to mocne i słodkie, spełniające ekonomiczną funkcję „dwa w jednym” – wódki i popitki. Mankamentem lokalu było to, że wpadało tam na szybką lufę wielu ludzi z firmy, ale w tym stanie i o tej porze akurat mi to nie przeszkadzało. Kiedy zamawiałam dwie pomarańcze i dwa kiwi, ledwie już stałam na nogach. A kiedy stamtąd wychodziłam, dumny napis „konsumy i napitki” na knajpianym szyldzie był już nieco rozmazany. Nie jadłam nic chyba od południa, a moje czterdzieści osiem kilo i trochę oszukany metr sześćdziesiąt wzrostu nie był najlepszą masą do rozkładania hurtowych ilości wódki. Wracaliśmy w stronę mojego mieszkania – Warszawa w letnią, piątkową noc oferuje nad ranem dość specyficzne atrakcje. O tej porze nikt nie przejmował się już zachowywaniem pozorów – pary podejmowały pospieszne próby konsumpcji związków zawartych w gorączce weekendowej nocy, nieszczęśni samotni, którym tej nocy podryw się nie udało, sunęli smętnie ulicami, wypatrując ostatniej szansy, a dziarscy chłopcy otwarcie załatwiali swe porachunki. Ktoś się z kimś kłócił, ktoś z kimś bił, widziałam czyjaś głowę rozbitą o ławkę i krew na chodniku.

O tej porze bastiony blichtru i lansu trzymały się już tylko gdzieniegdzie, na przykład w eleganckim ogródku knajpy dla pseudoartystów i dzieci bogatych tatusiów, obok której przechodziliśmy. Trzecia nad ranem, czyli doskonała pora na jeszcze jedną lufkę – mówił Aleksander, ale ja nie byłam już w stanie dotrzymać mu kroku. Mimo tego spóźnionego aktu wstrzemięźliwości ostatni odcinek drogi do domu wydawał się górską wspinaczką. Wszystko wirowało. Gdy wreszcie przyszliśmy – och, schody były trudne, jak bardzo trudne! – musiałam położyć się na chwilę i popatrzeć w światło. Zdołałam dobrnąć jedynie do kanapy. Poduszka pod plecy, głęboki oddech, lampa. Zawsze wierzyłam, że kiedy ściany lecą na ciebie, a pokój uporczywie kręci się dookoła, trzeba wytrwale patrzeć w światło. Nie daj Boże je zgasić, bo jedyne, czym może się skończyć połączenie ciemności i karuzeli, to katastrofa. Trzymałam się więc przekonania, że faustowskie „więcej światła!” ma zastosowanie w wielu życiowych sytuacjach. Może dlatego, że byłam tak skupiona na wpatrywaniu się w światło lampy, nie zwróciłam uwagi na ewidentne niezadowolenie mojego gościa.

– Ty tu nie śpisz, ty śpisz tam, a tu ja. – Uparcie wskazywał na sypialnię, w której zazwyczaj się kładłam, zostawiając mu do dyspozycji kanapę w dużym pokoju.

– Dobrze, dobrze – zostawiłam mu jego kanapę na wyłączność, gdy tylko zdołałam się z niej zwlec. Niestety, chodzenie – zwłaszcza chodzenie prosto – stało się nagle wielkim wyzwaniem. Mimo to dałam jakoś radę wyjąć soczewki z oczu – to chyba odruch bezwarunkowy u tych, którzy noszą je od wielu lat – i zdjąć sukienkę. Fioletowy materiał spadł na podłogę jak pokrowiec, szpilki same zsunęły się z nóg. Jeszcze jakoś doszłam do łazienki, nawet drzwi za sobą zamknęłam o własnych siłach. A dalej już się zaczęło – namiętne obejmowanie muszli klozetowej, rozpaczliwe rzyganie chlustami soku porzeczkowego, którego dzbanek wypiliśmy w modnej knajpie, upiorna płatanina włosów, wymiocin i kończyn wygiętych pod dziwnym kątem. Nie wiem, jak długo leżałam na zimnej posadzce łazienki, koncentrując całą siłę woli na tym, by nie stracić przytomności. Przez cały ten czas mój kochanek, kolega z pracy i kompan od kieliszka smacznie spał w pokoju obok.

*

Anna Ślęzak dałaby głowę, że wdowa po Rawskim nie wiedziała wcale, o co się ją pyta, ani tym bardziej na co dała zgodę.

– Pożegnamy go, to przecież nasz pracownik, twarz naszej stacji.

– Dobrze, dobrze. – Jej głos był tak przytłumiony, że zniekształcenie nie mogło być dziełem wyłącznie odległości i łączy telefonicznych.

– Dziękuję pani. I jeśli mogę w czymś pomóc...

Zabrzmiało sztucznie i wymuszenie, ale w takiej sytuacji nie mogło chyba zabrzmieć inaczej.

– Nic pani nie może zrobić.

Otrząsnęła się, odkładając telefon. Mogła coś zrobić. To właśnie, co zamierzała, a co Rawska, gdyby była przytomniejsza, mogła odebrać jako nadużycie. Ale w świecie Ślęzak, w świecie oglądalności, newsa i sensacji, było to ze wszech miar słuszne. I bardzo użyteczne. Wybrała na telefonie przycisk łączący ją z wydawcą w reżyserce.

– Dajemy to.

Końcówka materiału o cenach wyprawek szkolnych, dwie sekundy na reakcję.

– A teraz w serwisie tragiczna wiadomość, która dotarła do nas przed chwilą. – Odpowiedni smutek w głosie i powaga na twarzy prezenterki pięknie zgrały się z alarmującym kolorem pilnej informacji na dole ekranu. „Śmierć wybitnego dziennikarza” – czytając to, Ślęzak nie mogła opędzić się od myśli, czy to Madecka akurat jest na dyżurze.

– Nie żyje Aleksander Rawski, nasz redakcyjny kolega, wieloletni pracownik Twoich Mediów, znany dziennikarz i prezenter.

Alicja Mrozek ciągnęła tę litanię sfałszowanych peanów i naciąganych pochwał z tak autentycznym żalem w głosie, że każdy, kto jej nie znał, musiał uznać, że wyjątkowo wysoko ceniła zmarłego kolegę. W rzeczywistości tych dwoje nigdy się nie lubiło.

– Swoją przygodę z telewizją Aleksander rozpoczął ponad dwadzieścia lat temu w opolskim oddziale Twoich Mediów. Później pracował w kilku redakcjach, w każdej dając się poznać jako oddany pracownik i rzetelny dziennikarz. W ostatnich latach mieliśmy przyjemność współpracować z nim w Kanale Szóstym. Wieczornym pasmem informacyjnym i świetnie prowadzonymi programami publicystycznymi zyskał ogromne uznanie widzów.

Pogrzebową minę Alicji zastąpiło biało-czarne zdjęcie Rawskiego. Jedno z tych, na których wyszedł wyjątkowo korzystnie. Jakaś smętna muzyka skrzypcowa popłynęła jako cichy podkład do dostojnego nekrologu. Realizator dźwięku musiał być szczególnie gorliwy; szefowa pomyślała o nim z poważaniem.

– Aleksander Rawski zmarł w wieku czterdziestu pięciu lat w tragicznych okolicznościach. Prawdopodobnie padł ofiarą morderstwa i bestialskiego zbezczeszczenia zwłok. Fragmenty jego ciała znajdowano między innymi w warszawskich parkach. – Głos wytrawnej prezenterki zadrżał dokładnie tyle, ile powinien, by widz uznał jej zgrozę za autentyczną, ale tłumioną. – Policja prowadzi śledztwo w tej sprawie i dla dobra tego postępowania nie możemy podać żadnych szczegółów. Możemy natomiast wspominać Aleksandra, wybitnego dziennikarza, oddanego męża i ojca, dobrego kolegę.

Przesadziła – pomyślała Ślęzak, ale jej wątpliwości przykrył szczególnie sugestywny obraz. Rawski jak żywy ukazał się na ekranie, prowadził program, nonszalancko bawił się piórem. To był jego ostatni występ, tyle że kolor zastąpiono żalobnym monochromatem, a całość nastrojowo spowolniono. Rawski nawet coś mówił, ale fonia została wyciszona, niemo otwierał więc usta; jakby wzywał ratunku albo chciał zaprotestować przeciwko żenująco wyglądzonemu wizerunkowi.

– Jest z nami Izabela Kalicka, nasza redakcyjna koleżanka, najbliższa współpracownica Aleksandra.

Rawski prowadzący program z zaświatów ustąpił na chwilę miejsca aktualnemu obrazowi ze studia Kanalu Szóstego, czyli Kalickiej sadowiącej się na krześle dla gościa. Zazwyczaj występowała tu w innej roli, ale gdy tylko poproszono ją o parę słów o zmarłym, nie wahała się ani chwili. Zdażyła nawet włożyć gustowną, czarną marynarkę. Nieco wprawdzie przyciasną, ale zawsze – innej w tym kolorze akurat nie było w garderobie.

– Izabelo, prowadziłaś razem z Aleksandrem „Przegląd Dnia”. Występowaliście razem na wizji, razem przygotowywaliście program. Jak go wspominasz?

Na dyżurach Alicji Mrozek umarli już między innymi Václav Havel, arcybiskup Życiński i Wisława Szymborska. Była w tym świetna. Kalicka ze swoim przejęciem i ze łzami w oczach była doskonałą

przeciw wagą dla chłodnego profesjonalizmu koleżanki. Podkreślała wyjątkowość tej akurat sytuacji i tego nieboszczyka.

– To takie straszne, potworne. Wszyscy w redakcji jesteśmy wstrząśnięci...

– Wszystkim nam będzie go bardzo brakować. Opowiedz, jak ty będziesz pamiętać Aleksandra?

– Był znakomitym kolegą, a przy tym dociekliwym dziennikarzem. Kochał swoją pracę, kochał rozmowy polityczne...

Ani słowa o notorycznych spóźnieniach, ani wzmianki o tym, jak musiała pisać za niego teksty albo pomagać mu wyplątywać się z niezręcznych pytań. Tylko superlatywy, zachwyty i emocje. A nawet trochę łez – Izabela Kalicka popłakała się na wizji, a to widok, który potrafi powstrzymać widzów od przełączenia kanału. Do tego biało-czarne zdjęcia, ostatni program zmarłego prezentera, obrazki zmontowane pod nastrojową muzykę. Było znakomicie, oglądalność rosła. Rosłaby pewnie jeszcze bardziej, gdyby mogli skupić się na wątku poćwiartowanego ciała. Niestety, Ślęzak wiedziała, że tego akurat zrobić nie mogą. Chociaż i tak zostawili konkurencję w tyle. Aleksander Rawski po śmierci przyciągał widzów przed telewizory – robił to nawet znacznie lepiej niż za życia.

*

– Mogłaś tam przecież, kurwa, umrzeć – Hanka zaciągnęła się papierosem w firmowej palarni.

– Nie byłoby może aż tak źle... – sama nie byłam przekonana, zwłaszcza przypomniawszy sobie tamten upiorny poranek. Bolało, i to na wszystkie sposoby.

Przez gęstą watę w mojej głowie przedzierały się zwykłe odgłosy porannej krzątania w łazience – odkrecony prysznic, suszarka, kosmetyki odstawiane na półkę.

– Chodź tu na chwilę – zawołał. Wstać z łóżka było bardzo trudno. Czułam się jak ofiara: wysokoprocentowych trunków, nierealistycznych wyobrażeń na temat własnych możliwości, ręki sprawiedliwości, która pokarała mnie za uszczypliwości o Paulince.

Był już w pełni naszykowany do wyjścia – umyty, wypachniony, w marynarce. Bolała mnie głowa, wciąż było mi niedobrze, czułam się lekko nieprzytomnie, a i tak myślałam tylko o tym, że jest mi tak niewymownie szkoda, że pewnie nigdy już tu nie wróci. Któż mógłby chcieć wracać do kobiety po czymś takim?

– Coś ty tu w ogóle zrobiła? – zapytał, wskazując na zasłonkę prysznicową z krwawymi śladami dłoni, prezent od Hanki.

– Eeee, to z filmu, no wiesz. *Psychoza*, morderstwo pod prysznicem – bąknęłam coś nieskładnie.

– Jezu, on myślał, że to krew. – Hanka była zde gustowana. Jej nozdrza drgały miarowo, nie wiem, ze złości czy od dymu, który wypuszczała nosem.

– Mógł tak pomyśleć, zwłaszcza w kontekście zaschniętego soku porzeczkowego na podłodze – wyjaśniłam samokrytycznie.

Niestety, łazienka przedstawiała obraz nędzy i rozpacz, ale dopiero gdy Hanka powiedziała to głośno, zrozumiałam, co się naprawdę stało.

– Myślał, że zakrwawiłaś pół łazienki, ale nie przeszkodziło mu to myć się tam i szykować, i nawet się nie zainteresował, czy żyjesz? Nie no, teraz to już przesadził, chuj jeden! – stwierdziła, wydmuchując dym w kierunku szklanego sufitu naszej bardzo nowoczesnej firmowej palarni.

Zdrowy rozsądek dziewczyny z Pragi pozwalał Hance zawsze widzieć rzeczy i ludzi dokładnie takimi, jacy byli. Może dlatego jej nozdrza zadrgały jeszcze mocniej.

– Wyobraź sobie – mówiła – rozciąłaś głowę po pijanemu, wykrwawiasz się zamknięta w łazience, a twojego pięknego prezentera jakby tam nie było. A później, gdy widzi krew, nie przychodzi mu nawet do głowy zobaczyć, w jakim jesteś stanie. Mój były mąż, który miał osobną lodówkę, zachowywał się lepiej, gdy z nim piłam.

– Przecież nie było żadnej krwi... – zaczęłam oponować.

– Ale on myślał, że jest. – Hanka zgasiła papierosa w zakładowej popielniczce. – I nic a nic go to nie obchodziło.

Rzeczywiście, niewiele go wtedy interesowało poza tym, by wyjść i zdążyć na poranny pociąg. Żona i tak pewnie będzie niezadowolona, że nie wrócił wczoraj wieczorem. Kiedy zamykałam za nim drzwi, wiedziałam, że teraz przede mną ciężka droga coca-coli i aspiryny, wracania do samej siebie i usuwania śladów wczorajszego upadku, wstydu i wyrzutów sumienia, ale to wszystko nie było ważne – ważne było tylko to, że już go pewnie nigdy więcej nie zobaczę.

*

Musiałem na chwilę zejść do newsroomu. Młody, gorliwy reporter od spraw zagranicznych przeżywał swój cotygodniowy program jak wydarzenie epoki. Milion uwag, tysiąc pytań, pokaz zupełnie zbędnego roztrząsania szczegółów. Już pół godziny przed programem jego głos bez przerwy rozlegał się w reżyserce – dzwonił, wpadał, odzywał się przez interkom. Woląłem zejść na dół i osobiście pokazać mu, że ustawienie kamer jest właściwe, a jego obawy bezzasadne – nie ucierpi ani jego piękny profil, ani zarys grzywki pieczołowicie usztywniony lakierem.

– Kamera numer trzy stoi dokładnie tam, gdzie powinna. Zapewniam cię.

Newsroom płynnie przechodził w studio, dwie przestrzenie oddzielała od siebie tylko szklana ściana. Standard zachodnich telewizji informacyjnych, za plecami prezentera można było zobaczyć codzienne życie redakcji. A przynajmniej jego wyselekcjonowany fragment. Reporterzy z kartkami w dłoniach, kilka komputerów gdzieś w tle, nerwowe gesty kierownika produkcji walczącego z trudami organizacji. Nie byliśmy jeszcze na antenie – szklane, dźwiękoszczelne drzwi do studia wciąż były otwarte. Słyszałem Hankę Chaberek przemawiającą do słuchawki telefonu:

– Potrzebuję, żebyś mi to zmontował na za pięć. Będzie?

Powitaliśmy się skinieniami głowy; Joanny nie było w pobliżu, nie musieliśmy więc robić niczego więcej. Program awanturującego się chłopca od spraw zagranicznych chyba nie był nadmiernie absorbujący – w newsroomie panował spokój, a żaden z pracowników nie wydawał się pochłonięty żadną absolutnie pilną robotą na już, na za trzydzieści sekund, na teraz.

– Cześć. – Obrażona mina, strój tyleż frywolny, co zupełnie niewłaściwy, wielka torba niedbale rzucona na jedno z biurk. Paulinka Koniuszek przysłała do pracy. Nie mogła usiąść, nie wyjąwszy wszystkich niezbędnych zabawek – kolorowe słuchaweczki, nieodłączny telefon, puszka napoju z tauryną, który pewnie miał jej starczyć za pożywienie na cały dzień.

– Słuchajcie, wczoraj zgarnęłam przez pomyłkę czyjeś pióro. Dzisiaj nie wzięłam – kontrolny rzut oka w rozwartą paszczę torebki – ale mam w domu, więc jeśli ktoś zgubił, to niech się do mnie zgłosi.

Nie było chętnych. Wiecznie ginące długopisy, czyli codzienna rzeczywistość redakcji; nic nadzwyczajnego. Paulinka rozejrzała się jeszcze dookoła w ostatniej próbie skupienia czyjejś uwagi. Bez efektu – została jej tylko praca. Ciekawe, czy i z nią rozmawiali już policjanci. Ciekawe, co ona robiła w noc zaginięcia Rawskiego. Jeszcze jedna kochanka nierówno obdzielana względami Casanovy spod Opola. Ciekawe, czy w ogóle wiedziała, z kim dzieliła jego łaski? Czy wiedziała o Joannie? Nie miałem czasu się nad tym zastanawiać – program startował za kilka minut. W drzwiach prawie zderzyłem się z Darkiem. Był środek lata, ale jego oczy świeciły jak lampki na choince.

– Słyszałeś?

Nic dziwnego, że nie zrobił kariery jako aktor – nadmierna skłonność do gorączkowego podniecenia raczej nie ułatwiałaby mu udźwignięcia roli.

– Czy co słyszałem?

– To znaczy, że nie słyszałeś! – Wymownym gestem dawał mi znać, bym wyszedł na korytarz.

Pewnych rewelacji nie można przecież przekazywać w przejściu. Przy schodach akurat nikt się nie kręcił, ale słychać było szmer windy. Nadjeżdżała z ładunkiem nieproszonych pasażerów, więc mój kolega musiał się pospieszyć.

– Powiem ci, tylko nic nikomu, to miało się nie roznosić po firmie. – Palec przyciśnięty do ust, rozgorączkowany wzrok, całość tyleż efektowna, co przesadna. Może rzeczywiście nie nadawał się na aktora? – Rawski nie jest cały. Rozumiesz, znaleźli wszystkie części, ale czegoś brakuje. A wiesz, co mówi Branik? Ponoć przyniósł to prościusieńko z Nowolipia...

– Branik? Ten wasz reporter kryminalny?

Słyszałem co nieco o milicyjnym siostrzeńcu, kuzynie czy bratanku, któremu więzy krwi gwarantowały dobre wejścia także w policji.

– Właśnie on. Zazwyczaj wie wszystko tak, jak było, ale tym razem chyba przesadził. – Ekscytacja w jego oczach fosforyzowała zgniłą zielenią. – Twierdzi, że brakuje języka! – Ściszony głos, konspiracyjny szept, poufały ton pulsujący od tłumionej fascynacji. – Wycięli mu język. Wyobrażasz sobie?!

Fakt, dotąd sobie tego nie wyobrażałem. Ale kiedy to zrobiłem, poczułem tę charakterystyczną, kłującą mieszankę – zażenowanie, przyjemność, wstyd. Jak wtedy, kiedy przypadkiem wchodzimy na stronę porno dla dewiantów – potępiani, odcinamy się, ale nie możemy oderwać wzroku. Wymowny Aleksander Rawski pozbawiony języka. Cóż za przewrotne okrucieństwo. Cóż za perwersja. Cóż za kara.

– Język, kurwa! I co ty na to? – Emocje Darka domagały się towarzystwa, a jego natura plotkarza uznania za cenne rewelacje. Daruj, nie będę się w to bawił. Nie tym razem.

– Widać wsadzał go tam, gdzie nie powinien.

Szeroko otwarte oczy mojego przyjaciela paliły mi dziury w plecach, kiedy szedłem schodami do reżyserki.

*

– Ale z niej sęp. – Komisarz Kwarnicki nie potrafił powstrzymać się od tego komentarza. Telefon Rawskiej dzwonił i dzwonił, zanim go wreszcie odebrała tylko po to, by się dowiedzieć, że za chwilę szefowa Kanału Szóstego ze śmierci jej męża uczyni medialną szopkę.

– Może i sęp, ale nie wywlecze niczego, czego nie powinna.

Lata pracy – a może po prostu życia – nauczyły podinspektora Piątka rozpoznawać rozsądnych ludzi. Anna Ślęzak niewątpliwie należała do tej grupy.

– Może pani być spokojna – zwrócił się z powrotem do Rawskiej. – Rozumiemy pani sytuację, ale musi nam pani pomóc. Proszę się skupić. Chociaż na moment.

Jego perswazje przyniosły jakiś skutek, bo oczy Rawskiej przybrały nieco przytomniejszy wyraz. Ktoś postawił przed nią kubek kawy – prawdziwy, porcelanowy, który musiał należeć do prywatnych zasobów policjantów, a nie plastikową nędzę z automatu. Ktoś zabrał od niej laptop męża, który przywiozła z Opola na wyraźną prośbę śledczych. Ktoś zapytał, czy czegoś jej nie potrzeba, tak jakby naprawdę mógł jej w czymś ulżyć.

– Co mąż miał, co mógł mieć przy sobie tego ostatniego dnia?

Płomyk przytomności w jej oczach zgasł.

– Nie wiem, był w Warszawie od wtorku.

To stanowiło pewien problem, podobnie jak i to, że tuż po zgłoszeniu zaginięcia pozwolili jej zabrać rzeczy męża z hotelu. Szczerze mówiąc, nawet nie zainteresowali się tym, że to zrobiła. Kwarnicki szybko rozgrzeszył się w myśli z tego zaniedbania – kto mógł przecież wtedy przypuszczać, że nie dość, że Rawski nie żyje, to jeszcze padł ofiarą widowiskowej zbrodni? Wówczas radzili jej, by czekała spokojnie; teraz ona miała dla nich radę.

– Obejrzyjcie nagranie.

– Już to zrobiliśmy. – Kwarnicki sobie przypomniał, jak nudny wydał mu się ostatni program Aleksandra Rawskiego. Uważne oglądanie takich rzeczy stanowiło ten gorszy wymiar jego pracy. – Czy mąż zawsze miał przy sobie to pióro, które jest na nagraniu?

– Tak, nosił je przy sobie i zdaje się, że nigdy bez niego nie występował. Było cenne, włoskie, jakiś prezent od Rady Biznesu czy Towarzystwa Przedsiębiorców.

– Coś jeszcze? Miewał przy sobie na stałe coś jeszcze?

– Nie. Nie wiem. Portfel.

To było oczywiste na tyle, że nie żądali od niej zbyt szczegółowego opisu zawartości.

– A obrączka? Bo na palcu nie znaleziono obrączki...

– Mąż nigdy nie nosił obrączki. – Jej głos zabrzmiał na tyle ostro, że woleli nie pytać o powody takiego zachowania; wydawały się aż nadto oczywiste. – Nosił tylko zegarek, dziesięcioletnią omegę. To był prezent na rocznicę ślubu.

Pomyślała o tym, że raczej na nowy początek. Znów miało być dobrze, znów miało być jak kiedyś, a ona znów chciała pokazać, jak bardzo jest dobra. To właściwie ona powinna była wtedy dostać prezent. Niestety, wyszło jak zawsze, a nie tak jak wyjść powinno. Kwarnicki i Piątek trafnie odczytali jej wzrok umykający gdzieś w bok i niewyraźny. Bezsensem było liczyć na to, że powie im coś jeszcze. Na pewno nie teraz.

– Koledzy odwiozą panią do Opola.

– Jak on właściwie zginął? – wróciła do nich na chwilę, chociaż Kwarnicki nie mógł się pozbyć wrażenia, że w jej oczach koloru popiołu mignął mu jakiś cień. Cień pogodzenia z sytuacją, a może nawet zgody na to wszystko.

– Uderzenie w tył głowy, jedno, silne. Nie cierpiał, proszę się nie martwić.

Zawsze mówili tak rodzinom ofiar, ale akurat w tym przypadku nie dopuścili się kłamstwa. Rawska wyglądała trochę jak duch, kiedy niepewnym krokiem opuszczała pokój, a później cały budynek komendy stołecznej. Wyszła, odjechała, zniknęła – a oni zostali z tym wszystkim. A raczej prawie z niczym.

Ubranie, portfel, pióro i zegarek – to musiało im na razie wystarczyć, chociaż i tak nie mieli żadnej z tych rzeczy. I jeszcze język. Brakujące ogniwo, zgubiony element, jęczyczek u wagi w sensie aż nader dosłownym. Pytanie tylko, czy to naprawdę miało jakieś znaczenie.

– Na pewno już wyrzucił ten jęczor. – Piątek, choć przez chwilę dopuszczał sentymentalną interpretację wiecznej pamiątki, uznał ją jednak za zbyt książkową, a za mało realną. – Może robił na nim wprawki przed cięciem ciała i od razu się go pozbył.

– Też tak myślę. No chyba że go znajdziemy. – Jeden z pracujących z nimi policjantów stanął właśnie w drzwiach, machając nakazem przeszukania.

*

Rzecz jasna, musiałam go zobaczyć. W pracy było to nieuniknione, choć oczywiście nie w takich okolicznościach pragnęłabym go widzieć. Koniec romansu zawsze bywa bolesny, a jego ostentacyjne niezauważanie mnie i widoczna obraza nie czyniły sytuacji ani trochę znośniejszą. Pech chciał, że na przełomie wakacyjnych miesięcy miałam cały tydzień wieczornych dyżurów. Cały długi tydzień stresujących wieczorów, podczas których musiałam patrzeć na lodowatą obojętność Aleksandra. Wieczorów pełnych napięcia i niegasnących nadziei, które rozbijały się o mur jego całkowitego braku zainteresowania. Do cholery, upiłam się – to prawda, ale czy jemu nie zdarzało się robić gorszych rzeczy? Chciało mi się płakać za każdym razem, gdy o tym myślałam – moja wina, moja bardzo wielka wina, to ja wszystko zepsułam.

Kiedyś traktowałam takie dni jak nieprzebraną skarbnicę okazji do pokazania mu się w nowej

sukience, do niby przypadkowego spotkania na schodach, do odpowiedniego ustawienia się przed tablicą informacyjną, akurat wtedy, gdy on tamtędy przechodził. Teraz z tych zabaw w podchody nic nie zostało. Kiedy pojawiałam się w newsroomie, demonstracyjnie patrzył w drugą stronę, kiedy siadałam przy biurku naprzeciwko, całą energię skupiał na tym, by na mnie nie spojrzeć. Ani przypadkiem, ani na chwilę, ani przelotnie. Wiedziałam, że to nie pierwszy raz, kiedy się tak zachowuje, ale tym razem było gorzej niż zwykle. Bolało, kiedy nie mówił nawet „dzień dobry” i kiedy udawał, że nie słyszy moich błyskotliwych uwag i żarcików wymienianych z wydawcą czy kierownikiem produkcji. „Cholera, trzeba było zostać w reżyserce i czytać gazetę” – utyskiwałam w duchu. Na pewno wtedy kosztowałoby mnie to mniej, ale jednocześnie wiedziałam, że nie mogę sobie darować okazji do popatrzenia na niego. I do stworzenia okazji, by on popatrzył na mnie – alkoholowy incydent alkoholowym incydentem, ale wciąż wierzyłam w magię szpilek, czerwonej szminki i pończoch odznaczających się delikatnie pod wąską spódnicą.

Jednego z tych trudnych wieczorów zastałam go w newsroomie przy komputerze – nie powinno go już tam być, skończył swoją publicystykę, a „Przegląd Dnia” prowadził Darek, z którym skądinąd nigdy się nie lubili. A mimo to tam był – wciśnięty w kąt, jakby nie do końca na swoim miejscu. W ciemności, bo kiedy operatorom światła nie chciało się zapalać lamp pomiędzy programami, cienie w newsroomie stawały się coraz dłuższe i siedzieliśmy tam w atmosferze tyleż nastrojowej, co ponurej. Starłam się nie patrzeć w jego stronę – wspomnienie tych wszystkich ukradkowych spojrzeń, które wymienialiśmy kiedyś ponad monitorami, było zbyt bolesne. Udawałam, że jestem bardzo skupiona na swojej pracy – znów spada poparcie dla koalicji... cóż by tu ładnego do tego napisać? – ale i tak nie mogłam się powstrzymać od zerkania na telefon. Niestety, milczał uparcie, co tym bardziej nasuwało mi wspomnienie dni, kiedy siedząc przy biurku w biurko, wysyłałam do siebie esemesy, od których nie dało się nie czerwienić.

Właściwie co on tu jeszcze robi? zastanawiałam się. Skoro skończył program, powinien był stąd wyjść. No tak, autobus, przypominałam sobie. Ostatnio mówiło się sporo o jego kuriozalnym, i praktycznie już codziennym, zwyczaju jeżdżenia do domu i z powrotem – jakieś pięćset kilometrów w ciągu jednej doby. Niezmiennie mnie to zdumiewało, podobnie zresztą jak i wszystkich w redakcji. Wolał jazdę zatłoczonym autobusem niż nocleg w Warszawie. Hanka mówiła, że postanowił oszczędzać na hotelu – „objaw wyjątkowego skąpstwa, i tyle”. Nikt właściwie nie wiedział, dlaczego to robi, ale ostatnio stało się to prawie regułą. Jego nowy zwyczaj zaczynał już obrastać licznymi interpretacjami, z których najpopularniejsza głosiła, że na noc w Warszawie nie pozwala mu zostawać żona. Rzeczywiście, słyszałam coś kiedyś o jakiejś awanturze, ale takie posłuszeństwo żonie w żadnym razie nie wydawało mi się w stylu Aleksandra. Niemniej jednak naprawdę chyba wracał do Opola, choć wydawało mi się to bardzo dziwne – wcześniej skończony program, piękny, wolny wieczór do wykorzystania. Nie miałam już raczej nadziei, że do wykorzystania ze mną, ale Paulinka mogła mieć swój dzień. Zawsze je przecież miewała, choć ostatnio różnie o tym mówili.

– Pokłócili się – powiedziała Hanka, gdy wyszliśmy na chwilę na korytarz. To tłumaczyło jego wyjątkowe przygnębienie i samotne wysiadanie przed ekranem monitora. – Musieli się pokłócić. I to jak cholera.

– Skąd wiesz?

– Wrzeszczała ostatnio, że niektórym życzy wszystkiego co najlepsze: wyrwanych włosów, podbitego oka i rozkwazzonego nosa. Coś o zawiedzionym zaufaniu i o facetach, którzy zawsze okazują się tacy sami. Nietrudno się domyślić, kogo miała na myśli. Ostro musiało być.

Może i tak, bo na Paulinkę też ostatnio nie patrzył. Samotny, odcięty od wszystkich, wyalienowany w swoim kącie newsroomu.

– Ciebie porzucił, z Paulinką się pokłócił, nie ma gdzie spać, biedaczek, i tylko autobus mu został –

Hanka była nieubłagana w swojej złości. – Dobrze, że Polski Bus ma takie tanie bilety.

Nawet nie przypuszczała, jak bardzo czekam na to, by odwiedziny u mnie wydały mu się bardziej nęcącą ewentualnością niż wyczerpująca nocna jazda autobusem. Nie chciałam niczego więcej ponad to, by wrócił. Niestety, lipiec już do końca nie był dla mnie szczęśliwy – Aleksander noc w noc wybierał autobus, a wstając ze swojego miejsca i wychodząc, nigdy nawet nie powiedział mi „do widzenia”.

*

Kwarnicki znał już to mieszkanie. Klaustrofobicznie ciasną kawalerkę urządzonej meblami z Ikei w posępnym bloku z wielkiej płyty. Tym razem nie zastali właścicielki, ale sąsiadka ochoczo służyła pomocą.

– Jesteśmy z policji, mamy nakaz rewizji w mieszkaniu Pauliny Koniuszek. Pani Koniuszek jest nieobecna, czy mogłaby nam pani posłużyć za świadka?

Niecodzienna wizyta i sensacyjna prośba musiała być chyba najciekawszą rzeczą, jaka zdarzyła się starszej pani w ciągu ostatnich kilku miesięcy. A może nawet lat?

– Ojej, panowie z policji... – wyłączyła radio, zanim wyszła z nimi na korytarz. „Katolicki głos w waszych...” umilkł w połowie zdania. – Wiedziałam, że to się tak skończy. Ta Koniuszek to było ladaco, ladaco, proszę pana. Tylu mężczyzn ją tu odwiedzało, dniem i nocą drzwi się nie zamykały.

– A w zeszły czwartek w nocy widziała tu pani kogoś u niej? – Piątek ostro wciął się w jej paplaninę; okazja wydawała się niezła, ale niestety wiarygodność sąsiadki była odwrotnie proporcjonalna do jej zainteresowania cudzym życiem.

– W zeszły czwartek... no w czwartek to nie wiem, ale na pewno.

– To widziała pani kogoś czy nie?

– Widziałam, ciągle kogoś u niej widziałam. Panie, żeby taka młoda, a tak się nie szanować, to skandal jest! Tu ciągle ktoś u niej, jakieś wrzaski, śmiechy, po butelki do sklepu chodzili, torby jakieś nosili...

– Torby? A kiedy te torby?

– A ostatnio nosili, ostatnio. Ja tam nie wiem, co oni wyprawiali, ta młodzież dzisiaj to proszę pana sodomia i gomoria.

– Tak... – Piątek uznał za stosowne zgodzić się z rozmówczynią, byle jak najprędzej dostać się do mieszkania, z którego w ostatnim czasie wyniesiono kilka toreb. To było bardziej niż obiecujące. Ekipa od przeszukań liczyła pięć osób, w tym nie tylko techników, ale i krzepkich mundurowych, którzy raz-dwa dali sobie radę z zamkiem. Sąsiadka była chyba zawiedziona, że nie musieli wyważać drzwi, ale i tak zrekompensował jej to zachwyt, że może tak po prostu wejść do środka i obejrzeć na własne oczy ślady „wrzasków i śmiechów”.

Kwarnicki od razu rzucił okiem w stronę poręczy krzesła – tym razem nie wisiła na niej żadna męska koszula, a całe mieszkanie wydawało się całkiem porządnie wysprzątane. Żadnej zmiętej pościeli, żadnej bielizny. Tylko kilkanaście nieszczególnie ciekawych metrów kwadratowych i sprzęty na tyle tanie, by łatwo rozkładało się je na czynniki pierwsze – co oznaczało, że pójdzie im szybko. Zaczęli od kuchni, a raczej małej wnęki, która nosiła to szumne miano. Jak twierdził patolog, rozkład korpusu, głowy i jednej ręki denata był na tyle spowolniony, że akurat te części ciała musiały być przechowywane w chłodnych warunkach. Na przykład w lodówce? Ta w mieszkaniu Paulinki Koniuszek była tak duża, że spokojnie mogło się w niej zmieścić parę paczek. Paczek z czymś szczególnym w środku – pomyślał komisarz, podziwiając puste, świeżo umyte półki i kilkanaście pudełek serka wiejskiego, które stanowiły jedyną zawartość chłodziarki. Ktoś tu chyba nie miał apetytu.

Oglądanie od podszewki życia prywatnego Paulinki szło im bardzo sprawnie – dość nieliczne ubrania wyrzucone z szafy, zburzone stosy pism o życiu gwiazd, puste butelki powyciągane ze sprytnego schowka

za kaloryferem. Kwarnicki lubił przeszukania; oczywiście nie techniczną stronę zabezpieczania śladów. Choć był nieco zawiedziony, że z otwartej bieliźniarki wypadały raczej bawełniane majtki niż koronkowe stringi czy seksowne gorsety.

– O kurwa. – Głos Piątka dobiegł od strony parapetu; coś musiało go zadziwić pośród zdjęć w ozdobnych ramkach, maskotek i kwiatków z bibuły. To musiał być najważniejszy kącik, prywatny składzik i ołtarzyk; Paulinka trzymała tam nawet plakat gwiazdy rocka. Z autografem.

– Przecież to ono! – W głosie podinspektora grały emocje, co stanowiło zjawisko na tyle niespotykane, że musiały je uzasadniać jakieś szczególne okoliczności. Albo wyjątkowe znalezisko. Kwarnicki spojrział na ręce kolegi i zobaczył w nich wieczne pióro. Ciemnogranatowe, masywne, eleganckie. Literki wyryte na zacisku skuwki układały się w wyraz „Visconti”. Nie było żadnych wątpliwości.

– Pióro Rawskiego.

Zamordowany prezenter miał je ze sobą tuż przed śmiercią. To pióro jeszcze o dwudziestej trzeciej występowało na antenie Kanału Szóstego jako zabawka w jego palcach. A później opuściło budynek telewizji w wewnętrznej kieszeni jego marynarki. By odnaleźć się w mieszkaniu Paulinki Koniuszek. W jej osobistym skarbicy. Wśród zdjęć i pamiątek dziewczyny, która czwartkowy wieczór spędziła jakoby samotnie. To mogło znaczyć tylko jedno. Piątek zorientował się, że trzyma w dłoni dowód rzeczowy. Zmieszany odłożył go natychmiast – pozostawało mieć nadzieję, że nie zamazał swoimi palcami śladów daktyloskopijnych. Śladów, które mogły mieć kluczowe znaczenie, bo przecież kto mógł dotykać pióra Rawskiego po nim samym? Tylko morderca. To było piękne, jasne i proste. Może aż nazbyt piękne, jasne i proste?

– Tak by je tu zostawiła? Na samym wierzchu, na widoku?

– Przecież nie sądziła, że przyjdziemy. Albo po prostu jest głupia.

Kwarnicki pomyślał o esemesach z groźbami, tak lekkomyślnie slanych w hurtowych ilościach, o odpowiedziach na ich pytania tyleż naiwnych, co podszytych strachem, o wszystkich plotkach, pogłoskach i informacjach na temat Paulinki. Pomyślał o tym, że nikt nie mógł potwierdzić jej wersji o czwartkowym wieczorze przed telewizorem. I wreszcie o tym, że mogło nie być rzeczy, do której nie posunęłaby się naiwna i młoda dziewczyna porzucona, źle potraktowana, zostawiona sama sobie. W ciąży. Pozostawał drobny znak zapytania w kwestii, jak namówiła Rawskiego do spotkania, ale przecież nie było to tak istotne w obliczu ładnie wchodzących na swoje miejsca kluczowych elementów układanki. Nawet dzwonenie do swojej ofiary dzień po zabójstwie można było logicznie wytłumaczyć jako chęć przekonania się, czy jej telefon nie został przypadkiem gdzieś w pobliżu. Albo jako próbę stworzenia sobie wiarygodnej legendy. Był motyw, był dowód, wszystko pasowało tak zgrabnie – zwłaszcza do policyjnej statystyki wykrywalności sprawców najgroźniejszych przestępstw.

– Gdyby tu była, pewnie by się tłumaczyła, że znalazła to pióro albo coś takiego.

Kwarnicki postanowił jeszcze przez chwilę nie wychodzić z roli adwokata diabła. Pamiętał o wymianie dziwnych wiadomości, jaką Rawski odbywał z numerem prepaidowym oraz o swoich wątpliwościach względem Madeckiej. Jednak to wszystko wydawało się zupełnie mgliste i rozmyte wobec mocnych konturów wyrazistego obrazka, jaki właśnie powstał w ich głowach.

– W takim razie niech się tłumaczy. Ale już w izbie zatrzymań.

– A co ona zrobiła? – Sąsiadka Paulinki, o której zdążyli zapomnieć, chyba nie spodziewała się aż tak dramatycznego rozwoju wydarzeń.

– Coś bardzo złego, proszę pani. – Podinspektor Piątek odpowiedział jej już swoim zwyczajnym, beznamiętnym głosem. – Nie zrozumie pani tego.

Ten ton nie pozostawiał wątpliwości, że on sam rozumiał już wszystko. Raz na zawsze, ostatecznie,

już bez opcji poprawek. Puzzle ułożone, zabawa skończona, *game over*. Nagroda na horyzoncie.

*

– Pamiętam, jak było tu kino. Pokazywali głównie klasykę. Byłem tu na *Casablance*, jakoś tuż zanim splajtowali.

Smutny koniec tego przybytku był łatwy do przewidzenia – stare filmy, bez popcornu i okularów 3D, musiały skapitulować przed rozmachem tandety multipleksów. Duch *Casablanki* i szum starego projektora zniknęły bezpowrotnie. Teraz była tu knajpa – niestety, w niczym nie przypominała baru „U Ricka”.

– Wiem, że to speluna, ale tu chyba było nam wszystkim najbliżej po pracy.

Poznałem już Hanke Chaberek na tyle, by wiedzieć, że lubi nazywać rzeczy po imieniu. Wszystkie bez wyjątku. Joannie chyba jednak się tu nie podobało; nie mogła oderwać wzroku od tablicy zachwalającej uroki szotów o nazwach „kiwi, piernik i pomarańcza”. Twarz miała smutną; można by dać słowo, że widzi tu coś więcej oprócz znudzonej barmanki, ścian pomazanych pseudoartystycznym graffiti, kolorowych butelek poustawianych na półce za kontuarem.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Jasne. – Oczy, które na mnie podniosła, przeczyły tej deklaracji. Były ciemne i gorzkie jak kawa bez mleka i cukru. Standard knajpy nie obejmował obsługi; kiedy poszedłem do baru, widziałem, jak Joanna i Hanka pochylają się do siebie. Barmanka nieznośnie wolno nalewała wódkę do kieliszków, nie mogłem usłyszeć, o czym rozmawiają. Oby tylko nie o tym, co powiedział mi Darek. Miałem nadzieję, że sensacja nie zdążyła jeszcze rozpełznąć się po firmie. Joanna nigdy nie powinna się o tym dowiedzieć. Byłem gotów ją chronić – przed wszystkim, także przed słowami. Kilka kolejek i kilkadziesiąt mało znaczących zdań później było już wiadomo, co – a raczej kto – będzie kluczowym tematem wieczoru. I tym razem nie był to Rawski. Ani, Bogu dzięki, jego język.

– Ale jazda z tą Paulinką. Ciekawe, czy zdążyła zniknąć.

Hanka Chaberek nie była jedną z tych dziewczyn, które chodzą i plotą, ale sytuacja usprawiedliwiała ten delikatny skręt w kierunku stylistyki „Życia na gorąco” – po Rawskim wszyscy byli szczególnie wyczuleni na zniknięcia. Choć akurat to zniknięcie było zdaje się w zupełnie innym gatunku. I do tego wątpliwe.

– Jak to zniknąć? Przecież widziałem ją dzisiaj koło południa w pracy. – Przypomniałem sobie jej nieudolne próby zwrócenia na siebie uwagi.

– No tak, koło południa. – Hanka odstawiła na stół szklanke z rozwodnionym sokiem pomarańczowym. Gest był zamaszysty, kilka kropel kapnęło na pasztet z żurawiną. – O czwartej skończyła dyżur i wyszła. Nawet chyba jakąś chwilę wcześniej, bo twierdziła, że ma bardzo ważną sprawę do załatwienia. Miała odebrać jakąś przesyłkę czy coś. A godzinę później pojawili się po nią łapacze.

– W firmie? Łapacze po nią?

– Tak, tych dwóch ponurych szukało jej w newsroomie. – Zobaczyłem twarze policjantów, z którymi rozmawiałem dziś rano na komendzie. „Ponurzy” to było rzeczywiście trafne określenie. – A na zewnątrz stała suka pełna chłopców z zabawkami. Wiecie, kominiarki, ubranka Robocopa, te sprawy.

– Żartujesz! – Tego było już chyba za wiele.

– Nie żartuje, też ich widziałam. – Joanna rozwiała moje wątpliwości. – Naprawdę jej szukają. Na całego.

Wniosek mógł być tylko jeden. Snujące się od tygodnia podejrzenia, insynuacje i domniemania nabierały właśnie konkretnych kształtów. Kształtów Paulinki Koniuszek.

– Myślicie, że... to w związku z tamtym?

Nie chciałem wprost wspominać Rawskiego przy Joannie; nie chciałem widzieć, jak jej twarz blednie w okamgnieniu. Ciekawe, czy to już tak na zawsze? Czy doczekam chwili, w której wzmianki o Rawskim przestaną ją poruszać? Czy kiedyś zapomni o tym człowieku?

– No chyba, że w związku. Tym gorzej dla niej, że wszyscy żyją tym, co od wczoraj opowiada Kalicka.

– A co opowiada Kalicka? – Zwykle, niezobowiązujące pytanie, ale kiedy Joanna je zadała, Hanka momentalnie stała się czujna. To nie będzie nic dobrego, poczułem to z zatrważającą jasnością.

– Myślałam, że wiesz... – Hanka była zdezorientowana. Jak ktoś, kto zrozumiał, że zabrnął za daleko, ale jest za późno, by się wycofać. Trzeba iść dalej, chociaż już wcale się nie chce. Musiała naprawdę lubić Joannę. – Ja... nie chciałam. Nie chciałam robić ci przykrości.

– Jakiej przykrości? O czym ty mówisz?

– O tym, o czym gada Kalicka. To przecież wcale nie musi być prawda.

– No ale o czym ona gada? – Nie wytrzymałem. Jeśli to coś bardzo złego, to niech to padnie. Już. Hanka spojrzała na mnie jakoś dziwnie; było w tym spojrzeniu trochę zdziwienia, a trochę politowania.

– Kalicka mówi, że Koniuszek jest w ciąży z Rawskim.

W ciszy, która zapadła przy naszym stoliku, słychać było każdy odgłos życia knajpy. Brzęk kieliszków, syczenie ekspresu do kawy, głośne urywki rozmów z każdego kąta sali. Wszystko zwielokrotnione, donośne, boleśnie wyraźne.

– Przepraszam na chwilę. – Joanna zerwała zakłęcie. Wstała jakoś nieporadnie, chciałem jej pomóc, podać rękę, ale powstrzymał mnie wyraz jej twarzy. Oczy miała jak dwa kawałki węgla.

– No i masz, kurwa, co chciałeś. – Hanka odezwała się dopiero wtedy, kiedy oboje zobaczyliśmy, jak za Joanną zamykają się drzwi łazienki. W jej głosie słychać było złość; nie wiadomo było, czy to ona sama się złości, czy złości się w niej wódka, której wypiliśmy już całkiem sporo. Jeden z najtańszych gatunków, w dodatku słabo zmrożony i pomieszany z plotkami. Doprawiony dziwnym smutkiem schyłku letniego dnia. To mogła być szkodliwa mieszanka.

– Ale coś ci powiem. Mimo że sam o tym wiesz. Bo wiesz o tym, prawda? – Jej głos zabrzmiał dziwnie wyraźnie w zgiełku knajpy. Wypiła sporo, ale trzymała się na krześle prosta jak struna. Zajrzała mi w oczy; właściwie przecież prawie się nie znaliśmy, może to dodało jej odwagi na równi z alkoholem. – Wiesz, że ona nigdy nie będzie kochała cię tak, jak kochała Rawskiego.

– Rawski nie żyje. – Pochyliłem się do niej przez stół. – I to się już nie zmieni. A ja będę kochał ją tak, jak on nigdy nawet nie spróbował. Jest mądrą dziewczynką, zrozumie prędzej czy później, że tak musiało się stać.

Nie zdawałem sobie sprawy, jak to zabrzmiało, dopóki sam tego nie usłyszałem. Było już za późno – oczy małej Chaberek zogniły nienaturalnie, a przerażenie walczyło w nich o lepsze z zaskoczeniem. Bałem się, że wstanie, wybiegnie, narobi hałasu, ale nie; siedziała spokojnie, zupełnie nieruchoma, z niedowierzaniem i szokiem przemieszanymi na twarzy. Nie czekając na mnie ani na powrót Joanny, sięgnęła po kieliszek i wlała w siebie jeszcze jedną porcję wódki. Wyraz jej twarzy choć częściowo wrócił do normy. Uznała, że się przesłyszała. Odwołała to, co pomyślała. Albo po prostu przyjęła to do wiadomości. Mój Boże, nigdy jej nie wytłumaczę, że to nie ja zabiłem Rawskiego.

– Coś się stało? – Joanna wróciła. Długo jej nie było; wyglądała, jakby w łazienkowym lustrze zobaczyła ducha.

– Nic, nic. Wszystko w porządku. – Hanka wydawała się już wracać do równowagi. – A ty jak?

– Ja też. Też w porządku. – Jakiś nędzny, blady uśmiech miał przykryć cały ból. Ból, który raz jeszcze sprawił jej Rawski. Pieprzony pośmiertny tatuś. Ojciec dziecka Koniuszek, która sama wygląda jak dziecko. Nagła myśl, ogromna ulga – jak dobrze, że nie dziecka Joanny.

Jeszcze kilka łyków soku, parę niezobowiązujących zdań o życiu i o pogodzie, garść uwag o nowym prezenterze, który miał zastąpić Rawskiego. Wreszcie Hanka powiedziała, że czas na nią. Byłem teraz mężczyzną jej przyjaciółki, piliśmy razem wódkę i wymienialiśmy plotki z małą domieszką zwierzeń – serdeczne pożegnania doskonale pasowało do konwencji. Udawane objęcia, sztuczny pocałunek. Joanna musiała być zadowolona, że się lubimy. Patrzyłem na nią ponad tym uściskiem, ponad moją ręką na plecach Chaberek. Pomyślałem, że w tej speluncie jest zupełnie nie na miejscu. Że znacznie bardziej pasuje do starego kina niż do nowego baru – w kreacji jak na czerwony dywan i z włosami upiętymi wysoko i starannie w kok.

– To była ulubiona fryzura Rawskiego. – Szept Hanki tuż przy moim uchu brzmiał miękko i przyjaźnie.

*

Pokój na szóstym piętrze komendy na Wilczej nie był przykładem wzorowego porządku. Brudny kubek po kawie, kostki cukru w torebce foliowej, blat biurka nie do końca wyczyszczony z okrągłych odcisków po szklankach. I do tego stosy papierów – przed Kwarnickim i Walczakiem piętrzyła się świeża porcja listów gończych; wszystkie porządnie posegregowane i ułożone w teczkach. Białych, wiązanych na tasiemki – skojarzenia dużo bardziej biurowe niż kryminalne. A jednak kryminał majaczył gdzieś w tle. Zwłaszcza w odniesieniu do listu, który leżał na wierzchu tego stosu. Ze wszystkimi możliwymi wykrzyknikami i czerwonym odręcznym napisem „Pilne!”. Już wczoraj wieczorem został rozesłany do wszystkich patroli w Warszawie i wszystkich komend w Polsce. Trafił nawet na przejścia graniczne i lotniska. Cała policja i wszyscy pogranicznicy dysponowali rysopisem kobiety, która niewinnie patrzyła ze zdjęcia szeroko otwartymi oczami. Poszukiwana Paulina Koniuszek, lat 23, wzrost: 162 centymetry, włosy: brązowe, oczy: zielone. Znaki szczególne: liczne tatuaże, opis dostępny w specyfikacji. Poszukiwana w związku z zabójstwem ze szczególnym okrucieństwem. Uwaga, może być niebezpieczna.

– I jak ona się czuje?

– Już lepiej. Ale dziecko jest bardzo słabe.

Okno było szeroko otwarte, tak aby dym z papierosa Walczaka miał którądy uciec na zewnątrz. Jego ręka wciąż jeszcze drżała odrobinę.

– Wszystko będzie dobrze. – Pocieszenia nie były specjalnością Kwarnickiego, ale w tej sytuacji nie mógł zaserwować niczego innego. – Mają teraz te inkubatory, cały ten sprzęt. Ogarną to.

– Ważne, że wy ogarnęliście tę dziwkę. Tę kurwę pierdoloną.

Takie słowa w ustach Walczaka to była nowość. Jednak nikt nie może pozostać zupełnie czysty, babrząc się w ścieku – ta konstatacja ucieszyła Kwarnickiego, choć nigdy by się do tej radości nie przyznał.

– To ona? Na pewno to ona?

Kwarnicki znał Walczaka od dziewięciu lat. Razem pracowali, razem przeszli przeszkolenie oficerskie, nawet parę razy upili się razem. To chyba wystarczająca podstawa, by być szczerym.

– Chyba ona.

– Chyba czy na pewno? – Łapczywość, z jaką Walczak zaciągał się papierosem, świadczyła o tym, że zakończyła się epoka gum z nikotyną. Raczej raz na zawsze.

– Nie wiem na pewno, Marcin. Wszystko wskazuje na to, że to ona. Esemesy z groźbami, niechciana cięża, sterylne wysprzątane mieszkanie. Zupełny brak alibi. No i to cholerne pióro. Są na nim odciski palców dwóch osób. Tylko dwóch osób.

– Rawskiego i jej?

– Właśnie.

– I to ona może być na tym nagraniu z Centralnego? Nieduża, drobna postać, którą wzięliśmy za chłopaczkę?

– Tak. To akurat na pewno. Nawet miała tamtego dnia wolne w pracy.

– W takim razie dlaczego masz wątpliwości?

– Nie wiem. – To była jedyna odpowiedź, jaką miał na to pytanie. Niewystarczająca, zupełnie poniżej oczekiwań, szczerza.

– Podejrzywałaś kogoś innego?

– Myślałem przez moment, że to tamta. Madecka. – Bardziej wypłynęło to nazwisko, niż je wypowiedział. Nie mógł się przecież przyznać, że nie tyle myślał, że to ona, co raczej bardzo tego chciał.

– Ale posprawdzałem wszystko. To nie mogła być ona.

Kwarnicki pomyślał o wczorajszym wieczorze. Poświęcił go na drobiazgową weryfikację słów Antuchowicza. Na szczegółową kontrolę. Na dokładne poszukiwania choćby jednej luki. Niestety, nie znalazł żadnej, nawet najmniejszej. Informacje o logowaniach telefonów komórkowych do stacji BTS jednoznacznie potwierdzały wersję świadka. Elektroniczni szpiecy z kieszeni i torebek bywają niezastąpieni w obnazaniu kłamstw swoich właścicieli; tym razem zeznania w postaci współrzędnych geograficznych świadczyły na ich korzyść. Telefon Antuchowicza od 23.25 w czwartek do 05.22 w piątek logował się dokładnie do tej samej stacji przekaźnikowej, co telefon Madeckiej. I ten akurat nadajnik obejmował swoim zasięgiem kwartał śródmiejskich ulic, w którym stał dom Madeckiej. Tę samą wersję potwierdzał monitoring miejski – niezbyt wyraźny i ukazujący tylko fragment chodnika przed kamienicą, w której mieszkała Madecka, ale tak się składało, że na rozmazanych nagraniach widać tył samochodu Antuchowicza. Samochodu, który stał tam przez całą noc. Rzecz jasna, nie były to dowody absolutne i ostateczne, ale zdawały się potwierdzać wersję tych dwojga. A ta wersja znaczyła nie tylko to, że Madecka nie mogła zabić Rawskiego, ale i że spędziła noc z Antuchowiczem. To drugie martwiło Kwarnickiego dużo bardziej.

– To w takim razie o co ci chodzi? Musimy tylko znaleźć tę całą Koniuszek. Tę sukę.

Walczak nigdy by tak o niej nie powiedział wyłącznie na podstawie tego, co zrobiła Rawskiemu.

– Zniknęła. To też świadczy przeciwko niej.

Paulinki Koniuszek nie było ani w pracy, choć powinna była tam być, ani u rodziców w Koszalinie, ani nawet u osoby wskazanej przez matkę jako jej najlepsza przyjaciółka. Pytanie tylko, na ile starsza pani Koniuszek orientowała się w meandrach rozrywkowego życia córki; przez wzgląd na nią samą Kwarnicki miał nadzieję, że nie za bardzo.

– Znajdziemy ją, spokojnie. Rzucą na to wszystkie środki, bo z tego, co mówił Piątek, komendant jest zachwycony, że mamy podejrzanego.

Już teraz kilkunastu tajniaków kręciło się po barach, sklepach i ogródkach kawiarnianych w tym kwartale śródmiejskich ulic, w którym od wczoraj logował się telefon poszukiwanej. Chociaż nikt nie liczył na to, że właścicielka wciąż jeszcze jest tam, gdzie urządzenie. Musiała uciec, teraz trzeba ją tylko złapać. Tylko albo aż złapać.

Walczak wzdrygnął się na dźwięk dzwonka, który rozległ się w pokoju. Tak jakby się spodziewał, że dzwonią po to, aby upomnieć go za niedozwolone palenie w miejscu pracy. Dzwonili jednak po coś zupełnie innego.

– Zgłaszający podał to nazwisko. Rozumiem. Już idę. Natychmiast.

Ożywienie w głosie kolegi skłoniło go do zgłoszenia papierosa.

– Idę z tobą.

Nie zwracając sobie głowy czekaniem na windę, poszli prosto do schodów. Sześć pięter w dół, po dwa stopnie, szybko, byle szybciej. Obaj chcieli jak najprędzej znaleźć się na dole: jeden – bo wiedział

po co, drugi – bo miał nadzieję, że akurat po to. Typowy tłumek w policyjnej recepcji, zwyczajna zbieranina pokrzywdzonych, nadgorliwych i podejrzanych. Potencjalnie, rzecz jasna. Wszyscy oni patrzyli ze zdziwieniem na dwóch policjantów przepychających się do kontuaru dyżurnego.

– Mówili, że skąd to zgłoszenie?

– Dzwonił na sto dwanaście, podał adres na Chmielnej.

– Dobra. Marcin, dzwoni do Piątka. – Mimo adrenaliny wciąż pamiętali o hierarchii i o wadze, jaką przypisuje się jej w instytucji, która ich zatrudniała.

– Komisarzu! – Kwarnicki był zły, że ten nieszczęsny mundurowy ich zatrzymuje. Jakby miał po co.

– Nazywa się Rowecki. Błażej Rowecki.

– Dziękuję. – Kwarnicki poczuł, jak złośliwy uśmiech aspiranta ześlizguje się po nim. Po nim i po jego bluzie.

*

Sierpień – miesiąc żniw i winobrania. Miesiąc upałów i begonii kwitnących w ogrodach. Sierpień, który ma w sobie równocześnie letnią pełnię i jesienną zapowiedź przemijania, piękno i smutek, przepych rozkwitu skażony nieuchronną zapowiedzią zmierzchu lata. Sierpień – miesiąc, w którym się urodziłam.

Nie miałam w tym roku nadziei na wiele – jedyne, czego chciałam na urodziny, zdawało się być już całkowicie poza moim zasięgiem. Przyniosłam cukierki do pracy, słuchałam życzeń sztucznych jak plastik i sztampowych jak czekoladki, którymi częstowałam. Koledzy z pracy obejmowali mnie – raz bardziej serdecznie, raz bardziej nieporadnie – wymienialiśmy pocałunki w powietrzu i zdawkowe uprzejmości. Tylko Piotr jako jedyny jakoś wyróżnił się na tym tle.

– Życzę ci tego wszystkiego, na co zasługujesz. I żeby to, co cię tak dręczy, raz na zawsze zniknęło z twojego życia. Raz na zawsze, pamiętaj.

Całował mnie w policzek, z ustami tuż przy moim uchu. Wargi miał suche, a oddech gorący. „On nie jest ciebie wart”. Szept lekki jak wiatr, zgłoski znikające, zanim jeszcze wybrzmiały, słowa, które tak łatwo unieważnić, jak gdyby nigdy nie padły. Zresztą może w ogóle nie padły? Nie wiedziałam. „On nie jest ciebie wart”. Nie byłam pewna, czy naprawdę to usłyszałam. Te słowa mogły odnosić się tylko do Aleksandra, a choć miałam podstawy przypuszczać, że Piotr wie o naszym romansie, nigdy nie sądziłam, że może go to interesować inaczej niż jako plotka, sensacja, ciekawostka. Może jednak było coś, czego o nim nie wiedziałam, mimo że pracowaliśmy razem już tak długo?

Aleksander pojawił się wieczorem. Wiedziałam, że przyjdzie – włożyłam czerwoną sukienkę i upięłam włosy w kok wcale nie tylko z okazji urodzin. Nie liczyłam już na wiele, ale miałam nadzieję, że gdy na mnie spojrzy, być może chociaż zrobi mu się szkoda – szkoda tego wszystkiego, z czego tak lekko zrezygnował.

– Wszystkiego najlepszego – powiedział. Tym razem nie mógł udać, że mnie nie widzi; czekoladki stały na środku newsroomu w wielkiej kryształowej misce.

Wieczorne godziny pracy dłużyły mi się niemiłosiernie. Podczas serwisów jak zwykle musiałam siedzieć w reżyserce, ale gdy tylko była chwila przerwy, schodziłam do redakcji, oficjalnie – na plotki czy po herbatę, tak naprawdę tylko po to, by na niego popatrzeć. Było inaczej niż ostatnio – wyglądało na to, że i on nie potrafi sobie odmówić spojrzeń na moje nogi w dziesięciocentymetrowych szpilkach i krótkiej sukience. Kiedy mijaliśmy się na pustym korytarzu, jego spojrzenie stało się szczególnie intensywne.

– Zaprosisz mnie na urodzinową wódkę? – zapytał, zanim przeszłam tuż obok. Nareszcie! Poczułam znajomą falę: zaczyna się. Staliśmy naprzeciwko siebie, blisko, na odległość oddechu. Bure ściany korytarza zdawały się zbiegać w naszym kierunku.

– Oczywiście. Dzisiaj?

– Dzisiaj. – Patrzyłam mu prosto w oczy i widziałam w nich namiętność. A może tylko odbicie tego, co było w moich oczach? – Masz ochotę na porządne, urodzinowe rżnięcie? W ramach prezentu, rzecz jasna.

To była propozycja nie do odrzucenia. Nawet nie zastanawiałam się nad tym, jak tygodnie ostentacyjnego chłodu i lekceważenia mogły tak łatwo przejść w pożądanie. Liczyło się tylko to, że znów miałam swoją szansę. Gdy wróciliśmy do newsroomu – oddzielnie, oczywiście – toczyła się tam właśnie dyskusja o urokach sierpniowej nocy.

– A ty, Aleksander? Jakie masz plany? Wracasz dzisiaj do Opola? Mówiłeś zdaje się coś takiego. – Pytał Jerzy, wydawca, znany koneser nocnych atrakcji stolicy. Dziwnie było słuchać dość chaotycznych wyjaśnień Aleksandra, zwłaszcza doskonale wiedząc, co będziemy robić tej nocy.

– Chyba wracam, tak. W zasadzie to powinienem, chociaż jeszcze nie wiem do końca. – Odwrócił się do monitora, kończąc tę mało zręczną dla niego dyskusję.

Dobrze wiesz, pomyślałam. Dobrze wiesz – i ta myśl sprawiła, że nie mogłam się powstrzymać od uśmiechu.

– Z czego się pani tak cieszy, pani Joanno? – zaczął dociekać Jerzy. Zawsze z tą swoją irytującą manierą mówienia per „pani” do wszystkich młodych kobiet.

– Oczywiście z tego, że mam dziś urodziny. I że szykują mi się z tej okazji atrakcje – odpowiedziałam.

– Ach, atrakcje. Zawsze mówiłem, że pani za dużo pije. Ale w sumie... czasem chyba można – uśmiechnęliśmy się oboje, ale każde z nas z zupełnie innego powodu.

Do końca pracy było już blisko, ale te ostatnie chwile ciągnęły się jak przeżuta guma balonowa; kiedy wreszcie Aleksander i Izabela pożegnali się z ekranu, a ja podpisałam koniec programu, chciałam prawie biec do samochodu. Znów odjedziemy razem sprzed firmy, jak za dawnych, dobrych czasów. Musiałam jeszcze zejść do newsroomu po miskę, w której były czekoladki; to była stara, kryształowa miska po prababce, nie chciałam jej tam zostawiać. A poza tym tak przyjemnie było wymienić z nim spojrzenia – po raz ostatni ponad biurkami, z myślą o tym, co będziemy robić, gdy już nic nas nie będzie od siebie oddzielać.

Jak zawsze odczekał chwilę, byśmy nie wychodzili razem – przyszedł, kiedy już siedziałam w samochodzie i odpalałam silnik. Rzecz jasna i tak ktoś mógł nas widzieć, chociaż na parkingu przed firmą nie było już zbyt wielu aut. Koniec programu – ten wyczekiwany moment zazwyczaj objawiał się pospolitym ruszeniem do samochodów na zasadzie niepisanej rywalizacji „kto pierwszy stąd odjedzie”. Ja tymczasem nigdzie się nie spieszyłam – kiedy Aleksander zatrząskiwiał za sobą drzwi, widziałam kątem oka Piotra odpalającego swoją wiecznie przybrudzoną terenówkę; on też wyraźnie się nie spieszył. Minęłam go, wyjeżdżając, a wtedy wydało mi się, że patrzy zza szyby wprost na mnie. I na Aleksandra, rzecz jasna. Na Aleksandra w moim samochodzie.

*

– Tak, wiem, że rysopis się zgadza. Niech jej nie zabierają, do cholery. Niech poczekają na nas.

Kwarnicki i Walczak patrzyli ze zdziwieniem, jak podinspektor Piątek krzyczy do telefonu. To on w ogóle potrafi krzyczeć? Nieoznakowane policyjne auto wjechało w Chmielną. W odcinek między Bracką a Nowym Światem, elegancki deptak z całkowitym zakazem ruchu samochodów. Nie byli jedyni – u wylotu na Nowy Świat ulokował się radiowóz, który musiał przybyć na miejsce jako pierwszy. I jeszcze dwa auta, które rozpoznali jako swoje. Szybko, obok zakazu wjazdu, pod prąd. Minęli charakterystyczny zegar nad sklepem z ekskluzywnymi czasomierzami i magazyn z galanterią, który chyba miał być drogi, ale skończyło się na przecenach jaskrawo anonsowanych na szybie wystawowej. Miejsce, do którego jechali, było kamienicą stylowo podrasowaną na przedwojenną. Elegancki, beżowy

piaskowiec, duże okna, dekoracyjne gzymsy. Jedno z najdroższych miejsc w Warszawie – rzadko kogo stać było na to, by tu mieszkać, ale niektórzy robili tu interesy. Choćby w branży rozrywkowej. Music Club Plus – głosił szyld w kolorze zjadliwego fioletu, a knajpa musiała zajmować cały parter i piwnice.

– To w tym lokalu? – W głosie Walczaka dało się wyczuć niejaką wątpliwość.

– Nie. Facet jest tu barmanem, pomieszkuje w pomieszczeniach administracyjnych na piętrze.

Technicy zdążyli już rozciągnąć taśmy i ustawić na korytarzu dwóch mundurowych broniących dostępu do środka. Jednak na widok Piątka i jego świty młodzi funkcjonariusze rozstąpili się natychmiast. Biurko, regały uginające się od segregatorów, śmigła wentylatora leniwie mieszające powietrze. Z tyłu parę skrzynek z zapasami alkoholi i skórzana kanapa – jedna z tych, z których tak łatwo zetrzeć zabrudzenia, plamy i spernę. A także ślady. Wszelkie ślady. Dywan i zasłony przesiąknięte były charakterystyczną, kwaskowatą wonią – ktoś musiał tu palić marihuanę częściej niż sporadycznie. Uchylone drzwi do małego pomieszczenia w głębi ukazywały plecy techników kucających nad czymś w rodzaju prowizorycznego posłania. Wstawiając materac do małej, ciemnej wnęki, ktoś próbował przerobić schowek na sypialnię. Raczej z mizernym skutkiem. Światło wpadające przez okno świetlistym konturem obrysowywało dwie postaci pochylone ku sobie. W jednej z nich Piątek rozpoznał komisarza z komendy na Żytniej, druga była zupełnie mu nieznanym młodym mężczyzną. Mężczyzną, który płakał.

– Przysięgam, że jej nie zabiłem. Przysięgam.

– Pan Błażej Rowecki?

Oczy chłopaka były załamane i czerwone, ale chyba nie tylko od płaczu.

– To pan dzwonił na sto dwanaście?

– Ja. Gdybym wiedział, że to się tak skończy, gdybym tylko wiedział... – Piątek nie był pewien, na ile jego poruszenie należy przypisać sytuacji, a na ile kokainie, która tak pięknie rozszerzała jego źrenice i czerwieniła nozdrza.

– Proszę nam opowiedzieć, co się stało. Po kolei.

Ostatnie polecenie wydawało się przekraczać możliwości chłopaka.

– Wyszedłem na chwilę, tylko na chwilę... – chociaż ugryzł się w język, zanim powiedział „po towar”, cel jego wyjścia był raczej jasny dla wszystkich zebranych. – A jak wróciłem, ona nie żyła.

– Skąd pan wiedział, że nie żyje?

– Leżała tak dziwnie, wołałem ją, nie odzywała się. Chciałem ją podnieść, otrzeźwić. I wtedy zobaczyłem krew. Ogromna plama krwi pod nią. Przysięgam, to nie ja. Nic jej nie zrobiłem.

„To się jeszcze okaże”, mówił wzrok policjantów, ale chłopak był zbyt roztrzęsiony, by to dostrzec.

– To przez ten zabieg. To na pewno przez to.

– Jaki zabieg? – Kwarnicki i Piątek odezwali się jednocześnie.

– No bo ona... kurczę, nie wiem, czy powinienem o tym mówić, bo to zdaje się nielegalne jest...

Chłopaka ogarnęły wątpliwości na tyle absurdalne i bezsensowne wobec powagi sprawy, że policjanci nie uznali za stosowne nawet ich rozwiewać.

– Tu zdaje się więcej rzeczy jest nielegalnych. Ale sądzę, że powinien pan nam opowiedzieć o każdej z nich. O każdej, rozumiemy się? – Twarz podinspektora Piątka znalazła się tuż przy zaczerwienionych oczach chłopaka. Wystarczyło.

– Zaczniemy od tego, kim pan dla niej jest. Był.

– No... chłopakiem jej byłem. Tak jakby.

Tak jakby chłopak Paulinki Koniuszek nie był jednak pewien swego – nawet tak wątpliwego – statusu.

– Przyjaźniliśmy się. Ona zrobiła ten zabieg, znaczy się wzięła jakieś tabletki, co kupiła w necie.

– Mówi pan o aborcji? Kupiła tabletki na poronienie, tak?

– No tak. Ale ja nie miałem z tym nic wspólnego, sama wszystko ogarnęła. Ja nawet ją ostrzegąłem, że to może być lewe. Niebezpieczne w sensie.

– A z jej ciężą miałeś coś wspólnego? – Walczak po raz pierwszy włączył się do rozmowy. Jego twarz miała kolor popiołu.

– Nie! Co pan, ja?! – Oburzenie chłopaka wyglądało na autentyczne. – Ja ją znam dopiero miesiąc, a mówiła, że to siódmy tydzień. To jakiś gość z pracy jej to dziecko zrobił, z telewizji znaczy się. Mówiła, że ma ją kompletnie w dupie, chuj jeden.

– Od kiedy ona tu była? – Piątek uczynił gest w kierunku ciemnego pomieszczenia w głębi. Technik szukał czegoś w walizeczce; jego plecy cofnęły się na moment. Zarys chudego biodra wypchniętego ku górze, biała, wyprostowana ręka, czarne literki ułożone w inskrypcję ku chwale cnót chrześcijańskich.

– Od wczoraj, od popołudnia. Przyszła, jak tylko odebrała te tabletki. Nie chciała być sama, mówiła, że się boi, więc pozwoliłem jej zostać. Wprawdzie w nocy musiałem być w barze, na dole, ale zaglądałem tu do niej co chwilę. Coś chyba było nie tak, bo ciągle krwawiła. Tylko że w sumie nie wiedzieliśmy, jak to powinno wyglądać...

– Skoro krwawiła przez całą noc, dlaczego nie pojechaliście do szpitala, nie wezwaliście pogotowia?

Piątek spojrzał na Walczaka. Nie podejrzewał go aż o taką naiwność.

– Jak to dlaczego? Bo byliście naćpani, prawda?

Chłopak spuścił głowę. To już nie był tylko szklisty wzrok, teraz płakał naprawdę.

– Ja nie chciałem, nie wiedziałem, że to się tak skończy. Ona sama chciała, bała się, mówiła, że tak będzie jej łatwiej. Najpierw wzięła ze mną, a później dobierała jeszcze sama, jak ja byłem na dole... Skąd miałem wiedzieć, że to tak wyjdzie? Zawsze była taka blada, nie wiedziałem, że słabnie. Myślałem, że to tak... chwilowe, że jej przejdzie...

Jeden z techników podał Piątkowi opakowanie po lekach wyjęte z torebki Paulinki. Dostępny na receptę środek na stawy, znany również z zupełnie innych właściwości. W końskiej dawce, z niewiadomego źródła, nawet bez daty ważności. I do tego kokaina, dużo kokainy, a może nawet czegoś jeszcze. Skurcze macicy, krwawienie, galopujący wzrost ciśnienia. To się nie mogło dobrze skończyć.

– Ale nie wsadzicie mnie za to, prawda?

Oczy chłopaka patrzyły na nich błagalnie. Jasne rzęsy, czerwone brzegi powiek, białka poprzecinane tajemniczą mapą popękanych żyłek. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia dwa lata.

– Owszem, wsadzimy.

Walczak widział tylko czarny foliowy worek, który pod dłońmi techników wypełniał się objętością i kształtem. Dźwięk zasuwanego zamka zabrzmiał jak zgrzyt paznokcia po szkle.

*

Od początku był niemiły. Może dlatego, że już po drodze się zorientował, że zapomniał telefonu, a ja nie zaproponowałam, byśmy po niego wrócili. Przecież był środek nocy, uważałam, że i tak nikt nie będzie do niego dzwonił. Czasem wprawdzie zdarzało się, że o takich porach dzwoniła jego żona, ale i tak nigdy nie chciał z nią rozmawiać. Przez całą drogę strofował mnie, jak powinnam jechać – a to zapomniałam o kierunkowskazie, a to za ostro weszłam w zakręt, a to krzywo zaparkowałam. Starłam się nie zwracać uwagi na te połajanki – przecież jest, znowu jest przy mnie, a to powinno mi wystarczyć. Kiedy szukałam w torebce kluczy do domu, poprosiłam go, by przytrzymał miskę po cukierkach, którą zabrałam z pracy.

– Jezu, co za brzydactwo – powiedział. Ciężki, rżnięty kryształ rzeczywiście był modny dobrych parę dekad temu, ale wcale nie był taki brzydki, a zresztą czasem i on się przydawał. Pewnie do następnego roku, znów do cukierków – pomyślałam, odstawiając tę nieszczęsną miskę po prostu na komodę, bo nie

chciało mi się chować jej tam, gdzie przez większą część roku było jej miejsce.

Dzień był wyjątkowo gorący – późna pora nie pomagała na duchotę, na powietrze nieruchome i gęste jak melasa, na burzę, która nie mogła nadejść. Ubrania kleiły się do ciała, pot zbierał się w lśniące kropelki nad górną wargą i w drobne strużki na plecach. Otworzyłam balkon i wszystkie okna, a i tak w mieszkaniu nie było czym oddychać. Stare mury oddawały ciepło nagromadzone przez cały dzień, niskie chmury wisiały nad horyzontem, a deszcz nie chciał spaść. Parno, gorąco, pożądliwie. Aleksander jak zwykle nie chciał nawet herbaty – jedyne, co go interesowało, to moje ciało schowane pod czerwoną sukienką. I alkohol, rzecz jasna, chociaż czasem miewałam wątpliwości co do kolejności tych upodobań.

Usiadł jak zwykle w fotelu – w swoim ulubionym, w tym, w którym zawsze siadał – i nalał wódki do kieliszków.

– No, to za twoje urodziny – to było wszystko, na co było go stać w kwestii świętowania. W okamgnieniu przechylił swój kieliszek, wypił i już odkręcał butelkę, aby nalać ponownie; upał nie był dla niego żadną przeszkodą. Nie zamierzałam pozwolić na to, by i tym razem narzucił mi takie tempo, piłam więc mniej, ale on raczej się nie oszczędzał. To, że nie piję równo z nim, zdawało się mu nie przeszkadzać. Przechylał kolejne kieliszki, tak jakby tylko na to czekał, tak jakby tylko po to przyszedł dziś do mnie.

– Masz ochotę na coś do zjedzenia? Kanapka, oliwki, cokolwiek? – zapytałam.

– Nie chcę.

– Może jednak? Albo coś słodkiego?

– Nie, kurwa, mówiłem ci już, że nie. En, i, e. Trzy proste litery, partykuła przecząca, zrozum to, do cholery.

Aleksander niezaprzeczalnie nie stanowił wzorca uroczego faceta, ale aż tak niegrzeczny nie był dla mnie nigdy. Czułam już, że z tym wieczorem jest coś mocno nie tak, że nie jest taki jak inne, poprzednie, ale mimo to nic mu nie powiedziałam. Cóż właściwie miałam mu powiedzieć? „Żeby stąd spieprzał, i to natychmiast” – słyszałam w głowie głos Hanki. Jednak dobrze wiedziałam, że nigdy mu tego nie powiem. Zbyt długo czekałam na jego powrót – teraz byłam gotowa zapłacić każdą cenę. I płaciłam – nawet seks był tej nocy inny niż dotychczas. Bolało bardziej niż powinno, a brutalność jego gestów była niepokojąco autentyczna. Zawsze lubiłam, kiedy był ostry w łóżku, ale tym razem to było coś innego. Coś zupełnie innego. Jego twarz przypominała maskę, oczy miał jak lód, a wargi napięte niczym struny. Nie odzywał się do mnie ani słowem, a spojrzenie miał nieobecne, obce, przerażające. Nasze ciała ociekały potem, a mimo to poczułam lodowate zimno. Zrozumiałam, że tym razem nie chodzi o rozkosz. Aleksander był wściekły. Nie wiedziałam właściwie, na co ani na kogo – na mnie, na siebie, na cały świat. A ja miałam być przedmiotem, na którym można tę wściekłość wyładować. Nasze gorące ciała kleiły się do siebie, skóra uderzała o skórę z głuchymi plaśnięciami, pot i sperma płynęły po mnie strużkami. Nie mogłam nawet złapać tchu. Kiedy skończył, zawinąwszy się w ręcznik, usiadł w swoim ulubionym fotelu. I natychmiast wrócił do picia. Nie powiedział nawet, że bym zapaliła papierosa, chociaż zawsze lubił na mnie patrzeć, kiedy palę.

– Wy, kobiety, wszystkie jesteście takie same. Zawsze są z wami tylko problemy. A jeśli coś pójdzie nie tak, oczekujecie nie wiadomo czego. – W jego słowach był kwas, jad i gorycz. Nie wiedziałam, o kim mówi. Raczej nie o mnie, może o Paulince i tajemniczych powodach ich kłótni? – Tylko wymagania, pretensje i oczekiwania. Ty też. – Wycelował we mnie palec. Wyglądało to bardzo oskarżycielsko. – Po prostu cię zerznąć to mało, chcesz jeszcze słów. Waluty, którą trzeba ci płacić za nocleg.

Nigdy sobie nie wyobrażałam, że może powiedzieć coś takiego. Płacić za nocleg? A więc tak to widział – płacił mi sfałszowaną walutą słów, by od czasu do czasu uniknąć samotności hotelowego pokoju albo nocnej jazdy trzęsącym się autobusem. Lodowate zimno, które poczułam przez chwilę

w łóżku, wcale nie odeszło. Wręcz przeciwnie, wbrew upałowi i duchocie nadciągało gdzieś z głębi brzucha coraz wyżej i wyżej, wspinało się wzdłuż kręgosłupa, kłując mnie swoimi ostrymi igiełkami.

Aleksander wstał – dość gwałtownie, przewrócił przy tym kieliszek, ale nawet go nie podniósł. Patrzył prosto na mnie, a jego oczy były jak dwie bryłki lodu. Bryłki lodu nietopiące się nawet w największym upale. W tym spojrzeniu była pogarda, było w nim okrucieństwo, ale też coś jeszcze. Coś, czego nie zdołałam dostrzec, zanim odwrócił się do mnie plecami. Musiałam wyjść, koniecznie, natychmiast oddalić się od niego, odejść choćby na chwilę. Wstałam, aby schować się w łazience, ale on nie przestawał mówić.

– Po twoim ostatnim występie nie miałem już ochoty oglądać cię nigdy więcej. Mała pijaczka, na szpilkach jak na szczudłach, z rozmazaną szminką i mętным wzrokiem. Pijaczka, która myśli, ile to niby może wypić.

To były słowa-sztylety, rany po takich nigdy się nie zblizniają. Uraza, poniżenie i złość mąciły mi umysł, ale byłam całkowicie świadoma, że Aleksander przekracza właśnie granicę, zza której nie ma już powrotu, i że sam doskonale o tym wie. Słowa znaczą, a przez swoje znaczenie tworzą rzeczywistość, nieodwracalnie i obiektywnie. Co się stało – nieważne, czynkiem czy słowem – stało się i już na zawsze jest dokonane.

– Nigdy więcej nie zamierzałem już przychodzić do ciebie, ale to wszystko było takie męczące. Przez tamtą idiotkę żona zrobiła mi awanturę, musiałem wracać do niej każdego dnia po pracy. Miałem już dość tej jazdy, tych autobusów, tych upiornych nocy. Tylko dlatego przyszedłem dziś tutaj. Wiedziałem, że trzeba będzie cię posunąć i dać ci choć parę słów, ale nie myślałem, że kiedykolwiek dawałem ci je z ochotą. Byłaś dla mnie najmniej męczącą opcją, po prostu, ale nigdy niczym więcej.

Powiedział to wszystko spokojnie, bez żadnych krzyków ani nawet bez drzenia głosu. Tak jakby lód z jego głębi mówił do mnie. Ten lód, który czasami widać było w jego oczach.

Cały czas stał tyłem, ostentacyjnie odwrócony, nie chciał nawet na mnie spojrzeć. Jego plecy zdawały się mówić: nie zasługujesz nawet na to, bym rozmawiał z tobą twarzą w twarz. Udawał, że ogląda kalendarz z Marilyn Monroe. Nagle tak bardzo się nim zainteresował, że ani na chwilę nie mógł od niego oderwać wzroku. To przecież takie ważne, by dokładnie obejrzeć piękną Marilyn. Osiągnął szczyt arogancji – nie chodziło już o nonszalancję, nawet nie o poniżenie, to było okrucieństwo w czystej postaci. Czułam, jak mdląca fala podchodzi mi do gardła, wściekłość zawęziła pole mojego widzenia do ciasnego korytarzyka, w którym były tylko jego plecy. Plecy i tył głowy. Duszno, mroczyki przed oczami, płytki oddech. W gardle czułam jeden wielki uścisk – coś dusiło mnie w środku, czułam, że za chwilę się tym udławię. Udławię się na śmierć, jeśli czegoś nie zrobię. Teraz, natychmiast, już.

Gdyby może odwrócił się do mnie, gdyby spojrzał, gdyby zawahał się choć na chwilę, sącząc te słowa pełne jadu... Ale nie zrobił tego, a w mojej głowie wszystko działo się w ciągu ułamków sekundy – przypomniałam sobie o misce – ciężkiej, kryształowej misce, która stoi tuż obok na komodzie. Moje ręce same do niej powędrowały. Miska, tył jego głowy – skojarzenia proste, szybkie i świetliste jak błyski flesza. Ani przez moment nie zastanowiłam się nad tym, co chcę zrobić, zupełnie jakby poszczególne części mojego ciała działały całkowicie niezależnie. Wystarczy wspiąć się na palce, unieść miskę oburącz do góry i uderzyć w tył jego głowy. To takie proste – błysk zrozumienia był jak epifania. Wezbrana fala płynęła przeze mnie, porywała ze sobą, unosiła. Zaraz utonę, uduszę się, umrę. „On nie jest cię wart” – te słowa pojawiły się nagle, znikąd, jak objawienie. Nie wiedziałam, gdzie ani od kogo je usłyszałam, ale rozbrzmiewały w mojej głowie z coraz większą siłą, nabierały mocy i treści, aż w końcu zrozumiałam z całkowitą jasnością, że tylko one są prawdą. „On nie jest cię wart”. I jeszcze mój własny głos. „Chciałabym, żeby zniknął. Żeby zniknął na zawsze”. Ręce z ciężką miską same powędrowały do góry. Zrozumiałam wtedy, że ze wszystkich świństw świata to było najgorsze, ale słowa

już padły, a rzeczy dokonały się.

Uderzenie było mocne i krótkie, włożyłam w nie całą swoją siłę, całą wściekłość, cały ból. Całą moją miłość. Nawet nie odwrócił głowy, nawet nie spojrział przez ramię, nawet nie zdążył unieść ręki w odruchowym geście obrony. Upadł prawie od razu, zdążył tylko zmieść szkło ze stołu – rozpaczliwy, nieporadny, ostatni ruch ręki, którym daremnie szukał ratunku. Kryształowa miska potłukła się na tysiąc kawałków – w każdym z nich światło lampy odbijało się pod innym kątem, na każdym krew rysowała inne wzory. Żadnego krzyku, żadnej zmiany w zwykłym porządku świata, w którym z podwórka dochodziły zwyczajne odgłosy, pies szczekał gdzieś w którymś z mieszkań, a radio grało jak gdyby nigdy nic. Wszystko było jak przedtem, tylko krew płynęła z głowy Aleksandra. Rana wyglądała jak krater, a jego lodowato niebieskie oczy były szeroko otwarte. Wydawały się patrzeć na mnie ze zdumieniem. Właśnie tak – ze zdumieniem, nie z wyrzutem. Dopiero ten widok przywrócił mi świadomość. Aleksander leżał na moim dywanie, nagi, w kałuży krwi i wśród rozbitego szkła. Nie byłam w stanie się poruszyć, wezbrane fale powoli zamieniały się w bezbrzeżny, mroczny ocean. Na wszystko było już za późno – na niewczesny krzyk, na łzy, na słowa, których mu nie powiedziałam. I nigdy już nie powiem. Na słowa, których jego język już nigdy nie wypowie dla mnie. Krew Aleksandra wciąż płynęła, choć on sam był niezaprzeczalnie martwy; kawałki kryształu upstrzonego czerwienią wyglądały jak potłuczony kalejdoskop. A Marilyn Monroe patrzyła na to wszystko ze ściany z absolutnie niezmiennym wyrazem swojej doskonałej twarzy.

*

Miała na sobie tylko szlafrok – cienki i lśniący; to musiał być jedwab albo satyna. Długie włosy w lekkim nieładzie, ręka przyciskająca materiał do piersi. Wyglądała inaczej bez tej swojej nieodłącznej czerwonej szminki; jej oczy wydawały się teraz jeszcze większe.

– Co pan tu robi?

– Mówiłem, że będę chciał jeszcze z panią porozmawiać.

Komisarz Kwarnicki wszedł do środka, nie czekając na zaproszenie. Gdyby grzecznie zapytał, czy może, na pewno by mu odmówiła.

– O tej porze?

Był wieczór, ale znowu nie aż tak późny. Kwarnicki nie wiedział dokładnie, która jest godzina, wiedział tylko, że nie liczył czasu, pijąc szoty w jednym z barów na Placu Trzech Knajp. Po prostu musiał – inaczej nie dałby rady przyjść do niej. A może wcale nie zamierzał przychodzić? Może wpadł na ten pomysł dopiero przy którymś kieliszku? Liczył się z tym, że nowy kochanek mógł już się u niej zadomowić; a jednak była sama.

Pokój urządzony brązowymi meblami w starym stylu, eleganckie zasłony, modny wzór na dywanie, który wyglądał na całkiem nowy. Miała włączony telewizor; Kanał Szósty rzecz jasna. „Przegląd Dnia” z nowym prowadzącym. Kwarnicki tylko rzucił okiem na ekran; jego wzrok powędrował do komody – dużej, ciężkiej komody z wielkim lustrem powyżej. Stały na niej świece, w tej chwili niezapalone i bezużyteczne. Szklanka z niedopitym drinkiem, rozłożona książka okładką do góry, rozsypane wsuwki do włosów.

– To tu cię posuwał, co?

– Nie twoja sprawa. – Skrzyżowała ręce na piersiach, bardzo ciasno. Bez szpilek była od niego niższa o dobre dwadzieścia centymetrów. „Chciałbym zlizywać z Ciebie wilgoć, patrzeć na Twoje bardzo spragnione i mocno rozchylone wargi, ssać Cię i lizać”. „Zleję Ci tyłek z wycuciem, ale ekscytująco”. „Robisz się wilgotna, myśląc o mnie?” Choć nigdy się ich nie uczył, Kwarnicki znał te esemesy na pamięć.

– A może moja?

– Przychodzisz do mnie sam, pijany, późnym wieczorem. Czego właściwie chcesz?

Była spokojna, bardzo spokojna, tak jakby już rozpoznała, z kim ma do czynienia. Wcale nie z policjantem na służbie, tylko po prostu z napalonym facetem. A w radzeniu sobie z takimi musiała mieć niezły trening. Jednak akurat ten napalony facet potrafił ją zaskoczyć.

– A może Antuchowicza wcale nie było u ciebie tamtej nocy? Wygodnie się składa, że w tej okolicy nie ma zbyt wielu kamer. Siedział jak kretyn w samochodzie pod twoim domem, czekając, aż tamten skończy cię pieprzyć. A później skłamał dla ciebie.

Sam nie wiedział, skąd nagle przyszło mu to do głowy. Nic nie potwierdzało takiego scenariusza, ale on dostrzegł go z całą jasnością. A może jednak coś mu go przesłaniało? Może to były jej oczy, które przestały być brązowe i stały się czarne. Zupełnie czarne.

– Mogło tak być, prawda? Gdyby tak było, ciekawe, co byś mu za to dała?

Doskonale wiedział co i to go bolało, ale mimo wszystko chciał usłyszeć to od niej. Perwersyjna przyjemność, bezpodstawna zazdrość, zupełnie niepotrzebna historia.

– Sprawa Rawskiego jest zakończona. – Jej głos brzmiał matowo, ale wciąż pewnie.

– Powiedzmy, że jest zakończona. Ale może to wcale nie ona go zabiła? Może to ty?

Spodziewał się, że zarzuci go stekiem zaprzeczeń. Oczekiwał, że zacznie się oburzać i wyprowadzać go z błędu. W nieco śmielszych marzeniach miał nadzieję, że będzie go błagać, by tak nie mówił. Spodziewał się wszystkiego, tylko nie tego, co zrobiła.

– Czy ktoś wie, że tu jesteś?

Odwróciła na chwilę wzrok od jego twarzy, aby zerknąć na dół, na komodę. Jakby rozglądała się za czymś, szukała czegoś, co powinno być pod ręką.

– Nie. – To było niemożliwe. A jednak. – Ale mam ze sobą telefon. Nie pójdzie ci tak łatwo.

Przysunął swoją twarz do jej twarzy; nieprzyzwoicie blisko, tak blisko, że widział każdy odcień brązu jej pociemniałych tęczywek, każdy wymiar głębi jej źrenic i każde załamane nieco rozmazanej czarnej kreski wokół linii rzęs.

– Nie wiem, o czym mówisz. I nie wiem, czego ode mnie chcesz. Za to ty wiesz, że nie masz nic na mnie. Wynoś się stąd.

Nie odsunęła głowy ani na milimetr, nie odwróciła wzroku, tylko jej usta się poruszały, kiedy to mówiła. Zrozumiał, że musiała poczuć, ile wypił. Zrozumiał, że ona ma rację. I zrozumiał też, że te wszystkie świństwa świata, które widział w jej oczach, nie były – i nigdy nie będą – dla niego. Może to i lepiej, pomyślał, zatraskując za sobą drzwi mieszkania Joanny Madeckiej.

*

Było mi ciężko, tak bardzo ciężko. Nie wiedziałam, ile ważył, ale nie mogłam go nawet podnieść. Nie od razu spróbowałam. Czulałam, że najpierw muszę zapalić, ale nawet z papierosem nie szło łatwo. Płomień zapalniczki jakoś nie chciał trafić w papierosa, albo na odwrót. Nigdy w życiu aż tak nie trzęsły mi się ręce, nie wiedziałam nawet, że to możliwe. Kiedy wreszcie udało mi się zapalić, było lepiej. Od razu lepiej. Dym wyciszał mnie swoją trucizną: spokojnie, zbierz myśli, dasz radę. Wyraźnie słyszałam, jak mówi do mnie. Mówi zamiast Aleksandra. Wciąż było cicho, tak cicho i spokojnie jak na północ w starej kamienicy przystało. Tylko grzmoty toczyły się gdzieś tam za oknem. I nie było już duszno – deszcz wreszcie spadł, było czym oddychać, burza nadeszła. Może właśnie wtedy, kiedy udało mi się trafić płomieniem zapalniczki w końcówkę papierosa? A może wcześniej? Może wtedy, gdy go zabiłam? Wiatr wydał firankę w moim oknie. Już po wszystkim, już koniec, napięcie minęło. Miałam całą noc przed sobą, miałam dużo czasu. Byłam tylko ja, dym z mojego papierosa i ciało Aleksandra na dywanie. Ciało, którego nie powinno tu być i którego tu nie będzie. Wiedziałam już, co muszę zrobić.

Patrzył na mnie, kiedy pochylałam się nad nim. Wsunęłam dłoń pod jego ramiona, dotknęłam

pleców mokrych od potu. I zatrzymałam się. Instynkt, nawyk, przyzwyczajenie – czekałam, aż mnie obejmie. Pół sekundy zawahania, moment znieruchomienia, chwila oczekiwania na jego dotyk. Tak jakby naprawdę mógł mnie jeszcze objąć rękoma, które stawały się coraz chłodniejsze. Wiedziałam, że nie mogę płakać – to nie był czas na łzy, to był czas na działanie. Był cięższy, niż myślałam, nie udało mi się go podnieść. Krew wypływająca z rany na jego głowie zabarwiła dywan na czerwono, brunatnie, złowrogo. Plama – niezbyt ogromna, ale jednak. Trudno będzie ją doprać. A może w ogóle nie będę jej prać? Może to dobry czas, by kupić nowy dywan? Nowy, modniejszy, bez najmniejszych śladów Aleksandra. Wiedziałam już, co robić. Aleksander leżał na dywanie, wystarczyło podnieść dwa boki. Stary sposób działał – pakunek przemieszczał się gładko, sunąc po podłodze. Wystarczyło tylko ciągnąć i docenić fakt, że w mieszkaniu nie ma progów. Łazienka, chłodna powierzchnia wykafelkowanej podłogi pod moimi bosymi stopami, wanna. Tylko jak go tam umieścić? Wystawiłam szklane półki z kosmetykami, schowałam dywanik, zdjęłam zasłonkę prysznicową – im mniej zbędnych rzeczy, tym lepiej. Zwijając zasłonkę z motywem krwawych odcisków rąk, pomyślałam o tamtym koszmarnym wieczorze w lipcu i o tym, jak Aleksander był wtedy nieczuły. Ciekawe, czy gdybyś wiedział, jak to się skończy, to potrafiłbyś coś naprawić? Coś zmienić? Dać z siebie choć trochę? Ta myśl wracała do mnie rytmicznie i miarowo jak deszcz za oknem. Ciekawe, czy byłbyś inny? Tak bardzo mi żal, że już nigdy się nie dowiem.

Fugi, najbardziej niebezpieczne są fugi, w które krew wżera się najłatwiej – usłyszałam w głowie echa setek mniej lub bardziej bzdurnych kryminałów, które przeczytałam w życiu. Może godziny strawione na opisach zbrodni rzekomo doskonałych wcale nie były stracone? Przyniosłam z kuchni folię aluminiową, dużo folii aluminiowej i małą tubkę super glue. Zawsze narzekałam na małą wannę; teraz byłam zadowolona, kiedy tak szybko wyłożyłam ją folią. Jej srebrzysta, lśniąca powierzchnia sprawnie przyklejała się do kafelków na ścianie, zakrywała białe szpary fug, przeobrażała moją łazienkę w jakąś futurystyczną instalację. Pozostało mi najtrudniejsze – najpierw górna część jego ciała i maksymalny wysiłek moich rąk, później pomoc obu moich kolan i jego nogi również już w środku. Niemal krzyknęłam z wysiłku, nim Aleksander wreszcie znalazł się w wannie. To było odrażające, podłe i straszne, ale było też paradoksalne – nigdy dotąd nie traktowałam go tak źle. I nie czyniłabym tego nadal, gdybym tylko miała jakikolwiek wybór.

Nie miałam go nawet w kwestii noża – tylko jeden się nadawał; ostry, duży nóż do mięsa, którego nigdy nie kupiłabym sobie sama. „Prezent na nowe mieszkanie” – powiedział Petyś, wręczając mi go z czerwoną kokardką na rękojeści. To było dwa lata temu, ale dotąd jakoś nie miałam okazji go użyć. Nóż był dobry – przeciął tętnice udowe w pachwinach Aleksandra gładko, szybko i miękko. Krew płynęła powoli, leniwie, niespiesznym strumieniem. Jak smuga dymu z ust Aleksandra, w czasach gdy jeszcze palił inaczej niż ukradkiem, gdy się nie znaliśmy i gdy patrzyłam na niego z daleka przez szklaną ścianę firmowej palarni. Gdy jeszcze wszystko mogło być inaczej. Tak jak wtedy – żadnego pośpiechu, żadnego ciśnienia. Krew Aleksandra nie mogła tryskać jak fontanna, bo jego serce już nie pracowało. Nie tłoczyło krwi, nie biło w rytm skurczów, już było martwe. A może nie już? Może takie właśnie było od początku?

Krew oczywiście nie wypłynęła z niego wszystka, ale i tak było jej całkiem sporo. Bez niej Aleksander zwiotczał, zbladł, skurczył się. Tak jakby dopiero wraz z nią na zawsze i nieodwołalnie wypłynęło z niego życie. Żadnego ruchu już nie można było cofnąć, nikogo uratować, niczego ocalić. Wszystko było stracone i wszystko było bólem – opętającym bólem szaleńca, z którym zrobiłam pierwsze cięcie. Ceramiczne ostrze ze zgrzytem ześlizgnęło się z kości. Musiałam próbować aż do skutku, a burzowa letnia noc miała być najdłuższą w roku.

Aleksander podzielony na sześć, moje spocone czoło i obolałe ręce. Musiałam go umyć, każdą część z osobna i dokładnie, a ręce najstaranniej. Nie miał obrączki; nigdy jej nie nosił. Teraz jego palce

wydawały się obce, trudno było uwierzyć, że kiedyś mnie nimi dotykał. Trudno było uwierzyć, że trzymał je kiedyś w środku mnie, że wkładał mi je do ust, że nimi przytrzymywał mnie za włosy. Teraz były czymś zupełnie obcym, nowym, nieznanym. To wszystko było jak film, jak jakiś tandetny horror, w którym ktoś obsadził mnie przez pomyłkę. „Nie jestem aktorką, nie potrafię grać” – mówiłam, ale i tak kazali mi wystąpić we wszystkich scenach. Bez dublera i z zaskakująco prawdziwymi obiektami z upiornego rekwizytorium.

Mycie i ubieranie nieboszczyka – stary i uświęcony rytuał, ostatnia posługa kiedyś będąca darem od bliskich, teraz po prostu płatną usługą zakładu pogrzebowego. Zwyczajowi stało się zadość i w tym przypadku – choć tak straszliwie pogwałciłam integralność ciała, umyłam je, wyszorowałam paznokcie szczoteczką, usunęłam każdy pyłek i każdy okruch kryształowej miski z rany na głowie. W rękawiczkach, w których – z troski o manikiur – zawsze zmywałam naczynia; teraz przydały się bardziej niż kiedykolwiek. Dotyk jego skóry przez gładki lateks był inny niż zwykle, nie był tym, do czego przywykłam. Usta, węzły jego mięśni na ramionach, wystające kości policzków pod palcami obciągniętymi śliską powierzchnią nie były już tym kształtem, który moje opuszki znały na pamięć. Właściwie to już prawie nie był on. Nawet lód z jego oczu gdzieś zniknął – może wreszcie roztopił się na zawsze i wypłynął z niego wraz z krwią? Nie zamknęłam mu oczu, pozwoliłam, by patrzył na mnie, a jego oczy pozbawione ostrości spojrzenia wyrażały już tylko martwe zdziwienie.

Nie chciałam więcej patrzeć na te kawałki, które kiedyś były Aleksandrem. Nie miałam wiele czasu, zanim zetnie je wieczny lód stężenia pośmiertnego. Nogi ugięte w kolanach, ręce w łokciach. I wielkie poszukiwania w kuchennych szufladach – potrzebowałam reklamówek, solidnych, wytrzymałych reklamówek z różnych sklepów i z różnymi nadrukami, jak największych, takich, w które pakują płaszczyki, kozaki albo szczególnie duże zakupy, a których z powodu jakichś atawistycznych instynktów zbierackich nigdy nie wyrzucamy. Wszystkie trzeba było porządnie wytrzeć ściereczkami – którąś z nich mogłam przecież kiedyś trzymać w rękach na tyle długo, by odbiły się na niej odciski moich palców. Tak mi przykro, kochanie, że skończysz w torbach foliowych, tak mi przykro, że muszę Cię wyrzucić. Ale nie rozstanę się z Tobą całym od razu; zrobimy to stopniowo, po kawałeczku, dyskretnie. Poza tym coś z Ciebie zostanie ze mną na zawsze – niezależnie jak bardzo było to ryzykowne, nie mogłam nie zostawić sobie czegoś na pamiątkę. Odcinanie poszło łatwo. Twój język w mojej dłoni był miękki, sprężysty, przyjemny w dotyku. Specjalnie zdjęłam rękawiczkę, by poczuć na skórze jego śliską gładkość, jego spiczastą końcówkę. Wtedy, kiedy przesuwał się po mojej skórze albo zgrabnie obracał we mnie, był ruchliwy i gorący. Wtedy, kiedy mówiłeś do mnie, był użyteczny i spełniony. Wtedy, kiedy nie układał się w słowa, których chciałam, był nieruchomy i uparty. Obiekt mojego pożądania i winny moich zawiedzionych nadziei. Narzędzie niezawodne i zawsze posłuszne Twojej woli. A teraz bezużyteczne i już tylko moje.

Z gorliwym pośpiechem wyrzuciłam z lodówki całą jej zawartość – część do kosza, część na balkon, a wódkę po prostu będę piła ciepłą. Potrzebowałam miejsca w lodówce, na tyle dużo, że musiałam zdemontować i wyjąć wszystkie półki. Dopiero wtedy zmieścił mi się tam jego korpus, ręka i głowa. Uznałam, że to one będą ze mną najdłużej. Oprócz tego, co pozostanie na zawsze.

Dochodziła czwarta, kiedy założyłam nową, świeżą parę lateksowych rękawiczek. Zmęczona, musiałam usiąść na chwilę. Deszcz przestał padać; nie wiedziałam tylko, jak dawno temu. Przez okno wpadało powietrze doskonałe, orzeźwiające i czyste – jak to po burzy. Wciąż jeszcze było ciemno, ale nieśmiała zapowiedź świtu zaczynała majaczyć gdzieś na horyzoncie. Już niedługo ruszy poranna procedura wywozu śmieci – piątek był dniem, w którym wielka śmieciarka ze swoim charakterystycznym wizgiem odwiedzała podwórze kamienicy, w której mieszkałam. Miałam jeszcze chwilę, ale mój dywan koniecznie musiał znaleźć się w kontenerze przed przybyciem śmieciarzy. I co ważniejsze, musiał zostać

przez nich jak najszybciej zabrany – tak, by zniknął bez śladu najpierw w gardzieli śmieciarki, później w sortowni, a na końcu w zakładzie utylizacji. Na całą Warszawę było ich ledwie kilka; nawet jeśli jakiś wyjątkowo gorliwy pracownik zwróci uwagę na dziwne plamy, nie da się już odtworzyć drogi wyrzuconego dywanu. Zresztą nikt nie powinien mieć żadnych wątpliwości – zaschnięte fusy z kawy, którą chlusiłam na dywan, zgrabnie przykryły krew, a przecież plamy z kawy zdarzają się całkiem często. Podobnie jak potłuczone miski – wymyłam starannie wszystkie odłamki i naszykowałam do wyrzucenia wśród zwykłych odpadków domowych. Też powinny znaleźć się jak najdalej stąd – im szybciej, tym lepiej.

Musiałam się jeszcze zająć ubraniem, butami, kilkoma rzeczami osobistymi – były to pamiątki po Aleksandrze, które w odróżnieniu od tamtej jedynej nie mogły zostać ze mną. Dziwne zdawało się dotykanie jego ubrań, takich samotnych, porzuconych, pustych bez wypełniających je kształtów jego ciała. Pomyślałam o sztuczkach iluzjonistów – coś było, zostało przykryte płachtą, rzekoma magia zadziałała i przedmiot zniknął. A płachta po prostu opada na podłogę – jednocześnie bezużyteczna i będąca namacalnym dowodem zniknięcia.

Garnitur Aleksandra był znakomitej jakości – jedwab za co najmniej kilka tysięcy, aż nie chciało mi się wierzyć, że to służbowy ekwipunek z garderoby naszej stacji. Za to krawat na pewno stamtąd właśnie pochodził – dotykem syntetycznej mieszanki bardzo przypominał te dwa krawaty, które Aleksander kiedyś zostawił u mnie. Dobrze, że przypominałam sobie o nich na czas, i tak już przecież po nie nie wróci. Nigdy już nie wróci. Ta myśl bolała jak cios, jak zawód, jak odrzucenie. Bolała jak coś nieodwracalnego, przez co trzeba będzie przejść. Samej i do końca.

Sprawdziłam starannie wszystkie kieszenie: portfel ze wszystkimi dokumentami, bilet na autobus, który dawno już odjechał, karta magnetyczna upoważniająca do wstępu na teren telewizji. I jeszcze coś – w wewnętrznej kieszeni marynarki wyczułam charakterystyczne zgrubienie. Nieodłączny długopis Aleksandra, jego ulubiona zabawka, bez której nigdy nie wchodził na wizję. Po raz pierwszy obejrzałam go z bliska – długopis okazał się piórem. Eleganckim, granatowym piórem ze złotą stalówką; jednym z tych, które ma się bardziej dla podkreślenia statusu niż po to, by nimi pisać. Visconti – kunsztowna, włoska robota, delikatne zdobienia, odpowiedni ciężar w dłoni. I może też odpowiedni ciężar dowodowy? To przyszło do mnie nagle, znikąd, jakby samo pióro Aleksandra odpowiedziało mi ten pomysł. Cały czas byłam w rękawiczkach i choć obejrzałam je dokładnie, nie zostawiłam na nim odcisków palców. Natomiast śladów Aleksandra musiało być na nim mnóstwo – przecież jeszcze kilka godzin temu trzymał je w palcach podczas programu. Bardzo delikatnie zwinęłam piękne pióro Aleksandra w torebkę foliową; przyda mi się, i to bardzo.

Reszty natomiast należało się pozbyć jak najszybciej – całe jego ubranie zebrałam do jednej torby: oprócz garnituru i trzech krawatów, jeszcze koszulę, buty i bieliznę ograniczoną do skarpetek. Przypominałam sobie te wszystkie chwile, kiedy rozbierał się przy mnie – nigdy nie nosił majtek. Niewykorzystany bilet autobusowy i kartę pracowniczą włożyłam do portfela, niech spoczywają razem z kartami kredytowymi i dowodem osobistym. Był jeszcze zegarek – niewytłumaczalnym męskim przyzwyczajeniem Aleksander zawsze zdejmował go przed seksem. Na moim stole leżała więc solidna, masywna omega; jedna z tych starszych, ale na pewno drogich. Stalowy cyferblat, fluorescencyjne wskazówki, kilka wystających pokręteł, które mają sugerować, że właściciel korzysta z jakichś bardziej wyrafinowanych funkcji niż zwykłe odmierzanie czasu. Niestety, akurat temu właścicielowi nie został już żaden czas, który można by odmierzyć. Teraz kolej kogoś innego, pomyślałam, dokładając zegarek do paczki.

Daruj, że nie ubiorę Cię do trumny, ale Twoja elegancka odzież nie pójdzie na marne. Posłuży komuś, kto będzie miał z niej pożytek. A może i niespotykaną radość – nie sądziłam bowiem, by takiego gatunku

rzeczy często trafiały się w kontenerach PCK. Jednak trochę było mi szkoda – przypomniałam sobie, jak dobrze wyglądała na Aleksandrze biała koszula z porządnej, grubej bawełny. Delikatny, ledwie widoczny prążek, czarna, kontrastowa lamówka po wewnętrznej stronie kołnierzyka, drobne guziki. Przez moment postać Aleksandra mignęła mi w lustrze – na wpół ubrany, w rozpiętej koszuli, jak wchodził we mnie opartą o komodę. Lubił ten widok, lubił brać mnie od tyłu i patrzeć na nasze twarze zniekształcone rozkoszą i odbite w lustrze. Przepraszam – powiedziałam do niego, zanim zniknął. Czas było iść.

*

– Panowie. Na początek chciałbym wam pogratulować. Bardzo serdecznie. To był kawał dobrej roboty.

Zespół podinspektora Piątka ledwie mieścił się w gabinecie komendanta. Sam Piątek wyglądał przez okno, w swojej nieodłącznej skórzanej kurtce, z nieruchomą twarzą.

– Wiadomo, że to nie jest to samo, kiedy można sprawcę wsadzić za kratki, ale chcę powiedzieć to jasno: i tak mamy sukces. Duży sukces. Po tygodniu udało się nam – zaimek niepostrzeżenie zmienił formę na bardziej wspólnotową – wykryć sprawcę tej absolutnie ohydnej, superspektakularnej zbrodni.

Kwarnicki był autentycznie ciekaw, skąd on bierze takie sformułowania. Chyba musiał się naoglądać zbyt wielu serwisów informacyjnych. Oni tam lubią takie określenia, właściwie są już w tym lepsi niż tabloidy. Kątem oka zerknął na ekran włączonego telewizora – Kanał Szósty wrzeszczał nagłówkiem „Morderczyni nie żyje – sprawiedliwość, która i tak się dokonała?”. Ciekawe, czy to jej palce to wystukały. Szczupłe, długie palce o czerwonych paznokciach.

– Jak wszyscy wiemy, wykrycie sprawcy w sytuacji, gdy nie ma właściwie żadnych śladów i gdy nie mamy dostępu do miejsca zbrodni, jest praktycznie niemożliwe. Podstawowa zasada kryminalistyki, panowie: najważniejsze są dowody zabezpieczone w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od zbrodni.

Złote myśli po fakcie, tak najłatwiej – Walczak nawet nie wiedział, kiedy stał się zgryźliwy. Szkoda, że komendant nie był łaskaw serwować im porad w czasie, gdy śledztwo jeszcze trwało.

– Tymczasem my – ta inkluzywne forma na określenie autorów sukcesu już się zadomowiła w języku szefa – nie wiedzieliśmy nawet, gdzie zbrodnia się dokonała.

Tego akurat do dziś nie wiemy – Piątek miał ochotę przerwać ten przydługi wywód.

– Ale mimo to, mimo sytuacji pod względem śladów, pozwolę sobie na to określenie, prawie beznadziejnej, udało się nam. Udało się i zapewniam, że nie zostanie to zapomniane przy przyszłorocznych wnioskach o awanse. Ani przy rozdiale premii.

Nieśmiały pomruk aprobaty, jakieś westchnienie zadowolenia, delikatny uśmiech.

– Rzecz jasna, sprawa nie do końca znalazła właściwy finał, którym byłby oczywiście akt oskarżenia, proces i dożywocie. Nie znaleźliśmy też brakującego elementu denata, ale cóż... w tej sytuacji to rozumiacie, morderczyni już nam nie powie, co z nim zrobiła. Mimo tych drobiazgów sprawa bezwzględnie zostaje uznana za rozwiązana. A to pozwala nam utrzymać poziom wykrywalności w naszej komendzie na znakomitym poziomie dziewięćdziesięciu sześciu przecinek trzech procent. Tak trzymać, panowie.

Przemowa gratulacyjna dobiegła końca, komendant wyglądał tak, jakby sam czekał na oklaski. Jeszcze tylko drobne pytanie.

– Andrzej, jak się nazywa ten dziennikarz z Kanału Szóstego, który robił o was reportaż?

– Łukasz Branik.

– Tak, właśnie. „Wykryty, nieujęty”. Tytuł mógłby sugerować jakieś niedbalstwo z naszej strony, ale byłem na kolaudacji i muszę wam powiedzieć, że naprawdę jestem pod wrażeniem. Kanał Szósty, jak wiadomo, też nie miał tu czystej sytuacji, ale udało im się wybrnąć.

Wybrnąć to mało powiedziane – majstersztyk Anny Ślęzak przybliżył ją chyba o kilka długości do

fotela dyrektorskiego. Nie dość, że jej stacja poinformowała jako pierwsza o wykryciu sprawcy, to jeszcze potrafiła rozdmuchać to na tyle ładnie, że słupki oglądalności wystrzeliły w górę jak race. Nie uderzając przy tym w dobre imię firmy. Żadnych przypadkowych informacji, żadnych niesmacznych szczegółów, niczego, co mogłoby zaprezentować stację w złym świetle. Tylko zrobiony w rekordowym tempie reportaż o zabójczej sile chorej miłości i o demoralizacji młodego pokolenia. Nieodwzajemniona miłość zagubionej dziewczyny do znanego dziennikarza, narkotykowy amok, straszliwa zbrodnia. Czyli wszystko to, co widownia lubi najbardziej. Na wyłączność, tylko w Kanale Szóstym, exclusive. Jakoś tak się złożyło, że w reportażu nie wspomniano o innych kochankach prezentera i pominięto dowód na konsumpcję jego związku z młodą współpracownicą. Ostatecznie przecież nie wiadomo, z kim była w ciąży, a poważny dziennikarz, gwiazda stacji, musiał pozostać ofiarą. Całkowicie niewinną ofiarą. Nie bez znaczenia dla sukcesu Kanału Szóstego był też zupełnie przypadkowy fakt, że funkcjonariusze mniej chętnie opowiadali o sprawie w innych stacjach, a w głośnym dokumencie Branika podkreślono wyjątkowy profesjonalizm policji i jej szybkie działania. Rozgłos, zagwarantowane miejsce w pitawalach, gratulacje płynące szerokim strumieniem. Jednym słowem: rewelacja.

– Jest z nami nadkomisarz Jasiewicz, który właśnie wrócił ze Stanów, z Kalifornii. Szkolił się tam między innymi w temacie ścigania najgroźniejszych przestępców.

Kwaśna mina komendanta dała im jasno do zrozumienia, że szkolił się wówczas, gdy akurat nie leżał pod palmą na złotym piasku. Zresztą dobitnie świadczyła o tym jego piękna opalenizna.

– Chciałem tylko pogratulować. I powiedzieć, że żałuję, że nie mogłem pracować z wami. – Błysk w oku, amerykański luz, uroda gwiazdora filmowego. Nie wyglądał na szczególnie zrozpaczonego. – Przejrzałem akta i wiem, że sprawa była naprawdę złożona. Ale sprawca tylko jeden. I wy go znaleźliście.

Wiedzieli przecież, że nie wszystkie tropy sprawdzili jak należy. Że zlekceważyli pewne wątpliwości, że nie podrażyli tam, gdzie być może – mimo trudności – powinni byli. Ale akurat lalusz, który przyjechał na gotowe, był ostatnią osobą, która miała prawo im o tym przypominać, choćby nieświadomie. Pogardliwe prychnięcie, które dobiegło gdzieś z tyłu, było ledwo słyszalne, ale trafnie wyrażało, ile warte były wyrazy jego uznania. Ameryka, myślałby kto.

– Tak że to tyle, panowie. Jeszcze raz dziękuję. – Komendant pewnie spieszył się na inne spotkanie.

Szuranie odsuwanych krzeseł, tłumione pokasywania, kroki siedmiu mężczyzn kierujące się ku drzwiom. Tylko nadkomisarz z Ameryki i Piątek nie ruszyli się ze swoich miejsc. Ten ostatni skinął głową komendantowi; jego głos nie brzmiał już tak entuzjastycznie jak jeszcze przed chwilą.

– Komisarzu Kwarnicki, chciałbym pana zatrzymać na moment.

– Tak, panie komendancie?

Szybka kalkulacja niesubordynacji i małych odstępstw od regulaminu, błyskawiczny przegląd rozmów, które odbył w ostatnim czasie, przyspieszony rachunek sumienia.

– Panie Kwarnicki – w zawężonym gronie słuchaczy, a więc bez stopnia służbowego. – Słyszałem, że nachodzi pan jakąś kobietę... I po co to?

Zaskoczenie na jego twarzy pojawiło się jako idealna korespondencja z napisem na bluzie. Dziś znów miał tę, która głosiła „Shame on you”.

– Sprawa rozwiązana, wszystko zamknięte, nie ma już o czym mówić, a pan się naprzykrza. Dziewczyna poskarżyła się na pana, oficjalne pismo, problemy. Pytam: po co to panu? Nietrzeźwy, po służbie, jakieś pogróżki.

Kwarnicki nie wiedział, jak śmieje się Joanna Madecka; nigdy nie miał przyjemności słuchać jej śmiechu. Ale teraz usłyszał go wyraźnie. Tak jakby stała tuż przy nim i zanosząc się chichotem, mrużyła oczy w kolorze gorzkiej czekolady.

– Ja... przepraszam. To się więcej nie powtórzy.

– Mam nadzieję, Kwarnicki, mam nadzieję. O tej skardze zapomnimy, rzecz jasna. Ale proszę, niech się pan pilnuje.

– Szkoda by było. – Piątek dorzucił swoje trzy grosze. – Szkoda by było teraz, po takiej ładnej sprawie, zepsuć sobie szanse na awans.

– Jasne. – Kwarnicki kiwnął głową. Ręce miał chłodne, mokre i zwinięte w pięści, z czego dotąd nie zdawał sobie sprawy.

– Komisarzu! – Jasiewicz zawołał go głosem zaskakująco przyjemnym. Głosem, jakim czyni się wyznania albo powierza sekrety. – Niech pan da sobie spokój. To nie ona.

Kwarnicki nie mógł się powstrzymać; słowa były szybsze od kalkulacji, czy powinien je wypowiedzieć:

– Skąd ta pewność?

Obaj doskonale wiedzieli, o kim mówią; to było dla nich obu jasne jak słońce jednego z pierwszych dni września, które świeciło za oknem.

– To proste. Ona jest na to za głupia.

Uśmiech krzywy i szyderczy zniekształcił regularne rysy klasycznej twarzy z kalifornijską opalenizną. W ręce trzymał wyciągnięte z akt sprawy zdjęcie Madeckiej. Zdjęcie operacyjne, zrobione gdzieś po kryjomu, na ulicy. Miała na nim sukienkę w kolorze czerwonego wina i patrzyła w obiektyw, jakby wiedziała, kto jest po drugiej stronie. I na co ten ktoś ma ochotę.

– To idiotka.

Kwarnicki raz jeszcze kiwnął głową, zanim odwrócił się i wyszedł. Z dłońmi wciąż zaciśniętymi, ze zbielakami knykiami. Wychodząc, nie zauważył, jak Jasiewicz starannym, wyważonym ruchem przedziera zdjęcie na pół. Przez sam środek twarzy.

*

Wyszłam z domu bocznym wyjściem – tym schowanym i niewidocznym, tym, którym wychodząc po naszej pierwszej wspólnej nocy, zupełnym przypadkiem zmyliłam Aleksandra. Kiedyś, dawno temu. „Gdzie ty, kurwa, jesteś?!” – przypominałam sobie, jak wielkie miał wtedy do mnie pretensje. Złe wspomnienia, orzeźwiający spacer. Zawsze lubiłam moją dzielnicę nocą. Śródmieście za swój tłok i hałas oferowało coś bardzo cennego – poczucie bezpieczeństwa. Nigdy nie bałam się samotnych spacerów ani nocnych powrotów. Wszyscy groźni mordercy zdawali się chadzać innymi ścieżkami; a może wcale nie byli tacy groźni?

Po burzy nieco się ochłodziło, ale zapowiadał się kolejny upalny dzień. Jeden z tych pięknych prezentów na smutny koniec lata. Miałam na sobie czerwoną sukienkę – tę samą, w której świętowałam wczoraj urodziny, i czarną skórzaną kurtkę, którą narzuciłam na siebie przed wyjściem. Nie sądziłam, by kiedykolwiek ktoś miał oglądać nagrania z monitoringu miejskiego, niemniej nie mogłam udawać, że w sercu Śródmieścia nie ma kamer. Ale cóż jest niewłaściwego o wpół do piątej rano w widoku idącej lekko rozchwianym krokiem dziewczyny w efektownej sukience? Dziewczyna miała akurat urodziny, dostała nietrafiony prezent i na fali imprezowego pobudzenia idzie się go pozbyć. Może wypła zbyt dużo, może cierpi na bezsenność, a może pokłóciła się z darczyńcą i chce mu zrobić na złość. Nic podejrzanego, nic, z czego nie można by się wytłumaczyć. O ile w ogóle trzeba by to robić.

Ulica była pusta o tej porze, zaskoczył mnie tylko widok znajomego samochodu tuż przed moim domem. Charakterystyczna czarna terenówka z wyraźnymi śladami częstej jazdy po lasach, wąwozach i wykrotach. Ostatni raz widziałam ją dziś po pracy na parkingu przed firmą. Poznałam ją – to był samochód Piotra. Ciekawe, co jego właściciel robił pod moim domem o tej porze? Czyżby ulegał wysokoprocentowym pokusom barów na Placu Trzech Knajp? Nie było czasu na zastanawianie się.

Kontener na odzież stał na mikroskopijnym trawniczku na rogu dwóch śródmiejskich ulic – samo serce uspionego miasta, widok na landrynkowe neony i ogromną reklamę zakrywającą front wielkiego sklepu z zabawkami. Obok tylko martwe okna przychodni, naprzeciwko zamarłe witryny sklepów, nędznego bistro i – jakżeby inaczej – dumnych siedzib banków. Pusto, cicho, nikogo. Jakiś samochód przejechał ulicą; kierowca nie zawracał sobie głowy zatrzymaniem się na skrzyżowaniu, bo sygnalizacja świetlna wciąż jeszcze połyskiwała wiecznym pomarańczem w ramach systemu nocnych oszczędności. Błogosławione niech będą kontenery PCK, gdziekolwiek trafia ich zawartość. Wystarczyło położyć paczkę na specjalnej dźwigni, pociągnąć za rączkę i już – dobroczynność stała się faktem, a ubranie Aleksandra Rawskiego zniknęło bez śladu. Ciekawe tylko, jaką minę będzie miał ten, do kogo trafi jego jedwabny garnitur i cenny zegarek. Oby się ucieszył. Ktoś przecież na tym świecie powinien się śmiać.

Stalowe przesła na kamiennych filarach, baszty, które bardziej pasowałyby do samotnego zamku niż do centrum miasta, ławki pamiętające argumenty prezydenta wobec dyktatorskich zapędów marszałka. Most Poniatowskiego – najpiękniejsza przeprawa Warszawy, dostojny dziewięćdziesięciodziewięciolatek w oczekiwaniu na jubileusz. Majestatyczny, wytworny, przez środek przecięty torami tramwajowymi. Przyszłam od strony Śródmieścia – mały, nadbranny spacer na Pragę po moście pustym i zupełnie opuszczonym. Tak jakby wszyscy chcieli tylko przez niego przemknąć, byle szybko, byle na drugą stronę. Wprawdzie na środku mostu znajdował się przystanek, ale nie zdarzyło mi się widzieć, by ktokolwiek kiedyś na nim wysiadł. Jeśli już, to na pewno nie o wpół do szóstej rano. Byłam tam zupełnie sama – ja, wiatr i Wisła w dole. Od czasu do czasu zadzwoniły szyny – pierwsze poranne tramwaje przemykały jak widma; wiozły nieszczęśników pracujących od świtu. Może ktoś z Kanału Szóstego jechał do pracy na poranek? A może o tak nieludzkiej porze pustymi tramwajami jeździły tylko duchy? Wydawało mi się, że w jednej z szyb dostrzegłam twarz Aleksandra.

Byłam zmęczona, tak bardzo zmęczona. Najdłuższa noc mojego życia dobiegała końca, ale wciąż było jeszcze tyle do zrobienia. Tyle parków, które trzeba będzie odwiedzić, tyle sprzątanina i niezbędnych zakupów, tyle wysiłku z niepostrzeżonym wrzuceniem pióra Aleksandra do torebki Paulinki. Oparłam się o balustradę mostu, wiatr marszczył powierzchnię rzeki, przysłał chmurami różowość świtu, plątał moje włosy spocone i rozczochrane. Był spokój i było piękno w tym widoku dalekiego horyzontu, w tych eleganckich liniach mostów przecinających niebo i wodę. Średnicowy trząśł się w posadach od jakiegoś wyjątkowo ciężkiego pociągu, a Świętokrzyski rozciągał dumnie swoje białe liny, na których wciąż jeszcze tańczyły resztki nocnych iluminacji. Po prawej stadion strzelał w niebo stalowymi prętami, a gdzieś dalej Praga skrywała mroczne podwórka i kiczowate kapliczki w zakazanych bramach. Patrzyłam na świt nadciągający nad miasto, a w rękach trzymałam tożsamość Aleksandra. Wszystkie dokumenty, dowody wypłacalności, zameldowania i zatrudnienia. Cały on zamknięty w plastikowych kartonikach, w zdjęciach z lewego półprofilu, w paskach magnetycznych. Szemrząca melodia Wisły dawała obietnicę, że wszystko to dopłynie wraz z nią do Gdańska. Do morza. Daleko. Palce same się otworzyły – brązowy kształt przeciął powietrze, poleciał w dół, brudne fale w burym kolorze porwały go na swoje grzbiety. A potem zamknęły się nad nim. Na zawsze.

Tuż obok nurtu rzeki biegła w dole Wisłostrada, pusta o tej porze i jakaś dziwnie nierzeczywista. Jedna ciężarówka, dwa czy trzy samochody, rozpędzony autobus – to wszystko, zamiast zwykłego na tej trasie niekończącego się sznura aut. Miasto dopiero budziło się do życia, powoli i opieszale strząsając z siebie sen. Nad rzeką wstawał dzień, a ja nie wiedziałam, jak będę żyć bez Ciebie. Bez słodkiej goryczy, bez tego, co szarpie w środku, bez wiecznie głodnej nadziei, która pozwala się karmić byle czym. Może kiedyś się dowiem. Może kiedyś. Może.

Szłam sama mostem martwym i wielkim, do domu, pod wiatr. Dłonie miałam puste, a głowę pełną słów. Tych, które były, choć nigdy nie powinny, i tych, które nigdy nie będą, choć istnieją we mnie. Czas

przeszły wiecznie niedokonany, fałszywa nuta na stałe zapisana w partyturze, koniec. Żegnaj, moje kochanie. Będę za Tobą tęsknić każdego dnia.

*

– No jestem, zejdiesz?

Facet w słuchawce telefonu Joanny mówił tak głośno, że słyszałem go bez trudu. Głos nie wydał mi się ani trochę znajomy.

– A może jednak to ty wejdiesz na chwilę? – Brzmiała naprawdę zapraszająco; musiała chyba się cieszyć, że go słyszy.

– Nie, mówiłem ci już wcześniej, że nie będę mógł. Daruj, dziś naprawdę nie mam czasu.

– No dobrze... Innym razem. – Uśmiechnęła się. Widziałem, jak kąciki jej ust wędrują w górę, wypychają kości policzkowe i mrużą oczy. Wystarczyło sięgnąć palcem, by dotknąć delikatnej linii, która powstała między skrzydełkiem jej nosa a kącikiem ust. Była tak blisko. Leżała tuż obok.

– To zejdiesz po to, tak? Czekam na dole.

Odłożyła telefon gestem, w którym były jeszcze echa leniwego przeciągania się, odpoczynku, powrotu z dalekiej podróży.

– Przykro mi, nie poznasz mojego Ptysia.

– Kto to jest Ptyś? – Chciałem, by zabrzmiało neutralnie, ale jednak nie mogłem udawać, że nie widzę, iż to właśnie dla tego Ptysia wychodzi z łóżka.

– Mój przyjaciel – odpowiedziała tak naturalnie, że żadna inna możliwość nie mogła wchodzić w grę. Nie kochanek, nie były narzeczony, nie chłopak starający się o jej względy. Przyjaciel. Jak dużo życia poświęca się przyjacielowi? Ile przestrzeni mu się oddaje? Ile Joanny może mi zająć, a ile ukraść?

– Muszę coś od niego odebrać. Uśmiejesz się, jak ci powiem co. – Sama uśmiechała się cały czas. Stanik, sukienka, szpilki. Była jedną z tych kobiet, które nawet przed dom nie wyjdą bez butów na wysokim obcasie. Ciekawe, jak będziemy chodzić razem po lesie, kiedy już przeprowadzi się do mnie?

– Zaraz wrócę. – Drzwi zamknęły się za nią gładko i cicho. Zostałem sam w jej mieszkaniu. Firanka unosząca się w otwartym oknie, niezgaszony papieros w popielniczce, aksamitny głos Diany Krall płynący z głośników. To miała być Lana Del Ray; zdaje się, że Joanna miała już jej płytę w ręce, ale w ostatniej chwili włożyła do odtwarzacza co innego. Miała wtedy dziwny wyraz twarzy; jakby coś jej się przypomniało, coś, czego nie chciała wspominać. Mnie było wszystko jedno, Diana Krall też była dobra do łóżka. Joanna była dobra do łóżka. Joanna była dobra na życie.

Wróciła z jakąś reklamówką. Zwykłą foliową torbą ze sklepu, spożywczego raczej niż z galanterią. Był ciepły, wrześniowy dzień, popołudniowe słońce odbijało się oślepiającymi smugami w lustrze nad komodą, życie wydawało się całkiem piękne.

– No nie patrz tak. To tylko mięso. Miałam zepsutą lodówkę, musiałam trzymać je u Ptysia.

– Dlaczego nic nie mówiłaś? Spróbowałbym naprawić. – Podniosłem się z łóżka. Jeszcze przed chwilą leżało się tak przyjemnie, ale teraz już coś mi na to nie pozwalało. Nie lubiłem swojego ciała na tyle, by czuć się swobodnie, chodząc nago. Dżinsy, T-shirt, jakiś dziwny pośpiech drżących rąk.

– Ach, nie wiem, zapomniałam. Już działa. – Jej głos dobiegał teraz z kuchni; biorąc pod uwagę rozmiary jej mieszkania, dzieliło nas od siebie tylko kilka kroków. – Sąsiad naprawił – dodała, kiedy stanąłem w kuchennych drzwiach. Zdążyła położyć pakunek na stole i wyrzucić plastikową torbę. Została nieduża paczuszka – folia aluminiowa, podłużny kształt. Mięso.

– A jakie to mięso? – Może wcale nie należało dopytywać. Ale nie mogłem zbagatelizować tego dziwnego ucisku w klatce piersiowej.

– Wieprzowe. Ale to coś specjalnego. Długo tego szukałam, u rzeźnika i w budach na bazarze. Nie chciałam, żeby się zmarnowało. Dlatego trzymałam u Ptysia w zamrażarce.

Światło letniego popołudnia, łagodne i złote, opływało jej kontur, łagodziło rysy, nadawało jej włosom nowy kolor. Światło – sekret planu filmowego i telewizyjnego studia, fotografii przed Photoshopem i malarstwa. Współczesna sukienka, nowoczesna kuchnia, światło jak z obrazów Vermeera. W takiej scenerii nie może wydarzyć się nic złego. Mogę zapytać.

– Ale od kiedy ty w ogóle kupujesz mięso? – Wiedziałem, że nie potrafi gotować. Sama się z tego śmiała, proponując mi za każdym razem tylko kanapki albo ptasie mleczko.

– A, bo widzisz... to miała być niespodzianka. Dla ciebie. – Promień słońca odbił się oślepiającym srebrem w kawałku folii aluminiowej. Odwijala ją powolnymi, delikatnymi ruchami. To nie była tylko czynność, to była pieszczota. – Bo właśnie się uczę. To miało być moje pierwsze porządne danie.

Coś płatało mi figła, nie wiedziałem tylko – wzrok czy wyobraźnia? Było ich kilka: charakterystyczny podłużny kształt, różowość nieco przytłumiona mrożeniem, podobna wielkość. Choć jeden był chyba trochę mniejszy niż reszta. Tego właśnie musnęła palcami.

– Chciałam ci zrobić ozorki w sosie chrzanowym. Lubisz, prawda?

Mówiła do mnie taka spokojna, pogodna, jasna jak słońce jednego z ostatnich dni lata. Jej palce z czerwonymi paznokciami wyglądały jak zanurzone we krwi. Uśmiechała się do mnie przez smugę błękitnawego dymu, który zawędrował tu znad popielniczki, przez powietrze poprzecinane złotymi nitkami, przez rozświetlone drobinki pyłków tańczące tuż przed jej twarzą.